PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY DZIEWIĄTY. — TOM CXVI.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1912.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1912.



ZJAZD SKARGOWSKI.

(DRUGIE RAMIĘ KRUŻGANKÓW DOMINIKAŃSKICH).

PIERWSZA SESYA KWESTYI ZASADNICZYCH.

25 września 10 godzina rano.

Zagajenie Zjazdu.

Mowa J. E. hr. Stanisława Tarnowskiego.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Najprzewielebniejszy Książę Biskupie! Dostojne zgromadzenie!

W imieniu komitetu mam zaszczyt powitać wszystkich uczestników tego zjazdu. Spotykamy się, witamy się, złączeni i przejęci wszyscy tem samem uczuciem, pchnięci tym samym popędem, tym samym zamiarem i postanowieniem. Zeszliśmy się po to, by w trzysta lat po śmierci Skargi w tem miejscu, gdzie kazał, gdzie działał, gdzie umarł, gdzie jest pochowany, złożyć hołd pamięci i wdzięczności dla wielkiego nauczyciela i spowiednika naszego narodu, wielkiego proroka jego nieszczęść. Chcemy zaświadczyć, że on nam dobrze radził, dobrze chciał, a że my rozumiemy, ile było prawdy i mądrości w tem, co on nam mówił, że czujemy żeśmy jego nauk słuchać byli powinni przed trzema wiekami, żeśmy ich słuchać powinni i dziś.

Ten obchód był dla nas obowiązkiem, koniecznością. Byłoby źle, byłby wstyd dla nas, gdybyśmy o tem byli przepomnieli.

Dobrze, że obchód jest. Jak go odbyć mamy? W duchu Skargi, w największem, na jakie nas stać zbliżeniu do jego ducha. A więc pobożnie, w skupieniu duszy i podniesieniu serca, w rozpamiętywaniu jego wielkich celów i zasług, w rozmyśla-

niu o naszym dzisiejszym stanie, i w mocnem postanowieniu, iżby go słuchać lepiej, niż go nasi przodkowie słuchali. Onby nas nie poznał, nie przyjąłby naszego hołdu, nie wierzyłby szczerości naszych uczuć, gdybyśmy jego pamięci nie święcili nabożeństwem. To jest, od tegośmy zaczęli, to treść główna i ton główny naszego obchodu. Ale to nie wszystko jeszcze. On, który nam przed wiekami robił rachunek sumienia, żąda od nas, żebyśmy go sobie zrobili sami: żebyśmy wejrzeli dobrze, głęboko w nasze nieszczęścia, i w nasze winy, i żąda namysłu, rozwagi, postanowienia, jak się w nieszczęściach dźwigać i ratować, jak się z tych win podnosić. Wejście w siebie i dobre postanowienie, to jest, czego Skarga od nas żąda, czem go najlepiej według jego myśli i duszy uczcić możemy.

Do tego mają służyć, na to, ufamy, przydadzą się te narady, które rozpocząć mamy, o różnych kierunkach i sprawach katolickiego życia, o jego brakach, trudnościach i środkach zaradzenia na te braki i przeszkody: to zaś wiemy, że utwierdzenie i rozszerzenie życia katolickiego jest zarazem wzmocnieniem i zabezpieczeniem życia polskiego także.

Zaczynajmy więc w imię Boże. Ale nim zaczniemy niech mi wolno będzie wyrazić radość i wdzięczność, że nas tu tak dużo: żeśmy się zeszli ze wszystkich stron, ze wszystkich części Polski. Żałośnie jest, ale słodko przecie widzieć tych, co przybyli z krajów nieszczęśliwych, i dla nich powitanie najrzewniejsze, najgorętsze. Podziękowanie zaś uszanowania pełne i najgorętsze, dla najprzewielebniejszych księży Biskupów: i do nich, od nas wszystkich tu zebranych serdeczna prośba, żeby temu zjazdowi, jego obradom, i jego skutkom, raczyli dać swoje błogosławieństwo.

MOWA

J. E. KSIĘDZA BISKUPA JÓZEFA SEBASTYANA PELCZARA.

Imieniem Arcypasterzy witam z radością braci rodaków, ze wszystkich stron Polski w Imię Boże zebranych, i korzystam z tej chwili, by przed udzieleniem naszego błogosławieństwa wypowiedzieć nasze dezyderata, a zwłaszcza rzucić kilka myśli o duchu X. Piotra Skargi i o dzisiejszym kierunku idei religijnej.

Duch Skargi był zbliżony do ideału, jaki kreśli Apostoł Paweł, temi słowy: *Sprawiedliwy mój z wiary żyje* (Żyd. 10, 38). Skarga żył z wiary, to jest, wiara była niejako motorem jego życia wewnętrznego i zewnętrznego, bo on według wiary, a pod wpływem łaski Bożej, sądził, mówił, działał i cierpiał. Łaska poświęcająca, obok trzech cnót teologicznych — wiary, nadziei i miłości, łączyła go ściśle z Bogiem, tak, że jego życie było iście nadprzyrodzone i święte; mógł on też powiedzieć za Apostołem: *Żyję ja, już nie ja, żyje we mnie Chrystus* (Gal. 2, 20).

Takim winien być chrześcijanin: żyć z wiary i dążyć do ideału chrześcijańskiego; tymczasem u wielu katolików nawet wierzących, zamiast życia nadprzyrodzonego widzimy naturalizm w sądach, mowach i czynach, to jest kierowanie się słabem światełkiem rozumu, błędnemi opiniami świata i czysto ziemskiemi pobudkami. Ale też za to tak daleko im do doskonałości. Oby tu wszyscy szli śladami Skargi.

Życie nadprzyrodzone utrzymywał on i pomnażał środkami nadprzyrodzonymi, zwłaszcza modlitwą, Ofiarą najświętszą i św. Sakramentami. Trudno wyrazić, jak żarliwie się modlił, jak pobożnie odprawiał Mszę św., jak skwapliwie czerpał z krynic łaski. Gorącem było jego nabożeństwo do Przenajśw. Sakramentu, którego cześć pismami i bractwami rozszerzał; a serdecznie czcił także Bogarodzicę i św. Patronów narodu.

Oto wzór dla prawego katolika. I on ma mieć zamiłowanie w modlitwie i pamięci na obecność Bożą, — zamiłowanie w Ofierze najśw. i Sakramentach św., zwłaszcza w częstem przyjmowaniu i nawiedzaniu Przen. Sakramentu, — zamiłowanie we czci Najśw. Panny i św. Patronów naszych. Tymczasem o wielu katolikach dzisiejszych powiedzieć trzeba, że mało się modlą i licho się modlą, jak również, że rzadko i ozięble przystępują do Sakramentów św. Ale też za to w ich życiu umysłowem brak nadprzyrodzonego światła, a w życiu czynnem brak nadprzyrodzonej siły. Oby tu wszyscy szli śladami Skargi.

Życie nadprzyrodzone objawiało się u niego jako życie zaparcia się i ofiary dla Boga. Chociaż jako kapłan świecki wszelkiemi odznaczał się cnotami, zapragnął jednak zupełnego wyrzeczenia się siebie, a oddania się Bogu; stąd trzema ślubami zakonnymi, niby trzema gwoździmi, przybił się do krzyża Chrystusowego; a hasło św. Ignacego: „Wszystko na większą chwałę Bożą" stało się jego hasłem.

Życie każdego katolika, aczby nie był zakonnikiem, ma się również objawiać jako zaparcie się siebie i oddanie się Bogu z miłości. Tymczasem u wielu katolików widzimy niechrześcijański liberalizm, to jest, apoteozę nieograniczonej wolności i grzeszną pobłażliwość dla własnych żądz czy zachceń miłości własnej; — stąd wstręt do walki z sobą, lenistwo w pracy, niewierność w obowiązkach, niecierpliwość w przykrościach, czasem nawet bałwochwalcza cześć ciała i złota i hołdowanie brzydkim namiętnościom, to znowu zgubny pessymizm i zniechęcenie do życia.

Gdzie niema zaparcia się siebie, tam o prawdziwej miłości Boga i bliźniego mowy być nie może; niema jej też w wielu

duszach, ale za to brak w nich życia Bożego. Oby tu wszyscy szli śladami Skargi.

Z miłości ku Bogu wypłynęła u niego miłość ku Kościołowi, — miłość tak gorąca, iż wielki ogień rozpalała w jego sercu, a tak wszechstronna, że wszystko, co dotyczyło Kościoła, było mu drogie, jak nauka, prawa, dzieła i pasterze. Niezwykłą była jego troskliwość o jedność Kościoła i o cześć Stolicy św., do której stóp starał się pociągnąć odszczepionych Rusinów. On też bronił dzielnie powagi Kościoła przeciw rozkiełznanemu subjektywizmowi pseudoreformacyi, — dobrze tego świadom, że z subjektywizmu wyniknie racyonalizm, z racyonalizmu ateizm. Silnie również stawał w obronie prawa, władzy, powagi rodzicielskiej czy monarszej i społecznego ładu, jakby przeczuwając, że za rewolucyą religijną XVI wieku pójdzie rewolucya polityczna i socyalna w wiekach następnych.

Tegoż ducha jest każdy prawy katolik. On czci i kocha Kościół jako Oblubienicę Chrystusową i matkę swoją duchowną, — on ceni wysoko jego łaski, obrzędy, nabożeństwa, zakony i instytucye — on szanuje i wspiera jego sługi, a nie zraża się tem, że ten lub ów nie żyje tak, jak uczy; wie bowiem, że na roli Chrystusowej rośnie do czasu kąkol obok pszenicy i że żywioł Boski splata się tu nierozdzielnie z ludzkim, a więc skazitelnym.

Prawy katolik przyjmuje naukę Kościoła wiarą rozumną i mocną, ale pokorną, bo daleką od hardego mędrkowania, co powołuje Chrystusa i Jego Kościół przed swój trybunał i pyta się ciągle z szatanem: „Dlaczego“, albo woła za żydami z Kafarnaum: „Twarda jest mowa“. Prawy katolik stara się tę naukę poznać jak najdoskonalej, by do niej zastosować swe życie; stąd rozmyśla o niej, czytuje książki religijne, słucha chętnie kazań i konferencyja pologetycznych, które—oby urządzano we wszystkich większych miastach!

Prawy katolik wpaja tę naukę w inne dusze, zwłaszcza w dusze swoich dzieci, jeżeli jest ojcem lub matką, by rozszerzyć naokół siebie królestwo Chrystusowe, każdy bowiem katolik winien być apostołem wiary, a gdy potrzeba, bronić jej mądrze i odważnie,

czyto wiernością dla zasad i obowiązków katolickich — a ta apologia jest konieczną u wszystkich — czy słowem i piórem.

Skarga walczył dzielnie z herezyą i odszczepieństwem; my nadto walczyć musimy z niedowiarstwem jawnem lub skrytem, które w postaci wolnej myśli czy materyalizmu w teoryi i w życiu wciska się do warstw wykształconych, podczas gdy socyalizm wydziera wiarę robotnikom i dojrzalszej młodzieży. Lóż masońskich, tych najczynniejszych rozsiewników niedowiarstwa, dotąd na ziemi polskiej niema — prócz lóż czysto niemieckich w zaborze pruskim, — ale są usiłowania, by je na nowo wskrzesić; tymczasem zjawił się wróg pierw nieznany — żydowski syonizm, rzucający zuchwale rękawicę społeczeństwu chrześcijańskiemu i polskiemu.

Toż wszyscy bez wyjątku winni modlić się o nawrócenie tych nieszczęśliwych, którzy się odwracają od religii katolickiej, z drugiej strony bronić tej religii, jako najdroższego skarbu nietylko jednostek, ale i całego narodu; bo biada byłoby narodowi, gdyby wiarę utracił. Przedewszystkiem trzeba obozowi antyreligijnemu przeciwstawić zwarte i silne falangi, to jest, bractwa, sodalicye, stowarzyszenia, związki i opartą na nich organizacyę katolicką, ogarniającą całe społeczeństwo. To właśnie winno być pierwszorzędnem zadaniem tego zjazdu, acz nie jest objęte programem i tego także żądał zeszłoroczny Kongres Maryański.

Natomiast trzeba wziąść rozbrat z tym katolicyzmem małodusznym, co z obawy przed napaścią jakiegoś pisma, choćby brukowego, czy przed straszakiem, wymyślonym przez wrogów, któremu imię klerykalizm, zapiera się nieraz zasad katolickich, — rozbrat z tym katolicyzmem obłudnym, co to czasem, od parady, stroi się w szatę religijną, a zresztą w życiu prywatnem i publicznem trzyma się zasad liberalnych i jak to mówią, Panu Bogu i djabłu świeczkę pali, — rozbrat z tym katolicyzmem postępowym, co na modłę dzisiejszych modernistów chce reformować religię i Kościół, a w wierze widzi tylko jakieś mgliste i na dogmatach nie oparte uczucie religijne, — rozbrat z tym katolicyzmem bezreligijnym, co zachwala samą tylko etykę, i to niezależną, a pomiata dogmatami i powagą Kościoła.

Precz z temi wszystkiemi karykaturami katolicyzmu!

Tu stawiam dwa pytania. Czy uczestnicy Zjazdu potępiają wszystkie nowsze błędy przeciw religii i Kościołowi, mianowicie: monizm, pozytywizm, racyonalizm, liberalizm, komunizm, pessymizm, modernizm i maryawityzm? (Odpowiedzieli wszyscy: Potępiamy). Czy uczestnicy zjazdu przyrzekają za siebie i swoich niezłomną wierność dla prawdy katolickiej i prawa katolickiego, jakoteż niezachwiane przywiązanie do Kościoła i Stolicy świętej? (Odpowiedzieli wszyscy: Przyrzekamy).

Miłość Kościoła połączył Skarga z miłością ku drugiej matce duchownej — ku ojczyźnie. Kochał on ją gorąco, a pragnąc ją widzieć świętą i po Bożemu szczęśliwą, nawoływał silnie do pielęgnowania cnót i porzucenia wad, zwłaszcza pychy, prywaty, niekarności i niezgody; a nawet duchem proroczym przepowiedział, że niezgoda Polskę zgubi. Tak się też stało; ale Bogu Najwyższemu dzięki, wśród potopu klęsk ocalała arka narodu — wiara katolicka; nie zginęła też miłość matki — ojczyzny — owszem, ta matka jest nam tem droższa, że nieszczęśliwa i poniżona.

Nie jest prawdą, jakoby miłość Boża i Kościoła rugowała prawdziwą miłość ojczyzny, albo jakoby duchowieństwo polskie za mało miało patryotyzmu. Owszem, miłość Boga nadaje świętości i hartu miłości ojczyzny; czego też dowodem ten długi szereg biskupów i kapłanów, co za wiarę i ojczyznę tyle wycierpieli. Natomiast, gdzie duch wiary słabnie, tam zanika także miłość ojczyzny; a świadkiem jest tu Francya, w której masoni dla idei humanitaryzmu, a socyaliści dla dobra proletaryatu każą poświęcić ojczyznę.

Trzeba atoli pamiętać, że nie zbawimy ojczyzny pracą bez Boga, oraz sojuszem z rewolucyą społeczną, i że stare wady, które ją zgubiły, nie zupełnie wygasły; bo wszakże niezgoda rozbija i dziś społeczeństwo polskie na wrogie sobie obozy. Jeżeli smutno pod tym względem w kraju naszym, smutniej jeszcze tam w Królestwie, gdzie obok rozterek politycznych i społecznych, obok „niepodległej myśli“ i „Zarania“ i innych prądów, widzimy nawet nową sektę — Maryawitów. Toż trzeba wydać wadom walkę na zabój, a pielęgnować w sobie i w drugich miłość ojczyzny, ale

miłość świętą i czynną, — tę miłość, co każe spełniać sumiennie wszystkie obowiązki i troskać się ofiarnie o dobro powszechne, — tę miłość, co broni nieustraszenie czci, praw, ideałów i skarbów narodu, a szczególnie jego wiary, cnoty, mowy i ziemi. Oby tu wszyscy szli śladami Skargi.

Wielkiem sercem obejmował on wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego, a przedewszystkiem młode pokolenie; toż jako rektor akademii wileńskiej i trzech kolegiów baczną na to zwracał uwagę, by młodzież nietylko wykształcić starannie w naukach, ale także umocnić w zasadach i praktykach katolickich. Dziś ta sprawa jest tem więcej piekącą, że „wolna myśl" i socyalizm zarzucają swe sieci na młodzież dojrzalszą, by ją oderwać od Boga i Kościoła. Trzeba tedy wszystkie siły wytężyć, aby zapomocą towarzystw katolickich i innych środków bronić młodzieży przed niedowiarstwem i zepsuciem, inaczej, gdy ta młodzież, a temsamem klasa wykształcona wiarę utraci, biada będzie społeczeństwu polskiemu.

Ponieważ młodzież przejmuje się duchem swoich mistrzów, przeto starać się o to należy, aby na katedrach naszych szkół zasiadali ludzie światli, religijni i o katolickie wychowanie swoich uczniów dbali.

Wyrażam przeto życzenie, aby słuchacze uniwersytetu mniej politykowali, a za to więcej się uczyli, aby też ludzie zdolniejsi, duchowni i świeccy, w ślad za Skargą, który mądrze prawił i mądrze pisał, nabywali gruntownej i wszechstronnej wiedzy, a potem pługiem piórą rozorywali różne zagony nauki — bronili dzielnie prawdy katolickiej, tworzyli towarzystwa naukowe, redagowali w dobrym duchu dzienniki, a nawet dla wytrącenia z rąk publiczności zatrutych płodów naszych i obcych dekadentów, przyrządzali dla niej lżejszy, ale zdrowy pokarm. Nic w tem dziwnego, że dziś nawet Jezuici piszą powieści i komedye.

Skarga kochał lud wiejski i karcił ostro tych, którzy go krzywdzili, ale więcej dlań uczynić nie mógł. Dziś dola ludu nierównie lepsza, niż wówczas, ale mimo to potrzeba bratniej opieki innych stanów, by w nim uwiecznić poczucie katolickie i narodowe, a zarazem przysporzyć mu światła i chleba.

Pomijając z boleścią inne dzielnice, gdzie dziatwa polska nie słyszy prawie w szkole macierzystej mowy, zaznaczam, że w kraju naszym liczba szkół ludowych z każdym rokiem wzrasta; a w tych szkołach pracują sumiennie nauczyciele i nauczycielki, których pewna część należy do Sodalicyj Maryańskich i corocznie w rekolekcyach krzepi swego ducha. Pochwała im za to. Ostrzegam atoli, że i do nauczycielstwa polskiego cisną się złe prądy, z Czech i Niemiec idące, by je oderwać od piersi tej matki, która szkołę ludową wypiastowała i dotąd otacza swoją miłością. Baczność zatem przed tym niebezpiecznym wrogiem stanu nauczycielskiego, a temsamem i społeczeństwa polskiego! Baczność przed szkodliwemi tendencyami pisma, które u nas pod banderą postępu i dobrobytu nauczycielstwa przemyca ideę „wolnej szkoły".

Ale i poza szkołą trzeba szerzyć oświatę; a najprzód uczyć katechizmu te dzieci, które do szkoły nie chodzą. Niechże tej zbożnej pracy podejmują się chętnie stowarzyszenia katolickie, Sodalicye i Ziemianki po dworach.

Trzeba nadto zakładać po wsiach i miastach czytelnie katolickie, z takiemiż wykładami, to znowu wydawać dobre pisma, czy książki popularne; a pożądaną byłoby rzeczą, aby u nas każda rodzina miała swoją biblioteczkę, w którejby nie brakło książek religijnej treści.

Na tem polu działają w duchu katolickim niektóre towarzystwa, starsze i młodsze, a także wydawnictwo O.O. Jezuitów. Cześć ich zasługom; ale tej pracy jeszcze za mało, bo za mało w społeczeństwie polskiem zrozumienia jej potrzeby i za mało ofiarności. Ponieważ sprawa oświaty ludowej nie wchodzi do programu, przeto objawiam życzenie, aby dla jej omówienia odbyć kiedyś zjazd osobny, albo połączyć go ze zjazdem pedagogów polskich.

Oprócz światła potrzeba ludowi przysparzać chleba, a stąd podnosić go ekonomicznie, otwierając dlań nowe źródła dobrobytu, nad tymi zaś, co idą za chlebem za granicę, rozciągać troskliwą pieczę w kierunku duchowym i materyalnym. Ale ta sprawa będzie przedmiotem obrad.

Skarga z miłości ku Bogu, ukochał nietylko dusze ludzkie, którym poświęcił pracę całego życia, ale także ubogich i cierpiących, dla których tworzył po miastach zakłady dobroczynne (Arcybractwo miłosierdzia — Bank pobożny i t.d.), świadczące zarówno o litościwem jego sercu, jak o niezwykłej roztropności, tak, iż go słusznie przyrównano do św. Wincentego a Paulo.

Dziś nędzy jest więcej, a kwestya socyalna strasznie się zaogniła. Trzeba tedy zająć się po Bożemu ludźmi nieszczęśliwymi i opuszczonymi, a w tym celu tworzyć dla nich ochronki, przytułki, szpitale i zakłady wychowawcze dla zaniedbanej dziatwy, i to pod sterem duchownych i zakonnic, które tu z poświęceniem pracują, a obok nich szeregować towarzystwa katolików świeckich, zwłaszcza konferencye św. Wincentego a Paulo i związki katolicko społeczne.

Trzeba nadto, dla położenia tamy socyalizmowi, organizować w osobnych związkach robotników, terminatorów, czeladników, majstrów, sługi, szwaczki i inne kategorye, a przytem zaprowadzać różne instytucye ku ich pożytkowi. Ale jakże mało u nas na tem polu się robi! Podczas gdy stowarzyszenia młodzieży rzemieślniczej siecią swoją pokrywają całe Niemcy katolickie, u nas zaledwie ich zawiązki w kilku miastach widzimy. Gdy „Zjednoczenie robotników" w Poznańskiem ma 80 tysięcy członków, u nas te związki są nieliczne i słabe, bo prócz kilku księży mało kto się nimi opiekuje, robotnikom zaś naszym brak oświaty, solidarności i środków materyalnych.

Nuże tedy do pracy energiczniejszej i wytrwalszej, by akcya katolików społeczna objęła wszystkie potrzeby klas rękami pracujących, a przytem była rozumną, zgodną i poddaną nadzorowi i opiece biskupów, odbierających wskazówki od Stolicy św. Tej pracy niech się imają wszyscy, bo tu żniwo wielkie dla wszystkich, tak mężczyzn jak niewiast.

Za czasów Skargi nie było jeszcze t. zw. kwestyi niewieściej, wyłoniła się ona dopiero w czasach najnowszych. Podczas gdy z jednej strony coraz silniej rozbrzmiewają hasła emancypacyi, feminizmu, sufrażu i wolnej miłości, z drugiej niewiasty katolickie polskie łączą się z sobą, by pracować wspólnie na

polu religijnem, narodowem i społecznem. Cześć im za to! Rzec nawet mogę, że u nas towarzystwa żeńskie więcej robią dobrego niż męskie, bo mówiąc bez urazy, mężczyźni w znacznej części są za leniwi, za wygodni, a przytem zbyt drażliwi i zanadto oddani polityce, która ludzi roznamiętnia i waśni, ale za mało realnych korzyści przynosi.

O pracy katolicko-społecznej będzie mowa na tym zjeździe; ale mimo to sądzę, że trzebaby kiedyś urządzić u nas osobny zjazd czy kurs katolicko-społeczny; a przydałyby się także zjazdy katolickich niewiast działaczek z trzech dzielnic polskich. Jedne i drugie wiece możnaby połączyć z polskimi Kongresami Eucharystycznymi czy Maryańskimi, które, jak tuszę, urządzane będą co kilka lat w większych miastach.

Takie są nasze dezyderata na dziś i na przyszłość. A jaka nasza rada? Oto nie tylko mądrze mówić i pisać ale także dobrze modlić się i działać.

Tymczasem niech temu zjazdowi Bóg błogosławi. My, biskupi, polecamy go Najsłodszemu Sercu Jezusowemu za przyczyną Najśw. Panny Królowej Korony Polskiej i św. Patronów narodu, dajemy wszystkim tegoż uczestnikom nasze błogosławieństwo. *Sit nomen Domini i t. d.*

Katolicyzm a polski duch obywatelski.

Referat hr. H. St. Badeniego.

Mam mówić o katolicyzmie i polskim duchu obywatelskim — a raczej mamy się wspólnie w tej pierwszej zasadniczej konferencyi zastanowić nad wzajemnemi odnoszeniami tych dwóch potężnych motorów życia, tak indywidualnego jak i społecznego, zwracając przytem przedewszystkiem uwagę na stosunki, wśród których nam w chwili obecnej żyć, myśleć i działać wypadło.

Czem jest katolicyzm, tego chyba zgromadzeniu, do którego w tej chwili mam zaszczyt przemawiać, przypominać się nie godzi! Wszak zebraliśmy się dzisiaj pod tym właśnie a nie innym sztandarem — wszak dla nas katolicyzm to prawda, na której według głębokiego powiedzenia O. Ollivier'a rozum nasz bezpiecznie spoczywa, to światło, co rozprasza ciemności dróg naszych, to miłość, co nas rozgrzewa, to opoka, poza którą niemasz ostoi, niemasz przyszłości, bo niemasz zbawienia; a odzew nasz w dniu dzisiejszym to imię męża, w którym naród czci gorejący pierwowzór zupełnego oddania się na służbę wiary katolickiej.

Czyż atoli równie jasno i wyraźnie jak pojęcie katolicyzmu rysuje się przed oczami naszemi pojęcie „ducha obywatelskiego?“ Wyraz ten jest przecież u nas w codziennem użyciu, używają

go i oświeceni i prostaczkowie, wielbiciele i krytycy, spotykamy się z nim na łamach każdego niemal dziennika, ale właśnie wskutek tego częstego używania, a może i nadużywania, pokryło się pojęcie „ducha obywatelskiego“ warstwą kurzu, zacierającego w świadomości wielu z nas istotne, socyologiczne znaczenie. Najbliższem naszem zadaniem musi tedy być przebicie się przez tę warstwę kurzu i wypracowanie definicyi ducha obywatelskiego, jako czynnika wytwarzającego energię społeczną.

Ludzkość oglądana niejako z archimedesowskiej platformy rozpada się na nieskończoną ilość zrzeszeń czyli grup społecznych. Pod grupą społeczną rozumiemy pewną większą lub mniejszą ilość jednostek, mających wybitne i trwałe znamiona ogólniejszej natury wspólne wszystkim, a odrębne od znamion innych grup społecznych, tudzież wynikające z tychże wspólne interesa. Grupą społeczną w tem znaczeniu jest naród, państwo, miasto — biurokracya — większa własność. W potocznym języku nazywamy niektóre grupy społeczne klasami lub warstwami mówiąc np. o klasie robotniczej, warstwach oświeconych. Zasadniczemi kryteryami są tu z jednej strony sposób zarobkowania i stosunek do własności, z drugiej strony stopień oświaty i dobrobytu. Według ich zewnętrznego ustroju rozróżnić możemy dwa zasadnicze typy grup społecznych: jedne oparte wyłącznie na momentach faktycznych, drugie ujęte w pewną celową organizacyę dla obrony i popierania interesów ze wspólności wynikających. Patrząc na ostatnie dwa wieki dziejów ludzkości, widzimy stałą ewolucyę w kierunku organizowania się społeczeństw. Organizowanie to polega na przemianie grup faktycznych na grupy celowe w miarę jak rośnie w ich łonie świadomość wspólności interesów i konieczności celowej akcyi w ich obronie. Najlepszym przykładem jest rozwój stosunków robotniczych, na tle których możemy gołem niejako okiem codzienne postępy tej ewolucyi obserwować. A klasyczne hasło rzucone w świat przez Marksa „proletaryusze wszystkich krajów łączcie się“ jest niczem innem jeno wezwaniem do świadomego współdziałania w tej żywiołowej ewolucyi. Coraz to

nowe potrzeby, nowe interesa, nowe cele, jednem słowem nowe momenty, które z głębin życia na powierzchnię naszej świadomości wypływają, wywołują szeregowanie się ludzi w nowych grupach społecznych a różniczkowanie dawniejszych. W pierwotnym ustroju ludzkości jedyną grupą była horda, a jedynym wspólnym momentem pragnienie utrzymania się przy życiu. Cech średniowieczny był nietylko organizacyą zawodową, ale także związkiem ekonomicznym, kulturalnym, religijnym, wojskowym a nawet towarzyskim. Dzisiaj organizacye zawodowe mają zadania różne, wytknięte potrzebami ekonomicznemi chwili obecnej, a za to część zadań dawnego cechu przeszła na zrzeszenia nowe, powstałe drogą organizacyjnego różniczkowania.

Z pojęcia grupy społecznej wywodzi się pojęcie ducha obywatelskiego w najszerszem tego słowa znaczeniu. Jest to ogół uczuć łączących jednostkę z pewną grupą społeczną; w ściślejszem znaczeniu rozumiemy pod duchem obywatelskim uczucia łączące jednostkę z narodem względnie z państwem, tudzież ustrojami prawnopaństwowymi drugiego rzędu, jak kraj, miasto. W dalszym ciągu wywodów naszych będziemy brali specyalnie pod rozwagę duch obywatelski jako syntezę uczuć jednostki w odniesieniu do narodu.

Duch obywatelski składa się z dwóch ściśle ze sobą splecionych podstawowych uczuć, a mianowicie: uczucia solidarności i uczucia ofiarności.

Solidarność jednostki z narodem polega na tem, że człowiek żywo i stale odczuwa swą przynależność do swego narodu i nie waha się dać temu odpowiedniego wyrazu; solidarność z narodem każe mu miłować przeszłość, dbać o teraźniejszość, myśleć o przyszłości, każe być dumnym z tego wszystkiego, co w narodzie piękne, wzniosłe, zaszczytne, ubolewać nad tem, co potępienia godne, dążyć do naprawy tego, co naprawy wymaga. Solidarność jest świadomością przynależności człowieka do narodu i obowiązków z tej przynależności wynikających. Jak między małżeństwem iście ze sobą złączonem, jedno odnosi do drugiego każdy wypadek, każdy moment choćby potocznego

życia, instynktownie stawiając sobie na każdym kroku pytanie, jakie znaczenie, jakie następstwa dla drugiej strony to mieć może, taksamo w stosunku człowieka do narodu ta myśl, jakie znaczenie czy to nasz postępek, czy to zdarzenie poza nami leżące dla ogólnych interesów narodu mieć może, ta myśl czująca i troskliwa jest istotą ducha obywatelskiego. Solidaryzowanie się z narodem daje całemu naszemu myśleniu szerokie podłoże, na którem każda myśl, zanim zrodzi postanowienie, a ta zrodzi czyn, choćby na chwilę spocząć musi, jeżeli sama z tego podłoża nie wykwitła. Im więcej człowiek ceni sobie te wszystkie ideowe korzyści, które mu przynależność do pewnego narodu przynosi, a więc wspólną mowę, kulturę, historyę, tradycyę, tem więcej też musi przywiązywać wagi do tej przynależności, tem goręcej ją odczuwać, tem żywiej do obowiązków wzajemnych się poczuwać, jednem słowem — tem żywiej się z narodem solidaryzować.

Z solidarności między człowiekiem a narodem wypływa solidarność druga: solidarność między tymi, którzy hołdują podobnym przekonaniom, podobnemi ożywieni są uczuciami względem wspólnej ojczyzny. Człowiek, o którym wiem, że w sprawach zasadniczych podobnie jak ja odczuwa i myśli, nie może być mi całkiem obojętnym, a im żywszą jest we mnie świadomość, że ta wspólność nasza odnosi się do spraw podstawowego znaczenia, że stwarza między nami pewne pokrewieństwo duchowe, tem ten człowiek staje mi się bliższym, tem życzliwiej się do niego odnoszę; a w ten sposób solidarność narodowa jest potężną dźwignią życzliwości wzajemnej między ludźmi tej siły, która spaja atomy, aby z nich budować piramidy, które nam przekazał Chrystus Pan, polecając nam „miłować się społecznie".

Solidarność między jednostkami a narodem, tudzież między jednostkami w łonie tego samego narodu jest zasadniczym momentem jego istnienia, jest *conditio sine qua non* jego rozwoju.

Drugim elementem ducha obywatelskiego jest ofiarność, jak powiedzieliśmy powyżej. Możemy ją zdefiniować jako obracanie dóbr jednostki na rzecz interesów wspólności t. j. narodu, przy-

czem używamy wyrazu „dobra“ w najobszerniejszem znaczeniu, zaliczając do nich nie tylko dobra materyalne, ale i ideowe, jakoto: zdolności, siły. Ofiarność może być jużto pozytywną, jużto negatywną, gdy polega na wyrzeczeniu się przez jednostkę pewnych korzyści indywidualnych, aby za tę cenę przysporzyć jakąś korzyść narodowi względnie go od niekorzyści uchronić. Im większa jest w narodzie siła spójności, im większe zrozumienie u jednostek potrzeb ogólnych, tem większa być musi ofiarność w zaspakajaniu tych potrzeb ogólnych, w spełnianiu społecznych obowiązków, tem wyższą suma indywidualnych wysiłków. Tych zaś, którzy narodowi przodują, jest zadaniem i posłannictwem rozpęd indywidualny ofiarności podsycać, wskazywać mu kierunek, utrzymywać harmonię między celem a ideałem, sprawiać, aby prace jednostek nawzajem się nie słabiły, jeno przeciwnie uzupełniały i wspierały.

Gdy mówimy o grupach społecznych i stosunku do nich jednostek, musi nam się z całym naciskiem narzucić pytanie, jakie wyznaczyć wypada miejsce grupom, opartym na wspólności religijnej, a przedewszystkiem Kościołowi katolickiemu.

Jedyna zasadnicza różnica między grupami społecznemi, opartemi na wspólności religijnej, a innemi grupami leży w tem, że muszą się one opierać na pewnej podstawie nadprzyrodzonej, muszą w działaniu sił nadprzyrodzonych szukać źródła tego, co ma być istotą wierzeń, muszą szukać nadprzyrodzonej sankcyi dla swych zasad moralnych. Ten element nadprzyrodzony może być tam, gdzie fantazya ludzka błąka się po omacku wśród ciemności, ubrany w kształty grube i prymitywne, nieraz i śmieszne i odrażające, ale być musi, jeżeli mamy wogóle móc o religii mówić. Religia, którąby chciała bez elementu nadprzyrodzonego się obejść, może być w najlepszym razie szkołą filozoficzną, teoryą rozumową — ale z pewnością nie znajdzie przystępu do duszy ludzkiej. Aby tę opanować, trzeba szukać oryentacyi poza wrotami życia i śmierci, poza szczupłemi granicami czasu i przestrzeni — wszystko inne jest tylko marnym surrogatem, jeżeli nie rozmyślnym fałszem.

Logicznem następstwem wypowiedzenia elementu nadprzyrodzonego jest dalsza cecha charakterystyczna grup religijnych, t. j. powszechność, a raczej zdolność stania się powszechnemi. Nie możemy wystawić sobie takiego stanu rzeczy, by cała ludzkość stanowiła jeden naród lub jedną klasę; taki stan rzeczy byłby absurdem, negacyą pojęcia narodowości czy klasy, które opiera się właśnie na różnicach w łonie ludzkości. Całkiem inaczej ma się rzecz z religią, co tam jest zabiciem, tu jest ukoronowaniem. Nietylko możemy sobie doskonale wyobrazić całą ludzkość wyznającą jednę religię, ale nawet, jeżeli rzeczywiście wierzymy w prawdziwość naszej religii, musimy całą duszą pragnąć, aby jak najrychlej przyszedł czas, kiedy będzie jedna owczarnia i jeden pasterz i wierzyć, że ta chwila rzeczywiście nadejdzie. To, co się nam wydaje tak prostem, tak naturalnem, że religia prawdziwa musi być dla całej ludzkości przeznaczoną, to pojęcie powszechności objawiło się przecież światu dopiero w chwili, kiedy Zbawiciel wypowiedział słowa: *idąc na cały świat, nauczajcie wszystkie narody!* I gdybym nie mówił do katolików wierzących, tobym wskazał, że w tym fakcie mieści się jeden dowód więcej, że jedynie chrystyanizm jest prawdziwą objawioną religią. Wszystkie inne religie, to tylko wierzenia narodowe, plemienne, lokalne z bóstwami akceptującemi koordynacyę innych bóstw czasem sprzymierzonych, czasem wrogich, czasem tylko konkurencyjnych.

Chrystus Pan, głosząc powszechność religii, objawił ludzkości jedno jeszcze pojęcie z powszechnością ściśle złączone: pojęcie apostolstwa. I znowu widzę Boskość naszej religii w tem, że nauczyła nas tego prostego syllogizmu: jeżeli wierzę, że moja religia jest jedynie do zbawienia wiodącą, muszę pragnąć, by wszyscy bliźni jej światłem oświeceni zostali; z tego masowego pragnienia wykwitają czyny jednostek, powstaje propaganda, dążenie do podboju serc, podczas gdy inne religie znały co najwyżej brutalne usiłowania zdobycia dla swoich bożyszcz zewnętrznych objawów czci lub materyalnych ofiar.

Boski pierwiastek chrystyanizmu musi wybić swe piętno na stosunku człowieka do Kościoła, jako widomej przez Boga usta-

nowionej organizacyi na ziemi, przechowującej objawiony skarb wiary i nauki. Ta wiara i nauka będąca najpotężniejszym, najwznioślejszym łącznikiem między ludźmi, musi być regulatorem wszystkich naszych myśli i dążeń. Byłoby wręcz niezgodnem z pojęciem Boga, jako Istoty Wszechmocnej, aby zajął się tylko jakąś częścią naszego życia, naszej sfery działania, a resztę pozostawił obojętnie na boku, a taksamo byłoby niezgodnem z pojęciem Wszechmądrości i Wszechwiedzy Boskiej, aby zajmując się nami, zajął się inaczej, jak nauczając prawdy i ukazując Dobro. Wskazaliśmy powyżej na powszechność zewnętrzną chrześcijaństwa, które siłą Boskości swojej dążyć musi do zjednoczenia całej ludzkości, a oto powszechność druga wewnętrzna — konieczność zestrojenia, zrównoważenia się w chrześcijaństwie całego człowieka.

Ogół chrześcijan-katolików stanowi grupę społeczną, zorganizowaną w Kościele katolickim, a uczucia, któremi odnosi się katolik do tegoż Kościoła, podpadają pod powyżej nakreślone pojęcie ducha obywatelskiego.

Kościół wymagać musi od wiernych ducha obywatelskiego; musi wymagać od nich ofiarności materyalnej i ideowej, bo chociaż byt Kościoła ma w Bogu swój początek i cel ostateczny, to jednak ustanowiony został na ziemi i dla ludzi, dla ich dobra i to najwyższego, bo zbawienia wiecznego, dlatego jest wolą Bożą, by Kościół ludzkimi posługiwał się środkami i do spełnienia zadań swoich potrzebował ludzkiej pracy, ludzkiego wysiłku, ludzkiej ofiarności. Jak człowiek do osiągnięcia indywidualnego celu swego istnienia t. j. do zdobycia zbawienia potrzebuje nie tylko łaski nadprzyrodzonej, ale też współdziałania własnej wolnej woli, potrzebuje wiary i uczynków, taksamo i Kościół, z którym jest Chrystus po wszystkie dni aż do skończenia świata, potrzebuje współdziałania świadomego swoich wyznawców. Gdyby wolno mi było użyć porównania wziętego z życia praktycznego, rzekłbym, że stosunek Chrystusa do Kościoła jest do pewnego stopnia zbliżony do stosunku patronatu, do spółek lub instytucyi pod patronatem zostających. Chrystus daje opiekę i kierunek, daje tło, na którem praca Kościoła roz-

wijać się może. Powołanymi do tej pracy w Kościele są nietylko członkowie urzędowej hierarchii kościelnej, ale powołani są w miarę sił i możności wszyscy wierni — niemasz tu grosza wdowiego, któryby stokrotnego nie przyniósł pożytku!

Charakter powszechności naszej religii, na który przed chwilą wskazywałem, nadaje specyalną cechę i znaczenie drugiemu elementowi ducha obywatelskiego t. j. solidarności. Prawdziwa solidarność, która dla katolika wierzącego i myślącego, t. j. wyciągającego z wiary swojej praktyczne wnioski, musi być logicznym i jasnym nakazem, prawdziwa solidarność musi się wzorować na wypracowanem przez nas powyżej pojęciu powszechności Kościoła. Solidaryzować się istotnie z Kościołem *sentire cum ecclesia* znaczy szukać w nauce Kościoła niewzruszonych kryteryów dla rozświetlania i oceniania nietylko wszystkich kwestyi moralnych w życiu indywidualnem, ale także w życiu publicznem, bez względu na to, czy to jest nam chwilowo wygodnem lub nie, a z drugiej strony przyjmować za swoje wszystko, co w wykonywaniu boskiego swego posłannictwa, a czerpiąc ze skarbu przez Boga powierzonego, Kościół wiernym swoim podaje i zaleca. Antytezą tej solidarności jest przedewszystkiem liberalny eklektycyzm, w którym pod płaszczykiem poszanowania indywidualności ukrywa się zazwyczaj kult własnej wygody i egoistycznego widzimisię, eklektycyzm, który nam każe ze skarbnicy nauk Kościoła odrzucać, jako niedające się pogodzić z rozumem naszym, to, co w rzeczywistości nie da się pogodzić z niedokładnością naszego poznania, opieszałością woli, zachciankami zmysłów lub wreszcie uniesieniami ambicyi, nie da się pogodzić z pojęciem solidarności obywatelskiej względem Kościoła, chce wyłączenia z pod wpływu zasad moralnych przez Kościół nam podawanych, życia publicznego t. j. postępowania jednostki dzierżącej w swojem ręku mniejszą lub większą cząstkę władzy w sprawach publicznych (*imperium*), wpływającej w jakiejkolwiek formie na działalność instytucyi publicznych i stowarzyszeń. Solidaryzując się z Kościołem, musimy trwać niewzruszenie na tem stanowisku, że cała działalność człowieka w odniesieniu do spraw publicznych a także w szczególności

jego udział w ciałach parlamentarnych i działalność twórcza na polu piśmiennictwa, dziennikarstwa czy sztuki, musi być oceniana w świetle tych samych dogmatycznych, podstawowych zasad, które rządzą życiem naszem indywidualnem, prywatnem. A nie są zwolnione od tego punktu widzenia także masowe objawy, będące tylko wypadkowemi z działania poszczególnych indywidualnych energii o rozmaitem napięciu.

Mówiąc o stosunku człowieka do Kościoła na jeden jeszcze moment chciałbym zwrócić uwagę, moment, który łączy się z tem, cośmy powyżej mówili o grupach społecznych. Człowiek należy do rozmaitych równocześnie zgrupowań społecznych, a należy do tem więcej grup, im więcej rozwinięte jest środowisko jego, ponieważ tem liczniejsze i więcej różnorakie są punkta styczne między nim a bliźnim, która to styczność właśnie wytwarza grupowanie się ludzkości, człowiek należąc do rozmaitych grup społecznych, w rozmaitym zazwyczaj stopniu ożywiony jest duchem obywatelskim względem tychże; prawdziwa filozofia życia społecznego polega właśnie na tem, aby swój stosunek do rozmaitych grup, swą solidarność i ofiarność względem nich w harmonijną ułożyć konstrukcyę. Myśl tę wyraziło pismo św. w znanej przypowieści, w której Chrystus nas poucza, że należy oddawać Bogu, co Boskiego, a cesarzowi, co cesarskiego. Konflikt prawdziwy, czy urojony między obowiązkami, dyktowanymi rozmaitym duchem obywatelskim, to jedno z najcięższych nieszczęść, jakie na duszę człowieka spaść mogą, a biada społeczeństwu, w łonie którego tego rodzaju konflikt zapanuje epidemicznie. Choroba to straszna, co sprowadza za sobą kataklizmy, a nieraz kończy się nawet śmiercią. Taką chorobę w stopniu bardzo ostrym przechodzi w tej chwili Francya, gdzie tradycyjny patryotyzm ma ciężką walkę do stoczenia z hasłami międzynarodowego braterstwa klasy robotniczej, a doktryną znaną pod ogólną nazwą antymilitaryzmu, usiłuje za pomocą szalonej propagandy wprowadzać w umysły niewykształconych lub niedokształconych mas pojęcie absolutnej niezgodności między solidarnością narodową a międzynarodową solidarnością tak zwanych proletaryuszy.

Że konflikt między religią katolicką a narodowością jako taką, konflikt rzeczywisty i zasadniczy jest niemożliwy, toć udowadniać nie wchodzi w program dzisiejszej konferencyi, uczynił to w subtelnej rozprawie p. t. Narodowość wobec filozofii i chrystyanizmu O. Maryan Morawski i do niego mogę śmiało mających wątpliwości odesłać. Na tem miejscu chcę tylko jeszcze zaznaczyć, że przejęcie się zasadami katolicyzmu prowadzić musi do ożywienia ducha obywatelskiego narodowego. Zasadnicze przykazanie Chrystusowe o miłości społecznej, szczytne postawienie przez etykę chrześciańską zasady altruizmu i wzajemnego poświęcenia, wyniesienie pracy do rzędu obowiązków moralnych, wreszcie zaprawianie ludzi do społecznej karności przez organizacyę kościoła, opromienionego aureolą boskiego autorytetu, wszak to są wszystko momenty, które katolicyzm wnosi również w dziedzinę stosunków obywatelskich. Naturalną koleją rzeczy miłość społeczna łączy przedewszystkiem ludzi już pokrewnych sobie narodowością, praca społeczna również zazwyczaj idzie na dobro narodu, wśród którego człowiek pracuje. A ogólnemu dzisiaj upadkowi autorytetów, rozluźnieniu wszelkich węzłów, podmuleniu fundamentów wszelkich wierzeń, jednem słowem rozpanoszonemu dzisiaj kierunkowi anarchii, jeżeli jeszcze nie politycznej, to w każdym razie moralnej i intellektualnej, której spustoszenia na polu życia narodowego jesteśmy codziennymi świadkami, tej anarchii, powiadam, my jedni katolicy jesteśmy w sile przeciwstawić autorytet naszej religii, opartej na objawieniu, w dogmaty ujętej, zawsze aktualnej, choć przedwiecznej, nie pozostawiającej człowieka ani na chwilę bez kierunku i przewodnika, religii miłości i obowiązku.!

Z tego wszystkiego, cośmy dotychczas powiedzieli, wyłania się przed nami wzniosły ideał katolika-obywatela, ożywionego duchem obywatelskim, duchem solidarności i ofiarności tak względem kościoła katolickiego, jak i względem swego narodu. Światłem wiary oświecony widzi jasno swe obowiązki wobec Kościoła a granic samozwańczą nie zakreśla im ręką; świadomość obowiązków wobec narodu, w miłości zrodzona a rozumem

utwierdzona, nierozłączną jest mu towarzyszką życia. Zaledwie ten typ idealny zarysował się przed oczyma naszemi, a już myśli nasze koniecznością kierowane zwracają się ku pamięci męża, który tego typu idealnego był żywem wcieleniem, męża, którego słusznie obraliśmy dzisiejszego zebrania protektorem — ks. Piotra Skargi. Nie może być mojem zadaniem kreślić jego wizerunek, byłoby też rzeczą wręcz niemożliwą mówiąc o Skardze o nim samym tylko mówić: jego postać pozostanie wiecznie jasnym symbolem ducha obywatelskiego w najszczytniejszem tego słowa znaczeniu, ducha wyniesionego niejako do najwyższej potęgi, bo nie odróżniającego ani w uczuciach ani w uczynkach ojczyzny od wiary, pragnącego przykładem całego życia i słowem natchnionem nauczyć wszystkich, jak obie te matki Kościół Boży i Ojczyznę wiernie i uprzejmie miłować a w miłości im służyć.

Nie rozróżnianie ojczyzny od wiary, zespolenie obu tych pojęć jest do pewnego stopnia i dzisiaj jeszcze jedną z cech charakterystycznych naszej psychiki narodowej — lecz, jeżeli to zespolenie było u Skargi również zestrojeniem, zharmonizowaniem, to niestety w umysłach bardzo wielu Polaków dzisiejszej doby miasto harmonii odzywa się dyssonans — nuta katolicka brzmi nietylko minorowo ale także często wprost fałszywie.

Wśród niezliczonych komunałów, którymi się w dzisiejszych czasach karmimy, biorąc często nieudolne falsyfikaty za oryginalny pokarm, jednym z bardziej poszukiwanych jest niewątpliwie wyrażenie: „Polak a katolik to jedno". Zdanie to urodziło się w epoce porozbiorowej ze świadomości, że cała niemal nasza przeszłość jest nietylko polską ale i katolicką; równocześnie w obronie ojczyzny i wiary toczyliśmy niegdyś bohaterskie nasze boje zlewające się w barwny obraz przeszłości dumnej i szumnej, przemawiającej tak żywo do wyobraźni klas nawet mniej oświeconych, wszyscy prawie nasi wielcy mężowie, których pamięć żyje w narodzie, byli w swojem pojmowaniu nietylko dobrymi Polakami, ale też i dobrymi katolikami. Do tych z przeszłości czerpanych momentów, przyłączyły się inne teraźniejszością dyktowane: pozbawieni węzłów

wspólnej narodowej państwowości, rozdzieleni na trzy zabory, musieliśmy i musimy ciągle trzymać się oburącz tego wszystkiego, co nas łączyć może, co nam pomaga, zapomnąć o dzielących nas kordonach; obok języka, kultury, tradycyi, pragnień tajonych czy wybuchających wspólną nam była i religia; i stąd wyrobiło się w szerokich kołach zapatrywanie, że Polak musi być także i katolikiem. Zmuszeni dziejową losów koleją rozmaitych słuchać powag, z których żadna nie jest naszą narodową, łączyliśmy się wszyscy, zginając kolana przed powagą Stolicy Apostolskiej, przed którą mogliśmy zawsze być Polakami bez sztucznych nam narzuconych podziałów. Rozumowanie to u źródła słuszne i logiczne, niestety w ciągu lat srodze się wypaczyło; wprowadzając w cały szereg umysłów zamieszanie a nawet błąd, aż wreszcie z żywo odczutej prawdy pozostał tylko czczy frazes — straciliśmy złoty róg, z którego mogliśmy czerpać pokrzepienie, pozostał nam w ręku tylko sznur rozerwany. Zaród tego wypaczenia pojęć tkwił niestety już w samej ich genezie. Religia katolicka ma racyę bytu i cel sama w sobie i to cel wysoki i święty, iż prawie bluźnierstwem jest szukać dla niej innych ubocznych celów, choćby tym celem było wzmacnianie ducha narodowego, ubocznych racyi bytu, choćby nią być miało dopomaganie Polakom mniej uświadomionym narodowo czuć się jednym narodem. Każda próba taka musi się prędzej czy później zemścić w następstwach swoich. Była chwila we Francyi po upadku Mac Mahona i rozwiania nadziei szybkiej restauracyi monarchistycznej, kiedy rzucono w naród hasło: monarchista i katolik to jedno! Ale wielki mąż papież Leon XIII wczas przejrzał całe niebezpieczeństwo, i nie zważając na gniew krótkowidzących polityków, powagą Stolicy Piotrowej rozerwał ten sztuczny zespół, pozostawiając katolikom francuzkim wolność przekonań co do formy rządu. U nas niebezpieczeństwo analogicznego łączenia pojęć leżało zupełnie gdzieindziej, u nas, Bogu dzięki, nie było nigdy i nie będzie potrzeby oświecać szerokich mas, że można być dobrym katolikiem, nie będąc dobrym Polakiem, nas fałszywa interpretacya na inne zawiodła manowce. U nas grasuje herezya ucząca, że kto jest

dobrym Polakiem w swojem rozumieniu, ten już *ipso facto* jest dobrym katolikiem, choćby do obowiązków względem religii się nie poczuwał, czyli, że wystarcza mieć ducha obywatelskiego względem narodu, a temsamem już pośrednio okazuje się ducha obywatelskiego względem Kościoła. Religię według spotykanych na każdym kroku dziś zapatrywań, ceni się i szanuje nie dlatego, że jest prawdziwą, ale przedewszystkiem dlatego, że jest potężnym łącznikiem między Polakami, a od tego stanowiska już tylko krok niewielki pozostaje do zrobienia, aż znajdziemy się na wyżynach wolnomyślnych i powiemy, że religię tylko dlatego i o tyle należy tolerować wśród nas, o ile jest tym łącznikiem narodowym. A że tego łącznika niejako dodatkowego najwięcej potrzebują klasy mniej oświecone, wychowywane dopiero do pojęcia czystego ducha obywatelskiego, więc też i dla tych religia jest potrzebną — w rozumieniu jednych „przedewszystkiem" potrzebną, w rozumieniu drugich więcej już posuniętych „wyłącznie" potrzebną, ponieważ sfery już więcej uświadomione potrafią bez sztucznej podniety religijnej narodowo czuć i myśleć. Religia schodzi po tej pochyłości do rzędu tych środków pomocniczych przy nauce poglądowej dopuszczalnych na pierwszych szczeblach wychowawczych, które w miarę rozwoju dziecka muszą zostać wyeliminowane.

Racya bytu religii, pomyślana zrazu jako uboczna, drugorzędna, rozpiera się dzisiaj coraz bardziej na pierwszem miejscu, wypleniając ze świadomości nawet ludzi dobrej woli racyę bytu pierwotną, absolutną, póki sama nie zeschnie, nie zmarnieje, pozostawiając za sobą zgliszcza i próżnię.

Prawda, że u nas nabożeństwa stanowią integralną część każdego obchodu narodowego, święcenie każdej rocznicy rozpoczyna się od Mszy św., podobnie rozpoczynają swe uroczyste narady nasze wielkie towarzystwa, korporacye, ciała parlamentarne, jest to tradycya piękna, którą winniśmy pielęgnować, by ją potomnym módz przekazać, ale też winniśmy jasno sobie zdać z tego sprawę, że to już zazwyczaj tylko starodawny obyczaj, z którego duch uleciał a pozostała tylko forma. Na nabożeństwa t. zw. patryotyczne uczęszczają do kościoła tacy, któ-

rych zresztą w świątyni Pańskiej nie spotkasz nigdy, nie umieją się wcale w niej zachować, zwracając uwagę wiernych, co każdy z nas miał nieraz sposobność osobiście doświadczyć. Ludzie, którzyby na propozycyę posłuchania czy to kazania, czy to nauki katechizmu, o którym nie mają wyobrażenia, odpowiedzieli oburzeniem lub śmiechem, uważają za swój narodowy obowiązek wysłuchać kazania z okazyi poświęcenia sokolni, czy choćby tylko sztandaru. A jakżeż często zdarza się nam słuchać przy sposobności rozmaitych narodowych obchodów przemów, sławiących owe tradycyjne złączenie polskości i katolicyzmu, apoteozujących katolicyzm jako ostoję patryotyzmu — wygłaszanych przez ludzi, o których dobrze wiemy, że zasadnicze nauki religii katolickiej są im albo obce, albo przynajmniej pokryte kurzem zapomnienia, którzy o spełnianiu praktyk religijnych ani pomyśleli. Ci ludzie wynoszą pod niebiosa i zachwalają drugim to, czego sami na sobie wypróbować nie chcą — i to wszystko w najlepszej wierze bez najmniejszego poczucia tej sprzeczności, w jakiej brnąć muszą. Jako katolicy musimy powiedzieć: lepiej przynajmniej w rocznicę listopadową pójść do kościoła jak wcale nigdy, lepiej przynajmniej ze względów narodowych wysławiać religię, jak ją poniżać, lub obojętnem pomijać milczeniem; łaska poświęcająca, która od ołtarza ofiarnego wokoło promienieje, może i tego zabłąkanego tylko do kościoła oświecić i nawrócić, ale też musimy i dodać, że kościół zasługuje na to, aby był odwiedzany dla Tego, który w nim przebywa.

Niewierzących, gardzących kościołem moc wszędzie wielka i większa z pewnością niż u nas, obojętnych, uśpionych, wątpiących spotykamy wszędzie tłumy, ale typ katolika, który uważa, że dosyć czyni jako katolik, jeżeli stara się być dobrym patryotą a poza tem uczuć religijnych nie obraża, przypatrując im się — zdaleka, ten typ jest specyalnością naszego narodu!

Powracając do kwestyi, która stanowi punkt wyjścia niniejszej konferencyi od stosunku katolicyzmu do ducha obywatelskiego i chcąc na pytanie, jakim jest ten stosunek, dać ostateczną odpowiedź, musimy sobie powiedzieć, że brak między

jednym a drugim harmonii wskutek zepchnięcia katolicyzmu do roli czynnika wzmacniającego ducha solidarności między Polakami. Rozwojowi ducha obywatelskiego względem narodu nie odpowiada wcale w społeczeństwie naszem rozwój ducha obywatelskiego względem Kościoła, wskutek czego w psychę przeciętnego Polaka i katolika wkradł się dyssonans, który usunąć, musi być zadaniem przyszłości.

Historya rozwoju ducha obywatelskiego w dzielnicy naszej obejmuje cztery okresy: okres pierwszy aż do początku ery konstytucyjnej — duch obywatelski rozwija się pod wpływem dwóch czynników: nadziei odzyskania niepodległości drogą zbrojnego powstania, czy to kombinacyi politycznych i represyjnego, policyjnego systemu rządu austryackiego, wywołującego naturalnym biegiem rzeczy w społeczeństwie reakcyę i skupienie; okres drugi: rozkwit ducha obywatelskiego pod hasłem korzystania z politycznych wolności na rzecz kulturalnego i ekonomicznego podniesienia kraju; okres trzeci, to okres pewnego zastoju, pewnego kwietyzmu — siła rozpędu pierwszego osłabła, a nie było podniety dość silnej, by społeczeństwo na nowo naelektryzować; podnieta ta wstąpiła w szranki w okresie obecnym czwartym w postaci kwestyi ruskiej a po części i kwestyi obrony „kresów zachodnich". Napór narodowy ze strony Rusinów, niebywały wzrost ich potęgi ekonomicznej, assocyacyjnej i politycznej wywołał w społeczeństwie naszem przy współdziałaniu wpływów, których nie chcę tu bliżej omawiać, gwałtowną reakcyę, objawiającą się w wielkiem wzmożeniu się tak poczucia solidarności jak i ofiarności narodowej, co oczywiście nie mogło się odbywać bez pewnych zboczeń czy nawet wykolejeń.

Jakżeż przez ten sam czas rozwijał się duch obywatelski

Zasadniczym momentem jest tu fakt, że nietylko Kościół u nas nie był nigdy narażony na prześladowania jak w Prusach i Rosyi — o szykanach i dokuczliwości systemu józefińskiego nie można mówić jako o prześladowaniach — ale przeciwnie, dzięki formalnej powadze, jaką się Kościół katolicki cieszy w całej monarchii, zatarło się wśród naszego społeczeństwa uczu-

cie, że Kościołowi grożą jakiekolwiek niebezpieczeństwa, wymagające skupienia się wiernych około jego sztandaru, a za tem poszło przekonanie, że ten Kościół nie ma żadnych zadań, żadnych celów, do których osiągnięcia musiałby powoływać pod broń jeżeli nie pospolite ruszenie, to przynajmniej hufiec ochotników — jedynem zadaniem, to działalność ściśle duszpasterska, do której przecież powołani są wyłącznie członkowie Kościoła nauczającego. Pod wpływem tych pojęć zapanowała u nas wszechwładnie optymistyczna apatya, błogi sen; poziom ducha obywatelskiego w Kościele obniżył się znacznie! Ostatni okres, okres nowego rozkwitu ducha narodowego wprowadził nowy czynnik na polu życia kościelnego. Rzucono hasło uświadamiania ludności polskiej we wschodniej części kraju pod względem narodowym ale i religijnym — zawsze z tego wychodząc założenia, że drugie będzie podporą pierwszego. Hasło to potężnem odezwało się echem i obfite wydało owoce: zewnętrzne przez powstanie znacznej ilości kościołów i kaplic, wewnętrzne przez wzrost świadomości katolickiej, ale nie tyle u tego ludu, który właściwie miano uświadamiać na rzecz obrządku łacińskiego, ale właśnie u tych warstw, które do współdziałania w akcyi uświadamiającej powołanemi się czuły, a gdzie często uśpione poczucie katolickie tej zewnętrznej, pośredniej potrzebowało podniety, aby się ocknąć i na właściwe wejść tory.

Z tego bardzo sumarycznego przedstawienia faktycznego stanu rzeczy w dobie obecnej konkluzya sama się nam nasunąć musi. Skoro przyznajemy, że między duchem obywatelskim w narodzie a w Kościele panuje brak harmonii i to nie bez uszczerbku dla dobra Kościoła, musimy sobie powiedzieć, że obowiązkiem naszym staje się pracować nad usunięciem dyssonansów, nad wyrównaniem różnic, zapełnieniem luk, jednem słowem, nad wzmocnieniem wśród nas — kościelnego patryotyzmu! To jest hasło, które pragnąłbym pytającym o przyszłość, pytającym „co dalej", podsunąć w tej konferencyi, nie cofając się na żadnym punkcie, nie tracąc ani na chwilę z oka naszych celów i ideałów narodowych, korzystając z każdego czynnika, który nam zbliżeniu się do nich ułatwić może, nie zmniejszając niczem i nigdzie

prężności naszej energii narodowej, musimy dbać o wytworzenie prężności energii religijnej, aby naszą machinę społeczną w harmonijnej utrzymać pracy. Nic nie ujmować, jeno dodawać, nigdzie się nie cofać, jeno wszędzie iść naprzód.

Na czem to wzmacnianie patryotyzmu kościelnego polega i jaką do tego celu dążyć drogą? Na pierwsze pytanie już odpowiedzieliśmy sobie, mówiąc, że patryotyzm kościelny polega na uczuciu solidarności i ofiarności, te dwa zatem podstawowe elementy należy w społeczeństwie naszem krzepić.

Do solidaryzowania się z Kościołem potrzebna jest przedewszystkiem dokładna znajomość Kościoła i wszystkich spraw jego — zatem krzewienie tej znajomości, to pierwsze nasze zadanie. Do spełnienia tego zadania powołane jest nie tylko duchowieństwo z wysokości ambony czy w wykonywaniu szeroko pojętej misyi duszpasterskiej, ale powołanem jest przedewszystkiem piśmiennictwo katolickie i prasa katolicka. Nie koniec na tem, ci, których do tego rodzaju pracy Bóg nie powołał, ci mają zadanie niemniej doniosłe. Oto głoszenie wśród dostępnych sobie kół potrzeby znajomości spraw Kościoła, zachęta do szukania tych wiadomości, ułatwienia w ich nabywaniu. Cóż znaczy książka najcenniejsza i słowo żywe najwymowniejsze, jeżeli ta książka, jako mówiąca o rzeczach Boskich, jest z góry skazana często na odsunięcie, a słowo żywe na przebrzmienie jako głos wołającego na puszczy!

Bądźmy wszyscy, każdy w zakresie, jaki mu Opatrzność w swej mądrości poruczyła, apostołami prawd wiary, tej wiary, która jest równocześnie teoryą najpewniejszą i praktyką najdoskonalszą. Obok znajomości tej kardynalnej idzie znajomość spraw Kościoła, jako organizacyi społecznej, jego potrzeb i zadań tak ogólnych jak zwłaszcza aktualnych, znajomość obowiązków społecznych, jakie godność członka Kościoła katolickiego na nas wkłada. Znajomość tę daje nietylko doktryna, ale także w wysokim stopniu wiadomość o tem, w jaki sposób tak w naszem społeczeństwie jak i wśród obcych stosunków ludzie dobrej woli, swych obowiązków świadomi, nad spełnieniem tych zadań pracują. Przypatrywanie się stosunkom obcym,

na pozór daleko od nas leżącym, staje się zaraz ważniejszą dla nas koniecznością i z tego względu, że dzisiejsza kultura myśli ma przecież charakter wybitnie kosmopolityczny, nie uznający granic państw czy narodów i dążący do zniwelowania rozmaitości stosunków, i zrobienia z kwestyi środowiska, kwestyi czasu, której myśl potrzebuje, aby przebiedz dzielącą przestrzeń. Rzeczy, które nam się wydają odległemi, nieprawdopodobnemi, zadania, w których aktualność nie wierzymy, sposoby działania, które, jako „w naszych warunkach nieodpowiednie", odrzucamy, jutro staną się możliwe a pojutrze mogą na nas zaciężyć całym ciężarem niezbitej konieczności.

Nigdzie względy te nie przemawiają do nas dobitniej jak tam, gdzie chodzi o przewidywanie niebezpieczeństw grożących i przysposabianie się do obrony. Akcya antyreligijna i antykościelna, prowadzona przez zwolenników „wolnej myśli", rozciąga się na cały świat, docierając prędzej czy później do wszystkich zakątków, tak jak wszędzie mają swych adherentów i sympatyków międzynarodowe federacye wolnomyślne. A jeżeli my należymy do tych szczęśliwych krain, gdzie te prądy dochodzą raczej później niż prędzej, to tem lepiej dla nas, bo łatwiej usypać wokoło nas ochronne wały nam, nauczonym poprzednio doświadczeniem innych, co przed nami w ogień poszli. Ale też z tej korzystnej względnie pozycyi wypływa dla nas obowiązek mieć oczy otwarte, z której strony nieprzyjaciel nadciąga, obowiązek uczenia się jego metod walki ale i metod naszej obrony. Poznawanie terenów walki z wrogami Kościoła pomoże nam otrząsnąć się z błogiego kwietyzmu, w jakiśmy popadli, i dojrzeć nieprzyjacielskie zagony, które już naszych dosięgają stanowisk.

Drugim elementem ducha obywatelskiego w Kościele jest, jak wiemy, ofiarność. U nas ofiarność materyalna na rzecz potrzeb Kościoła była zawsze wielka, choć może i nieuświadomiona; i dzisiaj jeszcze świadczenia tego rodzaju są znaczne; to też podnosząc potrzebę wzmocnienia ofiarności, mam na myśli przedewszystkiem ofiarność ideową, ofiarność dobrej woli, współdziałanie w każdej akcyi katolickiej, popieranie jej, choćby

trzeba nawet nałożyć własnej wygody, zerwać z zapatrywaniem, które nam dogadza, bośmy się do niego przyzwyczaili, zerwać z chwilą, gdy się przekonamy, iż nie da się z doktryną katolicką pogodzić. Ofiarność dobrej woli każe nam nietylko wedle możności popierać pośrednio czy bezpośrednio katolickie organizacye, stowarzyszenia, instytucye, które po największej części wyłącznie przy poparciu ludzi dobrej woli istnieć i rozwijać się mogą, ale także, co jest rzeczą znacznie trudniejszą, używać wpływu, jaki mieć możemy na organizacye, stowarzyszenia i instytucye, nie mające charakteru specyalnie katolickiego, aby w ich działalność wprowadzić zasady katolickie i przysporzyć przez nią korzyści ogólnym celom katolicyzmu, lub conajmniej, aby usunąć z nich cokolwiekby tymże celom szkodliwem być mogło. A praca tego rodzaju dlatego trudną jest szczególnie dla nas jako Polaków, bo wymaga przezwyciężenia kilku naszych narodowych nałogów: poszukiwania popularności, która silne akcentowanie zasad katolickich rzadko przynosi, zamiłowania spokoju, który tem akcentowaniem łacno na szwank narażony być może, wreszcie próżności, ponieważ człowiek, pomijający milczeniem interesa katolickie bez zbytniego trudu przyjść może do reputacyi człowieka wyższego, idącego z duchem czasu, podczas gdy katolik narażony jest na zarzut wstecznictwa czy obskurantyzmu.

Ofiarność katolicka jest często trudną i ciężką, trudną, bo opiera się na zrozumieniu i odczuciu obowiązków, jakie na nas wiara katolicka wkłada, ale obowiązki mają za podstawę nie ułatwienie nam naszej egzystencyi na ziemi, lecz dążenie do celów wyższych — chwały Bożej i zbawienia naszego; ciężką, bo wymaga nieraz przezwyciężenia i siebie i wpływów, jakie na nas z zewnątrz z otoczenia naszego napierają, a jednak do tej ofiarności i siebie i drugich nawoływać musimy.

Nawoływać musimy do krzewienia w społeczeństwie naszem ducha obywatelskiego względem Kościoła, musimy szerzyć w niem znajomość spraw jego, zagrzewać miłość, uczyć solidarności, przywodzić do ofiarności, aby kiedyś to zespolenie pol-

skości i katolicyzmu, które dzisiaj czczą bywa nieraz i fałszywie brzmiącą formułką, stała się rzeczywistością.

A pracę tę pod czyjże protektorat nam złożyć, jak nie pod protektorat Piotra Skargi, który zebrania tego jest niewidomą głową, a słowa te jego, w których się zawiera synteza całej jego umysłowości i całego życia: „upominałem, aby obie matki swoje, Kościół Boży i Ojczyznę w jednym końcu złączone, wiernie i uprzejmie miłowali" — te słowa dzisiaj, jak przed trzema wiekami, powinny być programem ale nie jednego człowieka, jeno tych wszystkich, którzy w prawdziwem zharmonizowaniu ducha obywatelskiego z katolickim widzą przyszłość swego narodu.

PIERWSZA SESYA KWESTYI PRAKTYCZNYCH.

23 września godz. 3 po południu.

ZNACZENIE I POTRZEBY PRASY KATOLICKIEJ

REFERAT KSIĘCIA FRANCISZKA RADZIWIŁŁA.

I.

Nim przystąpimy do badania głównych potrzeb naszej prasy katolickiej, musimy sobie uprzytomnić znaczenie prasy wogóle. Z biegiem historyi, z rozwojem politycznym i ekonomicznym prasa coraz bardziej wzrastała liczebnie i na znaczeniu, tak, że dzisiaj stanowi ona olbrzymią potęgę—potęgę, która jest czynnikiem pierwszorzędnym w życiu narodów.

Rzymskie „acta populi", na tablicach spisywane postanowienia zebrań ludowych, są najdawniejszymi śladami prasy. Za Cezara dodano „acta senatus". Z tych początków powstał następnie pewnego rodzaju dziennik Dworu, redagowany przez wyższego urzędnika Dworu, zawierający ważniejsze rozporządzenia Cezarów, akta państwowe, prawne, gry cyrkusowe i t. p. Akta te rozsyłane były do najodleglejszych rzymskich stacyj wojskowych. Temu podobne znajdujemy w VIII. w. w Chinach (King-Pao). Długo w tych pieluchach spoczywała prasa. Charakterystyką tych publikacyj jest, że są one państwowo-oficyalne, ale nie przedstawiają wolnej opinii publicznej.

Dopiero z końcem XV. wieku, gdy z państwa rzymskiego

i z chaosu narodów starego świata wyrosły dzisiejsze kulturalne państwa, spotykamy w centrach średniowiecznej kultury jak w Rzymie, Wenecyi, Augsburgu, Norymberdze, Antwerpii, Frankfurcie i innych — prywatne biura, które za umówioną cenę rozsyłają tygodniowo swoim „abonentom" zebrane wiadomości o zajściach politycznych i socyalnych. Tu spotykamy też już ulotne pisma z tendencyjnie rozumowaną treścią w celu wpływania na szersze warstwy (polemiczne i apologetyczne rozprawy Skargi; 95 tez Lutra i t. p.). I tak pomału rozwija się prasa.

Powstają druki peryodyczne, przeglądy roczne i półroczne, do których pomału wciska się zabarwienie polityczne; równocześnie też daje się zauważyć tendencya nadzoru rządowego nad temi publikacyami. W XVII. wieku powstają już publikacye tygodniowe, które w krótkim czasie podlegają cenzurze i wpływowi rządów. Rząd nadaje przywilej wydawnictwa i monopol z jednej strony, a z drugiej strony wydaje zakaz wprowadzania zagranicznych pism. Z końcem XVII. wieku mamy już pierwszą gazetę, wychodzącą codziennie (1660, Leipziger Zeitung). Zarazem do publikacyi, dotąd jedynie z wiadomościami, wkradają się pierwsze anonsy, które szczególnie we Francyi szybko się rozpowszechniają. Dział ten inseratowy jednak długo nie rozwija się i dopiero z końcem XVIII. wieku bardziej wzrasta. I tak w roku 1790 pojawia się pierwsza nekrologia, 1792 pierwszy anons o ślubie, 1816 pierwszy anons o narzeczeństwie. Publikacye te codzienne (gazety), te zbiory nowin i faktów do połowy XVIII. wieku nie zmieniają się prawie wcale, dopiero w drugiej połowie XVIII. wieku równolegle powstają miesięczniki polityczne, które do przeglądu zajść politycznych przyłączają już dyskusyę na ich temat i sądy o nich pomieszczają; równocześnie powstają przeglądy naukowe, literackie, beletrystyczne, które poruszając zagadnienia sztuki, nauki, życia praktycznego, prowadzić chcą do oświaty, uspołecznienia, wogóle do uszlachetnienia ludzkości. Te pisma peryodyczne, a zarazem duch czasu, wielkie przewroty i ewolucye, starcie wielkiego ruchu ludowego demokratycznego z przeżytym absolutyzmem rządów — to wszystko zasadniczo podziałało i na gazety i na prasę. Nie wystarcza im już zbieranie

tylko nowin, otwierają zasadniczo dyskusyę kulturalną; z referatem połączone jest rezonowanie subjektywne.

W tym względzie Anglia stanęła na przodzie i Milton już w r. 1644 kruszył kopię za wolność prasy.

Rewolucya francuska nie mało się przyczyniła do rozwoju prasy i po niej wszędzie już tylko wolną prasę spotykamy.

Prawie jednocześnie zaczynają i w Polsce pojawiać się pisma ulotne po polsku i po łacinie, spełniając funkcye teraźniejszych gazet, a w pierwszej połowie XVII. wieku, za panowania Władysława IV. pojawia się u nas pierwsze wydawnictwo peryodyczne p. t. „Merkury polski". Po krótkiej przerwie na początku XVIII. wieku prasa polska już się utrwala, dochodząc do silniejszego rozwoju za panowania Stanisława Augusta.

Bardzo jednak nowy duch był skrępowany, cenzura władzy, stempel państwowy, przymus kaucyi i ograniczona koncesya, łatwe konfiskowanie i zakaz sprzedaży, były to więzy, któremi zbudzony zmysł krytyczny i opinia publiczna — głos ludu — były jeszcze mocno spętane.

Ale hasło potężne, które raz padło i do świadomości się przedostało — „wolna prasa" — już nie opuściło ludzkości aż do jego zupełnego zwycięstwa.

Ta „wolność" a rozwój polityczny i ekonomiczny, ewolucye socyalne czasu, przejście z absolutyzmu do konstytucyonalizmu, zwrot ludzkości ze stanowej ku zawodowej organizacyi przejście do gospodarki wolnej i rozwój ogólny, w znacznej mierze spowodowany wielkimi wynalazkami na polu techniki i komunikacyi — te wszystkie czynniki stworzyły nowoczesną prasę.

Od 50 lat prasa nowoczesna rośnie stale, a w ostatnich trzech dziesięcioleciach wzrosła nieobliczalnie.

Prasa jest obecnie olbrzymiem centrem wiadomości i dyskusyi ludzkości nowoczesnej i ponadto pośredniczką ruchu światowego. Jej zakres obejmuje całe jestestwo ludzkości. Ona referuje i omawia politykę świata, prawodawstwo i sądownictwo, literaturę i teatr, religię i szkołę, przyrodę i świat, sporty i osobistości, wypadki i przestępstwa, gospodarstwo rolne i do-

mowe, przemysł i handel — krótko mówiąc — wszystko, co tylko obejmują pojęcia: kultura i przyroda. A inseraty i anonse prasy? tam znajdujemy pomieszczone podaż i popyt wszystkiego, co tylko na rynku znaleść się może w najszerszem słowa znaczeniu.

A teraz kilka cyfr dla przykładu.

We Francyi i Anglii wychodzi około 3.000 gazet, w Niemczech 4.000, we Włoszech 1,400, w Austryi 1.100, w Stanach Zjednoczonych 12.500. Wiele ich w Polsce a raczej w polskim języku wychodzi trudno dokładnie obliczyć, ale przypuszczalnie wychodzi ich 1.000.

W roku 1906 sama poczta w Niemczech rozesłała 1.807 milionów numerów gazet, a liczbę wydawnictw obliczają wogóle w tym roku na 4.800 milionów numerów gazet.

Wydawnictwa większe poszczególnych gazet mają w Austryi i we Włoszech od 50 do 100 tysięcy abonentów, we Francyi i Anglii od 600.000 do 1,200.000. Znaczniejsze gazety niemieckie mają po 100.000 do 350.000 abonentów.

Przykładem typowym rozwoju nowoczesnej prasy jest liczba abonentów dziennika „Berliner Tageblatt", który od r. 1898 do1911 a więc w 14 latach z 64.000 abonentów doszła do 205.000.

Zawartość tych gazet odpowiada ich poczytności. Poszczególny numer dużych gazet angielskich lub amerykańskich równa się co do objętości przeciętnej książce. Wiedeńska „Neue Freie Presse" wychodzi rano w objętości około 40 stronic, w niedzielę do 80 stronic. Na Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki do 150 stronic. A jeden rocznik takiej gazety waży kilkadziesiąt kilogramów.

Tym liczbom odpowiada i strona techniczna: są to ogromne instytucye z licznym personalem służbowym, ze wspaniałą obsługą telegraficzną, z udoskonalonemi maszynami. Niektóre pisma angielskie mają własne przewody telegraficzne do Paryża i Berlina. Pałace są ich mieszkaniem a miliony podstawą ich obrotów.

A wpływ prasy, tego olbrzyma nowoczesnego?

Codziennie idzie pomiędzy miliony ludzi to słowo drukowane. Codziennie czytają je miliony.

Porównajmy tylko te masy, do których przemawia gazeta, z temi, do których żywem słowem przemawia kaznodzieja. Przemawia on tylko o oznaczonej godzinie, raz lub dwa razy w tygodniu, w jednem miejscu; słuchają go w najlepszym razie setki — gazeta zaś idzie sama do czytelników, czytają ją o każdej porze, wtedy kiedy mogą, każdy numer gazety codziennie czyta dziesiątki osób.

A więc te wielkie gazety, które mają do 100.000 dziennego nakładu, czytane są — co śmiało przypuścić można — przez kilkaset tysięcy ludzi i to codziennie!

Doprawdy mogą one i muszą mieć olbrzymi wpływ, to też gazeta dzisiaj stanowi chleb powszedni, często jedyny pokarm duchowy niezliczonych mas, — jej sąd jest wyznaniem wiary milionów.

Niedawno zmarły publicysta J. J. David tak się wyraził: „Tych, dla których gazeta jest wszystkiem, jest znacznie więcej, aniżeli my, ludzie wykształceni sądzimy".

II.

Tak olbrzymią jest potęga prasy!

Ale rozpatrzmy się, jaką jest ta prasa, ta duchowa wielkorządczyni? Czy jest dobrą, czystą? Czy potęga ta wywiera wpływ dodatni, czy ujemny?

Hasło wolnej prasy jest dzisiaj już u szczytu urzeczywistnienia; powstało — jak wspomnieliśmy — w tak zwanej epoce wolnościowego ruchu ludowego, w czasie od połowy 18-go do połowy 19-go wieku. Powstało ono jako reakcya w smutnych czasach deprawacyi i zgnilizny klas rządzących i rządów, — kiedy obarczony podatkami lud uważany był jedynie jako dostarczyciel potrzeb dworu i był igraszką klas rządzących. Ludzkość była deptana nogami i doprawdy pogańskie pojęcie życia władało klasami uprzywilejowanemi. Przeciwko tym strasznym stosunkom wzdrygnąć się musiał lud, jego sumienie,

jego geniusz całem swem jestestwem. W najlepszych jednostkach powstał ogień nienawiści i zemsty; lud do żywego obrażony w najświętszych swych uczuciach, sponiewierany i zbezczeszczony, w krwawych rewolucyach szukał zadośćuczynienia i wywalczył sobie wolność. I podniosły się wtedy wielkie głosy, głosy sumienia ludu, wzywające do uświadomienia, do oświetlenia położenia, do wspólnego działania! Te głosy, jak dawni trybunowie ludu, zastępowały olbrzymią większość, miały być „ustami ludu" i „uszami panujących". To, czego wszyscy pragną i żądają, miało być wyjawione; to co wszystkich cisnęło i jarzmiło, nie miało zostać przemilczane! Musiał być ktoś, który zobowiązany był mówić czystą prawdę, bez przeszkody i bez ogródek.

Tak powstała jako odruch przeciwko skrajnym stosunkom, prasa wolna, rozumująca i krytykująca, — prasa uświadomiona. Położenie smutne czasów stworzyło jej zasady, a cele chwili nakreśliły jej zadanie.

Ale zastanówmy się, czy te, w ten sposób historycznie uwarunkowane zasady i dążenia mogą być i pozostać absolutnemi, bezwzględnemi?

Czy dawne te tendencye i zakres działania: wolne traktowanie wszystkich kwestyj, nauki, kościoła, państwa, mają jeszcze i dzisiaj przy zupełnie innych warunkach prawo bytu? Czy zdołają się dzisiaj obronić te zasady wolnego rozumowania, krytyki absolutnej, bezwzględnej, wobec idei wiecznych, wobec kompetencyi myśli, a zwłaszcza myśli chrześcijańskiej? W szczególności czy dadzą się obronić te zasady, jeżeli we wszystkich kierunkach zostały rozwinięte do ostatnich konsekwencyj i żadnej a zgoła żadnej granicy nie uznają?! Jeżeli im do pomocy pospieszył cały nowy świat wydoskonalonej techniki, która ich siłę i doniosłość tysiąckrotnie zwiększyła? Czy przesłanki i duchowe podstawy jej potęgi są zdrowe i słuszne?

Rzucam te myśli! Zdrowy rozsądek każdemu na nie sam odpowie: Nie!

Czy wszytkie myśli są dla każdego ucha? Czy prawdziwa wolność myśli, tak zwana myśl niepodległa nie jest zasadniczo

uwarunkowana prawdziwą, głęboką oświatą? Wiedza przecież jest specyalnością wykształconych i tylko jednostki jej oddane powinny mieć do niej dostęp — tylko wybrani nieliczni po długiej, mozolnej pracy przygotowawczej, po twardem, ascetycznem wyszkoleniu ducha, dochodzą do pełnej zdolności pojmowania, do możności dalszej pracy w dziedzinie nauki.

Pytam się, czy ciemny tłum ze swym fanatyzmem jest kompetentnym, godnym słuchaczem i współpracownikiem do zgłębiania nauki i prawdy? A dalej, — czy autorytet tłumów jest nieomylnym choćby w dziedzinie polityki, lub kwestyj społecznych? Czy panujące dziś hasła polityczne i społeczne są już szczytem, ideałem?! Czy i te teorye nie są owocem radykalnego fanatyzmu?

III.

Kolebką prasy nowoczesnej był duch niepodległy, opiekunką jej ruch wolnościowy — i wyrosła ona na olbrzyma, który potęgą swą ogarnia świat i nim rządzi. I jak w każdej dziedzinie myśli ludzkiej, rozpoczęła się w prasie walka dwóch światów, walka duchów zła i dobra, która początek swój miała w walce zbuntowanych aniołów-szatanów. Walka odwieczna od początku aż do końca świata.

Dwa sztandary i dwie przemoce w boju tytanicznym zmagają się nieustannie. Wszystko, co się przeciwko chrześcijaństwu sprzysięgło, zjednoczyło się, złączone nienawiścią do niego i wykarmiło tę światową prasę i wychowało — i wyrosła ona na olbrzyma, który moc i potęgę swą oddał na usługi śmiertelnych wrogów chrześcijaństwa. Tak! Francuski minister Cremieux, założyciel i pierwszy przewodniczący „Alliance universelle Israelite“ tego zjednoczenia powszechnego, światowego żydów, wyrzekł w sześćdziesiątych latach minionego stulecia te pamiętne słowa: „Wszystko jest zależne od pouczenia przez prasę. Postarajmy się nią owładnąć, a wtedy wszystko w ręku mieć będziemy“. A jeszcze przedtem na kongresie żydów całej Europy, odbytym w Krakowie w roku 1846, żyd angielski Moses Montefiore obradom nadał praktyczny i doniosły kierunek, następującem zda-

niem: „Wszystkie wasze wymysły nie na wiele pomogą, ale zapanujmy nad prasą, a wnet będziemy rządzić i kierować losami całej Europy".

I skrzętnie i szybko oświecone żydostwo zabrało się do roboty i dzisiaj w skutkach świeci tryumfy. Wielka prasa światowa jest dzisiaj monopolem żydostwa. Nietylko urzeczywistniły się słowa Cremieux i Montefiore, bo jeszcze i drugi cel osiągnięto, cel materyalny. Przebiegły duch handlowy żydostwa, poparty ich specyficzną etyką, potrafił z wolnej prasy stworzyć sobie nowe pole spekulacyi materyalnej, przynoszącej miliony w zysku.

Tak! prasa, owoc ducha łaknącego ideału, została niewolnicą kapitalizmu. Jego tyrański absolutyzm został plebeizmem terrorystycznym. Początkowe tendencye idealne są dzisiaj tylko pustemi etykietami, reklamowymi szyldami dla zmylenia czujności władzy i obałamucenia nieświadomej publiczności. Byt dzisiejszej prasy jest tylko smutną tragikomedyą: brutalny materyalizm w masce ideowego uświadomiciela.

Tak! wszystkiego od tej niewolnicy wymaga jej tyran, wszystkiego, coby jego nienasycony głód złota zaspokoiło. I chwyciła się prasa tych zasad, które kupca wzbogacić mają. To jedyny cel, który uświęca wszystkie środki.

Mniejszy ale częstszy zysk zastępuje większy obrót; więc kaptowanie mas czytelników, choćby najniegodziwszymi sposobami i schlebianie wszystkim złym namiętnościom, zaspakajanie ciekawości najniezdrowszej, podbudzanie zmysłów najbardziej rafinowanymi środkami, by nie obudzić czujności czytelnika. Pomału lecz bezustannie wlewają jad niedowiarstwa, sceptycyzmu i zmateryalizowania w społeczeństwa, bo wtedy oni całkowicie opanują świat i dzieło zniszczenia „ducha" będzie dokonane. Sprzedają wszytko, co sprzedać się daje, milczenie i pochwały, autorytet nauki i anatemę obskurantyzmu.

Przysłuchajmy się słowom francuskiego prezesa ministrów Combesa, osławionego znanem zwycięstwem „antyklerykalnem" i przeprowadzeniem rozdziału kościoła i państwa we Francyi. Dnia 29 marca 1907 roku pisze on artykuł do wiedeńskiej „Neue Freie Presse". Między innemi czytamy tam: „Religia

katolicka, którą w 18 wieku zwalczała tylko filozofia w salonach i w kosztownych wydawnictwach, jest teraz zwalczana codziennie przez liberalizm w ludowych jednocentowych pismach", i dalej dodaje: „można śmiało rzec, że dwie trzecie, może trzy czwarte narodu francuskiego przez prasę radykalną i socyalistyczną od kościoła oderwane zostały".

O lepszy dowód chyba trudno! Mówi to mąż, który stał na czele Francyi, który sam tę walkę przeprowadził, który chyba wiedzieć musi, komu zwycięstwo zawdzięcza! Tak! Złej prasie zawdzięcza trzy czwarte Francyi odłączenie od kościoła!

Na międzynarodowym kongresie wolnomyślicieli, odbytym w Pradze 8 września 1907 roku, na pierwszem miejscu w programie postawiono walkę przeciwko religii, t. j. przeciwko wierze w Boga. Ten cel najskuteczniej osiągany miał być przez prasę!

Poprzestańmy na tych przykładach.

Niech statystyka teraz choć na chwilę sucho, lecz przekonywująco przemówi. I tak: agentury telegraficzne, a więc cała olbrzymia obsługa telegraficzna prasowa jest zupełnie w rękach żydowskich (oprócz trzech rządowych: austryackiej, niemieckiej i północnej). Prawie wszystkie gazety większe są własnością żydów, w Niemczech, Francyi, Anglii, we Włoszech, Hiszpanii i Ameryce. Za długo byłoby tę całą statystykę wyliczać, jednak wszystkim chętnie nią służę. We Wiedniu oprócz 3 gazet: „Reichspost" (o charakterze katolickim,) „Deutsches Volksblatt" i „Ostdeutsche Rundschau" które są w rękach nieżydów, prawie wszystkie inne gazety są wyłączną własnością żydowską, lub też redakcyę prowadzą żydzi, a górują one olbrzymią liczbą abonentów.

IV.

A cóż się da powiedzieć o naszej prasie?

Nieszczęścia narodowe sprawiły, że my nie stanowimy już jednego, jednolitego organizmu państwowo-narodowościowego. W każdej z trzech dzielnic rozwinęła się prasa pod wpływem

różnorodnych warunków samoistnie, przez co siły duchowe i materyalne musiały się rozstrzelić i dlatego to prasa polska nie wykazuje takiego rozwoju i rozkwitu. A dalej, nie mając swojej teraźniejszości, kulturalna część narodu żyła tradycyą lepszej przeszłości —tradycyą niezmąconą jeszcze złem dzisiejszem. Za świętą nam była tradycya, kiedy Polak katolik był powszechnym typem kulturalnego Polaka. Od niedawna stosunkowo nasza prasa zaczęła się wyzbywać charakteru katolickiego i pomału charakter ten odpada i pojawia się i w naszej prasie, z początku nieśmiało — dzisiaj już bezwstydnie — charakter żydowskiego przedsiębiorstwa i nienawiść do wiary w Boga.

Lecz wogóle nizki poziom oświaty, ograniczona stosunkowo liczba inteligencyi sprawia, że prasa u nas ma jeszcze małe pole działania — i tem się tłumaczy, że zorganizowane międzynarodowe żydostwo nie stworzyło jeszcze u nas milionowego przedsiębiorstwa prasowego.

Ale baczność! Postęp kroczy siłą swego prawa historycznego, w towarzystwie wszystkich swych postulatów, na czele których stoi oświata! I o ile w tym względzie wykazujemy opóźnienie, o tyle intenzywność akcyi w porze obecnej zwłokę chce wynagrodzić.

Już dzisiaj z pism polskich mamy zaledwie 6 w Galicyi, 4 pod zaborem rosyjskim, 6 do 8 w Wielkopolsce i na Śląsku, gazet o charakterze i tendencyach katolickich, a reszta polskich wydawnictw peryodycznych w liczbie około 1.000 jest dla nas, — pomijając pisma fachowe — raczej siłą ujemną, choć większość ich mianuje się obojętną, bezbarwną. „Nie służą nikomu, nie należą one do żadnej partyi, stoją zdala od niesnasek politycznych i tylko donoszą zgodnie z prawdą,objektywnie wszystko, co w życiu publicznem się odgrywa". — To tak sympatycznie brzmi i tak uspakajająco działa! Przecież to słuszne, — każdy pomyśli, — przecież w tem niema niebezpieczeństwa! — Ale na Boga! przecież to nic innego nie znaczy, jak tylko, że niema w tej prasie myśli przewodniej, a kto myśli przewodniej niema, ten nie ma przekonań, — a kto nie ma przekonań, ten nie ma zasad,

— kto nie ma zasad, ten jest także bez charakteru i ten sojusznikiem naszym być nie może!

Międzynarodowy radykalizm u ludu w formie socyalizmu, u inteligencyi w formie liberalizmu, szerzy spustoszenia w szeregach wiernych kościołowi i — jeżeli nie potrafimy przeciw temu działać, — to niedalekie są czasy, kiedy i u nas analogicznie z Francyą większa część narodu od kościoła odpadnie!! Nie łudźmy się! dzisiejsza wiara ludu, ta wiara wsławiona, która stanowi nierozdzielny przymiot, właściwość niejako odróżniającą go od innych ludów — wiara ta nieoświecona, nie poparta przez klasy przewodniczące, nie potrafi stawić czoła skutecznie, dobrze zorganizowanej armii prasowej, jeżeli nie wyprowadzimy w pole równego oręża! Dotychczas pewne placówki są zajęte przez wrogów kościoła, inne przez jego obrońców, a bardzo wiele posterunków czeka na zajęcie. Ale czy długo tak będzie?

A nasze społeczeństwo wykształcone?

Smutny widok roztacza się przed nami; nieznajomość zasad wiary na pierwszem miejscu stanowi podstawę do jej ignorowania, skłaniając do indyferentyzmu i liberalizmu! Niema bowiem łatwiejszej filozofii i bardziej ponętnego poglądu życiowego ponad liberalizm dzisiejszy. Łatwość przyswojenia sobie jego zasad i ta słodka właściwość jego przystosowywania się do każdej siły psychicznej i ta ułudna pobłażliwość przy pozorach objektywnej sprawiedliwości, i ta swoboda przekonań i czynów, a ostatni jego koniec... negacya wiary!

I coraz szersze kręgi roztacza dokoła siebie ta gangrena nowoczesna — doprawdy niedługo ona nas całkowicie opanuje!

Sądząc po agresywności najnowszego u nas ruchu liberalnego, posuniętego do ostatnich jego konsekwencyj, i po jasno wytkniętych celach i niedawnych zdarzeniach, doprawdy, że narzuca się nam mimowoli okrzyk przerażenia „Hannibal ante portas", wróg już przekroczył nasze progi.

Działajmy bo wnet będzie... zapóźno! — Kto miłuje Kościół Boży i kraj swój, niech wstąpi do szeregu! Bo przedewszystkiem czynnej służby nam potrzeba. Ale przyrodzona nam gnuśność sprawia, że nietyle liberalizm, co raczej obojętność

i bierność, wreszcie brak odwagi cywilnej — szeregi nam osłabia i pracę naszą udaremnia!

Słusznie bowiem powiada nasz złotousty Skarga: „A najszkodliwsi są katolicy bojaźliwi, małego serca, którzy gniewem się sprawiedliwym i świętym ku obronie czci Boga swego nie zapalają — a *zelum* nie mają i jako straszydła na wróble stoją".

Ale nietylko nam o obronę chodzić powinno! My katolicy uświadomieni mamy jeszcze inną pobudkę działania, która ściśle jest związana z objawieniem naszej nauki; chcę mówić o apostolstwie. Apostolstwo to stanowi składnik treści naszej Boskiej nauki i naszych przekonań — i niema katolicyzmu bez apostolstwa nadziei i apostolstwa miłości, miłości bliźniego. — I jeżeli codziennie w modlitwie pańskiej dusza nasza pragnie i tęskni do Królestwa Bożego tu na ziemi, to skutkiem jej powinno być urzeczywistnienie apostolstwa: — czyn! — a niema to apostolstwo obecnie piękniejszego i wdzięczniejszego pola działania nad prasę!

„Dobry, katolicki dziennik jest misyą bezustanną" mówi Leon XIII.

Niezliczone są słowa zachęty Leona XIII. i Piusa X. wskazujące katolikom, że dobra prasa jest jedynym środkiem ratunku w dzisiejszem smutnem położeniu. Wszakże Pius X. miał powiedzieć, że wyżej ceni założenie dobrego katolickiego dziennika, niż wzniesienie nowego kościoła.

V.

I cóż mamy począć, by w walce prasowej spełnić swój obowiązek katolików?

Musimy zachować 3 przykazania:

1) Nie należy tolerować wrogiej, złej prasy;

2) Należy prenumerować i czytać gazetę katolicką;

3) Należy popierać i rozszerzać prasę katolicką.

Tak! nie ścierpmy, by w naszem domu znajdowała się gazeta bez wyraźnego charakteru katolickiego; wypędźmy ją tak, jak wilka z owczarni! — pomni słów Chrystusowych: „Kto

nie ze mną, ten przeciwko mnie", aby się z nami nie stało „bezpieczne dusz morderstwo" — jak pięknie mówi Skarga. Natomiast niech w każdym domu katolickim znajduje się pismo katolickie, — z niego tylko czerpmy codzienną strawę duchową. Niech ogół zwróci baczną uwagę i troskliwie się strzeże, by w czytaniu gazet mądry i sumienny wybór robić.

I obowiązkiem naszym najświętszym będzie pismo katolickie popierać i rozszerzać — nietylko zagrzewając innych do prenumeraty, lecz i w miarę możności ofiarując na ten cel swe usługi czy materyalne, czy duchowe.

Oto, co między innemi mówi Papież Leon XIII.: „Ci bowiem, którym rzeczywiście leży na sercu dobro religii i społeczeństwa, niech stosownie do majątku swego popierają prasę. Żołnierze prasy koniecznie potrzebują tego poparcia, bez którego ich praca żadnego lub bardzo mały skutek odniesie!"

A poparcie duchowe, poparcie piórem?

Pius X. pobłogosławił pióro dziennikarza i wręczając mu je wyrzekł te pamiętne słowa: „Nie masz żadnej szlachetniejszej misyi ponad misyę dziennikarza. Błogosławię ten symbol twego powołania. Moi poprzednicy błogosławili miecze i oręże chrześcijańskich rycerzy, ja wolę ubłagać błogosławieństwo na pióro katolickiego dziennikarza!"

A już Pius IX. powiedział: „Czasy nasze wymagają znacznie więcej obrońców piórem niż głosicieli prawdy na ambonie".

Ale odezwą się głosy z pośród najlepszych w społeczeństwie, że nasze gazety katolickie nie stoją na wysokości swego zadania, że nie potrafią zastąpić gazet o wrogich nam tendencyach, dalej, że są redagowane nieudolnie. I krytyka ta nie jest nieuzasadniona.

Zastanówmy się jednakże, dlaczego jest taki stan rzeczy?

Odpowiedź wtajemniczonego jest prosta: „bo społeczeństwo same, z wyjątkiem niewielu jednostek, zachowuje się jeszcze prawie zupełnie obojętnie wobec prasy katolickiej, nie spieszy z pomocą, żałuje na nią pieniędzy. Dla braku należytego

poparcia upadają u nas dzienniki katolickie, a inne cierpią niedostatek i walczyć muszą z wielkiemi trudnościami"*).

Gdzież tu więc wśród ciągłych kłopotów i trosk o byt myśleć o ulepszeniu!

Miejmy środki potemu, a kształcić będziemy zdolnych młodych ludzi i wysyłać na naukę do zagranicznych gazet bogatych i wzorowo prowadzonych, celem wyszkolenia na dzielnych redaktórów i współpracowników.Miejmy środki potemu, a treść gazety katolickiej będzie równie obfitą i formą równie wykwintna!

Tak! Dziennik jest objawem, symptomem swego społeczeństwa, jest dzieckiem jego ducha! Jeżeli nasza prasa katolicka takie wielkie braki ujawnia, to — bądźmy szczerzy — sami winę tego sobie przypisać musimy!

I nie będzie inaczej, dopóki nie ożywi nas jedno przekonanie, jeden duch i jedna wola: **musimy mieć prasę katolicką, silniejszą i potężniejszą, niż jest prasa wrogiego nam obozu, a pierwszym krokiem do tego jest zapewnienie jej odpowiednich podstaw materyalnych.** Póki ten cel nie będzie urzeczywistniony, musimy być pobłażliwymi w tej samej mierze, w jakiej my w nieurzeczywistnieniu tego celu winę ponosimy!

I jeszcze jedna jest przyczyna, dla której nasze gazety jeszcze bardziej potrzebują wsparcia: kwestya anonsów. W światowych pismach rubryka dochodów, z tego źródła czerpanych, przekracza nieraz trzykrotnie dochody z abonamentów, a składają się na to poczytność wielka i jeszcze większa niesumienność w przyjmowaniu anonsów. To ostatnie źródło dochodów dla nas zawsze będzie szczupłe, gdyż nie licowałoby z powagą pisma katolickiego, gdyby na niem widniały anonse, niezgodne z duchem naszych przekonań lub wbrew nim!

Czego kilka lub kilkanaście jednostek uświadomionych nie jest w stanie zdziałać — łatwo dokonać mogą tysiące.

Tak! Viribus unitis!

Wyprzedziły nas pod tym względem dawno inne spo-

*) Gazeta kościelna z roku 1909, Nr. 5., art. X. Józefa Górala.

łeczeństwa, które dzisiaj już zbierają owoce swej czujnej zapobiegliwości. Założono już we wszystkich prawie krajach liczne katolickie związki prasowe, które znacznemi sumami obracają. U nas ta dziedzina jeszcze leży prawie odłogiem, a „czas nam wielki już ze snu powstać bracia!"

Złączmy się więc wszyscy, szczytnością i koniecznością naszego zadania przejęci i niech nam przyświeca jeden wielki i święty cel! Niech głos wielki do każdego dojdzie ucha! Jak niegdyś na wyprawy krzyżowe dla odzyskania grobu Chrystusowego z rąk niewiernych od ust do ust podawano sobie hasło: „Tak Bóg chce!",—tak dziś wołajmy: „Tak Bóg chce", byśmy stworzyli potężną prasę katolicką, godną swego sztandaru.

„Tak Bóg chce!"

DYSKUSYA NAD REFERATEM

KSIĘCIA FRANCISZKA RADZIWIŁŁA.

W dyskusyi nad referatem ks. Franciszka Radziwiłła p. t. „Ważniejsze potrzeby prasy katolickiej“ zabrał głos J. E. ks. Biskup przemyski Pelczar:

— Powiedział żartobliwie biskup moguncki Ketteler, że „gdyby św. Paweł przyszedł na świat, toby wystąpił jako dziennikarz“. O ileż słuszniej mógłbym powiedzieć, że gdyby Skarga w naszych czasach się ukazał, toby z pewnością został założycielem albo redaktorem wielkiego katolickiego dziennika. Za jego czasów dziennikarstwo prawie że było nieznane, stało się później dopiero tą wielką potęgą, którą niestety posługują się nieprzyjaciele religii i Kościoła, jak masoni, socyaliści, różni „wolnomyśliciele“ i żydzi, podczas gdy dzienniki katolickie albo słabną i upadają albo trudny wiodą żywot. Że u nas potrzeba stworzenia katolickiego dziennika, tego nie potrzeba udowadniać po tak gruntownym wywodzie. Wskażę tylko co szanowny prelegent pominął, że nietylko aljans izraelicki ogarnął prasę, ale jest jeszcze druga potęga, która również idzie ręka w rękę właśnie z żydostwem i socyalizmem i również spustoszenie przez prasę szerzy. Niedawno temu wielki Wschód masoneryi francuskiej uchwalił wydawać dzienniki nietylko dla ludzi wykształconych, ale dla wszystkich, ażeby wszystkie sfery społeczeństwa objąć tem działaniem, aby wszystkich zatruć nienawiścią do Kościoła.

Co teraz robić, tego Szan. prelegent nie wspomniał. Wprawdzie usiłowań ze strony społeczeństwa polskiego nie brakło, aby utworzyć dziennik katolicki (mówię o wybitnym dzienniku, bo dzienniki, które stały na stanowisku katolickiem były i są), ale dziennika, któryby sobie wziął za zadanie stać na placówce, jak żołnierz na straży duchowej, religijnej i narodowej, badać gruntownie sprawy katolickie, znać i bronić je, nie zwracając uwagi na fluktuacye opinii ludzkiej, takiego dziennika nie było. Taki dziennik staraliśmy się przed 30 laty założyć i wówczas to duchowny syn Skargi, znakomity kapłan ks. Jackowski rzucił się do dzieła z energią i zebrał przynajmniej na subskrypcyę 40.000 K. i wtenczas to zaczął wychodzić pierwszy dziennik ze ścisłą marką katolicką; ale niestety sprawdziło się u nas to co czytamy w Ewangelii: „paralityk nad sadzawką leżał 38 lat i skarżył się, *hominen non habeo* — nie mam człowieka". Toż tak samo nasze usiłowania rozbiły się o „niema człowieka"; tysiące poszły na marne, a dziennik upadł, co było klęską dla sprawy katolickiej. Dlatego, jeżeli się zabieramy do tej sprawy, to koniecznie postarać się musimy o to, abyśmy nie musieli wołać „*hominem non habemus*!"; trzeba koniecznie ludzi, a tych ludzi, którzyby odpowiedzieli zadaniu niema. To nie łatwa rzecz być dziennikarzem katolickim, utrzymać dziennik katolicki na tej wyżynie, na której stoi n. p. Osservatore romano, lub t. p. to nie łatwa sprawa! Trzeba rzeczywiście wielkiego światła, sprytu, nauki i energii, a takiego człowieka szukać musimy, żebyśmy rozpocząwszy akcyę, znów po raz trzeci, nie musieli wołać: *hominem non habemus*!

Druga rzecz, trzeba pieniędzy, a tego nam brakowało. Te dzienniki katolickie, które upadły, upaść musiały z braku środków pieniężnych; przez to dużośmy już stracili i stracić możemy, jeżeli się bronić nie będziemy. Tu trzeba się starać o fundusz na dziennikarstwo katolickie. Tutaj się odwołuję nie do karności, ale obowiązku chrześcijanina i katolika, tu każdy powinien uważać za punkt honoru nietylko prenumerować katolickie pismo, ale przyczynić się do jego stworzenia. W kraju jest taki cichy, skromny świat popierający prasę katolicką, to są przeważnie kapłani, którzy ze skromnej swej pensyjki oddają część jej na

tę sprawę. Otóż rozszerzajmy ten świat. Niech wszyscy, przedewszystkiem ludzie zamożni, czy duchowni czy świeccy, niech przystąpią przez subskrypcyę do tego świata. Wtenczas się utworzy fundusz. Ale doświadczyliśmy też, że niektórzy subskrybują wielkie sumy, a potem nic nie dają; konieczną jest rzeczą, abyśmy tu dziś postanowili sobie; tu przymusu niema, ale niech każdy powie sobie w sumieniu, dam jakąś kwotę rocznie na ten cel, żeby stworzyć naprzód w kraju, w Galicyi, w Krakowie czy gdzieś indziej dziennik taki ściśle katolicki, któryby spraw katolickich bronił, propagował, bo nietylko obrona, ale apostolstwo jest zadaniem wielkiej prasy. Niechże to zebranie szanowne weźmie do serca i policzy się ze swoją sakiewką i powie sobie, że corocznie na ten cel pewną sumę odłoży. We Francyi każdy prawy katolik ma w budżecie swoim rubrykę na utrzymanie dziennikarstwa, według możności, dochodów i płacy regularnej. Gdy tego dokonamy, wtedy ten nasz zjazd zapisze się złotemi zgłoskami w dalszej historyi chrześcijaństwa.

Następnie zabrał głos ks. Kopyciński, który nadmienił, że, we Lwowie przed 30 laty sprawa wielkiego pisma katolickiego była poruszana, pieniądze nawet były i pismo powstało, ale upadło, bo pisarzy, redaktorów, administratorów było dużo, a tych, którzy mieli mu pomagać w istnieniu, tych nie było. Bo pismo przeważną część ludności nie zajmowało, gdyż ograniczało się do wiadomości o sprawach religijnych. Pismo katolickie polskie roli denuncyatora spełniać nie powinno, by nie szargano nazwiskami. Pismo katolickie niech podaje wiadomości katolickie, byle się opierało na miłości Chrystusa, a hasłem była miłość Boga i Ojczyzny.

DOMY LUDOWE NA WSI.

REFERAT KS. A. TYCZYŃSKIEGO.

Gdy borem wicher idzie — to i wysokie drzewa i niską krzewinę w jedną pochyla stronę. I na ludzi przychodzą takie prądy, które jednoczą wszystkie serca, odczuwać każą jakąś chęć jedną, wielką, iść w jednym kierunku, zdobywać jeden cel.

Od całych już dziesiątek lat daje się spostrzegać w kraju naszym taki ogólny prąd: chęć powszechna do pracy nad ludem, dla ludu, a ostatnimi czasy i z ludem. Intelligencya nasza zrozumiała, że nie wolno jej robić z siebie kasty oddzielającej się nimbem uczoności od ludu i już nie tylko dorywczo, ale i systematycznie pracuje. I lud już poznał wartość nauki do tego stopnia, że się nie tylko przed nią nie broni, ale jej i łaknie i pragnie i chętnie ją od tych, którzy mu jej udzielają przyjmuje i wdzięcznym jest za nią.

Gdy warsztat lub przedsiębiorstwo jest małe, a rękodzielnik czy przedsiębiorca sam jeden pracuje — to praca odbywa się w izbie pracownika.

Gdy uczniów warsztatowych przybywa, a popyt się zwiększa — przeznacza osobny lokal na pracę.

A gdy wszystko coraz pomyślniej idzie, buduje na ten cel osobny dom, fabrykę stawia.

Tak i praca społeczna na wsi odbywała się początkowo w skromnej zakrystyjce wiejskiego kościółka, lub ciasnej izdebce

nauczyciela lub w pokoiku dworskiej panienki, a często w braku tych czynników w chacie samouka ludowego.

Gdy z biegiem czasu kraj nasz pokrył się siecią budynków szkolnych, dla pracy społecznej na wsi lepsze nastały czasy. Gdzie bowiem kierownik szkoły i przewodniczący rady szkolnej miejscowej byli sprawie przychylni, otwierały się — naturalnie pocichu — drzwi sal szkolnych na większe przynajmniej zebrania.

A gdy temi czasy mnożą się stowarzyszenia na wsi i zwiększa się liczba zrzeszających się, to każde z tych stowarzyszeń woła: kątem już dłużej mieścić mi się nie podobna, domu mi osobnego potrzeba.

I z tego to źródła, tj. z odczucia potrzeby, korzyści i konieczności domu osobnego, poszło po kraju hasło: zestrzelić ogniska w jedno, budować domy ludowe.

Tak poszło po kraju hasło: budować domy ludowe. Za hasłem niech zaraz idzie czyn. Trzeba się naprawdę zabrać do tej budowy.

A kto się ma zabrać i w jaki sposób?

1). Najprzód prasa w ogólności, a prasa ludowa w szczególności. Do prasy należy:

a) roznieść wspomniane hasło wszędzie: do najdalszych nawet zakątków naszej ziemi,

b) wykazać potrzebę i pożytki takich domów i zachęcać gorąco do ich budowy,

c) nie ograniczyć się na jednorazowem umieszczeniu w czasopiśmie choćby najbardziej rzecz wyczerpującego artykułu — ale od czasu do czasu wracać do sprawy — powtarzać z pewnemi odmianami zachętę — przypominać.

Krótko: uporczywie agitować piórem.

2). Agitować następnie słowem. Agitacya tego rodzaju należy do wszystkich, ideą budowania domów ludowych przejętych, ilekroć zetkną się z ludem wiejskim. A przeto:

a) zwoływać osobne ad hoc zgromadzenia,

b) z każdego w innym celu zwołanego zebrania korzystać i na niem choćby tylko o domy ludowe potrącić,

c) doprowadzić do tego, by sprawa budowania domów ludowych stała się tematem rozmów uczestników rodzinnych i familijnych uroczystości ludu wiejskiego.

3). Agitować — dalej — obrazami świetlnymi, dołączając jędrne i treściwe objaśnienia. Wielkie usługi sprawie mogą oddać w ten sposób towarzystwa: oświaty ludowej, szkoły ludowej i kółek rolniczych.

4). Do budowy domów ludowych winni się przyczynić — dalej — nasi architekci przez wykonanie planów na różne rodzaje tych domów z największą dopuszczalną oszczędnością materyałów budowlanych a przeto i kosztów.

5). Do budowy domów ludowych właściwie zabrać się powinien lud sam i środków materyalnych na ten cel potrzebnych dostarczyć. Lud nasz — dziś już — stać na to! Najmilszym ludności wiejskiej będzie dom taki tam — gdzie komuś z miejscowych osób wpływowych uda się skłonić zamożniejszą młodzież męską i żeńską do ofiarowania bezinteresownie pieszej — a gospodarzy mających zaprzęgi — ciągłej robocizny. Wszyscy tu w takim wypadku zainteresowani; praca idzie raźno i składnie, dom w oczach rośnie. Miło taką pracą kierować — z doświadczenia to mówię.

6) Mało jest miejscowości takich, w którychby ludność była zdolną ruszyć się sama z własnego popędu do tego rodzaju budowy i do dopiero wspomnianej ofiarności. Czekać zaś aż się uzdolni, toby i wody dużo w Wiśle upłynęło i domów ludowych nie wiele mielibyśmy w kraju. Przeto według mego osobistego zdania — domy ludowe po wsiach najszybciej — jak grzyby po deszczu — powstaną, jeśli inicyatywę do powzięcia ostatecznej decyzyi budowy tych domów, zapoczątkowanie jej i pierwszy grosz na ten cel dadzą, gęsto już po kraju rozsiane, kasy Raiffeisena. Stać się to może dlatego, że kasy Raiffeisena mają w swych zarządach i radach nadzorczych ludzi z danych miejscowości najświatlejszych i najbardziej wpływowych; powtóre dlatego, że mają — zwłaszcza starsze, w swych funduszach rezerwowych i w niezawodnych rocznych zyskach dość znaczne środki materyalne.

W niektórych miejscowościach, w których kasa już dłużej istnieje, w razie gdyby innych stowarzyszeń nie było, lub istniejące, nie rozumiejąc nie tylko ogólnego, ale i swego własnego interesu, do współdziałania przystąpić nie chciały — kasa sama przystąpić winna do budowy własnego domu o dwóch ubikacyach dla siebie koniecznych z przydaniem większej sali na walne zebrania potrzebnej. Byłby to najmniejszy wprawdzie — jak wnet powiem — ale już (byle kasa nie chciała być samolubną) dom ludowy.

Patronat krájowy kas Raiffeisena stawia wprawdzie pewne trudności co do użycia funduszu rezerwowego na budowę tego rodzaju domu — zwłaszcza kasom młodszym, ale trudności te nie są niepokonalne i znam wypadki, gdzie Patronat, zbadawszy stosunki miejscowe, na takie ulokowanie funduszu rezerwowego zezwolił.

Jakie ubikacye ma mieć dom ludowy?

I. Najmniejszy dom ludowy, to przed chwilą wspomniany dom Kasy Raiffeisena. Ma on dwa pokoje i salę. Jeden pokój to poczekalnia dla stron, drugi to kancelarya urzędujących w Kasie. Sala służy na walne zebrania członków kasy. Walne zebrania rzadko kiedy częściej niż raz do roku się odbywają, przeto Kasa odstępuje tej sali na inne cele. Tu może się mieścić czytelnia, tu mogą się odbywać posiedzenia innych stowarzyszeń, przedstawienia teatralne, obchody szkolne, kościelne, narodowe, kursa zawodowe, wystawy, wykłady popularne, nauka śpiewu i muzyki.

II. Drugi rodzaj domu ludowego powstaje przez połączenie się Kasy z Kółkiem rolniczem. Kasa posiada w tym domu pokoik dla urzędujących w Kasie; następnie obszerniejszą już poczekalnię, która bez sprzeniewierzenia się właściwemu swemu przeznaczeniu może być użytą na czytelnię. Dalej jest ubikacya, której używa Kółko rolnicze na swe zebrania — połączona szerokiemi rozsuwalnemi drzwiami z „salą na walne zebrania" tak, iż w razie potrzeby sala z ubikacyą Kółka rolniczego może być zużytkowaną jako jedna duża sala.

III. Trzeci rodzaj domu ludowego posiada oprócz wyżej

wymienionych ubikacyi nadto: sklep Kółka rolniczego, magazyn na towary i dwie piwnice.

IV. Czwarty rodzaj powiększa się ubikacyą na mieszkanie dla jednej z młodszych sił nauczycielskich, lub innej ukwalifikowanej osoby, któraby w zamian za mieszkanie i opał obowiązaną była 2 razy w tygodniu w stale oznaczonych godzinach — odczytywać zgromadzonym materyał do czytania przez kierownika czytelni wyznaczony. Wtedy dopiero czytelnia na wsi zasługiwałaby na swoje miano — bo — jak dotąd — jest tylko wypożyczalnią książek do czytania lub często ubikacyą z szafą na książki.

V. Wspaniałym możnaby nazwać dom ludowy, gdyby nadto wszystko posiadał choć jeden pokoik gościnny czysto utrzymywany. Nieraz na wsi zjawi się gość lepszy, potrzebujący noclegu lub urzędnik dłuższy czas komisyonujący — jakże byłby wdzięcznym — gdyby mu ofiarowano, choćby i za wynagrodzeniem, schludny pokoik na mieszkanie.

VI. Jeszcze wspanialszym byłby dom taki, któryby nadto wszystko posiadał ubikacyę, choćby na poddaszu umieszczoną przeznaczoną na wiejskie muzeum miejscowe.

VII. A idealnym, gdyby do wszystkiego powyższego przypierała łaźnia ludowa.

Za umieszczeniem w domu ludowym ochronki dla dzieci i salki dla chorych nie głosowałbym. Ochronka z salką dla chorych — oby w każdej wsi była — ale w osobnym budynku.

Co do kwestyi: kto ma być właścicielem domu ludowego,

to bezsprzecznie słusznem jest zapatrywanie tych, którzy twierdzą, że właścicielem winno być ono stowarzyszenie, które do jego budowy groszem się przyczyniło i o tyle, o ile się przyczyniło. Jednakowoż z uwagi, że nędznie wygląda dom ten, który ma kilku właścicieli, wolałbym widzieć właścicielką domu ludowego na wsi wyłącznie Kasę Raiffeisena, a inne stowarzyszenia, o — ile funduszami rozporządzają, — płatnymi, o ile zaś funduszów nie mają — bezpłatnymi lokatorami.

Z tego względu, by Kasa mogła być w danym razie dobro-

dziejką, nie jestem zwolennikiem zbyt wielkiego obniżania różnicy procentów między wkładkami a pożyczkami. (Jest tendencya obniżenia tej różnicy aż do ½%). Niech różnica pozostanie taką, jak jest przeważnie obecnie, to jest 1½% — niech Kasa Raiffeisena ma pewien dochód — a gdy go użyje na budowę domu własnego, ewentualnie ludowego, to jeszcze to więcej wyjdzie na korzyść słabszych — niż wielkie obniżenie różnicy procentów, bo na korzyść słabszych umysłowo i duchowo, podczas gdy w tamtym wypadku wychodzi tylko na korzyść finansowo słabszych.

Mniemam, że Kasa Raiffeisena winna być właścicielką domu ludowego na wsi nie tylko z tego względu, że największą kwotą przyczynić się może do jego budowy — ale i z tego względu, że ona daje gwarancyę trwałości domu takiego. Sama bowiem jest instytucyą trwałą, (bo nienarażoną na żadne ryzyko), i to tak trwałą, że choćby w jakiejś miejscowości, dla wyjątkowo niepomyślnego zbiegu okoliczności upadła, to upadłaby tylko chwilowo — a po jakimś czasie, nieraz za zmianą tylko osobistości kierującej — powstałaby jak feniks z popiołów — odmłodzoną.

Nie tylko gwarancyę trwałości daje domom ludowym Kasa Raiffeisena — ale i może ważniejszą gwarancyę moralną, to jest gwarancyę, że w duchu dobrym będą prowadzone; do zarządu bowiem Kasy Raiffeisena wybierani bywają z reguły ludzie, jakich dana wieś ma najlepszych.

Nazwa.

Chcą niektórzy, by dom, w mowie będący, nazywał się domem gminnym, inni parafialnym, większość: domem ludowym. Co do mnie, to twierdzę, że mniejsza o nazwę. Zapewne wolałbym, żeby on był domem parafialnym — ale godzę się i na to, by się nazywał domem ludowym, byle duch w nim był dobry i lud dom ten za cenną swą własność uważał i używał go.

Zakończenie.

Jak nie upieram się przy nazwie domu, tak nie upieram się i przy mniemaniu, że domy te budować winny Kasy Raiffeisena. Choć jasno widzę, że ta droga jest najkrótszą do celu, — to jednak mówię: niech buduje kto może i ma ochotę — byle domy ludowe po wsiach szybko powstawały, bo bez nich o wszechstronnej i systematycznej pracy społecznej na wsi mowy być nie może — a przeciwnie, gdy one kraj nasz gęstą siecią obejmą, spełni się co mówi poeta:

Na tę biedną naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemię,
Jakich dotąd nie widziano.

DOMY LUDOWE W MIASTACH.

REFERAT KS. PRAŁATA A. LAUBITZA.

Żyjemy w czasach powszechnej dążności zrzeszania się, organizowania i łączenia w stowarzyszenia. Odczuwane wspólne potrzeby w kierunku polepszenia dobrobytu, zyskania szerszej oświaty, ćwiczenia się w śpiewie, w gimnastyce, znalezienia sposobności do godziwej zabawy i rozrywki, powodują powstanie poszczególnych organizacyi; licznych — i pożądanych, bo stowarzyszenie to szkoła życia, ucząca karności i porządku, prawa i obowiązku, podnosząca poziom kulturalny członków, oddziałująca najdodatniej na ich charakter i uobyczajenie. Powodzenie tych towarzystw powinno być przedmiotem najżywszego zainteresowania się społeczeństwa całego, bo będzie ono samo takiem, jakim duchem przejęte są jego organizacye. Troska to więc jedna z największych, ażeby te stowarzyszenia nie zbłądziły z drogi, ażeby były żywotne i w pracach swych owocne.

Podstawą i koniecznym warunkiem pomyślnego rozwoju każdego towarzystwa, to kwestya odpowiedniego i dogodnego lokalu. W miastach naszych małych i średnich, zbytku takich pomieszczeń niema, a gdzie są, nie zawsze w ręku swoich. Ale choćby i były, to z reguły w połączeniu z wyszynkiem, a skutkiem tego nie bez niedogodności i niebezpieczeństw. Kto prze-

wodniczył takim zebraniom w dusznych, wyziewami restauracyjnymi przepełnionych ubikacyach, wśród hałasu zabawiających się kieliszkiem i kartami sąsiednich gości, często wrogo, nieraz zaczepnie usposobionych, kto doświadczył, ile taki „bezpłatny“ lokal nakłada kosztów na członków, zachęcanych po posiedzeniu przez gospodarza do odszkodowania go za użycie lokalu przez obfitsze używanie alkoholu, ten niedogodności te i niebezpieczeństwa poznał.

Ponadto są to przeważnie lokale szczupłe, nie nadawające się do większych zebrań i urządzania wieczornic, rozrzucone po mieście, a przez to rozłączające pokrewne sobie towarzystwa. Na niedogodności te narażone są wszystkie stowarzyszenia, nieposiadające własnego domu, a stowarzyszeń tych w każdem mieście jest lub być powinna liczba spora. Mianowicie: Towarzystwa młodzieży: robotniczej, rzemieślniczej i kupieckiej, z których rekrutują się tow. robotników, czeladzi katolickiej, przemysłowców i kupców. Tow. kobiet pracujących w dwóch oddziałach: w jednym służące, robotnice fabryczne i rolne, w drugim zajęte w szwalniach, składach, kancelaryach; tow. Matek chrześcijańskich, kółko włościańskie, tow. antyalkoholiczne; dalej tow. oświatowe: Czytelnia ludowa, tow. Samopocy i wykładów popularnych, tow. gimnastyczne, śpiewu, orkiestralne i t. d., — razem więc nie licząc cechów i bractw kościelnych około 20, z doliczeniem poszczególnych filij towarzystw zawodowych, ponad 30. Są to więc, i liczbą swą i ilością członków, organizacye bardzo poważne. Bez własnego domu, a przynajmniej bez własnego lokalu, towarzystwa te wieść będą żywot niepewny i suchotniczy.

Gdyby te towarzystwa nasze w miastach kroczyły nadal swą utartą tradycyonalną drogą, oddziałując na członków swoich li tylko pod względem oświatowym i etycznym, łącząc ich za pomocą wycieczek, zabaw i przedstawień scenicznych, — osobne schroniska już byłyby dla ich rozwoju pomyślnego bardzo pożądane. Ale obecnie czasy się zmieniły, towarzystwa te mają szersze zadanie do spełnienia.

Dotychczasowy kierunek idealistyczny nie wystarcza; ideałami głodnych się nie nasyci. Bez uwzględnienia potrzeb docze-

snych, realnych i materyalnych członków, bez współpracy w kierunku zabezpieczenia i polepszenia ich dobrobytu, obrony przed wyzyskiem, nie stworzy się ani trwałej podstawy rozwoju towarzystwa, ani się nie da rzetelnej, przysługującej członkom korzyści. A że inne organizacye, nie stojące na gruncie zasad chrześcijańskich, tę troskę o powodzenie materyalne swych członków na najpierwszem stawiają miejscu, jest dziś większa niż kiedykolwiek potrzeba, zastosowania analogicznych środków w towarzystwach katolickich. Tylko taka praca społeczna, realna i praktyczna, prowadzona nie dorywczo i po amatorsku, ale systematycznie, umiejętnie i wytrwale, zapewni trwałe owoce, nie z dziś na jutro,— bo i rolnik rzucający na skibę ziarno rok cały na żniwo czeka, — ale w niedalekiej przyszłości. Dowodem tego niech będzie Wielkie Księstwo Poznańskie, którego stosunki najlepiej mi znane. Pomimo zaciętej rozpaczliwej walki, która tu wre od lat wielu, lud wielkopolski ideałom religijnym i narodowym się nie sprzeniewierzył: w społecznych organizacyach swoich zbudował sobie niewzruszoną twierdzę, o którą pomimo zaciekłych szturmów rozbijają się wszelkie ataki socyalnych jego nieprzyjaciół i politycznych wrogów. Tym organizacyom zawdzięcza Księstwo, że znalazło broń skuteczną i w obronie swego bytu ekonomicznego. Warto wspomnieć, że i naszym współobywatelom oryentalnego pochodzenia już stało się u nas bardzo ciasno; cała Wielkopolska ma obecnie o 2000 żydów mniej, aniżeli ma zaszczyt posiadać ich królewski gród Krakusa.

Nie mojem dziś zadaniem, mówić o tych środkach realnych szeroko, ale obowiązkiem było wspomnieć o nich, gdy chodzi o uzasadnienie potrzeby stawiania domów katolickich i wskazać na te, które w każdem stowarzyszeniu zastosować się dadzą. A więc najprzód biuro obrony prawnej, mającej na celu służenie każdemu członkowi wszelką potrzebną informacyą, — zabezpieczenie go przed wyzyskiem niesumiennych doradców pokątnych przez bezpłatne załatwianie spornych spraw: rentowych, zabezpieczeniowych, podatkowych, gminnych, szkolnych — prowadzenie procesów w drodze administracyjnej przez wszystkie

instancye i t. d. Biuro takie z należycie opłacanym kierownikiem, do czego się najlepiej nadaje jeden z młodych wykwalifikowanych księży miejscowych, powinno się znajdować w każdem powiatowem mieście, mieć łatwo dostępny lokal i załatwiać z interesentami sprawy przynajmniej dwa razy tygodniowo. Tu mieścić się winny i przynależne towarzystwom kasy: pogrzebowe, zasiłkowe na czas choroby i niedostatku, gdzie się da i bezrobocia, kasa posagowa dla dziewcząt, kasa drobnych oszczędności i t. d. Tu da się urządzić skład zamawianych hurtownie dla członków artykułów spożywczych i opału. W roku zeszłym wskutek powszechnego nieurodzaju kartofli, sprowadzono w mej parafii z inicyatywy księży dla członków towarzystw sześćdziesiąt wagonów kartofli z tym skutkiem, że zysk w stosunku do cen targowych wynosił przeszło 20.000 koron. Taka realna pomoc przykuwa członków do towarzystw nadzwyczajnie.

Dla stowarzyszeń żeńskich należy urządzać w pewnych odstępach czasu kursa: rachunkowości domowej i książkowej, szycia, prasowania i gotowania. Pracownicom fabrycznym daje się przez to możność przygotowania się do obowiązków, czekających je po zamążpójściu.

Porozrzucane po poszczególnych towarzystwach biblioteczki powinny być złączone w jeden księgozbiór Czytelni ludowej, dla której koniecznie potrzeba obszernej i jasnej ubikacyi.

Spełnienie tych postulatów jest bez własnego domu jeżeli nie niemożliwe, to bardzo utrudnione. Domy katolickie po miastach naszych są dziś nie mniej niezbędne dla katolickiego społeczeństwa od domów Bożych. Tu się cała praca społeczna katolicka skupia i jednoczy, otrzymuje jednolity kierunek i konieczny nadzór, tu sposobność do osobistego zetknięcia się z członkami wszystkich towarzystw, wyszukania ludzi chętnych i zdolnych do samodzielnej i naczelnej pracy, — tu ognisko, z którego wychodzić powinna wszelka inicyatywa i czyn społeczny.

W jaki sposób zalecałoby się budować takie domy? Odpowiem na to pytanie, określając bliżej, co się w tym domu znajdować powinno:

1. Sala wielka, służąca do walnych zebrań, urządzania wieców ekonomiczno-społecznych, oświatowych i politycznych, — wieczornic z przedstawieniem obrazów świetlnych, a w większych miastach i widowisk kinematograficznych. Wobec spustoszeń, jakie wyrządzają przedewszystkiem pomiędzy młodzieżą senzacyjne, a w wielkiej mierze niemoralne produkcye tej najnowszej zdobyczy sztuki fotograficznej, nie pozostanie nic innego, jak sparaliżowanie tego wpływu przez analogiczne współzawodnictwo z odwrotną tendencyą. Sala służyć będzie i zabawom godziwym a nie mniej i przedstawieniom scenicznym. Nie jestem osobiście zwolennikiem urządzania teatrów amatorskich, pod wielu względami ujemnie oddziałujących na zdrowy rozwój towarzystw, ale że są one poniekąd „złem koniecznem" i że z tego źródła bądź co bądź najobfitszy płynie dochód na utrzymanie domu, liczyć się z tem należy i urządzić scenę. Niechże ona jednakowoż będzie skromna, bez wielkiego aparatu kulisowego i przybudowań dla szatni, które i wiele kosztują i są przez większą część roku martwym kątem. Na zwykłe potrzeby wystarczyłaby scena prowizoryczna, estrada ruchoma, dająca się łatwo zestawić i również łatwo usunąć, gdy zajdzie potrzeba powiększenia sali.

Wielkość sali ma być zależna od potrzeb miejscowych i to potrzeb przeciętnych. Podobnie jak się nie buduje kościołów, by starczyły na uroczystości nadzwyczajne, tak i wielkości sali nie oblicza się na frekwencyę największą. Wielka sala to rzecz bardzo kosztowna i w wybudowaniu i w utrzymaniu, koszt za światło i opał stanowić będzie w budżecie rocznym bardzo poważną pozycyę. Znane mi towarzystwa, które pod tym względem znacznie przeholowały i dotąd w długach toną. Lepiej więc podług stawu groblę sypać, zadowolić się na razie salką o skromniejszych rozmiarach z uwzględnieniem możności przedłużenia jej, gdy zajdzie tego potrzeba i będą na to fundusze.

2. Mniejsza salka na zwykłe posiedzenia. Lokal ten najpotrzebniejszy i najwięcej ze wszystkich używany. Wielkość jego od 50 do 100 kw. m. Przy projektowaniu domu katolickiego należy od wykonującego architekta żądać koniecznie, ażeby tę

salkę umieścił w bezpośredniem sąsiedztwie sali głównej, jako jej naturalne przedłużenie, w ten sposób, że przez rozsunięcie składanych drzwi nastąpi połączenie obydwóch ubikacyi a przez to powiększenie znaczne sali głównej.

3. Lokal dla Czytelni ludowej.

4. Obszerny pokój dla posiedzeń zarządów, komisyi i urządzania kursów.

5. Pokoik na biuro obrony prawnej,

6. Pomieszkanie dla gospodarza domu.

W każdym domu katolickim znajdzie się z pewnością i odpowiedni kącik do założenia skromnego muzeum miejscowego, którego samo już istnienie pouczy o znaczeniu i wartości zabytków przeszłości, chętnie tu składanych, a później przekazywanych muzeum krajowemu. Doświadczenia, któreśmy pod tym względem w Księstwie poczynili są bardzo zachęcające.

W sąsiedztwie sali głównej należy zarezerwować miejsce na bufet, a obok, albo w suterenach kuchnia. W większych domach można urządzić kawiarnię, wyszynk napojów bezalkoholowych, kuchnię ludową i kąpiele natryskowe.

Dla takiego domu katolickiego, któryby mieścił w sobie powyżej wymienione ubikacye, należy znaleźć odpowiednią formę architektoniczną. Nie stawiam tu propozycyi żadnych, jakkolwiek służyć mogę licznymi szkicami, bo nietylko banalną byłoby rzeczą budowanie takich domów podług jednego szablonu ale i z doświadczenia wiem, że z podanego szematu mało kto korzysta, bo i położenie gruntu, stosunek do otoczenia, wysokość funduszów, a nie mniej gust wykonawcy słusznego wymagają uwzględnienia. Dzielny architekt, jakiemu jedynie należy powierzyć wykonanie planu, znajdzie bez trudności właściwą formę.

Przychodzę do ostatniego pytania: kto ma te domy budować, jakiemi funduszami i z czego utrzymywać? W wielkich miastach, gdzie zachodzi potrzeba wystarania się o znaczniejsze kapitały, zalecałoby się zakładanie osobnych spółek budowlanych, któreby potrzebny fundusz zebrały bądź to w drodze składek, bądź też, co najczęściej wypadnie, w drodze pożyczki. Wystawione domy, w których należałoby umieścić nowocześnie urządzoną

kawiarnię albo restauracyę, zalecałoby się wydzierżawić z zastrzeżeniem kontraktowem używaria czyto bezpłatnego, czyto za pewnem z góry umówionem wynagrodzeniem, głównej sali i wyszczególnionych ubikacyi. Uzyskany czynsz dzierżawny starczyć może w dogodnych warunkach do zupełnego oprocentowania zakładowego kapitału. Sposób ten, mający szerokie zastosowanie w wielkich miastach w Niemczech, przedstawia jednakowoż znaczne ryzyko i doprowadzić może towarzystwo łatwo do ruiny. U nas w Księstwie przedsiębiorstwa te nie ziściły pokładanych w nich nadziei.

W średnich miastach łączą się często istniejące już spółki zarobkowe w celu wystawienia wspólnego domu. W domu takim są biura dla Banku ludowego, Spółki ziemskiej i Rolnika, sala obszerna dla towarzystw i pomniejsze ubikacye, mogące służyć wyżej wspomnianym celom albo też w razie potrzeby na pomieszkanie.

Jednakowoż najczęściej zawdzięczają domy katolickie swe powstanie prywatnej inicyatywie ludzi dobrej woli, przeważnie księży. W Księstwie poznańskiem stanęło dotąd i to prawie w ostatnich latach 48 domów ludowych na wsi a 41 domów w miastach.

Oprócz kilkunastu domów na wsi, fundowanych przez dobrodziejów z kół obywatelstwa wiejskiego, wszystkie inne, z małemi wyjątkami, stanęły staraniem duchowieństwa, a w wielkiej mierze i jego ofiarnym groszem. Są między nimi skromne i małe ale nie braknie i okazałych. Koszta budowy wynosiły w przecięciu 20.000 m. przy pierwszych, 35.000 przy średnich a poniżej 100.000 m. przy większych domach. O ile się dało, stawiano je na gruncie kościelnym, skutkiem czego stały się własnością parafii. Mieszkanie dało się dogodnie zużyć dla jednego ze sług kościelnych, a salka bardzo była pożądana dla nauki przygotowawczej do Sakram. św.

Na utrzymanie tych domów funduszu z reguły niema. Pokrywa się koszta z dochodów bieżących, a pozatem radzi sobie miejscowy proboszcz, jak może.

Jako przykład takiego bilansu przytoczę ogólnikowo ze-

stawienie dochodu i rozchodu jednego z większych i dobrze prowadzonych domów katolickich w Księstwie:

A. **Dochód.**

I. Składki roczne regularne towarzystw włącznie tow. zawodowych	775.00 m.	
II. Nadzwyczajne składki za wiece, wesołe zabawy i przedstawienia	1275.00	2050.00

B. **Rozchód.**

I. Wydatki administracyjne	656.00 m.	
II. Reparacye	169.00	
III. Oświetlenie i opał	1347.00	2172.00
	niedobór	122.00

Powstały ten mały niedobór łatwo się wyrówna. Dodam, że dom ten nie powstał odrazu, ale podlegał późniejszym rozszerzaniom, wskutek czego nie ma centralnego ogrzewania a stąd znaczniejsze wydatki na opał. Przy domach mniejszych, wydatki bez porównania są mniejsze.

Budowanie domów katolickich i ich utrzymywanie z pewnością połączone jest z pracą, trudem i niemałym kłopotem, ale daje też dużo zadowolenia wewnętrznego i pociechy. Nie chciałbym zakończyć tego referatu, nie zwróciwszy się z serdecznem apelem do wszystkich ludzi dobrej woli, a przedewszystkiem do szanownych współbraci kapłanów, z prośbą gorącą, ażeby się trudnościami nie zniechęcali, ale ochotnie i najpierwsi do tego zbożnego dzieła przykładali ręce. Dziś czasy się zmieniły, dziś punkt ciężkości i pracy parafialnej duszpasterskiej przesuwa się stanowczo ze świątyń naszych na ulice i do domów zebrań. Jeżeli my znaków czasu nie poznamy i nie zrozumiemy zadań naszych nowych, znajdą się inni, którzy nas zastąpią. A biada nam, jeżeli powierzony nam lud spostrzeże, że staliśmy się mu zbyteczni.

Pytano się raz Windthorsta, wielkiego przewódcy katolików niemieckich, gdy mowa była o przytomności umysłu, coby on zrobił, gdyby na stojącego na torze kolejowym, nagle pociąg najechał? Cobym zrobił, odpowiedział z uśmiechem wielki par-

lamentaryusz? — skoczyłbym na lokomotywę i na niej pojechał dalej. Humorystyczna ta odpowiedź mieści w sobie wielką i głęboką prawdę. I my stoimy dzisiaj w pośrodku szerokiego toru, poprzez który przepływa potężna fala społecznego życia. Z daleka dochodzi nas głuchy złowrogi szum podnoszących się w życiu narodów nowych żywiołowych prądów. Jeżeli zapatrzeni bezmyślnie w to groźne zjawisko, stać będziemy z założonemi bezczynnie rękami, uderzy w nas ta potęga, chwyci pod swe koła i zmiażdży, przechodząc ponad nami do porządku dziennego. Nam nie czekać na taką katastrofę, nie łudzić się, że nas ominie, ale śmiało i rozumnie spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy, wyjść mu naprzeciwko, podpatrzeć stosowną chwilę, skoczyć na pierwszy wóz motorowy, dorwać się, w braku lepszych od nas, do korby maszynowego regulatora i poprowadzić tę rozpętaną potęgę tą drogą, którą wskazuje dobro kościoła i dobro narodu.

DYSKUSYA NAD REFERATEM

X. A. TYCZYŃSKIEGO I KS. LAUBITZA.

W dyskusyi nad prelekcyą ks. Tyczyńskiego „Domy ludowe na wsi“ i ks. prałata Laubitz'a „Domy katolickie w mieście“, przemówił pierwszy p. Artur Cielecki, prezes Kółek rolniczych.

— Stosunki w Wielkopolsce są inne niż u nas, to musimy z całą otwartością powiedzieć, że jeżeli inteligencya, szlachta i obywatelstwo w całej Wielkopolsce zrozumiało zadanie, jakie miało do spełnienia wobec braci, ojczyzny i społeczeństwa, to u nas tego zrozumienia nie było i z przykrością powiedzieć muszę i niema go jeszcze. Ks. prałat Laubitz zwrócił uwagę na to, że trzeba myśleć, aby temu ludowi ulżyć, żeby materyalnie mógł być swobodnym, by go materyalnie podnieść, bo wtedy praca moralna łatwiej idzie. U nas jest towarzystwo, które istnieje od bardzo dawna, bo od 20 kilka do 30 lat, które pracuje w tym kierunku i przyznać muszę, choć jestem jego prezesem, że bardzo i silnie się rozwinęło. Jest nim towarzystwo Kółek rolniczych, towarzystwo, które przyczyniło się znacznie do materyalnego i moralnego podniesienia ludu. Stoi ono czysto na stanowisku katolickiem, chrześcijańskiem, ale nie znajduje tego poparcia, na jakie zasługuje. Tu muszę przyznać, że duchowieństwo nasze z całą gotowością pracuje w Kółkach i wielkie zasługi położyło, jednak z przykrością zaznaczyć trzeba, że ziemiaństwo mniejsze

położyło i wstrzymuje się niezrozumiale od powołania, jakieby miało. A przecież szczytna to misya być pochodnią niosącą światło prawdy i być apostołem tego co najszczytniejsze, tj. oświaty i do prawdy prowadzić tych, którzy jeszcze nie przejrzeli i tego oświecenia potrzebują. Było powiedziane w poprzednich referatach, że powinniśmy dążyć do budowania domów ludowych. Niewątpliwie, ale powinniśmy starać się siły nasze skupiać, nie rozpraszać. Kółka rolnicze mają 200 domów, które niczem innem nie są jak domami ludowymi. Jeżeliby inteligencya i ziemiaństwo szczerze poparło działalność Kółek rolniczych, toby przyczyniło się do podniesienia ducha religijnego katolickiego wśród ludu naszego. Jeżeli my — jak słusznie zaznaczył ks. prałat Laubitz przy końcu swego przemówienia — nie zrozumiemy naszych zadań, to znajdą się inni, którzy to wezmą w swoje ręce. Dziś czasami zdarza się, że tym Kółkom zarzucano trochę polityki, prądów niezupełnie odpowiednich i stosownych, przyznaję, ale my w zarządzie dalecy jesteśmy od wszelkiej polityki; stoimy ponad wszystkiemi stronnictwami i niema u nas polityki jak tylko praca nad podniesieniem moralnem i materyalnem ludu. Hołdujemy zasadom katolicyzmu i polskości; ale jeżeli my nie pójdziemy do tego ludu, to się znajdą inni i są tacy, którzy ten lud bałamucą, i do rozłamu między ludem prowadzą, wina to zaś tych, którzy nie spełnili swego obowiązku i pozwolili się dać uprzedzić innym. Powinniśmy spełnić to, cośmy zaniedbali, pozyskać sobie lud, a wtenczas jak gorliwie pracą zaskarbimy sobie zaufanie, wtedy stosunki się zmienią i lud przestanie politykować jak dziś politykuje, bo to największe nieszczęście kraju ta polityka i te stronnictwa tak wśród ludu, jak inteligencyi. Dziś obchodzimy piękną, a raczej smutną rocznicę śmierci ks. Skargi, dlatego przyrzeknijmy starać się wznieść duchowo na tę wysokość, na której on stał i przystąpmy do pracy nad podniesieniem rzeczywistej miłości wiary i ojczyzny i nad ludem, który tej pracy potrzebuje, ale i potrzebuje, aby inteligencya poszła w ten lud, a zaskarbiwszy sobie jego zaufanie poprowadziła go tam, gdzie panuje miłość Boga i Ojczyzny.

W dalszym ciągu zabrał głos ks. pr. Szokulski, który odezwał się temi słowy:

— Gdy Księstwo Poznańskie postawiło cały szereg domów ludowych i stworzyło silne placówki, z których rozchodzi się duch katolicki po całym kraju, to u nas w Galicyi pod tym względem nic nie zrobiono. A próby, które na tem polu rozpoczęto, aczkolwiek w nie włożono wielkie kapitały, nie wydały należytych rezultatów. We Lwowie wystawiono kosztem kilkudziesięciu tysięcy koron ogromny dom ludowy katolicki, a jednak dom ten nie oddaje dziś należytych przysług społeczeństwu, bo na tym domu ciąży wiele długów i musi on służyć lokatorom, przeto sprawie katolickiej służyć nie może. Dom w Brzeżanach, który wystawił ks. kanonik Solecki, dziś z godłem katolickim jest w rękach żydowskich, bo nie było pieniędzy, środków, aby go utrzymać i zabezpieczyć. Dlatego ks. prałat miał słuszność mówiąc, że lepiej budować domy stosowne do środków materyalnych, niż puszczać się na wielkie przedsiębiorstwa, z których może być fiasko. Jednak konieczność domów ludowych czuje społeczeństwo coraz silniej i powstają domy ludowe i kółka rolnicze, które jak w Poznaniu i u nas powstają przedewszystkiem ofiarnością księży i ludu. Ale jeżeli ta akcya budowania domów ludowych ma być podjęta na szeroką skalę, jeżeli myśl budowania domów ludowych ma być owocem tego zjazdu skargowskiego, to te domy ludowe powinny zabezpieczać ten charakter katolicki i stać się ogniskiem, z którego zasady katolickie promienieją. Kto uważnie spojrzy na ruch ludu, na ducha, który panuje w naszych towarzystwach, to musi powiedzieć, że domy Kółek rolniczych, szkoły ludowej, nie dają rękojmi, że będą siedliskiem nietylko ducha narodowego, ale i katolickiego. Dziś dobrze, że towarzystwo Kółek rolniczych jest w rękach ludzi zacnych, ale na zjazdach tego Towarzystwa są i niepowołane żywioły, które jeźli tak dalej pójdzie, mogą tam znaczną większość osiągnąć. W Tow. Szkoły ludowej jest to samo. Jeżdżąc wiele po dyecezyi lwowskiej spotkałem się z zarzutem, że T.S. L. nie zawsze stoi na straży interesów katolickich, że z bibliotek rozchodzi się duch, którego katolickim nazwać nie można! Dlatego budując domy ludowe

musimy starać się o to, by były one placówkami ducha katolickiego w Galicyi i nad tem, jak sprawę postawić, musimy się zastanowić. Powiedział ks. Tyczyński, że związek katolicko-społeczny w dyecezyi przemyskiej bardzo dobrze się rozwija; jeżeli przeto tworzy on rzeczywiście silną organizacyę, to dlaczegóż nie budować domu związku katolicko-społecznego? Dom postawiony na gruncie kościelnym, a proboszcze z pewnością odstąpią na ten cel kawałek gruntu (naturalnie za zezwoleniem Konsystorza), dom taki postawiony na gruncie kościelnym będzie zaintabulowany na kościół, a lud będzie wtedy z nim, i na taki dom parafialny rzuci z pewnością grosz. Dlatego na zakończenie stawiam wniosek, aby dążyć do tego, by w każdej parafii, o ile możności, postawić dom parafialny zaintabulowany na kościół, którego proboszcz byłby rządcą i nad którym miał opiekę, a temsamem w pewnej części przed obcymi wrogimi żywiołami w jaki taki sposób ten katolicki charakter domu zabezpieczył i do tego doprowadził, żeby dom ludowy stał się silną twierdzą ducha narodowego i katolickiego.

Hr. J. Moszyński odezwał się mniej więcej temi słowy:

— Środki, którymi katolicy dążą do związania ze sobą ludu, nie zawsze są odpowiednie i nie zawsze pewne. Mojem zdaniem opartem zresztą na doświadczeniu jest to, że wadą największą jest, że się za mało pamięta o tem, że prawdziwa chrześcijańska praca musi być koniecznie prowadzona głównie w zakresie zawodowej swej pracy, a więc, aby się z tym ludem łączyć bezpośrednio i dopiero wtedy mogą owoce wydać domy ludowe i kółka rolnicze. Aby zaś z tym ludem się łączyć trzeba się z nim modlić i wspólnie pracować, bo to mu imponuje, trzeba jednakże i tego, żeby większa własność nauczyła się systematycznie oszczędzać. Trzeba chłopa utrzymać przy własności gruntu. W Królestwie rząd to jedno dobrze zrobił, że nie pozwolił chłopu dzielić swego gruntu poza 6 morgów i dać je żydom wykupywać. Żeby społeczeństwo rozbite związać organicznie z Bogiem trzeba tej spójni dworu z ludem.

Z kolei zabrał głos ks. Ludwiczak:

— Poprzednio słyszeliśmy rzeczy, których wytłomaczyć sobie

nie umię. Organizacye w Księstwie poznańskiem i Galicyi idą zupełnie innymi torami. U nas tak się dzieje, że organizacya, jeżeli jest towarzystwem oświatowem, to niema w niej mowy o polityce, o ruchu zawodowym, niema o niczem innem mowy jak o oświacie. Dlatego też towarzystwo takie nie może być stronnicze. Towarzystwo zaś zawodowe mówi jedynie o sprawach zawodowych; dlatego nie rozumiem, aby kółka rolnicze mogły wejść w podejrzenie, że trudnią się polityką. Gdy u nas zakładano towarzystwo abstynencyi, chciano je na inne tory wprowadzić; my jednak stanowczo powiedzieliśmy sobie, że tylko o zupełnej wstrzemięźliwości mówić będziemy i wtenczas tylko może towarzystwo prosperować. Bo jak się chce 10 wróbli zastrzelić, to się napewno ani jednego nie zastrzeli. Chciałem jeszcze zaznaczyć, że niebezpiecznym byłby właśnie fundusz rezerwowy; jeżeli dom ludowy chce się budować, to na wsi trzeba utworzyć towarzystwo, które pieniądze zbierze i wtenczas dom wybuduje.

POTRZEBA I ZNACZENIE CZĘSTEGO URZĄDZANIA ZGROMADZEŃ I WIECÓW KATOLICKICH.

RFFERAT P. KAROLA HOLEKSY.

Jednem z licznych niedomagań i braków akcyi społeczno-katolickiej w naszym kraju, to brak publicznych zebrań, wieców i manifestacyi katolickich.

Podczas kiedy za granicą i w sąsiednich krajach monarchii austryackiej zebrania i wiece stały się dla obozu katolickiego jednym z najpotężniejszych środków walki o ideały katolickie i o światopogląd chrześcijański w życiu społecznem, my w Galicyi ten środek walki i propagandy zostawiliśmy prawie wyłącznie do dyspozycyi naszym wrogom, którzy go też z powodzeniem bardzo skutecznie przeciw nam używają. Że tak jest, niech świadczą cyfry. „Polska“ partya socyalistyczna w Galicyi urządziła w ciągu minionych dwóch lat wśród polskiej ludności, jak mówi jej poufne, wygotowane na ostatni kongres partyjny sprawozdanie — 727 publicznych wieców a 2270 zgromadzeń poufnych. W minionem jedynie półroczu zimowem urządziła partya socyalistyczna w Galicyi zachodniej 75 wieców publicznych a 172 poufnych zgromadzeń. Zaś w okręgu wyborczym posła Klemensiewicza odbyło się w ciągu dwóch miesięcy 37 zgromadzeń.

Jakże w świetle cyfr wyżej przytoczorych wygląda nasza w tym kierunku działalność? — Zawstydzeni musimy przyznać, że bardzo smutno. Działalność nasza na polu urządzania publicznych wieców i zgromadzeń jest znikomo małą. W ciągu roku zaledwie kilkadziesiąt odbywamy zgromadzeń w naszym kraju, podczas kiedy zdeklarowani przeciwnicy nasi urządzają ich setki, nawet tysiące.

W Krakowie n. p. w ciągu ostatniego roku odbyło się coś 5 ogólnych wieców katolickich, — tymczasem socyalni demokraci urządzili przeszło 30 publicznych zgromadzeń i demonstracyi. Cyfry mówią same za siebie i bliższych komentarzy nie wymagają.

Jeżeli nie chcemy utracić zupełnie wpływu na masy ludowe, które dzisiaj stanowią o znaczeniu każdej akcyi i decydują o przyszłości sprawy katolickiej w naszym kraju, musimy otrząsnąć się z dotychczasowej bierności, musimy skupić siły i jąć się urządzania wieców katolickich w całym kraju.

Na uzasadnienie ważności zgromadzeń, dobrze będzie przytoczyć, co napisało w tym przedmiocie jedno z pism socyalistycznych: „Zebrania i wiece — to przedewszystkiem nasze elementarne szkoły, w których zaznajamiamy zebranych z najważniejszemi aktualnemi sprawami w oświetleniu naszych zasad. Uczestnicy zebrań w głównej swej masie ludzie nie czytający żadnego pisma, stanowią pożądany materyał na czytelników i prenumeratorów naszych pism partyjnych. To też każde zebranie z reguły przysparza prasie partyjnej nowych abonentów, a stronnictwu, oczywiście, nowych zwolenników, wyrabiają nam nowych agitatorów, działaczy i pionierów.

Wielkie publiczne wiece i manifestacye są także przeliczeniem naszych sił, przeglądem partyjnych szeregów, ich karności, sprawności bojowej. Wreszcie są one jawnem, publicznem wyznaniem zasad i przekonań, którym hołdujemy.

Wiadomo zaś, że publiczne, jawne, śmiałe wystąpienie naszych szeregów jedna nam u jednych sympatyę i pociąga ich do nas, drugich onieśmiela i w ten sposób wiece zdobywają nam władzę nad masami ludowemi".

My od siebie to jedynie dodać możemy, że zebrania i wiece katolickie dobrze zorganizowane i celowo urządzane mają conajmniej to samo dla obozu katolickiego znaczenie, jakie mają wiece socyalistyczne dla socyalistycznego stronnictwa. Ponadto zebrania i wiece katolickie mają wielką doniosłość pod względem wychowywania mas ludowych do życia obywatelskiego i politycznego, tudzież odciągania ich od wielu złych i szkodliwych nałogów.

Krótko mówiąc częste zebrania i wiece są potężnym środkiem obrony i propagandy naszych zasad i ideałów religijnych, społecznych, politycznych i narodowych wśród najszerszych warstw społecznych.

Dlatego powinniśmy możliwie najczęściej urządzać zebrania i wiece. Trudów i ofiar żałować tu nie można. Nieprzyjaciele nasi mogą nam służyć za przykład. Socyaliści w minionych dwóch latach wydali jedynie w zachodniej Galicyi po Kraków na urządzanie zgromadzeń politycznych kwotę 25.284 kor. Ponadto kilkanaście tysięcy w jednym roku wydają na agitacyę socyalistyczne stowarzyszenia robotnicze, nie wspominając już o wielkich nakładach na cele agitacyi wyborczej.

Cyfry przytoczone powinny pobudzić do głębokiego zastanowienia nad przyszłością, która nas czeka, jeżeli do pracy się nie zabierzemy.

Kto ma podjąć w tym kierunku akcyę? Oczywistem jest, że pracę na tem polu musi objąć jakaś organizacya.

My w Krakowie, Bogu dzięki, taką organizacyę już posiadamy. Jest nią polska Rada katolicka, zrzeszenie delegatów katolickich stowarzyszeń krakowskich. Zaznaczyła ona już swoje istnienie urządzeniem dwóch wielkich, jakich dawno niewidziano w naszem mieście, doskonale udałych wieców katolickich i kilku mniejszych zebrań. Polska Rada katolicka powinna zapoczątkowaną pracę prowadzić dalej, działalność swoją żywiej rozwinąć i objąć nią nietylko Kraków, lecz wszystkie miasta i miasteczka zachodniej części naszego kraju.

W każdem mieście prowincyonalnem przynajmniej w zachodniej Galicyi, trzeba w najbliższym czasie utworzyć miej-

scowe komitety, sekcye krakowskiej Rady katolickiej, które miałyby za główne zadanie przygotowywanie i urządzanie ogólnych zebrań i wieców publicznych katolickich na prowincyi. W tym celu Polska Rada katolicka w Krakowie powinna co prędzej wejść w kontakt ze stowarzyszeniami katolickiemi prowincyonalnych miast i akcyę w kierunku tworzenia sekcyi lokalnych Rady rozpocząć.

W Krakowie zaś samym potrzeba, aby Rada katolicka nie pomijała żadnego ważniejszego społecznego i polityczno-narodowego wypadku, bez oświetlenia go na wiecu katolickim.

Zebrania i wiece katolickie lokalne, powiatowe i okręgowe nawet najliczniejsze i najczęściej urządzane, nie wyczerpują atoli programu pracy w tym kierunku. To jest właściwie ta codzienna robota, którą stale, bez wytchnienia. w ciągu całego roku spełniać trzeba.

Obóz katolicki powinien co roku obrachunek ze sobą zrobić, przeglądnąć, skontrolować swoją dotychczasową pracę i swój dorobek, a następnie na podstawie wyników otrzymanych, ustalić program dalszej działalności.

Katolicyzm też w kościele, w sercach wiernych, w stowarzyszeniach lokalnych i organizacyach zamknąć się nie może, lecz w stosownych chwilach wyjść musi na publiczny plac, by pokazać światu swą siłę, żywotność, by poruszyć i pociągnąć do siebie masy.

Ku temu celowi służą ogólne, doroczne wiece, czyli kongresy katolickie.

Kongresy katolickie są więc w pierwszym rzędzie dniami gruntownego obrachunku wyników działalności katolików na wszystkich polach: kościelnem, naukowem, socyalnem i politycznem. Równocześnie są one dniami tryumfu tych organizacyi i instytucyi katolickich, które w ciągu minionego roku spełniły swe obowiązki, postąpiły w rozwoju swoim naprzód i ogólnej akcyi katolickiej przysporzyły wiele spodziewanych owoców.

Ten moment właśnie stanowi silny bodziec do pracy dla wszystkich kierowników organizacyi i instytucyi katolickich w kraju. Wiedzą oni bowiem dobrze, że na walnym wiecu katolickim mu-

szą zdać rachunek z włodarstwa swego i wykazać, o ile sprawa im powierzona naprzód w rozwoju swoim się posunęła.

Na kongresy katolickie zjeżdżają się wodzowie katoliccy, żeby po przeglądnięciu swych szeregów, przygotować grunt do dalszej pracy i skreślić plan dalszej walki o zasady i ideały katolickie we wszystkich dziedzinach życia narodu.

Kongresy katolickie w końcu mają ogromne znaczenie dla ożywienia życia katolickiego w tych miejscowościach i okolicach, w których się odbywają, przyczem nie mało zyskuje lokalny, chrześcijański handel i przemysł.

Jeżeli tedy szczerze pragniemy lepszego niż dotychczas rozwoju i spotęgowania akcyi katolickiej w naszym kraju i wogóle na ziemiach polskich, to musimy tu sobie dziś postanowić urządzenie Polskiego Kongresu katolickiego najpóźniej za dwa lata. Bez powzięcia tego postanowienia i przeprowadzenia go w życie, obrady i uchwały Zjazdu Skargowskiego mogą nam znowu minąć bez widocznego śladu na spotęgowanie akcyi katolickiej, podobnie jak się to stało po kilku poprzednio odbytych zjazdach katolickich.

Koniecznem więc jest powołanie do życia instytucyj stałych o ileby się dało — corocznych, Polskich Kongresów katolickich. Wówczas dopiero, kiedy taka instytucya powstanie, możemy się na pewno spodziewać odrodzenia, wzmożenia i pomyślnego rozwoju akcyi katolickiej w naszym kraju, na pożytek ludu polskiego, Kościoła i Ojczyzny.

DYSKUSYA NAD REFERATEM

P. KAROLA HOLEKSY.

Dyskusya nad ostatnim referatem p. Karola Holeksy p. t. „Częste urządzanie zgromadzeń i wieców katolickich“ z powodu spóźnionej pory się nie odbyła, wobec czego przystąpiono do odczytania rezolucyi, poczem sesyę zamknięto.

Rezolucya księcia Franc. Radziwiłła:

— Katolicki zjazd skargowski pochwala myśl założenia związku prasowego dla popierania prasy katolickiej, pod protektoratem Najprzewielebniejszego Episkopatu i gorąco zachęca wszystkich katolików do przystąpienia do tego związku i moralnego i materyalnego poparcia jego celów.

Rezolucyė p. Karola Holeksy:

1) Katolicki zjazd skargowski w d. 25 i 26 września w Krakowie poleca Polskiej Radzie katolickiej w Krakowie, możliwie najczęstsze urządzanie publicznych wieców i zgromadzeń w sprawach ogół katolików obchodzących, tak w Krakowie jak i miastach prowincyonalnych.

2) Katolicki zjazd skargowski wyraża życzenie, aby Polska Rada katol. utworzyła w miastach prowincyonalnych naszego kraju swoje sekcye i aby weszła w porozumienie z przedstawicielami ruchu katolickiego w innych polskich dyecezyach Galicyi celem jednolitej akcyi.

3) Katolicki zjazd skargowski uznaje potrzebę powołania do życia stałej instytucyi polskich kongresów katol. W tym celu zjazd katol. wybierze 5 komisarzy, którzy mają się zająć organizacyą polskiego kongresu katolickiego. Wybrani komisarze mają obowiązek w ciągu 4 miesięcy urzeczywistnić organizacyę komitetu i ustalić miejsce kongresu.

DRUGA SESYA KWESTYI ZASADNICZYCH.

26 września godz. 10 rano.

KATOLICYZM SKARGI
A KATOLICYZM POLSKI DZISIEJSZY.

Żeglarz stary chętnie stawa nad brzegiem morza, wita przybywające do przystani okręty i żegna te, które wypływają na szerokie morze, przestrzegając przed niebezpieczeństwami i burzami, jakich sam doświadczył w długiem życiu swojem. Do takiego żeglarza każdy z nas podobny na starość, tylko że nikt nie może dla siebie znaleść spokojnej przystani, lecz musi odbywać żeglugę na okręcie, póki go trupem nie zrzucą z pokładu — do grobu. Dzielić więc musi do śmierci wszelkie niebezpieczeństwa żeglugi, znosić wichry i burze, które okrętowi grożą. Tem gorzej, że ten okręt nasz, który Skarga nazywał „łódką co nas wszystkich wiezie, a zanurzyć się może“, naprawdę już zatonięciem grozi, jest „*wreck*“, jak mówią angielscy marynarze, bo właśnie w bieżącym miesiącu wrześniu sto czterdzieści lat minęło, odkąd się wydarzyło owo wielkie „*patriae naufragium*“, co się pierwszym rozbiorem Polski zowie. Więc już blisko półtora wieku rozbity ten okręt, jako państwo wolne i samodzielne, na trzy rozerwany części, trzyma się jednak na powierzchni fali czasów, jako jeden polski naród. Co gorsza, odrywają się od niego te części, które jeszcze przez długie czasy, po rozbiciu państwa, poczuwały się do jednej, wspólnej całości. Więc rozbicie wewnętrzne dopełnia rozluźnienia całości i żegluga coraz trudniejsza,

coraz większe niebezpieczeństwo tego, co przepowiadał Skarga, że „nawałność nas ostatecznie pogrąży, na głębokości morskiej".

Co to jest, co dawało narodowi polskiemu tę siłę wewnętrznej spoistości, której półtora wieku rozdarcia politycznego jednak rozerwać i rozluźnić nie zdołało, tak dalece, że naród nasz stał się widowiskiem świata, nieznanem w dziejach, zjawiskiem okrętu rozbitego, który jednak nie zatonął, chociaż tyle weń godziło ciosów, przeciwności i nawałnic? Musi być ta siła łącząca, niezwykła i nieludzka, lecz wyższa i potężniejsza, nadludzka. Tą siłą jest wiara katolicka, która naród nasz jednoczy. Ona uczy kochać Boga, a przez Boga ojczyznę i to wszystko, co jej istotę stanowi t. j. ziemię i ludzi, język i obyczaj, posłannictwo dziejowe i przeszłość świetną, pełną chwały i krwi przelanej w obronie tejże wiary katolickiej. Więc im ta wiara silniejsza, tem spoistość większa, jedność potężniejsza, miłość większa, a mniejsze samolubstwo, które najbardziej rozprzęga, osłabia i rozrywa całość. Więc w miarę, jakby wiara słabła, musiałaby coraz słabszą się stawać nasza łączność i odporność, coraz groźniej stawać przed oczyma ostateczna zguba i zatonięcie, między cudzemi ludów wodami.

Dlatego pożytecznem i potrzebnem jest rozważyć, jaki był katolicyzm Skargi, a jaki jest katolicyzm polski dzisiejszy. Lecz przy tem rozważaniu baczyć trzeba na to, że już się, niestety, spełniło to, co Skarga, z Prorokiem, przepowiadał, i Rzeczpospolita została rozbita, jak garniec, na trzy czerepy, a w każdym Zaborze oddziaływał cudzy rząd na kształtowanie się ducha narodu polskiego, starał się go wychowaniem, ustawami, przepisami, nawet karami i prześladowaniem na swoją modłę przerobić, wynarodowić i wiary katolickiej pozbawić. A skoro ta robota trwała już blisko półtora wieku, to nie mogła pozostać zupełnie bez wpływu i śladów. W każdym też Zaborze są inne dzieje katolicyzmu i odmienne jego zewnętrzne objawy. Przedewszystkiem widać te ślady w dwóch Zaborach, w których na rubieżach naszej ojczyzny powstały liczne cerkwie schizmatyckie i protestanckie zbory, kędy pierwej nie było ich śladu. Mnożą się obce szkoły i młodzież nasza uczyć się i kształcić musi w nich jęz-

zyku, żeby swojego zapomniała, wychowywać się u ludzi obcej wiary, żeby swojej się pozbyła, lub w niej zobojętniała.

Delegacya sejmowa żądała od mocarstw rozbiorowych przysięgi na to, że wiarę katolicką i stan posiadania Kościoła i przywileje duchowieństwa pozostaną nienaruszone, inaczej pierwszego rozbioru podpisać nie chciała. Łatwo przysięgać, kto dotrzymać nie myśli i dlatego dwa mocarstwa akatolickie przysięgę chętnie podpisały. Reprezentant katolickiego mocarstwa oświadczył, że duchowieństwo polskie w tym Zaborze traktowane będzie na równi z duchowieństwem w cesarstwie. O ten Zabór najmniej też miała delegacya obawy, skoro przechodził pod panowanie katolickie, a jednak stało się inaczej. Albowiem tamte rządy, jako innowiercze, nie wywierały zgubnego wpływu na ducha polskich poddanych, bo przed nimi duch narodu się zamykał i z nieufnością odwracał; ten zaś, jako katolicki, nie budził takiej obawy i łatwiejsze znajdował ucho. Ale właśnie dlatego potrafił t. zw. Józefinizm, który zresztą już za rządów Maryi Teresy panował, najbardziej zdeprawować ducha narodowego i zwątlić katolicyzm polski w tym Zaborze.

Rządy moskiewskie szły zawsze gwałtem i bezprawiem. Nawiązywały układy ze Stolicą św., kiedy koniecznie były potrzebne dla nowej organizacyi Kościoła i obsadzenia stolic biskupich, przyjmowały nawet nuncyuszów w stolicy państwa, ale układy zrywały dowolnie i obietnic nie dotrzymywały, a każde ustępstwo umiały wyzyskać podstępnie. Rabunek majątku kościelnego, grabież klasztorów, nawracanie przemocą i gwałtem na schizmę, mianowicie unitów, ograniczenie wolności wyznania, wywożenie i wypędzanie biskupów, narzucanie rządców dyecezyom, karanie gorliwych kapłanów a protegowanie gorszycieli a nawet odstępców: wszystko to sprowadziło nieobliczone klęski na katolicyzm polski, ale go zepsuć nie zdołało. Dopiero rozkład wewnętrzny społeczeństwa rosyjskiego, spowodowany martwotą cerkwi i t. zw. urzędowej wiary, a z drugiej strony nikczemnością charakteru, w swojej istocie azyatyckiego, rosyjskiego społeczeństwa, bunt powszechny i rewolucya wstrętna w swojej przewrotności, niewiara zupełna i nihilizm nauczycieli, wycho-

wymyśloną przez prostaków — tak jak dzisiaj odmawia się teologii wartości naukowej i domagają się usunięcia wydziałów teologicznych z uniwersytetów. Jeśli się znalazł pomiędzy chrześcijanami jaki uczony, głośny na świat cały, jak Origenes, to zarzucali mu, że nie ma samodzielności badań naukowych, bo jest uprzedzony dogmatyzmem barbarzyńskiej nauki, „*barbaron tolmema!*“ Powszechnie nazywano chrześcijańską naukę zabobonem niebezpiecznym, a nawet wprost nazywano chrześcijan ateuszami, dlatego, że nie chcieli czcić bałwanów narodowych. Zarzucano im brak patryotyzmu, dlatego, że wyznawali religię powszechną, a nie tylko wyłącznie narodową. Oszczerstwa, wymyślane na chrześcijan, że zjadają dzieci na swoich nabożeństwach i popełniają zbrodnię Edypa, że krew piją: wywołały taką nienawiść, iż motłoch każdą klęskę żywiołową i nieszczęście publiczne przypisywał chrześcijanom, domagał się ich śmierci, wołając: „chwytać ateuszów“! — Dziś jeszeze można oglądać wycinek ze ściany w koszarach rzymskiej straży cesarskiej, przedstawiający żołnierza chrześcijanina, modlącego się do ukrzyżowanego osła, bo i w ten sposób chrześcijan wyszydzano, że cześć oddają osłu.

Ten sposób walki powtarza się i za naszych dni. Wychodzi od kilku lat pismo, ilustrowane karykaturami, bardzo rozpowszechnione w Niemczech, a niestety i u nas, które założył żydek, urodzony w małem miasteczku Księstwa Poznańskiego. Było ich dwóch braci, ale każdy nazwał się inaczej. W tem piśmie znajdziesz, co tydzień, przynajmniej jedną karykaturę, wyszydzającą księży, biskupów i papieża. Tylko jeszcze Chrystusa Pana nie bezczeszczą, bo za to byłaby kara. Były tego jednak próby, bo za mojego posłowania w Wiedniu zamieścił monitor żydowski, wychodzący na Fichtegasse felieton, w którym Zbawiciela nazwano „*Kerl*“. Ówczesny minister sprawiedliwości pokazywał mi ten felieton i pytał, czy to uważam za obrazę Boską? — Ośmieliłem się Excelencyi zwrócić uwagę na to, że gdyby w gazecie tak nazwano cesarza, toby z pewnością uznał to za obrazę majestatu. — Gazecie wytoczono też proces. — Jak dalece skutkują takie oszczerstwa i potwarze, wystarczy przyto-

czyć n. p. to, że na Pomorzu ludność protestancka jest przekonana, iż każdy ksiądz katolicki ma krowią nogę. Za sławnym ornitologiem X. prof. Altum biegali tam chłopcy i pytali jeden drugiego: „*hat er den Kuhfuss*?“ Kiedy ś. p. O. Jackowski T. J. był wikaryuszem w Bytowie na Kaszubach, a chodził w sutannie, wszyscy protestanci byli przekonani, że nosi tak długą suknię, aby zakryć krowią nogę. Aż wszedłszy do pewnego domu protestanckiego i zastawszy liczniejsze towarzystwo, wystraszone jego przybyciem, pokazał oba swoje, znacznej wielkości..., pedały.

W Zaborze austryackim miało duchowieństwo być zrównane z duchowieństwem austryackiem. I tak się też stało.— W Polsce brało duchowieństwo udział w rządach i urzędach. Biskupi byli senatorami i kanclerzami, a w kancelaryi królewskiej pracowali prawie sami księża. W trybunale zasiadali delegowani kapituł, we wszystkich urzędach miejskich prowadzili pióro księża. Służyły do tego liczne prebendy czyli t. zw. *beneficia simplicia*, które egzystencyę takim księżom ułatwiały. Wszystko to się zmieniło po rozbiorze. Biskupi nie byli senatorami, bo senatu w mocarstwach rozbiorowych nie było, do kancelaryi cesarskiej żaden ksiądz nie należał, więc i w Galicyi zupełnie zostało duchowieństwo polskie usunięte od wszelkich spraw politycznych i społecznych. Doszło do tego, że każdy ksiądz, który się nieco opiekował dolą chłopa lub rzemieślnika, uchodził za niebezpiecznego dla rządu agitatora. Nie dziw, że duchowieństwo polskie straciło wszelki wpływ i znaczenie, aż wreszcie rozpowszechniło się to oszczerstwo, że duchowieństwo katolickie jest niezdolne do niczego i społeczeństwu niepożyteczne. Tak nazywali poganie wyznawców Chrystusa: „*infructuosi in negotiis*“ teraz lada „pauper“ nazywa księży „darmozjady“, choć sam tylko krzyczy a nic nie robi.

3) Druga metoda walki przeciw Kościołowi polega na głoszeniu haseł świetnych, błyskotliwych tak, że olśniewają nawet katolików. Do takich należą hasła: wolność, światło, postęp, jako rzekoma walka przeciwko: niewoli, ciemnocie, zacofaniu. Szatan nazwał się przecież światłonośnym, *lucifer*, a jego hasło było: nie będę służył: *non serviam*, jestem wolny: *liber!* Ponie-

waż nikt nie chce uchodzić za niewolnika, ciemnego i zacofanego, więc te hasła wywołują liczne dezercye z szeregów katolickich, tak skore paktowanie i haniebne ustępstwa dla nieprzyjaciół naszej wiary. Wszakże nawet barbarzyńskie prześladowanie katolickiego Kościoła w Prusiech nazwano walką cywilizacyi „*Kulturkampf*", jakby cywilizacya była tylko po stronie innowierców. Mówi się o wolności wyznania, a ciemięży się wolność wyznania katolickiego.

Wolność wyznania, czyli tak zwana tolerancya, nie jest nowe hasło. Ono znane było w pogaństwie i w państwie rzymskiem wolno było każdemu wierzyć, co chciał. Ta wolność doprowadziła do tego, że nikt w nic nie wierzył, aż zwątpili ludzie o tem, czy wogóle jest prawda na świecie. Dlatego Piłat mówił te słowa, pełne rozpaczy, do Zbawiciela: co jest prawda? — Co kraj, co państwo, inna była religia i inne narodowe bogi, a w miarę, jak Rzym brał te państwa pod swoje panowanie, zabierał też ich bogi do Panteonu. Kto chciał, żeby jego wyznanie było uznane przez państwo, żeby było *religio licita*, potrzebował tylko wnieść o to podanie do senatu rzymskiego. Dlaczego więc, mimo tej tolerancyi, tak wielkiej, prześladowano religię chrześcijan przez trzysta lat i to w sposób tak niesłychanie barbarzyński? Bo Kościół katolicki nie chciał być tolerowany obok innych fałszywych religii. Nie chciał, żeby posąg Chrystusa mieścił się w Panteonie i był stawiany na równi z innemi bałwanami, bo Kościół sam jeden ma religię prawdziwą, sam jeden głosi prawdę, objawioną przez Boga, a inne wszystkie wyznania, jakiekolwiek są, mają tylko tyle prawdy, ile wzięły od nas. Reszta u nich jest tylko wymysłem ludzkim.

Więc chrześcijanie ponosili srogie męki, ale bałwanom się nie kłaniali; woleli śmierć niż paktowanie z błędem i fałszem.

To właśnie było rzeczą niepojętą i niezrozumiałą dla ówczesnych tolerantów. Ta wierność i stałość budziła złość, ale wywoływała też podziw. O cóż bowiem chodziło? — O to, żeby chrześcijanin rzucił garść kadzidła na rozpalone węgle. Każdy urząd miał mały ołtarzyk ofiarny t. zw. *ara*. On stał na trzech żelaznych nogach i miał kociołek z węglami. Tymczasem chrześcijanin

wolał śmierć ponieść, niż garść kadzidła rzucić na węgle „*arae*".

Ludzie myślący, jak Pliniusz młodszy, prokonsul Azyi Mniejszej, uważał to za coś nowego i nieznanego, *ignotum*. Nie mógł pojąć, żeby człowiek wogóle sobie coś robił z wiary, żeby się jej nie chciał wyprzeć. On brał diakoniski chrześcijańskie na tortury i przekonał się, że chrześcijanie nic złego nie robią, tylko znalazł w nich niepojęty upór „*pervicacia*". Dziś nazywa się to fanatyzm, a każdego, kto chce twardo stać przy zasadach katolickiej wiary, nazywa się fanatykiem. To też protestanccy historycy nowszych czasów, którzy pisali historyę rzymską owych czasów, wszyscy nazywają pierwszych chrześcijan fanatykami. Zapewne: żaden z tych panów nie dałby sobie urwać rękawa za swoją protestancką wiarę! Tak też mówiono wówczas o pogańskich kapłanach.

Kościół katolicki znosił prześladowania w cierpliwości, bo tą cierpliwością musieli chrześcijanie zdobywać żywot wieczny, jak pięknie mówi św. Augustyn w swojem wiekopomnem dziele: *De Civitate Dei* (XXII. 6), ale wiedzieli też, że cierpliwością zwyciężą i doczekali tego, że z posągu Jowisza ulany został bronzowy posąg Rybaka z Galilei, który siedzi na tronie w bazylice watykańskiej, obok jego grobu. Pokolenia za pokoleniami szły całować jego stopy, aż mu wielki palec odcałowały.

Kościół katolicki nie chciał dla siebie tolerancyi, bo wiedział, że musi zapanować nad całym światem i że musi być kiedyś jeden tylko pasterz i jedna tylko owczarnia: lecz sam ze swej strony nie zalecał gwałtu wobec innych religii. Tem się tłomaczy, że w Rzymie oglądać można jeszcze dzisiaj pięknie zachowaną świątynię Vesty. Ojcowie Kościoła ganili zawsze surowo zbytni zapał tych, którzy burzyli wielkie i głośne świątynie pogańskie, bo uczyli, że lepsza jest religia choć fałszywa, niż żadna. O prawdzie tej zasady pouczyło zepsucie, jakie zapanowało w społeczeństwie rzymskiem za czasów św. Hieronima, kiedy się namnożyło pogan, którzy w nic nie wierzyli. Poucza też o tem to zepsucie, jakie szerzą, w naszych czasach, żydzi, którzy w nic nie wierzą, zwłaszcza od kiedy uczeni protestanci

przestali wierzyć w Bóstwo Chrystusa Pana i protestantyzm zamienili w pogaństwo.

III.

Nazwa protestantyzmu nadana została wyznaniu luterskiemu na sejmie w Spirze (1529) i to od protestu, który wnieśli książęta niemieccy, wyznawcy nauki Marcina Lutra, przeciwko uchwale książąt katolickich, żeby religia katolicka była tolerowana w ich księstwach. A więc protest przeciwko tolerancyi zrodził nazwę protestantyzmu, a teraz, obracają kota w miechu i nam katolikom zarzucają nietolerancyę!

O co chodziło przy tym proteście? Chodziło przedewszystkiem o Najśw. Sakrament i o Mszę św. Albowiem protestanci wiedzieli, że gdziekolwiek będzie się odbywała Msza św., tam lud będzie spieszył do kościoła. Na dowód przytoczę fakt, że lud polski w Prusach Książęcych, oderwany podstępem od katolickiego Kościoła, tęskni do dziś dnia za Mszą św. Dlatego na odpust Matki Boskiej Zielnej w św. Lipce, gdzie Jezuici przez długi czas mieli swoją rezydencyę, spieszy lud ten i rychło rano odprawia się t. zw. Msza luterska, dlatego, że sami lutrzy są na niej. Śpiewają pieśni polskie katolickie i zabierają do domów wodę święconą, bo mówią, że ich pastorzy nie mają mocy do poświęcenia wody. Luter nazwał Mszę św. (w Heidelberskim katechizmie) „pogańskiem bałwochwalstwem", a mimo to w Prusach Książęcych usuwano ją tylko nieznacznie i dopiero w XVIII wieku (od 1720) zaprzestano tam używać ubiorów i przyborów katolickich przy liturgii luterskiej. W Danii do dziś dnia są w używaniu kapy i ornaty, u innowierców tamtejszych.

Luter poszedł utartym przez wrogów Kościoła zwyczajem z jednej strony siał nienawiść do Kościoła przez oszczerstwa i najhaniebniejsze przezwiska, z drugiej głosił hasła nęcące. Papieża nazywał wprost antychrystem i na rok przed śmiercią ogłosił jeszcze pismo, które zatytułował: *Das Papstum vom Teufel gestiftet.* Biskupów, księży, mianowicie zakonników lżył obrzydliwemi słowami, a papieża Hadryana VI, który był tak samo

jak on — profesorem, nazywał „*Meister Esel*". — Z drugiej strony głosił hasła pięknie brzmiące. Swoją naukę nazywał ewangelią, t. j. dobrą nowiną dlatego, że przynosiła ludziom nieograniczoną wolność. Wolność od wszelkiego duchownego zwierzchnictwa, bo wszystkim przyznawał godność kapłańską; wolność tłomaczenia sobie Pisma św. i układania wiary wedle własnego uznania. Głosił wolność od przykazań i obowiązku dobrych uczynków, wolność grzeszenia, wolność od pokutowania za grzechy i współdziałania z łaską Boską, albowiem wedle jego nauki, Chrystus Pan wszystko za nas zrobił i do usprawiedliwienia osobistego wystarczy sama wiara w Chrystusa.

Ta wolność od „babilońskiej niewoli", jak Luter nazywał posłuszeństwo zwierzchności kościelnej, była rokoszem, który nazwano pięknie „reformacyą", jakby Luter naprawdę był coś naprawił. I ta nazwa była mądrze wymyślona dla ogłupienia katolików i historyków, nawet naszych polskich.

Hasło wolności luterskiej musiało znaleść chętny posłuch w Polsce, gdzie złota wolność była tak ulubiona. Szerzył się też rokosz kościelny gwałtownie i doprowadził do tego, że w Niemczech przyznano prawo reformowania każdemu księciu w swojem księstwie, a w Polsce przyznano je każdemu szlachcicowi w swojej wiosce. Ale też nigdzie nie wyrosło tyle zielska heretyckiego co w Polsce, bo każdy panek przepisywał ministrowi innowierczemu, co miał uczyć, a chłopom, pod karą, kazał na heretyckie kazania chodzić. Zmieniali też wyznania, jak rękawiczki, a poddani musieli tak wierzyć, jak pan kazał. Tak n. p. Mikołaj Czarny Radziwiłł zaprowadził w Ołyce luteranizm, a następnie zmienił go na kalwinizm. Na Lukiszkach pod Wilnem urządzał nabożeństwa, na które szło dużo osób z Wilna i przyjmowało komunię luterską, a następnie genewską, siedząco. Nie chodziło o komunię, tylko o to, że książe dawał po komunii dobre śniadanie.

Dzieje kościelne uczą, że rokosz kościelny, wywołany pod hasłem wolności od jarzma kościelnego, niósł ze sobą niewolę i ucisk ludu z jednej strony, a rokosz polityczny z drugiej strony. Pokazało się to także na Polsce, gdzie rewolucya kościelna

zrodziła bezkarną swywolę i taki ucisk ludu, że hetman Tarnowski narzekał: ależ to luterstwo nasze w łotrostwo się zamienia! Namnożyło się „odrzychłopskich" —a t. zw. konfederacya warszawska, zawiązana w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta (1573) była początkiem poddaństwa chłopów. Taksamo też, jak w innych krajach, nasi dysydenci, zdradziwszy Kościół, gotowi byli do zdrady ojczyzny i na jej zgubę łączyli się z ościennymi jej wrogami.

2) Skarga urodził się w tym roku (1536), kiedy już rokosz religijny w Niemczech tryumfował i kiedy obce kraje, jak Dania, od Kościoła się odrywały, a książęta niemieccy już śmiało własność kościelną rabowali. W tym też roku przyjął luterską wiarę wiarołomny margrabia brandenburski, Joachim, szwagier polskiego króla, który przy łożu konającego ojca przysięgał, że dochowa katolickiej wiary.—Zdawało się, że Kościół katolicki zginie i Skarga miał już lat dziesięć, kiedy się wreszcie zebrał Sobór Trydencki. Luter wtedy umierał, jęcząc ze złości, że Sobór rozbijał, jak młotem, jego nauki, lecz ani słowem o nim nie wspomniał.

Ale Bóg wybiera sobie zwykle narzędzia zemsty i obrony niepozorne i małe, jak ów kamyk Dawida, co powalił potężnego Goliata. Takiem narzędziem w ręku Boga był św. Ignacy Lojola. Żołnierz, który pisać i czytać nie umiał, miał zwalczyć uczonego profesora, który władał językiem niemieckim, jak nikt przed nim i który ten język stworzył. — Ranny przy obronie zamku Pampeluna, czytał Ignacy różne hiszpańskie romanse, aż mu się dostały do ręki żywoty Świętych i z nich się przekonał, że św. Franciszek i św. Dominik byli więksi ludzie, niż potężni władcy, jak Aleksander, Cezar, Karol i i., których historya wielkimi zowie. Ci grabili cudzą własność, a tamci potrafili uchronić ludność Włoch i Hiszpanii od rewolucyi socyalnej. I właśnie Luter, stojąc przed sejmem wormackim (1521) oświadczył, po namyśle, o który prosił, a właściwie ze strachu przed rycerstwem niemieckiem, któreby go było na szablach rozniosło, że nauki swojej odwołać nie może: kiedy św. Ignacy składał

Bogu śluby na dozgonną a wierną służbę. Tylko nie wiedział jeszcze, jak ma Bogu służyć.

Na Stolicy św. zasiadał wtedy uczony profesor Hadryan VI, który chciał wszystkich najuczeńszych ludzi, nawet wykapturzonego mnicha, Erazma Roterdamczyka, sprosić do Rzymu, żeby przy ich pomocy ułożyć plan walki przeciwko Lutrowi, a nie wiedział, że Bóg już przeciwnika upatrzył. W palmową niedzielę (1523) dawał papież błogosławieństwo pielgrzymom, idącym do Ziemi św. Pomiędzy nimi był ubogi, wychudły Hiszpan, który pragnął w Palestynie pogan nawracać. Wrócił z przekonaniem, że pierwej uczyć się trzeba i zaczął chodzić do szkoły, razem z dzieciakami. Dwa lata przed urodzeniem Skargi zawiązał ze sześciu towarzyszami, na górze męczenników pod Paryżem, Towarzystwo Jezusowe, którego regułę, po 6 latach (1540), zatwierdził Paweł III. Kiedy po 16 latach umierał (1556), już Towarzystwo jego liczyło tysiąc członków i sto domów. Utworzyła się falanga zwarta i karna posłuszeństwem żołnierskiem, w której każdy żołnierz, wypróbowany, składał, jako czwarty ślub zakonny, posłuszeństwo bezwzględne papieżowi. Takiego wojska nie widział jeszcze świat katolicki, bo jak mówi protestant Ranke: takiego połączenia nauki z zapałem, darem przekonywania, umartwienia i jedności w dążeniu do wspólnego celu, nie było jeszcze na świecie. — Ten to zastęp odepchnął protestantyzm od południa ku północnemu morzu i stał się jego wrogiem śmiertelnym. Nie dziw, że go protestanci czernili zawsze i nienawidzili, tak, że nawet katolicy od nich po trochu tą nienawiścią się przejęli i bajki potwarcze o Jezuitach powtarzali.

3) Skarga był już od roku kapłanem, kiedy pierwsi Jezuici osiedlili się w Polsce (1565), sprowadzeni do Brunsbergi przez kard. Hozyusza i do Pułtuska przez biskupa Noskowskiego. Może to oddziałało na umysły szlachty, która wierna pozostała Kościołowi bo w tym roku, po raz pierwszy odważyli się posłowie na sejmie odezwać się w obronie praw Kościoła. Przypomnieli sobie, co powiedział Chrystus Pan, że kto go wyzna przed ludźmi, tego i on wyzna przed Ojcem, który jest w niebiesiech. W trzy lata później, w czwartym roku kapłaństwa, wstępuje

Skarga do Towarzystwa Jezusowego (1568), a wraca do Polski rok przed śmiercią Zygmunta Augusta.

Upatrzył sobie Pan Bóg takiego kapłana na takie właśnie czasy.

Przedewszystkiem posiadał Skarga już to, czego św. Ignacy musiał w późniejszym wieku nabywać t. j. naukę i wykształcenie. Na 10 lat przed święceniami kapłańskiemi zdobył w Jagiellońskiej Szkole *bacalaureat artium* i następnie urzędem nauczycielskim przez cały czas się zajmował. — Rej z Nagłowic powiedział słusznie, że trzy rzeczy kształcą człowieka t. j. książka, dwór królewski i podróże. Skarga uczył się dużo i to tak, że mając już lat 37, jeszcze zasiadł do nauki, żeby gruntownie powtórzyć teologię scholastyczną, kiedy miał składać ostatnią profesyę. (1575). Kształcił go dwór królewski, bo przebywał na dworze cesarza Ferdynanda, jako ochmistrz Tenczyńskiego, kształciły go podróże, bo przejechał dużo krajów, żeby się dostać do Rzymu, i dużo podróżował po Polsce.

Dar wymowy dał mu Bóg wyjątkowy, ale też Skarga potrafił talent darowany, pracą i pilnością pomnożyć. Każde kazanie — jak powiada Wielewicki — pisał dosłownie po polsku, a bywało, zwłaszcza w początkach, że pisał jedno i to samo kazanie po dwa i trzy razy, aż osądził, że do umysłu słuchaczów jest dostosowane. Lecz Wielewicki zdradza jeszcze jeden sekret jego przygotowania do kazań, t. j. że pokuty sobie zadawał i biczowanie. Skarga pisał bowiem dziennik i w nim zapisał, że pięć razy używał dyscypliny przy kazaniu, które chciał szczególnie dobrze przygotować. Nic więc dziwnego, że kazania te wywierały takie olbrzymie wrażenie na słuchaczach i że Birkowski mógł w mowie pogrzebowej przyrównać go do Eliasza, który powstał jak ogień i gorzał jak pochodnia.

Lecz Skarga nie tylko jaśniał i świecił, jak gorejąca pochodnia, lecz ogrzewał także ogniem miłości, którą sam kochał Boga i bliźnich. Rozumiał, że — jak mówi św. Augustyn — nie masz większego skarbu, ani droższego bogactwa nad wiarę katolicką, a więc pojmował jej utratę, jako największe nieszczęście osobiste, dla każdego człowieka i publiczne dla każdego kraju.

Rozumiał, że Kościół katolicki zbudowany jest przez Chrystusa Pana na opoce Piotrowej, a więc był pierwszy w Polsce, jak słusznie zauważono, który wierność, posłuszeństwo i przywiązanie do Stolicy św. kładł na pierwszem miejscu obowiązków katolika.

Jego zapał rodził męstwo chrześcijańskie a dał tego dowody, jeszcze nim wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Jadąc bowiem do Rzymu, zboczył z Jarosławia do Gródka, żeby odwiedzić wojewodę podolskiego Mikołaja Pileckiego. Wojewoda odpadł od Kościoła, a wojewodzina była kalwinką, potem aryanką, aż wreszcie do żydowskiej skłaniała się wiary. Może roztropniej było kapłanowi katolickiemu nie wstępować wcale do takiego domu, lecz Skarga pojechał i nagadał prawdy. Wojewoda był tak oburzony, że dał rozkaz służbie, aby śmiałka z mostu zrzucili. Nazajutrz jednak się opamiętał, napisał list uprzejmy do Skargi i dołączył 100 dukatów na drogę do Rzymu.—Zawsze nieprzyjaciele Kościoła nienawidzą kapłanów, którzy śmiało i otwarcie występują w obronie Kościoła, ale zawsze ich też szanują! Jeszcze kanonikiem lwowskim będąc, dowiedział się Skarga o chorobie kasztelana wojnickiego, Jana Tarnowskiego, który był chwiejny we wierze. Pojechał, ministra heretyckiego z domu wygnał, a chorego na śmierć przygotował. Za to wdowa, przez wdzięczność, wybudowała na prośbę Skargi, już w rok po jego powrocie do kraju (1573), kolegium jezuickie w Jarosławiu.

Takich nawróceń dokonał Skarga, już jako Jezuita, bardzo wiele, a najgłośniejsze było nawrócenie Chodkiewicza i synów Czarnego Radziwiłła. Przez to pozyskał połowę Litwy dla wiary katolickiej, bo za panami poszła drobna szlachta. Albowiem w Polsce każdy szlachcic o wolności i równości prawił, ale służył wielkiemu panu.

4) Działalność Skargi, jako Jezuity, można podzielić na trzy okresy. Pierwszych lat trzynaście schodzi mu głównie na pracy administracyjnej. Organizuje kolegia, które zakładał Jezuitom mądry król Stefan: w Pułtusku, Rydze, Dorpacie, Połocku, Wilnie. Kto spojrzy na mapę, ten spostrzeże odrazu, jak bystre oko miał Batory, zakładając w tamtych stronach te twierdze wiary i jak doniosła była praca, którą Zakon Skardze powierzył.

Przytem prawił kazania i przed królem i przed kardynałem Grzegorzem Radziwiłłem.—Po trzynastu latach, mianowany superiorem Domu Profesów u św. Barbary w Krakowie, przebywa tu cztery lata (1584 — 1588) i rozwija czynność literacką, którą rozpoczyna Żywotami Świętych. Książka ta wyszła ośm razy za życia Skargi i nie wahałbym się powiedzieć, że to jest dzieło Skargi największego znaczenia. Bo to nie tylko skarbnica języka polskiego, w której jak w krynicy, czystej a zdrowej, odświeżał lud polski, w dzielniçach od Polski oderwanych, swoją mowę zaniedbaną, ale cały naród pił z niej utwierdzenie we wierze i żywił się „obrokiem duchownym". Jego historya kościelna, wedle roczników Baroniusza, jego kazania na niedziele i święta, oraz kazania sejmowe nie sięgnęły tak głęboko do najniższych warstw narodu,ani nie wywarły tak szerokiego, tak ogólnego wpływu. To nie znaczy jednak, żeby one nie miały olbrzymiego wpływu na ówczesną inteligencyę polską.

Mianowany przez króla Zygmunta III kaznodzieją nadwornym, pełni ten obowiązek przez lat 24, a z tego lat 21 w Krakowie, resztę w Warszawie, od kiedy król stolicę tam dotąd przeniósł (1609). Dopiero krótko przed śmiercią, mając już 76 lat, wyprosił sobie u króla uwolnienie od dworu, żeby w celi klasztornej na śmierć się przygotować. W dzień imienin króla Zygmunta odprawił Mszę św. w kaplicy zamkowej, udzielił Komunii św. królowi, królowej i królewiczowi Władysławowi. Umierał w pięć miesięcy później w Domu u św. Barbary, który król za jego staraniem Jezuitom (1597) w Krakowie pobudował.

Ten ostatni okres życia Skargi, prawie ćwierćwiekowy, spędzony przy boku króla, miał niezmierne znaczenie dla dziejów rokoszu religijnego w Polsce.

Pamiętać trzeba, że król Zygmunt miał ojca niekatolika i że się wychował w luterskiem otoczeniu, a obejmował rządy u nas jako dwudziestoletni młodzieniec. Luterskie wyznanie nie kładło hamulca na popędy ciała, a sam Luter gadał w swoich rozmowach przy stole, t. zw. *Tischreden*, takie sprosności, że ich nawet protestanci drugi raz drukować nie chcieli. Wielką to więc było zasługą Skargi, że potrafił strzedz młodego króla, tak, że

żadne zgorszenie nie wychodziło ze dworu, ani żadne plotki nie krążyły po Krakowie, w którym już w ten czas istniał „telegraf bez drutu".

Była to społeczna zasługa, ale niemniej wielka była zasługa polityczna Skargi. Senat polski był złożony przeważnie z innowierców, a więc najwyższe i najważniejsze urzędy i dostojeństwa w Rzeczypospolitej były w ręku innowierców. Dopiero pod wpływem Skargi zaczął król rozdawać krzesła w senacie katolikom, tak, że pod koniec jego panowania stał się prawie wyłącznie katolickim. A ponieważ ambicya w Polsce zawsze odgrywała wielką rolę i każdy szlachcic musiał mieć, choćby jak najmniejszy tytuł, lub tytulik, więc nie dziw, że w pierwszym rzędzie panowie polscy, widząc, iż religia katolicka jest niezbędnym do krzesła w senacie szczeblem, poczęli porzucać heretyckie wyznania. Za panami, jak zawsze, szedł tłum szlachecki. —Nasi historycy dużo pisali o tem, że Zygmunt III zbyt ulegał wpływom jezuickim, ale zapominali o tem, że w Polsce było uczucie monarchiczne wówczas może jeszcze silniejsze, niż w innych krajach. Ono objawiało się w tem, że każdy szlachcic króla naśladował. Batory nie umiał po polsku, więc pomagał sobie łaciną; zaczem każdy szlachcic „makaronizował", a czapka, którą nosił Batory, do dzisiaj jest w Polsce modną. Zygmunta nie lubiano dlatego, że się po niemiecku ubierał i po polsku nauczyć się nie starał. Batory bywał regularnie, codzień na Mszy św.— a to samo czynił też Zygmunt III. więc i szlachta zaczęła ich w tem naśladować i luterskie nabożeństwa porzucała.

Rokosz kościelny był, w gruncie rzeczy, przeciwny duchowi narodu polskiego i był raczej polityczną ruchawką, niż sprawą głębokiego przekonania o nieprawdziwości katolickiej praojców wiary. Nasi dysydenci nigdy też nie byli szczerymi i prawdziwymi wyznawcami heretyckich nauk, czego najlepszym dowodem jest Rej z Nagłowic, który był kalwinem, a w swojej Postyli zbijał to, co Kalwin uczył. Miały też podkład prywatny ich zacięte kłótnie i zwady, które im nadały nazwę niezgodnych we wierze, czyli dysydentów. Zaczem mieli pretensyę do króla, żeby on pokój pomiędzy nimi utrzymywał i zgody religijnej po-

między nimi bronił. Te niezgody miały w sobie zarodek śmierci różnowierstwa w Polsce, wobec tego, że Kościół katolicki dawał pokój sumienia i pewność wiary. Przytem istniały w Polsce królewskie mandaty, grożące surowemi karami innowiercom, a dysydenci sami domagali się ich wykonania na swoich przeciwnikach. Kalwini n. p. żądali od króla Zygmunta Augusta, żeby wygnał z kraju antytrynitarzy.

Po śmierci tego króla wpadli na inny pomysł. Chcieli katolików pozyskać do zgody, kosztem chłopów. Taki sens miał t. zw. Konsens Sandomirski i Konfederacya warszawska (1573). Ona zapewniała bezkarność herezyi, ale poręczała też zupełne samowładztwo nad chłopami, dawała sądownictwo w ręce panów w dobrach „tak duchownych, jak i świeckich". Ta nieszczęsna konfederacya stała się początkiem niewoli ludu polskiego, której nie potrafiły znieść śluby Jana Kazimirza.

Mógł też Skarga narzekać, że „jako ziarno pod młyńskiem kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swemi". Nic więc dziwnego, że przeciwko tej konfederacyi występował i piórem i słowem. Wiadomo bowiem, że wydał trzy pisma, w których wykazywał, jakie klęski na ojczyznę sprowadził rokosz religijny, jak niegodne warunki ofiarują innowiercy katolikom. Domagał się też, żeby uniwersały króla Zygmunta Starego, grożące karami heretykom, były wykonane. Innowiercy ułożyli tedy inną formułę konfederacyi i właściwą jej tendencyę ukryli tak zręcznie, że katolikom zdawała się zupełnie możliwą do przyjęcia. Sejm gotów już był ją przyjąć, a królowi wręczono ją późnym wieczorem. Tymczasem Zygmunt III posłał w nocy po Skargę, żeby zasięgnąć jego rady. Skarga poznał odrazu podstęp i wyjaśnił go królowi, a nad ranem obszedł posłów katolickich, przemówił do ich sumienia i podstęp dysydentom się nie udał.

Skarga postąpił tak, jak uczy katechizm i nakazuje wiara katolicka, ale dzisiaj zarzuconoby mu brak tolerancyi. Jest to hasło, które tak potrafiło wszystkich olśnić i oślepić, że trzeba koniecznie bliżej się nad niem zastanowić.

IV.

Tolerancya znaczy znoszenie i cierpienie błędnych wyznań, ale nie oznacza ich równouprawnienia z wiarą katolicką. W Polsce mieli dysydenci nie tylko tolerancyę, ale nawet równouprawnienie z katolikami, mimo to, że religia katolicka nie przestała być panującą. Dopiero polityczne zdrady, popełniane przez dysydentów w czasie wojen szwedzkich, dały powód do tego, że równouprawnienie zaczęto im ograniczać, zostawiając jednak wolność wyznania. Rozgoryczenie urosło, kiedy dysydenci poczęli, na początku XVIII wieku (1718), wysyłać zażalenia do „Pruskiego", aż doszło do tego, że im sejmy (1736 i 1748) odmówiły prawa do krzeseł w senacie, do sejmu, do urzędów starościńskich i trybunalskich.

Znane też jest aż nadto dobrze, jak Prusak potrafił wyzyskać tę rzekomą krzywdę protestantów na pozór do prawa opiekowania się nimi w Polsce i że wymuszona na Polsce (1767) tolerancya, w znaczeniu równouprawnienia, była pierwszym krokiem do rozbioru ojczyzny naszej.

Więc Skarga nie mylił się, gdy wykazywał, że rokosz religijny miał się stać nieszczęściem i przyczyną upadku Polski. On bowiem zrodził tę bezkarność wobec zwierzchności duchownej i świeckiej, za którą musiało iść nieposłuszeństwo wszelkim prawom, pogarda władzy, a nawet własnego króla.

Mimo to widzimy w porozbiorowych dziejach naszych zupełnie inne zapatrywanie. Przeważna część inteligencyi, ba, nawet wyższego duchowieństwa katolickiego, poszła za ówczesnymi prądami, idącemi od masoneryi wiedeńskiej i rewolucyi francuskiej. Tem się tłomaczą takie uchwały sejmu czteroletniego, jak zabór dóbr biskupstwa krakowskiego t. j. tej reszty, której nie zabrała Austrya, albo rownouprawnienie nadane innowiercom i żydom w Konstytucyi 3 maja. Tem się tłomaczy niesłychany ucisk duchowieństwa katolickiego za Księstwa Warszawskiego i za Królestwa Kongresowego, wyszydzanie wiary katolickiej w takich książkach jak „ Podróż do Ciemnogrodu".

Wszystko to są dzieje mało znane i mało zrozumiałe dlatego,

że duchowieństwo polskie nie naśladowało Skargi w gorliwości pisarskiej, a zwłaszcza, że pole dziejów Kościoła w Polsce zaległo ugorem.

Wszelako przypomnieć trzeba, że nie rodzimy był ten duch, który opanował inteligencyę polską po rozbiorach, lecz był obcy i naśladowany. Słusznie powiedział Słowacki, że Polska była zawsze pawiem i papugą narodów, a chęć przyswajania sobie tego, co obcy wymyślili, była silniejszą, niż zdrowy chłopski rozum.

2) Właśnie w tym czasie, kiedy Prusak potrafił wciągnąć Rosyę do sojuszu, celem protektoratu nad dysydentami i dysunitami w Polsce (1765), przyjęła cesarzowa Marya Teresa syna Józefa II na współrejenta. Z tego też czasu pochodzi niezmiernie ciekawy memoryał, znajdujący się w archiwum Domu, Dworu i Państwa we Wiedniu. Napisał go Józef II i już wtedy wypowiedział zasadę tolerancyi, jako równouprawnienia.

Tolerancya taka była nieznana w cesarstwie austryackiem od czasów Ferdynanda, a mianowicie od czasu stłumienia zaburzeń, wywołanych przez innowierców w Czechach i na Morawie. Była tylko tolerancya na prywatne nabożeństwa dla niekatolickich wyznań. Nic więc dziwnego, że pomysł Józefa II o tolerancyi był przekonaniom matki wręcz przeciwny. Toczyła się też między niemi przez 15 lat korespondencya, niezmiernie ciekawa, właśnie w tej sprawie tolerancyi, której syn tak się natarczywie domagał, że nawet dwa razy, już po rozbiorze Polski (1775 i 1777) groził ustąpieniem od współrządów. Tyle tylko wymógł na matce, że w Galicyi dała tolerancyę na prywatne odprawianie nabożeństwa innowiercom w czterech miastach t. j. Lwowie, Jarosławiu, Zamościu i Zaleszczykach. Chodziło przytem o niemieckich przemysłowców i o kolonizacyę niemiecką, którą Józef II następnie przeprowadzał w dobrach, zabranych klasztorom w Galicyi.

Skoro tylko Marya Teresa umarła, wydał Józef II zaraz następnego roku (1781) dekret tolerancyjny. Dekret ten (a właściwie kilka dekretów) wywołał wielkie zaburzenie w cesarstwie i wywołał liczne apostazye od katolickiego Kościoła. Na to też głównie się skarżył Pius VI, będąc następnego roku we Wiedniu.

To spowodowało Józefa II do dekretu nowego, w którym skrócił termin, naznaczony na wolność występowania z Kościoła katolickiego. Tolerancya Józefińska ograniczała się jednak tylko do protestantów, kalwinów i żydów, bo mniejsze sekty pozostały tak dalece zakazane, że wyznawcy ich, mianowicie w Czechach, mieli (dekretem 8 lipca 1783) brać po 24 kije (*Stockschläge*).

Dla cesarstwa austryackiego miała jednak ta tolerancya Józefińska mniejsze znaczenie, bo innowierców było tam stosunkowo niewielu, (najwięcej może w Czechach) a również mało było żydów. Dosyć powiedzieć, że w Górnych Rakuzach, w głównem mieście Linz, było r. 1892 zaledwie siedmiu żydów. We Wiedniu nie wolno było, za Maryi Teresy, wcale mieszkać żydom na głównych ulicach. Pierwsza rodzina żydowska, której Józef II. pozwolił zamieszkać na Kohlmarkt, była Dobruska ze synem. Zwano ich „*Dobruskaer Kontrahenten*", dlatego, że zawarli kontrakt z Józefem II i zapłacili z góry umówioną sumę milionów florenów za srebrne i złote naczynia, zabierane z kościołów. Za Maryi Teresy musiał każdy żyd nosić żółtą przepaskę na rękawie, a każda żydówka żółtą wstążkę na kapeluszu. Józef II zniósł ten przepis — zresztą zupełnie zbyteczny dla odróżnienia! On sam osobiście czuł wstręt do ubogich żydów, ale pozwalał się osiedlać w Wiedniu takim, którzy posiadali majątku powyżej 10.000 fl.

Ostrze tolerancyi zwróciło się więc wyłącznie przeciwko Galicyi, gdzie liczba żydów była już wówczas bardzo wielka i niektóre miasteczka, jak Brody, były zamieszkane przez żydów. „*Quel horreur*"! — co za okropność — mówiła Marya Teresa, dowiedziawszy się, że w Brodach mieszka kilka tysięcy żydów. Józef II trzymał się polityki dzisiejszego rządu rosyjskiego, który pcha żydów na ziemie polskie, wypędzając ich z głębi Rosyi. Nic więc dziwnego, że skoro po śmierci Józefa II, jego brat Leopold zażądał opinii biskupów, pisał arcybiskup lwowski Kicki, w swojem sprawozdaniu (1790), że edykt tolerancyjny przyniósł korzyść wyłącznie żydom.

Rzeczywiście Józef II starał się zrównać ich we wszystkiem z katolikami. Pozwolił im szkoły zakładać, byle w nich był wy-

kład niemiecki. Na rok przed śmiercią (7 maja 1789) wydał reskrypt, który znosił wszelkie ograniczenia, nakładane na żydów przez sobory powszechne i synody dyecezyalne. Pozwolił im uczęszczać na uniwersytety i zdobywać stopnie akademickie, trudnić się wielkim i drobnym handlem, zakładać fabryki, trzymać sługi chrześcijańskie, bywać w teatrach i łaźniach, chodzić po mieście w święta uroczyste katolickie, nawet w czasie nabożeństwa Został tylko jeszcze, do czasu, kościelny przepis, żeby zamieszkiwali osobne dzielnice. To ograniczenie zostało dopiero później zniesione.

Tolerancya Józefińska nie dawała jednak politycznego równouprawnienia, którego żydzi nie zdobyli całkowicie nawet we Francyi, po wielkiej rewolucyi. Zyskali ją w Austryi dopiero po rewolucyi marcowej (1848), na którą podobno milion fl. dali, a przez to wywołali większą rewolucyę, niż pierwotnie była zamierzona.

Od tej rewolucyi wziął górę kierunek polityczny t. zw. liberalizm, który chciał, żeby katolicyzm akomodował się do nowoczesnych pojęć i wyobrażeń „postępowych" i dlatego zwalczał t. zw. ultramontanizm. Tak przezwano katolicyzm dlatego, że ma łączność z papieżem, który mieszka za górami („*ultra montes*"). Ta nazwa wyszła później z użycia i zastąpił ją t. zw. klerykalizm t. zn. katolicyzm, który utrzymuje łączność z duchowieństwem katolickiem: jakby mógł istnieć Kościół katolicki ze samych świeckich osób złożony, jak istnieje protestantyzm, lub inne sekty heretyckie.

Ściśle wziąwszy było tego ultramontanizmu bardzo mało w cesarstwie austryackim, bo już Marya Teresa zakazała biskupom i duchownym wszelkiej bezpośredniej korespondencyi z papieżem, a w następstwie tego przestał być papież uważany za głowę Kościoła katolickiego w Austryi. Całą też właściwą wartością konkordatu, który teraźniejszy cesarz Franciszek Józef I zawarł z Piusem IX. (1855), było to, że papież został uznany głową Kościoła w Austryi.

Liberalizm tryumfował głównie w Austryi po niefortunnej wojnie z Prusami, kiedy nadana wówczas konstytucya powołała

do życia Radę państwa w Wiedniu. Liberalizm żydowski miał tam większość i uchwalał ustawy miedzywyznaniowe i szkoły bezwyznaniowe, a zaczął je od ustawy kagańcowej, która karami groziła duchowieństwu, gdyby się poważyło z ambony lud oświecać o znaczeniu tych nowych, a zgubnych dla Kościoła katolickiego ustaw. Wtedy to pełno było po gazetach żydowskich krzyku: nuncyuszowi paszporty wydać! — bo nuncyusz był jeszcze ostatnim widomym znakiem istnienia Głowy Kościoła, z którą konkordat, niedawno zawarty, został zerwany — a dotąd jeszcze nie został urzędownie odnowiony. — Wina jest w tem katolików i tej tolerancyi przesadnej, jaka weszła w modę i zwyczaj wygodny.

2) Nauczyciel retoryki, rzymski pisarz Quintilian, który napisał 14 ksiąg o wymowie, uczy, że mowca nie powinien nigdy mówić o sobie: proszę jednak wybaczyć, że odstąpię od tej reguły, żeby dać przykład, jak wyglądał galicyjski liberalizm w tych czasach, kiedy ja zacząłem posłowanie do Rady państwa w Wiedniu.

W sobotę, 5 czerwca 1886, toczyły się tam obrady nad ustawą przeciwko socyalistom, a jeden z posłów czeskich wyszydzał to, że chrześcijaństwo obiecuje ludziom niebo, podczas gdy im potrzeba chleba. W niedzielę następnego dnia, prosiłem na posiedzeniu Koła polskiego, żeby mi pozwolono zabrać głos w Izbie i to w obronie chrześcijaństwa. Zdawało mi się, że nikt niema nic przeciwko takiemu wystąpieniu, a jeden z posłów, obecnie minister wspólnych finansów, przypominał mi, że przecie są chrześcijańscy socyolodzy. Na to oświadczył ówczesny prezes Koła: „przepraszam, my tu mamy w Kole pp. Dr. Blocha, Dr. Rapaporta i Dra Rosenstocka i tych się wyprzeć nie możemy; więc X. Chotkowski będzie mówił ze stanowiska swojego zawodu(!) ale Koło wyjdzie z Izby". Tak się też stało. Nazajutrz, kiedy przyszedłem do głosu, wszyscy posłowie polscy wyszli z Izby. Został przy mnie tylko jeden, obecnie proboszcz w Gawłuszowicach, który tu niedaleko siedzi i może poświadczyć prawdę słów moich.

To samo powtórzyło się drugi raz, kiedy była na stole Izby

sprawa katechetów szkół ludowych. — Dla objaśnienia muszę dodać, że w tym Zaborze ma duchowieństwo w ręku naukę religii po szkołach. Szkół ludowych powstało od chwili, gdy Galicya otrzymała autonomię, przeszło siedm tysięcy, i dlatego duchowieństwo ma wielki trud z nauczaniem religii, a miejscami podołać mu nie może. Dlatego potrzebni są osobni nauczyciele religii, czyli t. zw. katecheci szkół ludowych, i oczywiście potrzebne jest dla nich osobne utrzymanie. — Kiedym na posiedzeniu Koła żądał pozwolenia na zabranie głosu w Izbie, powtórzyło się znowu to samo, co poprzednio. Prezes Koła znowu zadecydował, że Koło wyjdzie z Izby — i kiedy 15 marca 1888 zabrałem głos, wszyscy posłowie wyszli, prócz tego jednego, o którym już wspomniałem. Lecz wtedy zaszło coś, czego się polscy posłowie nie spodziewali, albowiem nie tylko obaj wiceprezydenci Izby, hr. Clam-Martiniz i baron Chlumetzky zeszli z trybuny prezydyalnej, żeby mnie słuchać, ale wszyscy posłowie całej Izby otoczyli mnie dokoła i zapełnili polskie ławy. Wtedy ciekawość wzięła górę i członkowie Koła polskiego wrócili z kuloaru do Izby.

Katolicy w cesarstwie austryackiem czuli potrzebę bronienia katolickiej sprawy, ale na czele rządu stał wtedy minister-prezydent hr. Taaffe, który był konserwatystą, ale konserwował starannie wszelkie liberalne ustawy. Przez dziewięć lat potrafił wstrzymać katolików obietnicami, aż wreszcie następnego roku (1889) zdobyli się na jeneralny wiec katolicki w Wiedniu.

Tymczasem już liberalizm porodził syna, który się zowie socyalizm, a ten ma rodzonego brata, który się zowie anarchizm. I to jest ciekawe, że ojciec wypiera się swoich dzieci, a dzieci do rodzeństwa przyznać się wstydzą. Lecz ta trójka tak wreszcie dojadła katolikom, że przecie przypomnieli sobie potrzebę obrony: dlatego za jeneralnym wiecem katolickim w Wiedniu poszedł drugi (1892) w Linzu i świetnie się udał. Charakterystyczne jest, że przywódca konserwatywnego stronnictwa w Izbie, hr. Hohenwart, trzy razy był proszony telegraficznie, nim się zdecydował nadesłać telegram z życzeniami do Linzu. Z Polaków było nas tylko trzech księży.

Katolicy w Galicyi trzymali się tymczasem strusiej poli-

tyki chowania głowy pod kamień, żeby się nie narazić na jakie nieprzyjemności, podczas gdy w innych krajach Austryi już ruch katolicki coraz silniej występował.

Na dzień 29 lutego 1893 przypadał jubileusz biskupi Leona XIII i należało koniecznie urządzić uroczysty obchód w Krakowie, gdzie nigdy jeszcze takiego obchodu nie było. Rzecz poszła nadspodziewanie gładko. Sala Sokoła przystrojona była bardzo pięknie chorągwiami cechów krakowskich, a zapełniła się doborową publicznością w odświętnem ubraniu, jak program przepisywał. Błogosławieństwo Ojca św. nadeszło na czas, ale główną mowę musiałem ja sam powiedzieć, bo nikt się nie chciał tego podjąć. Na godzinę przed rozpoczęciem była jeszcze u mnie deputacya, która kategorycznie żądała, żebym o unitach nic nie mówił. — Kiedy się ta uroczystość piękna skończyła, zbliżył się do mnie jeden z najlepszych naszych katolików i powiedział na ucho: myśmy zaledwie na to się zdobywali, żeby wysyłać po cichu adres do papieża!

Jeśli były obawy przed tą uroczystością, czy się uda, to nieporównanie większy był strach, kiedyśmy tego samego roku zamierzyli odbyć wiec katolicki w Krakowie, pierwszy w Galicyi. Była nawet deputacya u ś. p. kardynała Dunajewskiego, żeby zakazał tego wiecu, bo obawiano się, że nietylko będzie fiasko, ale nawet skandal! — Tymczasem wiec udał się doskonale. Dodało mu świetności przybycie nuncyusza wiedeńskiego Agliardi. Witany uroczyście na dworcu, jechał w otwartym powozie przez rondel floryański i ulice miasta, rzęsiście iluminowane i ozdobione chorągwiami. Patrząc na to, powtarzał wciąż te słowa: „*da vero, città cattolica*“ za prawdę, katolickie miasto!

Napoleon mawiał: *grattez le Russe, le Tatar paraitra*, co możnaby zastosować inaczej: podrap Krakowianina, a katolik się pokaże, tylko trzeba umieć podrapać. — Przybyli na wiec biskupi z całej Galicyi, wszystkich trzech obrządków. Przemawiał nuncyusz po łacinie, mowy mieli i arcybiskup ormiański i metropolita unicki, który przemawiał po rusku. Udział był bardzo liczny, a narady w sekcyach bardzo gruntowne i poważne, wszystko zamieszczone zostało w Księdze pamiątkowej.

Za tym wiecem poszły dalsze, aż się teraz zgromadził ten wiec Skargowski.

„Za śmiałymi swe koła zwykło szczęście toczyć“ — pisał w „Wojnie Chocimskiej“ Wacław z Potoka Potocki, imiennik tego, który stał na czele komitetu, urządzającego pierwszy wiec w Galicyi, a który zginął z bratobójczej ręki szaleńca, powszechnie czczony jako pierwszy obywatel tego kraju i jako jego znakomity Namiestnik.

Śmiały był ten, z początku lekceważony i spotwarzany, a następnie uwielbiany, jako burmistrz Wiednia, który potrafił przełamać żelazny pierścień liberalizmu żydowskiego w Wiedniu, co krępował życie katolickie w całej monarchii. Pogrzeb jaki mu wyprawiła stolica, był czemś niebywałem i niewidzianem w świecie. Zaczem mógł się tego roku w Wiedniu odbyć tak świetny i wiekopomny kongres eucharystyczny, i mógł w nim wziąść udział sam cesarz. Ten monarcha, który na początku swoich rządów, uznał papieża Głową Kościoła w swojej monarchii, a ludowi polskiemu okazał sprawiedliwość, przyczynił się tem do tryumfu katolicyzmu. Albowiem zasadniczym naszej wiary artykułem jest Najśw. Sakrament. Jego negacya tworzy treść główną wszystkich wyznań odszczepionych, jego cześć, tak uroczysta w stolicy monarchii przez sędziwego cesarza i cały Dom panujący, jest zapowiedzią stanowczego odrodzenia katolicyzmu.

V.

Tym wyrazem nadziei powinienbym zakończyć przemowę, ale nadzieja musi mieć realną podstawę.

W czasie kongresu eucharystycznego w Wiedniu złożyło bractwo „trzech kropek“, jak w Niemczech nazywają masonów, wieniec u stóp pomnika Józefa II. Znani są w Wiedniu pod nazwą „towarzystwa wolnej szkoły“.

Tak, jak tolerancya ma oznaczać wolność niewiary, tak „*freie Schule*“, wolna szkoła, ma oznaczać wolność nauczania bez Boga.

Ściśle wziąwszy, umieścili ci panowie swój wieniec pod nie-

właściwym pomnikiem i widocznie historyi dokładnie nie znają, bo ta wolność nauczania, o którą im chodzi, datuje się już od Maryi Teresy. Albowiem już na rok przed rozbiorem Polski przedłożył hr. Pergen, ówczesny minister, a później pierwszy gubernator Galicyi, plan laicyzacyi szkoły. Plan ten wypowiadał zasadę, że cały kler świecki i zakonny powinien być usunięty od szkoły, a wychowanie powinno być rzeczą państwa, i powierzone wyłącznie świeckim ludziom.

Plan ten nie mógł być odrazu wykonany, ale już za Maryi Teresy rozpoczęto go przeprowadzać, a z czasem wydarta została Kościołowi szkoła, którą zawsze nazywano córką Kościoła. Stało się to nieznacznie i zwolna tak, że katolicy się wcale nie spostrzegli, a co najsmutniejsza, sami duchowni do przeprowadzenia tego zamachu dopomagali.

W naszej literaturze głośne są ich imiona, i w tym roku obchodzono rocznicę jednego z kanoników krakowskich, który w tym duchu i kierunku reformował Jagiellońską Szkołę. Wszystko to jest możliwe dlatego, że tamci byli kapłanami bez ducha kościelnego, a duchowni polscy pono nie bardzo się historyą literatury naszej zajmowali.

Mówić obszernie o skutkach laicyzacyi szkoły już dzisiaj nie mogę, alem pisał o tem obszerniej, a każdy zresztą widzi, jakie skutki przyniosło upaństwowienie szkoły dla katolickiego wychowania naszej młodzieży. W dwóch Zaborach stała się szkoła łożem Prokrusta, na którem dzieci polskie straszne męki ponoszą. Uczą i wychowują naszą młodzież ludzie obcego języka i cudzej wiary, a często i bez wiary. Rozlega się głośno hasło wolnej szkoły i wolności nauczania, a w rzeczywistości jest to najhaniebniejsza niewola, bo państwo przywłaszczyło sobie prawo wychowania i nauczania dzieci, a rodzicom zostawiło tylko wolność opłacania szkoły i utrzymywania dzieci. Ba, nawet tak dalece ograniczono tę wolność rodzicom, że w Prusiech przywłaszczyło sobie państwo prawo „przymusowego wychowania“ t. j. zabierania dzieci rodzicom, którzy nie chcą ich w myśli po duchu rządowym wychowywać.

Tak robili dawniej Turcy — i chrześcijańskie dzieci wycho-

wywali na janczarów, tak robili Krzyżacy — i litewskie dzieci wychowywali na „Knechtów", tak robią dzisiaj — i wychowują polskie i katolickie dzieci na niemieckich protestantów. Prawią o wolnej szkole a dzieciom polskim każą się nawet religii uczyć w obcej, niezrozumiałej mowie. A jeśli już polskie dziecko nawet pacierza po polsku mówić nie może : pożal się nas Boże!

Świeżo przecie jeszcze wszyscy mamy w pamięci ten głośny w świecie *strike* dzieci szkolnych w Prusiech, który hańbą okrył przed światem całe Prusy. Nakazano z góry złamać opór dzieci karami cielesnemi, a rodziców i duchowieństwo wszelkiemi możliwemi karami.— Mówił mi, świeżo zmarły, długoletni poseł, ś. p. X. prałat Jażdżewski, że w Berlinie pieniono się wówczas ze złości, a sam na własne oczy widział, jak żandarm pruski w Środzie płakał, patrząc na polskie dzieci, które katowane za opór w szkole, szły pod krzyż się modlić i śpiewać polskie pieśni.

Wieść o tem poszła po całej Słowiańszczyźnie, a jeden z moich znajomych przekonał się o tem, będąc w Istryi. Zagadnął horwacką dziewczynkę po niemiecku i nie odebrał żadnej odpowiedzi, a kiedy zapytał matkę, dlaczego dziewczę nic nie mówi, odpowiedziała zagadnięta : nasze dzieci po niemiecku nie chcą mówić, bo słyszały o tem, co cierpiały polskie dzieci we Wrześni.

Zanadtobym nadużywał cierpliwości szanownych słuchaczy moich, gdybym chciał jeszcze mówić o szkołach cerkiewnych i szkołach ludowych w Zaborze rosyjskim, ani też nie mogę powtarzać wszystkiego, com tylekrotnie publicznie mówił o naszych szkołach bezwyznaniowych w Galicyi. Przecie niedawno powiedział teraźniejszy minister wyznań i oświecenia w Austryi, że w tem cesarstwie cieszą się większą tolerancyą inne wyznania, niż katolicy. Dlatego to może mieć gmina ewangelicka szkołę wyznaniową w Krakowie, lecz nie mogą jej mieć katolicy, dlatego muszą dzieci katolickie uczyć się razem z żydowskiemi dziećmi. A ktokolwiek zna choć trochę pedologii żydowskiej, ten zrozumie, jaki zgubny wpływ na naszą młodzież wywiera młodzież żydowska. Patrzeliśmy też niedawno na te smutne awantury, jakie wyprawiała głównie ta właśnie młodzież w naszej prastarej, Jagiellońskiej Szkole.

Kiedy w uniwersytecie wiedeńskim po raz pierwszy miał żyd odbyć promocyę i zyskać stopień doktora, podniósł arcybiskup wiedeński, kardynał Migazzi uroczysty protest. Albowiem uniwersytety zakładał Kościół katolicki i na soborach bronił wolności nauki, t. j., żeby każdemu wolno się było uczyć, nawet najniższego stanu — lecz katolikowi. Bo dla swoich wyznawców, a nie dla innowierców zakładał Kościół te centra oświaty i nauki. Tak też i krakowski uniwersytet i akademie inne: we Wilnie, we Lwowie i t. d. uposażali królowie i biskupi polscy tylko dla swoich t. j. katolików. A uposażali je hojnie beneficyami kościelnemi, z których się mieli utrzymywać nauczyciele duchowni. Dla innowierców i dla żydów tych beneficyów przecież nie przeznaczali.—Tak samo stopnie akademickie przeznaczone były tylko dla katolików, i dlatego przed każdą promocyą musiał *promovendus* składać wyznanie wiary i na krzyż przysięgać, że będzie Kościołowi i jego nauce wierny.

Powie mi kto, że teraz panuje wolność? Ależ owszem, niech będzie wolno każdemu zakładać sobie szkoły, tylko niech nam naszych nie zabierają! Bo przecie stare przysłowie uczy, że nie trzeba cudzego pragnąć, ale swojego na śmiech nie dawać. A jeśli ma być wolność, to niechże nam będzie wolno przynajmniej jeśli już nie katolicki, to choćby przynajmniej chrześcijański charakter szkół naszych zachować.

Dlatego z prawdziwą zgrozą dowiedzieliśmy się, że tego roku — i to w rocznicę założenia uniwersytetu we Lwowie przez króla Jana Kazimirza, wybrano rektorem tegoż uniwersytetu żyda!

Poeta niemiecki kładzie w usta Dziewicy Orleańskiej te piękne słowa: „*Denn es ist des Volkes erste Pflicht, die Ehre zu retten!*“ Cześć zachować, to pierwszy narodu obowiązek! Nasz honor, sława naszego narodu i jego posłannictwo dziejowe na tem polega, że był przedmurzem chrześcijaństwa na Wschodzie, że niósł pochodnię oświaty i wiary katolickiej pomiędzy dzikie hordy i nieokrzesane ludy. Niedaremnie Bóg nas doświadcza w tych ciężkich chwilach, „niedaremnie nasze dzieje w takie ciemne pchnął koleje“ — żebyśmy się w dniach próby okazali

wierni naszemu posłannictwu, a nie dawali uwodzić kłamliwym hasłom: tolerancyi, wolności, postępu i t. d. W imię tych pięknie brzmiących haseł wydarto nam prawie wszystko, nie dawajmyż przynajmniej tego, co jeszcze nam zostało, dobrowolnie w cudze ręce.

Słusznie powiedziano, że kto ma szkołę w ręku, ten dzierży przyszłość narodu. Dobrze to wiedział Skarga i dlatego sam organizował tyle kolegiów, w których się kształciła polska młodzież. Szkoły te położyły kres różnowierstwu w Polsce, bo nawet dysydenci posyłali do nich swoje dzieci, dlatego, że uczyły dobrze, a dzieci te wychodziły ze szkół katolikami. Po rozbiorze Polski najpierw szkoły złaicyzowano, a teraz mamy spokojnie na to pozwolić, żeby nawet charakter chrześcijański straciły!

Ach, ja wiem doskonale, co na to powiedzą nasi politycy, bom przecie nie taki głupi! Wiem, dlaczego w tym Zaborze tak wszyscy grzecznie koło żydów skaczą, ale sądzę, że się sprawdza łacińskie przysłowie, które mówi: *duobus litigantbus, tertius gaudet*, gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci się raduje. Bodaj czy nie tak się w Galicyi dzieje, jak w operze Mayerbeera „Hugenoci", o której powiedział król Fryderyk Wilhelm IV, że tak się w niej dzieje, jak zwykle w świecie: chrześcijanie się biją, a żyd do tego dorabia muzykę i przygrywa.

Tak było za czasów Skargi, który Rusinów wzywał do Unii, wykazując w swoim znakomitem piśmie „O jedności Kościoła Bożego pod jednym pasterzem", że prawie cała ich szlachta przeszła na kalwińskie wyznanie. Wiadomo, że później, porzucając herezyę, porzuciła też obrządek grecki. Upominanie Skargi przeszło bez skutku i w dwanaście lat później Grek przybłęda, wyświęcił samozwańczych władyków, przez co zamieszanie i niezgoda pomiędzy Rusinami jeszcze bardziej wzrosły. Przyniosło to Rusi nieobliczone szkody, bo Ruś tylko Unią z Rzymem może zachować byt polityczny, a Unia stoi tylko w łączności z polskim narodem. Ilekroć zrywa się jedna, zachwiana musi być druga, czego obecnie mamy coraz jawniejsze dowody.

2) Już za czasów Skargi, kiedy rokosz religijny wywołał zamęt niesłychany i niekarność, wołali myślący ludzie: „reta,

giniemy"! Dzisiaj krzyk ten możnaby powtórzyć stokroć głośniej, bo dwie rozbiorowe potęgi dokładają wszelkich możliwych zabiegów, żeby nas wygubić, a o nas powiedziano, że jesteśmy narodem samobójców. Ileż to krwi i mienia poszło na odzyskanie wolności, a wszystko na marne, dlatego, że narody powstają z upadku, ale tylko wtedy, gdy się dźwigają całe. Żaden dom nie ostoi się na jednym węgle, jeśli go nie dźwigają wszystkie cztery. A Polska stała tylko na jednej podstawie i na tej jednej powstać chciała, podczas gdy drugie warstwy narodu pamiętały, że za dawnych czasów doznawały krzywdy, ucisku i niewoli. Więc słusznie powiedział jeden z naszych wieszczów o tych krwawych usiłowaniach, że „pragnęli wolności a Boga nie znali". Bo Bóg jest sprawiedliwy i jest miłosierny — ale dla wszystkich.,

Kacerstwo zepsowało w Polsce sprawiedliwość i wiodło za sobą brak zmiłowania dla słabych. Rozumiał to Skarga i dlatego wszędzie, gdzie przebywał czas dłuższy, zakładał bractwa miłosierdzia i t. zw. banki pobożne: w Wilnie, Lublinie i tutaj w Krakowie. Przytem zakładał bractwa św. Łazarza, dla pielęgnowania chorych, arki św. Mikołaja, na posagi dla ubogich dziewcząt i wsparcia dla rękodzielników, żeby mogli wędrować za granicę i w rzemiośle swojem się doskonalić. Dał nawet początek bractwu kupców polskich, żeby i ta gałąź bogactwa krajowego nie przeszła zupełnie w obce ręce.

Wielka ta myśl dźwigania społecznego gospodarstwa na chrześcijańskiej podstawie, poszła u nas w zapomnienie i dzisiaj widzi każdy, że to była jedna z przyczyn naszego pogromu i że to jeden z pierwszych warunków podźwignięcia się z upadku całego narodu.

Przed ćwierć wiekiem, mniej więcej, zdarzyło mi się widzieć w Galicyi pogrzeb, jakiego nigdy w życiu nie widziałem. Na chłopskim wozie wieziono trumnę, za wozem szli żydzi i chłopi na żydowski cmentarz. Dopytywałem się przyczyny tego udziału polskiego chłopa w żydowskim pogrzebie i dowiedziałem się, że żyd ten był wprawdzie lichwiarz i darł niemiłosiernie, ale przecie chłopi byli mu wdzięczni, bo gdy na przednówku głód im dokuczał, a nikt nie chciał poratować, żyd wtedy pożyczył.

Nikt nie miał dla biednego chłopa serca, a jak on miał mieć serce dla Polski? — Nie dawno zmarły kanonik krakowski, który dożył lat bardzo sędziwych i pamiętał dawne czasy, mówił mi tak: bił chłopa mandataryusz na rozkaz pana i bił go na rozkaz księdza, a potem się dziwili, że ich chłop nie kocha. Więc jak się dziwić, że rząd mógł mu wcisnąć w rękę nóż bratobójczy w r. 1846 i że r. 1863 zbierali się chłopi galicyjscy w gromady, ze strachu, że Polacy idą!

Dzięki Bogu te czasy minęły, bo w całem duchowieństwie rozbudził ducha społecznej sprawiedliwości wielki papież Leon XIII. Duch Skargi odżył, a jego „*Montes pietatis*" nie ograniczają się już dzisiaj do kilku miast w Polsce. W tej pracy społecznej kroczy na czele duchowieństwo wielkopolskie.

W czasie wielkiego bezkrólewia i upadku zgromadził się naród polski nad Gopłem i przez wybór Piasta, dał Polsce nowe odrodzenie. Daj Boże, aby i teraz to rozbudzone życie w Wielkopolsce, było zapowiedzią odrodzenia w tej naszej nieszczęśliwej doli.

Wszystko się zdaje chwiać, trzeszczą ostatnie belki naszej narodowej łodzi, na której nieszczęsne rozbitki płyniemy. Opuszczają nas dawni sojusznicy i przyspieszają rozbicie, na które czekają z upragnieniem nasze wrogi, lecz „niechaj żywi nie tracą nadziei", dopóki wierzą w sprawiedliwość odwieczną Boga! Bo, jak mówi wielkopolski poeta: „nie tenci żeglarz, co płynie po wodzie, nie poruszanej nic wiatrem w pogodzie, ale kto wały, gdy biją najcięższej, wiosłem zwycięży!"

Do wioseł przeto pracowici żeglarze! Póki na szczycie masztu naszego widnieje godło Tego, który przez mękę i cierpienia świat odkupił, nie traćmy nadziei! — Niech każdy robi co może, a Bóg nam dopomoże.

Ks. Władysław Chotkowski.

POLSKI TYP KATOLICKI.

MOWA DRA BRONISŁAWA DEMBIŃSKIEGO.

Natchniony chrześcijański myśliciel, twórca pomnikowego dzieła : *De civitate Dei*, św. Augustyn, ujął pięknie i głęboko związek przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Prądy dziejów przenikają naszą duszę i krystalizują się w naszej samowiedzy. Obejmujemy przeszłość pamięcią, teraźniejszość odczuciem a przyszłość przeczuciem, łącząc ogniwa dziejowego łańcucha siłą i pracą wewnętrzną w ogniu miłości i cierpień. Pokolenia po pokoleniach idą, jak płyną fale, a każde „wykuwa" swój żywot, wytwarza odrębny charakter i odrębny stanowi typ. Jesteśmy dziedzicami przeszłości, a twórcami przyszłości.

Dziś czujemy się dziedzicami wielkiej dziejowej chwili, w której ludzkość, jak powiedział mąż wielkiego serca i potężnej głowy, Józef Szujski, była „rozpiętą na krzyżu wielkich zagadnień".

Wśród walki pada średniowieczna budowa, wśród bolu i wielkiego duchowego boju świata chrześcijańskiego i pogańskiego, wśród przeobrażeń społecznych i politycznych, wśród zdumiewających zdobyczy i odkryć, powstaje nowożytna kultura. Umysł ludzki dążył do samodzielnego rozwiązania ogromnych zagadnień, dążył z potężnym wysiłkiem, aby na sobie się oprzeć, znaleźć świat w sobie, przez siebie i dla siebie. Szukał praw w na-

turze, w świecie i wszechświecie, a zarazem prawa natury, nieprzedawnionych praw człowieka w społecznej budowie. Człowiek chciał samodzielnie pojąć i ująć stosunek kreatury do Stwórcy, niezależnie od wielkiej tradycyi i wiekami uświęconych prawd; zwątpił w swą wolę a dufał w swój rozum i swą twórczą siłę. Duch ludzki pnie się na szczyty, a pada na ciernistej drodze; obejmuje cały glob ziemski, a sam tonie i siebie gubi w przestworzach. Powstają wielkie konstrukcye, ale zmienne i chwiejne! Wielki ten trud świadczy o mocy ludzkiego ducha, ale też i o niemocy. Po epoce „odrodzenia" zapłonęła Europa ogniem religijnych walk; po wieku „oświecenia" przyszła wielka rewolucya. Obok blasków nowożytnej kultury padają cienie.

Jak z tym rozwojem uniwersalnym ducha ludzkiego łączy się duch polski? Polska indywidualność w epoce odrodzenia i religijnej rewolucyi jest najbliższą Zachodu. Z Zachodu płyną prądy do Polski, a z Polski na zachód. Te same walki rozgrywają się w duszy polskiej. Była chwila, w której naród był także pogrążony w religijnem rozdarciu, ale po burzy zachowała się jedność. W łonie samego narodu obudziła się potrzeba, aby utrzymać historyczne związki z Rzymem. Dla Polski, położonej na granicach dwóch Światów, Zachodu i Wschodu, utrzymanie tych związków było bardziej zasadnicze, niż dla Francyi, Anglii i Niemiec. Francya, pogrążona w religijnej rozterce, przodowała zachodniemu światu, Anglia, pomimo schizmy, pozostała w pierwszym szeregu narodów, tworzących zachodnią kulturę. Niemcy, rozdarte i przez wieki ubezwładnione pożogą wojen i duchowem rozbiciem, stały zawsze w centrum Zachodu. Zerwanie Polski z Rzymem byłoby naruszeniem i rozluźnieniem ścisłej łączności z Zachodem, byłoby zwycięstwem Wschodu nad Zachodem, Bizancyum nad Rzymem.

Skarga, którego duch dziś przed nami staje, nie tylko, jako gorący wyznawca wiary katolickiej, nie tylko jako wierny syn Kościoła, ale także jako dobry syn narodu z krwi i ducha, jako wielki a szerokiego serca miłośnik ojczyzny, wołał z głębi duszy: „ale, proszę, czujcie się, jako źle ine i obce fundamenta pod budowanie stare podkładać... Na katolickiej wierze Kościoła św.

rzymskiego to Królestwo zbudowane jest ; tak stało przez sześćset lat..." Błagał i zaklinał, aby nie ruszać „tych fundamentów religii starej", bo nastąpi „wielkie zarysowanie murów Królestwa i ojczyzny, a z tym i upadek, obroń Boże!"

Widząc z żalem i bolem pierwiastki rozstroju i niemocy ojczyzny, widział ratunek w zachowaniu „fundamentów", które przetrwały sześćset lat, w zachowaniu religijnej jedności, jako podstawy i rękojmi spoistości i siły murów Rzeczypospolitej, jako warunek jedności narodu. Przeświadczony, że w tej mierze nauka Kościoła katolickiego wychowawcze ma znaczenie, głosił: „Do tej jedności i zgody wiara św. katolicka dziwnie ludzi zaprawuje i w niej mocno zatrzymywa, bo każe wszystkim wiernym być, jako bratom u jednego ojca i w domu jednym".

Geniusz polski wierny historycznej tradycyi, zajaśniał na początku XVII w. z wielką siłą. Naród podjął walkę z protestancką Szwecyą, schizmatycką Rosyą i muzułmańską Turcyą. Zapowiada się wyraźnie doniosła historyczna rola Polski — obrony Zachodu i chrześcijaństwa, rola czynna, która wymagała sprężystej inicyatywy, krwawej ofiary, nieustannego męstwa i nieugiętej woli. Te rysy widnieją w fizyognomii Polaka w dobie ekspanzyi i czynu.

Po chwili wielkiego rozmachu i napięcia następuje jednak wcześnie osłabienie energii narodowej. W drugiej połowie XVII w. Polska politycznie słabnie i nie bierze też intenzywnego udziału w wielkiej pracy myśli. Osłabienie państwa prowadzi nas w głąb trudnego zagadnienia : jak się to stało, że Polska katolicka coraz bardziej pogrąża się w niemocy i nierządzie. Skarga powiedział, że katolik jest synem posłuszeństwa, które „najwięcej Rzeczpospolitą trzyma i szczęśliwe rządy czyni". Tymczasem Rzeczpospolita „mdlała", a rządy były coraz bardziej nieszczęśliwe, aż okrutne gromy uderzyły. Katolik-Polak, którego Skarga chciał mieć „synem posłuszeństwa", dobry katolik w domu, zrywał sejmy, podnosił rokosze, rozmiłował się w nierządzie, zatracił poczucie prawa i sprawiedliwości. Innym był „doma", a innym na Sejmie. Uczuć się daje w polskim charakterze brak woli i szczerości, żelaznej logiki i bezwzględnej konsekwencyi, brak

wewnętrznej spójni między życiem publicznem a prywatnem. Wielki natchniony prorok, który naród gromił i do pokuty wzywał a wieszczym duchem przepowiadał nieszczęścia, był u potomnych naprawdę jakby „niegodną proroczyną". W zapomnienie poszły mądre rady i nawoływania. Zaiste powiedzieć można, że Polska słabła i padała nie dlatego, że była katolicką, tylko dlatego, że była niedość katolicką, — w sferze obowiązków wobec ojczyzny, że nie przejęła się szczerze duchem Skargi, duchem moralnego ładu i rządu. Nierząd był jaskrawem i niebacznem odstępstwem od zasad przekazanych przez narodowego proroka.

Słabnie i łamie się indywidualność polska, nie pogłębia się i nie hartuje. W drugiej połowie XVIII w. w dobie podjętych reform politycznych, trudno było o skupienie całej moralnej siły narodu. Kultura „oświecenia" rzucała promienie, ale naruszała też podstawy moralnego zdrowia. W tragicznych chwilach niedostawało niezłomnej siły i głębokiej wiary. Typem tej kultury i jaskrawym objawem jest Stanisław August.

Ale wśród tragedyi rozbiorów ocalało świeże, zdrowe uczucie narodowe. Polska wstępuje w okres dziejów porozbiorowych z odradzającą się siłą moralną, z wiarą w wielkość i świętość swej sprawy. Rozbudzone uczucie narodowe łączy się wśród okrutnych doświadczeń i pod tchnieniem romantyzmu z odrodzonem uczuciem chrześcijańskiem i katolickiem. W ogniu cierpień za wiarę i ojczyznę spaja się ścisły związek narodowego uczucia z religijnem.

Indywidualność polska krystalizuje się wśród ogromu nieszczęść i grozy prześladowań; po bohaterskich czynach na krwawych pobojowiskach objawia się wezbrane a tłumione uczucie w bezkrwawym czynie — myśli, w twórczem natchnieniu. Nękana polska dusza błąkała się wśród ekstremów: od wiary, że „Bóg miłosierny" uczyni cud, przechodziła, udręczona nadmiarem bolu, do rozpaczliwej skargi Prometeusza.

Pod przygnębiającem wrażeniem tryumfów obcych, wśród bolesnych własnych rozczarowań, powstała w końcu ponura myśl, aby z gruntu przekształcić polski charakter, na gruzach przeszło-

ści nową stworzyć przyszłość, — na wzór twardych zdobywców, uzbrojonych w pancerz brutalnej siły, w żelazną pięść, — aby od idealizmu — zwodniczego przejść do egoizmu — zwycięskiego, a poświęcając zasady, nowy wytworzyć typ Polaka.

Wobec ducha Skargi, który z gorącem sercem i bystrym rozumem przeniknął duszę polską, należy nam dziś w uroczystej chwili, w której na sobie doznajemy, żeśmy „bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy, wszędzie nędzni...", uczynić publiczny rachunek sumienia, wniknąć w głębie narodowego ducha.

Czy Skarga był prawdziwym prorokiem, przepowiadając nieszczęścia, a fałszywym, ukazując środki ratunku, czy jego rady były tylko na jedną chwilę, na jeden wiek, czy dziś niema już w nich prawdy i żywotnej siły?! Co było wyrazem i potrzebą chwili, a co zostało niespożytą, nieprzedawnioną spuścizną? Czy to zespolenie ojczyzny i narodowości z ideą i etyką chrześcijańską i z wiarą katolicką ma się w całej pełni utrzymać?

Dla narodu, któremu piszą wyroki zagłady, już nie we wojnie, ale w pokoju, zachowanie narodowej podstawy jest główną potrzebą i kardynalnym obowiązkiem. Uczucie narodowościowe i miłość ojczyzny tkwi głęboko w duszy polskiej, przenika ją całą. Nie mogą nas nęcić ani przekonać zwodnicze, rewolucyjnym tchnące duchem, hasła kosmopolityczne, które musiałyby zburzyć podstawę samodzielnego bytu narodu. Ale świadomość narodowa utwierdza się i pogłębia, jeżeli płynie z czystego źródła wiecznych prawd i niewzruszonych zasad chrześcijańskich. Chrześcijaństwo nie jest osłabieniem raczej potężnem potwierdzeniem narodowej idei.

W ciągu XIX w. zaznaczyła się złowrogo wybujałość narodowości a tak samo wybujałość państwa. Państwo, niezbędna i zbawienna organizacya, urosło do potwornych kształtów Lewiatana, któremu gwałtem ma się składać hekatomby z życia i jestestwa ludzkiego. Państwo pochłania całego człowieka, łamie i miażdży naturę ludzką, wtłaczając ją w żelazną obręcz — w imię racyi stanu; paczy ludzkie powołanie, nadwyręża i niszczy to, co już nie jest własnością państwa, co stanowi siłę

duchowej istoty, co człowieka wiąże z wiecznością. Podobnie nacyonalizm, pogańskim duchem pogardy i nienawiści przesiąknięty, zrywając związek z wielką chrześcijańską rodziną, prowadzi do „walki wszystkich z wszystkimi".

Potrzebą naszą jest utrzymanie związku z Rzymem, z najwyższą moralną potęgą, z katolicką uniwersalną organizacyą, która jest antytezą błędnej i złowrogiej omnipotencyi państwa. Potrzebą naszą, jest oparcie się o ideę chrześcijańską, która stanowi antytezę zachłannego zaborczego pogańskiego nacyonalizmu. Jesteśmy i pozostaniemy wyznawcami wielkiego dziejowego znaku: *In hoc signo vinces*, a nie brutalnej pogańskiej zasady: *vae victis*, wznowionej i gwałtem stosowanej przez nowożytne państwo, rzekomo oparte na poczuciu i podstawie prawa. Porządek świata, na bezprawiu ugruntowany, na łamaniu i tępieniu powalonych siłą narodów, nie może trwać wieki i musi runąć. Kultura europejska jest dziś na przełomie!

Skarga przypomniał słowa Mędrca: „Dla niesprawiedliwości przenosi P. Bóg królestwa od narodu do inego narodu", a powołał się przytem na filozofa, twórcę idealizmu, Platona, który rzekł: „ a mniejszy grzech jest człowieka zabić, niźli na stawieniu prawa pobłądzić, bo ono złe prawo długo będzie i ciało i dusze ludzkie zabijało". Skarga przepowiadał „pomstę Bożą". Dziś potrzeba tak potężnego ducha, jak Skargi, aby całej Europie głosił prawdy. Czcząc Skargę w chwili nieszczęść możemy czerpać otuchę, pomnąc, że P. Bóg przenosi „królestwa od narodu do inego narodu". Stąd nauka, aby stać na „fundamentach religii starej", z którą historyczna, polska indywidualność spojona. Te „fundamenta" przetrwały i przetrwają burze.

Przejęty ideą chrześcijańską i katolicką naród stanie na zewnątrz w potężnym duchowym rynsztunku a utrzyma wewnątrz swą zwartość społeczną.

Zarzućmy owe hasła! Skarga miał jasne poczucie harmonii społecznej, mówił o „muzyce, składanej z różnych głosów, wyższych i niższych". Ubolewał, że fałszywe akordy psuły zgodne i zdrowe życie narodu, i przepowiadał karę: „A ona krew abo pot żywych poddanych i kmiotków, który ustawicznie bez ża-

dnego hamowania ciecze, jakie wszystkiemu królestwu karanie gotuje!" Gromił szlachtę za krzywdy, wyrządzane „oraczom" i miastom, jako mądry i czujny patryota i mąż sprawiedliwy. Miał serce dla nędzy i otwartą rękę,— miłosierny i dobroczynny, podobny do Franciszka z Asyżu, apostoła biednych. Wielkie serce drgało przeczuciem, jak leczyć rany socyalne. Tu klucz do rozwiązania doniosłych zagadnień doby współczesnej, do uchylenia a przynajmniej złagodzenia walki klas: wielkim czynem — miłości chrześcijańskiej. A nie chodzi już o jakiś akt miłosierdzia, tylko o mądrą socyalną politykę. Po ludzku trudno jednak dojść do ukojenia wszystkich pragnień, zadowolenia wszystkich potrzeb. Trzeba jasno zdać sobie sprawę i jasno to powiedzieć, że są pragnienia, które idą poza życie, że ziemski byt nikomu nie da i nie może dać niezamąconego szczęścia i zupełnego zadowolenia. Kto masy porusza a potrzebie religii przeczy, sieje burzę. Kto lud chce porwać i prowadzić a wiary ojców nie ma w sercu, oddala się od ludu. Wiara jest cementem silnej budowy społecznej i narodowej, moralną dźwignią w życiu człowieka.

Zapatrywanie to prowadzi nas w głąb najwyższych zagadnień bytu ludzkiego, łączy się z zasadniczem ugruntowaniem całego poglądu na treść i wartość życia, na istotę ludzkiej natury.

Nauka zbliża nas do prawdy, jest potęgą. Nie dość było u nas nauki, nie dość światła! Nauka wytwarza silny grunt, na którym można i trzeba oprzeć samowiedzę. Skarga wychowany w epoce odrodzenia, znawca uczony nie tylko Pisma św., ale historyi, prawodawstw i filozofii, był mężem nauki. Skarga powiedział: „wielkiej mądrości potrzebujecie, a nie tylko tej przyrodzonej, której ludzie nabywają dowcipem, wychowaniem dobrem, czytaniem zwłaszcza historyi i innych około Rzeczypospolitej pisanych nauk, radą, towarzystwem mądrych, ćwiczeniem i rzeczy samych dotykaniem i doświadczeniem, laty i starością, ale też i onej z nieba mądrości sięgać wam potrzeba"! Skarga miał zrozumienie dla metod doświadczalnych, dla indukcyi; cenił wysoko i gorąco zalecał naukę, zwłaszcza historyę, jako mądrość w kupę złożoną i rozum ludzi wiela „w jedno zebrany". Nie był mu obcy duch nowożytny, ale budując na ziemi, na realnym

gruncie, odczuwał potrzebę promieni „z nieba". Zdawał sobie sprawę z granic wiedzy ludzkiej. I my je uznajemy, przeświadczeni, że są zagadnienia — u progu wieczności, których nauka nie rozwiąże. Czujemy we własnej piersi, że są tęsknoty, które idą poza życie.

Zdolność badania jest konieczną, ale trzeba baczyć, aby wolność nie wyrodziła się w swawolę i duchową anarchię. Przyznając wolność innym, uznając szczerze zasadę tolerancyi, żądajmy jej także dla siebie; a stojąc twardo przy własnem przekonaniu, należy przestrzegać, aby inni nie dokonywali na nas duchowego podboju z ujmą istoty polskiego ducha.

Dochodzimy do ostatecznego wniosku, że nie mamy potrzeby wypierania się samych siebie. Zadaniem naszem jest nie przekształcić, tylko wykształcić polską indywidualność, rozwinąć ją i spotęgować, wykuć na dawnych „fundamentach" silny jędrny charakter narodowy. Potrzeba nie tylko dobrej, ale potężnej woli.

Często odzywały się zarzuty i skargi na słabość i chwiejność naszego charakteru, na zbytnią wrażliwość i zależność od impulsów i wrażeń chwili. Skarga powiedział o nas: „nie trwa myśl nawet godziny". Duch Skargi wzywa nas, aby „myśl", zasadniczą ideę dziejów Polski, idee, na które wieki się składały, rozwinąć, ująć w jasne i trwałe kształty.

W życiu musi być system, stała i wytrwała wola. Życie przedstawia jedną wytyczną linię. Linia ta nie powinna się ustawicznie łamać wśród wrażeń i zewnętrznych wpływów chwili. To, co matka-Polka włożyła w duszę dziecka, niech będzie ostoją młodzieńca, siłą męża i pociechą starca. Wiara i jej wyznawanie nie jest tylko od święta, ale warunkiem i potrzebą każdego dnia i całego życia.

Od ugruntowania wewnętrznej mocy indywidualnej zależy zachowanie spójni i jedności życia zbiorowego. Stajemy między przeszłemi i przyszłemi pokoleniami, do nas należy i od nas zależy zastosowanie nieprzerwanej ciągłości narodowego rozwoju, tłumionego przez wrogie potęgi. Do nas należy skarby, złożone

w naszej duszy, wydobyć, aby pełnym jaśniały blaskiem, — odbiciem wiecznych prawd.

W indywidualności polskiej tkwią wielkie zasoby. W przeszłości Polska nie umiała użyć własnych skarbów. Skarga gromił naród, że nie umie „używać darów Bożych", że był niewdzięczny wobec ojczyzny, która „matką (mu) była a nie macochą". Po wiekach polski psalmista w tę samą uderzył nutę: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie". Dziś chwila zaiste *dies irae, dies illa*, przeczuta przez Skargę, chwila, w której naród, strącany w przepaść, wszystkich dobyć musi sił, aby w skupieniu męskiem i najwyższem duchowem napięciu ratował ojczyznę w imię Boga.

Krasiński chciał, widząc moralne rozdarcie świata, aby Polska była „czystą i mądrą". Niech będzie czystą — czystością zasad, mądrą — mądrością chrześcijańską, gotową do ofiar, jak chrześcijanie w katakumbach, ścigani przez cezarów. Dla narodu, któremu wypadło ciężki dźwigać krzyż prześladowań i wszelakich cierpień, najbezpieczniej stanąć i stać pod krzyżem, który jest jedyną kotwicą wśród gwałtownej burzy życia.

DRUGA SESYA KWESTYI PRAKTYCZNYCH.

26 września godz. 3 po południu.

Akcya antypornograficzna.

Referat Szambelana Adama Konopki.

Tytuł dzisiejszego mojego przemówienia: „Akcya antypornograficzna".

Mam zamiar w niem w krótkości zwrócić uwagę szanownych słuchaczy na walkę z pornografią, prowadzoną za granicą — głównie we Francyi — na akcyę wszczętą w tym kierunku u nas i rzucić dla jej organizacyi kilka myśli praktycznych.

W referacie moim wygłoszonym na II-gim Kongresie Maryańskim w Przemyślu w dniu 27 sierpnia 1911 r. poczyniłem kilka uwag na temat: „O zapobieżeniu pornografii".

Referat zakończyłem szeregiem rezolucyi, z których ostatnią było wezwanie społeczeństwa polskiego do skutecznej pomocy dla Towarzystwa im. Piotra Skargi, które obok popierania polskiego piśmiennictwa wzięło sobie za cel i pierwszorzędne zadanie zwalczanie pornografii w naszej ojczyźnie.

Rezolucya ta przyjęta przez zebranych jednogłośnie nie tylko zaaprobowała dotychczasową działalność Towarzystwa w tym kierunku, ale równocześnie dała mu pobudkę do tem żywszej i intenzywniejszej pracy.

Jak to już nieraz miałem sposobność zaznaczyć, walka z pornografią jest może jedną z najtrudniejszych, nie może być dorywcza, musi być we wszystkich dziedzinach życia wszechstronnie i starannie opracowywana i przygotowywana — musi

być konsekwentna i oparta na faktach. Nie dziwno też, że owoce jej nie są, jakbyśmy tego pragnęli, zaraz widoczne.

Pragnąc całą akcyę antypornograficzną ująć w pewne formy, postanowiono przedewszystkiem zaznajomić się z dotychczasowym jej stanem w innych państwach, w szczególności we Francyi.

Przeglądając ustawodawstwo francuskie z 18-go wieku, znajdujemy cały szereg ustaw i rozporządzeń zapobiegających szerzeniu się pornografii i karzących bardzo surowo popełnione w tym kierunku przekroczenia.

Za sprzedawanie i rozpowszechnianie pornografii kodeks karny francuski z roku 1810 przewiduje jako karę grzywnę 25—500 franków względnie więzienie od 1—6 miesięcy i równoczesną konfiskatę przedmiotów pornograficznych.

Taka sama kara dotyka drukarzy i autorów pism i artykułów niemoralnych.

W ostatnich latach cesarstwa widzimy wzmożenie się pornografii. Obyczajność zanika — teatrowi pozwala się na przedstawianie sztuk gorszących — szansona zapanowuje wszechwładnie w kawiarniach koncertowych. Wyuzdanie idzie za klęskami politycznemi. Z jednej strony ucisk, z drugiej bezgraniczna wolność prasy po upadku cesarstwa wytwarza zasady niemoralności. Rząd republikański, widząc to zepsucie, zaczyna przywracać dawne ustawy — rozszerza i zaostrza odnośne przepisy — przewiduje kary w postaci grzywien 16—2000 franków lub więzienia od 1—2 lat, a podwaja je, gdy zgorszenie dotyczy młodzieży.

W r. 1904 wychodzi ustawa, która karze za książki o okładkach pornograficznych — nakazuje ścigać fabrykowanie i przechowywanie pism pornograficznych, jak również handel niemi, zwłaszcza pokątny — a nadto ogranicza przekraczających przepisy w prawach politycznych. Jednak i tutaj wszystkie te przepisy i kary nie wystarczają.

W pomoc przychodzi samo społeczeństwo. P. Fallot pierwszy odczuwa potrzebę organizacyi kollektywnej. W roku 1883 zakłada Ligę francuską dla podniesienia moralności, a w parę

lat później ogłasza Bulletiny miesięczne, aby w nich zestawiać pracę członków Ligi. W r. 1895 zamieniono ten Bulletin na pismo dwumiesięczne p. t. „*Le Relévement Social*". Przy pomocy tego organu pod dzielnem kierownictwem ówczesnego prezesa p. Compte'a Liga wzmaga się i liczy towarzystw 40.

Równocześnie powstaje w Paryżu stowarzyszenie celem tłumienia rozpusty ulicznej i pod nazwą „*Societe contre la licence des rues*" (Towarzystwo przeciw rozpuście ulicznej) spełnia gorliwie swoje zadanie i w krótkim czasie zakłada na prowincyi podobnych stowarzyszeń 60.

Na kongresie w Bordeaux w r. 1905 wszystkie te towarzystwa łączą się w federacyę pod nazwą „*Federation des societés contre la Pornographie*" z siedzibą w Paryżu, ul. Pasquier 10.

Związek ten jest dzisiaj jednym z najbardziej rozpowszechnionych we Francyi i wzrasta niemal z każdym dniem.

Związek utrzymuje centralne biuro, do którego nadsyłane bywają wszystkie doniesienia, spostrzeżenia, wnioski i interpelacye etc.

Prezydentem był zasłużony na polu walki z pornografią p. Berenger. W bieżącym roku od 18—20 kwietnia odbył się w Paryżu kongres antypornograficzny, na którym p. Berenger z powodu podeszłego wieku ustąpił, a na jego miejsce wybrano znanego ekonomistę prof. Gide'a. Na kongresie tym zreformowano całą organizacyę i opracowano nowe statuta. Główna zmiana polega na utworzeniu generalnego delegata, którego najważniejszą czynnością: być w ciągłej łączności z innemi stowarzyszeniami — podtrzymywać ich w gorliwości — urządzać częste posiedzenia i stwarzać nowe grupy. Obecnie delegatem takim jest p. Pourésy, autor wielu książek bardzo dla tej sprawy cennych — wymowny konferencyonista.

Związek poszczycić się może bardzo poważnymi wynikami swej pracy — działa bardzo energicznie — sam jednak przyznaje, że sprawa nie postąpi naprzód, dopóki stowarzyszenia, zwalczające pornografię, nie uzyskają od parlamentu prawa bezpośredniego wpływu na trybunały, co już posiadają Anglicy i Stany Zjednoczone.

W tych ostatnich krajach walka z pornografą porobiła największe postępy i najlepsze wydała owoce. Zrozumiano tam, że młodzież to przyszłość narodu i nią zajęto się przedewszystkiem.

U Anglików umysłowość jest zdrowsza a beletrystykę angielską można zaliczać do ostatnich czasów do jednej z najczystszych w świecie. Niedawno czytać można było w dziennikach, że w Londynie dwóch łotrów za szerzenie pornograficznych utworów skazano nie tylko na ciężkie roboty, lecz także na rózgi, których tam się boją bardziej niż więzienia, bo są bardzo bolesne. W Niemczech w ostatnich czasach powstał cały szereg związków katolickich, mających na celu zwalczanie publicznej niemoralności. Wśród nich wybija się na pierwszy plan kolońskie męskie stowarzyszenie, którego statuta dla swej krótkości i prostoty szczególnie nadają się do polecenia.

Nietylko jednak każde państwo z osobna przedsiębierze walkę z pornografią.

Dnia 18 kwietnia 1910 r. zbiera się konferencya międzynarodowa w Paryżu. Uczestniczą w niej: Austro-Węgry, Francya, Belgia, Niemcy, Brazylia, Dania, Hiszpania, Stany Zjednoczone północnej Ameryki, Anglia, Włochy, Holandya, Portugalia, Rosya i Szwajcarya.

Wynikiem tej konferencyi była ugoda zawarta w dniu 4 maja 1910 r., której treść istotna tkwi w tem, że rządy wymienionych wyżej państw zobowiązały się utworzyć osobną władzę, która ma zbierać wszelkie wiadomości, na podstawie których możnaby zapewnić niedopuszczenie do dowozu z żagranicy, jakoteż do rozpowszechnienia pism i przedmiotów niemoralnych. Rządy winny nadto udzielać sobie nawzajem wiadomości o wydanych w tym celu ustawach. Władza wskazana przez każdy z rządów, a o której wszystkie rządy dowiedzą się za pośrednictwem Francyi, ma mieć prawo pozostawania w bezpośrednich stosunkach z podobnemi władzami państw innych, związanych traktatem, i zawiadamia o każdem skazaniu przez sąd za rozpowszechnianie pism lub przedmiotów niemoralnych.

Skutkiem tego w Austryi ministerstwo sprawiedliwości

wydaje 18 lipca 1912 Prokuratoryi Państwa rozporządzenie, które porucza Dyrekcyi Policyi we Wiedniu obowiązki centralnej władzy ku zwalczaniu rozpowszechniania pism i przedmiotów niemoralnych. Centrala, która właśnie rozpoczęła swą działalność, ma obowiązek:

1. Zbierać wszelkie wiadomości, które ułatwić mogą sparaliżowanie czynności, przekraczających obowiązujące w państwie przepisy przeciw nieprzyzwoitym pismom, rysunkom, obrazom i przedmiotom, o ile czynności te mają charakter międzynarodowy.

2. Dostarczać wszelkich wiadomości, któreby mogły przeszkodzić wywozowi publikacyi i przedmiotów określonych w punkcie pierwszym, ich przyaresztowanie zapewnić lub ułatwić, a to w zakresie ustawodawstwa zewnętrznego.

3. Ogłaszać ustawy, które w związku z przedmiotem układu wydane w kraju zostały lub wydane zostaną.

4 Zawiadamiać równorzędne władze państw, biorących udział w układzie, o karach i wyrokach, zapadłych z powodu przekroczeń określonych w punkcie pierwszym.

Pozatem do centrali, jako lokalnego urzędu wiedeńskiego rejonu policyjnego, należy:

prowadzenie ewidencyi wszystkich osób, karanych lub tylko obwinionych o rozszerzanie i reklamowanie nieprzyzwoitych przedmiotów;

prowadzenie ewidencyi tych przemysłowców (jak księgarzy, drukarzy, handlarzy widokówek, domokrążców), którzy są podejrzani o rozpowszechnianie przedmiotów nieprzyzwoitych;

przeprowadzenie czynności urzędowych, pozostających w związku z tą dziedziną, a szczególniej czynności o charakterze międzynarodowym, prócz takich, które państwowa zwierzchność prasowa wprost przez policyę prasową wykonuje;

nadzorowanie wystaw sklepowych i przedsiębranie odpowiednich kroków przy pomocy komisaryatu policyi;

baczenie na podejrzane anonse, ukazujące się w dziennikach i czasopismach ilustrowanych;

ewidencya sądownie zakazanych druków o charakterze nieprzyzwoitym.

Dyrekcya policyi, jako centrala zwalczania publikacyi nieprzyzwoitych, używa skrócenia: Z. g. P. (Zentralstelle gegen die Pornographie).

Wszystkie sądy i urzędy są powołane w obrębie swego pola działania popierać ile możności czynność centrali, mającą na celu walkę z rozpowszechnianiem niemoralnych publikacyi.

A jakże się w tej walce zachowuje nasze społeczeństwo polskie?

I ono odczuło potrzebę walki z pornografią. Od lat kilku dostrzec można na tem polu ruch, który coraz bardziej przybiera konkretne formy.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem w ostatnich czasach ukazuje się z inicyatywy literatki p. Karwatowej odezwa: „Do autorów, autorek i miłośników sceny" — o zwrot pióra ku Bogu, cnocie i prawdziwemu pięknu. Odezwa ta jest prośbą matek i córek, Polek i katoliczek, podnosząca wysoką godność i wielkie zadanie autorów — ale wnikająca w sumienie ich i wskazująca na truciznę, która zakradła się do naszej literatury. Odezwa nie narzuca autorom tematów, ale żąda miary artystycznej w książce lub na scenie, wychodząc z zasady, że każdy autor, jeżeli chce tworzyć dzieło szlachetne, godne nauki, powinien temat swój przepuścić przez pryzmat ideałów wyższych. Jeżeli to uczyni, może talentem swoim wgłębiać się w suteryny lub wnijść do sfer stojących u szczytów — może poruszać wszelką zgniliznę moralną, albowiem przedstawi ją tak, że czytelnika gorszyć nie będzie i nie ubliży godności człowieka. W końcu odezwa potępia stanowczo wszelką wyuzdaną lubieżność czyto na scenie, czy w literaturze, czy w sztuce wogóle.

Sprawą tą zajmowano się bardzo żywo w Poznaniu na Zjeździe delegatek Towarzystw kobiecych ku oświacie i umoralnieniu i na zgromadzeniu „Zjednoczenia". Odezwa wywołała liczne artykuły. Pojawia się bardzo dobra broszura autorki wyżej wspomnianej odezwy p. t. „Jakie kobiety bohaterki daje nam obecny prąd zmysłowy w literaturze i wpływ ich

na społeczeństwo". Wychodzi protest ojców i synów w Prusach zachodnich przeciw niemoralnej literaturze i scenie z całym szeregiem podpisów przeważnie z inteligencyi i ziemiaństwa, w tem 15 podpisów lekarzy.

Pisma warszawskie umieszczają protest pań z Kielc przeciw sztuce Zapolskiej: „Kobieta bez skazy". Ustęp tego protestu brzmi:

„Ponieważ sztuka ta pod każdym względem zalicza się do liczby utworów wysoce niemoralnych, a tem samem stanowi istotną truciznę, zwłaszcza dla młodszego pokolenia — my, niżej podpisane matki i Polki, wogóle i katoliczki, zamieszczamy niniejszy protest przeciw tego rodzaju zakusom, obniżającym pojęcia moralne i przekonania religijne, naszą cześć i godność kobiecą — wobec czego jesteśmy przekonane, że p. Pol zechce nasze Kielce wraz ze swoją sztuką ominąć".

Autor korespondencyi owej „Z chwili" — z której dowiadujemy się o proteście pań z Kielc, pisze dalej „w Kronice Powszechnej": . . . .Zaczyna się nareszcie budzić nasze sumienie narodowe i zaczyna przeciwstawiać odważnie literaturze rozkładowej, która wzięła się na odtworzenie wszystkich grzechów głównych człowieka i wszystkich histeryi, zwyrodnień, przewrotności i dziwactw, jak gdyby zbywało w Polsce na typach zdrowych i uczciwych, jak gdybyśmy się wszyscy nurzali w chorobliwej erotomanii, w obrzydliwych chorobach, w białych gorączkach i t. d. Od pewnego czasu nie mamy literatury dla ludzi przyzwoitych, a głównie dla kobiet uczciwych. Czas rzucić czarną zasłonę na te twory anarchii pojęć i uczuć i rozwinąć znów skrzydła do wysokiego, szlachetnego lotu. Co zwyrodniałe gusta chwili przejściowej mogły wydobyć z rynsztoków i kloak życia, to już wydobyły. Teraz nadeszła godzina kojenia i gojenia tego, co literatura modernistyczna i dekadencka stargała, oplula i okaleczyła."

Towarzystwo im. Piotra Skargi urządza w r. 1910/11 cały szereg zebrań obywatelskich w sprawie moralności społecznej.

Lwowska młodzież akademicka przeprowadza ankietę i zbiera głosy opinii i wszechstronne zapatrywania ludzi, których sąd

ogół umie cenić wysoko. Owocem ankiety jest książka p. t. „Głosy polskie w sprawie moralności społecznej". Ta sama młodzież zapoczątkowuje również odezwę p. t. „Precz z kabaretem". Z inicyatywy Towarzystwa zostaje na posiedzeniu Sejmu z dnia 16 października 1909 wniesiona interpelacya do Rządu.

Przy Towarzystwie zakłada się bibliotekę młodzieży szkół średnich, koszyki i składnice Skargowskie.

Wydawnictwo Towarzystwa liczy już dzisiaj kilkadziesiąt tomików. W roku bieżącym nawiązuje się stosunki z Federacyą w Paryżu. We Lwowie zostają zaprowadzone organizacye okręgowe. Jest ich 27. Na czele każdego okręgu stoi jeden lub dwóch patronów, którzy mają przydanych do pomocy jednego członka z koła Prelegentów i 5—6 robotników w tym celu wyszkolonych.

Referat „O zapobieżeniu pornografii" rozdzielono na kilka części, celem szczegółowego opracowania. Prace nad jednym z takich działów „Biblioteki szkolne" są w pełnym toku.

Krakowskie koło Towarzystwa im. Piotra Skargi wydaje bardzo starannie opracowany katalog informacyjny.

Koło Chyrowskie rozpoczyna wydawnictwo, przeznaczone głównie dla młodzieży. Są to rzeczy bardzo cenne i należy na nie zwrócić uwagę.

W ostatnich czasach zapanowała u nas w kraju manią kinematografów. Nie chcę tutaj rozbierać, czy one są pożyteczne, czy nie, czy należy występować za nimi — czy przeciw nim. Jeżeli sprawę tę poruszam, to czynię to w przeświadczeniu, że obecnie szerzy się z nich zgnilizna i skandal. Przeciw temu należałoby nam jak najśpieszniej wystąpić.

Wprawdzie i Rząd w tym kierunku rozpoczął już pewną akcyę, jednak ona jest niewystarczającą i trzeba pomyśleć o samoobronie.

Przedewszystkiem należy dążyć do ograniczenia liczby kinematografów. Wskazanem jest, aby ile możności przedsiębiorstwa te były w rękach towarzystw oświatowych lub zarządów miast. Filmy należy poddać ostrej cenzurze. W Wiedniu

obok cenzury policyjnej jest wprawdzie zaprowadzona cenzura szkolna, niestety obowiązuje tylko przedsiębiorcę moralnie.

Towarzystwo im. Piotra Skargi otworzyło we Lwowie swój własny kinoteatr. Jest nadzieja, że przedsiębiorstwo to się rozwinie — dzisiaj jednak nie idzie tak, jakby się pragnęło. Powodów należy szukać w wielkiej liczbie kinematografów, (w samym Lwowie jest ich kilkanaście, przeważnie w rękach żydowskich), następnie w tem, że społeczeństwo nie chce chodzić na programy nie przedstawiające skandali, rabunków lub scen erotycznych. W końcu winni tu są dostawcy film, którzy uczciwych obrazów mają bardzo niewiele, a nie sporządzają ich, twierdzą bowiem, że nie mają na nie popytu. Charakterystycznym jest list, który otrzymało Towarzystwo im. Piotra Skargi od jednej z najpoważniejszych firm, dostarczających filmy, a mianowicie od firmy Gaumonta. Część tego listu brzmi: ....możliwem jest, że my naszymi obrazami celów, które Panowie swoim teatrem pragniecie osiągnąć, spełnić nie możemy, zapewniamy jednak, żeśmy sobie bardzo wiele trudu zadali, aby Panom dać, co najlepsze....". Tymczasem to najlepsze było właśnie po największej części najnieprzyzwoitsze.

Tak się mniej więcej przedstawia dotychczasowa walka z pornografią u nas. W jaki jednak sposób postępować dalej?

Przedewszystkiem, aby walka mogła wydać odpowiednie owoce, musi być należycie zorganizowana.

Wezmę pod uwagę stosunki kraju, w którym mieszkam, sądzę jednak, że projektowana przezemnie organizacya da się z pewnemi małemi zmianami przeprowadzić i w innych dzielnicach.

Jako taką centralę na wzór Federacyi francuskiej w walce z pornografią pragnąłbym widzieć Towarzystwo im. Piotra Skargi.

Do jego głównego sekretaryatu we Lwowie winny być nadsyłane wszystkie doniesienia lub spostrzeżenia, wnioski i interpelacye.

W innych miastach należy natychmiast założyć koła Towarzystwa, a w nich sekcye antypornograficzne. Do sekcyi tych

winni należeć reprezentanci wszystkich miejscowych towarzystw, które zwalczają pornografię lub solidaryzują się z tą akcyą.

Terytorya miast większych możnaby podzielić na okręgi tak, jak to uczyniono we Lwowie.

Posiedzenia sekcyi należałoby odbywać najmniej raz na miesiąc, na nich omawiać przedewszystkiem miejscową akcyę antypornograficzną, zbierać fakta, ile możności poparte dowodami, przesyłać je do centrali, tam też przedstawiać swoje wnioski i zapatrywania. Sekretaryat główny powinien być w ścisłej łączności z sekcyami, dodawać im ducha, jednoczyć działalność, a mając fakta i dowody, inicyować ogólną walkę społeczeństwa. Całą akcyę należy podzielić na działy, a więc np. sprawa teatru, antykwarń, bibliotek, illustracyi, zabawek, piśmiennictwa i t. d.

W każdym z takich działów musi się poznać najpierw dotychczasowe odnośne przepisy prawne i ich wady, następnie rzucić projekt reformy, poddać wszystko dokładnej rozwadze i dopiero wtedy wystąpić, gdzie należy, z praktycznymi wnioskami, ale wtedy przeprowadzić je już z całą energią i stanowczością.

Jak wyżej wspomniałem Towarzystwo im. Piotra Skargi w ostatnich czasach zajęło się już jednym z takich działów a mianowicie bibliotekami szkolnemi.

W sprawie ich ukazał się bardzo zajmujący referat prof. Walczaka ze Lwowa p. t.: „Lektura domowa młodzieży szkół średnich".

Referat ten rozesłano rozmaitym stowarzyszeniom z prośbą o przeprowadzenie nad nim dyskusyi, zebranie uwag i przesłanie ich do głównego sekretaryatu.

Na podstawie tego referatu i nadesłanych uwag jest zamiar wygotowania memoryału, rozesłania go po kraju celem zebrania jak najliczniejszych podpisów, a następnie przedłożenia go Wysokiej Radzie szkolnej krajowej. Do memoryału tego pragnęłoby Towarzystwo równocześnie dołączyć katalog książek stosownych do bibliotek szkolnych.

Z nadesłanych dotąd uwag i oświadczeń prawie wszyscy

domagają się, aby Rada szkolna krajowa wydała katalog książek i pism (zwłaszcza z literatury nowszej) odpowiednich dla młodzieży, aby katalog ten co roku był uzupełniany i aby w bibliotekach szkolnych nie było wolno trzymać książek nie objętych tym katalogiem.

Również postawiono żądanie, aby jak najspieszniej zarządzono rewizyę bibliotek szkolnych i usunięcie nagromadzonych tam, wskutek braku kontroli lub niedopatrzenia, książek dla młodzieży nieodpowiednich lub szkodliwych.

Przy tej sposobności poruszono sprawę kierowników bibliotek w zakładach naukowych. I tu pozwolę sobie przytoczyć jedną z nadesłanych rezolucyi, która brzmi:

„Wierzymy, że wychowanie młodzieży polskiej opierać się powinno na nauce Chrystusowej w kościele katolickim strzeżonej. Wierzymy, że Pan Bóg wspiera swą łaską wolę duszy, pragnącej wiary i życia z wiary. Stąd płynie nasze przekonanie, że tylko Polacy-katolicy, ludzie dobrej woli, świadomi praw ducha i dążący do ciągłego jego rozwoju drogą wyzbywania się nałogów i usuwania z życia wszystkiego, co niższym upodobaniom sprzyja — mogą być wychowawcami młodzieży polskiej, pragnącej nie tylko nauki, lecz co ważniejsza, przykładu życia. Uważamy, że nauka języka polskiego jest czemś zgoła innem, niż nauka każdego innego przedmiotu naukowego. Ta nauka — to święta służba narodowa, to wykuwanie, wyrzeźbianie dusz polskich, na miarę bohaterów tej Przyszłości, ku której, jak ku złotej zorzy zwracamy utęskniony wzrok naszej duszy.

Godziny języka polskiego, to obrona twierdzy, w której złożyliśmy prawie wszystko, co mamy z ziemskich dóbr naszych. Literatura nasza, to nietylko nasz poważny, wiekami zbierany dorobek w powszechnej kulturze, ale to wykwit odrębnej naszej duszy polskiej, to jeden z przejawów naszej misyi dziejowej, to silny dowód naszego życia narodowego, to synteza naszych dążeń i prac, to nasza arka przymierza między przeszłemi a przyszłemi laty, to część tej Polski, z której nazwiska

samego wytworzyliśmy ten polski pacierz „co płacze i piorun, co błyska".

Stąd od nauczyciela-polonisty, Polaka-katolika żądamy, aby był wiernym stróżem, znawcą i wielbicielem naszego narodowego skarbu — literatury, aby nimbem pierwszej po Bogu czci otoczywszy nasz wiek XVI. i naszych wieszczów, umiał z najnowszej literatury wyłowić to, co jest godne miana literatury „polskiej", a odtrącić wszystko, co moralnie i narodowo złe i marne".

Kiedy już mowa o bibliotekach, wspomnę jeszcze krótko niejako o części tego działu, o antykwarniach.

W roku zeszłym Kongres Maryański wyraził życzenie, żeby władze szkolne umożebniły naszej młodzieży zaopatrywanie się w książki szkolne jak poza szkolne w samych zakładach naukowych.

Miło mi skonstatować, że taką pierwszą antykwarnię szkolną zakłada we Lwowie filia gimnazyum IV.

A teraz proszę mi darować, że zatrzymałem się trochę dłużej nad sprawą bibliotek, ale uczyniłem to rozmyślnie ze względu na aktualność i nagłość sprawy.

Zdaniem mojem w ten mniej więcej sposób należałoby rozpocząć pracę i w innych działach.

Czy tylko jednak akcya zbiorowa, czy tylko towarzystwa lub korporacye mają skutecznie zwalczać pornografię?

Każdy przyzna, że i usiłowania jednostek w tym kierunku nie są bez wartości i bez skutku. Jest bowiem wiele wypadków, gdzie akcya jednostki nie da się zastąpić akcyą zbiorową.

Każdy obywatel ma obowiązek nietylko bronić niewinności i słabości, ale także starać się o zyskanie należytego szacunku dla jego interesów moralnych w tym samym stopniu a nawet większym niż jego interesów materyalnych. W Anglii obowiązki te pojmowane są bardzo poważnie i obywatel, któryby zaniechał doniesienia władzy wypadku naruszenia obyczajności publicznej przez drugiego obywatela, naraziłby się na surową karę. Władza upoważnia tam obywatela do czynnego wystąpienia

w wypadkach obrażenia publicznej moralności, a statystyka wykazuje, że publiczność z przysługującego jej prawa robi obszerny użytek.

We Francyi, a tak samo u nas, obowiązek ten jest o wiele prostszy. Tutaj chodzi jedynie o wniesienie skargi. Ale obywatele tego nawet tak małego obowiązku nie wykonywują. Bardzo trafnie wyraża się pewien bardzo ceniony pisarz: „Człowiek uczciwy przechodząc obok tych plugastw, okraszonych jeszcze wyrywającymi opisami, zadowala się spuszczeniem oczu. Zdaje on sobie dobrze sprawę z tego, że po nim przyjdzie młodzieniec lub dziewczyna lub dziecko, a oni nie spuszczą oczu, lecz chciwie będą pili truciznę — ale mimo tego milczy — co więcej zdaje mu się nawet, że milcząc idzie za podszeptem jakiejś uczciwej myśli. Wpływa tu szczególnie nasza nieusprawiedliwiona drażliwość na samo wspomnienie słowa: denuncyacya. Świadek zbrodni wedle obowiązujących przepisów karnych obowiązany jest do natychmiastowego doniesienia o niej władzy, w przeciwnym razie karany jest więzieniem za zatajenie zbrodni tak samo jak winowajca.

Czy pornografia, która godzi w sam rdzeń narodu, niszczy duszę i wszelkie ideały, nie jest jedną z najcięższych zbrodni.

Jednak ludzie nad tem się nie zastanawiają, wolą milczeć, niż „zbrukać się“ doniesieniem władzy o popełnianych codziennie, na każdym kroku podobnych zbrodniach. A skutek tej dziwnej drażliwości jest taki, że pornografia z dnia na dzień się szerzy w zastraszający sposób. Słusznie powiada p. Edward Montier w *Revue hebdomadaire* z 17 XI. 1906: „Każdy oburza się na wzrastające zło. Ojcowie drżą o swych synów, matki napróżno szukają ulicy, którą mogłyby ze swojemi córkami przejść bez obrażenia wstydliwości.... ale nikt nie podniesie głosu“.

Wchodzą tu różne czynniki w grę. Gdzieby tam komu chciało się robić doniesienie, stawać jako świadek przed sądem, widzieć nazwisko swoje wmieszane w jakąś aferę obyczajową, być narażonym na ironiczne ataki dziennikarzy i t. d.? Są znowu tacy, którzy w ostatecznym wypadku zdecydują się na anonim

sądząc, że sprawie oddadzą jaką taką przysługę. Ludzie ci jednak mylą się. Pomijając bowiem to, że anonim budzi mało zaufania, że zwykle rzuca się go do kosza, to nie daje on wprost możności temu, kto go otrzymuje, zbadania miejsca, czasu i okoliczności występku.

A zatem skarga otwarta podpisana, to jest pierwszy obowiązek obywatela, walczącego z pornografią. Dalej, jak powiada *Action sociale de la femme* należy zwrócić baczną uwagę na naszą lekturę, prospekty, podejrzane kartki ulotne, żurnale mód, ostatnie stronnice naszych dzienników, gdzie mamy tak liczną korespondencyę podejrzaną. Nie wystarczy rzucić przedmioty inkryminowane do ognia, trzeba je odesłać tam, skąd pochodzą, z dokładnem podaniem pobudek do tego kroku. Ludzie często nie zdają sobie sprawy, jak na wydawców i redaktorów działają groźby abonentów, że przerwą prenumeratę.

Trzeba następnie swoje czyny zastosować do swoich zasad. Trzeba się wstrzymać od czytania powieści tych autorów, którzy w malowaniu rzeczy wstrętnych szukają powodzenia dla swych marnych zresztą utworów. Trzeba wreszcie przestać uczęszczać na takie przedstawienia, które obrażają nasze oczy i uszy.

Wejdźmy raz do sklepu i zażądajmy w obecności jakiegoś świadka tego przedmiotu, który może obrazić naszą wstydliwość. Poprosimy następnie kupca ustnie lub listem rekomendowanym, aby usunął ze sklepu ten przedmiot. Jeżeli to nie pomoże, należy zawiadomić o wszystkiem władze. Można pójść dalej i zorganizować bojkot kupca, który prośby takiej o wycofanie pornograficznych przedmiotów ze sprzedaży nie usłucha. Spróbowano tego w Lyonie i wezwano afiszami publiczność, aby u tych kupców, którzy trudnią się handlem pornografii, niczego nie kupowano. Po pewnym czasie przekonano się, że obrót u tych kupców zmniejszył się o 50%.

Nadto skutecznymi środkami w walce z pornografią są:

Współdziałanie prasy. Mało jest dzienników, któreby umieszczały komunikaty nasze; nie wiedzą o naszych zebraniach ani o naszej akcyi.

Zgromadzenia częste, one bowiem wzmacniają indywidualność jednostki.

Konferencye popularne.

Apel do uczuć szlachetnych.

Akcya przez kobiety.

Apel w imię wychowania młodego pokolenia.

Oto w krótkości obowiązki i środki, zapomocą których jednostka może się przysłużyć sprawie; obowiązki nietrudne i niewielkie.

„Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłomoczki swoje i skrzynki opatruje i na nich leży — a do obrony okrętu nie idzie — i mniema — że się sam miłuje; — a on się sam gubi, bo gdy okręt obrony nie ma i on, ze wszystkiem, co zabrał, utonąć musi. A gdy się do obrony okrętu uda, dopiero swe wszystko zachował.

Ten najmilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o utrzymanie jego nie staramy, zatonie i my z nim razem poginiemy".

DYSKUSYA NAD REFERATEM

P. A. KONOPKI.

W dyskusyi nad referatem Szambelana Adama Konopki p. t. „Akcya antypornograficzna“ zabrał głos ks. G.

— W wywodzie powyższym nie słyszeliśmy przyczyny głównej szerzenia się pornografii i kto ją najwięcej propaguje. Otóż widząc życie z blizka i stykając się z ludem polskim, którego dusza jest z natury dobra, a potem widząc skażenie, jakie na tej duszy się odbiło, każdy zadać musi pytanie, co się przyczyniło do tego zła. I na to myślę odpowiedzieć. W r. 1907 dysponowałem na śmierć jednego skazańca; ten, gdy go na szafot zaprowadzili, uczynił spowiedź publiczną, w której wyznał, że do szubienicy doszedł przez to, że żyd mieszkający w wiosce tej namawiał go do drobnej kradzieży, którą potem przyjmował i wynagradzał. Zepsucie w literaturze, skażenie w sztuce, pochyłość, na którą społeczeństwo polskie weszło, jest spowodowane żądłem tej żmii, która się wdarła w organizm społeczeństw i która go kazi. Przecież cała Polska to jeden organizm, jeżeli do organizmu ludzkiego pokarm niestrawny wejdzie, to człowiek stara się go usunąć. Tak samo żyd nigdy się nie zasymiluje z nami, nigdy nie wejdzie w nasz organizm narodowy, bo jego dusza inną jest od duszy Polaka.

Słyszałem przed chwilą zdanie jaskrawo charakteryzujące życie nasze z pod 3 zaborów: Galicyanin boi się powiedzieć coś

na żyda, Poznańczyk powie zdusiwszy go prawie „nie warto mówić", a Królewiak całą duszą poświęcił się, aby z organizmu narodowego usunąć żyda. Słyszałem wyrażenie hr. Moszyńskiego z tej estrady, żeby inteligencya weszła między lud, dała mu światło i serca, tymczasem szlachcic chcąc być wybranym do rady państwa zastawia majątki swoje żydowi! Jeżeli tedy chcemy mówić o poprawie naszych obyczajów, stosunków i postępować tak jak Skarga mówi: „z Bogiem i narodem", to przedewszystkiem musimy być nietylko katolikami, ale i antysemitami, bo nie pojmuję imienia katolika bez łączenia z niem antysemityzmu.

Przemówienie prof. Antoniego Mazanowskiego.

— Znakomity referat p. Konopki wykazał jasno, że kwestya pornografii, to głównie kwestya pedagogiczna. Zebrano mnóstwo szczegółów, dowodząc wady naszego wychowania w tym kierunku, podano wiele wskazówek, jakich przestrzegać należy, aby te wady usunąć. Chciałbym tylko cośkolwiek rozszerzyć ramy samego pojęcia pornografii.

Podług mego zdania dotyka to pojęcie całego kompleksu uczuciowości ludzkiej. Nietylko mieści się w tem pojęciu to, co myśly psuje, co objęte jest literaturą, sztuką, ale w tem pojęciu mieszczą się różne inne czynniki, związane właśnie z tą sferą uczuć. Zdawałoby się, że pismo ilustrowane, tygodniowe, które umieszcza ryciny zbrodniarzy, trupów zabitych przez tych zbrodniarzy, bandytów, pismo skąd inąd nie pornograficzne, ale pracujące nad rozmiłowaniem się we krwi ludzkiej, lekceważeniem życia ludzkiego, uczące młodzież wpatrywać się w zbrodniarzy, zdawałoby się, że to pismo nie posiłkuje pornografii; zdawałoby się, że ten teatrzyk, który upstrzył fasadę domu rycinami w trykotach niewiast i mężczyzn, że ten teatrzyk nie posiłkuje pornografii. Zdawałoby się, że ta gra footbal, w której ten jest mistrzem, kto potrafi piłkę najlepiej kopać, nie prowadzi do zdziczenia obyczajów. Ale właśnie z pornografią łączy się to zdziczenie obyczajów, rugowanie szlachetnych instynktów; to pojęcie bardzo szerokie, elastycznie da się rozszerzyć. Sam fakt, że to jest pedagogicznem zadaniem, już powinno nas nauczyć cierpliwości, bo wszelki jad

WSPÓLNA AKCYA W SPRAWIE WYCHODŹTWA.

REFERAT DRA LEOPOLDA CARO.

Nasze położenie polityczne od dwóch dziesiątków lat stale się pogarsza. Nasze ręce pracowały zawsze, nasze umysły i serca zdolne były do najwyższych wzlotów, ale nie mieliśmy nigdy zrozumienia dla doniosłości czynnika ekonomicznego w rozwoju narodu. Były dawniej inne jeszcze walory w świecie prócz pieniędzy i siły brutalnej. Ustrój kapitalistyczny, jaki dziś wszechwładnie zapanował i wycisnął piętno swoje na cywilizacyi, wszystkie wielkie i szlachetne uczucia napiętnował mianem nie już idealizmu ale ideologii. W świecie dzisiejszym a szczególnie w tym świecie, który losom narodów ton nadaje i o nich decyduje, w świecie pieniądza, pytają dziś w pierwszym rzędzie, co człowiek wart, nie w znaczeniu charakteru lub zdolności, ale majątku. Wedle tej samej modły cenią narody. Naród nasz w opinii międzynarodowej może liczyć na tyle tylko uznania, ile mu go daje jego odporność i siła; dlatego chcąc dziś coś jeszcze znaczyć w świecie, skrzętnie badać musimy każdy czynnik, który nam tej siły i odporności przysparza, musimy go rozwijać i pielęgnować. Pierwszym takim czynnikiem jest religia nasza, która poza tem, że jest jedynie prawdziwą, jest jeszcze iście opatrznościowym darem wobec nacisku prawosławia, protestantyzmu i ateizmu. Dalszym

ukochanie gorące naszej mowy ojczystej a trzecim i czwartym nasza ziemia i liczba naszej ludności. Rozwiewają się nadzieje pokładane dotąd w sympatyi tego lub owego z zaborczych rządów. A skoro lud nasz w niepowstrzymanych i coraz większych falach płynie ku bliższemu i dalszemu Zachodowi, by wysiłkiem muszkułów swoich wspomagać obce a często wrogie gospodarstwa, jednocześnie zaś majątek nasz narodowy kurczy się z dniem każdym, nasuwa się pytanie, czy niema sposobu utrzymania tej olbrzymiej armii, tych ogromnych fal polskiego morza dla użyźnienia własnych łanów i ugorów? Jeżeli kto wychodzi z kraju na zarobek, to najrzadziej dlatego, by go pędziła ciekawość rzeczy obcych, ale dlatego przedewszystkiem, że go w domu nie trzyma ani zarobek dostatni ani przyjacielskie obchodzenie się ze strony bliźnich. Dziesiątki lat lichwiarskiego wyzysku, do niedawna głodowe płace na roli, niski rozwój gospodarstwa rolnego, dozwalający na użytkowanie sił roboczych przez stosunkowo krótki okres czasu, karczma i pieniactwo wypędzają chłopa do Niemiec lub za morze. Gdyby istniał w Galicyi i w Królestwie lepszy rozwój warzywnictwa i sadownictwa, powstały nowe drogi wodne i lądowe, gdyby zakwitł przemysł rolniczy, gdyby parcelacya odbywała się uczciwie i bez wyzysku, gdyby ustawa o włościach rentowych większe znalazła rozpowszechnienie, gdyby zrozumiano wreszcie, że wyższa płaca podnosi intenzywność pracy i jest faktycznie czynnikiem oszczędnościowym, gdyby ziemie polskie pokryły się kominami fabrycznymi i znaleźli się ludzie wydobywający przyrodzone ich bogactwa kopalniane, zrozumianoby odrazu, że niema u nas zgoła nadmiaru ludności i że cała niemal znaleźć może dostatnie utrzymanie w kraju bez potrzeby wysługiwania się obcym. Dziś natomiast powtarza się za wrogami naszymi bezmyślnie frazes o zbyt gęstem zaludnieniu Polski, poczytując nieomal za dopust Boży to, co jest naprawdę Bożem błogosławieństwem. Cesarstwo niemieckie w roku 1872 miało zaledwie 41 milionów mieszkańców a emigracya wówczas wynosiła sto kilkanaście tysięcy ludzi rocznie; w roku 1901 po latach 30 wzrosła ludność Niemiec na 60 milionów a emigracya spadła do kilkunastu tysięcy; zdołała więc ta sama przestrzeń ziemi po upływie lat 30

wyżywić o 20 milionów ludzi więcej, z czego wynika, że pojęcie nadmiaru ludności jest bardzo względnem i zależy od istniejącej w danej chwili i w danem społeczeństwie masy źródeł zaspokojenia każdoczesnych jego potrzeb.

Wprawdzie produkcya nie może rozwijać się w nieskończoność, muszą być peryodyczne kryzysy gospodarcze i stagnacye w pracy, od czasu do czasu więc musi być odpływ nadliczbowych. Ponadto zaś, nim rozwój ekonomiczny dosięgnie tego stopnia, aby módz wyżywić wszystkich mieszkańców danej ziemi, nadwyżka, która nie znalazła utrzymania, ma prawo, a nawet wobec rodzin swoich i siebie o b o w i ą z e k udać się tam, gdzie to utrzymanie znajdzie. Niestety nigdy nie odpływają tylko zbyteczni. Organizm społeczny jest słabym i pozbawionym logiki wytworem ludzkim, więc też wychodźtwo w społeczeństwach słabych, nieoświeconych i pozbawionych własnego rządu, zwykło przybierać rozmiary za wielkie, i trwa zazwyczaj dłużej, aniżeli, by to odpowiadało istotnym warunkom gospodarczym danej chwili. Dalszym czynnikiem wzmagającym wychodźtwo bywa fakt poznania wyższej kultury materyalnej, która przedewszystkiem na narodowo mniej uświadomionych zwykła wywierać atrakcyjny wpływ. Kto narzeka na wychodźtwo z tytułu utraty dogodnej siły roboczej a równocześnie ubolewa nad wzmagającą się oświatą, nie widzi choćby tego, że wykształcenie nietylko wpaja i utrwala uczucia patryotyczne, ale także daje możność lepszego rozwoju przedewszystkiem na ziemi ojczystej, czyniąc temsamem mniej pożądanem wychodźtwo, nadto zaś uprzystępnia zrozumienie wszelakich niebezpieczeństw z wychodźtwem połączonych.

Do niedawna opieka socyalna nad ludem i robotnikiem uchodziła u nas za objaw czerwoności; wiem o wypadkach, że obywateli ziemskich i właścicieli kopalń, uiszczających wyższe płace robotnikom choćby tylko w rozumieniu własnego interesu, podejrzywano o socyalizm i zwalczano namiętnie. Teraz za to, gdy lud zwłaszcza w naszej dzielnicy, skutkiem uzyskania powszechnego prawa wyborczego do Rady państwa, stał się potęgą, nastąpiła licytacya wszystkich stronnictw o jego względy, acz tylko dla pozyskania jego głosów przy wyborach i oczywiście

z pominięciem najuboższych i małoletnich jako niewyborców i bez należytego zrozumienia doniosłości sprawy wychodźczej jak również bez zrozumienia potrzeby uregulowania sprawy parcelacyi i utrzymania ziemi w rękach włościan polskich z wykluczeniem wszelkich nieuczciwych korzyści na rzecz różnych pośredników i banków parcelacyjnych z pod ciemnej gwiazdy. Jeżeli już we wszystkich innych dziedzinach zawistna walka polityczna roznamiętniać u nas musi stronnictwa i nie zaspokojoną ambicyę jednostek rozdmuchiwać w nienawiść, ujawniającą się w prześladowaniu ludzi odmiennych przekonań także i w życiu prywatnem, to uratujmyż przynajmniej dziedzinę świętości narodowych, — a do tej dziedziny należy opieka nad ludem polskim — i program w tym kierunku uznajmy za wspólny wszystkim stronnictwom. A jednak panuje tu dotąd bezmyślna zgoła obojętność.

W Niemczech na licznych kongresach naukowych i karytatywnych, w sejmach prowincyonalnych i w Sejmie Rzeszy debatuje się o „polskiem niebezpieczeństwie", polskich skargach i żalach, o doniosłości gospodarczej współpracownictwa obcych przybyszów; i w kongresie i senacie Stanów Zjednoczonych raz po raz pojawiają się wnioski zmierzające do ograniczenia i utrudnienia imigracyi a bodaj do ujęcia jej w karby i skierowania w łożysko ułatwiające zupełną asymilacyę przybyszów, bądź w drodze rozmieszczenia ich w stanach zachodnich i południowych na farmach bądź przez odpowiednią reformę szkół i t. d. Prasa, zgromadzenia publiczne i świat naukowy nie zna w Ameryce północnej czy południowej kwestyi ważniejszej nad ten problem. W Argentynie, prezydent Avellanedo jeszcze w roku 1874 wypowiedział pamiętne słowa: *Gobernar es poblar* (Panować to zaludniać) i od owej chwili zarówno Argentyna jak szczególnie cztery stany Brazylii: Spirito santo, Sao Paolo, Parana i Rio Grande do Sul sięgają po wychodźców polskich. Szereg ustaw koncentruje się tam około pozyskania drogocennego materyału ludzkiego, który my tu w kraju lekceważymy, przechodząc z lekkiem sercem do porządku nad całą sprawą, mogącą co prawda przysporzyć nam dużo wyrzutów sumienia i dużo trudu.

I Włochy mają dziś ogromną emigracyę, ale jakąż inną

jest ona w stosunku do naszej: nielędwie w zwartych szeregach zaludniają Włosi stan Sao Paolo i Argentynę, wszędzie rozbrzmiewa tam język włoski. Ogromna moc towarzystw kulturalnych, religijnych, w pierwszym rzędzie zaś patryotycznych otacza Włocha za morzem opieką na każdym kroku i udziela mu pomocy w razie potrzeby. A poza tem ileż tam czyni rząd dla wychodźców za morzem, ile wychodźcy czynią sami łącząc się w towarzystwa. Rząd stworzył jeneralny komisaryat koncentrujący wszystko, co się odnosi do spraw wychodźczych; za pośrednictwem organu urzędowego *Bolletino dell' emigrazione* objaśnia o stosunkach panujących w licznych miejscach osiedlenia się Włochów, o faunie i florze, zarobkach, stosunkach z ludnością tubylczą, o cenie towarów etc. Przesyłka pieniędzy z Ameryki odbywa się tam bez jakichkolwiek opłat, za pośrednictwem licznych filij *Banca di Napoli*. W całem społeczeństwie włoskiem jest głębokie zrozumienie i zainteresowanie się sprawą wychodźczą, stąd nietylko rząd ale i całe społeczeństwo włoskie popiera ogromnemi ofiarami włoskie szkoły prywatne i parafialne, włoskie szpitale i misye, włoskie towarzystwa dla opieki nad wychodźcami, założone przez samych wychodźców w Nowym Jorku, w Bostonie, w Argentynie i Sao Paolo. W 1901 roku biskup z Kremony, ks. Bonomelli, założył towarzystwo pod nazwą „*Opera di assistenza degli operai Italiani, emigrati in Europa e nel Levante*". Towarzystwo postawiło sobie za zadanie opiekę nad włoskim robotnikiem zagranicą a w szczególności w Europie i na bliskim wschodzie zarówno pod względem religijnym jak i duchowym i materyalnym, uczy ono dzieci robotników włoskich języka ojczystego przy pomocy księży i sióstr duchownych, czuwa nad niemi w czasie, gdy rodzice zajęci są pracą, zaopatruje robotników w włoskie książki i gazety, pielęgnują ich w razie choroby, urządza dla nich kasy oszczędności, wspólne kuchnie i schroniska noclegowe, pośredniczy w dostarczaniu pracy, wydobywa dla nich paszporty i wszelkie inne dokumenty u władz cywilnych i kościelnych, pisze dla nich listy, załatwia tłomaczenia, chroni przed wyzyskiem wszelkiego rodzaju. Zupełna bezinteresowność i zasadnicze nieprzyjmowanie wynagrodzenia za te

wszystkie czynności jest pierwszą zasadą towarzystwa. W kwietniu 1906 roku wydał ks. biskup Bonomelli cyrkularz do prezesów i współpracowników filii, w którym powiedział, że pragnie w sercach rodaków utrzymać miłość ojczyzny i słodką pociechę wiary; każdy Włoch bez różnicy religii i przekonań politycznych ma prawo żądać pomocy i opieki w razie potrzeby w sekretaryatach towarzystwa. Pragnie ono zaspokoić każdą potrzebę, dopomódz wszelkiej nędzy, innych granic nie uznaje dla swej czynności. Prawda, że towarzystwo bez Boga i Chrystusa w sercu nie znalazłoby siły poświęcenia ani też wytrwałej gorliwości, której potrzebuje, ale wszakże Chrystus i grzeszników nie odtrącał od swej łaski. Wreszcie biskup wypowiada pamiętne słowa, że narodowi, który ma pretensyę do szacunku, nie wolno wprost opuścić synów swoich rozsianych po świecie i nie wolno mu składać na obcych troski o zaspokojenie ich potrzeb. Całe Włochy zasiane dziś filiami, na których czele stoją panie i panowie pochodzący z najwyższej arystokracyi. W każdem większem mieście włoskiem znajdują się osobistości, które przyjęły na siebie obowiązek pracowania dla idei towarzystwa; za granicą zaś wszędzie, gdzie tylko większa ilość robotników włoskich znalazła zatrudnienie, powstają odrazu sekretaryaty. Każdy robotnik, udający się za granicę, przywozi od swego proboszcza miejscowego kartę polecającą do tego zagranicznego sekretaryatu i od tej chwili znajduje się pod jego opieką.

Trzydzieści lat temu szlachetny kupiec w Hâvre, gorący katolik, dziś poseł do pruskiego sejmu i były poseł do Sejmu Rzeszy, Piotr Paweł Cahensly miał sposobność przypatrywania się nędzy niemieckich wychodźców wyzyskiwanych i krzywdzonych i w porcie i na okrętach. Widok ten natchnął go myślą założenia Towarzystwa św. Rafała, poświęconego bezinteresownej opiece nad wychodźcami; wykonaniu tej myśli poświęcił następnie całe swoje życie, pełne chluby i zasług. Z jego inicyatywy powstały podobne towarzystwa w Belgii, Austryi i we Włoszech. Dla sprawy tej opieki, dla sprawy koncentracyi wychodźców w narodowych grupach oraz dla sprawy pastoracyi ich w mowie ojczystej umiał on zainteresować i Ojca św. Leona XIII. i sze-

roki ogół; w czasie zaś, gdy wychodźtwo z Niemiec odgrywało poważniejszą rolę, Cahensly stał w pierwszym rzędzie bojowników o ludzkie obchodzenie się z emigrantami na okrętach, o ochronę przed częstymi zamachami służby okrętowej na cześć niewieścią, o obronę przed wyzyskiem nieszczęśliwych wychodźców za morzem.

U nas wobec religijnego i patryotycznego zapału Włochów, gorliwości i patryotyzmu Niemców, wspaniałej organizacyi wychodźtwa w wielkim stylu Anglików, czujnej kontroli Szwajcarów i Belgów, sprawa wychodźtwa z Królestwa zarówno jak z Galicyi jest jedną wielką stajnią Augiasza. Obojętność ogółu, choćby skądinąd bardzo wykształconego i ożywionego najlepszemi chęciami, powszechne oglądanie każdej kwestyi przez szkiełka partyjne idzie u nas w parze z niezwykłą śmiałością ajentów-wyzyskiwaczy, występujących chętnie w roli bezinteresownych działaczy społecznych, umiejących sprytnie zwalczać wszystkich, stających w poprzek ich interesowi. Praca socyalna wydaje się niewygodną, ciężką i niezwykłą społeczeństwu, dotąd rozkochanemu w literaturze a uciekającemu od prawdziwego i twardego życia. I dlatego mówi się u nas z zamiłowaniem: nie mamy wolności, nie mamy nawet autonomii, nie możemy nic zrobić. Jestto jednak tylko wymówka dla naszego lenistwa i nic więcej. Gdy szlachetna matrona polska hr. Przeździecka, rok temu, w Dreźnie złożyła 5000 marek na utworzenie sekretaryatu dla robotników rolnych polskich pracujących w Niemczech i gdy następnie myśl ta z powodu oporu dostojnych wrogów naszych w obozie centrum nie mogła przybrać realnych kształtów, pytam, czy świeckie społeczeństwo nasze wykonało ten pilny obowiązek, czy utworzone na wiosnę tego roku w Poznaniu towarzystwo rozpoczęło już swoją czynność? A przecież należy nam teraz wzorem biskupa Bonomellego wykonać uchwały drezdeńskie, trzeba nam ustanowić mężów zaufania w każdym zakątku Niemiec z pomiędzy członków licznych towarzystw polskich po całych Niemczech rozsianych, trzeba ich poddać jednemu wspólnemu kierownikowi, trzeba listę ich nazwisk rozesłać po wszystkich parafiach całej Galicyi i całego Królestwa, aby każdy uda-

jący się na roboty do Niemiec Polak wiedział, że ma wszędzie w pobliżu rodaka, do którego w razie potrzeby zgłosić się i przed którym na doznaną krzywdę użalić się może; trzeba, aby sekretarz naczelny ustanowił wszędzie prawnych zastępców, którzyby na koszt biura wydobywali dla robotników zatrzymywane przez dwory kaucye czy płace, wnosili skargi w razie zniewag i obelg, dochodzili zwrotu funduszów zagrabionych przez ajentów czy sklepikarzy, trzeba organizacyi i wprowadzenia w ruch wielkiej i celowej pracy karytatywnej. A co dotąd z tego wszystkiego się stało? Czy jest już choćby upatrzony mąż pełen energii, miłości i poświęcenia, któryby trzymając się ściśle granic pracy społecznej i apolitycznej choćby ze względu na to, aby nie uledz spodziewanym szykanom pruskiego rządu, chciał, przytem każdem tchnieniem i każdą myślą pójść w ślady czyto wielkiego biskupa współczesnych Włoch, Bonomellego, czy nieśmiertelnego przyjaciela uciśnionych i biednych, którego pamięć dziś czcimy? Jeżeli dzisiejsze zebranie ma być krokiem naprzód, jeżeli nie ma skończyć się jak tyle naszych dzieł i przedsięwzięć na słowach tylko, proszę i zaklinam czcigodnych tu obecnych reprezentantów Wielkiego Księstwa Poznańskiego, aby podjęli to wielkie i szlachetne zadanie, jakie im w obronie całej Polski w udziale przypadło, i aby dokonali dzieła z właściwą sobie rozwagą, trzeźwością i gorącą miłością sprawy narodowej i z tym szlachetnym, stalowym hartem, jakiego nabrali w codziennej walce w obronie naszej nieśmiertelnej sprawy.

Nie możemy sami uchwalać ustaw, to prawda, ale możemy ich przyjście do skutku przyspieszyć, możemy na ich wydanie nalegać, możemy wykazywać, że różne zarządzenia leżą w interesie nietylko naszym ale przedewszystkiem państwa, w skład którego wchodzimy, n. p. w obrębie Austryi w interesie zachodnio-austryackich rolników i przemysłowców, mogących korzystać z sił roboczych, które dzisiaj tracą na rzecz Niemiec, możemy domagać się uwzględnienia interesu naszych robotników w zawrzeć się mających w najbliższym czasie traktatach handlowych i możemy te wszystkie rzeczy przedstawiać jako postulat, od którego spełnienia zarówno z innymi postulatami czynić możemy

zależnym nasz stosunek do rządu; a mamy w tym kierunku nawet obowiązek, bo tu chodzi o los kroci tysięcy naszych współobywateli corocznie. Możemy w Dumie przemówić do Rosyan argumentem, że tu chodzi przedewszystkiem o opiekę socyalną a nie narodową, że domaga się jej mocarstwowe stanowisko Rosyi i jej powaga, że udzielenie tej opieki zobowiąże wychodźców polskich wobec państwa, że wprost nie uchodzi, aby obywatel państwa rosyjskiego pozbawiony był najelementarniejszej opieki w Niemczech, Brazylii czy Argentynie, dlatego tylko, że jest Polakiem. A czy nie zależy od nas zwalczanie na każdym kroku ajentów prywatnych, zakładanie i organizacya publicznych czy karytatywnych biur pośrednictwa pracy? Czy nie powinne one istnieć w każdym powiecie obowiązkowo? Czy nie było wielkim błędem utrącenie pięknie rozwijającego się publicznego biura w Krakowie? Czy nie powinien Sejm galicyjski za wzorem Francyi uchwalić ustawy, wedle której nie może być udzieloną żadna koncesya prywatna agentom tam, gdzie istnieją publiczne biura pośrednictwa? Czy przez zaprowadzenie związku między biurami i poddanie ich ścisłej kontroli Wydziału krajowego przy znacznem polepszeniu płac urzędników nie dałoby się podnieść tej instytucyi na poziom taki, na jakim znajduje się zagranicą? Wszakże dziś zdarza się, że w jednym powiecie jest brak robotnika, w drugim nadmiar, ta nadwyżka odpływająca zagranicę mogłaby znaleźć zatrudnienie w sąsiednim powiecie, ale często o tem się nawet nie wie: ajenci tego nie powiedzą, a biura publiczne nawet, jeżeli są, nie mają ze sobą dość ścisłego związku, aby wiedzieć o swoich wzajemnych potrzebach.

Ponadto zaś, czy działalność karytatywna nie ma już w tej dziedzinie żadnego pola? Czyżby towarzystwa opieki nad wychodźcami warszawskie i płockie, czysto humanitarne, nie mogły o wiele szerszej rozwinąć działalności, gdyby im przyszło z pomocą całe społeczeństwo? Błędnem jest rozumowanie tych, którzy sądzą, że udzielanie opieki wychodźcom, ochrona ich przed wyzyskiem stanowić może dla nich zachętę do opuszczenia kraju, przyczynić się do pozbawienia go rąk roboczych. Ciemnota, bezradność i nędza ludzi tych jest tak wielką, ich uczucie osa-

motnienia tak beznadziejnem, że pomoc nasza może tylko ulżyć w nieszczęściu, ale nigdy nie pozwoli o niem zapomnieć.

Jeżeli wyższe płace zagranicą zmuszają naszych pracodawców do podwyższenia płac i ze swej strony, to spowodować muszą w dalszym ciągu zmianę systemu gospodarstwa na intenzywne i stają się tym sposobem czynnikiem naszego gospodarczego rozwoju i postępu.

Ale nietylko podwyższenie płac wywołać u nas powinno wychodźtwo, za dalsze jego następstwo uważam i lepsze mieszkanie i obfitszy wikt dla robotników tam, gdzie te zmiany teraz dopiero nastąpiły. Tęsknota za domem i ucisk pruski na każdym kroku roznieca w chłopie tlejącą w nim iskrę przywiązania do ojczyzny, zwłaszcza gdy z tytułu pochodzenia polskiego znosić musi szereg upośledzeń i ograniczeń: opuszczać musi Niemcy każdego roku przed 20 grudnia i niepotrzebnie wydawać na drogę kilkadziesiąt marek tam i z powrotem, w razie nieszczęśliwego wypadku dostanie zaledwie trzyletnią rentę, słyszy pogardliwe wyzwiska i obelgi, za najmniejsze nieposłuszeństwo lub niedbalstwo traci służbę i kaucyę, oszukiwany i popychany na każdym kroku przez ajentów i poganiaczy, ekonomów i rządców, podczas gdy wszystkim innym robotnikom, choćby Rusinom i Czechom dzieje się o wiele lepiej. Twierdzę, że ten systematyczny brutalny ucisk uświadamia naszego chłopa narodowo, bo skłania go do śledzenia źródeł tej nienawiści i obudza w nim poczucie przynależności i łączności z tymi, którzy poprzednio tę nienawiść na siebie ściągnęli. Zawsze jednak przeważają skutki ujemne wychodźtwa: rozluźnienie obyczajów, utrata zdrowia z powodu zbyt wyczerpującej pracy, czasem zobojętnienie w rzeczach wiary. O tem lud nasz wie i skoro u nas stosunki robotnicze i ogólno-gospodarcze ulegną zmianie na lepsze, wychodźtwo z pewnością znacznej ulegnie redukcyi. Tu praca społeczna ma wielkie i płodne w następstwa do spełnienia zadanie. Każdy szczebel rozwoju gospodarczego znaczony być musi przełomem chwilowym i ofiarą, to prawda, każde dążenie do zrównania się z zachodem wymaga zwłaszcza w zaborze rosyjskim wysiłku tem większego, im więcej trudności stwarza tam niemo-

żność kształcenia młodego pokolenia w wyższej szkole polskiej, brak dróg, konkurencya rosyjskiego zboża. Ale ten wysiłek jest nieodzowny, ten etap rozwojowy musimy osiągnąć, ta praca społeczna jest jedną z najważniejszych, jaka nas czeka w najbliższej przyszłości.

Jeśli nie chcemy stracić tych bez mała pięciu milionów Polaków, przebywających w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Paranie, w Argentynie oraz w różnych krajach Europy, musimy interesować się ich szkołami, pismami, stowarzyszeniami. Musimy wiedzieć, co się tam dzieje, dawać rodakom naszym za morzem rady i wskazówki, dostarczać im duchownych i nauczycieli i to nie byle jakich, ale wzorowych, najlepszych, na jakich nas stać, i za ich pomocą oddziaływać w kierunku pojednania zwaśnionych, szczególnie w Paranie i Stanach Zjednoczonych stronnictw politycznych. Pieniędzy naszych tam nie potrzebują, za to wpływ nasz moralny jest nieodzowny. Przysłowie mówi, że gdzie jest trzech Niemców, tworzą towarzystwo; gdzie jest dwóch Polaków, możnaby dodać, z pewnością są dwie różne opinie. Smutne to, ale niestety z prawdą zgodne. Ten indywidualizm na drugiej półkuli wyradza jeszcze przykrzejsze i namiętniejsze niż u nas w polskim obozie walki, o solidarności i karności niema tak samo mowy jak o bezstronnej i sprawiedliwej ocenie jednostek. I tu więc czeka naszych wysłańców misya doniosła i szczytna. Ale o tem pamiętać należy: nie byle-jakich, nie w kraju zużytych i odepchniętych, nie szukających nowego pola pracy po zwichnięciu życia w naszem gronie, posyłajmy tam pracowników ale najtęższych, ożywionych duchem poświęcenia, składających całe swoje *ja* na ołtarzu ukochanej idei pracy dla naszego ludu w dziedzinie narodowej, religijnej i społecznej.

Ważną jest dla nas rzeczą wiedzieć jak najwięcej o krajach, do których udają się nasi wychodźcy. W ten sposób możemy ustrzedz ich nieraz przed katastrofą życiową. Ale kto nam dostarczyć może dokładnych i aktualnych pod tym względem wiadomości? W Anglii urząd dla udzielania informacyi wychodźcom wydaje rocznie szereg tomów o różnych państwach amery-

kańskich na podstawie relacyi konsularnych, sprawozdań nadsyłanych z kolonii i sprawdzonych informacyi prywatnych, nadto 12 obszernych tomów rocznie — co miesiąc jeden, dalej ogłasza cyrkularze a w każdym urzędzie pocztowym krótkie wiadomości (posters). Na każde zapytanie Urząd udziela na zasadzie owych publikacyi ustnie lub pisemnie szczegółowych informacyi każdemu zgłaszającemu się. Na czele Urzędu stoi komitet złożony z członków parlamentu, filantropów i wodzów klasy robotniczej. Kontrolę nad komitetem wykonywa sekretarz stanu dla kolonii. Wszyscy członkowie komitetu urzędują bezpłatnie. W Szwajcaryi udzielanie informacyi należy wyłącznie do państwowego urzędu emigracyjnego; w każdej z dziewięciu prowincyi Belgii istnieją również państwowe biura emigracyjne, we Włoszech informacyi udziela każda gmina na podstawie publikacyi urzędowych tj. wspomnianego już *Bolletino dell' emigrazione* oraz wzorowego wydawnictwa *Emigrazione e colonie*; publikacye te rozsyła się do każdej wioski i z nich czerpać mogą interesenci wszelkie informacye oraz sprawdzać wiadomości inną drogą nadeszłe. W Niemczech towarzystwo kolonialne niemieckie udziela informacyi za pośrednictwem „Zentralauskunftsstelle“ ustnie i pisemnie tak w Berlinie jak i w 52 filiach, rozsianych po całem państwie. I tu jak wszędzie zasadą jest zupełna bezpłatność a udzielenie jakichkolwiek informacyi agentom jest surowo zabronione. Taksamo ma być w Austryi wedle obu istniejących już w tej mierze projektów. Wolno atoli będzie rządowi wyręczać się przy udzielaniu informacyi stowarzyszeniami czysto filantropijnemi, nie uprawiającemi obok tego żadnego przedsiębiorstwa zarobkowego. Jest oczywistem, że informacye decydujące o postanowieniu wychodźcy, tylko wówczas mogą mieć jakąś wartość, jeżeli opierają się na relacyach osób najlepiej poinformowanych a temi są oficyalni reprezentanci państwa. Trzeba przyznać, że konsulowie austryaccy w Brazylii i w Argentynie nietylko stawali gorąco po stronie naszych wychodźców, ale nadto przysyłali do Wiednia szczegółowe i obszernie umotywowane ostrzeżenia przed tem wychodźtwem. Im zawdzięczamy szczegółowe wiadomości o powolnem i niedołę-

żnem wymierzaniu gruntów w Paranie, o panującym tam szowinizmie i osiedlaniu przybyszów kilkunastu narodów w jednej gminie z intencyą zmuszenia ich do przyswojenia sobie języka portugalskiego jako „pośredniczącego“; o bezkarności miejscowych zbrodniarzy i przekupstwie władz; o usiłowaniach rządu stanu Sao Paolo i republiki argentyńskiej ściągania do kraju robotników i drożyźnie ziemi, o wyzysku robotników przez plantatorów i przedsiębiorców kolejowych, o tendencyi wynarodowienia naszego ludu i uczynienia z niego nawozu celem wzmocnienia i podniesienia upadłych moralnie mieszańców brazylijskich i argentyńskich, potomków białych, Murzynów i Indyan.

Że te relacye konsulów nie zawsze zdołały oddziałać na opinię publiczną, to było po części rezultatem sprytnego przeciwdziałania ajentów, po części skutkiem niedostatecznej publikacyi ich wskazówek. Atoli austryackie ministerstwo spraw zagranicznych coraz więcej i gruntowniej zajmuje się dziś opieką naszych wychodźców zagranicą: obecnie z polecenia ministerstwa objeżdża w tym celu całe Niemcy wyższy urzędnik ministeryalny.

Zanim jednak powstanie w Austryi państwowy urząd emigracyjny, za czyjem pośrednictwem mają być rozpowszechniane relacye konsularne? Nie ulega kwestyi, że w myśl zasady, ustalonej w projekcie przyszłego prawa austryackiego jak również całego ustawodawstwa europejskiego, informacye te udzielane być mogą przez rząd tylko stowarzyszeniom zajmującym się bezinteresownie opieką nad wychodźcami na wzór niemieckiego tow. św. Rafała. Instytucye, zajmujące się równocześnie sprzedażą biletów okrętowych za prowizyą lub dostarczaniem robotników sezonowych pracodawcom, takich informacyi z ministerstwa otrzymywać nie mogą. Powód tego jest zupełnie jasny. Takiemu bowiem przedsiębiorstwu, które równocześnie ciągnie zysk z emigracyi, choćby go potem obiecywało obrócić na cele dobra publicznego, w szczególności na dobro samych wychodźców, chodzić musi o jak największą sumę tych zysków, a ta tendencya, jakkolwiek może podyktowana chwalebnymi zgoła motywami, wypaczać może samą treść udzielonej informacyi.

Jeżeli więc pragniemy w słusznych granicach przeciwdziałać wychodźtwu w tem znaczeniu, aby ostrzegać przed emigracyą do krajów, korzystnych przeważnie tylko dla ajentów a niekorzystnych dla wychodźców samych, to musimy jak najrychlej założyć i wspierać towarzystwa oddające się bezinteresownie i wyłącznie sprawie opieki nad wychodźcami i udzielania im informacyi pewnych, dokładnych i aktualnych. To jest dalsze, niezaprzeczenie bardzo trudne, bo wymagające wielkiego poświęcenia i zaparcia się siebie, zadanie.

Dziesiątki lat zaniedbania nałożyły na nas jeszcze jeden obowiązek. W dwóch dzielnicach polskich kwitnie dotąd na szeroką skalę handel dziewczętami. Do Kairu, Bombaju i Kalkuty, do Rio de Janeiro i do Buenos Ayres nikczemni handlarze znający nasz język wywożą nasze dziewczęta i zapełniają niemi domy publiczne. Obojętność nasza wobec tej hańby jest naprawdę potępienia godna. W każdem mieście polskiem winneby powstać komitety ochronne i misye dworcowe a władza bezpieczeństwa wszędzie najgoręcej winna nam dopomódz w tej walce. Bezwzględne tępienie zła musi być naszem hasłem, jeżeli zapobiedz chcemy bodaj na przyszłość temu masowemu mordowi dusz i ohydną plamę zetrzeć z opinii o nas w tych krajach.

Od czasu, gdy na wspaniałem zebraniu centralnego Towarzystwa rolniczego w Warszawie mówiłem o tymsamym przedmiocie, nie wiele zmian zaszło na lepsze. Dwie konferencye środkowo-europejskich towarzystw gospodarczych w Berlinie i Budapeszcie oraz konferencya karytatywna w Dreźnie przyjęły wprawdzie ustalone przezemnie zasady, zmierzające do poprawy stosunków, ale dotąd ani ustawa ochronna dla robotników polskich w Niemczech, ani sekretaryat robotniczy dla nich nie wszedł w życie. Ankieta ministeryalna wiedeńska odbyta pod auspicyami niechętnego nam kierownika, urządzoną była pierwotnie z intencyą pogrzebania całej sprawy a przynajmniej wyłączenia z niej opieki nad robotnikami sezonowymi ze względu na interes Prus. Widocznem przy tem było, że ministerstwu handlu w pierwszym rzędzie chodzi o towarzystwo Austro-Americana oraz o powiększenie eksportu towarów austryackich do Argentyny,

a dopiero w drugim rzędzie o opiekę dla naszych wychodźców. Wyniki ankiety jednak zbyt były wymowne, by ministerstwo odważyło się na dalsze trzymanie się tego programu. Trzeba teraz, by nasi posłowie patrzyli bardzo uważnie na palce ministerstwu, już z natury swej kompetencyi zgoła niepowołanemu do sprawowania czynności, nie mających z handlem nic wspólnego.

W społeczeństwie za to naszem, acz powolny, dostrzegam postęp od owych lat kilku. Przeszkody tylko dla słabych są hamulcem, dla geniuszu polskiego były zawsze, i miejmy w Bogu nadzieję, będą nadal zachętą. Za dobrą wróżbę biorę w tej mierze, że danem mi było mówić o tej sprawie na zebraniu tak świetnem, wśród tylu gorących serc i uroczystego nastroju czci dla męża, którego duch nieśmiertelny w tej chwili unosi się nad nami, a którego całe życie było nieprzerwanem pasmem aktów miłości Polski i fundamentu jej, ludu roboczego.

DYSKUSYA NAD REFERATEM

Dr. Leopolda Caro.

J. E. Ks. Biskup Pelczar.

— Wychodźtwo, którego żadna siła wstrzymać nie zdoła, można powiedzieć, że jest „malum necessarium“. Zwiedzając wioski mojej dyecezyi, widziałem, że ten lud nasz na małych kawałkach nieurodzajnej ziemi wyżywić się nie może, rodziny icznej utrzymać nie potrafi! Dodawszy jeszcze brak fabryk, będziemy musieli się pogodzić z myślą, że o ile stosunki się nie zmienią, to fale emigracyi iść będą dalej. Skutki wychodźtwa pod pewnymi względami są dodatnie ; sam widziałem cały szereg domów zbudowanych groszem przyniesionym z Ameryki. Ale pasterze dusz w wielu parafiach żalili się, że młodzież za granicą, zwłaszcza w Niemczech, psuje się moralnie, nabiera wad i narowów, które przynosi później do wioski i parafii. My karcimy te wybryki i wady i z naszych serc nie wyrzucamy troski o dobro duchowe naszych owieczek. Dotąd mamy większe stacye, gdzie utrzymujemy kapłanów. Dyecezya przemyska utrzymuje kapłana w Hamburgu, który nad emigrantami i robotnikami w okolicy osiadłymi ma duchową pieczę. Ze Lwowa wysłany został kapłan do Budapesztu, gdzie znajduje się 20 tysięcy naszych robotników, i gdzie stosunki religijne były opłakane. Także w Alzacyi, gdzie jest dużo dziewcząt polskich, utrzymujemy 2 stacye zakonnic, służebnic Serca Jezusowego, które temi robotnicami

również się opiekują. Idą również kapłani nasi zakonni czy świeccy do pracy, i muszę oddać chlubne świadectwo Towarzystwu Jezusowemu, które corocznie kilku kapłanów wysyła. Podczas kongresu eucharystycznego we Wiedniu zebrali się kapłani z różnych dyecezyi i w obecności biskupów z Galicyi ułożyli parę planów działania, a więc to, czego sobie p. prelegent Caro życzy, żeby centralny sekretaryat przyszedł do skutku, to nastąpi. A ponieważ nie można było otworzyć tego sekretaryatu w Berlinie, ani w Hamburgu, przeto powstanie on w Poznaniu. Już upatrzono kapłana, który tę opiekę zorganizuje nietylko w kierunku duchowym, ale także ekonomicznym, żeby wszystkie potrzeby naszych wychodźców objęte były tą opieką. Sekretaryat ten ma wejść niebawem w życie, jako ognisko pracy duchowej, pod względem materyalnym i moralnym. Konieczną jest rzeczą utworzyć we wszystkich dyecezyach albo stowarzyszenia osobne, jakie istnieją w dyecezyi płockiej, albo komitety, albo sekretaryat, który tą sprawą będzie się zajmował w obrębie dyecezyi. Ci sekretarze dyecezyalni i delegaci będą się zbierali co roku w sekretaryacie centralnym, aby poczynić plany na rok następny. Do tego jednak trzeba ludzi i pieniędzy. Ludzi, którzyby pracowali, kapłanów pełnych gorliwości, moralnego statku, na którychby się spuścić można. Prócz tego rozciągniemy także opiekę nad wychodźcami w Brazylii i Bośni, którzy są całkowicie opuszczeni. W Niemczech pracuje 323 tysiące sezonowych robotników, z tych 80 tysięcy z Galicyi. Wyszukać tych ludzi, skierować do pewnych celów, tę pracę dla nich wyszukać — jak słusznie podniósł p. Caro — dopomódz do zawarcia kontraktu, czuwać nad jego wykonaniem, aby ich nie skrzywdzić, jak się to dzieje, —, to również zadania sekretaryatu generalnego i dyecezyalnego. Ale kapłani ci muszą mieć, oprócz ducha Bożego, ducha poświęcenia, apostolskiego ducha, bo trzeba, aby pasterze o owieczkach pamiętali. W Wiedniu do zgromadzonych kapłanów odezwałem się i gorąco zachęciłem ich, aby pracy swej nie żałowali i pracy nad wychodźcami się ofiarowali. Nadto zwrócimy się, oprócz katechetów, którzy podczas feryi szkolnych z poświęceniem jadą na pracę, do zakonników, żeby dostarczali robotników na

tem polu. Już w Niemczech biskupi i setki kapłanów nauczyło się języka polskiego, bo i biskupi i kapłani uważają sobie za obowiązek sumienia zajmować się robotnikiem polskim. Najgorszym jest los robotników we Francyi. Tam smutną jest ich dola; bo tam nie idą grupami, ale jednostkami, znajdują lichą zapłatę, traktowanie nieraz bardzo nieludzkie, a oprócz tego zły przykład. Chłop francuski bowiem we wielu departamentach jest z gruntu rzeczy niereligijnym, zepsutym i nietylko nie spełnia obowiązków religijnych, ale odciąga od ich spełniania innych. Wreszcie potrzeba nam pieniędzy i tu zwracam się do całego społeczeństwa polskiego; kapłani dają pracę, biskupi dużo grosza dokładają, ale społeczeństwo świeckie powinno groszem i modlitwą tych misyonarzy wspierać, bo to obowiązek sumienia. My biskupi będziemy tę sprawę omawiali, sprawę ogłosimy, wydamy odpowiednie rozporządzenia, a społeczeństwo niech wezwaniom pasterzy odpowie ofiarnością.

Ks. Prałat Kłos z Poznania: Ponieważ szan. referent odezwał się z tak gorącym apelem do Księstwa Poznańskiego, sam jako przedstawiciel Księstwa pozn. i członek komitetu wybranego przed rokiem w Dreznie, jestem dostatecznie poinformowany o przebiegu sprawy wychodźtwa do dnia dzisiejszego, chciałbym przeto dorzucić kilka uwag. Rok temu na kongresie w Dreznie postanowiono powołać do życia towarzystwo opieki nad wychodźcami sezonowymi. Opieka ta miała się ograniczyć do robotników w Niemczech, nie miała ogarnąć wychodźców naszych, pracujących poza granicami państwa niemieckiego, którzy tej opieki potrzebują. A tych jest gromada wielka; w sprawozdaniu za rok 1909 figuruje liczba sezonowych robotników z Galicyi, Królestwa i Ks. Poznańskiego ośm kroć 54 tysiące, a zatem cyfra bardzo poważna. Wyzysk, jakiego ofiarą padają wychodźcy, rozpoczyna się z chwilą, kiedy wyruszają na roboty, a kończy się, gdy wracając, zmieniają pieniądze, bo aż dotąd nieludzcy agenci i żydzi ich oszukują. Temu ma zaradzić towarzystwo opieki nad sezonowymi wychodźcami. Statut tego towarzystwa jednak wyłącza opiekę duszpasterską, bo obawiamy się, jak doświadczenie uczy, że ilekroć jakiś biskup zaj-

muje się sprawą duszpasterstwa, to tylekroć wchodzi w kolizyę z biskupami niemieckimi.

Towarzystwo wytyka sobie za zadanie opiekę materyalną, polegającą na tem, żeby tego biednego człowieka nie poniewierano, żeby go uchronić przed wyzyskiwaniem i nadużyciami ze strony ekonomów i włodarzy. Centrum ma być sekretaryat generalny, ale ten sekretaryat nie może dotrzeć do wszystkich, którzy tej opieki potrzebują; dlatego uważam za konieczne pociągnąć do współpracownictwa filie Zjednoczenia Zawodowego. Te zjednoczenia mają we wszystkich większych miastach swoich sekretarzy, którzy uproszeni przez nas będą pomagali, ilekroć robotnik będzie narażony na niebezpieczeństwo wyzysku i poniewierki. Naprzykład podam fakt, że pokątny pisarz za spełnienie małej usługi, za sprawdzenie metryki brał 45 marek od każdego robotnika. Była tu też mowa a środkach potrzebnych do pracy, o mamonie. Bezwątpienia całe społeczeństwo ma obowiązek do ulżenia nędzy się przyczynić, ale zwracam uwagę, że jeżeli biuro takie będzie powołane do życia, to każdy robotnik za wszelką pracę chętnie da chociaż małą ofiarę, a ofiara pochodząca z tak licznego grona robotniczego wystarczy do utrzymania biura. Staraliśmy się, aby komitet opieki mógł już zacząć działanie; były jednak przeszkody, ważniejszej natury, które to działanie uniemożliwiły; te ustąpiły i mam nadzieję, że w najbliższych miesiącach komitet rozpocznie działanie. Galicya i Królestwo będą miały obowiązek popierać komitet w ten sposób, że ze wszystkiemi sprawami dotyczącemi wychodźtwa do tego komitetu będą się udawały. Jeżeli społeczeństwo trzech zaborów tę sprawę poprze, to dola robotnika się podniesie, a najmit wrogów swoich dojdzie do lepszego losu.

Ks. dr. Gołba—Ograniczam się do paru słów, które nie były dotknięte. Często stykając się z ludźmi przekonałem się, że ci ludzie, którzy nie żywiołowo, nie z przekonania jadą za granicę, że ci ludzie odnoszą korzyści materyalne, podczas gdy ci, którzy idą żywiołowo, dla uwolnienia się z pod opieki rodzicielskiej, ci wracają zrujnowani materyalnie i moralnie; dziewczęta stracone są na zawsze, bo to mają być przyszłe matki,

wychowawczynie przyszłych pokoleń. Trzeba zwrócić uwagę na to, aby młodzież, która kończy 14 rok życia była wzięta w szczególną opiekę przez czynniki parafialne. Chłopiec i dziewczyna nie należą do żadnych stowarzyszeń, wykształceni więcej niż rodzice są bezkarni i oddają się złym skłonnościom. Jeżeli w tym okresie podrastania nie weźmiemy młodzieży w opiekę, wtedy wszelkie komitety i zebrania będą bezradne. Trzeba przeto rozpocząć pracę wychowawczą i tworzyć stowarzyszenia wychowania chłopców i dziewcząt, w nich uczyć rzeczy odnoszących się do oświaty i religii i wpajać w nich zasadę: „masz tu znaleźć robotę, a jeżeli jedziesz to, masz posiadać pewien stopień kultury, znać się na zmianie pieniądza, wiedzieć, gdzie i jak się obrócić, masz być przygotowanym do wychodźtwa. Bo inaczej wielu pojedzie a na miejscu ich zatrzymają i wybiorą tylko tych co mają silne i zdrowe ramiona. Należy także rozszerzać liczbę szkół gospodyń, bo dziewczyna, która ukończy taki kurs gospodarski jest kulturalnie więcej podniesiona i ta nie pójdzie tam, bo tu więcej sobie zapracuje. Dlatego zebranie stowarzyszenia powinno się domagać u władz powiększenia liczby kursów gospodyń i ułatwień w obsyłaniu jaknajwiększą ilością dziewcząt, a wtedy ten prąd zepsucia da się skutecznie powstrzymać.

Hr. Jerzy Moszyński wspomniał, że najważniejszym momentem wykształcenia ludu jest praca u siebie na gruncie. Kwestya usunięcia pracy podjętej przez tych ludzi, którzy naszemu ludowi chcą nieść pociechę religijną, pomoc materyalną i moralną zależy od budowy fundamentów u siebie w domu; ta zaś możliwa jest tylko tam, gdzie się spoi lud z dworem. Choć chłop nie umie czytać ani pisać to jednak umie kochać, myśleć i zastanawiać się. Dopóki nie zorganizujemy fundamentów społeczeństwa, dotąd w żadnym kierunku nic nie zrobimy, nic nie pomożemy i na nas, którym Bóg dał środki materyalne musi spadać główna odpowiedzialność przed Bogiem, jeżeli ten lud i my z nim pójdziemy na marne.

Ks. Dziedzic z Nowosiółki. — Korzystając z tego, że widzę na zjeździe wielką masę kapłanów, chciałbym w kwestyi wy-

chodźtwa jeden mały szczegół dorzucić. Okazało się już w pierwszych próbach bardzo praktyczną rzeczą zredagowanie i wydanie listów drukowanych, adresowanych do wychodźców, albowiem jest rzeczą psychologicznie umotywowaną i w naturze ludu leży, że gdy dostanie kto na obczyźnie list z domu, obchodzi jakby święto, jeżeli go zaś dostanie od swego ojca duchownego, to obchodzi jakby wielką uroczystość czytania listu! Dlatego byłoby rzeczą doniosłą, żebyśmy mogli z osobna wysyłać takie listy i w ten sposób na taką odległość opiekować się naszymi wychodźcami. Proszę mi wierzyć, że już nas ubiegli w takich listach żydzi, którzy rzucili masami handlowe świstki tak dostosowane do duszy emigranta! A więc na przodzie listu jest kwiatek, potem marne wierszydło zawierające zwykle śmieszne i złe rzeczy. Temu możemy nadać formę artystyczną, i umieścić wszystkie złote zdania naszej literatury, najzdrowsze dla ludu! Ale niejeden kapłan pewno powie: gdziebym ja potrafił 800 listów napisać... Otóż proszę Szan. współbraci, w tem leży sztuka, żeby się tylko 800 razy.. podpisać. Trzy stronnice będą wydrukowane, jednakie do wszystkich. W nim zmieszczę wszystko; dam upomnienie, żeby emigrant trzymał się wiary, żeby chodził do spowiedzi, żeby pieniędzy nie chował, ale dostawszy wypłatę przesłał do domu w liście „pieniędzy nie noś ze sobą, bo cię okradną, nie chodź na muzyki w niedzielę, czytaj gazetę, czuwaj nad dziewczętami" a wreszcie jedną zachętę: „moje dzieci ściskajcie zarobek, bo u nas jest masa ziemi do kupna, zamiast przepić złóżcie, składajcie na kupno polskiej rodzinnej ziemi!" A na trzeciej stronie może być kilka słów dodatkowych i podpis. Wierzcie mi współbracia ten podpis będą wychodźcy całować! Wydaniem listu może zająć się jakieś towarzystwo albo proszę się później do mnie zgłosić, to każdego chętnego tej sprawie mogę we wzór takiego listu zaopatrzyć.

Pos. Dr. Lasocki wspomniał o stanowisku rządu i Koła polskiego do emigrantów. Emigranci nie są ciężarem, bo oni zarobione pieniądze przysyłają dla rodzin. Statystyka stwierdza, że fundusze przynoszone do Austryi wynoszą około 250 milionów koron rocznie, z tego na Galicyę przypada bardzo poważna

kwota. Państwo jednak wobec tych ludzi, którzy tyle dochodu mu przynoszą zachowuje się biernie. O faktycznej ochronie niema co mówić. Konsulaty rzeczywiście poprawiły się nieco, opieka jednak jest bardzo słaba, przeważna część urzędników języka emigrantów nie zna i emigranci nie mają sposobności wypowiedzieć swych żalów. Co do traktowania emigrantów sezonowych, mowca oświadczył, że tu nie wchodzi w grę niedołęstwo ale wzgląd na państwa sąsiednie, wbrew zasadzie, że obowiązkiem państwa jest każdego obywatela bronić bez względu na to czy się ta obrona sąsiadom podoba czy nie! Nasi ludzie idą za granicę, pracują, pracą swoją wzbogacają wrogów, a o traktowaniu swoich obywateli państwo austryackie wiedzieć nie chce! Niemcy nie z miłości trzymają naszych robotników ale z musu, bo ich praca jest im konieczną! W Austryi zaś zażywają różnych swobód robotnicy niemieccy, którzy się tu rozpierają; a zatem obywateli naszych zagranicą tak się powinno traktować, jak się traktuje robotników niemieckich w Austryi. Dalszym ciągiem obaw przed Niemcami jest wydanie ustawy emigracyjnej. Polska reprezentacya żąda, żeby została ustanowiona jedna ustawa o ochronie emigrantów tak dla zamorskich jak i miejscowych, rząd jednak jak dotychczas zdecydować się w tej mierze nie może. Co do Koła Polskiego — prelegent zakończył — to ono się tą sprawą zajmowało bardzo gorliwie, w ankiecie brano bardzo żywy udział i sądzę, że w tej mierze obowiązek nasz spełniliśmy i nadal spełniać będziemy.

W końcu zabrał głos powtórnie J. E. Ks. Biskup Pelczar i w odpowiedzi na słowa ks. Kłosa z Poznania, oświadczył, że sprawą wielkiego znaczenia jest dbanie o dusze emigrantów. Jeżeliby się — mówił dostojny mowca — miało tylko materyalny interes na oku, toby było działanie jednostronne i na to my biskupi zgodzić się nie możemy. Inaczej mówiliśmy o tem w Wiedniu. Tam była mowa przedewszystkiem o duchownych interesach naszych wychodźców. Wreszcie mowca zapowiedział, że jeżeli statut wykluczający udział duszpasterstwa będzie uchwalony, to biskupi między sobą osobny utworzą związek.

WYKSZTAŁCENIE SPOŁECZNE DUCHOWIEŃSTWA.

REFERAT X. K. ZIMMERMANNA.

Minęły epoki, w których duchowieństwo było pionierem kultury wszelkiej, gdy o sprawach krajów i społeczeństw decydowało na urzędach kanclerskich, w ministeryach skarbu czy oświaty, gdy zaprowadzało reformy w rolnictwie, starało się o rozwój przemysłu i handlu, z upoważnienia rządów i społeczeństw zawiadywało opieką nad ubóstwem, kierowało na mocy ogólnie panujących poglądów i największego zapotrzebowania na cele kościelne produkcyą artystyczną; — minęły epoki, w których o wszystkich aktualnych kwestyach rozprawiał i decydował kler.

Dzisiaj niemal na drugi patrzymy ekstrem. Dzisiaj jest stan duchowny uważany nie za pioniera kultury, posuwającego ludzkość na drodze ogólnego rozwoju, lecz za przedstawiciela wiedzy, nieuchodzącej za naukę, za kastę, która dla swoich przedawnionych nauk i form kultu chce utrzymać przynajmniej ograniczony, pospolity tłum wiejski, bo z inteligencyi i uświadomionego proletaryatu miejskiego sama coraz więcej rezygnuje. Zwłaszcza w krajach romańskich i słowiańskich nie przy-

puszcza się u duchowieństwa znajomości objawów życia społecznego, raczej ze zdziwieniem podnosi się, gdy jednostki wśród niego posiadają wykształcenie wszechstronne lub naukę specyalną i udział czynny biorą w sprawach żywotnych społeczeństwa.

Czem to się dzieje?

Czy może kapłani w obecnem XX stuleciu za mało znają teologię lub pod względem ascezy nie stoją na dawniejszej wyżynie obyczajności?

Bynajmniej: ogół duchowieństwa we wszystkich krajach ma notorycznie wykształcenie teologiczne dzisiaj takie, jakiego nigdy nie posiadało ono w ubiegłych wiekach, a stopień moralności jego wyższy jest od stopnia obyczajów w niejednem innem stuleciu.

Przyczyny leżą na innych polach.

Dawniej część duchowieństwa rezygnowała z zajęcia się sprawami doczesnemi, ale za to polem części drugiej, niezmiernie znaczniejszej liczbą, zasobami wiedzy, inteligencyą, energią, funduszami materyalnymi i starowiskiem — był świat cały. Ten kształtować — kler świecki i zakonny usiłował wedle swoich pojęć, opartych na nauce Chrystusa i tradycyi Kościoła.

Dzisiaj w niejednym kraju ogół duchowieństwa uważa świat, jego kulturę, jego rozwój — jako dominium, jako monopol złego ducha. Nie czuje się na siłach, by odebrać wrogowi swemu jego zdobycz, więc do świata nawet zbliżać się nie pragnie i zadowala się często tymi ludźmi, którzy sami dążą do kościoła i pierwsi zbliżają się do duchowieństwa. — Nawet w dziedzinie życia towarzyskiego, na zjazdach, na ulicy, w podróży, zwykle nie spotyka się księdza w otoczeniu inteligencyi — lecz raczej ludzi umysłu i znaczenia bardzo średniego.

W pewnej mierze duchowieństwo samo się wykluczyło z rozległych, a rozmaitych dziedzin życia publicznego.

Na wielkie przewroty społeczne XVIII i XIX wieku duchowieństwo było nieprzygotowane—po części, nie przeprowadzając reform w dziedzinie swej kompetencyi, samo je wywołało i stąd ponosić musiało konsekwencye a nie miało dosyć

wiedzy i siły moralnej, by po utracie materyalnej podstawy zachować znaczenie i wpływ w społeczeństwach.

Dzisiaj pomimo pracy ostatnich dziesiątków XIX wieku są kraje i społeczeństwa, gdzie duchowieństwa i form zewnętrznych kultu katolickiego jest wiele i gdzie stąd wiele mówi się o klerykalizmie, ale gdzie duchowieństwo na ster stosunków w kraju i społeczeństwie w rzeczy samej wpływu nie ma — gdzie ogół ludności wśród walk społecznych i gospodarczych nie pomyśli nawet, że Kościół ma społeczno-moralne siły w swem wnętrzu do kształtowania stosunków socyalnych, ekonomicznych, politycznych, jak żadna inna instytucya na świecie—gdzie nauki duchowieństwa wielokrotnie nie dotyczą żywotnych interesów społeczeństwa, a społeczeństwo lekceważy sobie nauki i sprawy Kościoła.

A tymczasem zaparlibyśmy się Chrystusa, gdybyśmy czynem zaprzeczyli Kościołowi prawa do życia i interesów jakiegokolwiek choćby tylko jeszcze z nazwy chrześcijańskiego społeczeństwa.

Ale jak uwydatnić to prawo, jak wykazać, że ono nie przedawnione, jak zadokumentować siłę do wykonania go?

Oto nasamprzód przez wiedzę, przez poznanie i okazanie znajomości społeczeństwa we wszystkich jego warstwach, warunkach bytu, dążeniach, reformach — przez zrozumienie rozwoju, jaki przeszły pojedyncze, dzisiaj coraz więcej znaczące warstwy od chwili, w której Kościół jeszcze główną lub przynajmniej jedną z dominujących grał rolę w świecie, kraju, społeczeństwie każdem chrześcijańskiem — przez zapoznanie się z ujemnymi objawami społecznymi i z środkami, prowadzącymi do ich sanacyi.

Ale czyżby duchowieństwo nie znało w kraju swoim własnym, rodzinnym, społeczeństwa w jego rozmaitych stanach i zawodach, nie znało ich położenia, potrzeb, warunków rozwoju, nie wiedziało, co mówić do rozmaitych kategoryi ludności, czy ogólne teologiczne wykształcenie nie wystarcza i nie uzdalnia go do spełnienia swego zadania?

W pewnej mierze już rzeczywiście posiada duchowieństwo wykształcenie społeczne zapomocą studyów teologicznych.

Cóż bowiem zajmuje dzisiaj szerokie warstwy — co roztrząsają ci, którzy dla swoich odrębnych od Kościoła, a często wrogich mu interesów do tych warstw się zbliżają, z niemi obcują, do nich mówią i dla nich piszą?

Oto kwestye najściślej złączone z dogmatem i nauką chrześcijańskiej moralności.

Więc nasamprzód kwestya, czy mimo widomej niesprawiedliwości społecznej istnieje istota, która rządzi światem i kieruje opatrznościowo jednostkami i stanami. Co to jest Bóg i czy Chrystus, założyciel religii, był Bogiem? Na co religia jest potrzebna — do czego nie powinna być nadużywana? Jakie stanowisko Chrystus zajął względem ludzkości — jakie apostołowie — jakie późniejszy i obecny Kościół? Czy Chrystus był proletaryuszem i ruch socyalny, rewolucyonistyczny chciał wywołać? Czy zajmując się proletaryatem, stanął w przeciwieństwie do przedstawicieli urzędowego kościoła, gromadzącego skarby i dążącego do jak najobszerniejszej władzy świeckiej? Czy i On i Jego uczniowie i pierwsi zwierzchnicy Kościoła byli za podziałem i równością dóbr i używania wszystkich ludzi? Czy warstwy pracujące w walce o równouprawnienie socyalne i ochronę życia i zdrowia mogą się spodziewać poparcia Kościoła? Czy Kościół odłączony być winien od państwa? Jak się należy zapatrywać na jedność i nierozerwalność małżeństwa — życie płciowe poza małżeństwem—karygodność przestępców praw państwowych—słuszność opodatkowywania warstw niezamożnych — na walki i bitwy gospodarcze i t. d.

To są kwestye ściśle teologiczne, ale zarazem najżywiej obchodzące masy, najczęściej dyskutowane na zebraniach ludowych, w prasie, w broszurach, w dziełach, dostających się do szerokich warstw pracujących. O ile się niemi duchowieństwo zajmie należycie, o tyle działa już społecznie. A jednak jak rzadko te właśnie roztrząsa się kwestye! A jeśli się ich dotknie i rozbiera, to czyni się to na modłę archaiczną, stylem staroświeckim, w formie przestarzałej, bez wyczucia nowoczesnej psychologii jedno-

stek i tłumu. Zda się, że mówiący i piszący mają zupełnie inny aparat umysłowy, niż ci, dla których wykład przeznaczony. Przeciwnicy zaś mają dowody nędzne, ale oni wypowiadają swoje twierdzenia w nowoczesnej formie, a tego właśnie życie wymaga. Receptę na sposób, jak mówić do ludu, trzeba wziąć z atmosfery, w jakiej lud żyje, jaka styl wytwarza, ciągle inny, a do jakiej forma się nagina i nagiąć musi. Obawy tu zbyteczne. Boskość prawdy i godność urzędowa i osobista mówiącego kapłana uchroni go od trywialności — a mowa jego o treści teologicznej będzie zarazem prawdziwie społecznym czynem.

Wielu znów z duchowieństwa zajmuje się zbytnio staremi herezyami i przypomina je przy każdej sposobności, chociaż już aktualność straciły od wieków; powtarza słowa, jakiemi odzywali się herezyarchowie starożytności i odpowiedzi ówczesnego kleru: — a za mało dba o dzisiejsze, nad wszelkie inne gorsze herezye, bo ich dla domieszki gospodarczej za klasyczną herezyę nie uważa i nie zapoznaje się wcale z uchwałami nowoczesnych synodów heretyckich, skoro nazwę swoją zmieniły na kongresy. Nie myślą ci księża o tem, że linia dogmatyczna, w teologii tak dobitnie i szeroko zakreślona, zwykle wązka była bardzo wśród ruchu ludowego, jaki obok kwestyi dogmatycznej w dziedzinie społecznej, gospodarczej, czy politycznej wybuchnął i szerzył się długo.

I teologia moralna ma wielkie znaczenie społeczne, jeśli przez duchowieństwo należycie w praktyce jest uwydatniana.

Nikt nie zaprzeczy, że kapłan, który wzywa społeczeństwo, a mianowicie warstwy pracujące, by nabywały odpowiednią wiedzę ogólną i zawodową i dążyły nieustannie do wyższych stopni kultury, przez pracę, godziwe współzawodnictwo, sumienność, słowność, wytrwałość, oględność i oszczędność — który w naukach, miewanych do stanów poszczególnych, objaśnia znaczenie wstrzemięźliwości płciowej, szkodliwość używania narkotyków, ważność liczby ludności dla kraju, fizyczne i moralne wychowanie potomstwa — który wykazuje wartość dla społeczeństwa i dla poszczególnych stanów i zawodów samopomocy zorganizowanej — który tłumaczy najskuteczniejsze nowoczesne

sposoby czynnej miłości bliźniego i zaprowadza je w parafii — który przedstawia obowiązki względem gminy, społeczeństwa, kraju — który jest pośrednikiem w zbliżaniu się stanów rozmaitych do siebie i w wyrównaniu różnic społecznych i interesów gospodarczych, — nikt nie zaprzeczy, że taki kapłan działa wybitnie społecznie.

Im więcej zatem wykład dogmatyki, apologetyki i moralnej dla przyszłych duszpasterzy stosowany będzie do zainteresowania się nowoczesnego społeczeństwa przedmiotami zagadnień teologicznej natury; im więcej uwzględniać się będzie najświeższe objawy życia społecznego, rodzące się z dnia na dzień, a nie dbające ani o dawne szkoły i metody, ani nie czekające nowych podręczników: tem więcej księży stanie w szeregach ludzi, którzy trzymają rękę na pulsie ludzkości, umieją stawić dyagnozę, leczyć lud i pielęgnować i rozwijać odpowiednio do hygieny, którą Bóg przekazał ludzkości. A dobry hygienista moralny będzie zawsze jednym z najlepszych i najcenniejszych społeczników.

Tak samo i odpowiednie ascetyczne wykształcenie warunkiem jest i podwaliną pozyskania i utrzymania należytego wpływu duszpasterstwa na społeczeństwo.

Do owocnej pracy nad społeczeństwem potrzebna jest czysta intencya służby ludzkości, potrzebne jest ustalenie charakteru z łaski Bożej i zaparcia się siebie, potrzebne ukrócanie egoizmu, budzenie bezinteresowności, wytężanie sił fizycznych, umysłowych, moralnych, a równocześnie i materyalna ofiara. Kapłan niesolidarny, samowolny, ambitny, egoista, przy najświetniejszych zdolnościach, więcej rozbije, niż człowiek świecki.

Właśnie brakowi wyrobienia wewnętrznego przypisać musimy — dzięki Bogu bardzo nieliczne — okazy księdza zacietrzewionego w partyjnej polityce i księdza, egoistycznego przedsiębiorcę finansowego. Rzadkie to bardzo zjawisko, a jednak mimo swej rzadkości, zjawisko nader szkodliwe. I wrogowie Kościoła i małoduszni jego synowie, chcący wytłómaczyć swoją gnuśność, upatrują w niem potem typ kapłana-działacza społecznego, i twierdzą, że praca społeczna musi każdego księdza

na takie zaprowadzić manowce, podczas gdy objaw ten jest tylko parodyą i karykaturą tego, co być powinno.

A potem do skutecznej pracy społecznej potrzebne jest panowanie nad niższymi, zmysłowymi popędami. Ku temu zaś seminaryum ascetyczne jest szkołą. Kto swoje niedostatki i wybryki moralne chce pokrywać działalnością społeczną, ten snadnie całej może szkodzić sprawie. Niemniej zaznaczyć trzeba, że i słaby kapłan od pracy tej nie jest uniewinniony; jeszczeby gorzej było, gdyby niezrównoważony moralnie ksiądz od użyteczności społecznej się uchylał i kompensaty nie dawał żadnej.

Brak ascetycznego wyrobienia wywołuje nader jaskrawe, ujemne objawy społeczne w innym jeszcze kierunku. Zdarza się, że księża, pochodzący z warstw najwięcej uciemiężonych i wyzyskiwanych, z chłopów, rzemieślników, robotników miasto chcieć powetować po wyświęceniu współbraciom swoim krzywdy społeczne, miasto—jakby się zdawało — aż do fanatyzmu pracować nad ich podniesieniem: mało mają współczucia dla niedoli ludu. A któż lepiej niż oni widzieli nędzę w chacie i warsztacie, któż miał tak sponiewieranych ojców, tak poniżone matki, tak wyzyskiwanych braci, shańbione siostry — któż patrzał tak blizko i długo na godność człowieka poniżoną na służbie, w fabryce, na tułaczce, w szponach lichwiarzy — jak oni!

Koniecznie też jest potrzebne ascetyczne wykształcenie do pokonania wrodzonej inercyi i anemii moralnej. Jeśli one, zachodząc u świeckich, są tłumikiem społecznego rozwoju ogółu, to tem więcej szkodzą duchowieństwu.

Kto idzie do seminaryum, a przez to zamierza pracować w duszpasterstwie, ten ciągle musi mieć na oku, że się poświęcić ma dla ludzi, żyć więcej dla nich niż dla siebie, że przez ich szczęście się zbawi, przez ich niedolę potępi. Kto z trwogi przed czyhającemi nań wszędzie rzeczywistemi czy urojonemi niebezpieczeństwami nie chce się wystawiać na obcowanie z ludźmi, na poznawanie społecznych stosunków świata, na pracowanie w nim, aby ten świat pozyskać rzeczywiście i trwale dla Boga; kto sobie przedstawia, iż po wyświęceniu czas mu upływać będzie na nabożeństwie w kościele, na dewocyi, w spokoju, w szkole i kance-

laryi parafialnej, na wikaryacie czy probostwie, zdala od spraw społeczeństwa, kto sobie obiecuje cicho lub głośno, że się niczego nieznanego nie chwyci, nic nowego nie stworzy, potrzeb materyalnych ludu badać nie będzie, za reformami nie pójdzie: — ten zawczasu niech się cofnie z przed bramy seminaryjnej i o innym pomyśli stanie.

Seminaryum ma właśnie dla sprawy społecznej tę wielką wartość, że może odebrać lękliwym kandydatom do stanu duchownego obawę i strach przed przeciwnościami, że jest zdolne wychować młodzież na mężnych, wytrwałych, rzetelnych szermierzy, obudzić w nich zapał do pracy i poświęcenia dla społeczeństwa, a zarazem wytworzyć równowagę umysłową, potrzebną w pracach i walkach społecznych — jednem słowem — wpoić w przyszłych kapłanów najcenniejsze obywatelskie cnoty i dać im potrzebne dla bohaterów, jakimi być powinni, zasoby moralne do występowania za uciśnionymi jednostkami czy całemi warstwami społecznemi.

A to, czy do wojska Chrystusowego z tych domów duchownych kadetów będą przychodziły lękliwe, małoduszne, wygodne ciury obozowe, czy hartowni, w męskie cnoty bogaci, nieustraszeni przywódcy i rycerze — jest dla społeczeństwa chrześcijańskiego niezmiernej wagi.

Prócz tego potrzebne jest jednak duchowieństwu osobne wykształcenie społeczne ze względu na siebie i na społeczeństwo.

Wielom wydaje się ten postulat dziwnym dlatego, że zrozumieniu społecznych obowiązków i praw przeszkadza pewne dziedziczne obciążenie.

Dawniej było prawo stanowe — dzisiaj jest terytoryalne. Dzisiaj w równej mierze podlega prawu cywilnemu i kryminalnemu i ustrojowi politycznemu: szlachcic, ksiądz, mieszczanin i chłop.

Więc dzisiejszy kapłan musi znać ustrój państwowy, obowiązki i prawa obywatela względem państwa i gminy; dążyć do rozwoju społeczeństwa; jako inteligentny, uświadomiony obywatel głos zabierać wszędzie, gdzie chodzi o kulturę moralną, estetyczną, gospodarczą, o hygienę społeczną.

Na każdym księdzu spoczywa obowiązek pozytywnego współdziałania nad rozwojem społeczeństwa i kraju, nad harmonijnem ustosunkowaniem interesów odmiennych, nad rozłożeniem ciężarów publicznych — zawsze w myśl dobra ogółu i planu Stwórcy. A do poznania tych obowiązków potrzebna jest osobna nauka, — nauka, o jakiej nie można się dowiedzieć z najlepszych dawniejszych podręczników teologicznych, bo ani stosunków obecnych, ani tej nauki jeszcze nawet przed półtora wiekiem nie było na świecie.

Dalej, jako proboszcz ma duchowny jakieś, choćby małe przedsiębiorstwo rolne lub ogrodowe; z tego względu musi znać wartość postępu zawodowego, prawidłowego gospodarstwa, melioracyi, komunikacyi, gospodarstwa komunalnego. Zaniedbana, nie doprowadzona do należytej kultury rola proboszczowska, zdziczały ogród, niezaopatrzone lub opuszczone budynki nietylko zły wpływ wywierają na parafian pod względem moralnym i gospodarczym i gorszą ludzi kulturalnych, ale obniżają ogólny poziom kulturalno-gospodarczy kraju.

Reprezentant Kościoła musi być reprezentantem ładu, porządku, symetryi, harmonii, postępu, — tego wymaga religia — ale tego wymaga też obowiązek cywilny, który dawniej w odmiennych stosunkach dość nie był uwydatniony, a dzisiaj tem dosadniej bije w oczy.

Ale wiedza społeczna i gospodarcza potrzebna jest kapłanowi przedewszystkiem w jego charakterze duszpasterza.

Duszpasterz na to jest ustanowiony, by dopomagać do zadzierzgnięcia i utrwalenia dobrego stosunku pomiędzy parafianinem a Bogiem, nie tylko u tych, którzy od warunków zewnętrznych nie doznają przeszkód ani niebezpieczeństw, ale i wobec najbardziej upośledzonych. Namiętności, upadki, nałogi, to często tylko skutek zajść i stosunków gospodarczych. Wieśniak pod panem, rzemieślnik, robotnik nie może bardzo często snadnie trafić do Boga, bo go głód trapi, zimno nęka, rozpacz nim miota na myśl o jutrze niepewnem, na widok rodziny wynędzniałej — bo w młodości dla braku gospód na złe musi iść stancye, a później z biedy do izby swojej brać obcych ludzi, co mu żonę

i dzieci uwodzą — bo mu lichwiarz chwili spokojnej nie daje — bo miasto rozsądnej rozrywki ma tylko sposobność do złej — bo zajęcie we fabrykach, hutach, kopalniach, podnieca zmysły, tępi wrażliwość na bezwstyd, naraża na napaści, powoduje zwyrodnienie — bo zdrowie i życie na szwank nieraz narażone przy pracy dla braku środków ochronnych i dostatecznej kontroli państwowej.

Doprowadzić takiego człowieka do spowiedzi to nie starczy do zmiany na lepsze, gdy wszystko, co wywołało jego upadek moralny, pozostaje niezmienione.

To wykształcenie zaś jest koniecznie potrzebne każdemu księdzu w jakiejkolwiek styczności znajdującemu się z społeczeństwem.

Jakże się cieszy społeczność cała chrześcijańska, jeśli papież zabiera głos wobec kwestyi socyalnych! Imię tego papieża staje się sztandarem i orężem w walce z wrogami chrześcijaństwa, podnietą dla obojętnych w katolickim obozie, słowa jego nabierają dla chrześcian wartości dogmatu społecznego, stają się programem, na którego objawienie czekali przywódcy i rzesze, żywotność Chrześcijaństwa nowy przez to zyskuje dowód.

Z jaką czcią z narodu do narodu przechodzi imię biskupa, który rozumiejąc potrzeby swej dyecezyi, daje inicyatywę do działalności społecznej! Inne dyecezye używają jego powagi i enuncyacyi za hasło i taran do rozbicia przesądów, a w dyecezyi wszyscy, widzący niebezpieczeństwa i potrzeby społeczne i dążący do pracy organicznej, czują, że mają odtąd oparcie, a przed sobą nadzieję zwycięstwa.

Proboszcz dopiero w całej pełni zyskuje zaufanie swoich parafian, dopiero staje się prawdziwym ojcem swojej gminy, gdy wnika umiejętnie w ich interesy i dolegliwości moralne i fizyczne, szczególnie te, na które sami nie znajdują rady.

Wikaryusz tem zarabia sobie na sympatyę i miłość, jeśli przygotowany należycie zajmie się potrzebami parafian a zwłaszcza potrzebami warstw pracujących.

I katechecie ono potrzebne. — Społeczeństwo zawsze się pytać będzie, co on robi w niedzielę po południu, czy spieszy na

ludowe zebrania z wykładem — a i dla katechizacyi wykształcenie społeczne konieczne. Jakże bowiem rozwiązać problemat, dlaczego tak wielu pobożnych i wykształconych katechetów, a tak wielu ze szkół gotowych wychodzi socyalistów — tak wielu wśród ogółu apatycznych, gnuśnych, obojętnych, a tak mało gotowych do pracy pozytywnej dla dobra społecznego — jeśli nie brakiem umiejętnego rozwoju uczniów w kierunku społecznym.

Każdemu nawet emerytowi ono potrzebne, bo nie wypada przecież, aby zebraniu św. W. à Paulo mniej dobrze umiał ksiądz sędziwy przewodniczyć, aniżeli robotnik, który się w swojem towarzystwie katolickich robotników nauczył form parlamentarnych.

Ale i zakon każdy najdosadniej dowodzi dzisiaj słuszności swego istnienia, jeśli w naukach swoich, w pismach, w dziełach wykazuje znajomość nowoczesnych potrzeb społeczeństwa; jeśli zna zagadnienia niepokojące obecnej doby i stara się na nie znaleźć odpowiedź — niemi w miarę swoich środków się zajmuje skutecznie.

Nikt nie zdoła tak dobrze ukryć się i zapaść się na pustyni czy w odludnym klasztorze, by nie brał udziału w życiu społecznem.

Każdy jest zapisany w gminie i w narodzie jako obywatel powołany do obowiązków i praw. Każdy też żyje z majątku narodu, więc naród ma prawo wymagać od niego za to pewnych usług. O tyle stan kultury duchowej i materyalnej kraju jest wyższy, o ile jednostki się rozwijają — im więcej jaka jednostka zostaje w tyle, tem mniej korzystnym jest stan ogółu.

Wykształcenie społeczne duchowieństwa musi się rozpocząć w gimnazyum.

Historya powszechna winna wytłomaczyć chłopcu przyczyny upadku i rozkwitu narodów jak i stanów i zawodów w ciągu dziejów, winna ona uwzględniać ewolucyę rolnictwa, przemysłu i handlu i ich organizacyi, rozmaite ustroje polityczne, od starożytnych do obecnych.

W geografii winien on się dowiedzieć o stanie rolnictwa

i przemysłu w kraju, przyczynach i warunkach rozwoju, zastoju, upadku gałęzi pojedynczych produkcyi, o gęstości zaludnienia i jej skutkach i t. p. podstawowych kwestyach statystycznych i ekonomiczno-politycznych.

I literatura winna iść na usługi wykształcenia obywatelskiego.

Czytając „Nieboską komedyę" czy Hauptmana „Tkaczów", powinien gimnazyasta wiedzieć, że poezyi będzie mniej w życiu niż w gimnazyum, ale wszędzie spotka się z kwestyami socyalnemi.

Zaś nauka religii podawać winna obecne wierzenia w świecie się objawiające, obowiązki względem państwa, społeczeństwa, rodziny, siebie i t. d. Katecheta przygotować musi swoich uczniów, aby przyswoili sobie dzielny charakter, umieli się oprzeć anarchii i socyalizmowi i chętni byli do pozytywnej pracy społecznej.

Uczynić to można, i wiemy od katechetów, że się to dzieje tam, gdzie katecheta ma gorące serce i otwarte oczy na potrzeby społeczeństwa i młodzieży.

W kołach duchowieństwa w Niemczech spotkać się można często z twierdzeniem, iż najkorzystniej dla sprawy katolicko-społecznej jest, jeśli po ukończeniu gimnazyum nie wstępuje słuchacz teologii zaraz do seminaryum, lecz uczęszcza na teologię przez 2 lub 4 symestry jako wolny słuchacz — jak to się dzieje w licznych dyecezyach w Niemczech z ustanowienia biskupów. (Odnośnie do uniwersytetów w Wrocławiu, Monachium, Wirceburgu, Bononii, Tubingi i Fryburgu w Bryzgowii).

Wtedy zbliżają się do siebie teolodzy z słuchaczami innych wydziałów. Wymiana zdań zapobiega jednostronności u jednych, jak i drugich, wywołuje wzajemne zrozumienie położenia i powołania — młodzi wzrastają we wspólnem umiłowaniu ideałów katolickich i pracy około ich wcielenia. To zadzierzguje węzły na dalsze życie i powoduje zwartość czynników katolickiego społeczeństwa.

Istnieją już w rozmaitych krajach socyalne Stowarzyszenia akademickie. Każdy akademik ma w nich sposobność do

zapoznania się z pracą społeczną nad dobrem warstw pracujących. Stowarzyszenia te polecają swoim członkom, aby się zajmowali n. p. udzielaniem lekcyi rachunków, pisania, czytania, obcych języków młodzieży rzemieślniczej — brali udział w działalności Stowarzyszeń św. Wincentego á Paulo — miewali wykłady oświatowe na zebraniach towarzystw ludowych — zaznajamiali się z pracą sekretaryatów ludowych, Tow. robotniczych, Związków zawodowych, przytem słuchali odpowiednich wykładów i kursów, zwiedzali instytucye społeczne, czytywali odpowiednie pisma. Wielu zwraca na to uwagę, iż to jest doskonała szkoła dla późniejszego teologa. Twierdzą oni, iż jak młodzieńca, który ma się poświęcić agronomii, na pewien czas posyła się na wieś, by się zapoznał praktycznie z rolnictwem, zanim na studyach rolniczych nabędzie potrzebnej teoryi, tak i dla późniejszego duchownego katolickiego działacza taka praktyka wstępna jest doskonałą introdukcyą.

Nie podobna było nie zarejestrować tego faktu, mimo, iż i ujemne strony uczęszczania słuchaczów teologii jako świeckich na uniwersytet są mi znane i z niemi liczyć się należy mając na oku wykształcenie kleru.

A teraz, co najważniejsza niemal:

Czego podczas studyów w instytucie teologicznym słuchacz teologii dowiedzieć się winien w dziedzinie chrześcijańskich nauk społecznych?

Oto nasamprzód poznać winien stosunek Boga do społeczeństwa — do kultury ziemskiej — do spraw gospodarczych i społecznych. A w szczególności stanowisko Chrystusa do spraw doczesnych, do majątku i do ubóstwa, do kapitału, do obowiązków obywatelskich, do położenia prawno-politycznego poszczególnych stanów — stanowisko Kościoła w ciągu stuleci do kultury, do wyrównania różnic gospodarczych i społecznych — a mianowicie także enuncyacye, jakie Kościół wydał przez swoich przedstawicieli w XIX wieku, gdy kwestya społeczna w nowej objawiła się formie.

Dalej dowiedzieć się winien teolog o podstawach społeczeństwa, o znaczeniu rodziny dla społeczeństwa i państwa, o zapa-

trywaniu Kościoła na zadania, cele, kompetencye, funkcye państwa, o obowiązkach i prawach jednostki względem państwa — a wreszcie, jak się dawniej i dzisiaj Kościół zapatrywał na własność prywatną i na zdobywanie jej, a mianowicie także, jakie środki są dozwolone celem uzyskania lepszej, sprawiedliwości więcej odpowiadającej płacy i t. d.

Do tego dojść winien zarys ewolucyi życia gospodarczego, począwszy od schyłku średniowiecza.

Teolog wiedzieć musi, jak powstała obecna kwestya socyalna — jakie objawy społecznej, gospodarczej i politycznej natury przyczyniły się do jej powstania. A więc jak po feudalizmie powstał absolutyzm, jak przeciw niemu zwrócił się gnębiony trzeci stan, jak ogłoszono wolność gospodarczą i jak ta wolność nie przyniosła warstwom pracującym wybawienia, lecz w gorszą pod niejednym względem podała je niewolę kapitalizmu. Jak skutkiem tego socyalizm w rozmaitych państwach się objawiał, co głosił, do czego dąży dzisiaj.

Wobec ujemnego a szkodliwego dla Kościoła i porządku społecznego stanu, w jakim się znajdują rozmaite kategorye warstw średnich i ludowych, musi wszakże przyszły duszpasterz także znać środki, zmierzające do poprawy położenia tychże warstw.

W tym celu winien teolog poznać ważność stanu włościańskiego dla harmonii społeczeństwa i produkcyi krajowej — przyczyny krytycznego położenia tego stanu — środki, jakich udziela państwo na podniesienie go, oraz środki samopomocy.

Podobne wiadomości zyskać winien w stosunku do rzemiosła i drobnego kupiectwa.

Najwięcej jednak z rozmaitych względów dowiedzieć się winien o kwestyi robotniczej, jej powstaniu, objawach, środkach ku jej załagodzeniu przez państwową ochronę i zabezpieczenie robotnika, przez opiekę społeczeństwa i Kościoła i jego własną samopomoc.

Odpowiednio do tych działów należy się teologom zapoznać z instytucyami Kółek rolniczych i najrozmaitszych spółek zarobkowych, stowarzyszeniami przemysłowców, czeladzi, terminatorów, robotników i robotnic, dorosłych jak i dorastających,

zajętych tak w rolnictwie, jak przemyśle, handlu i komunikacyi, z najrozmaitszemi instytucyami w ich łonie i najważniejszym dzisiaj środkiem samopomocy robotnika: ze związkami zawodowymi.

Pozatem wymagają rozebrania specyalne kwestye: jak kwestya ubóstwa, kwestya kobieca, oświata ogólna, hygiena publiczna i przemysłowa.

O tem dowiaduje się na wykładach; podczas ćwiczeń w seminaryum nauk chrześcijańsko-społecznych zapoznaje się z literaturą i czasopismami i pisze małe rozprawy, a dzieje się to dlatego, aby warsztat naukowy nie był mu obcy, gdy wyjdzie ze seminaryum; aby umiał badać samodzielnie, pisać artykuły, miewać wykłady; aby sam się rozwijał i ruch podtrzymywał wśród współbraci i społeczeństwa.

W seminaryum też i to na pierwszem miejscu uczy się form parlamentarnych, tego warunku podstawowego wszelkich obrad i ich pożądanego skutku.

Seminaryum chrześcijańskich nauk społecznych, tak jak każde inne seminaryum, winno dać słuchaczowi sposobność do przedstawienia mu przedmiotu jego nauki *in natura*.

I pod tym względem już jest precedens.

Ś. p. Arcybiskup Stablewski polecił, aby klerycy nietylko ćwiczyli się, jak mają spowiadać i miewać kazania, jak katechizm wykładać i dzieci głuchonieme pasterzować, ale, aby szli na zebrania młodzieży i mężów katolickich i umieli prowadzić towarzystwa katolickie.

Jeżeliby takie demonstracye nie nastąpiły w seminaryum, to przynajmniej wykształcenie, jakie w ciągu roku uzyskuje kleryk, musi przymierzyć w czasie wakacyi do życia.

On musi obserwować lud w codziennej jego pracy, w jego biedzie i nędzy, w jego zamiarach i niebezpieczeństwach, grożących jego obyczajom i wierze, w jego skłonnościach radykalnych i konserwatywnych, w jego dążeniu do wiedzy i w jego chęci rozrywki i przyjemności — on musi szukać nici, o któreby swoją wiedzę i swoje chęci podniesienia ludu mógł zadzierzgnąć — musi zawczasu poznać i zrozumieć lud, aby nie dać się później

niczem zgorszyć ani zniechęcić — wszystko rozumiejąc, wszystko, darować, roztropnie postąpić i dążyć naprzód.

Tam wśród ludu, który go otacza, w domach i na zebraniach jego, pozna, co ludowi potrzeba, lepiej, aniżeli z badań statystycznych i ekonomiczno-politycznych, lepiej, niż z niejednego grubego folianta, tam też zrozumie, dlaczego pomimo uznania urzędowego religii chrześcijańskiej w państwach w ruinę się obrócił chrześcijański porządek społeczny, dlaczego dzisiejsze państwo jest niechrześcijańskie.

Niezmiernie ważną jest rzeczą, aby wykształcenie trwało do ostatniej chwili studyów teologicznych. Potrzeba, aby kleryk aż do chwili wyświęcenia był informowany o stanie ustawodawstwa, programach socyalno-politycznych, chrześcijańskich i innych instytucyach powstających, czasopismach, metodach prowadzenia organizacyi i t. d. Praktyczność tego wymaga. Zdarza się, że w najbliższą niedzielę po przybyciu na parafię trzeba objąć prowadzenie towarzystwa. Twierdzenie, że pierwszych lat kapłaństwa winien wikaryusz użyć tylko na pogłębienie wiedzy teologicznej i ascezy, a nie służyć społeczeństwu praktycznie w jego organizacyach, jest zaprzeczeniem jego powołania. Gdy potrzeby, bóle i niebezpieczeństwa wołają, i nikt inny dobrze ich zaspokoić nie umie, a wróg Kościoła zagony zapuszcza w parafii, ksiądz nie może siedzieć głuchy na wikaryacie.

Czy i o ile można się spodziewać skutków takiego wykształcenia? To zależy od wielu warunków.

Zależy nasamprzód od tego, na jakim stopniu społecznego rozwoju znajduje się społeczeństwo. Jeśli uczniowie przychodzą już ze środowiska wyszkolonego: jeśli dokoła od dziecka patrzyli na organizacye na każdym kroku, w każdej dziedzinie życia spotykali się z uporządkowanymi objawami społecznymi, jeżeli w domu w ojcu i matce mieli przykład pracy społecznej: to podczas studyów każde słowo budzi już reminiscencye widzianych form gospodarstwa społecznego, już osadza się na fundamencie, położonym przez dom i otoczenie, wywołuje chęć pójścia śmiało po wypróbowanej drodze, choćby w niebywałych dotąd objawach.

Co innego zaś gdy młodzieniec wzrastał wśród pustkowia społecznego, lub — co gorsza — wśród nieudałych, nieprzygotowanych, lekkomyślnych prób — wśród społeczeństwa gnuśnego i zniechęconego.

Pozatem może stanowisko docenta być bardzo utrudnione, może nawet praca jego nie przynieść tych owoców, jakie są potrzebne, jakich się po niej spodziewa przeważna część duchowieństwa i dobrze usposobione społeczeństwo, jeżeli inne czynniki mające wpływ na wykształcenie kleru nie będą doceniały istoty, celów i ważności chrześcijańskich nauk społecznych.

W każdym razie niezbitym faktem jest, że idea studyów nauk społecznych w oświetleniu chrześcijańskiem zwyciężyła i pochód swój zwycięski rozpościera na całej linii w krajach katolickich.

W Rzymie istnieją katedry nauk chrześcijańskich w Collegium Leoninum i na uniwersytecie Gregoryańskim. W Germanicum urządzono koła socyalne, w których omawia się w sposób naukowy objawy gospodarcze i społeczne.

Wogóle we Włoszech oświadczono się już w r. 1900 za utrzymaniem kursów socyologii we wszystkich włoskich seminaryach i za traktowaniem tego przedmiotu przynajmniej w połączeniu z teologią moralną.

To odpowiada też zamiarom Piusa X, który w ogólnym planie nauk przekazał dla teologii moralnej 4 godziny tygodniowo podczas całych trzech lat.

Austryacki episkopat na zebraniu 13 listopada 1901 r. wyraził życzenie, aby chrześcijańskie nauki społeczne stanowiły obowiązkowy przedmiot.

Francuski episkopat zaprowadził dotąd — jak mnie zapewniano zeszłego roku w Reims — w czwartej części seminaryów wykłady socyologii chrześcijańskiej.

W Niemczech jedno seminaryum za drugiem je urządza.

Najdalej doprowadzono w Belgii, gdzie w Mechlinie teolodzy słuchają po parę godzin tygodniowo przez 4 lata tej nauki: na I. i II. kursie ekonomii politycznej, na III. zapoznają się

z instytucyami socyalnemi, na IV. z prawodawstwem socyalnem.

W Hiszpanii w r. 1901 stworzono pierwszą katedrę socyologii w seminaryum w Toledzie. W roku 1904 było ich 13, 1908 — 39, obecnie 41 — na 60 seminaryów, 4 są w projekcie, jedno jest bez uczniów, w jednem uwzględnia się socyologię moralną. Seminaryum na Majorce ma aż 9 godz. tygodniowo chrześcijańskich nauk społecznych, w Burgos, Osma, Badajoz i Cordoba codziennie, 2 seminarya — 5, 1 — 4 i pół, 3 — 4, 1 — 3 i pół, 11 — 3, 8 — 2, 12 — 1. Seminarzyści uzupełniają swoją wiedzę socyalną za pomocą kółek, studyów, konferencyi i kursów, dawanych przez specyalistów, przez opracowywanie monografii rodzin robotniczych, przez ankiety, czynione podczas wakacyi z współudziałem proboszczów, przez lekturę w bibliotekach socyalnych, które się tworzą w seminaryach.

Biskupi hiszpańscy posyłają też młodych księży na uniwersytety, by słuchali hiszpańskiego prawodawstwa społecznego, nowoczesnych urządzeń ekonomicznych i socyalnych, kwestyi rolniczych, przemysłowych i handlowych, socyologii i prawa w seminaryach nauk społecznych.

W Królestwie Polskiem dyecezye Sandomierska i Kielecka stoją na czele. W nich słuchanie socyologii obowiązuje dwa ostatnie roczne kursa po 2 godziny tygodniowo. Za niemi idzie 6 seminaryów w Królestwie i Cesarstwie — potem przychodzi metropolitalne seminaryum warszawskie z jedną nieobowiązującą godziną i trzy seminarya w Cesarstwie dotąd bez katedr.

Pod zaborem pruskim mają alumni seminaryum gnieźnieńskiego 2 godziny, w dyecezyi chełmińskiej 1 godzinę socyologii.

Co do Galicyi, to w Krakowie klerycy II. i III. kursu szkolnego uczęszczają na 3 godziny wykładów, a IV. kurs na 2 ćwiczenia seminaryjne. Tyleż godzin zaprowadzono w Przemyślu — prócz kursów osobnych o spółkach i kółkach rolniczych. Podobne urządzenia istnieją we Lwowie i Przemyślu.

Z czego czerpać mają jednak wiedzę księża, którzy już opuścili mury seminaryjne?

Dla tych są źródła rozmaite a obfite.

Przedewszystkiem do nabycia wiedzy służą parotygodniowe kursy socyalne, jakie urządzają Tow. Ludowe (Volksverein) dla Niemiec katolickich w M. Gladbach i kat. Związek ludowy dla Austryi (Volksbund) we Wiedniu.

Podniety, wskazówki, uzyskać można na kongresach socyalnej reformy, Caritas, ku zwalczaniu alkoholu, na walnych zebraniach Kółek, Spółek, towarzystw robotników, robotnic i t. d. — a dalej na zwiedzaniu instytucyi, takich jak sekretaryaty ludowe, domy katolickie, gospody dla czeladzi i t. d.

Nie mamy dotąd napisanego oryginalnie po polsku podręcznika do nauk chrześcijańsko społecznych — ale mamy rozmaite w obcych językach. Hiszpania w swoich seminaryach przeważnie posługuje się Biederlackiem.

Dalej trzeba abonować pisma socyalne i ekonomiczne, a więc „Ruch chrześcijańsko społeczny“ i „Ekonomistę“ wychodzące w Warszawie — potem śledzić w innych pismach pojawiające się artykuły i sprawozdania o sprawach i zebraniach organizacyi socyalnych a wreszcie abonować czasopisma osobne, przeznaczone dla Kółek, Spółek, dla związków robotników, kobiet katolickich pracujących i t. d.

Przynajmniej zaś trzeba w jednym jeszcze języku się wyćwiczyć, aby módz czytywać książki wychodzące za granicą. Źródłem w tej mierze, służącym informacyami, jest obok wspomnianych dwóch centrali „Action Populaire“ w Reims.

Takie wykształcenie potrzebne dla każdego księdza. Ale dyecezye mają jeszcze specyalne swoje potrzeby. W każdej dyecezyi musi być akcya katolicko-społeczna scentralizowana dla siebie. Do tego centrum potrzebni są kapłani specyaliści.

Więc osobny ksiądz do publikacyi rzeczy socyalnych ogólnej treści. Osobny ksiądz, któryby stał na czele towarzystw robotników, zakładał je, kierował niemi, wydawał pismo, powodował powstawanie sekretaryatów porady prawnej, urządzał kursa dla kierowników towarzystw i w. in. Inny ksiądz dla młodzieży rzemieślniczej, dla czeladzi i terminatorów, dla młodzieży robotniczej lub towarzystw mieszanych młodzieży. Inny dla mło-

dzieży akademickiej, zwłaszcza, jeśli wyższe uczelnie istnieją w dyecezyi. Dalej osobny ksiądz dla towarzystw kobiet i to jeden, któryby pracował nad rozwojem dążności i działalności w duchu katolickich kobiet wykształconych, służył im radą i wskazówkami; a drugi dla organizacyi kobiet zatrudnionych w handlu i przemyśle, robotnic, służących, któryby był ich kierownikiem, urządzał kasy, wydawał pismo i w. in. Osobny specyalista jest potrzebny do oświaty ludowej, do wzięcia udziału w wykazaniu i kontroli potrzebnych dla ludu pism i książek. Osobny do towarzystw dobroczynnych z ich najrozmaitszemi zadaniami i urządzeniami nowoczesnemi. Osobny dla spraw alkoholizmu.

Pozatem w każdym zaborze musi być jedno centralne pismo, służące do pracy katolicko-społecznej, do informacyi kierowników poszczególnych organizacyi rozwijania całokształtu akcyi społecznej i — wspólna wielka biblioteka społeczna do wypożyczania, a w tem wszystkiem muszą mieć księża walny udział.

Tylko ten, kto nie zna warunków rozwoju, zadań i znaczenia takich organizacyi będzie się sprzeczał, że osobnych studyów i osobnych ludzi nie potrzeba, aby te organizacye się rozwijały.

Wiedzę musi mieć taki ksiądz specyalista gruntowną w ekonomii politycznej, w socyalnej polityce i specyalności swojej. Tę wiedzę może tylko zyskać na uniwersytecie i w osobnych podróżach informacyjnych. Niema przytem być zajęty w duszpasterstwie. Najlepiej gdy ma kapelanię, prebendę, altaryę, jako podstawę i tytuł kościelny.

Specyalne, głębsze i obszerniejsze wykształcenie jest dla tych księży dlatego konieczne, że oni w poszczególnych dziedzinach muszą kształcić drugich księży i uzdalniać do prowadzenia organizacyi.

Właśnie brakowi takich księży specyalistów, którzyby byli posiadali odpowiednią wiedzę, umiejętność organizacyi i stanowisko swobodne, należy w znacznej mierze przypisać, że mimo nadzwyczajnego zapału i ofiar, jakie łożono na rozwój

Związków katolickich w Polsce przed kilku laty, nie otrzymano pożądanych rezultatów.

Tutaj nakład, jak wszędzie, musi być odpowiedni do tego, co się chce zyskać. Albo-albo. Zbywać resztkami nie można tego dzieła — ono wymaga całych ludzi.

Postulat zaś względem zajęcia się sprawami społecznemi dotyczy tylko pod punktem widzenia katolickiego interesu.

Nie żąda się żadnych osobnych księży do prowadzenia czysto gospodarczych organizacyi, jak kółek rolniczych i spółek zarobkowych.

Zresztą jest to sprawa już przesądzona. Za przykładem Niemiec katol.z ich ogniskiem, osobnemi siłami i zawodowo wykształconemi w M. Gladbach, poszła Austrya z „Volksbundem" w Wiedniu, Francya z „Action Populaire" w Reims, Włochy z ogniskiem swojem socyalnem w Bergamo.

Zważmy tylko, że my w gorszem znajdujemy się położeniu, niż Niemcy, Austrya, Francya i Włochy. Te państwa mają jednolite ustawodawstwo socyalno-polityczne — a my mamy trzy ich rodzaje. Oni mają międzydyecezyalne, związki silne, bo wszystkie dyecezye na nie się składają, dając ludzi i pieniądze — my takich związków nie mamy — pod żadnem panowaniem — więc każda dyecezya musi sama sobie ludzi wychowywać.

To przygotowanie naukowe ma tem osobliwsze znaczenie tam gdzie czasami jeszcze działać nie można — a więc obecnie pod zaborem rosyjskim. Obecną epokę reakcyjną trzeba wykorzystać na przygotowanie się naukowe do pracy, gdy możność jej nastąpi znowu. Możność nastąpi napewno — prędzej czy później, wtedy nie będzie można tak łatwo wytłomaczyć duchowieństwa polskiego, jak pierwszym razem, że je swobody zastały nieprzygotowanem do działania.

Więc jak się gotuje socyalizm i anarchizm do zburzenia porządku społecznego, tak się duchowieństwo w swoich domach, seminaryach, bibliotekach, na uniwersytetach, w podróżach musi gotować do utrwalenia ustroju chrześcijańskiego, do pracy nad dobrem narodu, nad zachowaniem warstw pracujących Polsce

i Bogu, nad podniesieniem tych, co o własnych siłach dźwigać się z swej niedoli na coraz wyższe szczeble kultury nie mogą.

Inaczej i dzisiejsze dzierżawy Kościoła wezmą potem nagle szturmem inni — a kapłani znów nie będą mogli zrozumieć, dlaczego to się stało.

Stwierdzamy zatem: postulatem całego świata katolickiego jest wykształcenie społeczne duchowieństwa.

Jest to, co do formy innowacya — co do rzeczy samej tylko dalszy rozwój tego, co jest w jądrze religii i Kościoła chrześcijańskiego. Będzie to typ kapłana, jakiego Kościół i społeczeństwo katolickie potrzebuje, a taki tylko ma racyę bytu.

I Mojżesz i św. Paweł i Grzegorz VII i Skarga i Leon XIII jednemu i temu samemu służyli Bogu — a jak byli odmienni!

My z nich wszystkich mieć musimy to — co mieć winniśmy w swojej działalności na Jego służbie — bo nas kapłanów zabić może bezmyślny szablon — ożywić tylko duch Chrystusowy, wiecznie do nowych zadań i prac wzywający.

PO REFERACIE X. K. ZIMMERMANNA.

Dyskusya nad referatem X. K. Zimmermanna, dla spóźnionej pory, była zaniechaną. Natomiast uchwalono rezolucyę o przyszłym wiecu katolickim w ten sposób, by wykonanie tego wiecu oddać Katolickiej Radzie Narodowej.

MOWA, ZAMYKAJĄCA WIEC,

KSIĘCIA BISKUPA ADAMA SAPIEHY.

Mam zakończyć wiec skargowski — zakończyć wiec zwołany w celu, by się zastanowić nad kierunkiem, w jakim życie nasze ma iść odtąd. Zakończenie takiego wiecu nie może być czem innem jak zapytaniem, co my po tym wiecu chcemy zrobić. W kazaniach sejmowych Skarga ojcom naszym powiedział to, że wiele praw uchwalali ale bardzo mało w życie wprowadzali. Przez dwa dni słuchaliśmy, ale od jutra obowiązkiem naszym jest w życie wprowadzić to co dobre. Słyszeliśmy wywody teoretyczne i praktyczne, które nas wiele nauczyły. Są między temi kwestyami takie, które mojem zdaniem nie przedstawiają się jako praktyczne postanowienia. I tak cała sprawa opieki nad emigrantami, jak w dyskusyi widzieliśmy, przedstawia się tak skomplikowaną, że lepiej będzie, jeżeli wniosków nie będziemy wyciągali; jedynie to, co najprzewielebniejszy ks. biskup Pelczar zaznaczył, społeczeństwo powinno się poczuć do materyalnego poparcia całej akcyi. Była poruszana i sprawa zgromadzeń i wieców z całej ziemi polskiej. Weźmy pod uwagę, że na hasło rzucone w imię męża, którego chcemy uczcić, na to hasło zjechali się ludzie ze wszystkich stron Polski, pełni chęci, zapału i najlepiej usposobieni, aby się czegoś nauczyć i coś skorzystać. To samo jest objawem bardzo pożytecznym i dodatnim, bo kto chce się czegoś nauczyć i z innymi poznać, dla wspólnej pracy

coś uczynić, to wielka zdobycz. Z tego nauczyć się można i powinno, że zebrania takie są pożyteczne i powinny się częściej odbywać. Dlatego mamy rezolucyę wzywającą, abyśmy częściej takie wiece zwoływali. Chciałbym małą uwagę dodać, pewne przestrzeżenie. Wczoraj powoływano się na akcyę wieców socyalistycznych. Socyaliści i my to dwie różne rzeczy. Socyaliści idą w kierunku przewrotnym, im chodzi o burzenie, dlatego wiece dla nich są właściwie jedyną drogą; nasza praca pozytywna musi być spokojna, musi budować nie burzyć. Dobrze, żeśmy na wiecach sobie kierunek pracy wytyczali, ale nie uważajmy ich za coś najważniejszego.

Drugą rzeczą, która mi się wydaje bardzo praktyczną jako rezolucya wiecu, jest sprawa co do potrzeby popierania naszej prasy katolickiej. Jak wspomniano, były rozmaite usiłowania pod tym względem. Mamy prasę ludową, nie mamy prasy dla kół inteligencyi. Usiłowania i rezolucye to dowód, że społeczeństwo nabyło zrozumienia, czucia ważności dobrej prasy. Co do prasy, to można mieć rozmaite wyobrażenia, każdy z nas chciałby ją widzieć w innej formie, ale powiedzmy sobie, że sprawa dobrej prasy jest tak aktualną, tak ważną, iż spierać się o to czy ona będzie tego gatunku, czy tamtego, to rzecz podrzędna. Powinniśmy sobie powiedzieć, że dobra prasa jest konieczną, ona odpowiada naszym wyobrażeniom i my musimy ją wspierać. Swoją drogą obowiązkiem katolika jest złej prasy nie czytać. To sprawa niesłychanej ważności, tu chodzi o miliony dusz, które przez złą prasę zostają zgangrenowane i idą często na potępienie wieczne. Tu niema czasu rozglądać się i szukać innych środków, ale trzeba się zabrać do pracy.

A teraz chciałbym przedewszystkiem podziękować najprzewielebniejszym Księżom Biskupom, że nietylko swoją obecnością ale i słowem byli łaskawi wesprzeć narady. Chciałbym podziękować prezesowi wiecu, który mimo podeszłego wieku i na nieszczęście brzydkiej pogody, jednak wytrzymał cały czas obrad i dał nam przykład, jak myśmy się powinni do tych spraw zabierać i pracować, a zarazem, aby zasłużyć na uznanie, jakie on od nas otrzymuje. Dziękuję całemu prezydyum, które starało

się o to, aby wiec się jak najlepiej odbył. Dziękuję OO. Dominikanom, którzy pozwolili się nam tu zebrać i ten budynek pamiętający czasy św. Jacka podniosłym napełnić duchem. Dziękuję wreszcie tak licznie zebranym reprezentantom całej Polski, którzy z daleka tu przybyli, by wziąć udział w naradach. Mam nadzieję, że będziemy mogli wiele przeprowadzić, a Bóg nas lepszą przyszłością obdarzy.



BŁOGOSŁAWIEŃSTWO OJCA ŚWIĘTEGO.

Do Zjazdu Skargowskiego nadszedł cały szereg telegramów od Episkopatu polskiego, od Namiestnika i Marszałka kraju, od Uniwersytetu lwowskiego, od wielu stowarzyszeń i osobistości prywatnych. Szczególniejszą uwagę zwróciły telegramy od Polaków z Ameryki i Konstantynopola i szereg telegramów od katolików francuskich. W tem miejscu podajemy telegram Zjazdu Skargowskiego do Ojca Świętego i odpowiedź Ojca Świętego.

Eminentissimo Cardinali

Merry de Val

Roma — Vaticano.

Fidei catholicae addicti Poloni, ex omnibus ordinibus diversisque terris in urbe Cracoviensi congregati ad Petri Scargae memoriam vecolendam et celebrandam, qui ante hos annos trecentos insigni Dei atque patriae flagrans amore, verus Christi exstitit miles, disertissimus veritatis vindex et defensor, concordiae omniumque virtutum indefessus praeco et exemplar, humillime Suam Sanctitatem implorant, ut coetui frequentissimo, eius studiis et conatibus benedictionem apostolicam impertire dignetur.

Adam Sapieha, Episcopus.

ODPOWIEDŹ OJCA ŚWIĘTEGO.

Monsignor Sapieha Vescovo Principe

Cracovia (Austria).

Beatissimus Pater, gratulatus vehementer de saecularibus solemnibus, quae ad memoriam illustrem religiosi viri Petri Scargae Cracoviae apparantur, vestro nobilissimo obsequio libenter accepto, Tibi, universo isti coetui eiusque studiis ac propositis, apostolicam benedictionem peremanter impertire dignatus est.

Card. Merry de Val:

Ogólny Program Uroczystości Skargowskich w Krakowie*):

22, 23 i 24 września, godzina 6 wieczór: W kościele św. Piotra nabożeństwo z wystawieniem N. Sakramentu, kazaniem i modlitwą za Ojczyznę.

24 września, wtorek, godzina 8 wieczór: Towarzyskie zebranie uczestników katolickiego Zjazdu Skargowskiego. (Sala Towarzystwa Strzeleckiego, ul. Lubicz).

25 września, środa, godzina 9 rano: Pontyfikalne Nabożeństwo w Katedrze na Wawelu; godzina 10 rano: Posiedzenie poranne katolickiego Zjazdu Skargowskiego (krużganki Dominikańskie); godzina 3 popołudniu: Posiedzenie popołudniowe katolickiego Zjazdu Skargowskiego (krużganki Dominikańskie); godzina 8 wieczór: Uroczyste Przedstawienie Skargowskie w Teatrze Miejskim.

26 września, czwartek, godzina 8 rano: Nabożeństwo z Komunią generalną na intencyę Ojczyzny w kościele św. Barbary; godzina 10 rano: Posiedzenie poranne katolickiego Zjazdu Skargowskiego (krużganki Dominikańskie); godzina $1^1/_2$ popołudniu: Uroczyste Przedstawienie Skargowskie w Teatrze

*) Pierwotnie mieliśmy zamiar połączyć z pamiętnikiem Zjazdu, pamiętnik całego obchodu Skargowskiego w Krakowie. Przekonaliśmy się jednak, że znaczyłoby to podwoić objętość niniejszego tomu; trzebaby pomieścić cały szereg mów w Kościołach, w czasie pochodu, przy kładzeniu kamienia węgielnego, zwłaszcza podczas akademii w Sokole. Podajemy jednak, dla miłej pamiątki, ogólny program uroczystości, program pochodu i kilka ilustracyj. (P. R.)

Miejskim; godzina 3 popołudniu: Posiedzenie popołudniowe katolickiego Zjazdu Skargowskiego (krużganki Dominikańskie); godzina 6 wieczór: Odczyt o Skardze w Sali Uniwersyteckiej; godzina 8 wieczór: Maryański wieczór Skargowski w Starym Teatrze.

27 września, piątek, godzina 9 rano: Pontyfikalne Nabożeństwo nad grobem ks. Piotra Skargi w kościele św. Piotra.



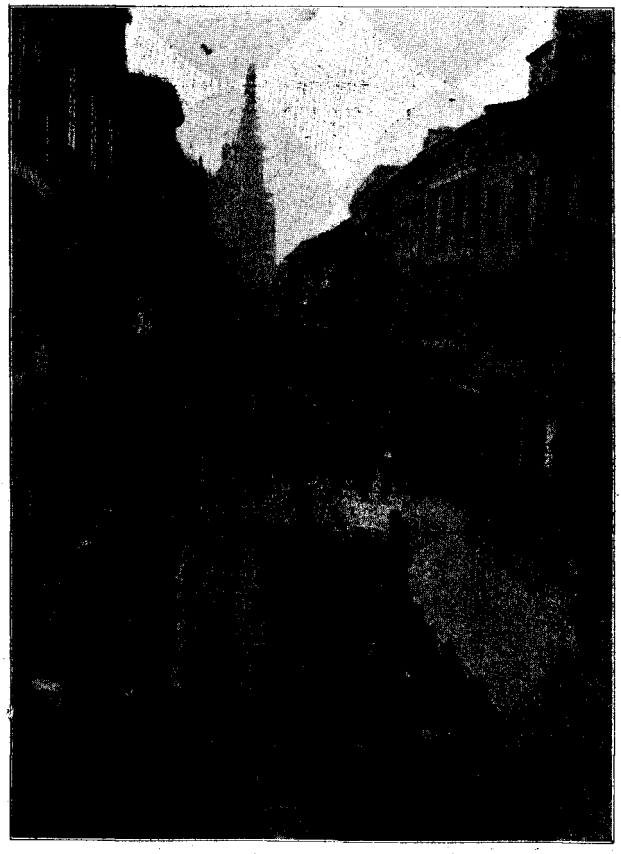
Fragment z pochodu na jubileusz Skargi.

Kazanie wygłosi J. E. Ks. Arcybiskup J. Teodorowicz; godzina 10 i pół: Uroczysty pochód od kościoła św. Piotra. Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na domu Arcybractwa Miłosierdzia, przy ul. Siennej nr. 5. Poświęcenie kamienia węgielnego pod dom imienia Skargi; godzina 5 popołudniu: Akademia Skargowska w wielkiej sali Sokoła; godzina 8 wieczór: Uroczyste Przedstawienie Skargowskie w Teatrze Miejskim.

Uroczysty pochód narodowy na trzechsetletnią rocznicę Księdza Piotra Skargi w piątek 27 września 1912 r. o godzinie 10 i pół rano.

Pochód ruszy od kościoła św. Piotra ulicą Grodzką, wejdzie następnie w Rynek, koło kościoła Panny Maryi skręci w Mały Rynek, gdzie na domu Arcybractwa miłosierdzia (ulica

Sienna 5) nastąpi odsłonięcie jubileuszowej tablicy. Po uroczystości odsłonięcia, wypełnionej śpiewami i przemówieniem starszego Arcybr. Ks. Prałata Wądolnego, pochód wróci w Rynek, poczem przejdzie ulicą Floryańską, Basztową, Krupniczą



Fragment z pochodu na jubileusz Skargi.

na miejsce kamienia węgielnego pod żywy pomnik Skargi. Uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego towarzyszyć będą śpiewy, muzyka i mowy Księcia Biskupa krakowskiego, Prezydenta miasta Krakowa i jednego z uczniów Bursy terminatorskiej. W tem miejscu pochód się rozwiąże.

Porządek Pochodu:

Grupa I. 1. Szkoła realna I. 2. Szkoła realna II. 3. Gimnazyum w Podgórzu. 4. Gimnazyum krakowskie I. 5. Gimnazyum krakowskie II. 6. Gimnazyum krakowskie III. 7. Gimnazyum krakowskie IV. 8. Gimnazyum krakowskie V. 9. Filia V. Gimnazyum krakowskiego.

Grupa II. 10. Szkoły wydziałowe Krakowa i Podgórza.

Grupa III. 11. Szkoła żeńska Św. Andrzeja. 12. Szkoła żeńska PP. Urszulanek. 13. Szkoła żeńska Św. Tomasza. 14. Szkoła żeńska Św. Jana. 15. Szkoła żeńska Św. Katarzyny. 16. Zakład naukowy żeński p. Kaplińskiej. 17. Szkoła żeńska Św. Scholastyki. 18. Seminaryum żeńskie Św. Rodziny. 19. Seminaryum żeńskie p. Münnichowej. 20. Seminaryum żeńskie rządowe.

Grupa IV. 21. Straż pożarna ochotnicza. 22. Straż pożarna miejska. 23. Zakład Józefitów. 24. Zakład Ks. Lubomirskich. 25. Szkoły młodzieży rękodzielniczej. 26. Polski Związek terminatorów rękodzielniczych. 27. Młodzież handlowa, praktykanci. 28. Bursa im. Andrzeja Potockiego. 29. Seminaryum męskie. 30. Akademia handlowa. 31. Państwowa szkoła przemysłowa. 32. Stowarzyszenia akademickie.

Grupa V. 33. Sokół krakowski. 34. Sokół podgórski. 35. Sekcya wycieczek ludowych przy krajowym Związku turystycznym. 36. Polskie Koło Kontuszowe. 37. Weterani wojsk polskich. 38. Przytulisko uczestników powstania z r. 1863—1864. 39. Stowarzyszenie maszynistów, monterów i werkmistrzów. 40. Klub maszynistów kolejowych. 41. Stowarzyszenie czeladzi ślusarskich. 42. Stowarzyszenie czeladzi krawieckich. 43. Stowarzyszenie czeladzi rzeźników i masarzy. 44. Stowarzyszenie czeladzi szewskich. 45. Stowarzyszenie murarzy, krawców, stolarzy, kapeluszników. 46. Stow. sług katolickich pod wezwaniem św. Zyty. 47. Stowarzyszenie służby katolickiej. 48. Stowarzyszenie katolickich stróżów. 49. Stowarzyszenie kucharzy. 50. Wzajemna Pomoc rękodzielników i przemysłowców.

Grupa VI. 51. Stowarzyszenie »Gwiazda«. 52. Czytelnia Kilińskiego. 53. Stowarzyszenie kupców i młodzieży handlowej.



54. Krajowy Związek współpracowników handlowych. 55. Tow. im. Tadeusza Kościuszki. 56. Tow. Szkoły ludowej. 57. Koło T. S. L. imienia Tadeusza Kościuszki. 58. Koło panien, opiekujących się zaniedbanemi dziećmi. 59. Stowarzyszenie kobiet. 60. Związek pracy narodowej. 61. Polski związek zawod. robot. chrześc. 62. Katolicka Przyjaźń krakowska. 63. Stowarzyszenie miejskiej służby. 64. Polski Związek Narodowy. 65. Stowarzyszenie Wielkopolan pod wezw. św. Wojciecha. 66. Zjednoczenie kolejarzy. 67. Stowarzyszenie katol. dorożkarzy. 68. Zjednoczenie służby państwowej. 69. Stow. woźnych instytucyi finansowych. 70. Stowarzyszenie im. Wład. Jagiełły. 71. Koło obywatelskie. 72. Stow. rękodzielników »Praca«.

Grupa VII. 73. Urzędnicy, podurzędnicy, służba, robotnicy kolei państwowej z muzyką. 74. Urzędnicy, podurzędnicy, służba kolei północnej. 75. Towarzystwo Rolnicze krakowskie. 76. Rada opiekuńcza. 77. Towarzystwo techniczne. 78. Stow. budowniczych krakowskich. 79. Tow. farmaceutów »Unitas«. 80. Gremium aptekarzy. 81. Gremium droguistów. 82. Związek Eleuterya. 83. Tow. właścicieli realności. 84. Związek katolickich właścicieli realności z nowych dzielnic Krakowa. 85. Towarzystwo miłośników cytry. 86. Klub krakow. urzędników poczty i telegrafów. 87. Związek niewiast katolickich. 88. Stowarzyszenie nauczycielek. 89. Towarzystwo pedagogiczne. 90. Czytelnia katolicka polska. 91. Krakowskie Tow. oświaty ludowej. 92. Arcybractwo Miłosierdzia. 93. Sodalicye Maryańskie. 94. Koło krak. Tow. im. Ks. Piotra Skargi. 95. Tow. filozoficzne w Krakowie. 96. Polskie Stow. Przyjaciół pokoju. 97. Stowarzyszenie Rad opiekuńczych. 98. Związek turystyczny. 99. Towarzystwo Tatrzańskie. 100. Towarzystwo lekarskie. 101. Klub słowiański. 102. Koło artystek polskich. 103. Teatr krakowski. 104. Tow. dziennikarzy polskich. 105. Koło artystyczno-literackie i Klub prawników. Artyści dramatyczni. 106. Tow. Przyjaciół Sztuk pięknych. 107. Stow. artystów polskich »Sztuka«. 108. Tow. Polska Sztuka Stosowana. 109. Tow. Opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury. 110. Tow. Miłośnik. zabytków i historyi m. Krakowa. Straż polska.

Grupa VIII. 111. Harmonia krakowska. 112. Towarzystwo Przyjaciół muzyki. 113. Towarzystwo demokratyczne polskie. 114. Resursa urzędnicza. 115. Przedstawiciele przem. zakł. miejsk. 116. Krakowskie Towarzystwo wzaj. ubezpieczeń. 117. Izba lekarska. 118. Izba adwokacka. 119. Izba notaryalna. 120. Izba handlowa. 121. Izba rękodzielnicza. 122. Kongregacya kupiecka. 123. Tow. „Strzelec". 124. Towarzystwo Strzeleckie. 125. Koło mieszczańskie. 126. Goście z innych dzielnic Polski. 127. Instytucye finansowe. 128. Cechy krakowskie. 129. Posłowie do Rady państwa i Sejmu. 130. Akademia sztuk Pięknych. 131. Uniwersytet Jagielloński. 132. Akademia Umiejętności. 133. Duchowieństwo. 134. Rada m. Podgórza. 135. Rada powiatowa krakowska. 136. Magistrat m. Krakowa. 137. Rada m. Krakowa.

Grupa I ustawi się od kościoła maryackiego do ulicy Grodzkiej. Grupa II i III na placu Wszystkich Świętych. Grupa IV na dalszym ciągu ulicy Grodzkiej. Grupa V i VI na ulicy Senackiej i Kanoniczej. Grupa VII i VIII przed kościołem św. Piotra i na placu św. Magdaleny. Dalsze rozporządzenia w czasie obchodu dadzą kierownicy grup, wyróżnieni odznakami komitetu jubileuszowego.

Sekcya Obchodowa Komitetu Skargowskiego.

Druk ukończono 20 listopada.

Wypadki bałkańskie a idea religijno-kościelna.

Kiedy Konstantyn Wielki przenosił stolicę Imperyum rzymskiego nad Bosfor, Bizancyum, niewielka jeszcze podówczas mieścina nie posiadała w dziedzinie kościelnej żadnego znaczenia. Biskupi tego miasta, rozpoczynający swą listę gdzieś w połowie III. wieku, byli zwyczajnymi sufraganami metropolii w Heraklei. Lecz nie ubiegło więcej nad 50 lat, a już biskupi cesarskiego miasta nie tylko wyzwalają się sami z pod hierarchicznej zależności, lecz domagać się poczynają panowania nad innymi kościołami. Sobór zebrany w Konstantynopolu roku 381. przyznaje im honorowe miejsce zaraz po biskupach rzymskich; wkrótce zagarniają jurysdykcyę nad okręgami kościelnymi Tracyi, Azyi i Pontu. Sobór Chalcedoński z 451 w słynnym kanonie 28, pomimo sprzeciwu pełnomocników rzymskich, zatwierdza tę uzurpacyę i znowu pierwsze im miejsce wyznacza po papieżu Starego Rzymu, motywując swe postanowienie tem, że Konstantynopol, Nowy Rzym, jest stolicą cesarstwa. Obrawszy zaś za punkt oparcia dla swojej wielkości polityczne znaczenie miasta i tron bizantyńskich cesarzy, biskupi Konstantynopola oddali siebie i Kościół na usługi polityki bizantyńskiej. Zawdzięczając swe przywileje i egzystencyę samą bazileusom, najczęściej szli za nimi nawet w ich heretyckich zapędach, zamiast stać na straży prawowierności. Charakterystyczna rzecz, że w epoce soborów powszechnych, od 323 do 843 roku t. j. przez przeciąg 520 lat, katedra konstantynopolitańska była w posiadaniu heretyków razem przez 248 lat, czyli prawie przez połowę tego czasu. Za ten czas 19 patrycyuszów stolicy zostało potępionych przez Sobory powszechne za herezyę, nie licząc innych mniej lub więcej zaangażowanych

w nią. Pasterze niezależnego ducha, jak Grzegorz z Nazyanzu lub Jan Chryzostom zjawiali się na niej prawie wyjątkowo tylko i jak meteory niknęli szybko, usuwani potężną dłonią wszechwładnych cezarów. Ogromna większość patryarchów carogrodzkich szła ślepo za wolą swych panów, podpisując takie wyznanie wiary, jakie basileusowi spodobało się ułożyć. Ortodoksya lub herezya pasterzy zależała najczęściej od tego, czy panujący był prawowiernym czy też heretykiem.

O wywieraniu przez patryarchów chrześcijańskiego wpływu na bieg polityki bizantyńskiej lub nawet na moralność prywatną i publiczną niema co mówić. Historya Bizancyum przedstawia nam ciekawe widowisko kompromisu między chrześcijaństwem a obyczajowością pogańską starego Rzymu i Hellady. Państwo budowało wspaniałe świątynie Bogu chrześcijańskiemu, złotem i przywilejami obsypywało sługi ołtarza, zwłaszcza przydwornych biskupów, z wdzięczności za to Kościół w osobie swych najpierwszych dygnitarzy tolerował wszelką korupcyę społeczeństwa i dworu, uświęcał wszelką politykę państwa choćby najprzewrotniejszą. Dla tego, kto chciał ocalić czystość chrześcijańskich zasad w życiu, nie było właściwie miejsca w społeczeństwie; taki uchodził na pustynię lub krył się w murach klasztoru: wyjść ze świata i zbawić się stało się synonimem. Tej okoliczności zawdzięczamy rozkwit wschodniego mnichowstwa z tym, tylko jemu właściwym, charakterem ucieczki od życia i pogrążania się w kontemplacyi, jaki cechuje dotychczas życie zakonne na całym Wschodzie. Tej również okoliczności przypisać trzeba to wschodnie pojmowanie religii świeckiego człowieka, jako zewnętrznej formy, pełnej wprawdzie powagi i majestatu, ale martwej i nie wywierającej wpływu ani na moralne postępowanie jednostki, ani tem mniej na kształtowanie się stosunków życia społecznego według zasad ewangelicznych.

O jedno starali się wytrwale patryarchowie Konstantynopola, mianowicie o rozszerzenie zakresu swojej władzy wszerz i w głąb. Już w 6 stuleciu Jan IV, zwany Postnik (582—596), zaczyna używać szumnego tytułu „patryarchy ekumenicznego“, czyli powszechnego, zdradzając wyraźny zamiar stworzenia nad

Bosforem drugiego papiestwa. Uzurpacya ta wywołuje protest ze strony prawdziwego biskupa powszechnego, św. Grzegorza Wielkiego, który też daje ambitnemu patryarsze lekcyę pokory, przyjmując dla siebie i swych następców na stolicy Piotra pokorny przydomek „sługi sług Bożych". Nie potrzeba chyba mówić, że lekcya ta była zmarnowaną i uzurpacya się utrwaliła. W dążeniu do rozszerzenia swej władzy kosztem autonomii innych prowincyi kościelnych, a nawet ku uszczerbkowi patryarszych praw Starego Rzymu nie ustępują swym gorszym poprzednikom nawet skądinąd lepsi biskupi Carogrodu, jak Anatol w piątem, a św. Ignacy w 9 stuleciu. Wiadomo, że temu ostatniemu — protegowanemu przez Rzym przeciw Focyuszowi — tylko śmierć przeszkodziła stanąć w jawnej kolizyi z Rzymem w sporze o jurysdykcyę nad Bułgaryą. Kilka stuleci historyi Kościoła wypełnia się walką między Konstantynopolem a starszą hierarchicznie Aleksandryą o prawa pierwszeństwa na Wschodzie, w której to walce Konstantynopol wreszcie zwycięża, dzięki swej przejściowej prawowierności i nie bez tolerancyi Stolicy św. Sferę swych wpływów, lub nawet bezpośredniego zwierzchnictwa rozciągnął z czasem patryarcha Carogrodu tak daleko, jak daleko sięgała władza cesarzy wschodnich ; inne patryarchaty wschodnie stały się powoli tylko ekspozyturami Carogrodu, dopóki nie położył kresu temu wpływowi Carogrodu zabór Arabów. Zagony swoje posuwał patryarcha „ekumeniczny" i na zachód w ślad za orłami Bizancyum ; był czas kiedy znaczna część Wschodu znalazła się siłą faktu pod jego jurysdykcyą : resztki italo-greków w Kalabryi i Sycylii, to pomniki jego niegdyś aż tam rozciągającej się władzy. Na półwyspie bałkańskim oparła się jego jurysdykcya aż o Adryatyk, odrywając od patryarchatu rzymskiego całe prowincye jedną za drugą. Chrzest Rusi otworzył ujście władzy Carogrodu na północ aż po Ocean lodowaty z perspektywą posunięcia się jej na Wschód daleki bez obawy kolizyi z jakąkolwiek inną organizacyą kościelną. Słowem cała historya wschodniej Europy za jakieś ośm czy dziesięć stuleci, to stałe ale powolne budowanie swego rodzaju papiestwa bizantyńskiego, dążącego wyraźnie do zdobycia sobie tegoż znaczenia

na Wschodzie, jakie posiadało papiestwo rzymskie na Zachodzie.

Patryarchat ekumeniczny nie kontentował się nawet takiem znaczeniem. Oparty o tron bazyleusów, chciał on zająć bezwzględnie przodujące w całem chrześcijaństwie stanowisko. Już w 7 stuleciu na Synodzie trullańskim pociąga niejako przed swoje forum Kościół zachodni, piętnując i potępiając obrzędowe i dyscyplinarne osobliwości Zachodu. To pierwszy usankcyonowany powagą soboru objaw nietolerancyi względem zwyczajów obcych, który później na wskróś przeniknął ortodoksyę wschodnią, mięszając pojęcie wiary z pojęciem obrządku. Dla teoretycznego uzasadnienia swych aspiracyi nie dość mu popularnej teoryi o 5 patryarchatach, grających rolę jakoby 5 zmysłów w ciele Kościoła; w tej teoryi bowiem rzymskiemu biskupowi wyznaczono przynajmniej pierwsze jeszcze miejsce. Kościół bizantyjski szerzy u siebie legendę o starszeństwie swojem przed Kościołem rzymskim, wyprowadzając swój początek od św. Andrzeja „najpierw powołanego" apostoła (protoclytus), który miał stolicę biskupią założyć nad Bosforem zanim św. Piotr zjawił się w Rzymie. Miała to być odpowiedź na naukę o prymacie Kościoła rzymskiego.

W chwili, gdy Focyusz wyklinał papieża Mikołaja I, albo gdy Cerularyusz w odpowiedzi na ekskomunikę legatów papieskich rzucał klątwę na papieża Leona IX, schizma między kościołem wschodnim a zachodnim była faktycznie już dawno dokonaną. Obustronne klątwy stwierdzały tylko faktyczny stan rzeczy, były tylko ostatecznem przypieczętowaniem procesów dziejowych całych ubiegłych stuleci. Spór o *Filioque* za Focyusza, a o przaśniki za Cerularyusza to tylko formalne preteksty, nie zaś istotne przyczyny rozłamu. Schizmę tworzyli patryarchowie „ekumeniczni" Carogrodu od chwili wystąpienia swego na widownię dziejową, budując powoli ale stale cały gmach pojęć, tendencyi, owianych takim duchem, dla jakich w prawdziwym Chrystusowym Kościele miejsca być nie mogło. Ciągłe herezye osłabiały coraz bardziej poczucie jedności z Rzymem. Zależność hierarchii od cezarów, dworactwo i ustępliwość jej

wobec ich woli zrodziły ten powierzchowny chrystyanizm, sankcyonujący wszelkie pochodzące z góry bezprawie w życiu i punkt ciężkości przenoszący na wystawność obrzędów, na zewnętrzną zabijającą ducha literę. To cechy chrześcijaństwa bizantyńskiego, na którego czele stał patryarcha „ekumeniczny", wieczny antagonista Rzymu.

Trwałość atoli Rzymu i Bizancyum nie zależała od chwilowych powodzeń, lecz od podstaw, na których każdy z nich się wspierał. Podczas gdy Rzym gwarancyę swej trwałości widział w następstwie świętego Piotra i w słowach Chrystusa: *Ty jesteś Opoka*, Carogród swą wielkość opierał o wątły tron potęgi ziemskiej, i o sfabrykowaną legendę o św. Andrzeju. Skutki w zupełności odpowiedziały przyczynom. Na wielkość polityczną papieskiego Rzymu patrzyły średnie wieki, na religijną i moralną jego wielkość f to rosnącą z każdym wiekiem patrzymy my. Patryarchat zaś ekumeniczny cesarskiego grodu podzielił losy wszystkich kreacyi ludzkiej polityki.

Historya patryarchatu carogrodzkiego dostarczyć może wiele ciekawych spostrzeżeń badającemu filozofię dziejów. Przedewszystkiem stwierdza ona stałość tego prawa, według którego w tem się odnosi karanie, w czem się grzeszyło. Wyniesienie się swoje patryarchowie carogrodzcy zawdzięczali czynnikom politycznym, też same czynniki zdolne będą kiedyś zburzyć tę wielkość. Patryarchat carogrodzki odosobnił się od katolickiej jedności, przenosząc osobliwości partykularne ponad powszechną prawdę, wprzęgając się w służbę jednego państwa i jednej nacyi; w imię tych samych haseł będą kiedyś odrywały się od niego jeden za drugim narodowe kościoły, dopóki ani śladu z jego „ekumeniczności" nie zostanie.

Właśnie na ten proces rozpadania się patryarchatu carogrodzkiego patrzy świat od dawna; my jesteśmy dzisiaj świadkami przedostatniego aktu tego procesu. Właściwie rozpoczął się on jeszcze przed upadkiem Bizancyum, gdy słowiańskie kościoły Rusi, Bułgaryi i Serbii różnymi czasy próbowały wyzwolić się z pod jurysdykcyi Konstantynopola. Rzecz dziwna, że ten proces rozpadania się patryarchatu został na pewien czas

opóźniony przez ugruntowanie się tureckiego mocarstwa na gruzach Bizancyum. Jak się to stało? Oto tak, że zwycięzcy Osmanowie postanowili wykorzystać instytucyę patryarchatu w swoich państwowych celach i dlatego nietylko zapewnili mu dalszą egzystencyę, ale nawet wzmocnili jego stanowisko. I oto od upadku Bizancyum w r. 1453 patryarchat „ekumeniczny" związał swe losy z tronem padyszachów i poszedł w służbę sułtanowi, jak służył dotąd bazyleusom greckim.

Służba ta zasadzała się na zaszczepieniu wśród chrześcijańskiej ludności tureckiego lojalizmu i utrzymaniu jej w ryzach posłuszeństwa. Za narzędzie do tego nie można było wybrać nikogo lepszego, jak patryarchów carogrodzkich. Tak też uczynił zaraz zdobywca Konstantynopola Mahomet II. Przerzedziwszy mieczem i propagandą islamizmu szeregi chrześcijan, zagarnąwszy co lepsze świątynie na meczety, Mahomet nie chciał wyniszczać chrześcijańskiego elementu do reszty, spodziewając się wyzyskać go w organizacyi swego imperyum. Jednem z pierwszych jego zarządzeń było ogłoszenie wolności wyznania dla chrześcijan i zapewnienie im opieki sułtańskiej, Najlepiej wyszła przy tem hierarchia kościelna. Nietylko zwolniono ją od jakichkolwiek podatków, nietylko zapewniono jej prawa nietykalności osobistej i wolność rządzenia się prawem kanonicznem, ale obleczono ją, w osobie biskupów i patryarchy, w nową władzę, jakiej za cesarzy bizantyńskich nie posiadała wcale. Turcy nie tylko, że nie chcieli się mieszać do wewnętrznych spraw Kościoła, do wiary i kultu, ale zrzucili z siebie na barki patryarchy Konstantynopola i biskupów ciężar rządów cywilnych nad *rają* chrześcijańską (raja=bydło). Jedynymi aktami, jakie wykonywała Porta względem chrześcijan, było wystawianie patryarchom i biskupom b e r a t ó w, mocą których nadawano im zupełne prawo rządzenia, sądzenia i karania podwładnych chrześcijan, tak duchownych jak i świeckich. Patryarcha miał prawo pobierać podatki na swoje utrzymanie i prawo to bezwzględnie wykonywał; sądowe wyroki jego skazywały winnych na ciężkie kary aż do przymusowych robót włącznie. Tyrania hierarchii nad *rają* dochodziła do tego stopnia, że nie rzadko chrześcijanie, nawet

maltretowani duchowni, przyjmowali islam, byleby się uwolnić z pod opieki własnych pasterzy. Położenie chrześcijan w ottomańskiem państwie było nie do pozazdroszczenia, ale nie cała, owszem nie największa część odpowiedzialności za to spada na Portę, lecz raczej na patryarchów „ekumenicznych". Trafiały się prawda niejednokrotnie masowe rzezie chrześcijan, ale były to wybuchy żywiołowego fanatyzmu mas muzułmańskich, nie zaś prawe zarządzenia Porty. Ta ostatnia grzeszyła w takich razach zwykle tylko bezczynnością i pobłażliwością zbyteczną. Prawo zabraniało nawet przymuszać w jakikolwiek sposób chrześcijan do przyjęcia islamu. Jeśli był prawnie zorganizowany i praktykowany stale ucisk *raji*, to dokonywał się on ze strony patryarchów i biskupów.

Znaczenie patryarchatu ekumenicznego dla unifikacyi i utrzymania w porządku różnorodnej narodowości *raji* oceniła Porta znakomicie i dlatego widzimy stałą jej dążność do tego, by pod jurysdykcyę patryarchy poddać wszystkich chrześcijan cesarstwa. Patryarchaty Aleksandryi, Antiochii i Jerozolimy stały się znowu ekspozyturami Konstantynopola; jeszcze w 18 stuleciu Porta zburzyła samodzielność cerkwi bułgarskiej i serbskiej (arcybiskupstwo Ochridy i patryarchat w Ipeku), rozciągając i na te kościoły tak kanoniczną, jak i świecko-polityczną kompetencyę patryarchatu ekumenicznego. Nie frasowała ją nawet ta okoliczność, że ekumeniczny patryarcha, zasłaniając się tureckim beratem służy wszędzie nie tylko tronowi padyszacha, ale i wielkiej helleńsko-bizantyńskiej idei, grecyzując zawzięcie syryjskie, arabskie, rumuńskie i słowiańskie kościoły i ludność. Jeszcze w 19 stuleciu trafiały się wypadki masowego palenia słowiańskich ksiąg cerkiewnych na rozkaz przedstawicieli hierarchii greckiej.

Nadanie tak olbrzymich pełnomocnictw przez Portę patryarchatowi ekumenicznemu spowodowało niepraktykowane nigdzie więcej w takiej mierze ubieganie się o tron patryarszy. Z intryg kandydatów na to stanowisko znany był Konstantynopol i za greckich cesarzy, lecz wprost potworne rozmiary przybrało to zjawisko pod rządami tureckimi. Lecz nie Turcy wprowadzili

tę korrupcyę: oni tylko skorzystali z ambicyi i chciwości greckich biskupów. Mahomet II. nadając prawa religii chrześcijańskiej nie tylko nie ustanowił żadnych opłat za beraty wydawane patryarchom, ale owszem tym ostatnim wyznaczył ze skarbu pieniężne utrzymanie. Lecz przy pierwszem zawakowaniu tronu patryarchalnego, oceniono wartość tego ponętnego stanowiska: kandydat na nie, by się utrzymać, sam zaofiarował Porcie sumę, równającą się pobieranej ze skarbu kwocie. To stworzyło precedens; w późniejszych czasach tron patryarchalny stał się przedmiotem otwartej licytacyi, a sumy wnoszone przez kandydatów do skarbu sułtana dochodziły niekiedy do setek tysięcy piastrów. Że nie powołanie z góry, nie chęć służenia interesom wiary i Kościoła stwarzała te długie szeregi pretendentów do tronu patryarchalnego, tego chyba nie potrzeba udowadniać. Spychanie patryarchów z tronu przez dających więcej nowych pretendentów stało się regułą. Na 103 patryarchów, jacy zasiadali na tronie ekumenicznym od r. 1453 do naszych czasów, tylko 30 umarło na tem stanowisku, 73 zaś było zepchniętych z niego. Wielu z nich powracało po kilka razy do władzy i po kilka razy ją traciło. Byli tacy, co zajmowali tron patryarszy na pięć a nawet sześć zawodów. Świeżo zgasły patryarcha Joachim III. również nie po raz pierwszy piastował tę godność. Stąd możliwe były takie zjawiska, że Joachim IV był nietylko następcą ale i poprzednikiem Joachima III. Na jednego patryarchę przypada przeciętnie 4 lata panowania!! Że każdy z nich musiał się spieszyć, by w przeciągu tak krótkiego czasu wydusić ze swej owczarni kolosalną sumę, jaką go kosztowała ta godność, to jest zrozumiałem samo przez się. Mówiliśmy, że tureckie panowanie nie tylko nie obaliło patryarchatu ekumenicznego, ale przeciwnie znacznie go wzmocniło, rozszerzając jego jurysdykcyę i wzbogacając w szerokie przywileje. Mówiliśmy także, że te zasady, na jakich się wspierała egzystencya patryarchatu i jakim on się wysługiwał, musiały sprowadzić jego upadek. Stało się to wtedy, kiedy Porta sama stała się zbyt słabą i zbyt od zewnątrz zależną, by módz dalej podtrzymywać swoją kreacyę.

Już w XVI wieku z pod jurysdykcyi patryarchów carogrodz-

kich wyzwoliła się ostatecznie Rosya, wychodząc z zasady że Moskwa — trzeci Rzym — musi mieć swego własnego patryarchę. Pieniądzmi kupiono formalnie uznanie tej niezależności ze strony patryarchy Jeremiasza II. W 17 i 18 stuleciach unia z Rzymem oderwała od patryarchatu całe prowincye ruskie i rumuńskie w Siedmiogrodzie. Dalsze rozpadanie się patryarchatu szło w parze z kurczeniem się terytoryalnem Turcyi. W ślad za zdobyciem politycznej niezależności ogłaszają również swoją autonomię kościelną Grecya w 1827, Rumunia w 1864 i Serbia około tegoż czasu. Patryarcha zwykle długo protestuje przeciw takiej emancypacyi całych kościelnych prowincyi z pod jego władzy, na to jednak tylko, by wreszcie uznać fakt dokonany i wspaniałomyślnie ogłosić autokefalię nowych kościołów. I tak autokefalia Grecyi została uznaną przez patryarchat carogrodzki w 1850 r., Serbii w 1879 i Rumunii w 1885 roku. Dodać należy, że Grecya, powiększając kosztem Turcyi kilkakrotnie swoje granice, wyjmowała nowo nabyte prowincye z pod jurysdykcyi patryarchów Carogrodu. Można być pewnym, że ten sam los spotka i te prowincye, jakie po ostatniej wojnie bałkańskim państwom przypadną w udziale. Jeżeli komu, to patryarsze ekumenicznemu nie do twarzy protest przeciw takiemu powiększaniu granic autokefalnych kościołów, skoro on sam również zawdzięczał rozszerzanie się swojej władzy rozszerzaniu się politycznych granic Bizancyum a później Turcyi.

Mści się również na patryarchacie konstantynopolitańskim druga zasada, której on służył stale: zasada utożsamiania interesów Kościoła z interesami greckiej narodowości. Dokonywana przez patryarchat hellenizacya innych szczepów i narodowości musiała wywołać odpór ze strony grecyzowanych ludów, nawet w obrębie państwa ottomańskiego. Tak Bułgarzy zażądali dla siebie zupełnej autonomii kościelno-narodowej, a gdy patryarcha był głuchy na ich domagania się, sami ustanowili własną hierarchię z egzarchą na czele, rezydującym w samym Konstantynopolu. Porta była już zbyt słabą, by brać w obronę sprawę patryarchatu i pod naciskiem Rosyi uznała nową hierarchię bułgarską, która dziś rządzi nie tylko Bułgarami niezale-

żnego królestwa, ale i poddanymi sułtana. Patryarchat ekumeniczny w bezsilnym gniewie, na zwołanym soborze greckich biskupów w r. 1872 potępił jako herezyę t. zw. filetyzm, czyli zasadę podziału jurysdykcyi kościelnej według narodowości, niepomny, że zbiera tylko żniwo własnego posiewu. Kościół bułgarski dotąd pozostaje w klątwie i jest uważany za schizmatycki przez patryarchię carogrodzką, co mu jednak nie przeszkadza utrzymywać dobre stosunki z innymi autokefalnymi kościołami i nic nie robić sobie z patryarszych klątw. Przeciw greckiej hegemonii w kościele powstali i Arabi patryarchatu antyochijskiego, wybierając patryarchę swojej narodowości. Z tego powodu trwała również przez lat kilkanaście schizma między Konstantynopolem i Antyochią, zakończona zaledwie przed paru laty cofnięciem swych gromów przez patryarchat ekumeniczny. Na drogę zrzucenia greckiego jarzma wstąpili i Arabowie maleńkiego patryarchatu Jerozolimy; patryarcha Damian sprzyja im i z tego powodu prowadzi ciągle wojnę z greckiem bractwem Bożego Grobu, które samo niepodzielnie chciało ciągnąć zyski z kolosalnych dochodów i dóbr należących do Św. Grobu. Otrząsnął się z pod przemożnego wpływu Carogrodu i patryarcha Aleksandryi, ten, jak się sam szumnie tytułuje „papież wielkiej Aleksandryi, Libii, Pentapolisu, Etyopiii całego Egiptu, ojciec ojców, pasterz pasterzy, trzynasty apostoł i sędzia całego świata". Do niedawna nie wolno mu było obsadzać biskupstw bez aprobaty patryarchy ekumenicznego. Od czasu faktycznego odpadnięcia Egiptu od Turcyi, upokarzająca ta zależność musiała ustać.

Kogóż więc reprezentuje dzisiaj patryarcha ekumeniczny? Oto po oderwaniu się autokefalnych kościołów jurysdykcya jego ograniczała się już tylko do prowincyi Turcyi europejskiej (nie licząc jednak Bułgarów) i do Anatolii w Turcyi azyatyckiej i wysp na morzach Marmora i Egejskiem. Wprawdzie liczba biskupstw w obydwóch tych częściach patryarchatu jest jeszcze olbrzymia: w pierwszej jest 40 metropolii, a w drugiej jest ich 17, na wyspach 12 i poza granicami Turcyi 5. Metropolie te jednak to przeważnie tylko szumne tytuły biskupów, nie posiadających żadnych sufraganii, i których własne dyecezye częstokroć

ograniczają się do kilku tysięcy wiernych, albo i mniej. Poddanych zatem cały patryarchat ekumeniczny liczy we wszystkich swych 74 metropoliach zaledwie jakieś 2½ milionów wiernych, z których przy nowym podziale Turcyi odpadnie conajmniej połowa. Wchodzą tu bowiem w grę Kreta, Tessalia, Macedonia i Stara Serbia, w których zwierzchnictwo kościelne Konstantynopola cierpianem nie będzie. Prawda, nominalnie do patryarchatu konstantynopolitańskiego należą jeszcze 4 metropolie Bośni i Hercegowiny, ale zależność ich wyraża się jedynie w umieszczaniu imienia patryarchy w kanonie i pobieraniu przezeń od rządu austro-węgierskiego pewnej kwoty remuneracyi; zresztą rządzą się te prowincye samodzielnie, nawet biskupów nominuje Wiedeń. Zapewne, że nie za górami chwila, kiedy odnośne sfery uznają za zupełnie zbyteczną tę nominalną zależność Bośni od patryarchatu, a wątpić należy, czy sami Serbowie będą o nią obstawali.

„Wielki kościół" — *megale ekklesia*, jak się patryarchat nazywa, kurczy się nie dniami ale godzinami i z dawnej wielkości pozostały tylko strzępy. Skuteczna obrona Czataldży przez wojsko tureckie na pewien czas obroniła jeszcze i patryarchat ekumeniczny od zupełnej zagłady. Gdyby nie to, ciekawym byłby widok zwycięskich wojsk bułgarskich, zatykających na *Aja Sofja* krzyż chrześcijański swemi rękami, wyklętemi w r. 1872 przez patryarchat ekumeniczny. Czy schizmatyccy Bułgarzy zdobyliby się na wspaniałomyślne wprowadzenie pod kopułę świątyni Justyniana dawnego jej gospodarza patryarchę, który ich wyklął i dotąd tej klątwy zdjąć się wzbrania?

Tymczasem się to nie stało, ale czy nie ten los czeka w przyszłości może niedalekiej św. Zofię? To w każdym razie jest rzeczą pewną, że losy patryarchatu ekumenicznego ściśle są związane z losami państwa ottomańskiego i jeśli kto to nie patryarcha Carogrodu cieszył się z powodzenia wojsk państw bałkańskich. Dzień wyrzucenia Turków z Europy będzie ostatnim dniem istnienia patryarchatu, śmiałego niegdyś antagonisty i rywala papieskiego Rzymu. Faktyczne zaś przodownictwo prawosławnym ludom oddawna już przeszło do kogo innego.

Przedstawiając w powyższym szkicu dzieje patryarchatu konstantynopolitańskiego, nie tylko to mieliśmy na względzie, by wykazać ścisłą logikę, jaką rządzi się sprawiedliwość dziejowa, ale głównie to, by czytelnikom dać pewne dane do łatwiejszego zoryentowania się w stosunkach kościelnych na Wschodzie. Po dawnej świetności Bizancyum pozostała nazwa „Kościoła greckiego" na oznaczenie całej wielkiej części chrześcijańskiego świata, odpadłej od jedności z Rzymem za sprawą Focyusza i Cerularyusza. Nazwa ta dotąd pokutuje, a za głowę i przodownika całego tego odszczepionego kościoła zwykło się uważać carogrodzkich następców Focyusza. Pobieżny rzut oka na rzeczywistość przekonał nas, że to złudzenie. Na 125 milionów wyznawców wschodniego prawosławia, Grecy stanowią cyfrę zaledwie 5 milionów czyli 4%, a i z tej liczby pod władzą patryarchów ekumenicznych pozostanie niezadługo tylko $^1/_5$ część, czyli jeden milion. Reszta podlega jurysdykcyi synodu ateńskiego, skopiowanego żywcem z synodu w Petersburgu. Reszta wschodnich prawosławnych, po odtrąceniu resztki Arabów i kilku milionów Rumunów, to świat słowiański: Rosya, Bułgarya, Serbowie. Patryarchów Carogrodu stać było na to, żeby spowodować schizmę całej połowy chrześcijańskiego świata, ale ich następcy nie będą już brani w rachubę, jeśli kiedyś Opatrzności spodoba się usunąć rozdwojenie.

Inna nasuwa się jeszcze uwaga przy rozpatrywaniu stosunków kościelnych na Wschodzie. Mianowicie ta, że faktyczne dane nie usprawiedliwiają powszechnego mniemania, jakoby w posiadłościach Turcyi jedynie prawosławni stanowili naturalne przedstawicielstwo chrześcijaństwa i mieli prawo domagać się szczególnych dla siebie prerogatyw z uszczerbkiem innych wyznań chrześcijańskich. Takiemu mniemaniu zaprzeczają cyfry. W Turcyi azyatyckiej, włączając Syryę i Arabię, wszystkich chrześcijan znajduje się 2.500 tysięcy. Lecz z tej liczby zaledwie połowa przypada na wyznawców focyańskiego odszczepieństwa. Oprócz bowiem miliona wiernych w należącej do patryarchatu konstantynopolitańskiego Anatolii, pozostałe dwa patryarchaty liczą: Antyochia 250 tysięcy, a Jerozolima zaledwie 20 tysięcy

wiernych. Obok tego miliona i jakichś 300 tysięcy prawosławnych znajduje się przeszło 600 tysięcy dawniejszych heretyków monofizyków i nestoryanów (Ormian i Chaldejczyków) i drugie tyle katolików. Przytem katolicy to bynajmniej nie element napływowy tylko, bo oprócz 40 tysięcy łacinników europejczyków Turcya azyatycka posiada całe zjednoczone z Rzymem kościoły: Melchitów 110 tysięcy, Chaldejczyków 80 tysięcy, Ormian 70 tysięcy i Maronitów 300 tysięcy. Jeszcze mniej prawa do szczególnych względów posiadają prawosławni w Afryce. W Egipcie na 600 tysięcy heretyków Jakóbitów i 80—100 tysięcy katolików różnych obrządków, patryarcha prawosławny Aleksandryi ów trzynasty apostoł i sędzia całego świata pasie zaledwie 25 do 30 tysięcy swych owiec, przeważnie wędrownego kupieckiego elementu greckiego. Do uważania więc Egiptu i wogóle północnowschodniej Afryki za kraj prawosławny niema żadnych faktycznych podstaw.

Zatem gros prawosławia znajduje się w Europie: Rosya, Rumunia, państwa związku bałkańskiego, wreszcie Austro-Węgry oto siedziby zwolenników focyanizmu.

Do tych państw przeszła też spuścizna duchowa bizantynizmu. Zasady, jakiemi rządzono się w kościelno-politycznych stosunkach w Carogrodzie, zaszczepione zostały autokefalnym kościołom słowiańskim i na miejsce jednego wschodniego cezaropapizmu mamy ich kilka. Wszędzie kościół uważany jest za jedno z organizmem państwowym i wysługuje się celom polityki, z tą tylko odmianą, że kiedy w państwach bałkańskich pomaga w formowaniu nowych narodowych organizmów, to w Rosyi, pozostając w służbie imperyalizmu, tłumi i niszczy wszelkie narodowe odrębności. Synod petersburski to jedno z najlepszych narzędzi rusyfikacyi inorodców; poddano mu też autonomiczną niegdyś cerkiew gruzińską i terytoryalna jego władza rozszerza się w miarę rozszerzania się granic Rosyi. Widzimy tu ten sam proces, jaki obserwowaliśmy na przykładzie patryarchatu ekumenicznego w epoce jego wzrostu i rozwoju.

Bizancyum upadło dawno, bizantynizm przetrwał w całej pełni dotąd, przechowany i przekazany nowożytnym organizmom

państwowym przez Turcyę i przez patryarchat carogrodzki. I dziś, patrząc na zwycięski pochód wojsk bałkańskich na Wschód, możemy zadać sobie pytanie, czy nie będzie to nowym tryumfem bizantynizmu już nie w greckiej ale przeważnie w starosłowiańskiej postaci? Czy w dążeniu do ostatecznego wypędzenia Turków ze Stambułu nie kryje się dążenie, by wskrzesić widzialny symbol bizantyńskiego systemu, jakim był chrześcijański Konstantynopol? Grecki ekumeniczny patryarcha z jego hellenizatorstwem i nieusprawiedliwioną niczem megalomanią zakończył swoją dziejową karyerę, czy jednak miejsca jego nie ma zająć nowe jakieś wcielenie tego samego ducha, który rodził Focyuszów i religię wprzęgał do służby polityce?

Pytania takie winni sobie zadawać myślący ludzie, a ci, w czyich rękach są losy dziejów przyszłych, powinniby odpowiedzieć sobie również i na to pytanie, czy wolno bez sprzeniewierzenia się najwznioślejszym interesom ludzkości sprzyjać tego rodzaju dążeniom lub nawet je popierać?

Niedawno w niemieckiej katolickiej prasie odezwał się głos, nawołujący polityczne czynniki Niemiec i Austryi, aby przy najbliższem regulowaniu spraw bałkańskich, wzięły pod uwagę interesy katolicyzmu w nowozdobytych przez państwa związkowe prowincyach i wogóle na Bałkanach. Rodeich von Berndt, autor odnośnego artykułu w *Allgemeine Rundschau*, stwierdza znaną rzecz, że prawosławie ludów bałkańskich to najtrwalszy cement spajający je z Rosyą, a zarazem najsilniejsza przeszkoda do duchowego, gospodarczego i kulturalnego podniesienia się południowych Słowian. Ludy słowiańskie, które albo wyznają katolicyzm w łacińskim obrządku, albo związane są z Rzymem unią kościelną stoją kulturalnie wyżej i zlewają się w wielką rzekę ogólnej zachodniej chrześcijańskiej kultury. Zadaniem dyplomacyi zachodnio-europejskiej, zwłaszcza Niemiec i Austryi, zdaniem autora winno być wprowadzenie tego stanu i na Bałkanach. Z tem zapatrywaniem nie można nie zgodzić się, chociaż może nietrafnie podsuwa autor artykułu takiej akcyi pobudki polityczne: przez wzrost katolicyzmu na Bałkanach osłabienie tamże wpływów rosyjskich. Nam się zdaje, że nieza-

leżnie od pobudki osłabienia Rosyi, popieranie katolicyzmu na Bałkanach jest również zadaniem godnem dyplomacyi europejskich mocarstw. Chodzi tu o szerzenie kultury zachodniej, która tak dobrze potrzebną jest samej Rosyi jak i państwom bałkańskim. Bez względu na takie czy inne stanowisko Rosyi względem tej kultury, można i trzeba się starać o zaszczepienie jej na półwyspie bałkańskim, a droga do tego prowadzi tylko przez katolicyzm. Kultura zachodnia to nietylko pewna suma technicznych ulepszeń w dziedzinie ekonomicznej, ale przedewszystkiem to duchowe odrodzenie się ludów, to powołanie do czynów wszystkich czynników społecznych w celu stwarzania intellektualnych, moralnych i ekonomicznych wartości. Przy panującym systemie bizantynizmu, bez względu na to, kto w nim przoduje, czy Rosya, czy Grecy, czy państwa słowiańskie, wychowanie społeczeństw dla prawdziwej europejskiej kultury jest niemożliwe.

Znaczenie religii i Kościoła w wychowawczym procesie ludów, zwłaszcza gdy ludy te dopiero budzą się do kulturalnego życia, jest samo przez się oczywiste. Nie zaprzeczają też zasług Kościoła katolickiego dla kultury europejskiej nawet wrogowie katolicyzmu. Choćby już nie wspominać o innych zasługach Kościoła, czyż nie najpotężniejszym czynnikiem w rozwoju kultury zachodniej stał się Kościół przez to, że po wszystkie czasy swej historyi stał na straży godności ludzkiej, że walczył o duchową wolność społeczeństw z tyranią wielu panujących średnich wieków, jak z drugiej strony stał na straży porządku i ładu, potępiając prądy radykalne i rewolucyjne! W zatargach Grzegorza VII z Henrykiem IV. lub Bonifacego VIII z Filipem Pięknym tylko powierzchowni ludzie będą upatrywać walkę o władzę dla samej władzy. Historycy głębiej patrzący w dzieje, uznają, że papieże w danym razie wywalczali istotne swobody społeczeństwom, przypominając potęgom ziemskim zakreślone przez prawo Boże ich wszechmocy granice.

Bizantynizm do tego zdolnym nie jest. Zapewne, że rządy patrzą na najbliższą tylko metę, wolą, by Kościół szedł zawsze ręka w rękę z nimi za wskazaniami polityki. Ale kościół w bizantyńskim systemie właśnie dlatego, że idzie zawsze zgodnie

z polityką chwili, traci z oczu wieczne, niezmienne ideały i prawa moralne i przykuty do rydwanu państwowego nie ma ani zdolności, ani ochoty ani doń powagi, by wychowywać społeczeństwo do duchowej i kulturalnej pracy. Staje się on w takim razie narzędziem despotyzmu, nadając mu sankcyę religijną. Despotyzm wywołuje drugi extrem rewolucyę. Wśród tych dwóch sprzeczności niema miejsca na spokojną ewolucyę, na zdrowy postęp i prawdziwą cywilizacyę.

Wyzbyć się jednak w stosunkach kościelno-politycznych zasad bizantyńskich lub nadal przy nich pozostać, jest ostatecznie rzeczą samych prawosławnych państw i narodów. Może jeszcze nie prędko zrozumieją kulturalne dla siebie znaczenie katolicyzmu; narzucać zaś im nasz punkt widzenia przechodzi możność dyplomacyi. Co jednak nie powinno ujść jej uwagi przy regulowaniu stosunków bałkańskich, to zapewnienie wolności wyznania dla istniejących na półwyspie katolików i swobodnego ich rozwoju. W chwili obecnej na terytoryum Turcyi europejskiej i czterech państw związku mieszka do 300 tysięcy katolików tak łacińskiego jak i wschodniego obrządku. Jeżeli pod rządami tureckimi, jakoteż w Grecyi, Bułgaryi i Czarnogórze egzystencya ich, jakkolwiek nie zadawalniająca, była przynajmniej znośną, to Serbia stanowi jedyny w świecie wyjątek, iż katolicy nie mogą mieć ani swoich świątyń, ani kapłaństwa, ani cieszyć się prawami obywateli kraju. Tej anomalii nie powinna była cierpieć Europa już dawno; tembardziej zgrzeszyłaby przeciw najelementarniejszej sprawiedliwości, gdyby pozwoliła Serbii rozciągnąć swą nietolerancyę religijną i na zdobyte świeżo prowincye, w których katolicyzm cieszył się już pewnemi prawami. Dla Austryi, która wykonywała protektorat nad katolikami Albanii, otwiera się powołanie upomnieć się o prawa dla katolicyzmu tam, gdzie on bez porównania więcej opieki wymaga, to jest w Serbii, a następnie zapewnić swobodny rozwój katolicyzmu na całym półwyspie.

Oto ważniejsze refleksye na temat idei religijnej, związanej z bałkańskiem przesileniem. *Ks. J. Urban.*

PRZYSZŁOŚĆ PALESTYNY.

Nie w jednem i tem samem znaczeniu pojmujemy wyraz „przyszłość". Gdy łączymy go zwłaszcza z pojęciem kraju, narodu, podówczas z konieczności rzeczy musi posiadać znaczenie bardzo obszerne. Przyszłość kraju, przyszłość narodu, nie jest mierzona na krótki okres czasu, ale obejmuje zwykle okres długi. Ponieważ w życiu narodu, czy też w historyi kraju w ciągu długiego okresu powstają najrozmaitsze objawy i warunki życia zarówno jak stanowisko kraju ulegają zmianom, dlatego też i przyszłość możemy przedstawiać sobie w znaczeniu ogólnem, albo też w stosunku do jednego jakiegoś objawu.

Kiedy jest mowa o kraju, najpowszechniej odróżniamy dwa pojęcia przyszłości, a mianowicie przyszłość wewnętrzną i zewnętrzną. Do pierwszej odnosimy wszystko to, co związane jest z życiem ekonomicznem, społecznem, religijnem, naukowem i t. d.; do drugiej — stosunki z państwami ościennemi i wszelkie zjawiska, jakie z tych stosunków wyniknąć mogą. Pojęcie pierwsze jest więcej ścieśnione: odnosi się tylko do jednego kraju, lub narodu, natomiast pojęcie drugie jest obszerne, obejmuje bowiem różne zjawiska zewnętrzne. Aby lepiej zrozumieć ten ostatni termin, należy zwrócić uwagę na rolę, jaką każde państwo odgrywa w historyi świata. Można śmiało powiedzieć, że rola, jaka w udziale przypada każdemu państwu, ma charakter międzynarodowy, czyli powszechny. Objawy, w jakiemkolwiek znaczeniu będziemy je pojmowali, a przedewszystkiem te, które

dotyczą życia politycznego, tak ścisłymi splątane są więzy z podobnymi objawami w krajach innych, że zdarzyć się może, iż polityka kilku różnych państw, staje się wspólną. Większe jakieś wypadki i zdarzenia historyczne nie mogą się odbyć w jednem państwie, aby nie pozostały bez echa w drugiem. I dzieje się to nietylko wtedy, gdy polityka prowadzona jest w jednym i tym samym duchu, lecz i wtedy, gdy państwa nie są związane zadnym sojuszem. Wszelkie komplikacye międzynarodowe więcej oddziaływają na państwa neutralne, lub też te, które kiedyś posiadały swój niezależny byt polityczny, a w danej chwili są pozbawione tego bytu, aniżeli te, które mają własne rządy. Gdy tylko bieg wypadków dziejowych wskutek rozmaitych, spodziewanych czy niespodziewanych wstrząśnień, wyleje ze swego naturalnego łożyska, tedy uwaga narodów, zwłaszcza pozbawionych bytu politycznego, staje się niezwykle napiętą. Ale owe wstrząśnienia wzbudzają zainteresowanie nietylko wśród narodów, o jakich mowa w powyższem zdaniu. Odczuwają je i ci, którzy jakiekolwiek z nimi utrzymują stosunki. Dowodem tego mogą być współczesne wypadki bałkańskie. Zwycięskie pochody armii wytwarzają najrozmaitsze projekty, nietylko u tych narodów, które bezpośrednio krew przelewają, ale i u tych, co znajdują się zdala i nie ponoszą fizycznych skutków walki.

Dzisiaj rozgrywają się tak wielkie wypadki na Wschodzie, a zarazem tak gwałtownie one burzą drogi, któremi dotąd postępowała Turcya i zamierzała iść na przyszłość, że słusznie mogą powstawać pytania: jakie będzie ugrupowanie stosunków, jakie losy tego, lub owego narodu? Z krajów, jakie obecnie znajdują się pod panowaniem sułtana, największe zainteresowanie wzbudza Palestyna. Jest to ziemia, rzec tak można, internacyonalna, o charakterze powszechnym, podobnie jak i religia chrześcijańska, która się tam poczęła. Rozmaite państwa europejskie nie tylko ze względów politycznych zwracają baczny swój wzrok na Palestynę. Istnieją jeszcze inne względy, które czynią kraj ten niezwykle drogim w oczach całego chrześcijaństwa. Wobec rozgrywających się dzisiaj wypadków jakie losy czekają Palestynę? Jaka jest jej przyszłość wewnętrzna lub

zewnętrzna? Czy pozostanie ziemią opuszczoną, na półzamarłą, jaką jest obecnie, czy też odżyje życiem nowem, przyjmie szatę kultury europejskiej i t. d.?

Stosownie do światopoglądu chrześcijańskiego stanowisko Palestyny, już od piętnastu prawie wieków może nasuwać najrozmaitsze refleksye. Wszak drzewo chrześcijanizmu, okrywające swymi konarami świat cały, powinno być najwidoczniejsze w Palestynie na tym gruncie, na którym zostało zasadzone ręką Zbawiciela. Tymczasem dzieje się inaczej. Palestyna to raj utracony, który miasto najbogatszych roślin zaczął wydawać ciernie i osty, jakby zapłatę dla tych, którzy na taki owoc zasłużyli. Bywają jednak odłogiem leżące pola, które zamieniają się na urodzajne niwy, bywają odbudowywane miasta, co przez długie wieki legły w gruzach i narody wskrzeszane, gdy sprawiedliwości dziejowej stanie się zadość — gdy kara wypisana w sprawiedliwym wyroku Bożym, dobiegnie swego końca. Palestyna po długim okresie spustoszenia może być wskrzeszoną. Gdy więc chwila ta zdaje się zbliżać, powstaje pytanie, czy urzeczywistnią się nadzieje chrześcijan, czy też Żydów? Czy nastaną rządy chrześcijańskie i religia katolicka otrzyma całkowitą wolność wyznania, jak 1600 lat przedtem po dekrecie medyolańskim, czy też przeciwnie element żydowski drogą imigracyi stanie się żywiołem liczebnie większym i w razie samorządu, zdobędzie przewagę?

Jaka będzie przyszłość Palestyny?

I.

Gdy rozczytamy się w historyi rozmaitych narodów świata, rozpoczynając od najstarożytniejszych, jak Sumerowie, Elamici, dawni Egipcyanie, do których wogóle tylko źródła sięgają, zauważymy, że ciągle prawie powtarzają się nad nimi analogiczne wypadki. Te wypadki zaś wywoływane są po większej części komplikacyą stosunków zewnętrznych; stosunki zewnętrzne nie wywołują tak gwałtownych i niespodzianych przewrotów. Istnieją

dwa główne czynniki, które sprowadzają nieustanną interwencyę potęg zewnętrznych, gdy chodzi o losy jakiegoś narodu lub kraju. Jednym z nich jest położenie geograficzne, jak w dzisiejszych np. czasach Albanii w stosunku do Austryi i Włoch, lub Konstantynopola w stosunku do wielkich mocarstw europejskich; drugim jest religia.

Palestyna jest krajem *par excellence*, którego interesy wchodziły w komplikacye mocarstw obcych. W czasach najdawniejszych ugrupowanie się mocarstw na Wschodzie, uczyniło z Palestyny teren, który w życiu politycznem posiadał pierwszorzędne znaczenie. Na bardzo szczupłym terenie Palestyny w stosunku do olbrzymich państw sąsiednich, rozgrywały się tak ważne wypadki, że miały one rozstrzygać o losach najpotężniejszych podówczas narodów. Palestyna często odgrywała rolę szali, na której z jednej strony ważyły się sprawy Egiptu, z drugiej zaś Assyryi, Hittytów i sprzymierzonych z nimi królestw na Wschodzie. Przed Chrystusem względy polityczne, po Chrystusie zaś religia skupia uwagę nieomal świata całego nad tym małym kraikiem.

Nietylko w sułtanacie tureckim, ale nawet w Azyi niema dzisiaj kraju, na który zwrócona byłaby tak pilna uwaga jak na Palestynę. W uszach czytelników polskich zdanie powyższe może się wydawać nieprawdopodobnem, a to dlatego, żeśmy nie przywykli i nie umiemy zajmować się sprawami krajów pozostających dawno pod względem politycznym w zapomnieniu. Nasza uwaga całkowicie skupiona jest na własną ziemię. Nie można jednakże uważać tego zdania za przesadne. Chrześcijanie mają tam *sanctuarium*, które czyni i czynić będzie po wszystkie czasy dla nich tę ziemię świętą. Żydzi tak związani są z dziejami tej ziemi, że również zawsze, bez względu na to, w jakich zamieszkują krajach i za jakimi idą prądami, pamiętać o niej muszą.

Palestyna już w czasach najodleglejszych, do jakich tylko sięgają źródła historyczne, wydobyte niedawnymi czasy z pod ziemi, stanowiła niezmiernie wybitną placówkę dla ówczesnego świata cywilizowanego. Z jednej strony Indye, Persya, Assyrya, Mezopotamia, z drugiej zaś Egipt, rościły do niej pretensye.

Handel Wschodu z Grecyą, Italią, Kartaginą, Egiptem, odbywał się przez Palestynę. Tutaj przechodziły i krzyżowały się wielkie trakty, które łączyły ówczesne cywilizowane państwa. Assyrya nie miała innego dostępu do morza Śródziemnego i do Egiptu, jak tylko przez Palestynę. Egipt prowadząc swoje armie przeciwko państwom semickim, nie mógł przechodzić inną drogą, jak przez Palestynę. Assyrya budowała w Palestynie fortece w celu obrony od strony Egipcyan, Egipcyanie zaś broniąc się przed Assyryą. Już w epoce kamiennej istniały tam miejsca obronne przed najściem nieprzyjaciół. Niedawno dokończone wykopaliska na wzgórzu Dżezer, najdalej wysuniętem na dolinę Sefela, w stronę morza Śródziemnego, pokazują, że przeszło już na trzy tysiące lat przed Chrystusem była tam forteca. Powyższa placówka strategiczna miała raczej znaczenie międzynarodowe, aniżeli lokalne, znajdowała się bowiem na trakcie prowadzącym z Indyi i Egiptu do Assyryi. Ze względu na swoje położenie geograficzne Palestyna była terenem, na którym rozgrywały się częste wojny. Potomkowie Abrahama, zamieszkujący tę ziemię, byli świadkami wielkich pochodów wojennych, które z Assyryi przeciągały do Fenicyi obok Galilei i do Egiptu obok Judei.

Pięknie położone nad brzegiem morza miasto Jaffa (piękna), starożytne Joppe, było bardzo smacznym kąskiem, po który chciwie wyciągali ręce Egipcyanie. W r. 1874 uczony poszukiwacz starożytnych zabytków, Goodwin, odnalazł papyrus [1], pochodzący z XVIII dynastyi, na którym znajduje się opis, jako Thutii, wódz faraona Tutmesa III, zdobył miasto Joppe. „Na życie moje, na łaskę boga Ra — wołał Tutmes — na miłość ojca mego Amona, zniszczę miasto nikczemnego księcia Jopu, pokażę mu ciężar mego ramienia" [2]. Gdy Thutii odniósł zwycięstwo, pisał do Tutmesa: „Raduj się! Amon, twój

[1] Rękopis został przetłumaczony na język angielski i ogłoszony drukiem przez Goodwina w *Transactions of the Society of Biblical Archaeology*, T. III. — Oryginał ogłosił G. Maspero w *Journal Asiatique*, 1878. Przekład polski A. Langego znajduje się w *Epos Egipskie*, A. Lange, Brody, 1909.

[2] A. Lange, Epos Egipskie, str. 29.

dobry ojciec dał ci w ręce zwyciężonego (pakhiri) z Jopu, wraz z jego wszystkimi mieszkańcami, jakoteż i całem miastem" i t. d. [1].

W spisie miast znalezionych na odrzwiach świątyni w Karnaku, które to miasta zostały zdobyte przez faraona Tutmesa III, figuruje Jaffa, jako forteca. Z pewnością miała ona ten sam charakter co i Dżezer; położona na głównej drodze prowadzącej z Egiptu do krajów północnych, posiadała wybitne znaczenie strategiczne. Egipt odbiera ją Assyryi i odwrotnie Assyrya Egiptowi. W napisie Sennacheryba wzmiankowana jest Jaffa pod nazwą Ja-ap-pu. Napis grobowy Echmunazara mówi o Jaffie jako mieście należącem do Sydonu, t. j. do Fenicyi. Wogóle walka o miasta nadbrzeżne, położone w tym pasie, co Jaffa i Dżezer, była walką o Palestynę. Z napisów klinowych odnalezionych w r. 1887, w Tell-el-Amarna, małej wiosce arabskiej w Egipcie, a pochodzących mniej więcej z XVIII wieku przed Chrystusem, dowiadujemy się, że Palestyną rządzili gubernatorowie egipscy. Przechowało się nawet kilka listów, jakie przesyłane były w sprawach służbowych przez wielkorządców egipskich na dwór faraona.

Jak z jednej strony wielkie państwa sąsiednie ubiegały się o rozciągnięcie swoich wpływów nad Palestyną, tak z drugiej rozmaite plemiona semickie i niesemickie wydzierały sobie wzajemnie raz zdobyte placówki. Odkrycia naukowe dokonane w Tell-Dżezer, Nebo, Megiddo, Tibne, Ta'annuk, Gilgal, Chan Lubije, Tell Zakarija, Tell-es-Safi, Tell-el-Hesi, Chirbet Tareibe, Tell-el-Milch, Tell-el-Mataba i w. in., naprowadzają nas na ślady starożytnych mieszkańców, należących do epoki neolitycznej, t. nazw. teoglodytów palestyńskich. Czy ci jednakże byli pierwotnymi mieszkańcami? Nauka nic nam pewnego pod tym względem powiedzieć nie może. Wiadomo tylko, że ci najstarożytniejsi mieszkańcy byli usuwani ze swoich siedzib przez rozmaite najezdnicze plemiona.

Kiedy Abraham około 2000 r. przed Chrystusem przybył

[1] A. Lange, Epos Egipskie, str. 33.

do Palestyny, zastał tam mieszkańców należących do rasy semickiej. Zanim jednak semici usadowili się w Palestynie, przynajmniej dwie migracye narodów, nienależących do rasy semickiej notują nam współczesne odkrycia naukowe. „Niscy wzrostem — pisze ks. Wł. Szczepański — najstarsi teoglodyci Palestyny z epoki neolitycznej (4000—3000), którzy swych nieboszczyków palili, tak i nowi rośli przybysze między 3000—2500, którym przypisać należy pomniki megalityczne i którzy ciała umarłych grzebali — nie należeli do rasy semickiej, ale raczej do indogermańskiej“ [1].

Powróćmy jeszcze w dalszym ciągu do stosunków zewnętrznych. Olbrzymie wojny faraona Ramzesa II z Hittytami zalały krwią dolinę Ezdrelon. Jedna z nich stoczona w Megiddo, na gruncie palestyńskim, a druga dalej na północ pod Karszemisz w Syryi. Armia egipska, która zderzyła się z nieprzyjacielem na tej drugiej placówce, również przeciągnęła przez Palestynę.

Megiddo, małe miasteczko na dolinie Ezdrelon, czyli Jezrael, jak ono jest brzemienne w epokowe wypadki! Jakie się tutaj rozgrywały rzeczy!

Przeprowadzone niedawnymi czasy wykopaliska naukowe przez *Deutscher Palästinaverein* w Tell-el-Mutesellim zarówno jak i w Ta'annak, czyli dawnem Megiddo, wykazują, że w trzeciem tysiącleciu przed Chrystusem istniała tutaj bardzo silna forteca. Olbrzymie kamienne bloki, z których został zbudowany mur o grubości 8·50 m., wskazują, jak wielką wagę przywiązywano w czasie wojny do tego miejsca. W epoce, z której pochodzą dokumenty z Tell-el-Amarna, Megiddo znajdowało się pod silnym wpływem kultury babilońskiej. Pod Megiddo została stoczona bitwa, opiewana w prześlicznym kantyku Debory (Sędziów, 5); podówcza swojsko kananejskie było zniszczone. Forteca ta wzmacniana była ustawicznie przez Egipcyan, Kanaanitów zarówno jak i przez Izraelitów (3 Król. 4:12; 9:15).

---

[1] Por. „Palestyna przedhistoryczna w świetle najnowszych wykopalisk“ w *Miesięczniku Kościelnym*, T. VIII. str. 91. Poznań, 1912 r.

Tutaj Jozyasz, król izraelski starał się powstrzymać armię egipską, ciągnącą na północ (4 Król. 23 : 29) Ramzes II walczy pod Megiddo o hegemonię na Wschodzie; o to samo później prowadziła wojnę Assyrya. W wieku 12 po Chrystusie Krzyżowcy prowadzą na tem miejscu zacięty bój o obronę i panowanie Krzyża. Tutaj Napoleon toczy wojnę straszną, a prorocy hebrajscy przepowiedzieli jeszcze straszniejszą bitwę na tem miejscu przy końcu dni. Były tu rzezie, były rozlewy krwi takie, jakich wiele krajów i narodów nie widziało nigdy. Nawet najdziksze plemiona, wzbudzające postrach w starożytności, a mianowicie Scytowie, zwani w Starym Testamencie Gog i Magog, nawiedzili Palestynę.

Pomimo tak wielkich klęsk i zniszczeń, bieg wypadków, jakie oddawna zostały związane z tą ziemią, nie został odwrócony. Wyznawcy trzech wielkich religii na świecie, chrześcijanie, żydzi i mahometanie zgłaszają do niej swe prawa.

Dzisiaj, zwracając uwagę na obecny rozwój warunków, może więcej, aniżeli w innym czasie, nasuwa się pytanie, jaka będzie przyszłość Palestyny.

II.

Wschód nie zmienia się: nazywają go niezmiennym *Unvaring East.* E. J. Hardy [1] twierdzi, że na Wschodzie uderza nas przedewszystkiem nadzwyczajny konserwatyzm. Jakiejkolwiek pracy ludzkiej będziemy się przypatrywali, czy rolnictwu czy pasterstwu, czy zajęciom domowym, wychowaniu dzieci, ujrzymy te same typy, te same obrazy, o jakich wspominają Księgi święte. To, co działo się przed wiekami, dzisiaj dzieje się tak samo. Przed lat tysiącem ubogo odziany beduin wypędzał na pole i strzegł swojego stada owiec, które stanowiły cały jego majatek. Owce musiały zaspokoić wszystkie potrzeby jego

[1] *The Unvarying East,* modern scenes and ancient Scriptures. London, 1912.

życia. Mięso i mleko obracał na pokarm, skórę i wełnę na odzież i na mieszkanie, które sam musiał sobie zrobić. Oto wszystko, co potrzebował. W dzisiejszych czasach dzieje się to samo. Pomimo tak olbrzymiej zmiany warunków ekonomicznych na Zachodzie, życie tamtejszych mieszkańców pozostało bez zmiany. Kultura więc, która na Zachodzie posiada nieprzezwyciężoną moc przedostania się poprzez granice polityczne, choćby obstawione były najsurowszą strażą, na Wschodzie nie jest w stanie przeniknąć do uczuć i myśli człowieka w tej formie, w jakiej to uczyniła na przykład w Europie. Jakkolwiek długie upłynęły już wieki, prawdopodobnie grunt jeszcze nie został pod jej posiew całkowicie przygotowany. Istnieją natomiast inne dane, które w dzisiejszych czasach nie pozostają bez wpływu na mieszkańców Palestyny, a równocześnie przyczyniają się do szerszego zainteresowania się tym krajem wśród rozmaitych narodów świata. Do przyczyn tych należą z jednej strony wypadki polityczne, a z drugiej wzrost krytycyzmu religijnego w chrześcijańskich krajach Europy i Ameryki.

Rozpoczynając już od wojny krymskiej, zaczęto pilniejszą zwracać uwagę na Turcyę. Odtąd wypadki dziejowe szybko potoczyły się swojem łożyskiem. Każdy prawie rok nastręczał okazyę dla państw europejskich do wdzierania się w stosunki wewnętrzne Turcyi. Mahometanizm, który wszechwładnie zapanował nad wszystkimi krajami będącymi kolebką cywilizacyi pierwotnej, skutkiem stopniowej utraty znaczenia politycznego, stawał się z każdym dniem prawie coraz to więcej zdenerwowanym. Rezultat zaś tej chronicznej choroby był taki, że zaczęto stosować leki pod postacią rozciągania protektoratu nad ludnością chrześcijańską. Francya, Austrya, Rosya zakładają szkoły, budują własne poczty, słowem utrwalają filie swojego rządu na ziemiach tureckich. Rozciągnięcie przez Anglię władzy nad Egiptem i zajęcie pod swoje panowanie Cypru, jeszcze więcej zbliżyło Wschód do Zachodu, kulturę europejską do semickich ludów zajmujących dawne kraje biblijne.

Z drugiej strony ogromna walka nacyonalistycznej szkoły niemieckiej wypowiedziana księgom świętym, zwróciła uwagę

uczonych na kraje, w których te księgi powstały. Wreszcie odkrycia biblijne zainteresowały szeroki ogół świata uczonego. Ze wszystkich stron ciągną tam badacze, z zamiarem szukania prawdy w zabytkach starożytności. Następnie zanik ducha religii, rozszerzona niewiara po krajach chrześcijańskich wywołuje reakcyę — mnóstwo pielgrzymów pobożnych ciągnie na Wschód, aby uczcić grób Chrystusa i szukać umocnienia duchowego na miejscach, które zostały uświęcone obecnością Zbawiciela świata. Udoskonalone środki komunikacyi potęgują z dnia na dzień ruch w stronę Palestyny. Palestyna niezmienna, leżąca ugorem całe wieki, zaczyna się ożywiać. Widok Jerozolimy wzbudza jednakie zainteresowanie zbliżających się pielgrzymów od strony Jaffy, bez względu na to, jakich są przekonań, i do jakiego należą wyznania chrześcijańskiego. Dowodem tego zainteresowania się Ziemią Świętą może być literatura dotycząca palestynologii, która faktycznie prawie z każdym dniem się pomnaża.

Żaden z krajów równający się pod względem obszaru z Palestyną, nie posiada tak bogatej literatury, jak właśnie Ziemia Święta. Wszystko, co tylko dotyczy krajoznawstwa odnośnie do Palestyny, jest prawie wyczerpane. Palestyna pod względem geograficznym, topograficznym, paleograficznym, etnograficznym, etnologicznym, jest opracowana tak świetnie, jak mało który z cywilizowanych krajów Europy. Flora, fauna, nawet dna morza i Martwego i jeziora Genezaret, zbadane są jak najdokładniej w znaczeniu naukowem. Kartografia jest tak wyśmienitą, że, jak w obecnych warunkach, ani myśleć o lepszej nie można.

I wszystkie te dobrodziejstwa wyświadczone dla Ziemi Świętej nie pochodzą od jej mieszkańców, ale od narodów oddzielonych tysiącami kilometrów. Francya, Anglia, Niemcy, Stany Zjednoczone Ameryki północnej prześcigają się w biegu o prace naukowe poświęcone Ziemi Świętej.

Upadek Palestyny pod względem ekonomicznym jest dzisiaj kwestyą bardzo aktualną. Zewsząd nadchodzą pytania, dlaczego tam panuje takie ubóstwo! Czy klimat się zmienił, czy mniej dzisiaj pada deszczu, czy ziemia straciła pierwotną swoją

urodzajność? i t. d. i t. d. W Piśmie św. nazwana jest Palestyna „ziemią mlekiem i miodem płynącą", a dzisiaj podobna jest raczej do puszczy bezludnej. Dlaczego taka zmiana? Wszak klimat jest ten sam, co i za czasów dawnych Hebreów. Te same krajobrazy spotykamy dzisiaj, co i w opisach ewangelicznych. Gołe, sterczące skały, pokrzywione i potargane niby w kurczu śmiertelnym, zastygły i piętrzą się dzisiaj jak za dni Abrahama. Suche łożyska potoków górskich, wyżłobione w kamieniu bieleją niby wstęga rzucona w nieładzie ze szczytów wysokich gór na ścielące się u ich podnóża doliny, wartkim pędem wód w czasie pory zimowej sprawiają ten sam szum nawałnicy morskiej, co w czasach przedhistorycznych. Ich dna w czasie lata usłane są gładkimi kamykami obtoczonymi przez wodę, zdatnymi do procy, jak za czasów Dawida. To samo suche, przeźroczyste powietrze, które sprawia, że przedmioty odległe o kilka mil, widać, jakby je zaledwie kilka staj dzieliło od naszego wzroku. Ten sam majestatyczny wygląd góry Tabor i przepiękny z niej, a jeszcze wspanialszy z Małego Hermonu, widok na całą prawie Galileję, Samaryę i aż na morze. Ta sama pustynia dzika, a smutna, po której błądził Dawid. Pszenica, wino, oliwki i dzisiaj przyniosą te same owoce i plony, co w epoce biblijnej, byleby tylko przywrócono dzisiaj tę pracę, jaka istniała przedtem. Dzięki gospodarce tureckiej cały kraj wygląda jakby pustynia. Nie on się wszakże zmienił, tylko jego mieszkańcy i ci uczynili zeń pustynię. Dzisiaj Palestyna nie jest w stanie wyżywić względnie niewielkiej nawet liczby ludzi, ale jest to wina rolnictwa. Piękne kiedyś winnice, dzisiaj zarośnięte cierniem. Rozwalono płoty, wycięto w pień bogactwo kraju: oliwki i figi. Oliwki kiedyś najwyższe nawet pokrywały wzgórza. Dzisiaj tam rosną dzikie, kolące krzaki, jakby broniące się przed niszczycielską ręką fallaha, czynią i tak już miejsce puste, jeszcze więcej pustem — wyciskając na niem piętno jakieś przekleństwa. Najżyźniejsze doliny porosły ostem tak wysokim i gęstym, że wyglądają jak bujne, młode poręby leśne. Gady i chwasty, jakby na urągowisko pracy ludzkiej, opanowały wszechwładnie miejscowości, które kiedyś były pię-

knie uprawione i przynosiły zyski tym, co w nich pracowali. Nikt nie pomyśli o oczyszczeniu tej ziemi z dzikich ciernisk, bo one są silniejsze od ubogiego fallaha, dzisiejszego mieszkańca Palestyny. Korzysta on z takich miejsc, jakie pozostawiła mu natura swobodne od ciernisk, a mianowicie wpośród kamieni, gdzie upał słońca a brak wody nie pozwalają nawet rosnąć niepożytecznym chwastom. Tam też pasie swoje kozy i owce, nędzny prowadząc żywot, jak i jego stada.

Że tak jest, oto wina ludzi i tylko ludzi: właściwości kraju te same dzisiaj, co i kiedyś. Dzisiaj istnieje wprawdzie mniej ziemi zdolnej pod uprawę zboża, ale to także wina ludzi. Oto wycięto lasy na wzgórzach, a skutkiem tego deszcze spłukały warstwę urodzajnej ziemi, pozostały więc nieużyteczne skały. Skutkiem braku tychże lasów, doliny zostały zakamienione. Odłamy skał wapnistych, o większych i mniejszych rozmiarach, nie mając żadnych przeszkód, spadały na doliny i zasłały je do tego stopnia, że dzisiaj te ostatnie stały się w wielu miejscach dla rolnika zarówno jak i dla pasterza bezużytecznemi. Wreszcie skutkiem zupełnego wytrzebienia lasów, ziemia nie posiada tyle wilgoci, jak dawnymi czasy.

Te same dzisiaj prowadzą drogi od Karmelu do Basanu, przez dolinę Jordanu i Jezrael, i dalej aż do Damaszku, z tą tylko różnicą, że istnieją w stanie okropnego opuszczenia. Ten sam trakt prowadzący brzegiem morza, a łączący jeszcze w czasach przedhistorycznych Indye z Europą, dzisiaj stoi pusty, ponieważ nowe środki komunikacyi zwróciły cały ruch na inne drogi.

Palestyna przez długie czasy pozostawała krajem martwym, podobna do swojego morza, które, otoczywszy skalistemi górami, trzyma w uwięzi. Dzisiaj jednakże zaczyna się budzić z uśpienia. Ożywia się ruch, jakiego już całe upłynione wieki nie widziały. Coraz to więcej widać życia i jest nadzieja, że w całej rozciągłości przywróci jej utracone życie. Jaką więc będzie Palestyna nowa, odrodzona, jaki będzie jej wygląd, jaką rolę będzie odgrywała w przyszłości? Oto pytanie, które dosyć często daje się słyszeć dzisiaj.

III.

Pod względem historycznym Palestyna nie straciła w czasach dzisiejszych tego uroku, jaki posiadała przed lat tysiącami. Rozmaitość klimatu palestyńskiego była kiedyś atrakcyą dla Egiptu i Chaldei. Nad brzegiem jeziora Tyberyadzkiego, w dolinie Jordanu i w okolicach Jerycha w czasie zimy istnieje klimat ciepły; natomiast wysokie wzgórza i w lecie posiadają klimat umiarkowany. Rozmaitość klimatu jest uderzająca. Zmiany atmosferyczne są tak blisko siebie, że podobne miejsce trudno byłoby znaleźć na kuli ziemskiej. Badania meteorologiczne pokazują, że w Jerozolimie na przykład w czasie pory zimowej przy dwóch stopniach poniżej zera, okolica morza Martwego odległa zaledwie o 20 kilometrów posiada klimat ciepły: 15 stopni wyżej zera.

Około 2500 lat przed Chrystusem król mongolski Gudea rządził całym Wschodem. Od Mezopotamii aż do Zatoki Perskiej — oto jego królestwo. Ścinał cedry na Libanie, sprowadzał granit ze Synaju na budowę pomników i figur swoich, które teraz z nad brzegów Eufratesu sprowadzają do Londynu i do Luwru w Paryżu. Później Hittyci, których język był prawdopodobnie ten sam, co Gudei, rządzili Palestyną [1]. Potem Kanaanici, którzy pod względem historycznym nie odegrali wielkiej roli, mieszkali w Palestynie. Około 1700 r. plemiona mongolskie były wypędzone z Egiptu, a po walce pod Megiddo, liga narodów północnych została zwyciężona i Palestyna przyjmuje protektorat Egiptu. Około 1000 r. przed Chrystusem Dawid zakłada silne królestwo żydowskie, które niedługo przechowało potęgę i znaczenie. Za jego wnuków rozdziela się na dwie części, a późniejsze walki wewnętrzne pomiędzy niemi osłabiają je do tego stopnia, że dostaje się pod panowanie Assyryi. W wieku 6 przed Chrystusem Babilon zwyciężył Assyryę i Palestyna przechodzi pod jego panowanie. Po obaleniu królestwa babilońskiego przez wielkie mocarstwo Medo-Persów,

[1] Por. C. R. Condier, *The City and the Land*, London, 1892.

w Palestynie rządzą Persowie. W wieku czwartym Palestyna dostaje się w ręce Aleksandra Macedońskiego. W późniejszych czasach staje się jabłkiem niezgody pomiędzy Seleucydami, panującymi w Syryi, a Ptolomeuszami w Egipcie. Na krótki czas odzyskuje swoją niezależność i pod Machabeuszami przechodzi w ręce żydowskie. Na kilkadziesiąt lat przed Chrystusem zawładnęli nią Rzymianie i przez długie czasy pozostaje pod panowaniem cesarstwa rzymskiego naprzód pogańskiego, a potem chrześcijańskiego. W siódmym wieku po Chrystusie znowu utrwalają w niej swoją władzę Persowie, a następnie Arabowie. Arabom odbijają Palestynę krzyżowcy i zakładają królestwo chrześcijańskie. Niedługo jednakże sądzono rycerzom chrześcijańskim rozciągać swoją władzę nad Palestyną. Oto napowrót dostaje się pod panowanie Arabów, a następnie Turków, w których ręku pozostaje do tego czasu.

IV.

Pod względem religijnym Palestyna przedstawia teren, na którym rozgrywały się wypadki posiadające w historyi religii pierwszorzędne znaczenie. Widzimy tutaj rozwój, to znów straszne upadki. Od czasu, gdy zabłysło światło nauki Chrystusowej i rzuciło najjaśniejszy promień, jaki kiedykolwiek był widziany nad tą ziemią, zaczęły wzmagać się ciemności i zdaje się, że coraz to więcej się wzmagają. Kiedyś wysoko kwitnęła tu religia żydowska. Objawienia Bożę i prorocy ciągle ją rozwijają. Przywiązanie ludu do religii było tak wielkie, a zarazem tak mężnie stawano w jej obronie, że poniesiona dla niej śmierć była uważana za wielce zaszczytną.

„Oto się wszyscy damy na obiatę,
I naród cały na ofiarny kamień
Szyję położy, a nie zbluźnim Bogu!“

Takie oto słowa wkłada Marya Konopnicka w usta Filona Żyda. Księgi prorockie są najwymowniejszym dowodem, jak

wielką świętością dla człowieka była wiara objawiona. Na tych, co wypełniali obowiązki religijne, prorocy sprowadzali błogosławieństwa Boże; ci zaś, co sprzeniewierzali się religii, podlegali gromom, spadały na nich przekleństwa.

„Przeklęty! przeklęty, kto światło zbawienia
Zwątpieniem, niewiarą jak mgłą zacienia,
I wodzi swój naród w manowców zakręty."
(K. Ujejski.)

Proroków uważano za wysłańców Bożych; byli oni duchownymi przewodnikami ludu. Dzisiaj istnieją jeszcze groby proroków, otoczone kultem żydów zarówno jak i chrześcijan.

Niewola babilońska sprowadza okropne zniszczenie. Rosną sekty, szerzy się faryzeizm. Jeżeli opłakanym nazywamy stan duchowy pogaństwa w epoce przyjścia na świat Chrystusa Pana, to jeszcze więcej opłakanym był stan religijny żydostwa. Sekty sprowadziły religię do czczego formalizmu. W sercu panowała ogromna pustka, jakkolwiek stare proroctwa, zapowiadające zbawienie, dobiegały do końca. Przychodzi na świat Jezus Chrystus, wypełnia obietnice dane przez Boga, ogłasza nową Naukę — Nowe Przymierze, którego Stary Testament był tylko przygotowaniem.

Od czasów Konstantyna Wielkiego, gdy nad Grobem Chrystusowym stanęła wspaniała Bazylika, religia katolicka na wzór nasienia gorczycznego rośnie, rozwija się. Konary drzewa, pod którego postacią opisywana jest religia katolicka, sięgają bardzo daleko. Pod jego cień spieszą całe narody. Aliści wzrost ten na gruncie palestyńskim nie trwał długo. Nastają dla niej czasy okropne. Barbarzyńskie hordy Persów niszczą wszystko, co przyniósł posiew nauki chrześcijańskiej w Palestynie. Obalają krzyż na Golgocie, pastwią się nad tem wszystkiem, co zbawienie przypominało. Ustały pielgrzymki pobożnych, które od czasów Konstantyna tak licznie odwiedzały Ziemię Świętą. Dowodem tego jest mnóstwo legend i podań ustnych, jakie przechowały się do tego czasu. Chrześcijanizm na Wschodzie, a zwłaszcza w Ziemi Świętej coraz to większemu ulega roz-

kładowi. Powstają sekty i walki pomiędzy niemi. Na tle tych walk, jak wrzód na chorym organiźmie, wyrasta islamizm. Ponieważ grunt znalazł bardzo podatny, przeto rozwija się niezwykle szybko. Niebawem zalewa całą Palestynę i nadomiar złego pragnie z niej stworzyć dla siebie centrum życia religijnego. Istnieje podanie, że Mahomet swoich wyznawców odsyłał z modlitwą do Jerozolimy. I gdyby nie jego wielka nienawiść do Żydów, Jerozolima zostałaby dzisiejszą Mekką dla całego świata muzułmańskiego. Nienawiść podobno przemogła, i Mekka w Arabii została obrana na *sanctuarium* religijne.

Kiedy nieprzyjazna dynastya Mahometowi, Abu Safian, sprawowała urząd kalifów w Damaszku, starano się wszystkie pielgrzymki udające się do Mekki, zwrócić do Jerozolimy. Po części to zrobiono. Na gruzach świątyni żydowskiej stanął prześliczny meczet Omara, chluba architektury arabskiej. Pomimo wysiłków władców damasceńskich Mekka pozostała świętą dla Mahometan, Palestyna zaś na czele z Jerozolimą dla chrześcijan.

Najrozmaitsze koleje, przez jakie przechodzi Palestyna, nie zdołały jej odebrać uroku w oczach narodów chrześcijańskich.

Gdy fanatyzm mahometański całkowicie odcisnął piętno niewoli nad Palestyną, tedy w wiekach średnich zbierają się wojny krzyżowe, wyłącznie o charakterze religijnym, aby odzyskać Ziemię Świętą, a przedewszystkiem jej największą świętość — Grób Chrystusowy. Taki zapał ogarnia Zachód, że całe hufce, złożone nawet z młodzieży niedorosłej, prawie z dzieci, z bronią w ręku wyruszają na Wschód. Oswobodzenie Grobu Chrystusowego wywołuje radość w całem chrześcijaństwie. Znowu zbierają się pielgrzymki pobożnych z pośród wszystkich chrześcijańskich narodów Europy i odwiedzają Palestynę.

Kiedy władza krzyżowców upadła, powstrzymano ruch pielgrzymek, nie zapomniano jednakże o Ziemi Świętej. W dzisiejszych czasach nastąpiła zmiana na lepsze w stosunku do Palestyny. Z Wielkiej Brytanii, którą starożytni uważali za kraniec świata i z Ameryki, przedtem nieznanej, ciągną wielkie pielgrzymki. Uczony podróżnik angielski, Condier, opisuje, że

kiedy w roku 1872 pierwszy raz odwiedził Palestynę, znalazł ją jeszcze w stanie patryarchalnym: były miejsca nieznane, nieodwiedzane przez Europejczyka. Dzisiaj już tego powiedzieć nie można. Jeżeli nie turyści, to uczeni dotarli wszędzie, do każdego zakątka. Każda dolina i każde wzgórze dzisiaj jest znane i dokładnie zbadane.

Ciągła zmiana stosunków i przewrotów politycznych postępuje szybko. Wszyscy patrzą na upadającą Turcyę. Przed 50 laty wierzono w jej upadek. Ta pewność wzrosła bardzo w ostatnich czasach. W czasie kilkumiesięcznego pobytu w r. 1908 w Syryi i Palestynie, miałem sposobność naocznie się przekonać, że wiara w rychły upadek Turcyi oparta jest na mocnych podstawach. Okropna korupcya urzędników od najwyższych do najniższych, całkowity upadek pod względem finansowym, dezorganizacya, brak wszelkiej karności w najwyższym stopniu wprowadzały nieład w państwie. Zupełne zdewastowanie przemysłu, rolnictwa, wołało o upadek Turcyi, jako o pomstę do nieba. Z chwilą upadku bezwątpienia powstanie kwestya wschodnia odnośnie do Palestyny.

Doskonała organizacya młodoturecka, działająca w ukryciu, zdołała najniespodzianiej w roku 1908 wymódz od sułtana konstytucyę. Stosunki więc polityczne w Turcyi nagłej uległy zmianie. Przewrót polityczny, jaki się odbył nad Bosforem, wywołał podziw w Europie, ta ostatnia bowiem była do tego nieprzygotowaną. Na razie nie zdawano sobie sprawy, jaką drogą pójdą nowe rządy. Nadzieje, co do rozbioru Turcyi przez pewien czas pozostawały jakoby w zawieszeniu. Aliści Młodoturcy, wcielając w życie swoje doktryny, pracowali nad przyspieszeniem upadku państwa. Europa doskonale to widziała i rozumiała. Rozbudzony fanatyzm na tle prądów nacyonalistycznych wywołał cały szereg rzezi chrześcijan. Do najokrutniejszych należała rzeź w Adanie tego samego roku 1908. Skutkiem tego ingerencya państw obcych do wewnętrznych spraw Turcyi stała się silniejszą.

Mówiąc o ingerencyi państw obcych i o wzmocnieniu się stanowiska chrześcijan w państwie tureckiem, należy zaznaczyć,

że polepszenie doli chrześcijan nastąpiło już kilkadziesiąt lat wcześniej. W siódmem dziesięcioleciu ubiegłego wieku nastąpiła okropna rzeź chrześcijan na Libanie, a zwłaszcza w Damaszku. Odtąd też rządy na Libanie pod naciskiem państw obcych oddano w ręce chrześcijańskie. Rozpoczynając od tego czasu wpływ chrześcijański na Wchodzie ciągle wzrasta. Krew chrześcijan przelana podczas „pogromu" urządzonego przez sfanatyzowane tłumy, była początkiem upadku Turków, natomiast krew tych ostatnich była początkiem życia dla chrześcijan. Publiczne ścięcie morderców tureckich, pastwiących się nad bezbronnymi chrześcijanami, było uroczystą zapowiedzią większych swobód dla tych ostatnich. Odtąd chrześcijanie mogli liczyć na prawo sprawiedliwości.

Zawdzięczając protektoratowi państw zagranicznych, chrześcijanie znajdujący się na Wschodzie, a zwłaszcza w Syryi i Palestynie, pod względem intellektualnym i ekonomicznym ogromnie przewyższają mahometan. Następnie element chrześcijański w Ziemi Świętej ciągle się powiększa, może więc w niedalekiej już przyszłości odegrać decydującą rolę na jej losy. Ożywienie się w ostatnich czasach pielgrzymek religijnych, zakładanie szkół chrześcijańskich, budowanie gmachów dla użyteczności publicznej i klasztorów nasuwa wciąż pytanie, jaka będzie przyszłość Palestyny?

Zaniedbana i opuszczona Jerozolima staje się dzisiaj, zawdzięczając chrześcijanom, ogniskiem kultury. Wiele towarzystw naukowych z Europy i z Ameryki stale rozwija swoją owocną działalność na gruncie palestyńskim. Dzisiaj młodzież chrześcijańska udaje się do Jerozolimy, aby szukać światła i kształcić umysł. Doprawdy, jak niepodziewanie prędko nastąpiła zmiana! Szkoła biblijna OO. Dominikanów w Jerozolimie, muzeum biblijne tamże u OO. Białych, bogate zbiory archeologiczne zdobyte zapobiegliwością OO. Assompcyonistów, zarówno jak studya archeologiczne i topograficzne przeprowadzone przez tychże zakonników, tudzież amerykańska szkoła biblijna wraz z muzeum, są jedynemi w tym rodzaju na świecie ogniskami nauki. Gmachy, z których szczycićby się mogły pierwszorzędne sto-

lice europejskie, posiadają OO. Assompcyoniści, Towarzystwo katolickie niemieckie, zajmujące się sprawami Ziemi Świętej i w. in. W ostatnich latach zdziałano dla Ziemi Świętej bardzo dużo i rozwój tej pracy posuwa się dalej. Choćby nawet nie nastąpiły jakieś kataklizmy w politycznym ustroju państwa tureckiego, samo już rozszerzanie się wpływów chrześcijańskich w Ziemi Świętej musi doprowadzić do zupełnej zmiany warunków. Chrześcijanie mieszkający w Palestynie wierzą mocno, że taka zmiana nastąpi, że sprawiedliwości stanie się zadość i zostanie przywrócone królestwo, które weźmie sobie za godło krzyż miasto półksiężyca. Wojna trypolitańska była zapowiedzią rychłej realizacyi pragnień świata chrześcijańskiego. Obecne zwycięstwa chrześcijańskich państw na Bałkanach ogromnie przyspieszają bieg wypadków odnośnie do Palestyny. Dzisiaj już najwięksi konserwatyści muszą zmienić zdanie na korzyść tych, co już oddawna głosili o zmianie stosunków politycznych w Ziemi Świętej.

Pomimo jednakże tak wyraźnych zapowiedzi zwiastujących rychłe zmiany, trudno przewidzieć, jaka będzie przyszłość Palestyny. Na widownie bowiem wydostają się nowe czynniki, przed kilkudziesięciu laty jeszcze nieznane, które mogą w tej sprawie odegrać wybitną rolę.

V.

We wszystkich prawie państwach na świecie, skutkiem wzmożenia się ruchu nacyonalistycznego powstała niechęć do Żydów. Żydowstwo, zwłaszcza tam, gdzie zajmuje duży odsetek ludności miejscowej, zostało odosobnione. Hołdując swoim własnym zasadom, idzie częstokroć wbrew kierunkowi, jaki wytknął sobie naród, wpośród którego mieszkają. Z powodu tego powstał antysemityzm, który stale wzrasta we wszystkich krajach. Obudzona nienawiść do Żydów przybrała już w niektórych miejscowościach Rosyi i Rumunii rozmiary przestra-

szające. Wzburzone tłumy, jakby rozhukana fala morska, z furyą uderzyły na Żydów. Wobec zjawiska, które nieobliczalne wprost mogło w skutkach przynieść szkody, Żydzi zaczęli myśleć nad środkami bezpieczeństwa. Dawniejsza emigracya żydowska nigdzie się nie udawała. Jeżeli pod wpływem prześladowania uciekali z jakiegoś kraju, wracali doń skoro tylko to prześladowanie ustało. Myśl jednakże o emigracyi nie zanikła całkowicie. Z racyi rozbudzenia się antysemityzmu w Niemczech i w Rosyi nacyonaliści żydowscy zwrócili swe oczy na Palestynę, na święte wzgórze Syońskie. I powstał syonizm — dziecię antysemityzmu.

Syonistyczny ruch ogarnął szerokie sfery żydowstwa. Znalazł nawet poparcie wśród kapitalistów, po większej mierze nie czułych na wszelkie nowości. Młodzież dawała chętny posłuch wszelakim hasłom syonistycznym, nie biorąc wcale pod uwagę następstw, jakie to zrzeszanie sprowadzić może. Oto ruch syonistyczny w krajach Europy powiększył jeszcze więcej nienawiść do Żydów. Nie cofnięto się jednakże z raz wytkniętej drogi, ale nieustraszenie parto naprzód i starano się zachęcać tych, co do tego czasu pozostawali obojętnymi. Finansiści żydowscy, a zwłaszcza Rotszyld i Monfiore całą siłą popierali ruch emigracyjny do Palestyny. Żydzi zaś, korzystając z liberalnych zapatrywań i ogromnie potrzebującego pieniędzy Abdul Hamida, zaczęli tłumnie przybywać do Ziemi Świętej. W r. 1873 w Jerozolimie było zaledwie kilkuset Żydów. Od tego jednak czasu liczba niezmiernie szybko wzrasta. W r. 1878 w całej Palestynie było 34 tysiące Żydów, w r. 1907 — 55 tysięcy, w r. 1909 — 95 tysięcy, w tej liczbie już 7.250 rolników. Dzisiaj liczba jest znacznie większa. W samej Jerozolimie ostatnia statystyka podaje 53.000 (66·2 ogólnej ludności). Prześladowania zapędziły ich tutaj całe masy. Dzisiaj Jerozolima, jak widzimy z powyższej statystyki, jest przepełniona Żydami. Jeszcze większy odsetek znajduje się w Jaffie. W r. 1892 Condier [1] dziwił się, że już całe zachodnie przedmieście w Jerozolimie

[1] Cyt. wyżej.

jest żydowskie. Gdyby dzisiaj pisał sprawozdanie, musiałby o całem mieście powiedzieć to, co mówił o zachodniej jego części.

Jeden z najznakomitszych podobno znawców współczesnej kwestyi żydowskiej, prof. Werner Sombart [1], mówi, że centralnym punktem syonizmu jest stworzenie samodzielnego państwa w Palestynie. Wierzy on w możliwość urzeczywistnienia takich dążeń. Żydzi wydali bowiem ze swego łona wybitnych mężów stanu. Do zrealizowania powyższych planów mógłby stanąć na przeszkodzie brak wyrobionej warstwy rolniczej. Sombart jednakże twierdzi, że taka warstwa nie jest konieczna do istnienia państwa, czego przykładem jest Fenicya, Wenecya, Holandya, a dziś już i Anglia. Syoniści więc marzą o odbudowaniu państwa. Czy nie ostygli w swoich zapałach do tego czasu? Bynajmniej.

Krwawe rzezie Żydów, zwłaszcza w Rosyi, tylko spotęgowały ten kierunek. Aby dać stałe podstawy syonizmowi, rozwinięto pracę usilną i należy wyznać, że zabrano się do dzieła umiejętnie. Popłynęły na ten cel miliony. Pobudowano w Ziemi Świętej szpitale, szkoły, słowem różne instytucye, któreby dawały schronisko emigrantom i materyalną pomoc tym, którzy koniecznie jej potrzebują. Dzisiaj całkowity prawie handel w Jerozolimie i w Jaffie znajduje się w rękach żydowskich. Żydzi uczą się zarówno rzemiosł jak i języka arabskiego, aby współzawodniczyć z miejscową ludnością.

Niektórzy zapatrują się dosyć pesymistycznie na pobyt Żydów, szczególnie w Jerozolimie. Jest ich tam za dużo. Nie wszyscy mogą znaleść pracę, aby utrzymać siebie i swoje rodziny; zbyt na towary jest względnie mały; mnóstwo żyje z ofiar, jakie napływają z Europy i t. d. To źródło musi się wyczerpać, możliwy jest kryzys i t. d. W każdym razie usadowienie się na stałe tak wielkiej liczby żydowstwa i napływ nowych żywiołów z rozmaitych stron świata jest objawem bardzo wybitnym, który może zaważyć na przyszłości Palestyny.

---

[1] *Die Zukunft der Juden*, Lipsk, 1912 r. Te same przekonania podziela w innej pracy o Żydach: *Die Juden und das Wirtschaftsleben*, Lipsk, 1911.

Objaw ten tembardziej powinien być brany pod uwagę, ponieważ Żydzi, w celu utrwalenia swego bytu, prowadzą robotę planowo i z wielkim wysiłkiem woli. Oto myślą poważnie nad kolonizacyą Palestyny. Przyzwyczajają się do tego, z czem przez całe wieki nie mieli styczności. Kapitaliści pozakładali kolonie w najrozmaitszych okolicach Ziemi Świętej, a mianowicie na dolinie Ezdrelon, obok Jaffy i w wielu jeszcze innych miejscowościach. Rozwinięto gorliwą pieczę, aby przyzwyczaić Żydów do rolnictwa. Niedaleko Jaffy założono nawet szkołę rolniczą, tudzież techniczną w celu przysposobienia fachowców dla przyszłej pracy narodowej w Palestynie. Dzisiaj istnieje już kilkanaście kolonii żydowskich, doskonale zagospodarowanych. Kolonia np. Riszon l'Sion posiadała w r. 1907 pół miliona szczepów winnych, przeszło 4000 oliwek i tyleż drzew pomarańczowych. Podobnie jak za czasów Nehemiasza (II. Ezdr. 11: 1 inn.) Żydzi starają się dzisiaj opanować wszystkie dziedziny życia i pracy w Ziemi Świętej. W r. 1910 założyli pod Jaffą gimnazyum z wykładowym językiem hebrajskim. Syoniści potrafili już skompletować do tego gimnazyum potrzebną liczbę nauczycieli głównie ze Szwajcaryi i Niemiec. Uczniowie przyjeżdżają z całego świata.

Po przewrocie politycznym w Turcyi, Żydzi przez wzgląd na wielkie zasługi, jakie w komitecie młodotureckim położyli niektórzy syoniści, łudzili się nadzieją, że uda im się odkupić Palestynę od rządu tureckiego. Były robione w tej sprawie odpowiednie zabiegi; aby nie natrafić na nieprzewidziane przeszkody ze strony państw chrześcijańskich, obiecywali gwarancyę całkowitych swobód dla chrześcijan tam zamieszkujących i eksterytoryalność Grobu Chrystusowego. Wobec jednakże bardzo silnych względów politycznych, zamiary powyższe nie mogły być doprowadzone do zamierzonego skutku.

Z powodu wypadków bałkańskich, nadzieje te odżyły, a zarazem stały się niejako bliższemi wykonania. Po przerwaniu przez Bułgarów linii obronnej pod Czataldżą, kiedy mianowicie stało się pewnem, że Turcy zostaną wypędzeni z Europy, a równocześnie też sama Europa zacznie rościć pretensye do

niektórych prowincyi azyatyckich, agencye europejskie rozesłały wiadomość, że syoniści rozwinęli gorliwe zabiegi o zagarnięcie pod wpływy żydowskie Palestyny. Potrzebne kapitały do urzeczywistnienia tych planów mają się znaleźć z łatwością. Złoży je żydowstwo rozproszone po całym świecie.

Mając na względzie takie zabiegi i systematyczną kolonizacyę, Żydzi wkrótce mogą się stać najsilniejszym żywiołem w Palestynie.

Jakie może być zachowanie się świata chrześcijańskiego wobec zabiegów żydowstwa? W Ziemi Świętej jest Grób Chrystusowy, dla którego kiedyś powstały wojny krzyżowe! Dzisiaj chrześcijanie również nie mogą patrzeć obojętnem okiem na to, co się dzieje w ojczyźnie Jezusa Chrystusa.

Zawdzięczając takiemu ugrupowaniu się stosunków, na jakieśmy patrzeli przed chwilą, kwestya palestyńska, roztrzygana kiedyś pod Megiddo i Karszemisz, może powstać i dzisiaj!

Ks. J. Kruszyński.

W przededniu Home-Rule'u.

Irlandya! na to słowo żywiej bić zaczyna serce każdego katolika, a tembardziej — z przyczyn zrozumiałych — każdego Polaka, tyle ono wywołuje wspomnień, naprzemian bolesnych i radosnych; wspomnień bolesnych tego długiego, bo przez ośm stuleci nieustającego męczeństwa i najniesprawiedliwszego i najokrutniejszego ucisku; wspomnień radosnych tego niezachwianego heroizmu całej nacyi, której żadne prześladowanie nie zdołało doprowadzić do zaparcia się wiary przodków i ideałów narodowych. I oto w tej chwili, u końca długiej Kalwaryi, poczyna świtać dzień Zmartwychwstania. Jeszcze parę miesięcy, i Irlandya zająć ma znowu miejsce wśród wolnych narodów! Jest to zarazem w tym wieku żelaza i przemocy dobrą nowiną dla narodów uciśnionych, podczas gdy się zdaje, że sprawa ich bezpowrotnie stracona. To przykład sprawiedliwości, która choć powoli, jednak prędzej, czy później musi być oddaną w wielkich sprawach miłości ojczyzny i wiary.

Anglia zrozumiała to i zrzekając się dotychczasowej tyranii gotuje się do tego, by dać siostrzanej wyspie hojny zakres samorządu. Już 17 marca 1912 roku, w dzień św. Patryka, narodowego patrona Irlandyi, mógł John Reduond, przywódca Irlandczyków zakończyć swą mowę następującym tryumfalnym okrzykiem: »Dzisiejszego właśnie wieczora blask zwycięstwa zawitał nad naszym krajem i naszą sprawą. Walka między Anglią i Irlandyą ustała. Podały sobie ręce te dwie siostry do

wspólnej obrony przeciw wspólnemu wrogowi, do obrony praw i wolności ludu. Zdarzenie to błogosławione stłumiło w naszych sercach rasową nienawiść i wszelka gorycz z nich znikła: odtąd my tylko jednego pragniemy, pragniemy pokoju z Anglią, pragniemy przyjaźni z narodem angielskim, żądamy należnego nam miejsca w cesarstwie Wielkiej Brytanii. Chcemy zatopić w otchłani zapomnienia wszelkie wspomnienia przeszłych nieszczęść, niegodziwości i ucisku«.

Wielka Brytania nie czekała na to szlachetne przebaczenie, by wejść na drogę naprawy złego. Już przed 26 laty, w roku 1886 zrobiono pierwszy krok przez przedłożenie pierwszego *Irish Home Rule Bill*; siedm lat później, w roku 1893, drugi podobny *Bill* przyjęto w Izbie gmin większością trzech czwartych części głosów i tylko egoizm zainteresowanej klasy wielkich posiadaczy przeszkodził przyjęciu go w Izbie lordów; wreszcie w roku 1912 trzeci *Bill*, zyskując zgodę całego narodu, stwierdził raz jeszcze potrzebę naprawy złego i zapomnienia przeszłości.

Zresztą już od dłuższego czasu rząd westminsterski, powodowany już to bojaźnią o lepszą przyszłość, już to szczerem pragnieniem zgody, próbował, prawda że nieśmiało, polityki restytucyi, która ostatecznie musi doprowadzić z jednej strony do zwrócenia Irlandczykom ziemi rodzimej, tak niesprawiedliwie im wydartej, z drugiej strony do zupełnego ich wyzwolenia w zakresie kultury, religii i stosunków społecznych. *Irish Church Disestablishment* z roku 1869, rozmaite *Land Acts* i *Irish University Bill* z 1908 — to pierwsze owoce tego nowego zwrotu administracyi angielskiej w Irlandyi. Zatrzymajmy się nad nimi chwilę.

Mając wolność praktykowania swego kultu od roku 1831, t. j. od czasu Emancypacyi katolików, naród irlandzki musiał jednak długo jeszcze wypłacać niesprawiedliwą dziesięcinę na korzyść kościoła sobie obcego, przez daleko większą część narodu odrzucanego. Oprócz tego brzemienia, gniotącego tak ciężko barki przysłowiowo biednego wieśniaka irlandzkiego, gniótł je ciężar inny — zupełnie dobrowolnie podjęty — utrzy-

mywania własnego kleru, tego kleru, który przez całą tę długą noc prześladowania był ludowi najlepszym przewodnikiem i oporą. Gladstone widział całą niesprawiedliwość tego systemu i przez swój *Bill* z roku 1869 pozbawił kościół episkopalny niesłusznego przywileju. Odtąd wolność religijna zapanowała prawie zupełnie. Anglia zrzekła się ostatecznie protestantyzacyi duszy irlandzkiej. Niepowodzenie jej pod tym względem nie było pierwszem. Nie udało się jej również dopiąć celu w zakresie szkolnictwa ludowego.

Było to nazajutrz po akcie emancypacyi katolików. Zamiast *hedgerow schools*, koczowniczych i ubogich »szkół krzaków«, rząd angielski narzucił był żądnemu wiedzy dziecku gaelickiemu system normalny wychowania początkowego, obmyślany na to, by z małego celtyjczyka uczynić »szczęśliwe dziecię Anglii«, czyli inaczej mówiąc, doskonałego małego protestanta. Atoli doświadczenie 70 lat wykazało czczość tego pomysłu, natchnionego przez Whately, arcybiskupa protestanckiego z Dublinu. Młoda dusza celtycka nie dała się wtłoczyć w szablon. Wyrzucono z programu szkolnego wszystko, co trąciło Irlandyą: język, literaturę, historyę i geografię, roztoczono przed oczami chłopca całą wspaniałość i potęgę imperyum Wielkiej Brytanii. Wszystko napróżno. I dziś, dzięki wysiłkom ligi gaelickiej, język i historya ojczysta znalazły znowu miejsce w programach szkolnych: Irlandya nie jest już narażoną na zgłuszenie w jej synach miłości ojczyzny.

Nie lepiej powiodło się Anglii z wychowaniem średniem i uniwersyteckiem. Kolegium św. Trójcy, uniwersytet założony przez królowę Elżbietę w wyraźnym celu nawrócenia Irlandyi na protestantyzm, musiało od czasu *Irish University Bill'u* Birella z r. 1908 pogodzić się z istnieniem obok siebie poważnego współzawodnika *National University*, instytucyi w zasadzie neutralnej, w rzeczywistości jednak katolickiej, która też stała się ogniskiem światłego patryotyzmu i strażniczką tradycyi narodowych.

Pozostało więc Irlandczykom tylko odzyskać ziemię, tę ziemię świętą, po której Montalembert »nie inaczej stąpał, jak

tylko z pewnem nabożnem uszanowaniem i mimowolnym zabobonem... Ziemię Świętą dla nas katolików w czasach zimnej cywilizacyi«. Ziemia ta stała się była własnością przeklętego *Sassenacha* (Saksończyk — Anglik), który stopniowo w przeciągu siedmiu stuleci wydzierał ją prawnym właścicielom. Pokolenie za pokoleniem patrzało, jak je wydziedziczano z tego kawałka rodzimej ziemi, nasiąkłej wspomnieniami i napełnionej popiołami długiego łańcucha przodków, jak je pędzono z Zielonego Erinu, tego szmaragdu Atlantyku, który jego ojcowie napełnili taką chwałą, z tej ziemi namiętnie ukochanej, ziemi bogatych pastwisk i czarujących jezior, o łagodnym klimacie, ziemi obfitującej w zatoki i rzeki pełne ryb i otoczonej wspaniałym wieńcem gór. Tracąc ostatnią piędź tej ziemi, wieśniak irlandzki musiał opuszczać ojczyznę i szukać kawałka chleba za morzem. I oto widzimy bezprzykładny *Exodus*, który w ciągu 60 lat (od r. 1848 do 1908) dał 5,300.000 emigrantów, wypędzonych przez bagnety brytańskie. Działo się to przecież w oświeconym 19 wieku: w niecałym okresie panowania Wiktoryi (od 1849—1882) naliczono conajmniej 363.000 wydziedziczonych rodzin i 282.000 zburzonych osad wieśniaczych. Ziemia napełniała się ruinami, na których zakładano plantacye angielskie. Kto wypowie, jaką goryczą i rozpaczą przepełniało się serce tego wydziedziczonego ludu?

Lecz oto zbliża się dla wieśniaka irlandzkiego możność odzyskania tej ziemi, której on nigdy nie przestał uważać za swoją. Agitacya silna i ligi agrarne (Land League) wywołały rozmaite *Land Acts*, a przedewszystkiem prawo z roku 1903, które umożliwia wieśniakowi uzyskanie od lordów na własność ziemi za roczną opłatą, nie przewyższającą zwykłej ceny dzierżawnej. Wielka liczba rolników wykupiła tym sposobem działki gruntu, a łącząc się w związki kooperatywne[1], ciągną z nich znaczne korzyści dzięki bliskości angielskiego rynku. Wreszcie pensye dla starców (Old Age Pensions), ubezpieczenia od chorób i wypadków, prawo o domach robotniczych po miastach

[1] *Irish Agric. Organis. Society* liczy około 80.000 związkowców.

i wsiach przyczyniły się również do wyciągnięcia tysięcy nieszczęśliwych z czarnej nędzy, w jaką wtrąciły ich systematyczny ucisk ze strony Wielkiej Brytanii i jej egoistyczna polityka handlowa[1].

Wszystkie te spóźnione kroki są oczywiście niewystarczające do zupełnego zadosyćuczynienia za niesprawiedliwą przeszłość. Prezes gabinetu Asquith otwarcie wyznał, że one są niedostatecznem wynagrodzeniem za przeszłość niepowetowaną i za szkody, wyrządzone przez politykę ulegalizowanych konfiskat i depopulacyi, uprawianą w przeciągu ostatnich 40 lat przed Billem Gladstone'a. (Mowa w Izbie gmin 12 kwietnia 1912 roku).

Irlandya czeka jeszcze na zwrócenie jej największego dobra, jakie jej wydarto sto lat temu, o które nie przestała się upominać wszystkiemi siłami. Dobrem tem jest własny rząd narodowy. Wszystkie inne ustępstwa to tylko palliatywy, dopóki nie uzyska się możności zarządzania własnemi siłami swemi sprawami „Wszystko, albo nic" — oto hasło partyi narodowej.

Kursuje utarty zarzut, że Irlandya nie posiada ani zdolności potrzebnych ani finansów dostatecznych, by się rządzić sama: zarzut, poza którym kryje się wstydliwie zła wola angielska, lecz który obalają fakta. Dość spojrzeć sto lat wstecz, kiedy Irlandya posiadała jeszcze własny parlament w Dublinie (1782 — 1800). Oto co pisze o Irlandyi historyk dobrze poinformowany, Lecky, nawet wbrew swym przekonaniom unionistycznym: „Od chwili ogłoszenia wolnego handlu w roku 1779 do powstania 1798 roku rozwój narodowy był wielki i ustawiczny. W ciągu dziesięciu lat po roku 1782 wywóz się potroił". Przykład: wywóz lnu w roku 1783 wynosił 16,039,705 *yardów* na sumę 1,069,313

[1]) Artur Balfour, jakkolwiek przeciwnik *Home Rule'u*, musiał wyznać, że „były czasy nieszczęśliwe, kiedy parlament angielski był przekonany, że czyni dobrze, niszcząc przemysł irlandzki w interesie fabrykantów angielskich. Była to polityka okrutna i co więcej — jak skutki pokazały — polityka głupia". (Mowa w Alzwick 17 lipca 1895 r.). Już w 17 stuleciu Anglia wydawała prawa w celu zniszczenia industryi irlandzkiej, współzawodniczącej z angielską. Handel bydłem, przemysł bawełniany, huty szklane etc. zrujnowano stopniowo przez prawa prohibicyjne.

funtów szterlingów; w roku 1796 dochodzi już do 46,319,705 *yardów* wartości 3,113,687 funtów. Podobnie rzecz się ma i z innemi gałęziami przemysłu. Bankierzy Dublińscy w przededniu Unii mogli oświadczyć, że od czasu jak Anglia przestała wydawać prawa dla Irlandyi handel i pomyślność wyspy znacznie wzrosły".[1]

Zresztą Irlandczycy bynajmniej nie zapomnieli trudnej sztuki rządzenia krajem. Stwierdza to przykład kolonii brytańskich, w których przecież wielka liczba Irlandczyków zajmuje nawet najwyższe posady. Przypomniny przykład, jeden z tysiąca, Gawana Duffy, pierwszego ministra Vitoryi w Australii, lub lorda Macdonella, gubernatora jednej z prowincyi indyjskich, liczącej więcej mieszkańców niż cała Francya. I kiedy już mowa o koloniach, czyż to nie jest w najwyższym stopniu oburzającą rzeczą, że młode kolonie jedna za drugą otrzymują własne parlamenty (jest ich już 28 w cesarstwie Wielkiej Brytanii), podczas gdy Irlandya domaga się przywrócenia swojego parlamentu już przeszło sto lat i wciąż napróżno? W przeciągu niespełna dziesięciu lat stworzono *Commonweath Australien* i Unię afrykańską, a nieco przedtem dano szeroki samorząd Transwaalowi i to po uporczywej wojnie tegoż przeciw Anglii. Irlandya, która krwią własną przyczyniła się do tryumfu Anglii nad Boerami, czeka jeszcze na sprawiedliwe załatwienie własnej sprawy.

Próżnym jest wybieg tych, którzy odmowę samorządu dla Irlandyi usprawiedliwiali dobrą administracyą angielską. Żeby ocenić drzewo z owoców, dość rzucić okiem na wiek ubiegły. Kraj, który jeszcze w r. 1841 liczył przeszło 8.000.000 mieszkańców, dziś ich posiada zaledwie 4.500.000. Kraj ten stał się przysłowiową ojczyzną pauperyzmu, niszczony przez straszliwe epidemie i głód — i to w 19 stuleciu i w Europie! (W r. 1847 głód pochłonął 1.500.000 ofiar). Takie owoce. A drzewo, czyli system administracyi? System ten polega na nieskończonym szeregu biurokratycznych urzędów rozmaitych komisyi i biur *Boards* i *Offices*, jednych od drugich niezależnych; jest ich 67; jedne z nich odpowiedzialnymi są wobec władz londyńskich, inne przed

[1] Te cytaty i daty statystyczne, podobnie jak wiele innych zapożyczamy z broszury J. Veagh: „Home Rule in a Nutschell", London, Daily Chronicle

wicekrólem. Lud irlandzki nie bierze żadnego absolutnie w tym zarządzie udziału. Systemu tego nie można nazwać „ani despotyzmem, skoro wicekról zbyt mało posiada władzy, ani właściwą oligarchią, chociaż mała garstka egoistów zdaje się sądzić, że kraj musi być administrowanym jedynie dla jej dobra. Jest to raczej rodzaj biurokracyi i to biurokracyi bardzo złej, rządzenie za pomocą urzędów bez kontroli ze strony parlamentu lub innych publicznych miejscowych czynników; biurokracya ta zależy jedynie od wydziału ministeryum londyńskiego. Rząd taki jest zarazem najkosztowniejszym ze wszystkich".

Słowa powyższe, wypowiedziane przez lorda Dunraven'a, członka ostatniego unionistycznego ministeryum, potwierdza i lord Mac Donnell, były podsekretarz dla Irlandyi: „Taki system, mówi on w Izbie lordów, gdyby był zastosowany w którejś z naszych autonomicznych kolonii, sprowadziłby niesłychane rewolucye, przynajmniej na rok jeden". W istocie nie obeszło się i w Irlandyi, od r. 1800, bez rewolucyi, którą trzykrotnie wywołano takim systemem lecz zawsze stłumiono we krwi.

Wracając do marnotrawstwa grosza publicznego ubogiej Irlandyi, dość porównać koszt utrzymania administracyi krajowej z podobnym kosztem w Anglii i Szkocyi. Podczas gdy w tych dwóch krajach koszt ten wynosi 18—23 szylingów na jednego mieszkańca, Irlandczyk musi płacić 44 szylingów. 67 biur (*Boards* et *Offices*), którym powierzono rządy i sprawy krajowe, liczą 100.000 urzędników pobierających 7.500.000 funtów szterlingów rocznie t. j. więcej niż 1/10 wszystkich dochodów krajowych, podczas gdy n. p. Anglia nie wydaje na ten cel więcej niż 1/40 swych dochodów. Słowem, administracya Irlandyi jest znacznie droższą niż administracya jakiegokolwiek innego z pomiędzy małych państw europejskich: Szwecyi, Norwegii, Holandyi. Bogata i ludna Belgia wydaje na swą znakomitą administracyę zaledwie połowę tego, co biedna Irlandya na swe liche urzędy. Muszą to przyznać i sami Anglicy, którzy przecież wydają ze swego skarbu 2.500.000 funtów szterlingów na pokrycie deficytu Irlandyi, wzrastającego z każdym rokiem. Na tem wła-

śnie Asquith i jego partya opierają się, domagając się samorządu dla Irlandyi.

Sytuacya, jak widzimy, przedstawia się rozpaczliwie. Od pewnego czasu jednak poczęto czynić próby w przeciwnym kierunku. Mianowicie w roku 1898 Balfour przez swój *Irish Local Governement Act* stworzył w Irlandyi pewien rodzaj autonomii lokalnej. Doświadczenie szczęśliwie się powiodło, jak przyznał sam Balfour w r. 1900. W dwa lata później George Wyndham oświadczał, że ten *Act* spowodował formalny przewrót społeczny i to przewrót na lepsze tak w zakresie ekonomicznym, jak i w zakresie zarządu krajem. W roku następnym urzędowe sprawozdanie *Local Governement*'u stwierdziło, że samorząd lokalny funkcyonuje zadawalniająco. Pozostaje więc tylko z Balfourem wyprowadzić wniosek: „Jeżeli radni (w samorządzie lokalnym) okazują prawdziwą zdolność i ducha tolerancyi w wypełnianiu swych obowiązków, to tem samem usuwają jeden z najsilniejszych argumentów Anglii przeciw *Home-Rule*'owi".

Dlaczego więc tak długo zwlekano z wyciągnięciem tego wniosku i praktycznem jego zastosowaniem? Czy przyczyną tego był egoizm narodu angielskiego? Nie. Widzieliśmy, że obecny rząd angielski i — możemy dodać — większość nacyi tego tylko pragnie, by zawrzeć pokój i przyjaźń z wyspą siostrzaną, naprawiając błędy przeszłości. Cóż więc ostatecznie stoi na przeszkodzie doprowadzeniu *Home-Rule*'u? Sama Irlandya . . ., ale Irlandya protestancka. Nieubłaganych przeciwników samorządu znajdujemy właśnie w Ulsterze, północno-zachodnim kącie wyspy. Dotąd jeszcze na 33 przedstawicieli, jakich kraj ten dostarcza parlamentowi angielskiemu, zaledwie 16 głosuje za *Home-Rule*'m. Reszta 17-tu posłów protestanckich, stanowią zaporę nieugiętą. Według wyznania samego Bonar Law'a, głowy opozycyi w parlamencie angielskim, *Home-Rule* nie może być nadany, gdyż nie życzy sobie Ulster, raczej protestancka połowa jego posłów! I reszta narodu a nawet cała Wielka Brytania, ma ugiąć się przed wolą tych 17 panów! Prawda, że ci obrońcy obecnego porządku rzeczy wołają, protestują, krzyczą, grożą za stu. Jest to energia albo raczej szał rozpaczy. Samorząd Irlan-

dyi to koniec agresywności protestanckiej i wiekowego panowania mniejszości nad większością. Odtąd ta większość katolicka, tak długo wyzyskiwana i ciemiężona, ma uzyskać również należne jej miejsce i stanowisko. Zrozumiałą więc staje się rzeczą ta bezsilna wściekłość protestantyzmu irlandzkiego, któremu usuwa się z pod nóg jego uprzywilejowane stanowisko i który boi się, by przez większość katolicką nie był w przyszłości tak traktowanym, jak sam tę większość tak długo traktował. Stąd ta wielka elokwencya świeckich przywódców i *clergymen'ów*, z jaką zapowiadają wojnę domową i orężną walkę do upadłego w razie nadania samorządu Irlandyi. Kto zna dzieje Irlandyi od r. 1869, tj. od chwili odpaństwowienia kościoła episkopalnego, ten nie wiele się boi tej zaciekłej kampanii, godnej chyba uwiecznienia w komedyi przez jakiegoś nowego Arystofanesa lub Cervantesa.

Żeby jak najskrzętniej zamaskować wstrętny egoizm, — egoizm psa przy kości, *dog in the manger*, jak mówią Anglicy, — wysuwają przeciwnicy *Home-Rule'u* na czoło preteksty religijne. *Pro aris et focis*! *Home-Rule* to podług nich prześladowanie protestantyzmu, to panowanie Rzymu na wyspie, *Home-Rule* to *Rome Rule*, to wskrzeszenie inkwizycyi, to zguba dla wolności wyznania, to zamach na mienie, owszem na życie protestantów! Nie ulega wątpliwości, że odtąd dziesiąta część ludności (bo tyle tylko liczy panująca sekta, kościół episkopalny) nie będzie mogła monopolizować na swój wyłączny użytek zaszczytnych i dochodnych miejsc, jak to się dzieje dotąd. Ilustracya — sędziowie pokoju, między którymi jest 807 protestantów, a tylko 251 katolików, lordowie „namiestnicy" w hrabstwach, stanowiący dotąd przygniatającą większość, Irlandzka Rada tajna (*Irish Privy Conncil*), która liczy 43 protestantów, a 10 tylko katolików i t. d. Oczywiście takie stosunki musiałyby zniknąć z chwilą nadania Irlandyi samorządu; role obydwóch stron rychłoby się zamieniły.

Doświadczenie przeszłości jednak winnoby pouczyć i upewnić protestantów irlandzkich, że niema na świecie ludu bardziej tolerancyjnego, jak ich współrodacy katolicy. Rzecz zadziwiająca, może jedyny przykład, że są miasta i okręgi czysto katolickie,

które jednak wybierają na burmistrzów i na posłów do parlamentu protestantów, których przodkowie tak okrutnie prześladowali przodków wyborców. Znamienny fakt, że Dublin, miasto o znacznej większości katolickiej[1]), liczy między swymi wyższymi urzędnikami w przeszłości wielu *lord mayor'ów* protestanckich, podczas gdy protestancki Belfart nigdy nie dopuścił katolika. Narodowa partya, przeważnie katolicka, posiadała między swymi przywódzcami w ostatnich latach również dwóch protestantów: Izaaka Butta i Parnella; obaj cieszą się wielką popularnością. Możnaby z łatwością powiększyć liczbę przykładów, stwierdzających ducha wielkiej tolerancyi katolików irlandzkich. Zresztą nowy *Bill* Asquitha posiada cały szereg omówień, całkowicie gwarantujących mniejszości protestanckiej jej interesy i owszem pozostawiających jej jeszcze w pewnej mierze stanowisko uprzywilejowane, co najlepiej świadczy o dobrych chęciach i pragnieniu zgody ze strony katolickiej.

Zatem opinia angielska zdecydowała się wreszcie głosować za *Billem*. Już przy pierwszem czytaniu pozyskał on większość prawie stu głosów, większość, która jeszcze bardziej wzrosła przy drugiem czytaniu.

Poznajmy teraz treść tego *Billu*. Jako podstawę całej budowy spostrzegamy mocno zaakcentowaną zasadę supremacyi parlamentu cesarstwa nad parlamentem w Dublinie. Władza prawodawcza parlamentu irlandzkiego ma ograniczać się do spraw ściśle krajowych. Zatem znajdujemy zastrzeżenia co do ustaw, dotyczących praw korony, armii i floty, pokoju i wojny, zawierania międzynarodowych umów, wykupywania ziemi i t. p. Wolność religijna skrupulatnie zapewniona; parlament nie posiada prawa ogłaszać żadnej religii za panującą i państwową, ani wymagać przysięgi religijnej, lub unieważniać małżeństwa mieszane. Dalej wszelkie wątpliwości co do ważności jakiegokolwiek *Irish Act* mają być rozpatrywane w najwyższym sądzie apelacyjnym Irlandyi, a potem przed specyalną komisyą sądową. Parlament Irlandyi składa się z dwóch Izb: z senatu i Izby

[1] Statystyka najnowsza na 305.000 mieszkańców podaje 253.000 katolików.

gmin. Pierwsza z nich liczy 40 członków, wybieranych na 8 lat; co dwa lata odmienia się czwarta część. Na ten raz członkowie Senatu mają być mianowani przez rząd angielski, a potem przez wicekróla Irlandyi, prawdopodobnie na przedstawienia władz wykonawczych irlandzkich.

Izba gmin będzie się składała ze 164 członków, z której to liczby 59 przypada na Ulster. Jeżeli w jakiejś kwestyi Izby nie zgodzą się, to po roku projekt ma być rozpatrzony na posiedzeniu wspólnem, przyczem większość głosów decyduje. Głową zarządu Irlandyi jest wicekról, mianowany przez koronę na 6 lat i pobierający 5000 funtów szterlingów rocznej pensyi od parlamentu irlandzkiego. Może nim być i katolik. Ma on prawo *veto* przeciw wszelkiemu *Irish Act*, działając w tem w myśl instrukcyi rządu centralnego.

Dochody Irlandyi określa się na 10 milionów funtów szterlingów, wydatki na 12 milionów, licząc w to ubezpieczenia starców i inne i służbę pocztową. Taksy opłat są określane przez rząd centralny i parlament irlandzki nie może ich podnosić, z wyjątkiem opłat od piwa i wódek. Co się tyczy ceł, można będzie niemi okładać jedynie towary wskazane przez parlament centralny. Co do innych opłat, rząd w Dublinie posiada prawo działania według własnego uznania. Corocznie parlament angielski będzie zasilał parlament irlandzki sumą proporcyonalną do wydatków na urzędy przeniesione i do podniesienia lub zmniejszenia opłat przez parlament irlandzki. Nadto parlament irlandzki pobierać będzie od centralnego z początku 2 miliony funtów szterlingów rocznie, redukując tę cyfrę stopniowo do 200.000 funtów szterlingów, w reszcie pobierać będzie dochody pocztowe; nadto parlament centralny bierze na siebie upensyonowanie starców, wykupno ziemi, i utrzymanie policyi królewskiej w Irlandyi. (*Royal Irish Constabulary*).

Oto główniejsze zastrzeżenia, które pomimo pewnych głosów krytyki, zostały zaaprobowane przez sam naród irlandzki na zgromadzeniu narodowem. Obecnie *Bill* przedłożonym został do trzeciego czytania i po zażegnaniu pewnego pobocznego

incydentu, jaki z powodu *Billu* powstał, wynik głosowania zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Pozostaje Izba lordów, w której od r. 1893 *Home-Rule Bill* napotyka na ciągły opór. Lecz i tu demokracya poczyniła już znaczne postępy. *Veto* lordów zdaje się również należeć do przeszłości.

Jesteśmy zatem rzeczywiście w przededniu *Home Rule'u* Irlandyi? Zdawałoby się: tak. Niektóre czynniki mogłyby opóźnić nastanie upragnionego dnia przez cały naród; cokolwiekbądź się stanie, nawet choćby partya unionistyczna jeszcze raz pochwyciła władzę w swe ręce, parcie narodowe jest nie do przezwyciężenia. Oporu nie można pomyśleć bez katastrofy.

A zatem w Zielonym Erynie wszystko żyje nadzieją. Nadzieja ta silniej niż słońce wiosenne przyświecała w niedzielę 31 marca tego roku niezliczonym tłumom zgromadzenia narodowego w Dublinie. Wesołe, promieniejące, ufne w przyszłość rzesze tłoczyły się owego dnia około udekorowanych trybun na rozległych przestrzeniach *O'Connel Street*. Na jednym końcu imponujący posąg Oswobodziciela dominował swą olbrzymią figurą nad tem morzem głów i piersi ludzkich, jak niegdyś sam O'Connel na zgromadzeniu w Tara. Na drugim końcu wznosiła się statua Parnella, tego śmiałego wodza, który te tłumy tak często a tak dzielnie prowadził do boju. W środku przywódcy obecni, zbierając plony tego co przeszłość zasiała we łzach i krwi, budzili nadzieję w jeszcze lepszą przyszłość w sercach tysięcy słuchaczy wszystkich stanów. Byli tam i robotnicy i wieśniacy w odświętnych strojach i ucząca się młodzież i poważni ojcowie rodzin, i duchowieństwo i mieszczanie, delegaci wszystkich miast i wszystkich zakątków Irlandyi od Cork do Belfastu, od hrabstwa Donegal do Wexford.

Czy to nie zapowiedź rychłego zmartwychwstania? Czyżby Irlandya nie miała opuścić swego wiekowego grobu i stać się znowu narodem?

Ks. J. Dahmen.

JUBILEUSZOWY ROK WE WŁOSZECH.

Jubileuszowy rok pięćdziesiątej rocznicy zjednoczenia całych Włoch pod berłem dynastyi sabaudzkiej nie udał się całkowicie. Kto zna wrodzoną skłonność Włochów do zwracania na siebie uwagi, ich teatralność i zamiłowanie w przesadzie, ten dopiero odczuje ból zranionych ambicyi narodowych. Tyle pracy, tyle przygotowań, dziesiątki wydanych milionów i — wszystko napróżno. Ba, nawet wręcz przeciwne rezultaty. Rok ten dla Włochów stał się wielką klęską materyalną. Pominąwszy koszta uśmiech budzącej wojny, rok ten jubileuszowy głęboko zapisze się w pamięci wszystkich mieszkańców pięknego półwyspu, zubożeniem czy ruiną wielu tysięcy rodzin. Będzie on długo tkwił w umysłach ludzi, jako wspomnienie okrutnej, gorzkiej radości.

Powodem klęski było to, że zagranica nie dopisała. Coroczna, olbrzymia fala napływu turystów w tym roku ominęła Włochy. Przyczyną tego były przesadne wiadomości o wybuchu cholery, rozsiewane ze zwykłą skwapliwością dziennikarską przez całą prasę europejską. Ha trudno, widmo śmierci nie straciło dotąd swego fatalnego uroku. Jaki taki chudzina, co chciał przecież raz w życiu ujrzeć tę ziemię obiecaną, o której tyle słyszał i czytał, przypatrzeć się temu niebu włoskiemu, tak opiewanemu przez różnych poetów i malarzy, wygrzać nieco zbiedniałe kości w zło-

tych promieniach słońca południowego — i w tym roku jubileuszowym postanowił tam pojechać, już wobec pierwszych wieści o wybuchu cholery, szybko zmieniał swe postanowienia. Innym powodem, dla którego jubileusz i związane z nim uroczystości cieszyć się nie mogły uznaniem w szerokim świecie — był ich antykościelny charakter. Bo chociaż był to jubileusz złączenia półwyspu, a nie zaboru Rzymu, jako własności papieskiej, to przecież nieprzychylne usposobienie naczelnych czynników względem kościoła katolickiego dawało się aż nadto odczuwać. Nic zatem dziwnego, że wywołało ono w różnych krajach pewną niechęć, powstrzymującą od wyjazdu do Włoch w tym roku, a nawet jak np. u nas przeszkodziło wysłaniu obrazów Matejki będących w posiadaniu Uniwersytetu Jagiell. i wielu osób prywatnych na wystawę rzymską.

Pamiętam, jak mi odradzano wyjazd do Włoch z tych samych właśnie powodów. Nie było człowieka wśród znajomych, któryby mnie nie ostrzegał przed tym — rzekomo — lekkomyślnym a ryzykownym krokiem. Lekarze znajomi podawali liczbę śmiertelnych wypadków, odradzając wyjazd stanowczo. Znając jednak kulisy maszyny dziennikarskiej, przyjmowałem te rady z uśmiechem i wdzięcznością. I pojechałem, by przekonać się, jak fantastyczne rozmiary przybrały te wieści o chorobie. Np. we Florencyi było wszystkiego 3—5 wypadków śmierci. Najsilniej srożyła się w portowych miastach w Liworno i Neapolu, a także w Wenecyi. W innych środowiskach włoskich zabrała po parę ofiar. Jednak mimo wszystko, to przecież dalekie jeszcze od tych setek i tysięcy jednostek, pochłoniętych rzekomo przez epidemię.

Pamiętam przecież dobrze uczucie strachu, jakiego doznałem po przybyciu do Rzymu. Po wyszukaniu mieszkania na placu Hiszpańskim, wyszedłem późnym wieczorem na miasto, chcąc je przywitać jak dobrego znajomego. Ruch już ustał a ulice opustoszały. Tu i ówdzie napotykałem jedynie spóźnionych przechodniów. Tem swobodniej i przyjemniej mogłem się błąkać, zachodząc w odległe kąty i zaułki Rzymu. Wieczne miasto bowiem przy księżycowej nocy ma dziwny, porywający urok i piękno. Tak błąkając się przez całą noc, natrafiłem na parę miejsc, ma-

łych uliczek i drobniejszych placów, gdzie naraz uderzył mnie niezwykle silny zapach karbolu i jodoformu. Poznałem odrazu, że to miejsce nawiedzone przez cholerę i mimowoli zawahałem się nad przejściem takiej uliczki.

Jednym z głównych źródeł dochodowych Włochów jest napływ turystów. Nagromadzone tam przez wieki nieprzebrane skarby sztuki, dziś dopiero przynoszą odpowiednie procenty do swego kapitału. Dla nich właśnie zjeżdżają się corocznie z całej kuli ziemskiej setki tysięcy obcych. W tym jednak roku fala ta zawiodła. Kto zna Włochy w czasie sezonu, a widział je tego lata, ten mógł mieć pojęcie o rozmiarach klęski.

Zeszłego roku siedząc przez wiosnę w Rzymie zachodziłem czasem na starorzymskie *Forum Romanum*. Nie było dnia wtedy, żeby tam naraz nie znajdowało się 200—300 turystów, a po parę tysięcy w ciągu dnia. I to zresztą nic dziwnego. Przecież *Forum* — to jedna z głównych atrakcyi Rzymu. Będąc teraz, zaszedłem na to cmentarzysko czy kolebkę Rzymu. Uderzyła mnie cisza i pustka. Nie było prawie nikogo. Naliczyłem bowiem piętnaście osób, które zwiedzały „Forum". To aż nadto wymowny przykład. Także sławne *Uffizie* florenckie świeciły niebywałemi pustkami.

Jest we Florencyi jeden punkt, w którym się zbiera cały tłum obcych przybyszów. Jestto sławny kościół San Miniato na wzgórzu, z przecudnym widokiem na miasto. Tu na wielkim placu Michała Anioła można doskonale obserwować ruch obcych. Tu między godziną czwartą a szóstą po południu panuje niebywały ruch. Szeregi dorożek, tramwaji i automobilów i powozów snują się nieprzerwanym sznurem, przywożąc co chwila całe tłumy turystów. Tego roku jakże miłe, jak rozkoszne chwile można było przeżywać u stóp S. Miniato. Pusto, cicho i głucho. Nikogo niema. Czasami tylko zgrzyt kół tramwayowych lub nagły, chrapliwy głos trąbki automobilowej budził mnie, jak z uśpienia. Zresztą błogosławiona cisza. O jakże cudnem jest to miasto. W tym roku dopiero odsłonił się jego czar i urok. Zwłaszcza chwile zapadającego zmroku nad miastem miały dziwny, niezwykły nastrój wieczoru. Z cudowną grą obłoków, które przy zachodzie

słońca ustawicznie się zmieniały, tworząc niewypowiedziane symfonie tonów, łączyła się potężna gra dzwonów florenckich. Jak zwykle przed godziną szóstą uderzały one na Anioł Pański. Bijąc długą chwilę zlewały się razem we wszechmocny akord muzyki. Zdawało się, że całe morze dzwonów wielkich, mniejszych i małych rozmawia z Bogiem. Była to chwila niezapomnianych nigdy wrażeń, przepotężna modlitwa konającego dnia. A w dole głęboko miałeś ginące w pomroku wieczornym morze dachów, wież i kopuł, przecięte wijącą się wstęgą srebrnawego Arna.

Można zupełnie nie zwracać uwagi na tłumy obcych, jednak czasami nie podobna. Odbierają oni spokój i powagę miastu, tembardziej że towarzyszy im zawsze cała zgraja przeróżnych handlarzy ulicznych. Rzucają się oni wprost na człowieka ze swym towarem, przeznaczonym wyłącznie dla turystów. Ominąć ich nie podobna, pozbyć się bardzo trudno. Są to zwykle wielojęzyczne bestye, które witają cię najpierw w języku angielskim, potem przechodzą w narzecze niemieckie, najdłużej cię nękając tą sympatyczną mową. Gdy zaś nie widzą skutków pomyślnych, we francuskim dyalekcie szukają pomocy, w końcu rzadko dając za wygraną, przeklinają w rodowitym swym języku. A wiadomo, jak pełnemi poezyi są przekleństwa włoskie. Z nimi razem atakują cię rozmaite sorty „gnide'y", których natręctwo równa się nieznośnej torturze. Tego roku natomiast i tych rycerzy przemysłu było znacznie mniej. Prawie zupełny brak ofiar zmusił ich widocznie — choć czasowo — do szukania szczęścia w innej gałęzi handlu. Zato wzrosła w tym roku znowu natarczywość licznych zastępów żebraków i w ogóle dziadów. Tych jednak łagodnym datkiem dwóch soldów mogłeś utrzymać w przyzwoitej i dystyngowanej odległości.

Najlepszym dowodem i miarą klęski materyalnej jest lista bankructw przedsiębiorstw handlowych, ogłaszanych przez prasę, która w samym Rzymie jednego dnia osiągnęła cyfrę 77. N. p. w gałęzi handlu antykwarskiego bardzo wiele mniejszych firm musiało zawiesić swe agendy. Pochłonięte one zostały przez większe antykwaryaty, mogące przetrzymać fatalny rok.

Następstwem tego jest znaczne podniesienie cen, wobec braku konkurencyi. Sam się przekonałem, że te same przedmioty, które tamtego roku można było nabyć za 50 do 60 franków, podskoczyły teraz do sumy 300.

Także ogromna ilość wolnych mieszkań, przeznaczonych dla obcych, daje wiele do myślenia. N. p. na placu hiszpańskim, a więc w najpiękniejszym punkcie Rzymu, niema domu bez mieszkań do wynajęcia, istotnie po śmiesznie niskich cenach. I tak jest w całem mieście. Tego przedtem nie było. Poza hotelami i pensyonatami rzadko gdzie można było znaleść prywatne mieszkanie, przeznaczone dla obcych. Ale teraz wobec fatalnego roku — jak mnie zapewniano — każdy ratuje właśnie tą drogą mocno nadszarpnięte finansy.

Nie mniejszą klęskę poniósł sam rząd włoski. Chcąc uświetnić jubileusz zjednoczenia kraju, urządził szereg wielkich wystaw przemysłowo-handlowych w Turynie i wystawy sztuki w Rzymie. Dodatkowo zarząd miejski we Florencyi urządził wystawę portretów dawnych malarzy włoskich i ta powiodła się stosunkowo najlepiej. Można powiedzieć, że rząd włoski zrobił wszystko, ażeby wystawom zapewnić zupełne niepowodzenie. Główną wadą tych wystaw był przestarzały sposób ich urządzenia. Przecież zeszłoroczna wystawa sztuki mahometańskiej w Monachium, a także wystawa łowiecka we Wiedniu mogły i powinny być pouczającymi przykładami. Trudno zrozumieć, jakiemi pobudkami kierowali się inicyatorowie tych wystaw.

Już sama myśl zorganizowania międzynarodowej wystawy sztuki, ograniczającej się tylko do malarstwa i rzeźby, była chybionem przedsięwzięciem. Podobne wystawy, tylko małe, urządza corocznie od szeregu lat z dużem powodzeniem Wenecya. Otwarte zwykle w pięknym ogrodzie *Giardino publico* są miłą atrakcyą, pociągającą wszystkich. Na nich wzorując się urządziło państwo w Rzymie niemożliwie wprost wielką wystawę. I to był jej główny błąd. Rządowi się zdawało, że właśnie ten ogrom zapewni wystawie powodzenie. Jednak pomyślcie piętnaście pawilonów, umyślnie zbudowanych, dwieście kilkadziesiąt sal; ośm do dziesięciu tysięcy obrazów — oto wystawa rzym-

ska. Przecież niepodobna było obejrzeć tych płócień z jaką taką uwagą. Już przejście głównego pawilonu międzynarodowej sztuki mogło zmęczyć i znużyć. Podobnie były zaprojektowane wszystkie inne wystawy włoskie. Chodziło im przedewszystkiem o ogrom, nie o jakość i układ. Dlatego nie mogły one budzić żadnej nadziei powodzenia, o czem rząd ostrzegany przekonał się po niewczasie.

II.

Klęska materyalna, jaka w tym roku spotkała Włochy, jest słabem zadośćuczynieniem za zniszczenie miasta. Jedno z najpiękniejszych miast na świecie, najwspanialszy i najbogatszy obraz kultury ludzkiej — Rzym, miasto wieczne, w oczach ginie. Kto znał Rzym z przed lat dziesięciu, choćby pięciu, choćby z przed trzech jeszcze — nie poznałby go obecnie w bardzo wielu punktach. Jakaś furya niszczenia ogarnęła ludzi.

Nad tem, co się dziś w Rzymie dokonywa, powinien cały świat się zastanowić i przeciw temu założyć skuteczne „veto". Za pieniądze bowiem całego świata został zbudowany i — jak zawsze — utrzymuje się z obcego grosza. Że tak jest istotnie przekonywa obecny rok klęski materyalnej, wskutek braku obcych. Skierowanie zatem czasowe ruchu turystów w inne strony jest najlepszym sposobem powstrzymania Włochów od niszczenia miasta.

Tylko takim argumentem, godzącym w najdelikatniejsze dziś uczucie Włochów, bo w pragnienie zysku, można do nich przemówić. Wszystkie inne drogi zawodzą, co zresztą potwierdziło się dostatecznie w ciągu ostatnich dwóch lat. Gdyż nie trzeba myśleć, żeby ten obraz niszczenia miasta dokonał się z milczącą aprobatą całego społeczeństwa. Nie. Był szereg protestów namiętnych, hałaśliwych, typowo włoskich. Doszło do tego, że bardziej rozgorączkowane koła młodych ludzi zagroziły burmistrzowi Rzymu obiciem, jeżeli nie zaprzestanie swojej niszczycielskiej polityki. Także i zagraniczna prasa rozbrzmiewała od czasu do czasu protestem oburzenia nad losem niszczonych zabytków sztuki. To wszystko nie zdołało przekonać

i powstrzymać decydujących czynników, ani nie ocaliło najpiękniejszych pomników od zagłady.

Przyczyna tego burzycielskiego ruchu, jaki rozszalał w Rzymie, leży — zdaje się w samym narodzie włoskim. Naród ten przy wybitnej kulturze rasowej, mimo ogromnej żywotności znajduje się obecnie w okresie obniżenia władz i zdolności duchowych. Najsilniej ten stan ujawnia się na polu artystycznem. W stosunku do przeszłości widać u obecnych Włochów zupełny brak wybitniejszych talentów. Podobnie jak dawniej i teraz ujawnia się tam ogromna produkcya zdolności w trzech zasadniczych kierunkach sztuk pięknych. N. p. architektura. Jak w dawnych wiekach, północne Włochy dostarczają dziś wielkich szeregów najlepszych murarzy, twórców najtrudniejszych dróg kolei żelaznych, mostów i tuneli w całym świecie. Dawniej jednak poziom uzdolnienia takiego pracownika był daleko wyższy. W dawnych wiekach bowiem ci sami ludzie wznosili całe szeregi kapitalnych pomników architektury. Oni to właśnie zaszczepiali style włoskie po całej Europie, a każdy z nich był samoistnym, twórczym talentem. Dziś zeszli do rzędu świetnych — co prawda — ale tylko robotników.

A rzeźba?

Kto lepiej przyglądał się miastom włoskim, jako żywemu organizmowi, tego uwagę musiała zwrócić duża ilość pracowni i sklepów rzeźbiarskich. Można powiedzieć, że we Włoszech wytworzyła się w paru ostatnich dziesiątkach lat nowa gałęź handlu i przemysłu rzeźbiarskiego. Treścią jego jest kopiowanie sztuki dawnych wieków w postaci mniejszych statuek i większych figur, wykonany w marmurze lub alabastrze, a przeznaczonych na miejscowy zbyt u przejezdnych, lub na eksport za granicę. W całej tej produkcyi uderza niewątpliwa zdolność rzeźbiarska, jaka tkwi w każdej figurze czy posążku. Jest to ten sam talent co u rzeźbiarzy z czasów renesansu lub baroka. Naturalnie mam tu na myśli dawnych rzeźbiarzy-dekoratorów, którym odpowiadają powyżsi. Stoją oni na poziomie zwykłych kamieniarzy dzisiejszych w innych krajach, których jednak uzdolnieniem i wyrobieniem znacznie przewyższają. Jednak

gdy prace rzeźbiarzy włoskich dawnych wieków mają zawsze piętno oryginalnej twórczości, obecni zeszli do rzędu doskonałych, ale tylko kopistów.

Podobny stosunek zachodzi u dzisiejszych, wybitnych rzeźbiarzy, dumy Włoch. I tu tak samo trzeba przyznać wielką zdolność rzeźbienia i łatwość wypowiadania swych pomysłów. Ale na tem — co prawda zupełnem opanowaniu techniki kończy się talent takiej sławy. Są zawsze niemal zdolni ludzie — ale bez głowy. Wybitne nieraz talenty — bez rozumu. Dlatego powinni się oni ograniczać do wykonywania zadań łatwych. W rzeczywistości jest inaczej — wprost odwrotnie. Każdy z tych wielkich — rzekomo — artystów prześciga się nawzajem w wynajdowaniu najnieprawdopodobniejszej pozy i ruchu. Rzeźba włoska robi często wrażenie żonglerskiej sztuki cyrkowej. A przytem towarzyszy jej zwykle głębszy podkład duchowy, wypowiadający się — niestety tylko — w górnolotnych i głębokich tytułach pracy, co właśnie przy zgoła innym nastroju rzeźby, wywołuje niedwuznaczne wcale uśmiechy.

Podam jeden charakterystyczny przykład. Na obecnej wystawie sztuki w Rzymie w głównym pawilonie, w osobnej sali ustawiono taką rzeźbę z jednego bloku marmuru. Z niewielkiej podstawy będącej zarazem wierzchołkiem skały, wynurza się do połowy z obłoków chmur zwykłe koło roweru, oddane z fotograficzną dokładnością, na którem zjeżdża nagi, rosły chłopiec, coś w rodzaju zmodernizowanego Hermesa. Jedzie szybko, gdyż od pędu pochylił się naprzód i dla utrzymania równowagi podniósł nogę, tak że razem z korpusem tworzy jedną linię poziomą. Na jego grzbiecie usiadła wabnym ruchem jakaś naga nimfa leśna, o wybitnie ponętnych kształtach z uduchowionym wyrazem twarzy, przypominającym żywo postać ze sławnej rzeźby Berniniego. Kompozycya ta nosi tytuł . . . „Dusza na wyżynach“, twórcą zaś jest „znakomity artysta“ Giulio Monteverde.

Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić większy i bardziej humorystyczny kontrast między tytułem a treścią kompozycyi. Jest ona przykładem żonglerstwa w sztuce. Widać tu, jak

twórcy chodziło o wyszukanie pozy i ruchu, dotychczas w rzeźbie nie przedstawianego. Jego sztuka ekwilibrystyczna udała mu się znakomicie. Czegoś tak banalnego i trudnego, obok pewnej maestryi rzeźbiarskiej nie spotkamy prędko gdzieindziej. A przecież ta rzeźba uchodziła w oczach całych Włoch za jedno z najlepszych dzieł wystawy. I to bynajmniej nie jest przesadą. Sala, w której stała, była wybita cała ponsowym adamaszkiem jedwabnym, jedyna, która dostąpiła takiego splendoru. Rzeźba ta nawet była proponowaną do wielkiej nagrody (100.000 lirów), tylko *jury*, złożone z obcych artystów nie przyznało jej niestety. Banalność jest najtypowszą cechą dzisiejszej sztuki włoskiej. Razem z pretensyonalnością i wyszukiwaniem efektownych tytułów — często treścią rzeźby nie uzasadnionych — stwarza dzieła, zadziwiające nieraz sprawnością techniki i . . . płaskością myśli.

I z malarstwem włoskiem nie jest lepiej. Ta gałęź sztuki ma bardzo licznych zwolenników. Suma produkcyi malarskiej jest we Włoszech olbrzymia. Podobnie jak w czasach renesansu istniał szereg lokalnych szkół, rozrzuconych po całym półwyspie, a każde miasto czy prowincya miała swoich majstrów — podobnie również i dzisiaj panują tu stosunki tylko przy zwiększonej mocno produkcyi. Ale gdy dawne malarstwo włoskie odznaczała sumienność, pracowitość i dążność do stwarzenia pięknych kompozycyi — to dziś wręcz przeciwne cechy charakteryzują tę gałęź sztuki. Uderza przedewszystkiem ogromny brak inteligencyi malarskiej w wyborze tematu jego i opracowaniu. Przeważa wśród nich jako motyw malarski pejzaż, zwykle morski z wyzyskaną — najczęściej w operetkowy sposób — grozą nastroju. Zatem rozhukane morze, piętrzące się bałwany, nad niem zaś ciężkie ołowiane chmury. Albo znowu pejzaż słoneczny, pogodny, jakby uśmiechnięty, nęcący tysiącem barw. Wszędzie jednak widzimy pośpiech, gonienie za tanimi efektami, a głównie zupełny brak głębszego studyum natury, wczucia się i zamiłowania w przyrodzie. Zdaje się, że dolar amerykański i funt angielski niewybrednych często turystów zaważyły bardzo na tej mało artystycznej twórczości Włochów. Tam zaś, gdzie puszczają

się na kompozycyę, czasami na tle mitologii klasycznej, banalność pomysłów, ugrupowania postaci przechodzi wszystko. To również widać w portrecie, co prawda dużo rzadszym od pejzażu. Tu znowu idzie w parze gruba pretensyonalność z nieudolnością w upozowaniu modelu.

Takie stosunki panują na polu sztuki. W innych dziedzinach można zaobserwować pewne cechy pokrewne. Wszędzie widać taką żywotność i ruchliwość narodu włoskiego, intenzywność pracy i wydajność produkcyi. Wszędzie napotykamy duże uzdolnienie i pewne wyrobienie techniczne. Tym cechom towarzyszą zwykle jeszcze inne, jak dążność do zwracania na siebie uwagi, teatralność i zamiłowanie w przesadzie, a przytem wcale duża doza t. zw. pewności siebie.

Te właśnie przymioty składają się na typowego przedstawiciela dzisiejszych zjednoczonych Włoch. W nich należy także szukać przyczyny, która pociąga za sobą tak szybkie zmiany w obrazie ulicznym Rzymu. I jeżeli się zastanowimy nad sposobem, w jaki państwo chciało upamiętnić pięćdziesiątą rocznicę złączenia całego półwyspu — musimy przyznać, że najjaskrawszą jego cechą była właśnie przesada. Bo czy weźmiemy pod uwagę wystawę sztuki — przesadnie wielką — czy jej sposób urządzenia, o którym jeszcze będzie mowa, czy wielką wystawę etnograficzną — której architektura usiłowała zagłuszyć nieśmiertelne dzieła Michała Anioła, Beruiniego i innych, będąc tylko nieudolnym, a bardzo krzykliwym i politowanie budzącym porywem — czy wreszcie wielki pomnik „twórcy królestwa włoskiego“ Wiktora Emanuela — zawsze uderzy nas wszędzie ta sama krzykliwa przesada.

Pomnik Wiktora Emanuela, obok kopuły św. Piotra, dziś najwyższy punkt miasta, naprzeciw *Forum Romanum*, tuż obok kapitolu jest typowym pomnikiem narodu parweniuszów. Część starego miasta, sieć wąskich uliczek, parę kościołów, parę pałaców — wśród tych jeden z najpiękniejszych zabytków architektury miasta palazetto Wenecyi — padły ofiarą kolosu. Wszystko co zasłaniało choćby tylko stopy pomnika, musiało ustąpić. Tak zachowuje się tylko rozzuchwalony parweniusz.

Historya włoska pokazuje, ile zmian nieustannych przechodził ten półwysep. Dlatego okres pięćdziesięcioletni jest nieproporcyonalnie krótkim do tak wielkich manifestacyi. Któż poręczy królestwu włoskiemu jego dalszą i dłuższą całość. A tymczasem zapisało się ono w historyi niejednym czynem brutalnym wobec dawnej kultury „wiecznego miasta". Równa brutalność i bezwzględność cechowała zawsze krótkotrwałe rządy dzikich ludów z północy lub najezdców nieprzyjacielskich.

III.

Najciekawszym punktem programu jubileuszowego w Rzymie był zamek św. Anioła. Może to u wielu wywołać zdziwienie, gdyż przecież nie w tym roku dopiero otwarto go do zwiedzania. Zapewne jednak w zabudowaniach przyległych zamkowi zgromadzono wszystko i pokazano, jak wyglądał Rzym w dawnych czasach, jak w bliższych i najbliższych, jak wczoraj jeszcze.

I w tem właśnie zestawieniu pogrobowem ginącego miasta leży największy interes i zasługa wystaw jubileuszowych. Nie olbrzymia wystawa sztuki obecnej, ani wystawa sztuki starorzymskiej w termach Dyoklecyana, a tem mniej jeszcze wystawa etnograficzna — one nie miały w sobie głębszego wyrazu. Były na ogół mniej lub więcej udane. A zresztą tak sztuka dzisiejsza, jakoteż starożytna, cieszy się szerokimi bardzo względami, dowodem czego jest, choćby tylko niezliczony szereg ciągłych wystaw i skwapliwość i szczodrość w podejmowaniu coraz to nowych wypraw i odkryć na tem polu.

Wystawę w termach Dyoklecyana trzeba zaliczyć właściwie do mniej udanych. W urządzeniu ogólnem znać było brak jasnego planu i dyrektywy. Przedewszystkiem wystawa sztuki klasycznej, starorzymskiej, urządzana w samym Rzymie — przecież była zbyteczną. Istotnie była nonsensem. Wyglądała tak samo jak sadzawka w środku wielkiego jeziora. A nawet gorzej. Parę odlewów gipsowych, trochę kopii, naczyń klasycznych i . . . dużo fotografii. Rozmieszczona we wspaniałych, ogromem imponujących zwaliskach dawnych term, kryła w sobie jakiś uśmiech ironiczny, wyszydzający jej organizatorów.

Ale nie o to chodzi. Dziś zajmujemy się wszystkiem, a sztuką przedewszystkiem. Naturalnie sztuka starożytna, już ze względu na swój wiek, głównie jest najszacowniejszym objektem. Sztuka średniowieczna również cieszy się uznaniem i względami muzeów, czasy renesansu jeszcze tak samo i tak w miarę zbliżania się do obecnej doby, census, według którego mierzymy wartość artystyczną dawnej sztuki, staje się coraz wyższy, coraz surowszy. Tylko zabytki pierwszej klasy, sankcyonowane przez różnego rodzaju przewodniki z Baedekerem na czele, są dziś nietykalne. Wszystkie inne w miarę potrzeby nowoczesnych wymagań, przystosowują się do dzisiejszych warunków. Oto właśnie jest droga, którą posuwa się stary Rzym „w miarę nowoczesnych wymagań". Zadziwia w tem jednak szybkość, z jaką się dokonywa ten nowoczesny „postęp". Na pierwszy rzut oka trudno zrozumieć, co się dzieje, tak prędko, tak gwałtownie zmienia się „wieczne miasto".

Obraz tych zmian właśnie przedstawia wystawa w zamku Św. Anioła. Tu jedynie znać wszędzie jasno wytknięty plan i cel wystawy. W długich szeregach dawnych rycin, akwarel i rysunków pokazano raz jeszcze niewysłowiony czar i piękno starego miasta. I wierzyć się wprost nie chce starym widokom Rzymu. Zdaje się, że to sen tylko, gdyż na rzeczywistość za piękne. Dziś tego już niema, prawdy rycin nikt nie zmierzy; a może się one tylko z fantazyi malarza wyśniły ... Ale nie. Obok rysunków i akwarel są także dawniejsze fotografie, najwiarogodniejszy świadek i skarbnik prawdy. Tak. W nich czytamy to samo. To nie sen, nie fantazya, to była rzeczywistość. Rzym kiedyś tak wyglądał i jeszcze daleko piękniej.

Przyglądamy się dawnym obrazom miasta i porównujemy je z obecnym stanem. Gdyż wystawa jest w ten sposób urządzoną, że te same partye miasta pokazane są w obecnym stanie zapomocą fotografii i w dawniejszym. Czyli możemy sprawdzić zaraz zmiany, jakie zaszły w wyglądzie ulicznym. Mimo to oryentacya jest tu trudną. Wiele miejsc, placów i ulic na pozór — zdaje się — nie uległy zmianie. Te same pałace, kościoły

i domy, co na dawnych rycinach stoją jeszcze nietknięte. A jednak czegoś im brak.

Są jeszcze w Rzymie zaciszne kąty miasta, które czasami mają wyraz inny, niecodzienny. Są to momenty bardzo rzadkie. Pamiętam, zeszłego roku mieszkałem przy ulicy „dell Seminario". Niewielka ta uliczka, obok Panteonu, kończyła się maleńkim placem „S. Ignazio", przez który co dzień po kilka razy przechodziłem. Był to mały prostokąt, utworzony umyślnie przed pyszną fasadą barokowego kościoła. Zamykały go ze trzech stron najzwyklejsze — na pozór — domy. A przecież ten maleńki plac był prawdziwą perłą dobrego smaku. Murarze, którzy budowali te domy, umówili się widocznie i dwa z nich większe z dwóch krótszych boków placu postawili jednakowo. Trzeci zaś bok naprzeciw kościoła tworzą trzy małe domki, rozdzielone uliczkami na wskos biegnącemi, gdyż środkowy dom, naprzód nieco wysunięty, jest w planie trójkątem. Przytem jednakowe fasady tych domków są kolisto-wklęsłe i urozmaicone lekkimi balkonami o zgrabnych, wygiętych balustradach.

W ten sposób zbudowany plac robi wrażenie przepięknej dekoracyi teatralnej. Jest on zarazem ramą fasady kościoła. Przytem trzeba podkreślić różnicę, którą świetnie wyrażono pomiędzy bogactwem i powagą majestatycznej świątyni a wykwintną prostotą zwyczajnych domków mieszczańskich. Jednak piękno i urok tego placu są zawsze przygłuszone jakby zasłonięte. Jest on bowiem miejscem postoju dorożek, które go sobą całkiem zapełniają. I to jest właśnie los miasta, jakieś nieszczęsne fatum, pierwszy objaw przemiany prawie niedostrzegalnej. Tak dzieje się z całem miastem. Jeszcze stoi, jeszcze nie tknięte, to samo co dawniej — na pozór — a równocześnie z dniem każdym w oczach ginie. Pryska czar, ulata poezya . . . „w miarę nowoczesnych wymagań". Bo dawniej żyło się dla piękna i wygody, dziś żyje się tylko dla interesu, a więc niema miejsca dla piękna.

Czasem jednak wychodząc wcześniej z domu, zastawałem inne miasto. Pamiętam szczególniej jeden taki ranek. Był to ładny dzień wiosenny. Maleński plac S. Ignazio był jeszcze pusty. Zalany słońcem z jednego boku, zdawał się uśmiechać

szczęściem i strojnością swych domów. Wszystkie bowiem balkony — zwyczajem południowym — okrywały krzaki pnących róż, osypane właśnie gęstym kwiatem. W jednym kącie placu stał dwukołowy wóz, jakim zwykle wieśniacy przywożą wino z gór albańskich do miasta. Zdrożone muły pasły się swobodnie na porzuconej im wiązce siana. Na brzegu ogromnych, wspaniałych wchodów kościoła rozłożyła stara przekupka swój towar warzywny, w szeregu płytkich, wywiniętych koszów. Było zacisznie, ciepło, rozkosznie. Maleńki plac, przytulony do wielkiej, monumentalnej świątyni, zdawał się oddychać szczęściem i radością. Była to chwila niewysłowionego czaru i poezyi. Czasami tylko muły, opędzając się od owadów, napełniały powietrze brzękiem swych dzwonków.

Tego właśnie swobodnego wdzięku, tego naturalnego piękna brak już coraz więcej miastu. Podobne stosunki panują ostatecznie także w innych krajach. To jest rys charakterystyczny naszych czasów, wspólny niemal wszystkim narodom. Tylko w Rzymie dzieje się gorzej, niż gdzieindziej. Ruchliwy temperament południowy zdaje się podniecać do ciągłych przemian. A przytem Włosi w wielu razach nowoczesny postęp pojmują zupełnie mylnie. Towarzyszy im zwykle, obok dużego sprytu, brak głębszej rozwagi i namysłu. Widać to n. p. w rozłożeniu linii i stacyi tramwayowych. Zamiast nie skupiać stacyi końcowych w jednem miejscu, prowadząc je równocześnie przez centrum miasta, w Rzymie dzieje się wręcz przeciwnie. N. p. maleńki plac S. Silvestro jest stale zapchany tłumem wozów, gdyż z niego wybiega sześć albo siedm linii. W ten właśnie sposób wszędzie niszczy się i zabija urok miasta. Zamiast starać się pogodzić nowoczesne potrzeby z dawnem pięknem — co zawsze da się osiągnąć — myśli się tylko o wyzyskaniu danej sposobności, bez względu na dawną kulturę miasta.

Na przedłużeniu głównej arteryi Rzymu *torsa*, poza placem i bramą *del Popolo* ciągnie się znana *via Flaminia*. Przed paru jeszcze laty przedstawiała ona typowy i charakterystyczny obraz podmiejskiej ulicy, gdzie miasto i wieś łączyły się razem. Zabudowana szeregiem niskich domostw, ocieniona z rzadka

drzewami, kryła w sobie liczne *osterye* i *traltorye*. Tu mogles się uraczyć doskonałem winem włoskiem i napawać malowniczym widokiem pejzażu. Każda bowiem z takich gospod miała zwykle mały ogródek z niedbałą werandą, okrytą kwieciem róż, a wspartą nierzadko na kolumnach klasycznych. Bo dawniej więcej piękna i sztuki było w szarem życiu. Dlatego nieraz siedziałeś w takiej pergoli na staro-rzymskim sarkofagu, a za stół służyła ci płyta marmuru, godna dłuta greckiego.

Dziś wszystko, jak sen zniknęło. *Via Flaminia* zmieniła się nie do poznania. Zniknęły osterye i ogródki. Miejsce ich zajęły wstrętne zabudowania, mieszczące w sobie najgorsze magazyny i składy. Dziś robi ona wrażenie brudnego przedmieścia w miasteczku powiatowem. Ostatnia starzyzna, dla której już niema miejsca w mieście, tu się przeniosła.

Szło się zawsze przez tę ulicę, zdążając do *Villi di Papa Giulio*. Była to willa zbudowana dla papieża Juliusza III., w połowie szesnastego wieku, w przepięknej, lekkiej postaci podmiejskiego pałacu, gdzie talent architektów późnego odrodzenia wysilił się, aby stworzyć bajkę szczęścia i radości. Niewielki ten pałacyk z szeregiem drobniejszych przybudówek, dziedzińców, basenów, fontan, galeryi, krużganków i tarasów miał szczególniej przerozkoszne najbliższe sąsiedztwo. Otaczały go bowiem ogrody i winnice, schodzące z sąsiednich wzgórz amfiteatralnie aż do jego murów.

Dziś wszystko się zmieniło. Sama Villa istnieje jeszcze, ale odebrano jej to, do czego była stworzoną t. j. otoczenie. Ogrody i winnice wykarczowano i przepiękne niegdyś wzgórza, okalające Villę, zmieniły się w pustkę. Wzdłuż Villi pod samym bokiem puszczono szeroką ulicę z linią tramwayu. Bo oto sąsiednie grunta zajęła właśnie wielka wystawa sztuki. Doprawdy trudno zrozumieć co skłoniło rząd włoski do wycięcia wszystkich drzew. Zamiast pawilony wystaw pogodzić z zadrzewieniem i wyzyskać je jako osłonę przed słońcem — postąpiono tam zupełnie odwrotnie. Ogromny teren wystawy przedstawiał się jako wielkie, górzyste urwisko pustynne, spalone od słońca, bez odrobiny cienia. Istotnie zrobiono wszystko, aby tej wystawie, urządzonej

z takim wkładem pracy, zapewnić zupełne niepowodzenie. Bo kiedy jeszcze w połowie listopada promienie słoneczne dawały się czasem za silnie odczuwać, cóż dziać się tam musiało w ciągu wielkich upałów letnich. A *villa Giulia*, co niegdyś wynurzała się z szumiącej zieleni gajów i winnic — dziś sterczy, jak szczątek przeznaczony na zagładę. Odarta brutalnie z dawnej krasy, ściśnięta murem dokoła, zdaje się skarżyć i płakać nad swem nieszczęściem.

I takich ran większych i mniejszych przynosi każdy rok coraz więcej. Ginie jeden z najpiękniejszych obrazów pracy i kultury ludzkiej. Wystawa w zamku Ś. Anioła przekonywa, że ten okres gwałtownych zmian przyniosły dopiero najbliższe lata. Ostatnie pięć lat robi jakieś wrażenie epidemii, która z dziwną zaciekłością niszczy stare miasto. Istnieje co prawda w Rzymie urząd konserwatorski, ale władza jego i egzekutywa jest bardzo ograniczona. Tak rząd, jak jeszcze więcej samo miasto, przodują niejako w tym ruchu niszczycielskim. Nic zatem dziwnego, że znajdują szybko szeregi naśladowców.

Charakterystycznym przytem objawem jest przesada i pretensyonalność, jaka uderza w nowoczesnej architekturze włoskiej. W Rzymie mamy tego szereg przykładów. Architektura ta nie składa się bynajmniej z nowych pierwiastków twórczych. Panuje w niej z jednej strony bezduszny eklektyzm stylów historycznych, albo nieudolne nad wyraz wysiłki utworzenia nowego kierunku. Towarzyszy jej przytem zawsze nadmierna pretensyonalność, wypowiadająca się zwykle w olbrzymiej skali budowli. Widać w tem usiłowanie dorównania wielkim pomnikom architektury renesansu lub baroka, a nawet przewyższenia. Naturalnie, że wobec zupełnego braku talentu twórczego budowle takie budzą uśmiech politowania.

Wystarczy wyjść na górną terasę zamku Ś. Anioła, by się o tem przekonać. Opodal wznosi się olbrzymia budowla tzw. *Palazzo di Giustizia*. Jest to kolos, cały wzniesiony z ciosowego kamienia, z ogromnym wkładem pracy i pieniędzy. Budowa jego bowiem kosztowała tylko czterdzieści milionów lirów. Właśnie w tym roku jubileuszowym został skończonym; ma pozostać

na zawsze — obok monumentu Wiktora Emanuela — jednym z pomników jubileuszu. Nie znam nazwiska twórcy tego budynku, jednak musi to być niewątpliwie człowiek pełen sprytu i dowcipu. Tak umieć znaleźć miejsce dla każdego kierunku architektury renesansu i baroka, wyjąć z każdego najistotniejsze cechy, zrobić tak dokładne *compendium* dawnych form — a nadto okrasić to wszystko kopiami rzeźby klasycznej — to także w swoim rodzaju sztuka niemała. Budynek ten byłby doprawdy złośliwą karykaturą dawnych styłów, gdyby nie był równocześnie autopamfletem samego rządu.

Podobne cechy mają wszystkie budowle rządowe. Dla upamiętnienia jubileuszu wzniesiono również w tym roku dwa mosty. Jeden prowadzi na wystawę etnograficzną, drugi zaś powstał na przedłużeniu Corsa Wiktora Emanuela, w sąsiedztwie wspaniałego mostu Ś. Anioła. Jak wiadomo most ten ozdabiają przepiękne figury aniołów, dłuta Beruiniego. Nieporównany właśnie widok otwiera się na most i zamek z niewielkiej uliczki „Via Banco S. Spirito". Do podobnych efektów artystycznych dążył rząd włoski. Zaczął jednak od tego, że zburzył po przeciwnej stronie Tybru część starożytnego kościoła S. Spirito, oczywiście najniepotrzebniej, gdyż właściwie przeprowadzeniu mostu nie przeszkadzał zupełnie. Następnie sam most wzniesiony został z ciosowego kamienia z szeregiem figur i grup plastycznych, na wzór mostu Ś. Anioła. Ale znowu starano się wielkością rzeźb przegłuszyć piękno tamtego pomnika, osiągając wręcz przeciwne rezultaty. Natomiast drugi most, przy wystawie etnograficznej, zbudowany w konstrukcyi żelazo-betonu, prosty i celowy, jest dużo lepszy i naprawdę ma cechy monumentalnej prostoty.

Szkoda tylko, że ładny ten most otwierał wejście do brzydkiej wystawy etnograficznej. Złożyło się na nią kilkadziesiąt mniejszych i większych budynków, będących kopiami zamków, pałaców i kościołów z różnych prowincyi włoskich, które w ten sposób były reprezentowane. Oprócz nich jednak, główny pawilon, teatr i budowle wejściowe pełniły niejako rolę gospodarzy wystawy. W architekturze tych budynków wystąpiły niestety typowe cechy włoskiej sztuki budowniczej znowu w jaskrawy

sposób. Pretensyonalność i nieszczery patos robiły komiczne wrażenie, zwłaszcza wobec szeregu popodpieranych kolumn, gdyż budynki te mimo półrocznego żywota chorują już na uwiąd starczy. Główny pawilon miał przedstawiać stroje i ubiory całego półwyspu. Kolekcya taka sumiennie zebrana, mądrze i poglądowo ułożona, mogła istotnie dać niezmiernie ciekawy obraz smaku i gustu ludu włoskiego. Cóż kiedy nie zadano sobie tego trudu. Zebrano dorywczo pewną ilość ubiorów, dość znaczną co prawda, ale daleką jeszcze od całokształtu stroju włoskiego. Przytem tej nawet kolekcyi nie umiano dobrze ugrupować, tak, aby istotnie ilustrowała obecną modę ludu apenińskiego.

Pewnego smutku i goryczy doznaje się, chodząc po Rzymie i napotykając co krok blizny i szczerby w obrazie ulicznym, widząc przytem coraz bardziej rozszerzającą się krzykliwą tandetę nowoczesną. Czasem tylko, gdy łagodny zmrok wieczorny osłoni te okaleczenia, wieczne miasto odzyskuje gdzieniegdzie swój dawny piękny wygląd.

* * *

Ponad Pinciem gasły zwolna purpurowo-złotawe brzaski zaszłego już słońca, a na niebie grały coraz to bledsze tony czystego seledynu. Ostatnie tchnienia konającego dnia padały właśnie na maleńką wysepkę Tiberinę, dziwnym grymasem natury osadzoną pośród mętnych wód leniwego Tybru. Niewielki plac przed kościołem był prawie pusty. Cisza i spokój, służebnice nocy, zaczęły już nawoływać do odpoczynku. W ubogim domu, tworzącym bok placu, pod przymkniętymi nawpół oknami suszyła się rozwieszona bielizna, nieporuszana najmniejszym powiewem. Czasem ciemna sylwetka przemknęła na jaśniejszem tle domów. W jednym rogu rozbawione dzieci kończyły już swoje całodzienne zajęcia. I zwolna było na maleńkim placu coraz puściej i coraz ciszej. Z zacisznej osamotniałej już świątyni wysunął się zakonnik w bronzowym habicie. Usiadł na stopniach wejścia i przesuwał zwolna ziarna różańca. A na szarzejącem łagodnie tle nieba ukazał się mleczno-srebrzysty krąg miesiąca.

Fr. Klein.

Organizacya adoracyi wśród kobiet polskich.[1])

Nieprzerwanym szeregiem snuje się przez wieki pochód czcicielek Przenajśw. Sakramentu.

Początek jego zarysowuje się na tle zimowego palestyńskiego nieba w blasku cudownej gwiazdy świecącej nad Betleemską stajenką; tam u żłóbka klęczy pierwsza Adoratorka Słowa wcielonego, najdoskonalszy wzór uwielbienia, wynadgradzania, dziękczynienia — bacznego wsłuchiwania się w tajemniczą mowę Boga ukrytego pod wątłą postacią niemowlęcia. Ona w sobie urzeczywistnia, jednoczy, podnosi do niedostępnej nawet dla Aniołów doskonałości wszystkie cechy czci i miłości, jakie w ciągu wieków odznaczać będą liczne typy czcicieli i czcicielek Przen. Sakramentu.

Z Maryi i przez Maryę spłynie na kobiety przywilej otoczenia osoby Słowa wcielonego objawami gorącej i nieustannej adoracyi. Jeszcze Jezus działa wśród ludzi, Marya zaś usuwa się na bok w cieniu rosnącej jego postaci, gdy tworzyć się zaczyna orszak wiernych czcicielek niosących mu w ofierze mienie i życie — a nadewszystko dusze i serca. Dwa typy wyróżniają się między niemi: zapobiegliwej o Jego doczesne potrzeby Marty i pogrążonej przed Nim w adoracyi Maryi; gdy zaś posłannictwo Jezusa dobiegnie kresu, w godzinę znieważ i męki staje znowu na czele pochodu, ta, która była pierwszą Jego adoratorką

[1]) Referat, mający być wygłoszonym na Kongresie eucharystycznym w Wiedniu.

u żłóbka jako najszczytniejszy symbol współczującej adoracyi. Atoli między Matką Boleści a łzami zalaną Maryą Magdaleną wysuwa się na drodze kalwaryjskiej jeszcze typ jeden: oto Weronika spieszy na otarcie Jezusowi skrwawionego i znieważonego oblicza; wspaniały to wzór nieustraszonego zadośćuczynienia dla wszystkich czcicielek tak często w Hostyi Św. znieważanego także Zbawiciela.

Z chwilą wniebowstąpienia rozpoczyna się drugi okres wcielenia Słowa mający trwać już do końca świata, okres Jego wcielenia w Przen. Sakramencie Ołtarza. I tu Jezus pragnął mieć za pierwszą swą adoratorkę tę, która dając mu życie dostarczyła Mu substancyi na Przen. Sakrament; Marya po Jego odejściu pozostaje na ziemi, nietylko ażeby pouczać powstający Kościół o czynach swego Boskiego Syna, nietylko ażeby przyświecać garstce wiernych jako najdoskonalsze odbicie życia Jezusowego, ale nadto, aby być „tą pierwszą żywą lampką płonącą przed pierwszem tabernakulum", pierwszą Jezusa utajonego czcicielką. I nie brakło z pewnością wśród gminy Jerozolimskiej, w najbliższem otoczeniu Najśw. Matki wzorujących się na Niej adoratorek, nie brakło miłujących serc niewieścich i rąk troskliwych o zewnętrzną cześć sakramentalnych postaci — dostarczających pierwszych przyborów do sprawowania Najśw. Ofiary. Czem był Przen. Sakrament w Katakumbach w życiu gminy rzymskiej wiadomem jest powszechnie; on był tem winem cudownem, które zrodziło ŚŚ. Agnieszki, Cecylie, Felicyty i tyle innych. Zwyczaj ówczesny pozwalał na przechowywanie w niektórych domach prywatnych Chleba Anielskiego; można więc na pewne utrzymywać, że w nich zakiełkowała owa nieustanna adoracya, którą podjąć miały wiele wieków później niektóre zakony żeńskie . . . . . W czci tej brały przedewszystkiem udział te, które stały na straży domowego ogniska t. j. kobiety rzymskie; *lary i penaty* zastąpił teraz u nich Święty Świętych, przed Nim więc korzyły się w uwielbieniu, dziękczynieniu, wynagradzaniu za nienawiść pogańskiego świata.

I rośnie ten orszak czcicielek Przen. Sakramentu na ziemi

i w niebie z każdym wiekiem; wydaje ich szczodrze w wiekach średnich ziemia włoska. Św. Katarzyna z Sienny, św. Róża Limanska, św. Aniela z Toligno są na wzór Maryi gorejącemi lampami przed Najśw. Sakramentem ołtarza. Św. Klara broniąca z monstrancyą w ręku rodzinnego miasta jest symbolem głębokiej wiary w potęgę Eucharystyi.

Ale i północ wyda niebawem apostołki czci Eucharystycznej.

Gdy Pan Jezus uzna za stosowne objawić Kościołowi potrzebę zaprowadzenia osobnego święta Przen. Sakramentu, to jakież obierze Sobie ku temu narzędzie? Oto cichą zakonnicę z Leodium, pogrążoną w adoracyi u stóp tabernakulum, Juliannę. Wytłómaczywszy jej, że Wielki Czwartek nie wystarcza na obchodzenie przedziwnej tajemnicy Jego miłości, gdyż na W. Czwartek spada cień smutku od Getsemani i Kalwaryi, a tajemnicę tę winni ludzie święcić w tryumfie i radości, odkrywa jej cele mające przyświecać zaprowadzeniu tej nowej uroczystości: 1-o, aby wiara w tę św. tajemnicę była nieustannie odżywianą; 2-o, aby ludzie miłujący prawdę i cnotę znaleźli w tem święcie nowe siły i światło; 3-o, aby nieuszanowanie i bezbożność codzienna były odpokutowane i naprawione. W objawieniach tych Pana Jezusa danych kobiecie tkwi w zarodzie racya bytu wszystkich następnych, publicznych manifestacyi eucharystycznych, dla spełnienia tych zadań i myśmy się na obecnym kongresie całego świata zebrali!

Ale nie zakończy się na tem poselstwo kobiety od utajonego w Najśw. Sakramencie Zbawiciela. Potrzebę zaprowadzenia osobnej czci Najsłodszego Swego Serca jako przeciwdziałanie szerzącej się w w. 18 obojętności religijnej objawi Małgorzacie Alacoque, znowu tej, która dnie i noce spędza u stóp ołtarzy, objawi najczęściej w czasie wystawienia w monstrancyi; znika nagle Hostya św., a Pan Jezus ukazuje się z sercem przebitem skarżący się, że On, co „pragnie być kochanym w Przen. Sakramencie, tak mało odbiera tam właśnie miłości od ludzi — najczęściej obojętność i nieuszanowanie“ — jak gdyby chciał zaznaczyć, że Eucharystya to nietylko On sam ale i najpromienniej-

szy wypływ Jego Serca! Jakżeż nie wspomnieć przy tej sposobności jeszcze o drugiej na ziemi francuskiej czcicielce Przen. Sakramentu, którą Episkopat francuski pragnie wynieść na ołtarze, o tym Serafinie Eucharystycznym, jakim była zmarła 1842 r. Marya Eustella uboga szwaczka, którą Pan Jezus drogą krzyża i przedziwnych objawień prowadził na coraz wyższe szczeble świętości. Żarliwy płomień miłości dla Przen. Hostyi, jaki ożywiał to serce, dziś jeszcze promienieje z przepięknych listów i zwierzeń, które niedawno ogłoszono drukiem. Wreszcie, ów najświeższy rozkwit czci Eucharystycznej, jakiego jesteśmy uczestnikami, owe wspaniałe teoforyczne procesye, owe zjazdy i obrady, których przedmiotem, celem, duszą Przen. Sakrament, owe kongresy Eucharystyczne świadczące, że Chrystus „*regnat et imperat*“ katolickiemu światu, czemuż je zawdzięczamy? Oto natchnieniu danemu znowu kobiecie, a wiernej jego czcicielce Teresie Tamisier! Na dowód zaś, że nabożeństwo do Najsłodszego Serca było jednym z momentów w rozwoju czci Eucharystycznej i w ścisłym z nią pozostaje związku Teresa Tamisier odbiera to natchnienie tam, gdzie miały miejsce objawienia Małgorzaty Alacoque: w Paray Lemonial, w dzień uroczystego poświęcenia Francyi Sercu Jezusowemu w r. 1872. Objawienia te, znaczące niejako etapami rozwój czci Przen. Sakramentu — przez Kościół św. sprawdzone i przyswojone — były przywilejami jednostek. Splata je pomiędzy sobą nieprzerwany łańcuch czcicielek różnych narodowości i stanów snujący się przez wieki aż po nasze czasy. Bulla Klemensa VIII. o Nieustającej Adoracyi, utworzenie się pierwszych bractw Przen. Sakramentu stały się dla liczniejszych zastępów kobiet podnietą do nowych objawów czci i miłości dla utajonego pod Sakramentalnemi postaciami Zbawiciela. Żywo zawsze przez niektóre dusze odczuwane pragnienie cichej adoracyi, dłuższego przebywania u stóp Pana Jezusa, wynagradzania mu za opuszczenie, jakiego doznaje w swych przybytkach zaczyna skupiać coraz więcej dusz tej myśli wyłącznie oddanych; tworzą się pierwsze, stałe organizacye nieustającej adoracyi. Zadanie to podejmują zakony żeńskie: Benedyktynek od Najśw. Sakramentu we Francyi, później

we Włoszech Franciszkanki. Ale cześć adoracyjna jeszcze nie równie szersze miała zatoczyć kręgi. Ziemia, która wydała apostołkę uroczystości Bożego Ciała, miała również wydać pierwszą organizatorkę dzisiejszych bractw i arcybractw nieustającej Adoracyi wspomagania ubogich kościołów, miała zaświadczyć, że na ogół kobiet katolickich przeszedł z Maryii przez Maryę zaszczytny a błogosławiony obowiązek podtrzymywania ognia adoracyjnego u stóp ołtarzy pańskich; one to w obrządku religii objawionej mają być nowemi westalkami utrzymującemi Znicz święty już nie fizyczny, ale duchowy, jako na czcicielki w duchu i prawdzie przystało!

Przystępną stała się nowa organizacya dla wszystkich dusz czułych na głos Pana, odzywający się z tabernakulum, czułych na Jego opuszczenie i brak opieki ze strony ludzi, nie wprowadzała w kolizyę z żadnymi obowiązkami stanu, owszem nadawała życiu wśród rodzin i świata nowej siły, opromieniała je światłem, przysparzała mu obfitego błogosławieństwa Bożego! Przypadła ona na czasy wielkich religijnych spustoszeń, jaką fala rewolucyjna idąca od Francyi w sąsiedniej uczyniła Belgii, schodzi się zaś blisko ze śmiercią tej wielkiej miłośnicy Przen. Sakramentu, jaką była Marya Eustella. Tą, która tę organizacyę przeprowadziła była, to panna de Meüs. Uderzona ówczesnem ubóstwem wielu kościołów belgijskich zwiedza jeden po drugim; wszędzie prawie dotyka ją boleśnie brak opieki i obojętność ludzka na cześć zewnętrzną Pana Jezusa, przejmuje ją do głębi chłód, jaki Go otacza. Z początku spieszy sama z pomocą — sporządza i sprawia nowe aparaty, jednak siły jej wszystkiemu podołać nie mogą; trzeba zresztą pociągnąć jak najwięcej osób do zbożnego dzieła, trzeba, żeby Pan Jezus wszędzie, gdzie pod postaciami Eucharystycznemi przebywa, znalazł grono osób oddanych Mu, opiekujących się z miłością i uszanowaniem służącymi do jego kultu przyborami. Rozumiejąc, że takiej organizacyi potrzeba dać pewien stały punkt oparcia, stwarza p. de Meüs w r. 1848 osobne stowarzyszenie pań, do którego przystąpiło od razu 10 osób — wszystkie z kongregacyi Maryańskiej!

Siedzibą tego stowarzyszenia była Bruksella; gdy w lat

kilkadziesiąt później Leon XIII przeniósł ją do Rzymu, nadał jej w nagrodę nagromadzonych od założenia zasług tytuł „Prima Primaria". Belgia pozostała mimo to wierną ojczyzną kobiecych arcybractw adoracyi wynagradzającej; sama jedna składa obecnie u stóp Pana Jezusa przeszło dwa miliony godzin adoracyjnych rocznie — nie tylko zaopatrzyła wszystkie swoje kościoły i kaplice ale ona to głównie podtrzymuje Misye zagraniczne; dzieło panny de Meüs przynosi plon przechodzący najśmielsze jej nadzieje! Godna córka ziemi, która wydała Juliannę, podjęła nadto panna de Meüs t. zw. „*Oluvre des processions*" mającą na celu opiekę nad procesyami odbywającemi się poza obrębem kościołów; po raz pierwszy w roku 1853 przechodził Pan Jezus przez ulice Brukselli, dekorowane pracą i staraniem arcybractwa adoracyjnego. Zajęta rozszerzaniem swego dzieła na świat cały, nie traciła jednak założycielka z oczu żadnego szczegółu, przestrzegała skrupulatnie przepisów liturgicznych, dbała niezmiernie o estetyczny wygląd sporządzanych przez arcybractwo aparatów. Udawano się też do niej z różnych stron o radę i pomoc a potężniejące pod jej kierunkiem arcybractwo coraz większe zdobywało sobie uznanie; na znaczne ożywienie ducha katolickiego w Belgii nadzwyczajne rozkrzewienie się tamże arcybractw adoracyjnych nie pozostało z pewnością bez wpływu. Obdarzone najliczniejszymi odpustami, błogosławione wiele razy przez Leona XIII. i Piusa X. rozszerzyły się one obecnie na świat cały, wszystkie rządzą się tym samym statutem i korzystają z przywilejów głównego arcybractwa. Celem zaś ich, jak poucza belgijski podręcznik, jest, po 1-e, rozszerzać cześć, miłość i nieustanną adoracyę Przen. Sakramentu, po 2-e, wynagradzać za wyrządzane mu zniewagi, po 3-e, dostarczać ubogim kościołom potrzebnych do czci Bożej przyborów. W ten sposób pojęta missya arcybractw jest apostolską, wynagradzającą i wspomagającą czynnie zewnętrzną służbę Bożą. Jako apostolska musi obejmować coraz szersze kręgi, docierać do wszystkich warstw, nie może się ograniczać do samych kobiet, ale przedewszystkiem wejść w bliski kontakt z tymi, którym Bóg powierzył w szczególności straż Tabernakułów i dał moc przemiany chleba i wina w Ciało

i Krew Pańską, a więc z duchowieństwem katolickiem. Widzimy też istotnie na Zachodzie, w Belgii zwłaszcza, większość kapłanów zapisujących siebie i swoich parafian do arcybractwa, biskupi zaś belgijscy w uznaniu jego znaczenia i posłannictwa nadają wszystkim parafiom, expozyturom, kapliczkom nawet, gdzie się gromadzą w celu adoracyjnym członkowie tegoż arcybractwa, przywilej wystawienia raz na miesiąc Pana Jezusa w monstrancyi bez osobnego pozwolenia; nakładają zaś wszystkim proboszczom ubiegającym się o potrzebne im aparaty u arcybractwa, wyraźny obowiązek zaprowadzenia w swej parafii bractwa Przen. Sakramentu. Dla mężczyzn wpisanych do niego, a nie mogących dostarczać robót ręcznych, istnieje jednak powinność podtrzymywania pracy kobiet przez uiszczanie rocznej wkładki jednego franka, dla całkiem niezamożnych redukuje się ją nawet do 25 cent.; od kobiet żąda się wyraźnie dostarczania roboty kościelnej lub gotowego aparatu stosownie do tego, na co kogo stać.

Zapoznawszy się z ogólną działalnością kobiet w kierunku czci Eucharystycznej i stwierdziwszy świetny rozwój arcybractw adoracyjnych kobiecych za granicą, przypatrzmy się rozwojowi tej świętej pracy w naszym kraju. Należy podnieść przedewszystkiem, że cześć Przen. Sakramentu, jak cześć Maryi, zapuściła w Polsce od najdawniejszych czasów głębokie korzenie, rozrzewniające też po sobie zostawiła ślady. Najwspanialszym jej murowanym pomnikiem to świątynia Bożego Ciała w Krakowie, samem swem istnieniem świadcząca, jaki oddźwięk znalazło w Polsce ustanowienie uroczystości Bożego Ciała, jak dalece odpowiadała skłonnościom religijnym naszego narodu. Niema też w kraju naszym znaczniejszego kościoła, w którymby nie przechowywano wykonanych z pietyzmem i artystycznem poczuciem przez kobiety polskie ornatów, tuwalni, alb i t. p. Ileż utkały na ten cel przedziwnych osłon ołtarzowych, ileż pereł, i drogich kamieni złożyły na ich ozdobę pobożne ręce naszych Jagiellonek! Królowa Jadwiga nie tylko u stóp ukrzyżowanego, ale i u stóp Tabernakulum i w częstem przystępowaniu do stołu pańskiego

czerpała niezawodnie natchnienie i męstwo do swych wiekopomnych czynów . . . .

Gorącym czcicielem Przen. Sakramentu był jak wiadomo św. Kaźmierz — i na polskiej też ziemi wyrósł ten cudny kwiat czystości, ten czciciel Najśw. Panienki i Przen. Eucharystyi, Św. Stanisław Kostka.

Dzięki wielkiemu obrońcy Wiary katolickiej w Polsce, którego trzechsetletni jubileusz schodzi się blisko z tym kongresem, dzięki głębokiemu odczuciu potrzeb i natchnień św. Kościoła, jakie znamionuje księdza Piotra Skargę, zawiązało się w Polsce pierwsze Bractwo Przen. Sakramentu. Jak wielkie Skarga do czci tej przykładał znaczenie, jak wierzył w jej moc odradzającą, świadczy już to, że powróciwszy z Rzymu jako członek Zgromadzenia Jezusowego rozpoczął swą kapłańską działalność w Polsce od zaprowadzenia tegoż bractwa, a ponieważ Wilno było pierwszem główniejszem polem jego pracy — więc tam powstało pierwsze bractwo czcicieli Przen. Sakramentu. Wzoru dostarczył mu Rzym, gdzie przez lat kilka miał sposobność śledzenia rozwoju tamtejszego bractwa przy kościele S. Maria Sopra Minerva. Zawiązanie jego poprzedził kilkudniowemi uroczystemi rekollekcyami, — na nabożeństwa brackie osobną w kościele św. Jana przeznaczył kaplicę — i sam dla członków napisał obowiązujące ustawy. Obok przepisów odnoszących się bezpośrednio do czci Eucharystycznej silny położył w nich nacisk i na konsekwencye społeczne wypływające z kultu Eucharystycznego, a mianowicie na czynne i pełne miłości wspomaganie bliźnich i z tego to nawet powodu bractwo jego wileńskie nosiło nazwę Bractwa Przenajśw. Sakramentu i miłosierdzia. Czy następnie w czasie swej długiej działalności w Krakowie takież samo bractwo osobiście założył, brak nam na to dowodów, mamy jednak prawo przypuszczać, że bardzo dawne bractwo Przen. Sakramentu przy kościele św. Piotra, do wzniesienia którego tyle się Skarga przyczynił, gdzie spoczął na wieki, za jego podnietą lub może nawet na uczczenie jego pamięci zawiązanem zostało.

Nie ulega wątpliwości, że bractwa te polskie tak samo jak

rzymskie były dostępnemi dla obojej płci, że kobiety brały w nabożeństwach brackich gorliwy udział, a nadto trudniły się zaopatrywaniem kościołów w potrzebne szaty i przybory ręcznej roboty. Wiemy z listów Skargi, że właśnie w tem swojem apostolstwie Eucharystycznem, w urządzaniu czterdziestogodzinnego nabożeństwa, które on również na wzór rzymskich do Polski wprowadził doznawał od pań krakowskich wiele poparcia i zachęty.

Takie bractwa Przen. Sakramentu musiały istnieć niezawodnie po wszystkich większych miastach polskich; przyszły jednak na nie, jak w ogóle na wszystkie bractwa nie tylko u nas ale i w całej Europie, czasy zastoju i uśpienia. Indyferentyzm religijny z końca 18 i początku 19 wieku odbił się wszędzie i nie pozostał też bez wpływu na objawy czci Eucharystycznej.

Jednakowoż rozbudzenie się ducha religijnego na zachodzie w drugiej połowie ub. stulecia, rozkwit nabożeństwa Serca Jezusowego — ożywienie Sodalicyi Maryańskich, do czego przyczyniły się niewątpliwie głośne na świat cały objawienia i cuda w Lourdes, rozniecily i u nas żywszy płomień adoracyjny. Porównując daty założenia obecnych naszych bractw adoracyjnych, stwierdzamy, że większość ich zawiązała się już pod wpływem działalności arcybractwa panny de Meüs, a zarazem że najstarszem wśród nich jest arcybractwo lwowskie. Nosi ono dosłownie tę samą nazwę co belgijskie: Nieustającej adoracyi i niesienia pomocy ubogim kościołom. Że obecność we Lwowie Sióstr Franciszkanek i utrzymywana u nich adoracya nieustająca mogła tu dostarczyć podniety — zdaje się nie ulegać wątpliwości. Zawiązane dla ludzi w świecie żyjących, nie mogło się jednak oprzeć o zakon podlegający tak ścisłej klauzurze; — odpowiedniejszemi do prowadzenia działu robót kościelnych i gromadzenia Pań wydały się ks. Arcybiskupowi Wierzchlejskiemu Siostry Felicyanki niedawno we Lwowie osiadłe. Jednakowoż bractwo to doczekało się swego prawdziwego rozkwitu, w jakim je obecnie widzimy, dopiero wtedy, gdy zastęp pań świeckich z Jej Excellencyą panią Filipową Zaleską na czele ujął w swe ręce jego kierunek, doznając przytem od dzisiejszego

Arcypasterza lwowskiej dyecezyi serdecznego poparcia i czujnego duchowego kierunku. Przyrost członków jest też w tym okresie znacznie większym niż w poprzednim, powiększa się bardzo wydatność prac Arcybractwa. Najlepiej wykażą to cyfry: podczas gdy w przeciągu poprzednich 26 lat t. j. od 1869 do 1896 liczba członków ograniczała się do 288, wspomożono zaś 679 kaplic i kościołów — w ciągu następnych lat 15 t. j. od 1896 — 1911 zdołało arcybractwo zaopatrzeć 673 kościoły, sporządziło w swej pracowni 7.800 sztuk aparatów i bielizny kościelnej i liczy obecnie 4.865 członków. Obowiązki są tu te same, co w innych arcybractwach wzorujących się na belgijskich, mających dziś swą centralną siedzibę w Rzymie; a więc przedewszystkiem odprawianie godzinnej adoracyi raz w miesiąc i przyczynianie się pracą ręczną lub datkiem pieniężnym do zaopatrzenia ubogich kościołów i kaplic w potrzebne aparaty liturgiczne. Dla wspólnej adoracyi i Mszy św. gromadzi się arcybractwo w kaplicy Przen. Sakramentu w kościele archikatedralnym, gdzie w czwartki odbywa się z dawna uroczysta wotywa o Przen. Sakramencie z asystą i procesyą. Na wyłączne zaś intencye arcybractwa odprawia się Msza św. w każdą pierwszą niedzielę miesiąca o 7 rano i tegoż dnia po południu uroczyste nieszpory przed Panem Jezusem w monstrancyi, kończące się udzieleniem błogosławieństwa Przen. Sakramentem. Ponadto zachęca się członków do gremialnego udziału w procesyi Bożego Ciała i w czterdziestogodzinnych nabożeństwach. Zorganizowanej tu jednak służby adoracyjnej w czasie czterdziestogodzinnego wystawienia nie znachodzimy — nie wspomina również dostarczone nam sprawozdanie o obchodzeniu święta patrona dzieł Eucharystycznych św. Paschalisa. Podtrzymuje się natomiast rzewny a dawnym bractwom właściwy obyczaj towarzyszenia przy nadarzającej się sposobności kapłanom niosącym wiatyk do chorych. Czy bywa często wykonywanym nie wiemy — w każdym razie szczegół ten świadczy nie tylko o głębokiej czci Eucharystycznej ale i o wypływającej z tej czci chrześcijańskiej miłości bliźniego. Najżywiej i najskuteczniej zaznacza się jednak działalność pań arcybractwa lwowskiego w kierunku praktycznym. Doskonale

zorganizowana i oszczędnie przez pełną poświęcenia prezesową prowadzona pracownia głównie się do tego przyczynia ale i pokaźna liczba członków ułatwia niemało rozwinięcie szerszej niż gdzieindziej ofiarności na rzecz ubogich kościołów. Pomimo tak gorliwej pracy, pomimo, że liczba sporządzonych aparatów i bielizny dobiegła od r. 1896 pokaźnej cyfry 7.800 sztuk, arcybractwo nie było w możności sprostać wszystkim potrzebom rozległej archidyecezyi. Gdy się zważy, że tu najmniejszy kościółek — bywa nieraz ważnym posterunkiem w obronie katolicyzmu i narodowości, to trzeba przyznać, że arcybractwo swojem pracowitem zaopatrywaniem potrzeb kultu na tych wschodnich kresach spełnia wprawdziwie apostolską działalność i w myśl obranej dewizy „*pro Deo et patria*", zasługuje się wielce Kościołowi i Ojczyźnie. Dla zachęty i złożenia dowodów swej pracy urządza arcybractwo lwowskie w dniu św. Józefa lub Zwiastowania N. Panny doroczną wystawę aparatów liturgicznych, a równocześnie zwołuje się walne zgromadzenie, zagajane zwykle przez Najprzew. księdza Arcybiskupa, protektora arcybractwa, poczem następuje sprawozdanie kasowe, wymienia się zaopatrzone kościoły, stawia się wnioski tyczące się ulepszenia organizacyi i t. p.

Przesuwając się w kierunku geograficznym ze wschodu na zachód, zatrzymajmy się chwilę w Przemyślu, gdzie rozwija się coraz pomyślniej zaprowadzone tamże, czy zreorganizowane w r. 1903 bractwo Przen. Sakramentu. Trzeba jednak zaznaczyć, że działalność pań nie rozwija się tu oddzielnie; bractwo jest mieszane, a żywotność jego uwydatnia się przedewszystkiem w silnem rozgałęzieniu po całej dyecezyi. Cel tego bractwa jest niezawodnie ten sam co innych w kraju, jednakowoż i tytuł odmienny i niektóre szczegóły w ustawach każą się domyślać, że nie wzorowano się tu na arcybractwie rzymskiem — możnaby raczej przypuszczać, że odbył się tu wpływ dawnych bractw Skargowskich. Zawiązane dla najszerszych warstw, bractwo przemyskie uwzględnia pewne psychiczne właściwości naszego ludu: jego wrażliwość na ceremoniał kościelny, na uroczystość nastroju; nie poprzestaje się tu więc na wpisaniu nowych człon-

ków w poczet bractwa i zaleceniu im przystąpienia w tym dniu do ŚŚ. Sakramentów, ale zachowuje się przytem pewien uroczystszy ceremoniał, z jakim się nie spotykamy w innych bractwach, ale który z pewnością na ludzie naszym czyni silniejsze wrażenie. Jakoż, w istocie, rozciąga się przemyskie bractwo Przen. Sakramentu na coraz większą liczbę wiejskich parafii, obecnie należy ich do niego 312.

Wszędzie, gdzie jest, przyczynia się nietylko do podniesienia ogólnego poziomu religijnego, ale pod jego wpływem pogłębia się cześć Przen. Sakramentu, rośnie pociąg do adoracyi i rozmyślania u stóp utajonego Pana Jezusa. Podnieść tu należy, że i przedstawiciele naszych dworów biorą chętny udział w Eucharystycznych nabożeństwach; panie łączą się w procesyach z wieśniaczkami, występując tak samo jak i one z gorejącemi świecami w rękach.

Głęboko u naszego ludu zakorzeniona wiara sprawiła, że dekret o wczesnem prowadzeniu dzieci do Stołu Pańskiego chętniejszy znalazł u niego posłuch niż w warstwach inteligencyi miejskiej skłonnej do tego, ażeby na osobistym polegać sądzie, w dyecezyi przemyskiej zauważono nadto, że tam, gdzie istnieją bractwa Eucharystyczne, dekret ten został jeszcze lepiej odczutym i chętniej wykonanym niż gdzieindziej.

Co się tyczy działu robót, to ten pozostaje głównie w rękach pań przemyskich; każdego roku sporządzają kilka ornatów i sporo bielizny kościelnej na wspomożenie uboższych parafii, jednakowoż i bractwa parafialne wiejskie poczuwają się do pewnej ofiarności w tym kierunku, a środków finansowych dostarczają również i mężczyźni, zwłaszcza w czasie rekolekcyi wielkanocnych płynie dość obfita składka na ten cel.

Nie ogranicza się na samych robotach czynność pań przemyskich; zrozumiały one, że tak roboty jak udział w nabożeństwach brackich powinien być wypływem wewnętrznej i wzmagającej się ciągle gorliwości. Ich też prośbom i staraniom zawdzięcza Przemyśl całodzienne wystawienie Przen. Sakramentu w kościele pojezuickim w dniu Najśw. Serca Jezusowego. Biorą też liczny udział w adoracyach odbywających się cztery razy do roku,

belgijskim; statut krótki, nakładający tylko dwa ścisłe obowiązki odpowiadające duchowemu i praktycznemu celowi wyrażonemu w samej nazwie: t. j. jedną godzinę adoracyi na miesiąc i przyczynianie się do zaopatrywania ubogich kościołów. Ale szerokie pole zostawione jest gorliwości tak poszczególnych członków, jak zarządu, czuwającego nad jego czynnościami i rozwojem.

Przypatrzmy się najpierw zewnętrznemu stanowi arcybractwa krakowskiego: założone przez ś. p. księcia kardynała Dunajewskiego w r. 1885, liczy już lat 27 istnienia; za rządów księcia kardynała Puzyny, pod kierunkiem dostojnego dyrektora ks. Biskupa Nowaka dojrzało w niem poczucie swego posłannictwa i rozszerzył się zakres jego działania. Zrazu obejmujące tylko Kraków i osoby większą część roku w nim spędzające, od 1899 rozszerza się coraz bardziej na dyecezyę. Propagandę spełniają tu głównie aparaty liturgiczne, dostarczane przez panie, szyte przez SS. Felicyanki, a co rok po walnem zgromadzeniu i wystawie rozdzielane w stosunku do napływających próśb przez Najprzew. księdza Biskupa.

Księża proboszczowie nadsyłają nam spisy członków pozyskanych dla arcybractwa i stosownie do możności pewne kwoty w zamian za otrzymane dary. Należy jednak podnieść, że wpisywanie się do arcybractwa nie jest dotąd w naszej dyecezyi obowiązującem, jak to widzimy w Belgii,—zdarza się, iż jakaś parafia po kilka razy korzysta z ofiarności krakowskiego arcybractwa, a mimo to nie przysparza mu członków — jakkolwiek trudno się tu ubóstwem parafian zastawiać, gdyż dla uboższych wkładka roczna może być i do 20 hal. zniżoną. Mimo to przyrost członków zamiejscowych stale się z roku na rok powiększa; od roku 1903 zaczęto nawet prowadzić spis ich osobno; dobiega obecnie 1600 członków, co oczywiście w porównaniu z tem co wykazują Przemyśl i Tarnów jest jeszcze stanowczo za mało. Niestety i przyrost miejscowych członków nie odpowiada oczekiwaniom — od paru lat; po odtrąceniu ubywających przez śmierć lub wyjazd — ogólna ich liczba nie przenosi dwustu — a czasem schodzi poniżej. W tych warunkach ofiarność arcybractwa nie może się rozwijać na taką skalę jak we Lwowie lub w Tarnowie, tembardziej, że

wkładka dla członków miejscowych wynosi tylko 2 kor.; wprawdzie znaczna część składa dobrowolne naddatki, nie dorównywa to jednak temu, coby się przy większej ilości członków uzyskać i zdziałać mogło. Ilość i wartość robót pozostawiona jest uznaniu samych członków, z czego znowu wynika, że niektórzy o tym obowiązku zapominają, a przecież należy on do najistotniejszych zadań arcybractwa adoracyjnego! Mimo tych trudności obdziela się co rok około 20 kościołów parafialnych—czasem i niektóre poza dyecezyą — wysyłałyśmy już nasze ornaty do dalekich kościółków kolonii syberyjskich, korzystały z naszych darów biedniejsze kapliczki dobroczynnych zakładów. Ogólna cyfra rozdanych w ciągu ostatnich czterech lat aparatów i bielizny kościelnej wynosi 926 sztuk.

Mniej liczne, mniej rozgałęzione, mniej hojnie wspomagające od innych żyje jednak arcybractwo krakowskie dość pełnem życiem jak się to już powyżej zaznaczyło; działalnością adoracyjną i apostolską stara się dopełnić to, czego mu nie dostaje w kierunku praktycznym t. j. pod względem ofiarności materyalnej i liczebnego przyrostu członków.

Nie tylko adoracye nasze są dobrze zorganizowane, ale i żadne nabożeństwo Eucharystyczne nie jest zaniedbywane; Msza św. na intencyę arcybractwa w pierwszy Czwartek każdego miesiąca odprawiana gromadzi zawsze liczny zastęp pań garnących się w czasie niej do Stołu Pańskiego. Adorujemy we wszystkich kościołach parafialnych podczas 40-sto godzinnego wystawienia nawet wtedy, gdy te nabożeństwa w krótkiej przerwie po sobie następują. W czasie ostatków odbywa się adoracya Pań równocześnie w dwóch kościołach, bo w świątyni Maryackiej i w kościele SS. Felicyanek; widzi się między temi adoratorkami i osoby młode, które ogólny podówczas pęd do zabaw mógłby pociągnąć — one zaś w skupieniu przepraszają Pana za zniewagi, które Mu rozszalały świat w dnie te zadaje.

Odczuwając ogrom krzywd wyrządzanych Panu Jezusowi na całym świecie, a rozumiejąc jaka potęga tkwi w wspólnej modlitwie, jakim doniosłym aktem wynagradzania jest sam fakt gromadzenia się kilkudziesięciu osób w celu publicznego uwiel-

biania, dziękczynienia, przepraszania, odbywamy w drugi czwartek każdego miesiąca, od dłuższego już lat szeregu wspólne adoracye pod przewodnictwem kapłana — (czasem naszego dyrektora Najprzew. Księdza Biskupa Nowaka, o ile mu na to liczne pozwalają zajęcia,) obchodzimy zawsze święto patrona dzieł eucharystycznych, jakim jest prawdziwy czciciel Najśw. Sakramentu ubogi pastuszek hiszpański św. Paschalis Mszą św. i uroczystymi nieszporami; bierzemy coraz liczniejszy udział, w medalach i z gorejącemi świecami w ręku, w procesyi Bożego Ciała wyruszającej z katedry. Nigdy nie omieszkało nasze arcybractwo urządzić osobnych wynagradzających nabożeństw czy adoracyi w razie jakiego głośniejszego świętokradztwa lub zniewagi czy to w samym Krakowie czy gdziekolwiek indziej w naszym kraju. Silniejszy przypływ życia Eucharystycznego w wielkiej rodzinie czcicieli Przen. Sakramentu powodował zawsze i wśród nas pewne przyspieszenie tętna; wszelkie ze strony Stolicy św. rady i zachęty w tym kierunku uważny u nas znajdowały posłuch, śledziło się każdy nowy wykwit gorliwości eucharystycznej na zachodzie; z tego też wynikła inicyatywa naszego Arcybractwa w dwóch kierunkach:

Pierwsza z nich dotyczyła wprowadzenia w życie rozwijających się wspaniale na zachodzie, zwłaszcza w Belgii, zbiorowych, zawodowych adoracyi, są one najpiękniejszym protestem przeciw dowodzeniu, jakoby warstwy pracujące coraz bardziej odpadały od Kościoła. Licznie i coraz silniej rozwijające się u nas związki zawodowe pozwalały na zorganizowanie takich adoracyi w peryodycznych odstępach czasu także w Krakowie. Jakoż myśl rzucona na jednem z walnych dorocznych zebrań arcybractwa Pań znalazła pożądany oddźwięk. Dzięki poparciu duchownych kuratorów i przewodniczących stowarzyszeń tak męskich jak żeńskich zgłosiło się do zbiorowych adoracyi około 8 stowarzyszeń. Najgoręcej wzięły sobie tę sprawę do serca te, w których łonie istnieją Sodalicye Maryańskie — rozebrano więc między siebie miesiące roku i kolejno adorują: stowarzyszenie uczni rękodzielniczych, stowarzyszenie służących pod wezw. św. Zyty, pracownice fabryki cygar, sodalicya pracownic fabryki tutek,

stowarzyszenie pracownic konfekcyi damskiej, stowarzyszenie pań nauczycielek, stowarzyszenie pań urzędniczek. Przyłączyło się do organizacyi zbiorowych adoracyi także Arcybractwo Matek chrześcijańskich. Skutki tych adoracyi są widoczne i napełniające radosną otuchą; jak z jednej strony są objawem potężniejącego wśród nas ruchu eucharystycznego, tak z drugiej strony przyczyniają się do podsycania czci Przen. Sakramentu w organizacyach katolickich i u jednostek do nich należących.

Podniosło się już powyżej, że głównego poparcia w szerzeniu wynagradzającej adoracyi doznaje arcybractwo od kongregacyi maryańskich; one też i Arcybractwo Matek chrześcijańskich najliczniejszych dostarczają mu członków; z kongregacyi Pań 57 należy do Arcybractwa. Cześć Maryi prowadzi niechybnie do czci Eucharystycznej. Marya pierwsza czcicielka Przen. Sakramentu, Marya Matka Jezusa Eucharystycznego pociąga swe dzieci do stóp ołtarzy, na których przebywa Jej Syn najmilszy pod sakramentalnemi postaciami. Ale i Matki chrześcijańskie, chcąc spełnić swoje szczytne powołanie, nie mają piękniejszego wzoru ani pewniejszej przewodniczki nad tę, która wypielęgnowała i wychowała Jezusa. Ich także głos Najśw. Matki zawezwał do stóp tronu Eucharystycznego dla wynagradzania Bogu za obojętność tylu innych matek, za odpadanie od Boga licznych zastępów młodzieży — dla wyproszenia sobie sił do ciężkich w obecnych czasach zadań, a dzieciom swym zamiłowania i błogosławieństwa Bożego. Nikt zresztą w rodzinie stać się nie może apostołką czci Eucharystycznej tak jak matka; a jakżeż ma nią być, jeżeli sama nie bierze udziału w objawach czci Eucharystycznej? Odkąd zwłaszcza Ojciec święty zawezwał do jak najwcześniejszego prowadzenia dzieci do Stołu Pańskiego, odtąd adoracye zbiorowe maluczkich musiały wejść w życie, ale związek ich z adoracyami matek jest niezbędny. Dziecko adorujące u stóp ołtarza pociągnie za sobą i matkę; matka zaś mająca zwyczaj adorowania, nawiedzania często wystawionego w monstrancyi Zbawiciela, sama niezawodnie poprowadzi swe dziecko do zbiorowej adoracyi dziecinnej, a przedewszystkiem nauczy je biedz często do Pana Jezusa, składać Mu hołdy nie-

winnej duszy, powierzać Mu swe nadzieje i troski. W istocie dwie te adoracye weszły prawie równocześnie w życie; matek odbywa się w niedzielę poświęconą Św. Rodzinie zatem w styczniu, dziecinna zwykle w miesiącu Maryi t. j. w maju; życzyć sobie tylko trzeba, żeby tak jedne jak drugie bywały coraz liczniejsze a zadzierzgnięty w dzieciństwie stosunek uwielbienia i miłości do Pana Jezusa Eucharystycznego przetrwał wszelkie życiowe burze, wnosząc w dusze światło i podnietę do wszystkiego, co wielkie i święte.

Adoracye zawodowe doczekały się wkrótce dalszego rozszerzenia, w czem ruch Eucharystyczny za granicą i nie dalej jak w Wiedniu dostarczył wzoru i zachęty; mianowicie rok temu Arcybractwo nasze poddało znowu myśl urządzenia krótkich, kolejnych zbiorowych adoracyi w niedzielę zapustną; większość stowarzyszeń biorących udział w miesięcznych zawodowych adoracyach pospieszyła na to wezwanie i zapoczątkowało się w ten sposób pierwsze zbiorowe zapustne adoracye w kościele maryackim. Wreszcie podnieść należy, że postanowienie rozciągnięcia opieki nad procesyą Bożego Ciała i pobudzenia ludności do pełnego uszanowania nastroju, do wznowienia zaniechanego już zwyczaju dekorowania domów, wyłoniło się również na dorocznem walnem zgromadzeniu Arcybractwa ub. roku. Sodalicye męskie zajęły się gorliwie przeprowadzeniem odpowiedniej w tym celu akcyi, która też w tym roku podobnie jak w zeszłym pomyślne wydała wyniki. W ten sposób i drugi kierunek działalności panny de Meüs, o którym wspomniało się na początku, t. j. l'oeuvre des processions został wreszcie i u nas podjętym i wprowadzonym w życie.

Objęliśmy pobieżnym rzutem oka działalność eucharystyczną kobiet w naszym kraju, idąc od wschodu ku zachodowi i zatrzymaliśmy się na Krakowie; nie byłby jednak ten obraz zupełnym, gdybyśmy pominęli inne dzielnice Polski — Warszawę, Wilno, Poznań.

Niestety, co do tej kolebki bractw Przenajśw. Sakramentu w Polsce, jaką jest stolica Litwy, nie podobna było zebrać jakie-

gokolwiek materyału. I co do Warszawy musimy niestety poprzestać na bardzo niedokładnych ustnych szczegółach. Czy obecnie działające tam bractwo stoi w związku z jakiem dawniejszem — rodzimem i tylko uzupełniło swą działalność pod wpływem bractw adoracyjnych, czy jest całkiem na wzór ostatnich i jak dawno założonem, tego nie wiemy — to tylko zdaje się być pewnem, że słynna ofiarność pań warszawskich zaznacza się silnie także w kierunku zaopatrywania ubogich kościołów, że panie zbierają się na wspólne roboty, że obserwują najważniejsze nabożeństwa brackie. Z relacyi zbyt skąpych niestety, jakie mię doszły, możnaby jednak wnosić, że niejedno należałoby jeszcze zrobić dla ożywienia duchowej działalności wśród warszawskiego bractwa. Wierzymy silnie, że przejąwszy się gorącej swą apostolską misyą przyczyniłoby się do pogłębienia ducha religijnego w społeczeństwie warszawskiem i poparłoby cicho a skutecznie ciężką i z tyloma trudnościami potykającą się pracę tamtejszego katolickiego duchowieństwa. Zwracając wreszcie oczy w stronę najdawniejszej dzielnicy Polskiej, znachodzimy w Poznaniu czynne już od r. 1881 i podobnie jak lwowskie, krakowskie, tarnowskie do rzymskiego afiliowane Arcybractwo nieustającej adoracyi i wspomagania ubogich kościołów. Z Poznania rozszerzyło się w krótkim czasie na całą dyecezyę gnieźnieńsko-poznańską; liczy obecnie 4.000 członków. Stan jego co do udziału członków i obrotu kasowego wykazuje pewne analogie z krakowskiem, piszą nam bowiem, że parafie nie uiszczają się stale i regularnie z dorocznej wkładki, z drugiej jednak strony przybywają nowi członkowie i w wielu parafiach utrzymała się wspólna godzina adoracyi w jedną z niedziel miesiąca. Działalność pań zaznacza się głównie w dostarczaniu aparatów liturgicznych do najuboższych kościołów dyecezyi, posiadają też podobnie jak we Lwowie własną kościelną pracownię. Przez lat 32 wykonano w niej i rozdano 582 ornatów, 127 kap, 8 baldachimów, 212 komż, drobnej bielizny kilka set tuzinów. Dwa razy wysyłało arcybractwo liczne dary Ojcu Św.; w roku 1908 otrzymało za swe ornaty złoty medal uznania. Zaopatrywało oprócz tego wprost misye zagraniczne już kilka razy,

między innemi ofiarowało kuferek misyjny z wszystkimi przyborami do odprawiania Mszy św. na jakiemkolwiek miejscu. Niezwykle czynne w kierunku praktycznym, jak świadczą powyższe szczegóły, arcybractwo poznańskie podejmywało się nadto zamówień na szaty liturgiczne po niskich cenach, wszelki zaś zysk, jaki tą drogą wpłynął, obracało na rzecz ubogich kościołów. Cześć swoją dla Przenajśw. Sakramentu i przejęcie się ważnością adoracyjnych obowiązków zaznaczały panie poznańskie gorliwym udziałem w Mszy św. na intencyę arcybractwa odprawianej, w całodziennej adoracyi odbywającej się w drugi czwartek miesiąca, wreszcie we wszystkie piątki uczestnicząc w uroczystych nieszporach, na zakończenie których w obecności wystawionego Pana Jezusa odmawia się akt przeproszenia i udziela się błogosławieństwa Przen. Sakramentem.

Na tem zakończyłby się przegląd naszych bractw i arcybractw polskich adoracyjnych. Zogniskowana w nich działalność nie wyczerpałaby jednak wszystkich objawów czci dla Przenajśw. Sakramentu ze strony kobiety polskiej. Widzimy ją przy mnóstwie innych drobniejszych ognisk strzegącą świętego ognia miłości i adoracyi dla Pana Jezusa utajonego pod sakramentalnemi postaciami. Do tej gorliwości pobudza znowu, jak się to już tyle razy zaznaczyło — Matka Najświętsza. Można śmiało powiedzieć, że niema prawie ani jednej kongregacyi Maryańskiej tak męskiej jak i żeńskiej, tak po większych miastach jak po prowincyonalnych miasteczkach, któraby nie wytworzyła w swem łonie kółka Eucharystycznego; te kółka skupiające najdzielniejsze siły kongregacyi stają się jakby sercem rozprowadzającem życie i ciepło po całym organizmie, jakim jest sodalicya, organizm to zaś coraz więcej skomplikowany, te szeregi dzieci Maryi różnych warstw, zawodów, różnej płci; z każdym rokiem rosną ich zadania, wzmagają się ich obowiązki, powiększa się odpowiedzialność społeczna, narodowa, religijna. Skąd czerpać siły do posłannictwa wobec otoczenia, do uporania się z trudnościami we własnem wnętrzu? Zaprawdę tylko z pomocą Maryi u stóp Jezusa w tabernakulum lub w monstrancyi i w czę-

stej Komunii świętej. Tam moc ożywcza, tam światło, tam wytchnienie, tam także miejsce zadośćuczynienia za własne uchybienia i za zniewagi wyrządzone Świętemu Świętych przez bliskich, przez społeczeństwo, przez świat cały.

Że tak jest, że głównie tam znaleźć można to wszystko, odczuwają najżywiej te, które najbardziej pracą obarczone, którym też najwięcej potrzeba pokrzepienia i odświeżenia duchowego. Stąd zapał Eucharystyczny, jakim się odznaczają Sodalicye nauczycielek i urzędniczek. Kto wie, jak mało pozostaje tym paniom chwil wolnych do wypoczynku, ten ukorzyć się musi przed tą gorliwością wytrwałą a ofiarną. I jest w niej jakiś dźwięk radosny, świadczący, że Eucharystyczna cześć odpowiada ich najgłębszym potrzebom, że jest dla nich ożywczem tchnieniem, jasnem promieniem na tle szarego nieraz nieba. Nie dość było tym paniom pracy w dzień, adoracyi wspólnej czy osobistej, coraz częstszego podjęcia się w znacznej liczbie Komunij wynagradzających tak miesięcznych jak tygodniowych, one, co spoczywają właściwie tylko w nocy, garną się do nocnych adoracyi. W zeszłym roku było ich pięć, z tych trzy urządzone przez Kongregacyę Nauczycielek, dwie przez urzędniczą, wśród której zawiązało się niedawno Kółko Eucharystyczne.

Sekcya Eucharystyczna kongregacyi nauczycielek zawiązana w r. 1901 wzięła sobie także gorąco do serca i drugą powinność wszystkich bractw adoracyjnych, jaką jest zaopatrywanie ubogich kościołów. Nikt tak dobrze nie zrozumiał, że naturalnym wypływem uwielbienia, jakie się ma dla Pana Jezusa utajonego w Eucharystyi, to dbałość o cześć zewnętrzną i potrzeby katolickiego kultu. Nie szczędzi też w tym celu ofiar, czasu, pracy, zabiegów. Nie mogąc środkami członków wszystkiemu podołać, urządzała sekcya odczyty, koncerta, loteryjki. W ten sposób w r. 1911 zebrała 915 kor. 90 hal. na materyały do robót, wykonała i rozesłała 150 sztuk liturg. aparatów do 15 kościółków i kaplic w Galicyi wschodniej z tak wielkiem nieraz walczących ubóstwem i opuszczeniem a tak ważną spełniających misyę. W dostarczonem sprawozdaniu podnosi przewodnicząca sekcyi panna Meyerberg niezwykły zapał, z jakim należące do niej panie od-

dają się robotom kościelnym. „Ani odległość punktu zbornego, ani zła pora nie odstraszają tych dusz gorących od tygodniowych zebrań, utrzymując, że te kilka godzin spędzonych przy robocie dla ubogiego Pana Jezusa są dla nich najmilszem wytchnieniem po całotygodniowej wyczerpującej pracy. Obyż te słowa mogły się stać zachętą dla tych wszystkich pań należących do Arcybractw adoracyjnych, które mniej od pań nauczycielek obarczone pracą — nie umieją znaleźć czasu na roboty dla przybytków, w których Pan Jezus przebywa i służących do odprawiania Przen. Ofiary! Ale ruch Eucharystyczny w Kongregacyi nauczycielskiej ma jeszcze skądinąd doniosłe znaczenie; wszelka wielka miłość promieniejąc na zewnątrz przenika przedewszystkiem najbliższe otoczenie, ogrzewa bezpośrednio pole działania. Tem najbliższem otoczeniem dla nauczycielki to świat dziecięcy, wśród którego pracuje, któremu ma nietylko udzielać wiedzy przepisanej ale i tego wszystkiego co uszlachetnia i prowadzi do Boga. Nauczycielka-kongreganistka tych wyższych celów z pewnością nie spuści z oka; kongreganistka przejęta czcią Eucharystyczną zapragnie do czci tej zachęcić młode serca, nad wyrobieniem których pracuje, z któremi codziennie się styka. I oto, w jaki sposób rozwój sekcyi Eucharystycznej pań nauczycielek tłómaczy rozwój czci eucharystycznej wśród młodzieży szkół wydziałowych żeńskich. Poparciu i kierunkowi Wielebnych Księży katechetów zawdzięcza on niezawodnie wiele, zasług to jednak, jakie położyły około niego panie z kongregacyi nauczycielskiej, bynajmniej nie zmniejsza. 16.700 Komunii wynagradzających, około 5.000 godzin adoracyjnych wśród dziatwy szkolnej przez lat 7 t. j. od r. 1905 do 1912 oto wynik ich połączonych a tak szlachetnych i wytrwałych usiłowań, ich prawdziwej Eucharystycznej gorliwości!

Na tych pięknych i otuchy dodających objawach przerwiemy to pobieżne, a jednak już przewlekłe sprawozdanie.

Miałam zamiar dać mu napis: o działalności Eucharystycznej wśród kobiet polskich; tymczasem w programie sekcyi spotkałam się z innym dla niego tytułem: Organizacya adoracyi wśród kobiet polskich; zdaje mi się, że materyał tu przedstawio-

ny nie usprawiedliwia go dostatecznie. Organizacyi w ścisłem tego słowa znaczeniu niema między nami, jak jej niema właściwie w całym ruchu Eucharystycznym w naszym kraju. Pomiędzy poszczególnemi tego ruchu ogniskami brak porozumienia i wspólnej dyrektywy; osoby w nich pracujące o sobie nie wiedzą, nie korzystają wzajemnie z wyników swej pracy i doświadczeń, niema też między niemi a wielkiemi środowiskami czci adoracyjnej za granicą należytego łącznika. Brak także większego organu prasowego rozpatrującego zadania ruchu eucharystycznego, wskazującego mu otwierające się przed nim drogi, pouczającego o wszystkiem co się do niego odnosi tak w przeszłości jak w obecnej dobie, jak to spełnia ilustrowane francuskie pismo: l'Eucharistie. Prowadzenie takiego pisma to zadanie przechodzące siły jednego człowieka choćby najlepszą ożywionego wolą; tu trzebaby wciągnąć do pracy większy zastęp osób przejętych ważnością przedmiotu i znakomicie zapoznanych z wszystkimi objawami czci eucharystycznej; taki organ musiałby się oprzeć nietylko o najwyższe nasze duchowne powagi, ale i odpowiednimi finansowymi rozporządzać środkami.

Wszelka jednakowoż akcya musi znaleźć wśród społeczeństwa grunt należycie przysposobiony, potrzebuje gorętszego z jego strony odczucia i zrozumienia.

Trzeba niestety powiedzieć tu szczerze, że udział pań polskich z inteligencyi, ze sfer zamożniejszych w naszych arcybractwach adoracyjnych jest jeszcze bardzo słaby. Jeżeli weźmiemy pod uwagę arcybractwa lwowskie i krakowskie, gdyż na liczebną siłę przemyskiego i tarnowskiego składają się różne warstwy społeczeństwa, a przeważnie lud wiejski, to się pokaże, że w tych dwóch miastach liczba pań z klas wyższych, nie dochodzi nawet i dwóch tysięcy, bo na cyfrę 4.865 członków, jaką wykazuje sprawozdanie lwowskie, składa się niewątpliwie dużo po całej dyecezyi rozrzuconych. Przykro pomyśleć, że wśród pań zamieszkujących Kraków tylko dwieście uczuło potrzebę zapisania się do arcybractwa i że nowych tak mało przybywa. A przecież tyle osób mieni się u nas dobremi katoliczkami, tyle z nich przyjęło w rodowej spuściźnie tradycyę gorliwości o cześć Pana Jezusa

i słusznie niejedna mogłaby wykazać z dumą, ile jej babki a może jeszcze i matka łożyły na potrzeby kultu, na odnawianie lub wznoszenie świątyń, ile cudnych wypracowały własnoręcznie lub sprawiły liturgicznych szat i przyborów. Na równie wielkie ofiary z mienia i czasu mało kogo stać już obecnie, ale w szeregach tych, co stoją przy boku Pana Jezusa utajonego w Najśw. Sakramencie, powinnyby się znaleźć wszystkie te panie, co poczuwają się do tych pięknych narodowo-katolickich tradycyi. Życie staje się tak ciężkiem, tyle zadań doniosłych a trudnych ma do spełnienia każda Polka, a w czasach obecnych tem one trudniejsze im ona wyżej postawiona, im więcej społeczeństwo ma prawo od niej żądać. Gdzież znajdzie podporę, światło, odwagę jeżeli nie u Tego, Który z monstrancyi, z tabernakulum te same zlewa łaski i dary, co niegdyć w czasie swej ziemskiej po Palestynie wędrówki? Ale żąda też Pan Jezus Eucharystyczny w zamian, ażebyśmy przy nim wiernie stały i cześć Jego rozpowszechniały w około. Panie z wyższych warstw naszego narodu są powołane do tego, ażeby za przykładem dwóch dostojnych prezesowych lwowskiego i tarnowskiego objąć przewodnictwo kobiecych arcybractw w naszym kraju. Zachęcone ich gorliwością pójdą za niemi liczniejsze niż dotąd zastępy czcicielek Przen. Sakramentu.

Obyż ten kongres, który tyle osób z różnych stron Polski zgromadził, przyczynił się do rozbudzenia wśród pań naszych, wśród kobiet polskich w ogóle, poczucia obowiązku ciążącego na nich, ożywienia czci adoracyjnej w całym naszym tak bardzo duchowego odrodzenia potrzebującym narodzie! Kończę wnioskiem, ażeby obecne tu panie zaniosły do naszego najprzew. Episkopatu uniżoną prośbę o ujęcie sprawy ścisłej organizacyi adoracyjnej w swe ręce i ażeby raczył się zająć stworzeniem na wyższą skalę i szerszym wymaganiom odpowiadającego czasopisma eucharystycznego—społeczeństwo zaś nasze, zwłaszcza panie zobowiązały się je poprzeć usilnie i wytrwale.

Marya Straszewska.

Fakt powszechności religii w świetle pewności samorzutnej.

(Szkic z psychologii religii).

Fakt religijności człowieka od wieków już zwraca na siebie uwagę ludzi myślących. Nie znajdzie się chyba teoryi filozoficznej, pomijającej milczeniem ten rys znamienny życia ludzkości. W nowszych czasach niema dzieła z zakresu badań językowych, etnologicznych, socyologicznych, kulturalno-historycznych, któreby nie omawiało również religijności danego narodu, ludu, szczepu, w danej epoce rozwoju kulturalnego i historycznego. Liczy się z tym faktem teorya ewolucyi, o ile zasady swoje rozszerza na rozwój człowieka. Owszem usiłowaniom zwolenników powszechnej ewolucyi zawdzięczać trzeba szczególniejsze zajęcie się religią ludów dzikich, nie mających styczności z kulturą i oświatą ludów cywilizowanych, przedstawiających ich zdaniem typ t. zw. człowieka pierwotnego. Tworzono i tworzy się jeszcze mnóstwo teoryi, odnoszących się do genezy i rozwoju religii; powstają liczne próby psychologii religii, kreślone z mniejszem lub większem rozumieniem rzeczy, tendencyjne i uważające się za bestronne, przedmiotowe, naukowe. Powstała niedawno nauka, porównawcza religii, zależna pierwotnie całkowicie od etnologii, jako jeden z jej działów, usiłuje obecnie wyzwolić się i zająć stanowisko samodzielne, jako nauka odrębna.

i słusznie niejedna mogłaby wykazać z dumą, ile jej babki a może jeszcze i matka łożyły na potrzeby kultu, na odnawianie lub wznoszenie świątyń, ile cudnych wypracowały własnoręcznie lub sprawiły liturgicznych szat i przyborów. Na równie wielkie ofiary z mienia i czasu mało kogo stać już obecnie, ale w szeregach tych, co stoją przy boku Pana Jezusa utajonego w Najśw. Sakramencie, powinnyby się znaleźć wszystkie te panie, co poczuwają się do tych pięknych narodowo-katolickich tradycyi. Życie staje się tak ciężkiem, tyle zadań doniosłych a trudnych ma do spełnienia każda Polka, a w czasach obecnych tem one trudniejsze im ona wyżej postawiona, im więcej społeczeństwo ma prawo od niej żądać. Gdzież znajdzie podporę, światło, odwagę jeżeli nie u Tego, Który z monstrancyi, z tabernakulum te same zlewa łaski i dary, co niegdyć w czasie swej ziemskiej po Palestynie wędrówki? Ale żąda też Pan Jezus Eucharystyczny w zamian, ażebyśmy przy nim wiernie stały i cześć Jego rozpowszechniały w około. Panie z wyższych warstw naszego narodu są powołane do tego, ażeby za przykładem dwóch dostojnych prezesowych lwowskiego i tarnowskiego objąć przewodnictwo kobiecych arcybractw w naszym kraju. Zachęcone ich gorliwością pójdą za niemi liczniejsze niż dotąd zastępy czcicielek Przen. Sakramentu.

Obyż ten kongres, który tyle osób z różnych stron Polski zgromadził, przyczynił się do rozbudzenia wśród pań naszych, wśród kobiet polskich w ogóle, poczucia obowiązku ciążącego na nich, ożywienia czci adoracyjnej w całym naszym tak bardzo duchowego odrodzenia potrzebującym narodzie! Kończę wnioskiem, ażeby obecne tu panie zaniosły do naszego najprzew. Episkopatu uniżoną prośbę o ujęcie sprawy ścisłej organizacyi adoracyjnej w swe ręce i ażeby raczył się zająć stworzeniem na wyższą skalę i szerszym wymaganiom odpowiadającego czasopisma eucharystycznego—społeczeństwo zaś nasze, zwłaszcza panie zobowiązały się je poprzeć usilnie i wytrwale.

Marya Straszewska.

Fakt powszechności religii w świetle pewności samorzutnej.

(Szkic z psychologii religii).

Fakt religijności człowieka od wieków już zwraca na siebie uwagę ludzi myślących. Nie znajdzie się chyba teoryi filozoficznej, pomijającej milczeniem ten rys znamienny życia ludzkości. W nowszych czasach niema dzieła z zakresu badań językowych, etnologicznych, socyologicznych, kulturalno-historycznych, któreby nie omawiało również religijności danego narodu, ludu, szczepu, w danej epoce rozwoju kulturalnego i historycznego. Liczy się z tym faktem teorya ewolucyi, o ile zasady swoje rozszerza na rozwój człowieka. Owszem usiłowaniom zwolenników powszechnej ewolucyi zawdzięczać trzeba szczególniejsze zajęcie się religią ludów dzikich, nie mających styczności z kulturą i oświatą ludów cywilizowanych, przedstawiających ich zdaniem typ t. zw. człowieka pierwotnego. Tworzono i tworzy się jeszcze mnóstwo teoryi, odnoszących się do genezy i rozwoju religii; powstają liczne próby psychologii religii, kreślone z mniejszem lub większem rozumieniem rzeczy, tendencyjne i uważające się za bestronne, przedmiotowe, naukowe. Powstała niedawno nauka porównawcza religii, zależna pierwotnie całkowicie od etnologii, jako jeden z jej działów, usiłuje obecnie wyzwolić się i zająć stanowisko samodzielne, jako nauka odrębna.

Atoli fakt powszechności religii zasługuje na szczególniejszą uwagę nietylko dlatego, że dzisiaj tak się nim zajmuje świat uczony.

Mnóstwo ludzi najlepszej woli, czując i rozumiejąc, jak religia i religijność jest zasadniczą potrzebą życia — nie tylko na pierwszym stopniu rozwoju ludzkości, jak utrzymywał Comte, lecz także w epoce rozkwitu kultury i nauk pozytywnych, szuka jakiegoś oparcia i uzasadnienia potrzeb swoich i przekonań religijnych; a uważając krytykę Kanta, tyczącą się dowodów na istnienie Boga, w ogóle stosunku człowieka do Istoty Najwyższej za sprawę dokonaną, mniema, iż właśnie w powszechnem ludzkości uznaniu Bóstwa i w głębokiem jej przekonaniu o stosunku tej Najwyższej Istoty do świata widzialnego a zwłaszcza do człowieka znajdzie pożądany i dość bezpieczny punkt oparcia. Słusznie poniekąd; gdyż fakt tak powszechny, tak ciągły, tak charakterystyczny w historyi ludzkości wskazuje, — jeśli się wykluczy teoryę szkoły socyologicznej, — że religijność musi mieć pewne uzasadnienie w samej naturze człowieka. A nie jest bynajmniej rzeczą nierozumną powiedzieć sobie — w odmiennem wprawdzie cośkolwiek znaczeniu, niż powiedziano pierwotnie — *nihil humani a me alienum esse puto.*

Z podwójnej tej racyi kwestya powszechności religii jest, zdaje się, na tyle aktualną, by poruszyć ją na tem miejscu. Warto naprawdę zastanowić się, czy i o ile człowiek rzeczywiście jest istotą religijną — *animal religiosum* — czy i o ile religijność ma źródło swoje i podwalinę w samej naturze ludzkiej.

Lecz zagadnienie, postawione w formie tak ogólnej, trudno wyświetlić należycie w ciasnych rozmiarach zwykłego szkicu; wymaga bowiem nietylko dokładnego, sumiennego i obszernego studyum samej psychy ludzkiej, lecz nadto gruntownej krytyki rozlicznych teoryi, starających się wytłómaczyć tę znamienną cechę życia ludzkości. Ograniczam więc kwestyę, formułując pytanie: Jak na podstawie i w świetle pewności samorzutnej wyjaśnić fakt powszechności religii?

Zadanie w ten sposób określone nie dotyka, jak widać, kwestyi powstania czyli genezy religii i religijności ani jej

rozwoju. Również nie zajmuję się zagadnieniem, roztrząsanem przez teologów i filozofów, czy i o ile człowiek jest zdolny poznać Boga przy pomocy światła rozumu. W samem już założeniu przypuszczam, że zagadnienie to rozwiązano dostatecznie, i że rozprawiono się z teoryami, odsądzającemi rozum od udziału w poznaniu Bóstwa i uznaniu jego stosunku do otaczającego nas świata zjawisk fizycznych i moralnych, jakiemi są: nominalizm, pseudomistycyzm, tradycyonalizm, rozmaite teorye, uciekające się wprost do bezpośrednich umysłowych czy uczuciowych percepcyi Bóstwa. Nie uwzględniam nawet teoryi najaktualniejszej t. zw. modernizmu[1]. Całe zadanie ograniczam do pozytywnej części postawionej kwestyi. Wychodząc mianowicie z faktu, stwierdzanego od wieków po dziś dzień przez naukę porównawczą religii, będę usiłował uzasadnić i wyświetlić, wytłómaczyć psychologicznie przy pomocy pewności samorzutnej powszechność religii.

Szczególny więc nacisk kładę na to, jak na podstawie pewności samorzutnej wyjaśnić dany trwający przez wieki fakt religijności. Na ten punkt widzenia zamierzam wyłącznie zwrócić uwagę.

Pewność samorzutna! Na każdym kroku posługujemy się nią nietylko w życiu codziennem lecz także w dociekaniach i pracach naukowych, a mało kto zajmuje się nią, niedokładne i mętne o niej pojęcia, dużo nawet uprzedzeń w świecie naukowym. Wypadnie więc naprzód wskazać na fakt tej pewności, przedstawić w należytem świetle jej naturę, jej cechy, wartość, stosunek do t. zw. pewności namysłowej, naukowej czy filozoficznej, i krótko przynajmniej zdać sprawę z czynników, wpływających na jej powstanie i utrwalenie.

Dalej, ponieważ fakt religijności, jak mnóstwo innych faktów różnym podlega interpretacyom, zależnie od mnogich apryoryzmów, z jakiemi się do badania wierzeń i objawów religijnych przystępuje, trzeba będzie przynajmniej w krótkości

[1] Porówn. n. p. Szkice o moderniźmie, *z Red. Przegl. Powsz.*; *Stimmen u. Maria Laach*, Bd. 74, 1—18.; szczególnie: G. Michelet, *Dieu et l'agnoshicisme contemporain*, Paris, 1912.[3]

określić na podstawie najnowszych i najkrytyczniejszych studyów z nauki porównawczej religii, co w rzeczywistości należy rozumieć przez fakt religijności.

Wreszcie będzie można przystąpić do zestawienia tych dwu faktów i wykazać, jaką rolę odgrywa pewność samorzutna w poznaniu i uznaniu Boga czyli w religijności rodu ludzkiego.

I. Pewność samorzutna.

Pewnością nazywamy niezachwiane przekonanie o poznanej prawdzie czyli ów stan psychiczny, w którym umysł niewzruszenie coś za prawdę uznaje bez najmniejszej obawy zbłądzenia. Cechuje ją pewien spokój, zadowolenie, radość pewna intellektualna, wypływająca z tej świadomości, że prawdę samą bezpośrednio chwytam, trzymam ją, posiadam. Umysł ludzki sam od siebie grawituje niejako w kierunku prawdy, szuka jej, a znalazłszy, pochwyciwszy ją, lgnie do niej, obejmuje ją; i to bez namysłu, bez wyraźnej refleksyi, siłą sobie wrodzoną, niezwyciężoną. Otóż ten stan psychiczny, wywołany samem objawieniem się prawdy, to przylgnięcie, przystanie umysłu nienamysłowe, mimowolne do prawdy z oczywistością poznanej, nazywam pewnością samorzutną. Gdy na ten pierwotny, zasadniczy stan pewności zwrócimy namysłowo uwagę i zdamy sobie sprawę z racyi i motywów, uprawniających nas do niezachwianego przekonania, że w rzeczy samej samą prawdę posiadamy, osiągniemy t. zw. pewność namysłową, naukową albo, jeśli ktoś chce, filozoficzną.

Istnienie pewności samorzutnej jest faktem, nie dającym się zaprzeczyć. Zanim powstał najpierwotniejszy system naukowy czy filozoficzny, cieszyli się ludzie bogactwem niezliczonych prawd pewnych. Każdemu z nas, zanim począł z namysłem zwracać uwagę na swoje stany psychiczne, było całkiem oczywistem, że $1 = 1$, $2 = 2$, $2 \times 5 = 10$, że „ja“ jest „ja“ a nie „on“ ani „ty“, że dzień ie njest nocą i t. d. Nie filozofia dopiero stworzyła pojęcia i wyrazy: wiem, nie wiem, wątpię, być może, rzeczą to prawdopodobną, to pewne, jasne samo

przez się, to nie ulega najmniejszej wątpliwości: omyliłem się, źle myślisz, to nie do rzeczy i inne. Ludzie najprostsi zdają sobie dobrze sprawę, co te wyrazy i zwroty oznaczają. Bez wyszkolenia dyalektycznego, bez długiego namysłu rozróżniają przystępną dla nich prawdę od fałszu, „gadanie na wiatr" od „mówienia do rzeczy", sofizmat od prawdziwie przekonywującego dowodu, myśli, które się wiążą ze sobą, od takich, co się wcale „nie kleją".

W najpełniejszym blasku jaśnieje oczywiście pewność samorzutna w sądach bezpośrednio oczywistych [1]. Myślę, wątpię, smucę się, siedzę, czytam, słyszę świst, istnieje moje ciało, mam głowę, ręce, nogi, istnieją inni ludzie, istnieją zwierzęta, rośliny, kamienie, pola, lasy, góry, rzeki itd. itd. Słoń jest większy od człowieka, bąk mniejszy od wołu, słońce jaśniej świeci od lampki oliwnej, inne upierzenie ma kanarek a inne wrona; człowiek to nie struś, dwa coś innego niż cztery, itp. Wszystkie te i im podobne sądy świadomości, sądy postrzeżeniowe, stwierdzające istnienie i określające właściwości i stosunki rzeczy, najprostsze one sądy analityczne domagają się przyzwolenia umysłu z taką siłą elementarną, z tak bezwzględną koniecznością, a umysł lgnie i przystaje do tych prawd tak samorzutnie i tak silnie, że sceptyczne zastanawianie się nad niemi razi i oślepia wzrok duszy, jak jasny blask słońca razi oczy; „filozof" tylko potrafi wmówić w siebie, iż wątpi o ich pewności — człowiek myślący, jak rozum każe, zapytany czy się przypadkiem nie myli, czy naprawdę dwa nie jest to samo co trzy, czy kiedyś może nie będzie to samo, zmierzyłby pytającego wiele znaczącym wzrokiem. To też nic dziwnego, że sceptycyzm skrajny wydaje się samemu sceptykowi wstrętnym, mroźnym, nienaturalnym. „Jem, gram w tryktrak, rozmawiam z przyjaciółmi i jestem szczęśliwy w ich towarzystwie, wyznaje Hume; kiedy zaś po dwuch lub trzech godzinach rekreacyi wracam do swoich spekulacyi, wydawają mi się czemś tak zimnem, tak przeciwnem naturze,

[1] Ks. J. Nuckowski, Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficznem. Przemyśl, 1899.

czemś tak śmiesznem, że nie mam odwagi, zajmować się niemi dalej".

Ale ludzie mają niezachwiane przekonanie o prawdziwości mnóstwa innych sądów, psychologicznie i logicznie bardzo nieraz zawiłych. Wszyscy rozumują, a często bardzo trafnie i ściśle, przynajmniej w sprawach codziennych i praktycznych. Ile wniosków doskonałych wyciąga prosty gospodarz, rzemieślnik, kupiec, jak subtelnie spekuluje przekupka lub żyd! Ile wniosków dobrych może wykazać dziecko, siedzące na ławie szkolnej wiejskiej! A czy im potrzeba wiedzieć coś o prawidłach myślenia? Czy im potrzeba brać lekcye z dyalektyki lub ślęczeć nad podręcznikiem logiki? Idą dobrą drogą, nie wiedząc wcale jakim sposobem [1]. Stawiają pewne kroki, nie znając układu ani zawiłych ruchów kości i wiązadeł, ni zdając sobie sprawy ze skurczów i natężenia mięśni lub tajemnej pracy nerwów. Do niewątpliwie pewnych wniosków dochodzą bez zastanawiania się nad prawidłowością przesłanek, bez znajomości zasad umiejętnej dedukcyi lub indukcyi.

Niewątpliwie pierwsze sporządzenie, wynalezienie dziś powszechnie znanych i codziennie używanych narzędzi jak: noży, pił, świdrów, dłutów, siekier, toporów, igieł, wędek, harpun musiało wymagać nieco sprytu, obserwacyi, myślenia. Czy wynalazł je jaki profesor mechaniki? Nie; wyrabia je, wynajduje t. zw. człowiek dyluwialny, i podał nam je w takiej formie, że żaden lud cywilizowany, żaden wyszkolony mechanik nie wprowadził istotnych zmian w typie tych narzędzi [2]. Ile prawd oczywiście pewnych posiadał człowiek z zakresu religii i obyczajności, zanim powstała najskromniejsza teologia naukowa lub etyka? Ile niezmiernie trafnych wprowadzono instytucyi państwowych, społecznych, jak doskonale nieraz ułożono stosunki prawne, a jeszcze nie istniały katedry odnośnych działów naukowych ani nie można było korzystać z większych doświadczeń i tradycyi! Niejeden profesor mógłby podać mnóstwo niezwykle traf-

[1] Ward. *Philos. of Theism*, A. II. p. 225.

[2] Bumüller: „*Aus der Urzeit des Menschen*", 1907; „*Die Entwicklungslehre und der Mensch*", 1907.

nych odpowiedzi, otrzymanych od dziecka, które dane pytanie po raz pierwszy słyszało.

Ale nietylko w życiu pozanaukowem, codziennem odgrywa pewność samorzutna wielką rolę, istnieje ona i ma ogromnie doniosłe znaczenie w badaniach naukowych i w pracach filozoficznych. Bez wahania postawić można twierdzenie, że bez niej ani nauka ani filozofia nie doszłaby tak prędko do pewnych wyników, co więcej filozof nie potrafiłby wcale zacząć filozofować, jeśliby nie chciał przyjąć mnóstwa założeń, jako prawd oczywiście pewnych li tylko na podstawie pewności samorzutnej.

Czy n. p. określimy filozofię jako wiedzę o rzeczach z przyczyn ich najwyższych i ostatecznych (tak przeważnie podręczniki scholastyczne), czy powiemy, że celem filozofii jest zespolenie systematyczne wiadomości, dostarczanych przez nauki szczegółowe, w pogląd na świat i życie taki, iżby zadowolił wymagania rozumu i potrzeby serca (Gemüt), a był wolny od sprzeczności [1]; czy też będziemy widzieli zadanie filozofii w tem, że wytwarza naukowy pogląd na świat, dokonywa rozbioru założeń wszelkiej wogóle wiedzy i nauki, a nadto przygotowuje nowe nauki szczegółowe, uprzedzając wyniki badań szczegółowych [2]; czy też może uważać będziemy filozofię za wiedzę o wszechświecie, opartą nie na szczegółach, ale na zasadach podstawowych, warunkujących wszystko, co szczegółowe [3]: w każdym razie przyjąć musimy sporą ilość pewników, jako niezbędne założenia pierwszej myśli filozoficznej. Muszę bowiem z góry mieć to silne przekonanie, że filozofia jest czemś, że jest wiedzą, wiedzą różną od innych wiedz i nauk; przypuszczam niewątpliwie, że te inne nauki nie wyczerpują wszystkiego, co wiedzieć można i wiedzieć trzeba; przypuszczam również, że świat i życie istnieją, że dadzą się poznać, poznać z różnorodnych punktów widzenia, że zachodzi pewien stosunek między światem a tem, co ja o nim poznaję; dalej przyjmuję na pewno, że są przyczyny rzeczy, przyczyny bliższe, dalsze i ostateczne, albo że istnieją

[1] Wundt, System *d. Philos.*[2] S. 1, 15; 27.

[2] Külpe, *Einl. in. d. Philos.*[4], S. 335 ff.

[3] Ueberweg, *Üb. d. Begr. d. Philosophie, Zeitschr. f. Philos.* Bd. 42.

pewne wymagania rozumu i potrzeby serca, dające się zaspokoić i zadowolić, że są albo być mogą poglądy na świat i życie najrozmaitsze, odpowiadające wymaganiom natury ludzkiej i nie odpowiadające, sprzeczne i niesprzeczne, naukowe i nienaukowe, obejmujące całość wyników nauk poszczególnych i obejmujące jeno ich cząstkę itd. itd. Przypuszczając to wszystko, zdaję sobie może sprawę z tych założeń, może poznaję, że rozumnie i całkiem do rzeczy tak postępuję, bo gdybym te wszystkie przypuszczenia i założenia czy postulaty, te liczne założenia przypuszczeń zechciał namysłowo badać, analizować, udowadniać lub uzasadniać naukowo, tobym filozofii nie rozpoczął wcale.

Tak samo wykazaćby się dało w innych dziedzinach wiedzy mnogo sądów pewnych, wcale niebezpośrednio oczywistych, których uzasadnienia naukowego napróżnobyśmy szukali [1]. Ileżto n. p. sądów nader trafnych mamy w zakresie krytyki literackiej, estetycznej, nie dających się ująć w żaden szereg sylogizmów ani sprowadzić na razie do zasad ogólnych! Jak często piękność wiersza lub dzieła artystycznego ocenić można tylko na podstawie jakiegoś instynktu czy uzdolnienia specyalnego!

To też zupełnie słusznie twierdzi Brémond: „Pozostawmy to filozofom, schlebiającym sobie, jakoby najdokładniej i z wszelką precyzyą postępowali w toku myśli swoich, idąc naprzód krok za krokiem, jakoby badali starannie fundamenty wszystkich mostów, zanim staną na nich. My inni ludzie nie wahajmy się przyznać, iż nie dążymy do prawdy po ścieżce tak równej i tak jasnej". [2]

A zatem pewność samorzutna, jak dalej wykażę, pewność w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu istnieje, owszem istnieć musi. Życie ludzkie pełne jest najrozmaitszych potrzeb i powinności, życie domaga się prędkiej decyzyi, stanowczego kroku. Trzeba pracować, działać, walczyć, trzeba umieć słuchać i rozkazywać, przekonywać i zbijać, trzeba kochać i nienawidzieć,

---

[1] Porówn. Duhem, *Rev. d. quest. scientif.* 1894. — *La theorie physique Rivière*, 1906.

[2] *L'inquietude religieuse*, chap. II, 6; p. 112.

czcić i gardzić, uwielbiać i potępiać, trzeba umieć wybierać, wybór skutecznie przeprowadzić, stanowiska swego należycie bronić; słowem życie ludzkie wymaga myśli i woli, myśli pewnej i woli stanowczej, niezachwianej. A życie pędzi i umyka jak czas, dobra sposobność nie czeka. A filozof i uczony ślęczą i rozmyślają i wątpią i wahają się, to chwytają się czegoś, to znowu to coś porzucają, o jeden krok naprzód się posuną, a często cofają się o trzy, ten twierdzi tak, ów inaczej, ten przyjmuje za pewnik, czemu ów najmniejszego prawdopodobieństwa nie przyznaje. Ile pracy, ile zachodów i zawodów kosztuje, jakiego wykształcenia, jakiego wysiłku umysłowego potrzeba nieraz, by osiągnąć naukową pewność w rzeczach do życia najniezbędniejszych! Lata całe, wieki nieraz mijają nad badaniem prostej, powszedniej prawdy. Klasyczny pod tym względem przykład mamy na Hermesie. Przez dwadzieścia lat trudził się i mozolił, by dojść do pewności, a jednak bez trudności dałoby się go przekonać, że droga, którą nareszcie znalazł, była błędnym manowcem[1]. Przedewszystkiem zaś w obecnej dobie ściśle naukowe badanie prawd religijnych i etycznych przechodzi niemal wprost siły jednostki z powodu gęstej matni najsprzeczniejszych ze sobą poglądów i systemów.

Trudno więc żądać, by ludzie czynu, jakich życie się domaga, czekali na wyniki badań naukowych, a z drugiej strony niepodobna przypuścić, jakoby się kierowali wyłącznie tylko jakiemś mniejszem lub większem prawdopodobieństwem. Niemożliwem nawet jest takie przypuszczenie. Jeżeli bowiem pytania najprostszego postawić nie można, jeśli wątpić się nie da, nie posiadając już dużo pewności, to tem mniej możliwą jest rzeczą, by się ktoś kierował przypuszczeniami, prawdopodobieństwem, nie opierając się ostatecznie na licznych, zupełnie pewnych zasadach. Zaiste, jeżeli nad ludzkością czuwa Opatrzność mądra i dobra, to nie ulega wątpliwości, że nie oddała monopolu pewności pewnej tylko wybranej garstce uczonych i filozofów, ale jak trafnie wskazują teologowie soboru watykańskiego,

[1] porów. Kleutgen, *Philos. d. Vorzeit*, I. n. 224. 228.

dzięki ciągłej naturalnej Opatrzności bożej cały rodzaj ludzki cieszy się bez dowodów naukowych całkowitą pewnością co do niektórych prawd. Pewność tę można wprawdzie przez dociekanie filozoficzne obszerniej i wyraźniej rozwinąć i zasady jej podstawowe wskazać, lecz żadnemi pozornemi racyami nie da się jej zachwiać lub osłabić [2]. A jeżeli gdzie, to przedewszystkiem w dziedzinie prawd religijnych i obyczajowych istnieć powinna łatwiejsza, prostsza, a od naukowej metody nie mniej pewna droga, wiodąca niechybnie do prawdziwego, umysł zadawalniającego poznania rzeczywistości.

Nasuwa się już mimowoli pytanie, jaki stosunek zachodzi między pewnością samorzutną a pewnością namysłową, naukową i filozoficzną. Czy mianowicie różnią się od siebie zasadniczo, co do istotnej swej wartości czy też nie?

Wielu teoretyków współczesnych, idąc śladem Kanta i rozwijając dalej poglądy Comte'a, wznosi istny mur chiński, mający oddzielać pospolite poznanie i pewność nienaukową od poznania krytycznego i pewności naukowej, filozoficznej, wprowadza nietylko różnicę, ale formalny przedział między t. zw. typy poznania naukowego, filozoficznego i religijnego. Czy to chodzi o doświadczalne poznanie faktu, czy o zasady ogólne, pospolite poznanie t. zw. zdrowego rozumu nie przedstawia albo żadnej wartości albo jakąś minimalną odnośnie do bezinteresownej wiedzy, w kwestyach naukowych, filozoficznych. Poznanie bowiem pospolite ma za zadanie czysto utylitarne względy rozumowania i porozumiewania się wzajemnego, przekształca więc sobie przedmiot ze względów praktycznych, dzieli go, kawałkuje i t. d., a wreszcie krystalizuje sztuczne wytwory logicznych rozumowań w słowa.

Atoli już z poprzedzających wywodów trudno zgodzić się na taką krytykę. W rzeczywistości takie rozgraniczenie nie da się utrzymać. Wiedza jako taka nie istnieje wcale, jest czemś oderwanem, abstrakcyą, oznaczającą cel, do którego się dąży, istnieją w rzeczywistości ludzie, uprawiający naukę, dążący do

---

[1] *Coll. Lac.* VII. col. 553.

wiedzy, rozwijający pojęcia i poglądy naukowe; nie podobna więc, by wiedza mogła obyć się bez tego, co ludziom wszystkim jest wspólne, co nie da się odłączyć od poznania, jakie konkretnie przyczynia się do rozwoju wiedzy, nauki czy filozofii [1]. Słusznie też zaznacza jeden z najnowszych krytyków nauk pozytywnych, iż nauka nie byłaby w stanie stwierdzić słuszności zasad, wytykających jej metodę i kierujących jej badaniami, gdyby nie uciekała się do poznania pospolitego (sens commun) [2]. A jeżeli chodzi o stosunek filozofii do t. zw. zdrowego rozumu i pewności samorzutnej, to najlepiej, najdoskonalej określił go myśliciel hiszpański J. Balmes, zbyt mało niestety uwzględniamy w tej materyi. „Fakt pewności jest faktem, nie dającym się zaprzeczyć... Zadaniem więc filozofii nie jest bynajmniej dysputować o fakcie, ale wytłumaczyć go" [3].

W rzeczy samej nie można naprawdę wykazać żadnej istotnej różnicy między jedną pewnością a drugą [4]. Ostatecznie bowiem tu i tam jeden i ten sam sprawdzian, czyli kryteryum, ostatecznie te same środki nabycia pewności: władze poznawcze jako czynnik podmiotowy, rzeczy i zjawiska jako czynnik przedmiotowy. Filozof, uczony badacz zdaje sobie tylko namysłowo sprawę z samego faktu pewności, z ostatecznej jego racyi, poddaje analizie środki, które go do pewności prowadzą; bada szczegółowiej otaczające go zjawiska, odkrywa więcej związków między niemi przy pomocy odpowiednich metod; zestawia wyniki, klasyfikuje sądy i układa w system. Czy może sobie tuszyć, jakoby dochodził do pewności istotnie różnej, całkiem odrębnej od pewności zdrowego rozumu? Najzupełniej przekonany jestem, że chociażbym znał najdokładniej wszystkie mięśnie, ich chwilowe napięcie, położenie wszystkich kości i kosteczek, drogi i działanie każdego nerwu, reakcyę ośrodków nerwowych, chociażbym mógł oznaczyć, na które czopki i na które laseczki siatkówki padają promienie liter, które czytam, jakie tam ko-

[1] Porówn. E. Boutroux, *Science et Religion*, Paris, 1911. p. 357 s.
[2] Duhem, *La théorie physique*, *Rivière*, 1906.
[3] J. Balmes, *Philos. fondamentale*, l. I. ch. II. n. 6. n. 10.
[4] **Mercier**, *Critériologie générale. Louvain*-Paris, 1906,[5] p. 413.

mórki mózgowia są czynne, bym był świadomy tego, że siedzę i czytam, chociażbym jednem rzutem oka objął przytem wszystkie teorye o czynnościach świadomych, nic a nic nie dodałoby mi to do tej pewności, jaką mam obecnie o swojem położeniu ciała i o czynności swojej. Ba nawet, jak świadczy historya filozofii, umyślna refleksya i usiłowanie naukowego przedstawienia rzeczy, zwłaszcza najprostszych i najbardziej zasadniczych, zdrowy sąd często zakłócają i wpada się nieraz w liczniejsze błędy, niż ludzie, kierujący się zdrowym rozsądkiem, pewnością samorzutną. Wystarczy wskazać n. p. na samego Balmesa, który mimo subtelność i głębokość swego umysłu, mimo niezwykłą szczerość i prawość w dążeniu do prawdy pobłądził w pojęciu zasady oczywistości.

Wobec tego należy energicznie, z całym naciskiem zaznaczyć, że nie jest zadaniem filozofii, ani nauki w ogóle mącić ów spokój, jakiego dusza ludzka doznaje w poznaniu rzeczywistej prawdy, a który stanowi niezbędny warunek szczęścia ludzkiego. Pewność, jako fakt, nie należy do filozofów, ma do niej odwieczne i nietykalne prawo cały rodzaj ludzki. O to się starajmy, by ten fakt krytycznie wyświetlić, uzasadnić, by wskazać i zbadać jego podstawy i źródła, rozpoznać i stwierdzić prawa, kierujące umysłowością człowieka, ale nie wmawiajmy w siebie, jakoby można zmienić naturę rzeczy. „Stwierdźmy fakt pewności, nie chciejmy stawiać szaleństwa na progu przybytku mądrości", mówi dobitnie Balmes [1].

Zdaje się, iż nie trzeba dodawać, jakoby powyższe twierdzenia rozciągały się na wszystkie sądy, uważane przez ogół ludzi za pewne; odnoszą się one wprost tylko do samego faktu pewności samorzutnej. Oczywistą bowiem jest rzeczą, że do filozofii i nauki należy także rewizya sądów, uważanych pospolicie za pewne. Wiele z tych sądów trzeba odrzucić, wielu odmówić przynajmniej cechy, przypisywanej im przez ogół, ponieważ nie przyjęto ich na mocy oczywistości, ale pod wpływem in-

[1] *Philos. fondament.* l. I. chap. II. n. 6. p. 9. wedł. tłom. E. Manec, Paris, 1873.[5]

nych czynników. Stąd jednak nie wynika wcale, jakoby należało odrzucić wszystko, jako nieuzasadnione, nieoparte na pewnych podstawach; wynika ostatecznie to jedno tylko, że sąd ogółu (*sens commun*) nie jest najwyższem kryteryum prawdy.

Z powyższych uwag widoczne są także różnice, zachodzące między pewnością samorzutną a namysłową. Żeby ważniejsze z nich w krótkości zebrać i zestawić wystarczy zaznaczyć, że: 1) pewność samorzutna jest pierwotną, namysłowa późniejszą i o tyle wyższą, że stanowi pewną kontrolę tamtej; 2) pierwsza jest zasadniczą i wspólną wszystkim ludziom, druga zaś dodatkową, jak w ogóle nauka i filozofia jest czemś dodatkowem, drugorzędnem w życiu ludzkiem, i dlatego też właściwą nielicznej stosunkowo garstce uczonych, zdających sobie namysłowo sprawę ze zjawisk psychicznych i fizycznych w otaczającym nas świecie; 3) pewność samorzutna jest podstawą namysłowej, jej punktem wyjścia, namysłowa natomiast niejako pewnością o pewności; 4) wreszcie pewność samorzutna jest niewyraźną naprzód w tem znaczeniu, że umysł nie zdaje sobie namysłowo sprawy z racyi i motywów pewności swojej, gdy tymczasem w pewności namysłowej to zdanie sobie sprawy jest nieodzownym warunkiem, a stąd wynika, że jest jasną i wyraźną; następnie tamta jest niewyraźną także o tyle, że nie rozróżnia się w niej dokładnie przedmiotu poznania od przedmiotu konkretnego, dochodzi zaś do tego rozróżnienia pewność namysłowa. Wreszcie o tyle jeszcze należy tę ostatnią nazwać wyraźną i jasną, o ile umysł w niej zwraca także uwagę na trudności i rozwiązuje je sobie, a w pewności samorzutnej uwaga zwrócona jest wprost tylko na racye pozytywne, zniewalające do uznania prawdy, a w cale nie albo tylko w małej mierze na negatywną część dowodzenia.

Różnice te, zwłaszcza ostatnia, przedstawią się jeszcze w jaśniejszem świetle, skoro obejmiemy pobieżnym przynajmniej rzutem oka ważniejsze czynniki, wpływające na powstanie i utrwalenie się pewności samorzutnej. Oczywiście, wchodzą tu w grę ogółem te same czynniki, na które wskazuje każda teorya

poznania i psychologia. Jednakowoż napotyka się nierzadko na takie zjawiska, że filozof staje się wobec nich bezradny, jakkolwiek faktu zaprzeczyć niepodobna.

Najogólniej rzecz biorąc, wyróżnić można dwie grupy czynników. Wewnętrzne jedne, drugie zewnętrzne ze względu na podmiot poznający. Wewnętrzne zaś tkwią jużto w samej naturze władz poznawczych, już to wypływają ze stosunku, zachodzącego między funkcyami innych władz i popędów natury ludzkiej a funkcyą władz poznawczych. Do zewnętrznych czynników zaliczam rozliczne wpływy otoczenia na rozwój umysłowości.

Cóż tedy najpierw powiedzieć się da o naturze władz poznawczych ze względu na powstanie i utwierdzenie się pewności? Już wyżej zaznaczyłem, że umysł ludzki sam od siebie, bez refleksyi lgnie i przystaje do prawdy z oczywistością poznanej, a lgnie do niej i obejmuje ją z siłą tak elementarną i bezwzględną, iż musimy sobie powiedzieć, że umysł i prawda to dwa światy siebie wzajem się domagające, że umysł z natury swej przeznaczony jest do poznania prawdy. W ogóle, jeżeli władze poznawcze nie miałyby tego właśnie celu, by nas wprowadzić w sferę rzeczywistej prawdy, to nie mają żadnej racyi bytu. Jak oko stworzone jest dla światłą, tak rozum dla poznania a poznania pewnego prawdy; stąd też jak oko światła, tak umysł ludzki nie może nie spostrzedz prawdy, nie może nie objąć jej i nie wchłonąć niejako w siebie, gdy się przed wzrokiem duszy zjawia. A czyni to bez pośrednictwa namysłu, na mocy własnego wrodzonego sobie popędu, na mocy swej natury. Pięknie mówi Balmes w przytoczonem już dziele: „Pewność nie jest wytworem refleksyi, ale koniecznym owocem prawidłowego rozwoju natury ludzkiej; zjawia się, skoro władze poznawcze rozpoczynają swoją czynność; ona jest racyą ich działania". [1] W rzeczy samej, do czego doszlibyśmy, gdyby nam trzeba było przy pierwszych spostrzeżeniach i niejako w czasie kiełkowania myśli, tworzyć z wielkim mozołem jakiś system, któryby nas wyprowadził z niepew-

[1] op. cit. L. I. chap. III. p. 16. —

ności. Umysłowość nasza zgasłaby pierwej, niżby jej światło zabłysło, zmarłaby jeszcze w powijakach. Stwórca troskliwy o życie ciała, daje nam powietrze ożywcze, i karmi nas mlekiem; pewność mlekiem jest, życiem jest umysłu; i ona darem jest Stwórcy [1].

Dziwił się niegdyś Platon i stał bezradny wobec zagadkowego, jego zdaniem, zjawiska, jak młodociane umysły z wielką łatwością przyswajają sobie liczne wiadomości i sądził, że trudno rozwiązać te zagadkę, jeżeli się nie przyjmie życia duszy przed połączeniem jej z ciałem. Dzisiaj nie trzeba uciekać się nam tak daleko. Wiemy napewno, iż prace przygotowawcze do pewnego poznania i przyswojenia sobie prawdy rozpoczynają się dość długo przed obudzeniem się rozumu. Kiedy niemowlę bawi się jeszcze w kołysce i obojętnie na pozór śledzi mijające na kształt panoramy zjawiska cieniów i światła, kiedy odbiera różnorodne wrażenia słuchowe, dotykowe i inne — już wówczas gromadzą się w jego duszy zasoby doświadczeń, rosnące z dnia na dzień i zyskujące na znaczeniu w miarę zbliżania się do chwili, skoro po raz pierwszy zabłyśnie w dziecku światło rozumu. Potem bez trudności, mimowoli, prawie nieświadomie kojarzą się spostrzeżenia, wyobrażenia nowe z dawniejszemi, a umysł wrodzonym sobie pędem szuka pierwszych pewności. A dąży do swego celu nie powolnym krokiem, spętanego więzami formuł umysłu filozofa, lecz mknie w kierunku prawdy, leci niby na skrzydłach orlich, jak się wyraża Ward [2].

Warto na tem miejscu zwrócić na to uwagę, jak praca mimowolna a ciągła, nieświadoma, odbywająca się, jak mówią, pod progiem świadomości, przyczynia się niezmiernie do rozwoju umysłowości naszej. Każdy chyba spostrzegł już na sobie, jak po długich, bezowocnych wysiłkach, rzuciwszy przedsięwziętą pracę i zabrawszy się do innego zadania lub szukając rozrywki dla znużonego umysłu, nagle, ni stąd ni z owąd, prawda długo wyglądana zjawia się w pełnym blasku przed wzrokiem duszy. Tej

[1] op. cit. L. I. chap. III. p. 24, 25.
[2] *Philos. of Theism*, t. II. p. 234.

pracy ukrytej, zdaje się, zawdzięczają swoje powstanie t. zw. świetne, szczęśliwe myśli, natchnienia, intuicye, zjawiające się zwykle nie na drodze logicznego rozumowania, lecz kiedy umysł sam sobie pozostawiony, biernie raczej zachowuje się wobec snujących się przed nim obrazów i myśli [1]. Niezwykłe te objawy samorzutnej myśli rzucają dużo światła na naszą kwestyę. Łatwo z nich poznać, jak umysł sobie pozostawiony nadzwyczaj szybko dochodzi do swego celu, przeskakując pojęcia, łączące pojedyncze myśli. To bowiem mają do siebie, że widzi się w nich przynależność i zgodność idei jasno i wyraźnie, w jednym momencie, co w innych warunkach dostrzega się dopiero po żmudnej i uciążliwej pracy.

Coś podobnego, w mniejszych, rozumie się, rozmiarach, ale dosyć często dzieje się w życiu codziennem. Nie trzymamy się tu ścisłej, dyalektycznej formy rozumowania, lecz postępujemy szybko z wniosku do wniosku, nie dbając o t. zw. pojęcia pośrednie. Chwytamy fakt po fakcie, rzeczy konkretne po sobie następujące; mało nas obchodzą pojęcia oderwane. Nie trudno też przychodzi nam ten sposób myślenia, bo mamy przed sobą warunki konkretne. Dzięki temu umysł działający samorzutnie obejmuje z łatwością całość rzeczy, i dochodzi skutkiem tego całkiem racyonalnie do całkowitej pewności tam, gdzie analiza naukowa osiąga zaledwo jakieś prawdopodobieństwo. Przepiękny szkic tej tak pięknej a jednak tajemniczej pracy myśli samorzutnej kreśli kardynał Newman: „Jeden fakt, mówi, może wystarczyć, by wpaść na nową teoryę; jedna prawda zasadnicza potrafi stworzyć i podtrzymywać cały system; drobnostka naprowadza na doniosłe odkrycie. Myśl goni tam i sam, wymyka się na zewnątrz, pędzi naprzód z szybkością, która weszła w przysłowie; tak jest subtelną i giętką, że analiza stoi wobec niej bezradna. To idzie za jakąś nieznaczną wskazówką, to kieruje się prawdopodobieństwem; tu buduje na szeregu pojęć, tam kryje się za szańce przyjętego przez ogół prawa. To powierza się jakie-

[1] Porówn. Balmes, *Weg zur Erkenntnis des Wahren*; tłom. Th. Nissl — Dr. Vermeulen, 1896.[3] S. 133 ff.

muś wrodzonemu instynktowi, to spuszcza się na jakieś niewyraźne wspomnienie. W ten sposób postępuje naprzód podobnie do człowieka, drapiącego się na skałę; idzie w górę z jasnym wzrokiem, pewną nogą, sam nie wie jakim sposobem. Śladu po sobie nie zostawiając, innemu nie może służyć za przewodnika". [1]

Utrzymując, że władze poznawcze z natury swej mają to przeznaczenie, byśmy doszli do prawdziwego poznania rzeczywistości, że rozum koniecznie, mocą wrodzonego popędu szuka prawdy, bynajmniej nie twierdzę, że, cokolwiek pożnajemy, musi być prawdą, że rozum jest pod każdym względem nieomylny. Co innego znaczy, być nieomylnym, a co innego nie módz nie uznać prawdy, nie módz obawiać się błędu, kiedy mam oczywistość przed sobą. Aby być pod każdym względem nieomylnym, potrzebaby rozumu nieskończenie doskonałego; aby módz powiedzieć, że z konieczności dążę do prawdy, do pewności, wystarczy, jeżeli nie mogę znaleść spokoju umysłu, jak tylko w oczywiście poznanej prawdzie, jeżeli muszę rozumowo przynajmniej, niekoniecznie w praktyce życia, odrzucić błędne przekonanie, skoro błąd poznałem. Nie ma też z tą kwestyą nic do czynienia spór prowadzony w teoryi poznania, czy przy pomocy zmysłów poznajemy przedmiotowe własności i stany rzeczy tak, jak one są w rzeczy samej.

Przejdźmy już do dalszych czynników podmiotowych, mianowicie zdajmy sobie sprawę, o ile funkcye innych władz wpływają na rozum, by szukał i nabywał pewności. Wchodzi tu w grę przedewszystkiem wpływ woli i serca czyli uczucia. Że pewność, zwłaszcza w zakresie prawd religijnych i etycznych, bardzo zależy od woli i usposobienia podmiotowego, to rzecz niewątpliwa i całkiem naturalna. Wypadnie nam zastanowić się nad tem w ostatniej części tego szkicu. Tu więc tylko kilka uwag ogólniejszej natury.

Co dla rozumu jest prawdą, to dla woli jest czemś pożądanem, dobrem, biorąc rzecz oderwanie, przedmiotowo. Konkret-

---

[1] *University sermons, XII. confer.* według H. Brémond, Newman. Paris 1905,[3] p. 211.

nie bowiem i ze względu na dany podmiot może rzecz przedstawiać się inaczej, ponieważ często, gdzie chodzi o uznanie i przekonanie co do prawd religijnych i etycznych zawsze, nasuwają się konsekwencye praktyczne, trudne do wykonania, wymagające stanowczej woli, wyrzeczenia się miłych nawyknień. Stąd też, jak wola i uczucie mogą być przeszkodą w dokładnem i jasnem poznaniu [3], tak też z drugiej strony są często dzielną pomocą, przedewszystkiem, kiedy chodzi o zaspokojenie potrzeb życiowych. I tak zdajemy sobie sprawę z tego, że w naszej mocy jest, pokierować danemi wyobrażeniami i pojęciami i zwrócić je do pewnego celu, zamiast pozwolić, by się przesuwały podług chwilowych kaprysów rozkiełznanej fantazyi. Z pomiędzy pojęć, cisnących się do naszej świadomości, niektóre usuwamy, nie zwracamy na nie uwagi, inne wydobywamy ze skarbca pamięci, zastanawiamy się nad niemi dowolnie, wywołujemy cały orszak pojęć pokrewnych, któreby już dane ze wszech stron wyświetliły, utrwaliły. Co więcej, mając pewien zamiar wykonać, pewne zagadnienie rozwiązać, usilnie nieraz staramy się o nabycie nowych pojęć, potrzebnych do danego zadania. Wola zatem ma jakby rolę kierownika umysłowości i innych władz poznawczych, a nadto objawia pewne zadowolenie, uznanie, skoro do pożądanej pewności dochodzimy. Umysł, przechodząc w dążeniu do prawdy cały szereg stadyów od niewiadomości przez wątpienie, mniemanie aż do samej oczywistości, nigdy nie jest sam; towarzyszy mu ciągle wola jużto, by pobudzać i kierować, jużto, by zatrzymywać i odwodzić. Dzieje się to zarówno w pracy naukowej i filozoficznej, jak w zakresie rozwoju myśli samorzutnej. Stąd to człowiek musi nieraz przyznać, że wpadł w błędy z własnej winy, i czuje odpowiedzialność za następstwa tych błędów; stąd też tem większe zadowolenie z poznanej z niemałym trudem prawdy, ponieważ mamy tę świadomość, że to w znacznej części zależało od nas samych.

Jak woli przypada w pracy umysłowej na drodze do pewno-

[1] Brochard, *De l'erreur*, Paris, 1897,[2] p. 211. Chap. IX. *De causes psychologiques de l'erreur.*

ści rola kierownika, tak uczucie jest czynnikiem raczej pobudzającym, podniecającym. Oczywiście, że trudno wyznaczyć dokładnie granice działania tych czynników, gdyż pomijając już wzajemne, bardzo zawiłe wpływy uczucia na wolę, woli na uczucie, nasze władze psychiczne nie są oddzielonemi od siebie siłami, lecz wszystkie tkwią w konkretnym, myślącym, chcącym i czującym równocześnie podmiocie. Cały człowiek myśli i rozumuje, pożąda i chce, odczuwa i uczuciem kieruje. Jednakowoż można przyjąć jako pewnik, że mnóstwo idei, sądów prawdziwych i nieprawdziwych zawdzięcza swoje powstanie wpływowi serca i chwilowego nastroju, podnietom czysto uczuciowym. Widocznem to jest, kiedy nami zawładnie jakaś namiętność, kiedy nas porywa niepohamowana skłonność, unosi nadmierna radość lub przygniata ciężki smutek. Wtedy rozogniona wyobraźnia wywołuje liczne wspomnienia, podsuwa mnóstwo kombinacyi nagłych i niezwyczajnych. Umysł niezrównoważony rzadko w tych wypadkach wyda sąd przedmiotowo uzasadniony, pewny.

Ale, wówczas, kiedy jesteśmy spokojni i panami siebie, owszem, kiedy wydaje się nam, że uczucie wszelkie w nas wymarło, i wtedy wpływ serca podnieca conajmniej ciekawość, pragnienie poznania nie ustaje. Nie potrafimy bowiem wyzuć się z usposobienia indywidualnego, z wrodzonych lub dawno nabytych i zastarzałych skłonności i pragnień. Skutkiem tego chętniej udzielamy szczególniejszej uwagi pojęciom ulubionym, swojskim, tworzymy sądy zgodne z dawnemi przekonaniami, szukamy nowych racyi na poparcie naszych poglądów. Z pomiędzy własności i stosunków danego przedmiotu, zawsze licznych i różnorodnych, wysuwamy naprzód takie, co to z powodu nieznanego bliżej i nie dającego się określić powinowactwa przyciągają silniej i bardziej się podobają. Otóż, jeżeli kierunek uczucia schodzi się z kierunkiem drogi, prowadzącej nas do prawdy i pewności, jasną nam jest rzeczą, iż w tym razie łatwiej i szybciej do celu dojdziemy a nadto silniej i chętniej do prawdy poznanej przylgniemy. Trzeba nawet powiedzieć coś więcej. Serce i wola same ze siebie nie są wcale przeszkodą w poszukiwaniu prawdy

— pochodzi to ze słabości i przewrotności ludzkiej — i nie tylko przypadkowo dzielną dają pomoc w jej nabywaniu, lecz tak z natury są nastrojone, że się sympatycznie do poznanej rzeczywistej prawdy odzywają; przeciwnie, gdy ulegając chwilowej czy od dawna zagnieżdżonej namiętności lub obcym wpływom, wmawiamy w siebie przekonanie, nie oparte na zasadzie oczywistości, wtedy wydaje dusza głos niezadowolenia, odzywa się zgrzyt rozdźwięku. Stąd to ciągłe, nieodparte, mimowolne dążenie duszy ludzkiej do jednolitego na świat poglądu, któryby zadowolił nie tylko rozum, nie tylko wolę lub uczuciową stronę, ale człowieka całego.

Nie potrzebuję, zdaje mi się, dodawać, że w woli i sercu skupiają się wpływy rozlicznych popędów i potrzeb natury jednostkowych i społecznych, i energicznem a potężnem parciem zmuszają do skutecznego szukania i nabywania prawd i pewności, które naprowadzają na środki zaspokojenia potrzeb, zadowolenia popędów, odwrócenia niedolegliwości, ziszczenia nadziei, powetowania zawodów, dopięcia szczęścia indywidualnego, rodzinnego i społecznego.

Pozostaje nareszcie powiedzieć jeszcze słów kilka o wpływach zewnętrznych ze względu na podmiot poznający, o wpływach otoczenia. Nie chcę tu zajmować się wpływem przyrody, środowiska fizycznego z jego zjawiskami, budzącemi ciekawość i pragnienie poznania ich związków, przyczyn, własności, natury. Zwrócę jeno uwagę na najważniejsze wpływy środowiska społecznego.

Na pierwszy plan wysuwa się tu najelementarniejszy środek wymiany myśli i przekonań, mowa. Niedorzecznością byłoby utrzymywać zdanie, jakoby wyrazy były zdolne do wytworzenia w nas bezpośrednio jakichkolwiek pojęć. Dźwięk pozostaje dźwiękiem. Atoli mowa pobudza i ogromnie pomaga do wyrobienia pojęć. A pod tym względem ma tę niezaprzeczoną zaletę, że skupia w sobie wyniki wiekowej pracy ducha całych narodów. Skutkiem tego ułatwia nam niezmiernie wyrobienie i przyswojenie sobie pojęć takich, do którychby jednostka, sobie pozostawiona, albo nigdy albo tylko powoli, po długoletniej pracy dojść

potrafiła. Liczne przykłady mamy na głuchoniemych. Tyczy się to na pierwszem miejscu pojęć o rzeczach nie podpadających pod zmysły. Chłopiec n. p. dostatecznie rozwinięty, słysząc po raz pierwszy wyraz „nieskończony", w tej chwili rozumie jakkolwiek jego znaczenie i łatwo utworzy sobie odpowiednie pojęcie, ponieważ wyraz przez swoją złożoność na nie go naprowadza. Mowa, język popiera również urobienie pojęć przez to, że słyszane symbole przedmiotów konkretnych, wpływając naprzód na zdolność kojarzenia wyobrażeń zmysłowych, ułatwiają analogiczne kojarzenia umysłowe.

Niemniej ważnym czynnikiem jest życie rodzinne, towarzyskie, społeczne ze swoimi zwyczajami, tradycyą, przekonaniami, szkoła i wychowanie. Jednostce osobno stojącej może prawda jakaś wydawać się dość jasną, lecz nieraz będzie stała wobec niej obojętnie, może nawet nie będzie sobie dowierzała; dopiero gdy się przekona, że otoczenie tak samo sądzi, że prawda ta ma u innych znaczenie, że się liczą z nią, utwierdzi się w swem przekonaniu, przylgnie do prawdy całkowicie.

Człowiek rozwinięty umysłowo, samodzielnie myślący, naukowo wyrobiony mniej się poddaje temu wpływowi; a jednak historya świadczy, jak zdanie wielu ludzi o umysłowości potężnej, samodzielnej, rozwiniętej wysoko da się zrozumieć dopiero, skoro się wie, z jakiej szkoły wyszli, w którym wieku, w jakiem środowisku umysłowem żyli. Cóż więc dziwnego, jeżeli w poznaniu samorzutnem wydaje się liczne sądy pod wpływem otoczenia, na podstawie przekonań skądinąd zaczerpniętych. Tem częściej się to zdarza, im mniej ludzie mają czasu i sposobności na wyrobienie sobie własnego zdania. A jak wola i uczucie mogą być i są w rzeczywistości pomocne w nabywaniu prawdy, podobnie i wpływy środowiska. Owszem, śmiało można powiedzieć, że minimalną część naszych pewnych sądów stanowią te, do których doszliśmy własną pracą; a sama nawet samodzielność nie jest może owocem pracy wyłącznie naszej. Z tego punktu widzenia zrozumiałym jest wpływ dobrego środowiska umysłowego, gdzie szczera i rzetelna miłość prawdy panuje. Dzięki też wrodzonej dążności rozumu ludzkiego do przedmiotowej prawdy,

dzięki wspólnym w zasadzie wymaganiom woli i serca, zgadzają się ludzie w dość licznych przekonaniach nader doniosłych a koniecznych do urządzenia życia natury ludzkiej godnego, mówię, natury ludzkiej godnego, niekoniecznie odpowiadającego wymaganiom wyższej kultury. Można zatem, trzeba nawet w tych silnych, wspólnych przekonaniach widzieć czynnik opatrznościowy, kierujący ludźmi w szukaniu prawdy i utwierdzający ich w pewności. Zaiste, coby się działo na świecie, gdyby w życiu codziennem panowała taka różnica zdań co do prawd zasadniczych i podstawowych, jaką n. p. widzimy w dziedzinie filozofii. Nie sądźmy więc, jakoby przyjmowanie przekonań ogółu zawsze było rzeczą niegodną rozumnej istoty.

Stwierdziliśmy więc w tej pierwszej części fakt i konieczność istnienia pewności samorzutnej, zdaliśmy sobie krótko sprawę ze stosunku, jaki zachodzi między tą pewnością a pewnością namysłową, zaznaczyliśmy ważniejsze, zachodzące między niemi różnice, wreszcie objęliśmy pobieżnym rzutem oka niektóre czynniki, odgrywające pewną rolę w nabywaniu tej pewności i utwierdzeniu się w niej.

Przypuszczam, że z tych wywodów, aczkolwiek nie wyczerpujących przedmiotu, wolno wyciągnąć ten wniosek, że pewność samorzutna opiera się na dobrych i zdrowych zasadach, że, jak się wyraża Brémond w przytoczonem wyżej dziele, ta nibyto „nieracyonalna“ pewność ma racye za sobą, często racye wyborne, chociaż nie potrafi ich sformułować ani wykazać; racye jasne, najzupełniej wystarczające, ale wprawiające umysł niewyszkolony w kłopot, gdy chodzi o namysłowe zdanie sobie sprawy ze swoich zasadniczych czynności. Trudność leży w tem, iż analiza naukowa nie zdoła przychwycić rzutkiej i giętkiej i lotnej umysłowości na gorącym uczynku.

Po tych uwagach, jak sądzę, łatwiej nam będzie rzucić nieco światła na fakt powszechności religii. Naprzód jednak musimy określić, co należy rozumieć przez wyrażenie: powszechność religii.

(C. d. n.)

Ks. Bruno Wolnik

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Stulecie Gazety lwowskiej, 1811—1911. Tom pierwszy; część I. i II; z czterema portretami i podobizną, napisali: *Ludwik Bernacki, Wilhelm Bruchnalski, Ludwik Finkel, Bronisław Gubrynowicz, Franciszek Jaworski, Kazimierz Ostaszewski-Barański, Michał Rolle, Stanisław Wasylewski,* pod redakcyą *Wilhelma Bruchnalskiego.* We Lwowie. Nakładem Gazety lwowskiej, 1911. 4-ka; kt. nlb. 2, str. VIII 512, kt. nlb. 3, str. 109, kt. nlb. 1.

Słusznie podniósł p. Rawita-Gawroński w swojem przemówieniu, że dzień jubileuszu *Gazety lwowskiej* — dla świata dziennikarskiego w Galicyi szczególnie, a wogóle w całej Polsce jest wielce uroczysty. Dla każdego narodu dzień taki jest obrachunkiem pracy, dla nas czemś więcej — obrachunkiem także naszych strat narodowych, ale równocześnie przeglądem sił, które w złych losach ojczyzny rąk nie opuściły, pracując dla jej chwały i nieznanej przyszłości. Przez szpalty *Gazety lwowskiej* przesunęły się nazwiska znane i czczone w całej Polsce za wielką pracę, za szlachetną podniosłość ducha, która pochylała się pod brzemieniem nieszczęść ojczyzny, ale nie pozwalała sobie i innym marnieć w gnuśności, a myślami swemi podniecała znicz ideałów narodowych. Upadały narody najpotężniejsze, ale z upadku podnosiły się te tylko, które w duszy swojej pielęgnowały ideały szlachetne i ludzkie, a pracę całego życia przekazywały pokoleniom następnym. Oddajmy więc przedewszystkiem cześć zasłużonej przeszłości. Pierwsi kierownicy *Gazety lwowskiej*: Kamiński, Michalewicz, Sortyni, Rudyński, Wł. Łoziński zasłużyli się nie tylko tem, że zdołali utrzymać pismo na wysokości potrzeb duchowych społeczeństwa, ale, że potra-

fili koło siebie skupić najdzielniejszych pracowników. Imiona: Bielowskiego, Szajnochy, Pola, Dzierzkowskiego, Wacława Zaleskiego i wielu innych pozostaną na długie wieki związane z piśmiennictwem naszem i *Gazetą lwowską* węzłami chwały swojej i ojczyzny. Z momentem tej wielkiej uroczystości dziennikarskiej wiąże się 28-letnia praca redaktora Adama Krechowieckiego, który przekazane sobie tradycye literackie i narodowe nie tylko w pełni utrzymał, ale je uświetnił piórem własnem. Podnieść należy, że jego staraniem *Gazeta lwowska* wraz z *Przewodnikiem naukowo-literackim* stała się pewnego rodzaju ogniskiem, w którem do pracy skupiły się siły umysłowe prawie całej Polski. Na łamach tych pism spotykamy najznakomitsze imiona polskich literatów i uczonych i śmiało można powiedzieć, że mało znalazłoby się takich, którzyby nie doznali gościnności *Gazety lwowskiej*. Staraniem także obecnego kierownika wychodzi historya stu lat istnienia *Gazety lwowskiej*, wydawnictwo zakrojone na tak szeroką skalę, że nawet i w publicystyce europejskiej nic jeszcze podobnego nie znajdujemy. Będzie to nie tylko historya stuletniego istnienia *Gazety lwowskiej*, ale w znacznej mierze historya naszej literatury ostatniego stulecia. Kto tylko zechce ją poznać, ten będzie musiał faktów i światła w tej księdze zaczerpnąć.

Że opracowanie monograficzne zwróciło się właśnie ku *Gazecie lwowskiej*, to jej „z wieku i urzędu ten zaszczyt należał" się. Dobrane zaś grono uczonych historyków i wybitnych publicystów, stojących na uboczu od *Gazety lwowskiej* wykonało zamierzenie wprost znakomicie pod naczelnem kierownictwem tylekroć zasłużonego prof. W. Bruchnalskiego. Jak wszystkie jej rówieśniczki, spełniała *Gazeta lwowska* z początku, poza swoim charakterem informatorki w sprawach i wydarzeniach polityczno-historycznych, wyłącznie rolę pośredniczki między rządem wiedeńskim a społeczeństwem polskiem w Galicyi. W okresie pierwszym swojego istnienia miała wpływać przedewszystkiem na „polityczne wykształcenie" Galicyan w kierunku ich wychowania na obywateli austryackich, a — jeżeliby się dało — także zgermanizowania. Skutkiem takiego założenia element literacki, czy, ogólnie mówiąc, kultury duchowej, pod postacią bądź to nauki poważnej i popularyzującej, bądź sztuk takich, jak: malarstwo, muzyka, śpiew, bądź też takich, jak teatr, minimalny znajduje w niej wyraz — wyjątkowy, a nadto o tyle tylko, o ile służy myśli naczelnej wychowania państwowego, lub — co najwyżej — potrzebom i sprawom dobroczynności publicznej. Ten żywioł pragnień i dążeń inteligencyi

ludzkiej, wogóle ze szpalt czasopisma politycznego wygnany, znalazł przytułek w długoletniem, uzupełniającem *Gazetę lwowską* wydawnictwie p. t. *Rozmaitości*. Ale następstwem właśnie okoliczności podobnych było, że organ opinii publicznej w stolicy kraju atmosfery nowej w świecie duchowym Lwowa czy Galicyi tworzyć nie mógł, jak zresztą nie tworzył go żaden okaz prasy, który powołała do życia myśl Gentza i Metternicha. Już jednak znacznie wcześniej, przed rokiem 1848 w arystokratycznym pokoście *Gazety lwowskiej* zaczynają pojawiać się pęknięcia od gorąca prądów demokratycznych. J. N. Kamiński wprowadza na jej łamy życie, poza formułkami państwowości istniejące. Nieśmiałe zrazu nowatorstwa torowały coraz bardziej *Gazecie lwowskiej* drogę do wejścia jej na drugie stadyum rozwoju, aż zbliżyła się chwila, w której rozpoczęła nową w swej politycznej działalności epokę, zrodzoną pod wpływem zmienionych zupełnie stosunków i innych niż dawniej wymagań.

Jak w całej Austryi — tak też i w Galicyi zaczęło społeczeństwo rządzone głos zabierać. Od roku 1848 poczynając, coraz bardziej skomplikowaną sztuką stawało się oddziaływanie przez dziennik na warstwy szerokie, zwłaszcza, że od zniesienia cenzury prenumeratorzy zmienili się w obywateli o jasno postawionem znamieniu narodowem. To też nowy redaktor Sartyni mościł społeczeństwu drogę do rozumnego i roztropnego czytelnictwa peryodyków politycznych, nie ograniczając swoich czynności, jak zwykle dawniej bywało, do roli referenta w kwestyach i materyałach polityczno-historycznych, owszem rozszerzając interes czytelników na inne także pola, przez to, że wskrzesił zaniechane od roku 1848 *Rozmaitości* i że w roku 1850 stworzył przy *Gazecie* pismo *Dodatek tygodniowy* i prowadził go do roku 1862.

Następca Sartyniego w urzędzie, Adolf Rudyński, spełnił swoje powołanie należycie, nie przez to i nie dlatego, żeby całość zadań miał w zupełności ułatwioną przez swego poprzednika, gdyż zawierucha styczniowa i ferment burzy w granicach Austryi, który postać dawnej Austryi zmienił do gruntu, a Polakom dał stanowisko polityczne pierwszorzędne, nowych zadań, pytań i problemów przynosiły z sobą mnóstwo wielkie, — ale dlatego, że do swego czasu odnosił się mądrze, ducha jego pojmował trafnie, tętno zaś zdrowe umiał zawsze odróżnić od chorego. Poznał i ocenił, jak szerokie pole roztrząsania spraw społecznych, które obchodzą nietylko Galicyan, ale zbiorowy ogół polski, ma i mieć może — rezygnując z kultywowania wielkiej polityki —

Gazeta lwowska. Dowodem tego pozostaną na zawsze pomieszczone dzienniku programy pracy organicznej, nie o wiele późniejsze od podobnych artykułów prasy Królestwa, a nastrojem, powagą i głębokością treści dorównywające sławnym tego samego pokroju roztrząsaniom *Gazety warszawskiej*.

Każdej zmianie redakcyi, jak dotąd przynajmniej, towarzyszy polepszenie, wzmożenie i utrwalenie bytu *Gazety lwowskiej*. Świadectwa wymowne tego złożył znakomity historyk Dr. Władysław Łoziński, spadkobierca Rudyńskiego na fotelu redaktorskim. Zasłużony autor „Patrycyatu i mieszczaństwa lwowskiego" okazał się redaktorem znakomitym przez to, że *Gazetę* wzniósł na wyżynę, przedtem niezdobytą; że w oddziaływaniu jej na społeczeństwo doszedł do szczytu powodzenia; że dla dalszego istnienia pisma zdobył zasobne środki materyalne. Przetworzył on *Gazetę* na pismo codzienne, szczerze polskie, w całem, a doskonałem znaczeniu tego słowa odpowiadające postulatom dziennikarstwa nowoczesnego. Wycisnął on na *Gazecie* świetne, a własne piękno kultury duchowej, niezaprzeczenie przedewszystkiem świetne piętno literackości i w ten sposób złączywszy tendencye i aspiracye treści politycznej i społecznej z literaturą piękną czy krytyczną, w zjednoczeniu harmonijnem tych części, stworzył dzieło na polu dziennikarstwa polskiego — doskonałe.

Lata działającego dzisiaj redaktora, znakomitego twórcy tylu powieści historycznych, p. Adama Krechowieckiego, usuwają się poniekąd z pod dyskusyi ze względu na stosunki osobiste, wiążące podpisanego z mężem, który podołać musiał z dniem każdym wzrastającym wymaganiom publicystycznym i techniczno-dziennikarskim, obejmując zaś dziedzictwo po Łozińskim, czuł konieczność utrzymania *Gazety lwowskiej* nie tylko na pozycyi już zdobytej, ale nadto wznieść ją pragnął na coraz wyższy szczebel rozwoju. Obdarzony siłą twórczą, twórcze też zajął miejsce w pracy duchowej wśród swego narodu i w tym samym kierunku idzie ciągle we wszystkiem, co łączy się z powołaniem jego, jako redaktora. Dość spojrzeć na niezwykle bogaty szereg artykułów Krechowieckiego i dzieł jego natchnienia, na ogromną ilość współpracowników, których Krechowiecki umiał skupić około swojego dziennika, — wszystkich pod jednem zasadniczem hasłem: uznawania postępu, ale zarazem konieczności walki odważnej z tem, co jest w nim dziwactwem, brakiem zdrowia, przywarą, błędem i złem. Pod względem faktury dziennikarskiej Krechowiecki przestrzegał zawsze pełności w treści, bezstronności w stanowisku, pra-

wdy w patrzeniu, trafności i wyrazistości w ujmowaniu spraw omawianych i rzeczy, pod względem formy zaś: języka czystego, materyi swojej i założeń swoich godnego. Stosunki zaś jego z współpracownikami były zawsze tak idealne, jak tylko pomyśleć sobie można.

Wartość publikacyi omawianej jest wprost nieoceniona z licznych względów. Przedewszystkiem uratowała ona od zapomnienia zasług wiele, i tak zazwyczaj niedocenianych. Nic zaś nie jest w równym stopniu skazane na zapomnienie jak publicystyka, choćby nie wiem jak wielka i poważna. To też książka jubileuszowa ma wartość ogromną bodaj ze względu na to, że podaje w głównych zarysach koleje prac tysięcy piór, których pociągnięcia niejednokrotnie dużo ważyły w dziejach umysłowości naszej, oraz ze względu na tą okoliczność, że w stosunkach obecnych dla *gros* społeczeństwa lekturą najważniejszą, bo codzienną i obowiązkową niejako, jest pismo codzienne. Jak wiele zaś złego i dobrego zdziałać może wśród mas szerokich publicystyka — tego chyba z osobna tłómaczyć nie potrzeba!

Dr. St. Zdziarski.

Sen dnia letniego. *Zygmunt Stefański.* Kraków, 1912. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. 8⁰ Str. 159.

Znany krytyk teatralny wydał pod powyższym tytułem dramat wierszem pisany, w pięciu aktach.

W akcyę dramatu wprowadza w prologu postać podobną do słowiańskiej Wili, „pani powietrza rozbłyszczonego (!) słońcem, bujnej przyrody i pieśni". Chce ona słuchaczów przenieść w świat, który śnili w marzeniach młodości, i poprowadzić ich tam, „gdzie skrami błyska poezyi czar", chce baśń opowiedzieć, „minionych wieków baśń minioną". Na jej zaklęcie zaludnia się scena postaciami Dziw, Wil, błyszczących jaszczurów i węży i zjawia się nieugiętego junaka postać, bohatera dramatu.

Na tle wspaniałej dekoracyi baśń się poczyna.

Złe duchy ciemności i nocy zetrzeć chcą uciemiężony przez nich lud Mocarnych. W niedoli kamienieje mężne rycerzy pokolenie, lecz broni go wiara niezłomna w zaklęty króla swego miecz, którego ten, choć skamieniały, z rąk nie wypuścił. Ma bowiem przyjść Witeź- gryf, miecz z ręki króla wziąć, „mocą ofiary moc przekleństwa zerwać" i powieść Mocarnych do zwycięstwa.

Musi jednak Witeź pokonać wpierw duchy ciemne, które go chcą zgładzić i zwalczyć pokusy; „złote Wile drogę mu zabiegną i życia będą śpiewać cud", a kiedy i z ich wyrwie się koła spotka straszliwą królowę, „junaków niszczycielkę cudną".

Bohater opiera się z całą mocą urokowi białych Wil, dociera przed tron skamieniałego króla, wyciąga już rękę po jego miecz, gdy ukazuje się królowa; Witeź czarem jej uwiedziony porzucza czyn i za noc miłości oddaje jej swe życie młode.

Idzie za królową na gody, lecz i tam wśród kwietnej uczty jawią się bardowie Mocarnych, by mu pieśnią przypomnieć czyn, którego spełnić zaniedbał. Witeź zmaga się jeszcze ze sobą, osłabłą wolą nie może jednak oprzeć się królowej i oddala bardów. Ale wkrótce budzi się z odrętwienia, wyrywa się urokowi królowej i niewstrzymany nawet jej błaganiem, odchodzi, „by znak odstępstwa zrzucić". Zapóźno; za progiem czatuje nań zdrada i śmierć. — Duchy ciemne wloką go spętanego siecią przed tron kamiennego króla; dziwy nocne dręczą go wspomnieniami jego świetności.

Ostatnim wysiłkiem chce wydrzeć królowi miecz zaklęty, lecz sił mu brak i umiera, a wraz z nim ginie lud, który miał wyzwolić. Lecz lud ten i śmierci duchem się nie poddaje, ufny, że zbudzi się kiedyś „na sławny trud, wiary niezłomnej wytrwaniem".

W chwili tryumfu zła, gdy ginie lud Mocarny i Witeź kona słoneczny, zjawia się królowa wśród hymnu na cześć jej nieskończoności.

Oto treść baśni. Rozgrywa się na tle przyrody bujnej, która harmonizuje z akcyą. Duchy i dziwy snują swe plany w mrokach nocy, a ustępują Wilom i słonecznemu Witeziowi ze świtem poczynającego się dnia. Wieczorem Witeź jest w mocy królowej i kona w rzednących mrokach ustępującej nocy, a słońce następnego ranka widzi spokojną królowę na polu zmarłych.

Wiersz płynny, barwny i giętki, w dyalogach wiele życia i porównań często doskonałych.

Szkoda, że postać bohatera narysowana blado.

Ten junak, którego męstwo i ducha moc wszyscy wielbią, nie czyni nic, coby widza o zaletach jego przekonać mogło. Na scenie mówi tylko wiele o sobie.

Wychodzi wprawdzie zwycięsko z pokus, jakie mu zastawiają Wile, lecz czyni to niezgrabnie i brutalnie, jakby się bał, by cuda natury i wiosny, które mu one ukazują w marzeniu, nie osłabiły jego woli. A przecież tylko naturę i życia piękno ukazują mu Wile. Porzuca

je zapewniając, że „mijającej chwili myśl jego geniuszem uskrzydlona nie poda ust" a w południe tegoż dnia, choć go lud uciemiężony przyzywa i błaga, gdy chwila czynu nadchodzi, rzuca się w ramiona rozkoszy nawet za cenę życia.

Autor obiecuje w prologu wiele przez usta Wili; ma oderwać widza od rzeczywistości, bo w niej

Bezbronnych lament, zgiełk okrzyki
Zgłodniałych stad przeciągłe wycie,
Bytowej walki zamęt dziki.
Tam wilkiem człowiek człowiekowi".

Więc w marzenia chce prowadzić krainę:

„Niźli motyle
Skrzydła barwniejszą baśń wam opowiem,
Od mórz świetniejszą, kiedy płoną
Ametystami, złotogłowiem".

A w istocie ukazuje pogrom tego, co dobre i zwycięstwo zła. — Smutny ten „sen dnia letniego" tem bardziej, że autor wybitnie rysuje kontrast między niedolą i cierpieniem swych bohaterów a niezmąconą pogodą przyrody. Smutna ta baśń, co miała zapomnienia dać chwilę widzom, nim „czoła i górną myśl na nowo wprzęgną w jarzmo życia twarde".

Szkoda, bo wytworny jego język i wiersz bogaty godzien opiewać większe i lepsze rzeczy; autor mógłby łatwo dotrzymać obietnicy i przenieść widza w świat tej poezyi, co serce krzepi i odrywając od rzeczywistości, rozpogadza dusze. *M. S. Dobruchowski.*

Nauka Cerkwi rosyjskiej o sakramencie pokuty. *Ks. W. Służałek M. T.* Kraków 1912, str. 78. Składy główne: Gebethner i Sp. Kraków i Warszawa.

Kiedy r. 1907 na zjeździe teologów słowiańskich w Welehradzie mówiłem o potrzebie poznania teologii rosyjskiej, mogłem wymienić zaledwie dwie prace, poświęcone u nas zestawieniu pewnych części teologii rosyjskiej z nauką Kościoła katolickiego. Niewiele też można było znaleźć podobnych prac na dalszym Zachodzie. Ostatnie lata korzystnie wyróżniają się pod tym względem: liczba badaczy prawosławnego Wschodu wzrasta ciągle, i my sami mieliśmy sposobność niejednokrotną zwracać uwagę naszych czytelników na wydawane fachowe z tej dziedziny studya. Liczbę takich prac powiększa broszura ks. Służałka, poświęcona porównaniu nauki Cerkwi rosyjskiej o sakramencie pokuty z nauką Kościoła katolickiego o tymże przedmiocie.

Zwyczajem, przyjętym przez innych naszych teologów, zajmujących się Wschodnią teologią, bada ks. Służałek księgi, uważane w Rosyi za symboliczne, a potem dzieła starszych i nowszych teologów rosyjskich w zakresie rozstrząsanej kwestyi i odszukane tym sposobem zdania grupuje i układa według schematu, zapożyczonego z naszych podręczników. Naszem zdaniem, taka metoda nie jest najlepszą: terminologia bowiem, metoda, nawet sposób myślenia rosyjskich teologów są tak różne od naszych, że nic dziwnego, iż często materyał nie daje się ułożyć w naprzód przygotowane ramki, a kiedyindziej znowu pozostaje tu i ówdzie pustka, której niema czem zapełnić. Czy nie lepiej byłoby przedstawiać naukę obcych teologów taką, jaką ona jest, w tym samym porządku i związku, w jakim się ją u nich spotyka, a dopiero potem zestawiać ją z nauką naszą? Taka metoda przedstawienia rzeczy umożliwiłaby lepsze poznanie całej umysłowości teologów rosyjskich. Czytelnik mógłby przytem poznać, że w wielu partyach teologii — do takich właśnie należy traktat o pokucie, — może niesłusznie skarżymy się na niejasność, na brak precyzyi u teologów rosyjskich, co pochodzi stąd, że żądamy od nich wykończonych scholastycznych traktatów, gdy oni mogą nam ofiarować tylko krótkie prace w charakterze zazwyczaj więcej praktycznym, niż teoretycznie szkolnym. Do takich prac należy n. p. często cytowane przez autora „Napominanie" Platona, które trudno uważać za wyraz „nauki cerkwi rosyjskiej o sakramencie pokuty", skoro ono jest czysto prywatną instrukcyą, ułożoną dla spowiedników, pod widocznym wpływem wzorów łacińskich,—instrukcyą, która zresztą nie ma szerokiego zastosowania wobec dozwolonej przez Cerkiew anarchii w sprawowaniu sakramentu pokuty. Jak, naprzykład, pogodzić ją z masowemi głośnemi spowiedziami, praktykowanemi w Kronsztadzie przez Iwana, a podobno na mniejszą skalę i gdzieindziej? Dalej, od tego rodzaju praktycznych podręczników, czy to ułożonych dla spowiedników czy dla penitentów, nie żąda się ścisłości scholastycznej. Jeżeli się o czemś mówi: „potrzeba", to równie dobrze da się ten wyraz rozumieć w znaczeniu: „jest rzeczą niezbędną", jak i w znaczeniu: „jest rzeczą pożądaną i pożyteczną". Kiedy chodzi o wyliczenie warunków jakiegoś sakramentu, teologia właściwa określa minimum tych wymagań, teologia praktyczna natomiast, nie wdając się w ścisłe rozumowania, wyliczy wszystko, co jest pożyteczne i do czego zachęcać można. Według teologii naszej grzechy wątpliwe nie są konieczną materyą spowiedzi, wiemy jednak, że w praktyce za-

chęca się do ich wyznawania i że w takiem wyznaniu odzyskuje penitent spokój sumienia, któregoby mu nie dało może poznanie rozdziału o materyi koniecznej spowiedzi. Jeśli się ma tedy na uwadze charakter danego utworu, łatwiej się zrozumie, w jakiem znaczeniu to lub owo twierdzenie należy przyjmować. Mając to na względzie, autor uznałby za niepotrzebny kłopot, jak rozumieć „teologów", rosyjskich w kwestyi rozróżnienia grzechów śmiertelnych od powszednich, albo żalu doskonałego od niedoskonałego. Wogóle byłoby pożądanem przy omawianiu nauki o sakramencie pokuty odróżnić i odgraniczyć to, co piszą autorowie rosyjscy w charakterze teologów, a piszą w tym charakterze bardzo mało, — od tego, co piszą jako asceci lub kaznodzieje, lub wreszcie jako nauczyciele teologii pasterskiej.

Co do rzeczowej strony, nie możemy się zgodzić z twierdzeniem autora (str. 20), że przed Soborem trydenckim „prawie wszyscy przedniejsi teologowie scholastycy . . . utrzymywali, że do sakramentu pokuty jest niezbędną skrucha udoskonalona przez miłość, czyli t. zw. *contritio*", wiemy o gruntownej pracy, znajdującej się w druku, a dowodzącej tezy odmiennej. Na str. 43 wyraz rosyjski „udostojatsia" przetłumaczono na „zasłużą" i na tem tłumaczeniu osnuto pewne wnioski. Upatrujemy tu znowu wpływ przyzwyczajenia do nadawania w naszych myślach pewnym wyrazom ściśle określonych znaczeń. Tymczasem cytowany wyraz w ustach Makarego, podobnie jak wyrazy „oczyszczenie od grzechu" itp. mogą być zrozumiane bez łączenia z nimi idei „zadośćuczynienia" w prawnem tego wyrazu rozumieniu.

Obok wypowiedzianych tu dezyderatów i uwag, musimy stwierdzić, że pracę ks. Służałka uważamy za nader pożyteczny przyczynek do poznania teologii rosyjskiej, który zapewne też znajdzie się w rękach tak zawodowych teologów i jak i studyującej teologię młodzieży duchownej. *Ks. J. Urban.*

Kartki z pamiętnika Alkara. II. Z lat 1858-1865.

Już przed dwoma laty ukazał się pierwszy tom tych cennych kartek, „ciekawych i pouczających, na których śmiało badacz owej epoki oprzeć się może". Szczególniejszą wagę zwrócono na dwa fragmenty: Pierwszy — Czasy szkolne przed r. 1861 i trzeci — Z dziejów prasy podziemnej r. 1863. Mogą one oddać niejedną przysługę badaczom stosunków ówczesnych kulturalnych, narodowych i politycznych.

Tom drugi mieści w sobie część korespondencyi z Julkiem i Henrykiem, najserdeczniejszymi przyjaciółmi autora. Ci trzej złączeni „uczuciem szczerej i poezyą owianej przyjaźni, wspólnością myśli, uczuć i przekonań", żywiący „jednaką cześć dla ideałów Ojczyzny i wolności", prowadzą ze sobą serdeczną i szczerą korespondencyę. Korespondencya ta daje nam obraz minionych chwil przełomowych z lat 1858—1864. Obraz ten odtwarza nie tylko sferę uczuć i myśli czysto osobistych, lecz także odzwierciedla nam powolny rozwój ich pojęć — ewolucyę ich ducha i serca, jest wyrazem umiłowań spraw donioślejszego dla ogółu znaczenia.

Już przedmowa zaznajamia nas z tą trójką przyjacielską, której fotografię widzimy zaraz na początku drugiego tomu.

Następują listy. Kolekcya pierwsza obejmuje listy autora do Julka, całe przepełnione młodzieńczemi wynurzeniami. Jestto cenny przyczynek do „Czasów szkolnych", umieszczonych w tomie pierwszym. Malują nam one wiernie uczucia i poglądy ówczesnej młodzieży, „która miała niedługo budzić umysły dojrzalszych — być inicyatorem nieopatrznych choć szlachetnemi pobudkami kierowanych, a tragizmem nacechowanych czynów". Uczą nas jeszcze, jaki odgłos znalazły ówczesne aspiracye i wypadki u starszych i dojrzalszych a także i w ówczesnej prasie. Wspominają nadto o niektórych znanych i mniej znanych osobistościach, o ich czynach i dziełach. Wreszcie, jak wogóle cała ich korespondencya przepełnione są i poprzeplatane nieraz nader cennymi dla literatury poetycznej wierszami.

Jeszcze znamienitszą co do treści jest kolekcya druga. W pierwszej mieliśmy listy tylko Alkara do Julka. Tutaj prócz kilku listów od Julka przyłączają się bardzo cenne listy Henryka, starszego wiekiem i doświadczeniem. Od roku zwłaszcza 1863 zajmował on wybitne stanowisko na emigracyi. Jego korespondencya rzuca niejeden promień światła na ówczesne stosunki emigracyjne w Niemczech. Jako słuchacz uniwersytetu wrocławskiego, pisze on w swoich listach o wielu znanych mu osobistościach a zwłaszcza profesorach. Najczęściej wspomina imię znanego historyka literatury Cybulskiego, a nawet przytacza całe jego wykłady i odczyty. I tak zachował nam się w owych listach: „Wstęp do wykładu o piśmiennictwie Słowian", gdzie Cybulski przedstawia pierwotne dzieje Słowian, ich stosunki społeczne i polityczne. Zachował nam się jeszcze w tych listach odczyt owego historyka literatury polskiej „O najnowszej literaturze słowiańskiej od r. 1795—1848" i „O nowej idei literatury". — Rzeczy

to bardzo cenne. Nadto podaje nam jeszcze Alkar w innych listach wykłady historyka Roeppella, n. p. z historyi upadku Rzymu; życiorys Byrona według wykładu lektora Behnsch'a i t d. Z wielu jeszcze innemi osobistościami zaznajamia nas jak n. p. Heidenhaimem, fizyologiem, Holteiem, prof. Fritzem, prof. Ogińskim i t. d. Cenne to naprawdę urywki. Umieszczony jest tu nadto prócz innych pięknych wierszy przedzgonny wiersz Romanowskiego „Lećcie me pieśni'..." i pełna wzruszeń piosnka Ehrenberga „Siadł zwoszczyk na przedzie".

Pod koniec korespondencya przesiąkła pesymizmem i goryczą. Smutne przejścia w Ojczyźnie smutnie odbiły się w tych młodych duszach i szlachetnych sercach. Żal im Ojczyzny, tracą nadzieję, przyjaźń i serce dać jej nie może. Smutne horoskopy, sny niespokojne, bole prometeuszowe i wizye — to znowu jakieś jaśniejsze chwile i przebłyski złudnych nadziei.

Cała wogóle korespondencya daje nam prawdziwy obraz psychiki młodych patryotów, w pełni poświęcenia dla Matki Ojczyzny uczą się dla niej i rozwijają, pracują i cierpią.

Wdzięczność naprawdę należy się autorowi, że zebrał i wydał kartki ze swego pamiętnika, zwłaszcza że ze względu na bliskie 50-lecie powstania styczniowego nabierają one dla ogółu szczególnego znaczenia, a w niejednym wypadku mogą być drogocenną przestrogą wobec różnych zakusów paidokracyi. *Józef Płaza.*

Z piśmiennictw obcych.

Systematische Philosophie von *W. Dilthey, A. Riehl, W. Wundt, W. Ostwald, H. Ebbinghaus, R. Eucken, Fr. Paulsen, W. Münch, Th. Lipps.* II. Aufl. 1908. In 6⁰, str. 435.

Dzieło to stanowi jeden z tomów zbiorowej biblioteki „Kultur der Gegenwart" a należy do cennych w niej prac, ze względu na współudział tak wybitnych sił, które w jego ułożeniu brały udział. Bliższe zajmowanie się tą stroną wydawnictwa wydaje mi się zbyteczne, nazwiska same mówią za siebie. Znaczna jednak liczba autorów i pochodząca stąd różnorodność zapatrywań i teoryi sprawia, że tytuł „systematyczna filozofia" względnie tylko może tu być zastosowana, o ile mianowicie dzieło obejmuje główne działy całości filozofii. Oko-

liczność powyższa jest też przyczyną, że recenzya niniejsza objąć musi poszczególne części z osobna, traktując każdą jako odrębną, w sobie zamkniętą całość.

Przystępując do właściwego przedmiotu, zaznaczyć trzeba, że jedną z pierwszych rzeczy byłoby ścisłe określenie pojęcia filozofii, aby usunąć zamieszanie, jakie wskutek najróżnorodniejszych jego znaczeń panuje na tem polu. Kwestyę tę rozbiera Wilhelm Dilthey w pierwszym artykule: „O istocie filozofii" a do rozstrzygnięcia jej zmierza podwójną drogą. Na wstępie zestawia krótko cechy, które są wspólne wszystkim systemom, mianowicie: usiłowanie rozwiązania zagadki świata i życia, poczem przechodzi naprzód do badania historycznego na podstawie materyału dostarczonego przez całą historyę; przekonawszy się zaś, że sam ten sposób nie wystarcza, usiłuje poznać istotę filozofii z stanowiska, jakie ona zajmuje w życiu duchowem ludzkości. Rezultaty swych badań streszcza w obszernej definicyi, w której uwydatnia rolę, jaką filozofia odgrywa w życiu jednostek i społeczeństwa.

Bardzo dobrze, bo zwięźle a treściwie, przedstawia się następna rozprawa: „Logika i teorya poznania" przez Alojzego Riehl'a. Podaje on krótko logikę formalną, problemy i stan historyczny teoryi poznania i zaznacza ogólnie metodologię. Na uwagę zasługują niektóre szczególnie punkta, bardzo jasno i dobrze przedstawione albo też charakterystyczne ze względu na zapatrywanie autora, jak wyraźne określenie problemu krytyki poznania, teorya indukcyi, istnienie rzeczy poza nami i pojęcie „doświadczenia".

Osobny artykuł poświęca Wilhelm Wundt drażliwej dla niektórych kwestyi „metafizyki" i z całą siłą przekonania przedstawia jej konieczność, a jasne i przejrzyste przedstawienie rzeczy nie pozostawia czytelnikowi najmniejszej wątpliwości. Zaznaczywszy na początku potrzebę metafizyki, podaje Wund jej definicyę a następnie wykazuje na historyi filozofii, jak metafizyka zawsze, od pierwszych do ostatnich czasów wraca pod postacią jednego z trzech jej rodzajów. W tym zaś dowodzie jedną z najsilniejszych racyi jest ta, że metafizyka pojawia się stale u wszystkich uczonych, którzy są jej zdecydowanymi i jawnymi wrogami. Toteż nikogo nie może dziwić, że postawiwszy pytanie: „czy metafizyka jest wogóle możliwa jako wiedza?" — odpowiada autor: „jeżeli jest konieczną to musi być i możliwą" i zawsze pozostanie.

W świetle dość słabem w porównaniu do innych artykułów przedstawia się: „Filozofia przyrody" Wilhelma Ostwalda. Zaznacza on

wprawdzie, że nie jest „filozofem fachowym“ ale przyrodnikiem, zdaje się jednak, że staćby było tak sławnego uczonego na gruntowniejszą rozprawę. Przedewszystkiem wcale prawie nie zastaje się tu głębszego rozumowania, dla którego filozofia przyrody tak niezmierne otwiera pole. Zamiast tego znajdujemy pobieżne objaśnienie znanych pojęć z dziedziny matematyki i nauk przyrodniczych wogóle; określenie filozofii natury i jej cech tak jest niejasne i słabe, że wskutek tego mniemana jej potrzeba wcale się jako konieczna nie przedstawia a pole pracy niedokładnie określone. Poza tem trochę uwag o zanikaniu pewności w zakresie nauk, krótko i niepewnie zaznaczony energetyzm, jako główna teorya autora i zapatrywania jego na kwestyę badania początku i końca świata.

Zupełnie inaczej pod względem układu i ciągłości myśli przedstawia się „Psychologia“ Hermana Ebbinghaus'a. Zaznaczywszy, że chodzi mu o to, żeby zapatrywania na świat duchowy zawsze godzić z tem, co nauka uznaje współcześnie za słuszne co do świata materyalnego, zaczyna autor od ostatnich elementów życia psychicznego, to jest: wrażeń, wyobrażeń i uczuć, które dusza przyjmuje i reguluje w sposób sobie właściwy; z nich powstają bardziej skombimowane czynności i procesy, mianowicie: spostrzeżenie, abstrakcya, mowa myślenie i wiara. Wskutek zaś przewidywania rzeczy, które potem nastąpić mają, powstają pewne ujemne dla duszy stany, którym ona przeciwdziała za pomocą religii, sztuki i moralności; z tych pierwsze dwie mają na celu obronę jednostki, a trzecia oprócz tego ochronę społeczeństwa. Taka jest w najkrótszych słowach treść dzieła. Wchodzić krytycznie w szczegóły tu nie podobna, za wiele ich jest; jako punkta zaczepne wystarczy ogólnie zaznaczyć parallelizm psychofizyczny, teoryę o woli, pojęciach powszechnych, myśleniu, poznawaniu moralności i religii.

Znakomity znawca dziejów filozofii i głęboki myśliciel, Rudolf Eucken, podaje następnie „Filozofię historyi“, w której roztacza — można powiedzieć — całą swą wiedzę; obok właściwego przedmiotu porusza on całą masę innych myśli, przedstawiających stan i charakterystykę ludzkości dawnej i obecnej, zapatrywanie na życie i kulturę. Przeważna część artykułu podaje historyę tego działu filozofii, przyczem ważną rolę odgrywa uzasadnienie zwalczanej przez wielu potrzeby filozofii historyi.

Prawdziwy kontrast pod względem języka stanowi „Etyka“ Fryderyka Paulsen'a, której jasny i potoczysty styl pozwala z łatwo-

ścią wnikać w myśl autora. Wychodzi on z dwóch faktów: „chcenia" i „powinności". Pierwsze z nich zawsze ma jakiś cel, musi zatem istnieć pewne najwyższe dobro, które ostatecznie potrafi zadowolić wolę, a tem jest „życie ludzkie w swej doskonałości". Co do drugiego faktu zbadać należy, skąd on pochodzi. Nauki przyrodnicze wykazują, że życie istot niższych skierowanem jest do zachowania jednostki i gatunku; otóż taksamo musi być u człowieka, to jest, prawo moralne musi mu pomagać do tegosamego celu, oczywiście w sposób odpowiedni. Z takich to początków rozwijają się powoli — jak historya wykazuje — zwyczaje i przepisy, które potem stają się prawami i dążą do dobra jednostki i ogółu; co do tego celu pomaga, jest „dobrem", a co przeszkadza, „złem", stąd pojęcia te są zależne i zmienne.

Nie podobna podać tu krytyki, która ogarnąć musiałaby zarówno cały system, jak i niektóre jego założenia; zaznaczyć jednak trzeba, że w przeciwieństwie do wielu filozofów cechuje tu Paulsen'a zbyt rażąco kategoryczny sposób wyrażania się, który występuje zwłaszcza w drugim jego końcowym artykule „O zadaniach filozofii w przyszłości", w którym dogmatycznie prawie stawia pogląd na świat monizmu panteistycznego.

Bogatą w materyał jest rozprawa „Pedagogia" przez Wilhelma Münch'a. W celu zwięzłego ujęcia treści przedstawię krótko, jakie problemy obejmuje — zdaniem autora — praca wychowawcza. Otóż celem jej jest wyrobienie dziecka na dzielną jednostkę i dobrego członka społeczeństwa. Uważać więc trzeba bardzo, żeby w dziecku nie przytłumiać indywidualności, ale przeciwnie — pomagać jej w samodzielnym rozwoju; nadto wyrabiać należy zawczasu i doskonalić zmysł społeczny, a przy tem wszystkiem uważać na stronę etyczną, umysłową i fizyczną wychowanka; usiłowanie wpojenia zamiłowania pracy nie powinno wykluczać kar odpowiednich. Usuwać należy wpływy niepożądane, a zadaniem wychowawczem zająć się powinna w pierwszym rzędzie rodzina a nadto inni wychowawcy i państwo. — Autorowi przyznać tu trzeba ogromną pracowitość w obrobieniu rozprawy a nadto wielką oględność w twierdzeniach.

Ostatni dział „Estetyka" skreślony został przez Teodora Lipps'a i obejmuje zarówno zarys estetyki ogólnej, jak dość obszerny szkic niektórych części estetyki szczegółowej. Całość przeprowadzona jest z punktu widzenia psychologicznego. Głównym warunkiem odczucia piękna jest według autora, obok pewnych wymagań objektywnych, przedewszystkiem „wczuwanie się", przez które obserwator wkłada

niejako siebie w przedmiot, wlewa w niego własne życie i siły, by potem módz rozkoszować się wzbogaconem poza zwyczajny zakres swojem „ja".

Z powyższego jasno wynika, co już we wstępie zaznaczyłem, że dzieło to nie jest jednolitym systemem filozofii, ale posiada raczej charakter sprawozdania historycznego z prądów i przekonań, jakie w poszczególnych działach są panującemi lub przynajmniej reprezentowanemi. Stąd niema potrzeby bliższego wykazywania, że nie nadaje się ono wcale na podręcznik filozofii, ani na wstępne dzieło dla pragnących zaznajomić się dopiero z jego zagadnieniami, ale przeciwnie potrzebną tu jest już znajomość tej wiedzy, a do niektórych artykułów lub ich części, nawet bardzo gruntowna. Co do strony zewnętrznej, oprócz ozdobnego wydania, podnieść należy staranność wydawcy o możliwie wielką przejrzystość całości; poza podwójnym spisem, każdy artykuł podzielony jest na działy, u góry strony podana jest materya na niej zawarta a z boku każdego prawie ustępu zaznaczono treść jego. Polecić można to dzieło jedynie ludziom obznajomionym już z filozofią, którzy potrafią spostrzedz i rozebrać błędne a nie udowodnione teorye, jakich — jak z powyższego sprawozdania wynika — tu nie brak.

Stanisław Podoleński.

Z beletrystyki francuskiej.

Powieść francuska przechodzi nader znamienną ewolucyę, może nie dosyć powszechnie znaną i uznaną. Dla wielu jest ona synonimem lektury lekkiej, niezdrowej, nieetycznej. Dla niektórych — wady te są zaletami. Był czas, że zalewała nas powieść francuska taka, dla której szkoda czasu i duszy. Umysły poważniejsze odwracały się od niej. Przyszło do tego, że w Ameryce poczęto bojkotować powieść francuską wogóle, pełniąc tem akt samoobrony moralnej. Fakt ten dotknął głęboko myślący i wierzący odłam społeczny we Francyi. Zawiązało się stowarzyszenie „Société du livre français", o którem była już mowa raz na łamach Przeglądu. Towarzystwo to ma na celu szerzenie pięknych i zdrowych płodów literatury francuskiej, a tem samem, wykazanie, że dusza Francyi żywi zawsze górne ideały, pomimo smutnych stosunków, jakie wytwarza panująca w niej teraz frakcya. Rozglądnięcie się wśród obecnej powieści francuskiej dowodnie stwierdza, że nie brak w niej pokarmu zdrowego, myśli głębokich, uczuć podniosłych.

Takiemi są powieści René Bazin, rozbierające subtelne zagadnienia psychologiczne. Najświeższy utwór powieściowy tego pisarza *Davidée Birot* wykazuje, że dusza czysta i szlachetna, choć wychowywana zdala od pojęć religijnych — staje się głęboko wierzącą przez zetknięcie z nędzą i boleścią życia. Prawda psychologiczna, rozpatrywana umiejętnie i misternie — stanowi pociągające piękno tego utworu.

M-me Jacques Morian: *Le Tournant* rozbiera zagadnienie z dziedziny psychologii religijnej. Są to dzieje młodej kobiety, którą nieszczęście powraca Bogu i obowiązkom. Wychowana przez niewierzącego ojca, wnosi w życie wiarę letnią, spoczywającą jakby na samem dnie duszy, pod powłoką, urobioną z „wolnej myśli" i „etyki niezależnej". Zbroja ta okazuje się za słabą w zetknięciu z zawodami, jakie życie jej przynosi. W osamotnieniu duchowem szuka pokarmu w książkach — pociągają ją dzieła religijne przez głębię myśli, czystość natchnień i tak bardzo dla niej zrozumiałą pogardę świata. Zaczyna szukać w nich pociechy — znajduje miłość Bożą, która wciska się do jej zranionej duszy. Dzieła religijne biorą nas zrazu zapomocą niektórych naszych ułomności jak pesymizm, rozczarowanie i niechęć do życia. Potem — zawarte w nich ziarna miłości pociągają nas wyżej i ukazują zupełnie odmienny punkt widzenia. Leczą z pesymizmu, który umie tylko duszę obezwładnić — świadomość, że życie jest złem, niczego nie naprawi. Uczynić to zdoła dopiero wola dobra i płynące z niej czyny. Bohaterka powieści czerpie takie myśli z „Naśladowania" i innych dzieł religijnych. Życie sprowadza ją znowu z mężem, z którym rozstała się, rozczarowana i zniechęcona. Odrodzona jej przez wiarę dusza znajduje w sobie siłę do przebaczenia — i zaczyna się dla niej życie nowe.

Ciążenie ludności wiejskiej do wielkich ognisk miejskich, w których szuka życia łatwiejszego, używania — a znajduje tak często upadek fizyczny i moralny — prowadzi za sobą zubożenie wsi, która w zdrowym rozwoju narodu winna być zawsze podstawą i źródłem odżywczem. Myśli takie rozwija z miłością i z przedziwnem mistrzowstwem René Bazin, w powieściach swoich: *La terre qui meurk* — *Le blé qui lève* — i Henry Bordeaux w całym szeregu powieści, które, jak *Le sol natal*, *Le croisé des chemins* — *La robe de laine* — kreślą obrazy ojczystej przyrody, duszę wsi i poezyę ogniska rodzinnego. Ostatnia z wymienionych powieści jest ponad to przedziwnie pięknem malowidłem duszy kobiecej, prostej, subtelnej, która

nie może dostosować się do sztuczności, fałszywej i jałowej, jaką jej daje życie na wielkim świecie. Tęskni do prostoty i poezyi wsi i szumiących lasów, które wykołysały jej młodość, przejrzystą, jak leśne źródła — świeżą, jak rosnące nad niemi kwiaty. I umiera — aby powrócić tam, gdzie jedynie żyć byłaby mogła.

Dla nas Polaków, specyalnie sympatycznemi są powieści osnute na tle życia Alzacyi, oderwanej od pnia francuskiego, a zrośniętej z nim całą potęgą wspólności duszy i tradycyi. Pełne dramatycznej siły są te zmagania się uczuć i przekonań w łonie jednej rodziny, jakie znajdujemy w znakomitem malowidle współczesnej Alzacyi, nakreślonem przez Renè Bazin w znanej powieści: *Les Oberlé*. Pogodny a pełen głębokiej treści psychicznej obrazek, to Maurycego Barrès: *Colette Baudoche*. Młoda alzacka dziewczyna czuje budzące się uczucie dla poczciwego, a kochającego ją prawdziwie Niemca, który pod wpływem jej i mówiących do niego przejawów francuskiej kultury, przetwarza się powoli, podnosi ponad pangermańską zarozumiałość i pychę. A jednak — gdy nadchodzi chwila stanowcza — Coletta czuje, że Niemcowi oddać serca i ręki nie może. Zerwałaby tem nić, wiążącą ją z tętniącem sercem Alzacyi. *Les exilés* Pawła Ackera, to dzieje Alzatczyka, wychowanego we Francyi, który po wielu latach przyjeżdża do swojej „małej ojczyzny", na pozór dla niej zobojętniały. Urok ziemi rodzinnej powoli ogarnia jego duszę. Dokonującą się w niej przemianę śledzimy z zajęciem i wzruszeniem. Autor wskazuje nam 3 typy alzackie. Pierwszy, to Alzatczyk, który opuścił ojczyznę, aby się nie ugiąć pod jarzmem najeźdźców. Drugi — pozostał w kraju, ale nigdy nie pochylił głowy przed nimi. Wreszcie trzeci, pozorną uległością zdobywa sobie silniejszy grunt pod stopami. Wszyscy trzej jednakowo kochają swoją ojczyznę, choć na odrębną modłę. Wszyscy uważają się za wygnańców, bo opuścili Alzacyę — dla Francyi — albo Francyę dla służenia Alzacyi.

Lichtenbergera „Justyn Lobel, Alzatczyk", to rzecznik pokoju, poświęcający ojczyznę dla ludzkości. Hołduje tym poglądom, póki żyje zdala od ziemi ojczystej. Gdy staje na niej, gdy wgłębia się w ciche ale bolesne dramata, których tak wiele w życiu Alzatczyków, budzi się w jego sercu miłość, wobec której rozwiewają się utopijne mrzonki — na tej miłości opiera się jego dalsze życie.

Oryentując się z pewną znajomością przedmiotu wśród dzisiejszej belletrystyki francuskiej, znajdziemy w niej także i czyste a sub-

telne obrazy, pogłębienie psychologiczne i służbę podniosłym ideałom, na których naród francuski oprzeć może swoją przyszłość.

Helena Skolimowska.

Le Problème du Mal. *P. J. De Bonniot.* 3-e édit. Avec une Introduction par X. Moisant. In 12. (XLI+371). Paris 1911. Pierre Téqui.

Zadaniem tego dzieła jest, jak autor w przedmowie zaznacza, wykazać, iż jedynie dobrem rozwiązaniem problemu zła jest praktyczne, głębokie przeświadczenie o Opatrzności, która ojcowską ręką poprzez doświadczenia i biedy i nędze tego życia poprowadzi ludzkość całą i każdego z osobna ku celom wyższym, świętym, ku dobrom wiecznym i czystym. W tym celu wykazuje naprzód, że istnienia zła nie można brać za dowód przeciw istnieniu Boga, ani przeciw Jego sprawiedliwości. Określiwszy następnie pojęcie zła, przechodzi kolejno różnego rodzaju zło, a więc zło w świecie zwierzęcym, niedolę człowieka, jego bóle fizyczne, niedostatki umysłowe, cierpienia moralne; osobną, księgę poświęca cierpieniom dziecka, dalej szczegółowo rozpatruje zło moralne a wreszcie karę piekła.

Trzy myśli przewodnie snują się poprzez mnóstwo subtelnych, naukowych i metafizycznych analiz, trafnych spostrzeżeń i uwag, zajmujących, czasem lekką ironią zaprawionych anegdot, mianowicie: wielka doniosłość zagadnienia, zawiłość kwestyi zła taka, że niepokoi nawet dusze proste, wreszcie dobrodziejstwo tajemnicy, z tą kwestyą związanej. Śmiało stawia de Bonniot twierdzenie: Kto zagadnienie ogranicza do postawienia pytania, dlaczego Bóg dobry, mądry i wszechmocny dopuszcza tyle zła, a nie zadaje sobie dalszej kwestyi, jak człowiek powinien postępować wobec istniejącego zła, ten spacza, ten kawałkuje całość zagadnienia. Jeżeli się bowiem naprawdę zła nienawidzi, to nie wolno ograniczyć się na bezpłodnych jeno życzeniach, ale trzeba ścigać potwór, zwalczać go wszystkiemi siłami.

Nie można powiedzieć, że dzielny apologeta i uczony metafizyk rozwiązuje wszystkie problemy z tą kwestyą związane, dostatecznie i zadowalająco, sam bowiem uznaje niezmierną jej zawiłość i tajemniczość, ale to przyznać należy, że zabiera się do nich z całą sumiennością, z przeświadczeniem o ich ogromnem znaczeniu, i że mnóstwo zarzutów, bałamutnych twierdzeń i wniosków, bezpodstawnych przesądów, puszczanych w świat inteligentny celem ośmieszenia i podko-

pania chrześcijańskiego poglądu na istnienie zła, odpiera dzielnie i skutecznie. *Ks. B. Wolnik T. J.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Biblioteka krakowska. Nr. 30. *Dr. Klemens Bąkowski.* Kronika krakowska 1796—1848. Część druga: 1816—1831. Kraków. Nr. 31. *Wiktor Kopff.* Wspomnienia z ostatnich lat Rzeczypospolitej krakowskiej. Wydał *Stanisław Estreicher* Kraków. Nr. 32. *Edward Kubalski* Z dziejów krakowskiej muzyki. (Czasy Rzpl. Krakowskiej) Z ilustracyami. Kraków.

Zasłużone Towarzystwo Miłośników historyi i zabytków Krakowa wydało jako numer 30. swego zajmującego zbioru część drugą „Kroniki Krakowskiej", obejmującą lata 1816—1831. W spokojnym biegu ówczesnego życia Rzeczypospolitej Krakowskiej daremnie szukalibyśmy jakichś momentów historycznych ogólniejszego znaczenia dla dziejów polskich. Będą to przeważnie luźne wiadomości, dotyczące teatru, życia towarzyskiego, literatury, ważniejszych wydarzeń na bruku krakowskim; tu i ówdzie wiadomości o zmianach rządowych w Rzeczypospolitej, a z rzadka dalekiem echem przewiną się na karcie kroniki wzmianki o Napoleonie, śmierci Kościuszki, wstąpienie na tron Mikołaja I i t. p. Dla historyi Krakowa posiada zbiór niniejszy, czerpany z ówczesnych dzienników i pamiętników, znaczenie pierwszorzędne; to też winniśmy sumiennemu autorowi szczerą wdzięczność za poniesione trudy, których owocem tak ciekawy materyał do poznania przeszłości Krakowa.

Tomik następny obejmuje „Wspomnienia z ostatnich lat Rzeczypospolitej Krakowskiej Wiktora Kopffa. Jak słusznie zaznacza wydawca, Stanisław Estreicher, w obszernej i krytycznej przedmowie, daremnieby szukać w pamiętniku zainteresowania się „malowniczą stroną dziejów, romantycznymi wybuchami uczuć i pragnień, jakich zwłaszcza lata 1846—1848 są widownią"; znajdziemy tam natomiast zajęcie się „szarem, codziennem życiem: wzrostem oświaty, dobrobytu, ładu". Takim więc jakim Kopff był w życiu, takim też pozostał w swoich notatkach: suchym, spokojnym narratorem, regestrującym pilnie ważniejsze wydarzenia z dziejów Rzeczypospolitej Krakowskiej. Jest to właściwie kontynuacya „Dziejów Rzeczypospolitej Krakowskiej" Jacka Mieroszewskiego i jako obraz, przedstawiający historyę dalszych i zarazem ostatnich dwunastu lat istnienia tej Rzeczypospolitej, nie pozbawiona wartości.

Dalszy wreszcie tomik obejmuje pracę Edwarda Kubalskiego p. t. Z dziejów krakowskiej muzyki". Autor oparł się na nielicznej literaturze drukowanej, a mając ponadto do dyspozycyi szereg niezużytkowanych dotąd źródeł archiwalnych, dał nam piękne ustępy z dziejów Bursy muzycznej św. Anny, Towarzystwa przyjaciół muzyki i szkoły muzycznej. W dodatku przedrukowano ustawy Towarzystwa Przyjaciół Muzyki, wydane w Krakowie 1818, i wykazy członków honorowych i czynnych. Literatura nasza, tak uboga w zakresie historyi muzyki w Polsce, zyskała w niniejszem sumiennem badaniu p. Kubalskiego cenny przyczynek. *A. Z.*

Szkice historyczne. *Ludwik Glatman.* Spółka wydawnicza, Kraków.

Zbiór szkiców p. Glatmana przedstawia się na ogół dość niejednolicie. Obok niewątpliwie ciekawych, nawed naukowo traktowanych szkiców, dotyczących przeważnie XVII i XVIII wieku, znajdujemy i wiersz (Na cześć Kościuszki w setną rocznicę przysięgi) i pieśń historyczną (skon Jana III) i wreszcie historyczną powieść p. t „Smoleńskie wspominki". Oba utwory poetyckie mają tyle wspólności z prawdziwą poezyą, co i z tytułem książki; powieść zaś, mało zresztą zajmująca, bo pisana dość ciężko i przeładowana historyą, powinna była wyjść osobno i nie rozszerzać książki do rozmiarów poważnego tomu, który na tem nic nie zyskał. Same szkice utrzymane w stylu trochę niepewnym, jakby nieogładzonym, co psuje wrażenie interesującej skądinąd treści.

A. Z.

Z krainy prawa, wolności i pracy. *K. Ostaszewski-Barański.* Ilustrowane zapiski z Belgii. Lwów.

Książka p. Ostaszewskiego-Barańskiego jest poniekąd wyjątkiem w dotychczasowym obszernym dorobku literackim autora, który się do tej pory zajmował prawie wyłącznie — oprócz krótkich dziennikarskich artykułów — kwestyami z zakresu historyi. Rzeczy jego z historyi Galicyi, oparte na ciekawym a mało znanym materyale, wyrobiły sobie słuszne uznanie i poczytność; świeżo wydana monografia o Wacławie Zaleskim, doskonałością swą sprawiła nawet niespodziankę zawodowym historykom. Piętno tej pracy w kierunku historycznym odbija się i na wspomnieniach z Belgii, gdzie na każdej niemal stronie autor wiąże z opisami miejscowości zajmujące szczegóły dziejowe. Wogóle na każdym kroku przebija tu publicysta, ciekawy, obrotny, interesujący się wszystkiem i wszystkimi. A dodać należy, że jako reprezentant galicyjskiej prasy na zjeździe dziennikarzy, miał wstęp wszędzie i ułatwienia daleko idące. Temu zawdzięczać należy, że „Zapiski" odbiegają daleko od szablonu „wspomnień z podróży", których tyle i „takich" grasuje po pismach w ogórkowym czasie; że na ten kraik, mały obszarem, ale wielki duchem, dają pogląd zdrowy a wierny, poruszając wszystkie kwestye, jakie mogą interesować wykształconego turystę. Sześć rozdziałów książki: Leodyum, Lovanium, Bruksela, Bruges, Gandawa i Antwerpia — zawiera prawie wszystko, co można w dziennikarskiem sprawozdaniu powiedzieć; jedynie może przy pięknościach Brukseli zapomniano o sąsiedniem Laeken, z jego kościołem przepysznym i pawilonami „Dalekiego wschodu". Przedewszystkiem w podróży, jak to recenzent z własnego doświadczenia skwapliwie przyznaje, książka ta daje nieocenione usługi: uczy patrzeć krytycznie i umiejętnie, uczy myśleć przy zwiedzaniu. Dla tych, co tam nie byli, da obraz dokładny, może troszeczkę różowy, „krainy prawa, wolności i pracy".

A. Z.

Vademecum pro Nuntiis Apostolicis in Polonia a Galeazzo Marescotti, Nuntio Apostolico circa a. 1670 exaratum... ed. *Dr. Aleksander Kakowski.* Petropoli, 1912. Str. 137.

Rękopis (kopia) z XVII w. zachowany dotąd w bibliotece kościoła Świętokrzyskiego w Warszawie, zawiera bardzo cenne uwagi o nuncyaturze C. Marescottiego. Prawdopodobnie jest to rodzaj instrukcyi, jaką Marescotti zostawił dla swych następców — którzy też często do niej zaglądali, jak świadczą noty i dopiski. Instrukcya zaś sama nie dotyczy agend, raczej uwzględ-

dnia tylko stronę ekonomiczną, zewnętrzną, nuncyatury jak wydatki na reprezentacyę, opis samych przyjęć, koszta wyjazdu, sposób załatwiania korespondencyi i t. p. Oczywiście, nie brak w tej instrukcyi szczegółów do poznania ówczesnych zwyczajów polskich, polskiego dworu lub dworów pańskich.

Sposób wydania jest ścisły: autor nie porobił w tekście żadnych zmian — oprócz tej tak naturalnej, że nie uwzględniał ówczesnej pisowni, posługującej się wielkiemi literami początkowemi dla wyróżnienia rzeczowników. Wskazanem jednak byłoby dać czasem w dopisku uwagę wyjaśniającą, czy co do miejscowości, czy co do osób. *K.*

Politik und Liebe. Tragödie in drei Aufzügen von *Milena Włodzimirska*. Mit Illustrationen und historischen Anmerkungen. Wien und Leipzig 1911. Verlag Paul Knepler Wien I., Hoher Markt Nr. 1. — Brosz. 3·60 kor.

Tragiczne losy Barbary Radziwiłłównej, obierane za przykładem Alojzego Felińskiego przez naszych twórców dramatu (Franciszka Wężyka, D. Magnuszewskiego, A. E Odyńca i in.), w najnowszych czasach przez Stanisława Wyspiańskiego i Rydla na temat tragedyi narodowej, opracowała natchniona autorka dla sceny niemieckiej. Nawiązuje dosyć ściśle do motywów Felińskiego, nawet w budowie dramatu i w rozwoju akcyi, ogółem rzecz biorąc, idzie za jego wzorem. Pominąwszy różnicę w podziale akcyi — tu na trzy akty, tam na pięć, — odstępuje szczęśliwie od Barbary Felińskiego w tem, iż kończy rzecz z jednej strony nie uznaniem przez sejm Barbary za królowę, ale buntem delegacyi sejmowej i ogłoszeniem bezkrólewia, spowodowanemi stanowczością młodego króla i jego szlachetną wiernością małżeńską, a z drugiej nie śmiercią znienawidzonej przez Bonę pięknej Litwinki, lecz tylko zobowiązaniem się Montiego podania jej trucizny. Skutkiem tego sprawa zyskuje niewątpliwie na tragiczności, a główna myśl, że w walce polityki z miłością szczerą i prawdziwą, polityka zwyciężyć, miłość w jakibądź sposób, ofiarą paść musi, znajduje najzupełniejsze uznanie. — Główne postacie traktowane z wielkiem staraniem, i zdaje mi się, że co do Barbary uniknęła autorka wady, w którą popadł Feliński, mianowicie, iż w najpatetyczniejszych chwilach przy całym swoim heroiźmie i poświęceniu jest więcej wymowna, jak rozrzewniająca. — Czy atoli dla urozmaicenia akcyi i podtrzymania zajęcia nie wypadało odstąpić od zasady *jedności miejsca*, nie chcę rozstrzygać. *W.*

Polenlieder deutscher Dichter. Gesammelt und herausgegeben von *St. Leonhard*. I. Band. 8°(XVI + 326). Krakau—Podgórze. Verlag von I. Piasecki. 1911.

Praca ta zasługuje najzupełniej na uznanie, z jakiem się w naszym świecie literackim spotkała. Tego rodzaju zbiór pieśni bowiem ma wielkie znaczenie nie tylko dla literatury — o tyle, że uzupełnia braki najlepszych nawet wydań poetów cudzoziemców, gdzie opuszczono mnóstwo pieśni, wyrażających hołd i sympatyę dzielnym obrońcom niepodległości naszej narodowej, nie tylko dla psychologii narodów może być nader użyteczny, lecz w naszych stosunkach oddaje także niemałe usługi nauce i pedagogii, gdyż podaje przedmiot do lektury w szkołach średnich pod względem treści nieobcy, owszem dobrze znany i bardzo sympatyczny, a w wielu wypadkach pod względem natchnienia i formy doskonały. Życzyć jeno wypada, by praca nad dwoma dalszemi, zapowiedzianymi już tomami postępowała pomyślnie i raźno naprzód. *W.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Bazylea i Berlin. Bazylea od czasu słynnego soboru bazylejskiego zawsze była ogniskiem religijnej wolnomyślności, miejscem schadzkowem duchów liberalniejszych i rewolucyjnych i kuźnią nowych idei religijnych. Już za czasów Lutra drukarnie bazylejskie zasypywały nowatorskiemi dziełami Europę, a imiona słynne z epoki rewolucyi francuskiej nierzadko wiążą się z tem miastem. Przyzwyczajona jest więc Bazylea do nowin najradykalniejszego zabarwienia, przyzwyczajony jest także świat cywilizowany do wybryków bazylejskich. Ale czasy ostatnie dokazały, czego nawet w Bazylei trudno spodziewać się było można. Na tegorocznym zjeździe socyalistycznym protestanci bazylejscy uważali za słuszne, aby miejscem obrad dla głosicieli nowej ewangelii była stara katedra, w której kiedyś obradowali członkowie soboru. Przemawiali więc wodzowie socyalizmu, zdeklarowani ateusze i wrogowie wszelkiej religii z ambony katedralnej ku wielkiemu zbudowaniu protestantów. Nie wiem, czy możliwą jest lepsza ilustracya do zupełnego bankructwa protestantyzmu! Nie znać też było wielkiego oburzenia z powodu tego faktu w świecie protestanckim, co tłumaczyć trzeba chyba tem, że największa część dzisiejszych protestantów trzyma się wyznania poety: Moją religią jest nie mieć żadnej religii.

Mógłby ktoś z tego zjawiska ten przynajmniej dla protestantów korzystny wyciągnąć wniosek, że hołdują bezwarunkowej tolerancyi. Ale wniosek ten byłby bardzo mylny, a dowodem na to jest Berlin, czyli raczej Rada związkowa niemiecka, obradująca w Berlinie. Pomimo licznych podań i nalegań tak ze strony episkopatu niemieckiego, jakoteż kleru i katolików całego państwa, pomimo energicznego postulatu ostatniego wiecu katolickiego, Rada rzeszy odrzuciła łagodniejszą interpretacyę bawarską prawa jezuickiego i oświadczyła się za ostrzejszą praktyką. Pozwala pojedynczym członkom Towarzystwa Jezusowego w obrębie państwa niemieckiego tylko na cichą mszę św., na prymicye i na udzielanie ostatnich Sakramentów, zabrania zaś wszelkiej innej pomocy nietylko kapłańskiej, ale i religijnej. A więc raczej socyaliści jak Jezuici! Ponieważ katolicy niemieccy niejednokrotnie oświadczyli, że prawo wyjątkowe dla Jezuitów uważają za krzywdę dla Kościoła i obrazę katolicyzmu, zmuszeni też byli z postępowania Rady związkowej bardziej stanowcze wyciągnąć wnioski. Stąd nazajutrz, po ogłoszeniu owej interpretacyi, wódz centrowców, Dr. Spahn oświadczył w imieniu całego centrum, że, wobec wyraźnej nieprzychylności rządu, centrum ani do kanclerza ani do Rady rzeszy tej ufności mieć nie może, żeby sprawy katolików należycie zostały uwzględnione, że zatem zmuszone jest do tych stosunków swoją dalszą politykę zastosować. W odpowiedzi na to oświadczenie zaznaczył kanclerz Bethmann wyraźnie, że Rada związkowa zmuszona była oglądać się na opinię większości protestanckiej w państwie, która w Jezuitach widzi niebezpieczeństwo dla spokoju religijnego.

Była to rzecz z góry pewna, że tak a nie inaczej wypadnie interpretacya prawa jezuickiego. Protestantyzm, bowiem niemający życia w sobie, może tylko istnieć podtrzymywany silną ręką, która bezwzględnie usuwa wszystko, coby dla niego konkurencyą być mogło. Nie pomogą więc nic i najjaśniejsze dowodzenia, że prawo jezuickie jest krzyczącą krzywdą i interpretacya Rady związkowej niesprawiedliwością, jak to w dwugodzinnej mowie uczynił centrowiec Dr. Gröber. Protestantyzm

nie ustąpi, dopóki go silniejsza racya państwowa nie zmusi do tego. Może nią będzie socyalizm, któremu dziś protestantyzm otwiera swoje kościoły.

Breve papieskie w sprawie chrześcijańskich stowarzyszeń zawodowych w Niemczech.

Znane zatargi między t. zw. kierunkiem berlińskim i kolońskim, które groziły bolesną scysyą w obozie katolików niemieckich, zniewoliły Stolicę św., żeby w tej sprawie po długich naradach z episkopatem niemieckim zabrać głos. Uczynił to Pius X brevem z dnia 24 września, w którem jasno określa stanowisko Stolicy św. wobec chrześcijańskich stowarzyszeń zawodowych. Podajemy je w całości:

„Szczególniejszą powodowani życzliwością ku katolikom Niemiec, wiernym i nader oddanym tej Apostolskiej Stolicy, przywykłym wielkodusznie i odważnie walczyć za Kościół, — uważamy za rzecz potrzebną, Wielebni Bracia, jaknajstaranniej, najdokładniej wyjaśnić te kwestye sporne, które pomiędzy nimi, co do stowarzyszeń robotniczych istnieją. Zresztą o kwestyach tych w latach niedawno ubiegłych często bardzo otrzymywaliśmy informacye od Was, jakoteż od poważnych i rozumnych mężów obu w tych sprawach kierunków. Tem zaś gorliwiej zajęliśmy się tą sprawą, że w poczuciu Naszego Apostolskiego Urzędu uważamy za święty Nasz obowiązek, starać się i działać tak, aby Nasi ukochani synowie zachowywali wiarę katolicką nieskażoną i nienaruszoną, by też pod żadnym warunkiem nie dopuścić, aby ich wiara narażoną została na niebezpieczeństwo. Gdyby bowiem nie zostali zawczasu pobudzeni do czujności, byliby narażeni na oczywiste niebezpieczeństwo utraty swej wiary z zamianą stopniową i niewidoczną na jakieś błędne i nieokreślone wyznanie chrześcijańskie, które zwykle zowią religią międzywyznaniową, a która polega na zupełnie błędnem zalecaniu jakiejś wspólności chrześcijańskiej, co najzupełniej przeciwne jest nauce Jezusa Chrystusa. Ponadto, ponieważ najgorętszem jest naszem życzeniem, aby pomiędzy katolikami panowała zgoda, pragniemy usuwać wszelkie powody waśni, albowiem przez nie siły ludzi dobrej woli roz-

praszają się, co tylko przynosi korzyść nieprzyjaciołom religii. Owszem, pragniemy też i życzymy, aby katolicy żyli w zgodzie z współobywatelami niekatolickimi, bez której ani porządek w społeczeństwie ludzkiem, ani dobrobyt państwa istnieć nie może. Chociaż więc, jak wyżej zaznaczyliśmy, stan kwestyi tej był Nam znany, uważaliśmy za pożyteczne zapytać się każdego z Was, Wielebni Bracia, o zdanie, zanim sąd Nasz o kwestyi tej wypowiemy, a na-nasze zapytania każdy z Was z jaknajwiększą sumiennością wyczerpująco odpowiedział, jak należało w tak ważnej sprawie.

Wobec tego oświadczamy przedewszystkiem, że obowiązkiem wszystkich katolików, obowiązkiem świętym i nienaruszalnym jest to, iżby zarówno w życiu prywatnem, jak i publicznem, trzymali się ściśle i bez trwogi wyznawali te wszystkie zasady chrześcijańskiej prawdy, które podaje nauczycielstwo Kościoła katolickiego, a zwłaszcza te, które Poprzednik Nasz z największą mądrością w encyklice *Rerum novarum* wyłuszczył, któremi też, jak Nam wiadomo, kierowali się w r. 1900, przy obradach swych, biskupi pruscy, zgromadzeni w Fuldzie, co również w głównych zarysach zaznaczyliście w Waszych odpowiedziach.

Zasady te są: przy każdej czynności chrześcijanina, nawet w sprawach czysto doczesnych, nie wolno mu zapominać o dobrach porządku wyższego, lecz według przepisów mądrości chrześcijańskiej powinien wszystko podporządkowywać najwyższemu dobru, jako ostatecznemu celowi. Wszystkie zaś czynności jego, o ile są dobre lub złe pod względem moralnym, t. j. o ile zgadzają się z przyrodzonemi i Boskiemi prawami, lub od nich odstępują, podlegają sądowi i władzy Kościoła. Wszyscy, którzy, czy to jako osoby pojedyńcze, czy to jako stowarzyszenia, szczycą się nazwą chrześcijańską, nie powinni, o ile chcą pamiętać o swych obowiązkach, szerzyć nieprzyjaźni i waśni stanowych, lecz raczej mają powinność popierać pokój i miłość wzajemną.

Kwestya społeczna i połączone z nią kwestye sporne, dotyczące rodzaju i trwania pracy, zarobków, strajków, nie są

to czysto ekonomiczne sprawy i nie można ich zaliczać do tych, które mogą być załatwione z pominięciem Władzy kościelnej; „nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że kwestya społeczna jest przedewszystkiem kwestyą moralną i religijną i z tego powodu przedewszystkiem musi być rozstrzygnięta wedle zasad moralnych i religijnych".[1]

Odnośnie do stowarzyszeń robotniczych, chociaż zadanie ich polega na pomnożeniu ziemskich korzyści członków, to jednak za najgodniejsze uznania i najodpowiedniejsze ku istotnemu trwałemu pożytkowi stowarzyszonych należy uważać te związki, które zorganizowano przeważnie na podstawie religii katolickiej i które idą pod przewodnictwem Kościoła; co My sami po kilkakroć mieliśmy sposobność skonstatować wobec odnośnych informacyi, otrzymywanych z rozmaitych krajów. Wynika z tego, że tego rodzaju, tak zwane wyznaniowe katolickie stowarzyszenia należy zakładać i popierać usilnie we wszystkich krajach katolickich, jakoteż w tych miejscowościach, gdzie przypuszczać można, że przez nie rozmaitym potrzebom członków dostateczną pomoc będzie można przynieść. Jeżeli zaś chodzi o stowarzyszenia, które zajmują się wprost lub ubocznie religią i moralnością, pod żadnym warunkiem godzić się na to nie można, aby w wyżej wymienionych miejscowościach zakładano i szerzono stowarzyszenia mieszane, t, j. takie, które się składają z katolików i niekatolików. Pomijając wszystko inne, w stowarzyszeniach takich katolicy są, albo mogą być narażeni na wielkie niebezpieczeństwo pod względem czystości wiary i należnego posłuszeństwa przykazaniom i przepisom Kościoła katolickiego, niebezpieczeństwa, na które, jak czytaliśmy, Wy też, Wielebni Bracia, wskazywaliście w wielu z Waszych odpowiedzi.

Z radością więc udzielamy Naszej pochwały wszystkim czysto katolickim stowarzyszeniom w Niemczech i pragniemy, aby wszelkie ich usiłowania ku polepszeniu doli robotniczej ludności jaknajszczęśliwiej się powiodły, nadto życzymy im

[1] Encyklika *Graves de Communi.*

jak najpomyślniejszego rozwoju. Jednakże, mówiąc to, przyznajemy, że katolicy mogą w celu uzyskania lepszych stosunków robotniczych, odpowiedniejszych warunków płacy i pracy, albo w celu uprawnionych korzyści, pracować razem, zachowując się względnie, dla wspólnych interesów. Byłoby Nam miłej, gdyby w tym celu katolickie i niekatolickie stowarzyszenia łączyły się z sobą za pomocą nowego urządzenia, zwanego kartelem.

Pod tym względem, Wielebni Bracia, wielu z pośród Was prosi Nas, abyśmy pozwolili Wam tolerować istniejące w Waszych dyecezyach tak zwane chrześcijańskie związki zawodowe, ponieważ, z jednej strony mają one znacznie większą liczbę członków, aniżeli czysto katolickie stowarzyszenia, z drugiej zaś strony zakaz odnośny pociągnąłby za sobą wiele niekorzystnych następstw.

Ze względu na szczególniejsze położenie katolickiej sprawy w Niemczech, sądzimy, że na prośby te zgodzić Nam się należy, i oświadczamy, że *można tolerować* i pozwalać katolikom, aby przystępowali i do tych mieszanych związków, które istnieją w Waszych dyecezyach, dopóki nie zajdą nowe okoliczności, w którychby zezwolenie przestało być odpowiedniem, albo słusznem. Przytem jednak trzeba zachować ostrożności, iżby uniknąć niebezpieczeństw, które, jak powiedzieliśmy, istnieją w tego rodzaju stowarzyszeniach. Najgłówniejszymi takimi środkami ostrożności są: Przedewszystkiem trzeba się o to starać, aby robotnicy katoliccy, członkowie takich zawodowych związków, należeli równocześnie do katolickich stowarzyszeń, które znane są pod nazwą „Stowarzyszeń robotniczych" *(Arbeitervereine)*. Jeżeli z tego powodu będą musieli ponieść ofiary, zwłaszcza pieniężne, przekonani jesteśmy, że poniosą je chętnie, ze względu na utrzymanie w czystości swej wiary. Jak się bowiem wykazało, stowarzyszenia te robotnicze, dzięki współdziałaniu duchowieństwa, pod jego przewodnictwem i czujnem kierownictwem, mogą wiele zdziałać tam, gdzie chodzi o zachowanie nieskazitelnej wiary i czystości obyczajów pośród członków, a nadto o ożywienie ducha pobożności przez częste

ćwiczenia pobożne. Kierownicy więc tych stowarzyszeń, patrząc jasno na potrzeby czasu, będą bezwątpienia gotowi pouczać robotników o przykazaniach i przepisach, odnoszących się do obowiązków sprawiedliwości i miłości, których dokładne poznanie jest potrzebne, albo pożyteczne, w tym celu, aby w związkach zawodowych postępować w sposób prawy i wedle zasad nauki katolickiej.

Nadto, aby związki zawodowe były takie, by katolicy do nich mogli wstępować, muszą się trzymać zdala od wszystkiego, coby zasadniczo lub faktycznie nie zgadzało się z nauką i przykazaniami Kościoła katolickiego i odnośnej Władzy kościelnej; unikać również powinny w pismach, mowach i czynnościach tego wszystkiego, coby z powyższego punktu widzenia było godnem nagany. Biskupi przeto powinni uważać sobie za najświętszy obowiązek to, iżby baczną zwracali uwagę na zachowanie się tych stowarzyszeń i czuwali nad tem, aby dla współczłonków katolików żadna stąd nie wynikła szkoda. Sami zaś członkowie katolicy nie powinni nigdy dopuścić, aby związki zawodowe, jako takie, troszcząc się o doczesne sprawy swych członków, oświadczały się za naukami, albo podejmowały czynności, które sprzeciwiałyby się pod jakimbądź względem przepisom, ogłoszonym przez najwyższe nauczycielstwo Kościoła, a przedewszystkiem tym wskazówkom, któreśmy wyżej wymienili. Skoro więc powstają kwestye nad rzeczami, dotyczącemi moralności, t. j. kwestye, dotyczące sprawiedliwości lub miłości, Biskupi powinni czuwać z największą bacznością nad tem, aby wierni nie zapomnieli o katolickiej moralności i nie odstępowali od niej ani na jotę.

Przekonani jesteśmy, Wielebni Bracia, że starać się będziecie o sumienne i dokładne wypełnienie tego Naszego zarządzenia i że o tej sprawie tak wielkiej wagi ciągle i dokładnie Nas informować będziecie.

Ponieważ sprawą tą zajęliśmy się, po naradzie z Biskupami, wyrok w niej do Nas musi należeć. Nakazujemy tedy wszystkim dobrze myślącym katolikom, aby od tej chwili poniechali wszelkich pomiędzy sobą sporów w tej sprawie,

a żywimy nadzieję, że przez miłość braterską i zupełne posłuszeństwo wobec Nas i wobec swych Pasterzów, wypełnią najzupełniej i chętnie to, co nakazujemy. Gdyby jeszcze miała pomiędzy nimi powstać jakakolwiek trudność, to dla jej załatwienia wskazujemy tę drogę; niechaj się zwrócą o radę do swych Biskupów, a ci przedłożą sprawę Stolicy Apostolskiej, która ją rozstrzygnie.

Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, nie trudno wywnioskować, że nie wolno nikomu rzucać podejrzenia na prawowierność tych, którzy ze słusznych powodów do mieszanych związków zawodowych przystąpili, albo przystąpić pragną tam, gdzie Władza duchowna uważała za dobre dozwolić z pewnemi zastrzeżeniami na założenie takich związków — i wywoływać z tego powodu rozterki pomiędzy tymi, którzy mężnie bronią nauk i praw Kościoła. Również byłoby wielkiej nagany godne i to, gdyby ktoś zwalczał czysto katolickie stowarzyszenia — bo te stowarzyszenia na wszelki sposób popierać i rozszerzać należy — a żądał, aby zakładano międzywyznaniowe i narzucał je, chociażby pod tym pozorem, że wszystkie katolickie stowarzyszenia w poszczególnych dyecezyach należy urządzać wedle jednakowej formy.

Wyrażając katolickim Niemcom życzenie, aby robiły wielkie postępy w religijnem i obywatelskiem życiu, zarazem życzymy, aby się to szczęśliwie wypełniło, w czem prosimy Bogarodzicy Dziewicy o szczególniejszą pomoc wszechmocnego Boga dla ukochanego niemieckiego ludu i o opiekę Królowej Pokoju, a jako zadatek łaski Boskiej, a również jako dowód Naszej szczególniejszej życzliwości, udzielamy Tobie, ukochany Synu i Wam, Wielebni Bracia, waszemu Duchowieństwu i wiernemu ludowi w największej miłości błogosławieństwa anielskiego".

Ks. A. Starker.

Listy z Warszawy.

LIST I.

(Antysemityzm w Królestwie. — Wrzawa przedwyborcza. — Narodowa demokracya a koncentracya. — Dmowski a Kucharzewski. — Ignacego Grabowskiego broszura „Niewdzięczni Goście". — Zwycięstwo Żydów. — Odnarodowianie twórczości polskiej).

Wielką falą ogarnął antysemityzm Królestwo.

Trzeba było dopiero gromadnej inwazyi Żydów, wypędzonych z Rosyi i ich hałaśliwej a aroganckiej, wrogiej dla nas działalności, by się rdzenna ludność ocuciła ze swoich majaków asymilacyjnych.

Rzecz dziwna, że my Polacy, których Żydzi szczególnie umiłowali, których obleźli robactwem pasorzytniczem od góry do dołu, którzy się o nich ocieramy, znamy tak mało ich duszę, ich psychologię, ich cele i dążenia. Nawet taka skądinąd trzeźwa, mądra głowa, jak margr. A. Wielopolskiego, pozwoliła się Żydom wywieść w pole, uległa mrzonce asymilacyjnej.

Bo kto zna historyę Żydów, począwszy od Esry i Nehemii kto wczuł się w ich duszę, szukając jej w talmudzie i w całem zachowaniu się, postępowaniu plemienia żydowskiego po zburzeniu Jerozolimy przez Tytusa, ten wie, że asymilacya jest utopią, że wszelkie próby, podejmowane w tym kierunku przez władców i marzycieli różnych narodów rozbijały się zawsze i wszędzie o „wybrańswo" Judy, o jej mniemanie, że ona jest kwiatem ludzkości i będzie kiedyś panowała nad całym światem. Ta megalomania, wszczepiona w duszę Żyda przez talmud, podtrzymywana i podniecana bezustannie przez rabinów, jest tak silna, wżarła się tak głęboko w Żyda, iż jej nie wytępi żadna doktryna ugodowa. Żyd nie chce się poprostu z nikim asymilować, chce zostać Żydem, czeka cierpliwie na chwilę, która spełni, wcieli jego marzenia o jego królewskości. Tu i ówdzie oderwie się jakaś jednostka, ochrzci się, zleje się z rasą inną (zwykle przez małżeństwo), szerokie jednak masy żydowskie, właściwy naród żydowski, trwają uparcie przy swojem wybrańswie. Ten upór przynosi zaszczyt Judzie, poświadczając niezniszczalne przywiązanie narodu-banity do tradycyi przodków i zasługiwałby na uznanie, gdyby nie był szkodliwym dla innowierców.

Megalomania, upokorzona poniewierką narodu bez własnego dachu nad głową, bez pana i wodza, wytworzyła nienawiść do wszystkich innych ras i narodów, siedzących u siebie, głównie zaś do chrze-

ścijan, którym przypisuje klęskę gwiazdy Salomona, nienawiść zaś nie jest, nie może być cementem ugodowym, asymilacyjnym.

Podsycana bezlitosnemi wskazówkami talmudu i rabinów, nienawiść żydowska stara się zniszczyć innowierców wszelkimi przysługującymi jej środkami. Środki te były do końca XVIII stulecia bardzo ograniczone. Odcięty od wpływu na losy narodów, Żyd, poruszał się w stosunku do innowierców tylko w ciasnych ramach ekonomicznych, ale poruszał się, jak wiadomo z niezwykłym rezultatem dla siebie. Gdyby nie pogromy, powtarzające się aż do r. 1820 mniejwięcej w całej Europie co lat kilkadziesiąt i kasowanie długów, zaciąganych u Żydów, byłyby narody europejskie już dawno żebrakami. Polityczne równouprawnienie Żydów w wieku XIX (z wyjątkiem w Rosyi) podało Żydom do rąk wszystkie środki, jakimi człowiek rozporządza. Środkami tymi posługuje się Żyd z taką samą nienawiścią i chytrą bezwzględnością, z jaką posługiwał się nieuczciwością handlarza i lichwiarza. Zaczął od zatruwania duszy chrześcijańskiej za pomocą prasy, na którą nie szczędzi pieniędzy, broszur, literatury i agitacyi wywrotowej. Dużo już zrobił w tym kierunku, dużo już zburzył, ale jeszcze za mało, aby się jego mrzonka o wszechświatowem panowaniu Judy mogła wcielić. Bo narody mocne, stojące na własnych nogach, nie pozwalają się rzucić pod stopy obcych przybyszów.

Więc zaczął się Żyd nowoczesny rozglądać za pewniejszym niż Anglia, Francya, Niemcy i t. d., za dogodniejszym terenem operacyjnym. I znalazł go. Są nim ziemie polskie, głównie Galicya i Królestwo.

Nas głównie umiłowali, nas się uczepili, licząc na to, że naród słaby, sponiewierany, spętany warunkami, w jakich się znajduje, da się łatwiej powalić, okuć w obrożę.

Ale Żyd, mimo całego swojego sprytu handlarskiego i mimo całej swojej bezwzględności, psuje sam swoją robotę destruktywną. Urodzony megaloman, mający się ciągle za wybrańca, za kwiat narodów, traci równowagę natychmiast, gdy mu warunki przyjaźniejsze rozpętują ręce. Gdziekolwiek i kiedykolwiek zabłysły dla niego dni jaśniejsze, czy we Frankonii, czy w Hiszpanii albo Niderlandach, zawsze i wszędzie zapominał przez noc, że jest tylko tolerowanym przybyszem, obcym i podnosił głowę tak butnie, stawał się tak nieznośnym arogantem, iż oburzył na siebie rdzenną ludność.

Stało się to także w Warszawie i w innych miastach Królestwa.

Zwaliła się na Warszawę z Cesarstwa gromada Żydów, t. zw. „litwaków" i zachowywała się odrazu z taką butą, z taką arogancyą, z takiem lekceważeniem miejscowej ludności, jak gdyby barbarzyńcy najechali kraj zdobyty. Buta obcych współwierców podniecila tłumioną zręcznie megalomanię Żydów miejscowych i wytworzyły się w krótkim czasie stosunki nie do zniesienia.

Teraz dopiero drgnął instynkt samozachowawczy narodu polskiego. Pozwalał się on niedołężnie wyzyskiwać, oszukiwać, wysysać, obelg jednak przybłędów znieść nie chciał. I zahuczało w Królestwie: włóczęgi, szachraje urągają nam! dość tego! Czas zrobić z nimi porządek! I stanęli wszyscy ławą przeciw Żydom, wszyscy nawet postępowcy, dotąd gorliwi alianci i obrońcy i przyjaciele Judy ze względów humanitarnych.

Ze względów humanitarnych! Jak gdyby względy humanitarne nakazywały pozwalać się: okradać, odzierać ze skóry i do tego jeszcze znieważać, opluwać. I humanitaryzm ma swoje granice.

Cała ludność Królestwa stała się antysemicką. Butne, krzykliwe zuchwalstwo litwaków zdziałało w tym kierunku więcej, aniżeli cała dwudziestokilkoletnia działalność ś. p. Jeleńskiego i moja. Dwadzieścia kilka lat mówiłem ciągle to samo, co dziś powtarzają wszystkie stronnictwa i nazywano mnie za to: wstecznikiem, obskurantem, idyotą i t. d., a dziś żywią się moi adwersarze mojem „wstecznictwem", może „obskurantyzmem". Przyjemnie doczekać się choćby takiej satysfakcyi. Szkoda, że się jej także Jeleński nie doczekał. Byłby tryumfował...

Huczącym potokiem buchnął w Warszawie antysemityzm podczas agitacyi przedwyborczej.

Stało się, że wskutek nowej ordynacyi wyborczej Żydzi mają w Warszawie większą ilość wyborców, aniżeli Polacy, czyli mogliby, gdyby chcieli, przeprowadzić swojego, żydowskiego kandydata. Ta możliwość uderzyła Warszawę obuchem w głowę. W pierwszej chwili stanęła ona cała sztorcem, bez względu na różnice partyjne, gdy jednak pierwszy gniew ostygł, znaleźli się pośrednicy, szukający jakiegoś wyjścia z trudnego położenia. Narodowa demokracya (jej prawica), wziąwszy się za ręce z katolikami (Związkiem katolickim) zajęła stanowisko nieprzejednanego antysemity, realiści (ugodowcy), postępowcy, secesya narodowej demokracyi (lewica) i różni oportu-

niści skłonili się ku kompromisowi z Żydami, postanowili wysunąć takiego kandydata, któryby był i Polakom miły i uczuć żydowskich nie obrażał. Wybór padł na p. Jana Kucharzewskiego, adwokata i ekonomistę. Koncentracyą narodową nazwano tę grupę kompromisową.

I zaczęła się walka wyborcza z nieznaną w Warszawie zajadłością. Całe kubły pomyi przedwyborczych, podlanych sosem namiętności, wylewały organy koncentracyi (głównie „Kuryery") na Romana Dmowskiego, odzierając go z wszystkiego. Głupcem go zrobiono, niedołęgą, spekulantem i t. d. A że Dmowski nie należy do natur bojaźliwych, że umie oddać pięknem za nadobne, że nie lęka się marnego słowa, przeto miała Warszawa przez dwa tygodnie widowisko z istnie „europejskich" zapasów politycznych. Latały na zebraniach przedwyborczych słowa jaskrawe, rakietowe, huczały dzienniki obelgami. Do pomocy *Gazecie Warszawskiej* (organ prawicy dem. narod.) dodano założony *ad hoc* dzienniczek p. t. „Gazeta poranna za dwa grosze" — gazetkę małą, chudą, ale ogromnie ruchliwą, czupurną, prowadzoną doskonale w celach agitacyjnych. Pienią się na nią Żydzi, chociaż się z niej niczego nowego nie dowiadują, ale stare prawdy podaje „Za dwa grosze" w tak żywej formie, tak przystępnie dla szerokich mas, iż taktyka ta szkodzi Judzie więcej od najmądrzejszego traktatu. I pienią się także Żydzi na Dmowskiego, który rusza się w tej nienawistnej wrzawie z dobrym humorem i z całą swobodą działacza, przywykłego do ludzkich namiętności.

Boć tylko namiętność może w nas wzniecić taką wrzawę. Gdzieindziej, w krajach parlamentarnych, otwiera mandat poselski zręcznemu lub zuchwałemu karyerowiczowi drogę do: majątku, stosunków, wpływów, orderów, godności, znaczenia. Nawet portfel ministerski kapnie w niepowołaną garść, o czem wy, w Galicyi, wiecie najlepiej. Za taką cenę warto się „irytować", napić aż do mdłości pomyi wyborczych.

Ale na posła polskiego do Dumy petersburskiej nie spadają: ordery, majątki, urzędy, portfele ministerskie, zaszczyty, godności. Nie „zarabia" on nic na poselstwie, bierze tylko na swoje barki przykry ciężar obowiązków, których nie może spełnić z przyczyn od niego niezależnych. Bezsilnym jest wobec nieprzychylnej mu większości. I dlatego nie staje u nas w szrankach turniejów wyborczych pospolity karyerowicz, szukający na tej drodze takiego

lub innego „zarobku". Bodźcem naszego kandydata może być tylko albo poczucie obowiązku obywatelskiego albo ambicya wypłynięcia ponad szary tłum, stania się kimś znanym, wybitnym.

O ile ambicya odgrywała rolę w ostatnich wrzaskliwych wyborach, trudno ocenić, nie znając dokładnie psychologii kandydatów. Zdaje się jednak, że tym razem miotała się, rzucała, bryzgała obelgami nie tyle ambicya kandydatów, ile megalomania żydowska,

Robiła ona za kulisami „koncentracyi narodowej" wszystko, aby przeprowadzić takiego posła polskiego z Warszawy, któryby im szedł na rękę. A Dmowski takim nie jest. Dmowski rzuca im w twarz śmiało rękawicę bojowca, wołając: przyjdźcie i podnieście ją! Stąd owa nieznana w przeszłych wyborach hałaśliwość agitacyjna.

Podrażnieniu Żydów dziwić się zresztą nie można. Chłostę odbierają teraz ciągle, to z tej to z owej strony, a nietylko ci prawowierni, lecz także ci oświeceni, lubiący się nazywać Żydami-Polakami. W ostatnich czasach wydał Ignacy Grabowski broszurkę p. t. „Niewdzięczni Goście", w której wykazał szkodliwą działalność owych oświeconych Żydów-Polaków, podszywających się w pismach, broszurach i książkach pod znane nazwiska polskie, aby zmylić czujność czytelników polskich. Wykazał tę prawdę, że się tak wyrażę, aforyzmowo, zbyt aforyzmowo dla przeciętnej inteligencyi, ale dla tych, co śledzą uważnie rozwój psychy polskiej, bardzo wyraźnie. Wykazał mianowicie, że całe „przewartościowywanie dawnych wartości", czyli całe pomieszanie pojęć, jakie w ostatnich latach zakaziło duszę polską w Królestwie, jest dziełem perfidyjnych rąk żydowskich, albo jawnych (Feldmanowie *et consortes*) albo ukrytych pod różnymi pseudonimami.

Zewsząd trapieni Żydzi tracą cierpliwość, o co u nich nie trudno, bo rasą spokojną nie są. Przenerwowa to nacya, ogromnie czuła, wrażliwa na wszelką, choćby najlżejszą krytykę, nieznosząca, gdy im ktoś zagląda w karty.

Wszystko to złożyło się na hałaśliwą zajadłość walki wyborczej.

Z bijącem sercem czekała tym razem Warszawa na rezultat wyborów prawyborców i doczekała się klęski. Bo oto zwyciężyli Żydzi...

Niepoprawni optymiści łudzili się, że Żydzi są zanadto sprytni, by się chcieli narazić na gniew ludności rdzennej. Nie ośmielą się znieważyć, spoliczkować stolicy ziemi polskiej!...

A jednak ośmielili się...

Ośmielili się, bo wrodzona im megalomania jest mocniejszą od ich handlarskiego sprytu. Ośmielili się, bo czują się już w Warszawie tak silni, że zdaje się im, że mogą lekceważyć oburzenie ludności rdzennej. Pisały przecież z tryumfem ich gazety żargonowe, ich *Hajuty* podczas wyborów: „Warszawa jest miastem-matką w Izraelu", Warszawa jest naszą stolicą w Europie, naszą przystanią, naszą radością...

Tak mniemając, tak wierząc śmiali się Żydzi po cichu w kułak, patrząc na zabiegi t. zw. koncentracyi narodowej. Wziąwszy się za ręce, oddali „skoncentrowanym gojom" tylko tyle głosów, ile ich było potrzeba do obalenia kandydata antysemickiego, dla siebie zaś zatrzymali tyle, ile było potrzeba do przeprowadzenia wyborców żydowsko-nacyonalistycznych. Nawet Żydzi-socyaliści, mający swoją własną listę, zrzekli się swoich kandydatów i szli solidarnie z litwakami przeciw gojom.

Tryumfują Żydzi w swojej megalomanii... Tryumfują zawcześnie. Bo za ten chwilowy tryumf zapłacą drogo. Reszta społeczeństwa polskiego, drzemiąca dotąd w puchach wygodnej teoryi asymilacyjnej, ruszy się nareszcie, ocknie się, stanie ławą przeciw aroganckim przybłędom. Stanąć powinna, stanąć musi, jeżeli nie chce, żeby się Warszawa zmieniła istotnie w „matkę w Izraelu". Czas ostatni... Nie idzie już obecnie o antysemityzm czy filosemityzm, lecz poprostu o byt, o życie, o istnienie. Za gardło biorą nas Żydzi. Jest nas przecie więcej, aniżeli ich.

* * *

Demoralizowali i demoralizują dotąd żydowscy dziennikarze, publicyści i literaci duszę polską, zatruwając ją swoją rasową negacyą, swoją nienawiścią do wszystkiego, co stworzyła kultura chrześcijańska — demoralizują ją także młodsi pisarze polscy, wychowani na obcych, głównie rosyjskich wzorach!

Mówi Władysław Rabski w *Kuryerze Warszawskim* z powodu sztuki p. Stefana Kiedrzyńskiego p. t. „Gra serc": „W kołach literackich mówi się już od dłuższego czasu z wzrastającem niepokojem o wpływach literatury rosyjskiej na umysłowość polską. Nawet w twórczości kilku wybitniejszych talentów naszych odzywa się dusza rosyjska. Cała ich konstrukcya mózgowa urobiona jest na

modłę wschodniego myślenia. Ich styl, ich typy, ich poglądy filozoficzne i pojęcia społeczne, ich anarchistyczny pesymizm, ich miłość i nienawiść — wszystko to ma piętno obcego ducha. Jest to temat, o którym mówi się dużo, a pisze za mało. Krytyka zajmuje wobec tych objawów stanowisko bardzo ostrożne, jakby z szacunku dla wielkich talentów nie chciała poruszać sprawy drażliwej. A jednak czas już najwyższy zerwać z metodą delikatnych półsłówek. Trzeba przemówić mocno i wyraźnie o rusyfikowaniu twórczości polskiej, choćby nawet ugodzić należało w artystów tej miary co Żeromski".

W istocie! Od lat kilku czytamy niby polskie nowele i powieści, patrzymy na niby polskie sztuki w teatrach, w których szukamy daremnie naszych typów, charakterów, naszych pojęć, zwyczajów i obyczajów, naszej kultury wogóle. Gdyby to były dzieła obcych autorów, lub osnute na obcych tłach, nie byłoby w tem nic zdrożnego.

Każdy naród ma oprócz cech ogólno-ludzkich swoją własną fizyognomię, swoją własną psychologię, wytworzoną warunkami i tradycyami, w jakich się rozwijała. Poznać te cechy odmienne należy, trzeba, gdy się chce mieć pogląd na całą ludzkość, ale przenosić obce typy, obce charaktery, zwyczaje i obyczaje na tło własnej twórczości, ani potrzeba ani wolno. Nie potrzeba, bo każdy naród dostarcza autorowi dosyć rodzimego materyału, nie wolno, bo, kopiując obce typy w ramach niby polskich, fałszuje się prawdę, tworzy się dziwolągi. Dziwolągiem n. p. psychologicznym, monstrum logicznem ze stanowiska naszej kultury jest Pobratyńska Żeromskiego w „Dziejach Grzechu". Bezkrytyczny czytelnik, a takich najwięcej, uczy się z takich dzieł pogardy dla własnego narodu, paradoksalności pojęć i niezdrowego, bezsilnego pesymizmu.

Dwie przyczyny składają się na karykaturowanie typów i charakterów naszych w najnowszej literaturze polskiej. Po pierwsze mają młodsi pisarze zamało ducha kultury łacińsko-chrześcijańskiej, której my Polacy jesteśmy wychowańcami, za mało się uczyli, poprostu zamało wiedzą, rozczytując się prawie jedynie w Arcybaszewach, Czechowach, Gorkich i t. d., obcych uczuciami i pojęciami naszej duszy, powtóre ogarniają oni bardzo szczupły zakres obserwacyi, poruszają się w życiu w zbyt ciasnych ramach.

Wiadomo, że razem z „Młodą Polską" odżyła u nas cyganerya literacko-artystyczna, zaniedbana przez pokolenie popowsta-

niowe. Cyganerya zaprowadziła młodych poetów, literatów i artystów do szynku, do nocnych kawiarni, do tingl-tanglów i t. d., wyrzuciła ich z domów rodzinnych, z towarzystwa i zamknęła ich w ciasnem kole tych szynków, nocnych kawiarni, tingl-tanglów i t. d. Z tego otoczenia czerpią oni swoje typy, swoją psychologię, swój pesymizm, swoje pomysły, przepojone alkoholem i rozpustnym albo zwyrodniałym seksualizmem. Właściwego narodu, większości zdrowej na wsi i w mieście, w domu i przy warsztacie pracy nie znają.

Stąd owe dziwolągi psychologiczne, owe karykatury polskich typów, jakiemi roi się nasza najmłodsza beletrystyka, stąd owa atmosfera knajpy, nocnych kawiarni, stąd ów rozpaczliwy pesymizm wykolejeńców, wierzących tylko w butelkę i seksualizm.

LIST II.

(Poseł żydowski. — Odezwa żydowska. — Bojkot ekonomiczny Żydów).

Na nic nie zdały się wszelkie mądre zebrania i dyplomatyczne, ugodowe gadaniny t. zw. koncentracyi narodowej. Na nic jej stanowisko „kulturalne", „humanitarne", czy jak tam inaczej, jej oczkowanie, umizganie się w stronę Judy. Żydzi postawili na swojem.

P. Jan Kucharzewski, kandydat „koncentracyi", nie podobał się im. Nie podobał się, bo jako Polak nie mógł się przecież zgodzić na oddanie miast polskich w ręce Żydów (samorząd), nie podobał się, bo jako chrześcijanin nie mógł się oddać cały nieprzejednanym wrogom Krzyża, — nie mógł się stać narzędziem w ich ręku. Powiedział to delikatnie, grzecznie, miękko, bez szczerej, jawnej brawury Dmowskiego, ale powiedział. Więc przepadł. Jego upadek poprzedziła odezwa („wyjaśnienie") Żydów, rozesłana do pism polskich. Odezwę tę należy utrwalić, zachować w naszem archiwum historycznem, jako dokument historyczny. Oto ona:

„Stan obecny akcyi wyborczej w Warszawie zniewala nas do następującego wyjaśnienia:

Nie ze słowami nienawiści, nie z zamysłem wywoływania waśni przystąpiła ludność żydowska Warszawy do akcyi wyborczej, w celu obrania posła do Dumy państwowej. Na równi z innymi współobywatelami prawyborca żydowski, w poczuciu obowiązków względem kraju żywił nadzieję, że poseł, którego Warszawa wyśle do czwartej Dumy, będzie w przyszłem Kole posel-

skiem z Królestwa *primus inter pares*, przyświecając swym towarzyszom energią w pracy oraz oryentacyą polityczną w trudnej chwili, którą przeżywa obecnie kraj i państwo całe. Ale niemniejszą od zalet i zasług osobistych siłę moralną stanowi dla posła zaufanie ludności, którą reprezentuje. I prawyborca żydowski w Warszawie niczego bardziej nie pragnął jak tego, aby przyszły poseł uposażony został w nieograniczone zaufanie całej ludności „warszawskiej". Aby cel ten osiągnąć, a jednocześnie usunąć nieporozumienie, jakie w umysłach zrobić mogła przewaga liczebna prawyborców żydowskich, grono obywateli żydowskich zawczasu swe dążenie do zgodnego z ogółem polskim działania zamanifestowało. „Mandat warszawski — głosiło oświadczenie — powinien być oddany w ręce Polaka-(chrześcijanina), zwolennika równouprawnienia Żydów w Królestwie i w Cesarstwie".

Żądanie równouprawnienia, jeśli z jednej strony jest hasłem walki o prawa w życiu prawno-politycznem państwa, to z drugiej strony też jest wezwaniem do społeczeństwa polskiego o wspólne i solidarne w interesie kraju całego działania.

Żądanie to jest w zupełnej zgodzie z tradycyą polityczną kraju: wszak już przed półwiekiem nie było mowy w Królestwie o ograniczeniach wyznaniowych w samorządzie. Jest to żądanie w zupełnej zgodzie z realnymi interesami kraju, którego rozwój dalszy zależy od harmonijnego współdziałania wszystkich grup ludnościowych.

A konieczność tego współdziałania właśnie prawyborcy żydowscy tak silnie podkreślili, gdy niedwuznacznie wskazując na pożytek i potrzebę reprezentacyi interesów swoich w Dumie przez Żyda-obywatela z Królestwa, jednocześnie się zastrzegli, że, pomimo obecnej przewagi w Warszawie, mandat warszawski uważają za stosowne oddać w ręce Polaka-chrześcijanina.

Należy więc żałować, że polskie ugrupowania polityczne, które skupiły się w „Koncentracyi narodowej", przeszły do porządku dziennego nad wezwaniem ludności żydowskiej do solidarnej akcyi wyborczej, którąby odzwierciedliła pragnienia i nastroje wszystkich grup ludnościowych w Warszawie.

Chcemy wierzyć, że „Koncentracya narodowa" wytworzyła potrzeby zasadnicze i przesłanki ideowe. Chcemy wierzyć w szczerość słów, potępiających antysemityzm, z jakiemi wystąpiła

„Koncentracya narodowa", gdy mówiła o potrzebie przeciwstawienia kandydatury narodowej, zgodnie z tradycyami politycznemi kraju, kandydaturze wyłącznie partyjnej, sekciarskiej, jaką pospieszył wystawić główny, bo najstarszy odłam „Narodowej demokracyi".

Niemniej zaznaczyć musimy tu, i to bez ogródek żadnych, że „Koncentracya narodowa" okazała się wkrótce w sprzeczności z przesłankami ideowemi, jakie sama ustaliła. Istotnie pan Jan Kucharzewski, którego „Koncentracya narodowa" wysunęła jako swego kandydata, oświadczył się za wyznaniowemi ograniczeniami prawnemi w samorządzie przyszłym i jednocześnie głosił konieczność krucyaty ekonomicznej przeciw ludności żydowskiej, w kraju tym zamieszkałej.

Otóż oba postulaty pana Jana Kucharzewskiego zasługują z punktu widzenia interesów krajowych na potępienie. Prawne ograniczenia wyznaniowe mogą tylko powstrzymać rozwój myśli politycznej i urządzeń społecznych w kraju. Ekonomiczna zaś krucyata, głoszona przeciw Żydom — o ile będzie wykonalna — sprowadzi tylko większą pauperyzacyę ubogich już mas żydowskich, pauperyzacyę, groźną zarówno dla kultury kraju, jako i dla jego zdrowego rozwoju ekonomicznego.

Program, tak nieopatrzny zarówno politycznie jak społecznie, tembardziej musimy potępić my, wyborcy ludności żydowskiej miasta Warszawy. Nietylko nasze sumienie obywateli kraju, lecz i mandaty, dane przez naszych prawyborców, nakazują nam stanowcze zwalczanie kandydatury, nieprzyjaznej dla ludności żydowskiej, a jednocześnie szkodliwej dla całego kraju.

Jako wyborcy ludności żydowskiej, nie stanowimy żadnego wyłącznego i zamkniętego stronnictwa. Reprezentujemy nietylko różne warstwy, lecz i różne kierunki myśli politycznej wśród ludności żydowskiej. Łączy nas wszakże w jedną moralną całość szczera chęć spełnienia obowiązku, podyktowanego nam przez naszych prawyborców. A nakaz naszych prawyborców brzmi: obrona praw i interesów ludności żydowskiej przy możliwem współdziałaniu ze społeczeństwem polskiem.

Pragniemy wytrwać przy pierwotnej uchwale, z którą ludność żydowska naszego grodu przyszła do urny wyborczej.

W kolegium wyborczem nie chcemy odgrywać roli większości, która bezwzględnie ze swej liczby korzysta.

Nie chcieliśmy sami stanowić o mandacie z Warszawy. Naszem pragnieniem jest współdziałać z mniejszością w gronie wyborczem, współdziałać z wyborcami-chrześcijanami.

Ale ze stanowiska, jakie już prawyborcy nasi zajęli względem nieprzyjaznej im kandydatury pana Kucharzewskiego, również zejść nie możemy. Nie zgodzimy się ani na jawną, ani na cichą aprobatę dla programu politycznego, wrogiego interesom ludności żydowskiej, która ten kraj zamieszkuje, i groźnego w swych następstwach dla kraju całego.

Przejęci potrzebą solidarnego działania całej ludności kraju, chcemy wierzyć, że „Koncentracya narodowa", która z rywalizacyi ugrupowań polskich wyszła zwycięsko, nie zechce trzymać się zgubnej metody działania „wszystko, albo nic". Tylko nieprzejednane stanowisko „Koncentracyi narodowej" może sparaliżować nasze dobre chęci i podyktować nam obowiązek wyboru kandydata na własną rękę i na własną odpowiedzialność".

Chytro-mudre to „wyjaśnienie", niby spokojne, „kulturalne" (wszyscy są teraz w Warszawie od czasów rewolucyi „kulturalni", każdy kupczyk, każdy golibroda, każdy szajgec z hederu), a w istocie pewne siebie, zawzięte i aroganckie. Stanowisko polskie posła ze stolicy polskiego kraju nazywa „groźnem zarówno dla kultury kraju, jako i dla jego zdrowego rozwoju ekonomicznego". Kandydatura Polaka jest, według niego „szkodliwa dla całego kraju", żąda ono od nas „obrony praw i interesów ludności żydowskiej przy możliwem współdziałaniu ze społeczeństwem polskiem". Pysznie, stanowczo się odgraża: „nie zgodzimy się ani na jawną, ani na cichą aprobatę dla programu politycznego, wrogiego interesom ludności żydowskiej, która ten kraj zamieszkuje i groźnego w swych następstwach dla kraju całego.

Pełną gębę „kultury" nabrało żydowskie „wyjaśnienie". Komu tu mówić o kulturze? Żydom polskim? Kultura ich europejska jest tak świeża, tak od wczoraj, iż nie mieli jeszcze czasu strawić jej, wessać jej w siebie. A ich kultury talmudycznej nikt nie pożąda. Ich „postępowe" gadaniny ociekają obłudą, bo są najwstecznieszym narodem w wielkiej rodzinie ludzkiej.

Program polski polskiego posła ma szkodzić „zdrowemu roz-

wojowi ekonomicznemu". Dlaczego to? Czy dlatego, że program polski nie chce oddać na pastwę Żydów polskich miast i miasteczek, nie chce pozwolić zniszczyć, wyssać do szczętu, do ostatniego grosza ludności polskiej? Rozumie się, że taki program nie będzie służył Żydom, bo ograniczy ich sferę działalności handlarskiej, wytrąci z ich drapieżnych rąk jeden ze środków wyzysku.

Tak śmieszne, tak bezczelnie głupie jest owe żydowskie „wyjaśnienie", iż żąda, aby społeczeństwo polskie „współdziałało", pomagało Żydom, czyli, żeby pracowało samo na swoją zgubę. Pomagaj nam, goju, abyśmy cię mogli łatwiej, prędzej zjeść, pożreć.

Widocznie mają nas Żydzi za idyotów. Ale tym razem pomylili się.

Zamiast p. Kucharzewskiego lub jakiego Żyda wybrali niejakiego Eugeniusza Jagiełłę (właściwe nazwisko Jagieła), robotnika, socyalistę, odtrąconego przez jego własnych towarzyszów. Będzie to więc powolne narzędzie w ręku Żydów, jakiś manekin.

Szkoda niewielka, bo poseł polski, taki czy inny, znaczy w Dumie petersburskiej niewiele, ale duży wstyd. Warszawa, wysyłająca do sejmu żydowskie narzędzie! Chyba to nie może sprawić nikomu przyjemności.

Ale ten policzek, dany społeczeństwu polskiemu, podziałał jak obuch, ocucił, oprzytomnił miękkość, ślamazarność polską, otworzył nam oczy, pozwolił nam spojrzeć na samo dno psychy żydowskiej, nauczył nas, że Żyd, gdy mu się zdaje, iż jest mocniejszy od innowiercy, zadziera od razu nosa do góry, pokazuje rogi, zęby, pazury, dąży do władzy. Stara to prawda, tak stara, jak historya Żydów w Diasporze, potwierdzona tylokrotnie przez historyę, a mimo to zawsze nowa. Przypominają ją sobie narody europejskie zawsze dopiero wówczas, kiedy który z nich doświadcza jej na swojej własnej skórze.

Arogancya żydowska rozbudziła drzemiący instynkt samozachowawczy społeczeństwa polskiego. Odpowiedziało ono na nią generalnym bojkotem ekonomicznym Żydów.

Nie kupujcie nic u Żydów! rozległo się hasło w Warszawie i gromkie to hasło rozlało się szeroko po całym kraju. Tłumnie poddaje się publiczność tej komendzie. Kupcy polscy szukają dróg i środków wydobycia się z pod supremacyi hurtowni żydowskich,

powstają nowe stowarzyszenia i sklepy spółdzielcze, związki ziemian i t. p. Ruszyli się wyzyskiwani naprawdę, bronią się nie na żarty.

Dwa tylko hamulce mogłyby szkodzić generalnemu bojkotowi: kupcy i kobiety. Kupcy, jak kupcy całego świata, mają swoją własną politykę ekonomiczną: usiłują wyzyskać każde położenie danej chwili na swoją korzyść. Podczas rewolucyi w Warszawie, popodnosili wszyscy ceny, tłumacząc się strajkami i tych cen nie obniżyli, chociaż się bezrobocia skończyły. Tak samo kamienicznicy. Suto zapłacili sobie straty rewolucyjne kosztem najuboższych oczywiście.

A obecnie kiedy rzucono hasło bojkotu, spekulują niektórzy z pomiędzy naszych kupców znów po swojemu. Dobra okazya, myślą sobie, publiczność tłoczy się gromadnie do naszych sklepów, trzeba ceny popodnosić, aby zarobić jak najprędzej sporo grosza.

Jest to polityka końca nosa, polityka nędznych chciwców na krótką metę. Bo publiczność zrazi się i wróci do tańszych Żydów.

Żydzi są tańsi. Umieją oni wydobyć z fabryk, z hurtowni tańszy towar, umieją podsuwać publiczności tandetę, odświeżać zleżały materyał, a przedewszystkiem żyć skromniej dopóty, dopóki nie dorobią się majątku, i co zatem idzie zadowalniać się małym zyskiem. Obniżkę ceny zresztą odbijają sobie na szybszym obrocie gotówki. Nic dziwnego, że do ich sklepów tłoczy się wszelaka bieda, zmuszona robić groszowe oszczędności.

I cierpliwsi bywają kupcy żydowscy. Znoszą oni z filozoficznym spokojem kaprysy i krytyki kupujących, połkną nawet i strawią różne przykrości, którychby kupiec polski nie zniósł.

Te wszystkie względy sprawiają, że nasze kobiety wolą kupca żydowskiego, niż swojego. Nasze kobiety, zwłaszcza z ludu, lubią się targować, szczęśliwe, gdy odtargują choćby parę groszy. I panie zamożniejsze, wydające mnóstwo pieniędzy na stroje, są bardzo dumne, gdy zaoszczędzą kilka złotych na drobiazgach.

Taka już natura niewieścia, potrwa zapewne jakiś czas, zanim się nasze kobiety przyłączą gromadnie do powszechnego bojkotu handlu żydowskiego.

Żydzi grożą odwetem. Jakim? W jaki sposób może się zemścić kupiec — pośrednik i sprzedawca. Oddać pięknem za nadobne może w bojkocie ekonomicznym tylko producent, spożywca albo robotnik.

Producent może zamknąć fabrykę, warsztaty, nie uprawiać ziemi, robotnik odmówić rąk swoich, spożywca swojej gotówki. Ale kupiec? Jego rzemiosłem: stać w sklepie i czekać, aż przyjdzie spożywca. Kupcy żydowscy mogliby tylko wtedy zbojkotować bojkot, gdyby w ich ręku spoczywał cały handel, a przecież w Królestwie tak nie jest. Mnoży się, rośnie u nas polskie kupiectwo i wprawia się, mądrzeje z każdym rokiem!

Grożą Żydzi, że shańbią Warszawę, usuwając ze swoich szyldów napisy polskie. Bardzo dobrze. Dotąd ukrywają się Żydzi pod różnymi nazwiskami polskiemi lub skomponowanymi pseudonimami. Pełno wszędzie na szyldach: Aniel, Maryi, Ludwik, Zofii, Stanisławów i t. d. Myli to kłamstwo polskiego konsumenta, nie domyśla się często, że pod temi: Anielami, Maryami, Ludwikami, Zofiami, Stanisławami i t. d. siedzi za ladą, przy kasie: Ryfka, Sura, Małka, Sara, Lejbe, Moszek i t. d. Bywa, że spożywca polski, wszedłszy do takiego sklepu i spostrzegłszy, że się omylił, nie cofa się przez grzeczność. Gdy Żydzi usuną napisy polskie i imiona chrześcijańskie, usuną równocześnie omyłki, czyli ułatwią bojkot. Niedługo będą się bawili w „shańbienie Warszawy", bo polska Warszawa, omijając takie sklepy, zamknie je wkrótce i zmaże tem samem napisy żydowskie.

* * *

W chwili, kiedy to piszę, nadchodzi wiadomość o „bandycie na Jasnej Górze". Nieszczęśliwa ta Jasna Góra częstochowska! Matkę Boską zbrodnicze ręce okradły, klasztor zbrodnicze ręce znieważyły przelaną krwią, a teraz chciały się dostać do skarbca.

Zarzewie porewolucyjne nie chce zgasnąć. Tli ono ciągle w formie zuchwałego bandytyzmu, w formie krwawego buntu przeciw prawu i porządkowi, świętościom nawet religii nie daje spokoju. Po prostu trudno pojąć, skąd bierze się w kraju tyle zuchwałej zbrodni. Nędzną kreaturą musi być człowiek, kiedy mu potrzeba koniecznie grozy i karzącej ręki prawa, aby żył po ludzku.

Dużo krzywdy wyrządził socyalizm wojujący narodowi. Rozpętał namiętności, apetyty, chciwość, zawiści, a nie umiał ich zadowolnić, nasycić. Całe legiony ludzi młodych, zapalonych, odważnych zniszczył, zgubił, zaprzepaścił, rzucił pod szubienicę lub do katorg, a nie umie błędów popełnionych naprawić.

Tli ciągle to ohydne zarzewie zbrodni i nie wiadomo, kiedy zgaśnie.

Miała i francuska rewolucya takie zarzewie, ale tam stłumiła je wojna. Ubrała w mundur różnych zuchwalców, dała im karabin w garść i pchnęła ich na pola bitew. Dziewięć dziesiątych wyginęło, a reszta, nauczona znów w szeregu karności, posłuszeństwa, oczyściła się z brudów rewolucyjnych w ogniu boju.

Teodor Jeske-Choiński

Druk ukończono dnia 18 grudnia 1912 r.

Dwudziestolecie Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Rocznicę 20-letnią swego istnienia zaznaczyło samo Towarzystwo Szkoły Ludowej jubileuszowem na tę chwilę wydawnictwem. I miało racyę. Jeżeli która instytucya u nas ma prawo spoglądnąć poza siebie i wskazać na plon swej pracy, to w pierwszym rzędzie Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Niezwykły rozwój tego Towarzystwa przechodzi w tę sferę, że do działalności jego i wyników pracy nie przykłada się już tej miary, jakąby przykładało się do jakiegokolwiek pomyślnie rozwijającego się związku. Jest to już dzieło, po którem ocenia się stan współczesny społeczeństwa całego. To też ile razy była u nas w ostatnich latach mowa o polskim renesansie, o odrodzeniu się dzisiejszem społeczeństwa i o narodowej żywotności, tyle razy, jako naczelny na to dowód, przytaczano działalność i rozwój Towarzystwa Szkoły ludowej.

Miarę tego rozwoju daje najpierw rozwój samego statutu tego Towarzystwa. Gdy w początkach zajmowało się Towarzystwo niemal wyłącznie budowaniem własnych szkół ludowych i subwencyonowaniem tych gmin kresowych, które postanowiły szkołę swoim kosztem wybudować — z latami program ten rozszerzał się coraz bardziej. Samo życie narodowe, silnie pulsujące, z całą swoją różnorodnością kierunków i z obfitą

pełnią energii, rozpychało ramy statutu i zakresów działania. Kilkakrotnie też statut ulegał zmianom i przeróbkom. Dziś narosło tyle celów Towarzystwa, że obfitość ta musi budzić podziw. I tak, podług zmiany statutu, dokonanej lat temu cztery, cele Towarzystwa są następujące:

zakładanie i utrzymywanie polskich szkół ludowych, budowanie domów szkolnych lub pomaganie gminom w zakładaniu szkół ludowych, udzielanie na to jednorazowych bezzwrotnych datków, lub bezprocentowych pożyczek, —

zakładanie i prowadzenie szkolnych kursów uzupełniających przemysłowych, zaopatrywanie szkół ludowych w biblioteki i środki naukowe, zakładanie i prowadzenie uczelni dla uczącej się młodzieży, obdarzanie jej książkami i przyborami szkolnymi oraz odzieżą, —

zakładanie i utrzymywanie kursów nauki początkowej dla dorosłych analfabetów i młodzieży pozbawionej nauki szkolnej, —

zakładanie i utrzymywanie szkół średnich i seminaryów nauczycielskich z językiem wykładowym polskim, —

popieranie dalszego kształcenia się nauczycieli szkół ludowych zapomocą urządzania dla nich kursów i odczytów naukowych, oraz dostarczania im książek, czasopism i innych środków naukowych, —

udzielanie nagród nauczycielom szkół ludowych, odznaczającym się gorliwą pracą zawodową oraz działalnością oświatową pozaszkolną, —

zakładanie i utrzymywanie burs, ochronek i ogródków freblowskich, —

szerzenie wiedzy wśród ludu miejskiego i wiejskiego i pouczanie go w rzeczach i sprawach, bliżej go obchodzących, bądź zapomocą uniwersytetów ludowych, bądź też za pośrednictwem nauczycieli wędrownych, oraz drogą odczytów i pogadanek popularnych, —

zakładanie i popieranie czytelń ludowych i wypożyczalń książek oraz organizowanie bibliotek publicznych i zbiorów naukowych po miastach, —

zakładanie domów ludowych, —

urządzanie uroczystych obchodów narodowych oraz ludowych koncertów i przedstawień teatralnych, —

urządzanie kształcących wycieczek ludowych do godnych zwiedzenia miejsc na ziemiach polskich, —

wydawanie i wspieranie czasopism ludowych i wydawnictw popularnych, —

wydawanie własnego czasopisma, sprawom Towarzystwa i oświaty ludowej poświęconego, —

zwoływanie kongresów i wieców oświatowych.

Oto poczet zajęć i celów Towarzystwa. A należy raz jeszcze przypomnieć, że nie jest to schemat, ułożony z góry przy zielonym stoliku, bez względu na środki. Życie samo i dokonane czyny kazały statut rozszerzyć w tym duchu. Dodajmy dla dokładności, że nie wszystkie objawy żywotnej działalności Towarzystwa mieszczą się w powyższym spisie.

Bardziej wymownym dowodem rozwoju Towarzystwa są cyfry. I tak, podług sprawozdania z r. 1911, Towarzystwo Szkoły ludowej liczy kół 289 z cyfrą 30532 członków. Szkół ludowych, utrzymywanych całkowicie przez Towarzystwo jest 70, szkół utrzymywanych częściowo 172; prócz tego 45 szkółek początkowych. Najlepszą miarą żywotności Towarzystwa na polu szkolnictwa jest to, że założyło i utrzymuje 2 gimnazya realne i 3 seminarya nauczycielskie. Kursów dla analfabetów odbyło się w tem dwudziestoleciu 114, kursów uzupełniających przemysłowych, handlowych i zawodowych 40. Ochronek liczy dzisiaj Towarzystwo 17, burs 20, uczelń i ognisk 10, domów ludowych 47, bibliotek ruchomych 40, czytelń i wypożyczalń 2400. Obchodów narodowych urządzono 1420, odczytów 5681.

Może więc Towarzystwo Szkoły ludowej poszczycić się plonem swej pracy. Poszczycić się może tem bardziej, że plonowi temu towarzyszy pełne uznanie społeczeństwa w słowie i w czynie. Czynem zaś to nietylko wielka stosunkowo ilość uczestników w pracy, ale także i ofiarność publiczna na cele Towarzystwa, która w tem dwudziestoleciu doszła do sumy pięciu milionów koron.

Chwila taka retrospektywnego rzutu na całość, jak obecna, każe także zwrócić uwagę na naczelne idee kierownicze, które dotychczas Towarzystwu Szkoły ludowej przyświecały.

Co, najpierw, pod tym względem, uderza, to pewna żywiołowość, z jaką się dotychczas ta instytucya rozwijała i z jaką stała się tem, czem jest. Idea oświaty ludowej była tak potężną, tak opierała się na istotnej konieczności i ważności, tylu obudziła pracowników i na tyle natrafiła form podatnych, że nie było ani czasu ani sposobności pomyśleć o pedantycznym systemie. Był to majestatyczny pęd śnieżnej lawiny, która wszystko za sobą porywa i we wnętrzu swojem kryje i drzewo, i kamienie i wszystko, co w drodze stanęło.

Ale musi przyjść kiedyś chwila, w której o systemie trzeba pomyśleć, i to tak koniecznie, że będzie to nieodzownym warunkiem nietylko owocnej działalności na przyszłość, ale i samego istnienia. Pęd z góry nie może trwać wiecznie.

Zdaje sobie z tego sprawę samo Towarzystwo Szkoły ludowej; nie można mu zrobić zarzutu, że przymyka oczy na swoje potrzeby i niedomagania. Na dorocznych zjazdach toczą się dyskusye gruntowne i bardzo przenikliwe, przychodzi także do głosu krytyka bardzo ostra, nieraz nawet za ostra.

I tak, zdają sobie dobrze w kołach Towarzystwa sprawę z tego, że dotychczasowa forma decentralizacyi instytucyi, przy której Zarząd naczelny nie ma w wielu wypadkach żadnego wpływu na poszczególne koła, musi być ograniczoną. Pewna decentralizacya ma oczywiście swoje dobre strony, daje rozpęd indywidualności, nie przytłumia biurokratycznemi formułami siły twórczej — ale to wszystko jest słusznem do pewnego tylko stopnia. W obecnym stanie Towarzystwa widzi się właśnie niejedno niekorzystne następstwo przesadnej decentralizacyi. Wiele kół jest prawie zupełnie bezczynnych, w innych działalność nie przynosi tych korzyści, jakie przynieśćby mogła, stan finansowy tych Kół wymyka się z pod kontroli, a nie potrzeba chyba wiele mówić o dowolności w ideowych kierunkach. To są następstwa nieodzowne obecnego stanu. Trudno! instytucya jest organizmem żywym, a w organizmie żywym

powinna się krew rozchodzić wszystkiemi arteryami z jednego centralnego punktu.

Trudno wchodzić szczegółowo we wszystkie ważniejsze zagadnienia, jakie wiążą się w tej chwili z tą instytucyą. Wymagałoby to bardzo obszernego traktatu, a niejednokrotnie możnaby wydać sąd za pośpieszny; wszystko to są sprawy doniosłe, skomplikowane, nieraz delikatne, a zawsze żywe i jako takie, mogące podlegać różnym punktom widzenia. Czy, naprzykład, nie nadeszła już dla Towarzystwa Szkoły ludowej ta chwila, w której przedewszystkiem należałoby zacząć myśleć o trwałym funduszu rezerwowym, — i to z odsunięciem chwilowem na bok nowych zadań, choćby nawet bardzo doniosłych i ponętnych? Ofiarność publiczna, na której opiera się Towarzystwo Szkoły ludowej, usiłuje dotąd nadążyć za rozwojem Towarzystwa, ale nadążyć już nie jest w stanie, a przyjść mogą chwile, w których ofiarność ta będzie musiała być mniejszą, niż była dotychczas.

Albo, czy nie nadszedł już czas, w którymby należało dokonać pewnego doboru w dotychczasowych tak różnorodnych celach Towarzystwa. Pewien nadmiar celów osłabiać z natury rzeczy musi jakość wykonania i zmniejszać siłę skupienia na najbardziej istotne cele, które istotę Towarzystwa stanowią. Uwaga ta tem większe znaczenie ma w tych wypadkach, gdzie istnieją związki zawodowe, o jednym konkretnym celu, które tem samem lepiej z danego zadania wywiązać się mogą. Niektóre znowu cele opierać się mogą na przestarzałej koncepcyi. Weźmy za przykład jedno z Kół Towarzystwa, Koło Goldmanna we Lwowie, które w różnych miastach wschodniej Galicyi zakłada czytelnie i uczelnie, przeznaczone wyłącznie dla Żydów. Czytelń tych jest około dwadzieścia. Celem tych czytelń jest, by przez książki, odczyty, przedstawienia szczepić oświatę w masach proletaryatu żydowskiego i dążyć w ten sposób do zespolenia Żydów ze społeczeństwem polskiem „na gruncie łączności narodowych ideałów“. Jest to zadanie, jakie mogło powstać w owych lepszych czasach, w których isniało jeszcze kilkunastu ludzi, wierzących w jego możliwość; linia rozwo-

jowa żydowstwa poszła dziś w przeciwnym zupełnie kierunku i nie pozwala bawić się w takie iluzye. Odporne stanowisko polskie w Królestwie, w Księstwie i coraz częściej w Galicyi, może nakazać wkrótce Towarzystwu Szkoły ludowej liczyć się ze sobą.

Innego rodzaju postulatem byłaby pewna apolityczność Towarzystwa. Prądów politycznych z organizmu tak żywego, jak Towarzystwo Szkoły ludowej, pozbyć się całkowicie nie podobna — ograniczyćby je jednak należało pewnymi karbami statutu. W pewnych kołach Towarzystwa ma przewagę stronnictwo narodowo-demokratyczne, w innych przeważa stronnictwo ludowe. Harce, jakie staczają ze sobą przedstawiciele tych stronnictw na walnych Zjazdach Towarzystwa, nie świadczą o spoistości wewnętrznej organizmu. Słabość ta zaniedbana, gotowa z czasem przybrać wcale niepożądane dla Towarzystwa rozmiary.

Rzuciliśmy szkicowo, tylko dla przykładu, kilka myśli, jakie mimo woli w tej kwestyi do głowy się cisną. Natomiast, silniejszy położyć chcemy nacisk na momencie, który, zdaniem naszem jest najważniejszy. Jest to stosunek Towarzystwa Szkoły ludowej do katolicyzmu.

Zbyt wiele zabrałoby nam miejsca przytaczanie szczegółów, w których stosunek ten nie był idealny. Od lat kilku zauważyć się jednak daje zmiana na lepsze. Z jednej strony istnieje wiele kół, które korzystając z przywilejów decentralizacyi, oparły się całkowicie na katolickich zasadach i stoją pracą i ofiarnością katolików — z drugiej strony, spostrzec się daje w organach naczelnych Towarzystwa pewien wysiłek do poprawności w tym względzie. Poszło to zapewne i stąd, że praca Towarzystwa stanęła wobec takiego ogromu zadań i trudów, że w interesie samego dobra publicznego leżało wstrzymywać się od wszystkiego, coby mogło być przeszkodą w rozwoju.

Zasada, na jakiej opieramy się w ocenie stosunku Towarzystwa S. L. do katolicyzmu, jest tak prosta, że nie może pod-

legać dyskusyi. Towarzystwo Szkoły ludowej jest związkiem, którego istotnym celem jest oświata ludu polskiego. A że cały ten lud jest istotnie i rdzennie katolickim, zatem Towarzystwo S. L. winno się oprzeć na katolickich zasadach.

Jesteśmy dzisiaj w tem szczęśliwem położeniu, że nie potrzebujemy obszerniej powyższego twierdzenia uzasadniać. Do tychsamych przekonań przyznaje się samo Towarzystwo S. L. Na ostatnim walnym zjeździe, który się odbył dwą miesiące temu, padło zdanie następujące: „Zarząd Towarzystwa Szkoły ludowej prowadzić musi pracę w dwóch kierunkach: jeżeli lud ma być polski — musi mieć obok szkoły kościół". I w dalszem sprawozdaniu czytamy: „Towarzystwo Szkoły ludowej postanowiło prowadzić akcyę w tym kierunku i starać się, aby obok szkoły była zawsze kaplica".

Raz zajęte to stanowisko pozwala tuszyć, że siłą logicznej konsekwencyi, przeniknie ono wszystkie objawy i ducha Towarzystwa Szkoły ludowej.

Pociąga to za sobą pewne konsekwencye. Nie będziemy zatrzymywać się nad pewnymi szczegółami, jak potrzeba większej opieki nad bibliotekami, w których znajdują się podobno książki zdecydowanie nieprzyzwoite i broszury zalecające depopulacyę — jak większa kontrola odczytów i t. p. Ale jest w tej chwili jeden moment, który będzie kamieniem probierczym — istnieje mianowicie w łonie Towarzystwa S. L. kilka kół socyalistycznych. Otóż katolicyzm z socyalizmem i to w łonie jednej instytucyi pogodzić się nie potrafi.

Szczegóły tego rodzaju są dla bardzo wielu kamieniem obrazy, a temsamem dla Towarzystwa Szkoły ludowej są samobójczym sztyletem. Wielu, którzy oddaliby chętnie swój [illegible] i grosz na usługi Towarzystwa, zachęceni jego po[illegible]eniem i doniosłymi wynikami pracy — na widok chwiej[illegible] która potrafi uznać katolicyzm a równocześnie po[illegible]socyalizm, cofają się na bok zrażeni. Nie chcą [illegible] instytucyi, która jedną ręką burzy to, co drugą

I to wewnętrzne wyjaśnienie pojęć i sytuacyi, konsolidacya i skupienie sił dodatnich, z wykluczeniem czynników chwiejności, negacyi i rozkładu, jest tym dalszym stopniem rozwoju, którego Towarzystwu Szkoły ludowej najusilniej i z gorącego serca życzyć wypada.

Ks. J. Pawelski.

WIEDEŃSKI KONGRES EUCHARYSTYCZNY.

Z tradycyą wieków średnich, przesiąkniętych wiarą w świat nadprzyrodzony, zerwał humanizm, wysuwając na pierwszy plan inne bóstwo, człowieka. Dopomagała mu w tem reformacya, przyznająca w religii decydującą rolę subjektywizmowi i racyonalizmowi. Lecz ani humanizm ani reformacya nie myślały o tem, żeby wszystko, co nadprzyrodzone, zupełnie za nawias ludzkich rachunków wysunąć: to uczyniła dopiero pseudonauka XVIII wieku, której naglówniejszym ewangelistą pod tym względem jest Rousseau i filozofia XIX. wieku. *Diis exstinctis successit humanitas*, mógł w roku 1870 powiedzieć profesor Dr. Rokitansky, prezes Akademii Umiejętności wiedeńskiej. Nie myli się chyba, kto sądzi, że tym duchem przesiąknięta jest dzisiejsza kultura, choć nie wszędzie spotkać się można z tak skrajnemi zapatrywaniami, jak Nietschego albo Stirnera, którzy z tej ewangelii wyciągnęli ostatnie konsekwencye. Stąd namiętna walka przeciw wszelkiej religii, opierającej się na objawieniu; stąd modernizm z wrodzonym sobie wstrętem do uznania nadprzyrodzonych wpływów.

W najskrajniejszej opozycyi do tych zapatrywań stoi z natury swojej Kościół katolicki, którego dusza całkowicie jest nadprzyrodzona. Jako dzieło Boga-człowieka, obok doczesnych, ma w sobie boskie pierwiastki, z których całe jego życie i moc tryska. Cały organizm Kościoła tak ściśle jest złączony z nadprzy-

rodzonymi czynnikami, że ich negacya podkopuje nie tylko jego znaczenie, ale i istnienie. Stąd każde ożywienie tej wiary w świat nadprzyrodzony ma dla Kościoła największe, żywotne znaczenie; i w tem tkwi uprawnienie a zarazem cel kongresów eucharystycznych. Chrystus, Bóg-człowiek, Chrystus w Eucharystyi obecny z człowieczeństwem i bóstwem swojem to tajemnicze źródło nadprzyrodzonych sił Kościoła, to legitymacya dla jego nadprzyrodzonego posłannictwa. Z Chrystusem eucharystycznym stoi i upada Kościół.

To tłumaczy nam też dostatecznie owo zjawisko, że kongresy eucharystyczne przybrały w stosunkowo krótkim czasie tak olbrzymie rozmiary i cieszą się tak wielką popularnością w świecie katolickim. Wiadomo, że wiedeński Kongres, to XXIII z rzędu Kongres eucharystychny; ale właściwie dopiero od XIX-tego Kongresu, t. j. od Kongresu londyńskiego w roku 1908, zjazdy te nabrały charakteru w zupełności międzynarodowego. Przyczynił się do tego w wielkiej mierze nacisk, z którym obecny papież Pius X w ostatnich czasach Eucharystyę zalecał, jako źródło życia katolickiego i żywy udział, jaki w zjazdach eucharystycznych bierze sama Stolica Apostolska.

Zdaniem wszystkich, Kongres wiedeński prześcignął dotychczasowe kongresy, tak co do liczby uczestników jak też co do okazałości swojej. Nierzadko można się było spotkać ze zdaniem, że tak imponującego hołdu nie objawiono względem Eucharystyi jeszcze nigdy w ciągu całego istnienia Kościoła katolickiego. Powiedzenie to śmiałe, ale zdaje się prawdziwe. Bo pomimo, że wiara w eucharystycznego Chrystusa zawsze była żywa w Kościele, to jednak kult zewnętrzny wykazuje bardzo wyraźny rozwój, zmierzający ku coraz większej manifestacyi publicznej. Znaną jest rzeczą, jak wprost pompatycznie w XVII i XVIII wieku obchodzono po wielu miastach święto Bożego Ciała; nie może to jednak iść w porównaniu z manifestacyą międzynarodową Kongresu eucharystycznego.

Wiele czynników złożyło się na to, że wiedeński Kongres osobnym zajaśniał blaskiem. Znaczącym jest faktem, że w cesarskim skarbie wiedeńskim przechowało się, jako drogocenny klej-

not, naczynie z agatu,— według legendy święty Gral, tj. miseczka, którą posługiwał się podczas ostatniej wieczerzy sam Pan Jezus. Według tradycyi naturalne linie agatu przedstawiają monogram Chrystusa. Przechowana przez długi czas w Carogrodzie, dostała się w czasie czwartej wyprawy krzyżowej w roku 1204 na zachód i przez Maxymiliana I. do Austryi, gdzie uważana jest za palladyum domu Habsburskiego. Nasuwa nam ten fakt na pamięć liczne zdarzenia, świadczące o tradycyjnem wielkiem nabożeństwie Habsburgów do eucharystycznego Chrystusa. Za nadto te fakta są znane, aby je na tem miejscu na nowo przytaczać; warto zato wspomnieć o charakterystycznem zdarzeniu przy procesyi eucharystycznej Kongresu wiedeńskiego. Kiedy już odprowadzono pod baldachimem Najśw. Sakrament do dworskiego powozu galowego, chciano z powodu ulewnego deszczu także sędziwego monarchę zaprowadzić pod tym samym baldachimem do cesarskiego powozu. Nie pozwolił na to monarcha i ominąwszy baldachim, udał się w deszczu do swego powozu. Ta powszechnie znana tradycyjna cześć Habsburgów dla Eucharystyi, a w szczególności obecnego cesarza Franciszka Józefa I, nadała dużo uroczystego nastroju i wzbudziła wiele entuzyazmu w czasie wiedeńskiej manifestacyi.

Jest też rzeczą zrozumiałą, że największe mocarstwo katolickie, liczące tyle różnorodnych ludów, nawskróś katolickich, uważało to sobie za punkt honoru nie dać się wyprzedzić w tej międzynarodowej rywalizacyi o cześć dla Najśw. Sakramentu. Oprócz tego sam Wiedeń, w którym po ciężkich walkach zdobyli sobie katolicy hegemonię, dbał o to, aby wrażenie potęgi katolickich przekonań było jak najwięcej imponujące.

Usiłowania zostały też uwieńczone nadzwyczajnym skutkiem. Był to formalny zjazd narodów i zlot ludów, jakiego Wiedeń w całej swej historyi nie pamięta. Znać też było wszędzie po ulicach, że miasto całe stoi pod wrażeniem Kongresu. Ale charakter samego Kongresu był zupełnie różny od wszelkich innych zjazdów katolickich. Nosił on na sobie charakter wyłącznie religijny i dlatego też głównym punktem zbiorowym dla tych mas uczestników były kościoły, wyłącznym tematem wszystkich mów i re-

feratów stosunek życia katolickiego w rozlicznych jego objawach do Eucharystyi — a punktem kulminacyjnym procesya teoforyczna albo może trafniej: zjednoczenie wszystkich o ile możności uczestników w uczcie eucharystycznej u Stołu Pańskiego.

Wiedeński Kongres wiernie się trzymał tego programu, a Wiedeń sam nadawał się do jego przeprowadzenia wybornie.

Nie było prawie kościoła i kościółka we Wiedniu, — począwszy od poważnej katedry św. Szczepana a skończywszy na kapliczce na Kahlenbergu, — któremuby nie zlecono na czas kongresu wykonania jakiej misyi. Św. Szczepan przyjął 10 sierpnia w swoje podwoje papieskiego legata na kongres, Jego Eminencyę Kardynała Wilhelma von Rossum, który rzadkiemi zaletami swemi zdobył sobie odrazu serca wszystkich. Tu też odbywały się msze pontyfikalne najwyższych dostojników kościelnych w dniach kongresu. Był z początku zamiar, aby w katedrze św. Szczepana odbyć uroczyste walne posiedzenie; ale konieczność zmusiła komitet przygotowawczy, że od tego zamiaru odstąpił, bo dla tych mas, które się zgłaszały, był i św. Szczepan za mały. Stąd jedynym właściwie punktem zbornym poza kościołami była olbrzymia Rotunda w Praterze wiedeńskim, z największą na świecie kopułą, która jedyna mogła pomieścić te masy uczestników.

Inne kościoły Wiednia miały różne inne zadania do spełnienia. W jednych był ustawicznie, dzień i noc, wystawiony do adoracyi Najśw. Sakrament; w innych odbywały się zebrania pojedynczych sekcyi Kongresu; pewna liczba była przeznaczona dla różnych narodowości, gdy dbano o to, by każda nacya mogła należycie z Kongresu korzystać; w wielu kościołach odbywały się codziennie generalne Komunie św. różnych korporacyi, tak, że po ulicach można się było spotkać bardzo często z coraz innym tłumem ludzi, zdążających do tego lub owego kościoła.

W sekcyach, na zebraniach pojedynczych narodowości i na posiedzeniach uroczystych w Rotundzie przemawiało wielu biskupów obok znanych uczonych, pisarzy, kaznodziejów, mężów stanu i działaczy społecznych. Trzeba było program każdego dnia gruntownie przepatrzeć, aby z niemałym trudem zdążyć na

mowy i referaty wybitniejszych prelegentów po różnych kościołach. W sekcyach roztrząsano kwestye albo wprost tyczące się Najśw. Sakramentu, jak historya i archeologia Eucharystyi, sztuka eucharystyczna; albo zagadnienia naszej doby, w których rozwiązaniu Eucharystya ważną odgrywa rolę, jak: duszpasterstwo wśród młodzieży, apostolstwo kobiet, duszpasterstwo w miastach wielkich i t. p. Przeto pamiętnik Kongresu, który zawierać ma główniejsze przynajmniej mowy i referaty, cennym będzie przyczynkiem do literatury eucharystycznej, która, z powodu kongresów eucharystycznych i działalności Piusa X na tem polu, w ostatnich latach bardzo się rozrosła. Nakładem Herdera wyszedł z okazyi Kongresu wiedeńskiego katalog literatury eucharystycznej, głównie treści naukowej, wykazujący dzieła łacińskie, francuskie, angielskie, włoskie, hiszpańskie i niemieckie o tym przedmiocie z czasów ostatnich, a obejmujący 37 stronic druku; — nie została tu jednak uwzględniona literatura słowiańska, która jest także dość bogata.

Punktem kulminacyjnym każdego dnia były walne posiedzenia w Rotundzie. Obecność dziesięciu kardynałów, licznych członków rodziny cesarskiej i mnóstwa arcybiskupów, prałatów świeckich i osób zakonnych nadawała tym zebraniom charakter nader uroczysty. Bardzo interesującą osobistością był prezydent Kongresu a zarazem prezydent stałego komitetu międzynarodowych kongresów eucharystycznych, Msgr. Tomasz Heylen, biskup z Namur w Belgii, już dla tego samego bardzo odpowiedni do sprawowania tego trudnego urzędu, że ponoś ośmioma językami płynnie mówi. Miłe wrażenie budziła także osobistość kardynała-legata von Rossum, którego przemowy były wyrazem iście synowskiego przywiązania do Stolicy św., głębokiego szacunku dla dostojnej osoby sędziwego monarchy i niewypowiedzianej radości z powodu tego nadzwyczajnego tryumfu Eucharystyi. Wybór Ojca św. w osobie kardynała von Rossum na reprezentanta Stolicy św. był nader szczęśliwy, tak dla ujmujących zalet tego dostojnika, jako też z powodu talentu jego kaznodziejskiego. Kardynał-legat dysponował może najdonośniejszym głosem z wszystkich, którzy w olbrzymiej Rotundzie przemawiali.

Żywy udział samego monarchy w uroczystościach Kongresu, dwukrotna obecność następcy tronu, wreszcie uczestnictwo wielu innych członków rodziny cesarskiej w zebraniach w Rotundzie wywoływały raz po raz entuzyastyczne owacye dla domu Habsburskiego, które doszły do szczytowego punktu przy mowie O. Andlaua T. J. na temat: „Eucharystya a dom Habsburgów". Wogóle Kongres był dowodem, że dom cesarski, a w szczególności dostojna osoba monarchy, cieszy się nadzwyczajną sympatyą i wielkiem przywiązaniem dynastycznem u ludów Austryi. To też nie dziw, że na konkluzyjnem uroczystem zebraniu zabrzmiał z tą samą siłą po odśpiewaniu Te Deum także hymn ludowy.

Nastała niedziela, dzień 15 sierpnia, rocznica oswobodzenia Wiednia od oblężenia tureckiego przez Jana Sobieskiego, i z nią długo oczekiwany pochód tryumfalny eucharystycznego Chrystusa po głównych ulicach Wiednia. Pomimo ulewnego deszczu przedstawiał on imponujący widok, świadczący o głębokiej wierze nieprzejrzanego tłumu w wielką Tajemnicę Ołtarza. Wybrano za kres całego pochodu sławne, historyczne miejsce, gdzie podczas Kongresu wiedeńskiego w roku 1814, po wielkiej paradzie, monarchowie Austryi, Rosyi, Prus i Danii wysłuchali polowej Mszy św. Deszcz wprawdzie przeszkodził zamiarowi odprawienia Mszy św. przez kardynała-legata przy ołtarzu, wystawionym na bramie zamkowej, ale zresztą trzymano się raz ustalonego programu, od którego sam monarcha pomimo słoty odstąpić nie pozwolił.

Wyżej nad wszelką pompę zewnętrzną trzeba cenić pobożny zapał, z którym niezliczone tysiące uczestników przystępowały po różnych kościołach do Stołu Pańskiego z członkami rodziny cesarskiej, obecnymi w Wiedniu, na czele. Zaiste wzruszający był to obraz jedności tych mas, jednych we wierze i w łasce, wśród świata, którego najcięższą raną jest duchowa i religijna anarchia!

Mówiąc o religijnym znaczeniu Kongresu eucharystycznego w Wiedniu, warto wspomnieć także o towarzyszących mu zjawiskach, mniej może w oczy wpadających. Jest rzeczą zrozumiałą, że największa część uczestników rekrutowała się z krajów mo-

narchii habsburskiej. I tu można było z radością spostrzedz, że organizacya katolicka w ostatnich czasach znaczne uczyniła postępy. Tylko dzięki licznym organizacyom katolickim wogóle możliwem było takie masy ściągnąć do Wiednia, a zwłaszcza procesya eucharystyczna była dowodem, że organizacye mężczyzn szybkim postępują krokiem.

Słuszne uznanie należy się także władzom administracyjnym czy to samego miasta Wiednia, czy kolei żelaznych, tramwajów i policyi, a także różnych komitetów Kongresu, — które nader trudnemu swemu zadaniu w zupełności zadość uczyniły. Olbrzymia ta maszynerya funkcyonowała bez zarzutu i była dowodem, że Austrya, pomimo znanej swej *Gemütlichkeit*, rozporządza znakomicie wyćwiczonym personalem urzędniczym.

Także pod względem ekonomicznym zaopatrzenie miasta nie zostawiało nic do życzenia. Było dlą wszystkich wszystkiego poddostatkiem, a wygórowanych cen, których się z góry obawiano, w dniach Kongresu wcale nie zauważono. Wiedeń Luegera złożył na Kongresie świadectwo, że administracya jego znajduje się w powołanych rękach.

Największy dziennik katolicki Austryi, wiedeńska „Reichspost", także świetnie wywiązała się z trudnego swego zadania. Relacye jego o Kongresie informowały dokładnie i regularnie o wszytkiem; wszędzie znać było, że personal redakcyjny działał według bardzo dokładnych i mądrych instrukcyi. Nakładem „Reichspost" wydano oficyalne pismo („Festschrift") zawierające prócz poezyi eucharystycznej w różnych językach monarchii austryackiej także niektóre cenne rozprawy.

Tak przeminęły dni eucharystycznego Kongresu wiedeńskiego. Często można się było spotkać z zapytaniem: Jaki będzie skutek tych uroczystości z tak wielkim nakładem sił, czasu i pieniędzy urządzanych? Materyalistyczne nasze czasy zadawalniają się zanadto często skutkiem doraźnym i namacalnym; imponderabilia mało wchodzą w rachubę. Kongresy eucharystyczne mają i charakter i cel czysto religijny. Ożywienie wiary w Eucharystycznego Chrystusa, skierowanie uwagi zmateryalizowanego świata na wyższe czynniki życia, odnowienie życia w duchu

chrześcijańskim, a przedewszystkiem publiczne wyznanie wiary ludów w istnienie i znaczenie świata nadprzyrodzonego: to cel Kongresu. A ten cel według możności został osiągnięty; szczególnie zaś Austrya, gdzie silna podnieta dla życia katolickiego bardzo była potrzebna, odniesie z pewnością z tych dni obfite owoce. Już to samo, że Austrya, począwszy od domu panującego a skończywszy na biednym góralu tyrolskim, zaświadczyła zgodnie przed całym światem, że jest potęgą katolicką i nią pozostać chce: ma dla katolicyzmu doniosłe znaczenie; a z gazet żydowskich i socyalistycznych można było wyczytać, że tego tryumfu katolicyzmowi zazdroszczą i z nim się liczyć muszą.

Stołecznemu miastu monarchii habsburskiej i wszystkim uczestnikom Kongresu, dnie od 12—15 września 1912 r., na zawsze wyryją się w pamięci, pozostawiając niezatarte wrażenie potęgi i żywotności Kościoła i przekonań katolickich.

Ks. A. Starker.

PO JUBILEUSZU SKARGI.

Wyrażono przed rokiem przekonanie i oczekiwanie, że obchód rocznicy Skargi będzie świętem narodowem pierwszego rzędu. Oczekiwaniu temu odpowiedziała rzeczywistość w całej pełni.

Najpierwej i najpodnioślej odbyły się obchody w Krakowie i we Lwowie — świąteczny zaś ten wielodniowy gwar obu stolic rozległ się donośnie po całej Polsce i wywołał niemilknące po dziś dzień echa jubileuszowych uroczystości. Jubileusz Skargi wypadł tak świetnie, jak, z wyjątkiem Grunwaldu, żaden jubileusz u nas. We wszystkich kątach wszystkich trzech zaborów, po miastach i po wsiach, pod stropami świątyń i pod sklepieniami sal publicznych, w sztuce i w prasie, w słowie i książce, w wspaniałych pochodach tysięcy ludzi przez ulice miast i w uroczystych zgromadzeniach publicznych, skupiających naród cały — wszędzie, jak kraj długi i szeroki, pełnym blaskiem jaśniało imię Skargi.

Nie trzeba wysiłku, by uwidocznić szczególniejsze znaczenie tego jubileuszu. Poza złożeniem hołdu, a więc spełnieniem obowiązku, jaki społeczeństwo miało względem Skargi, wskażemy te owoce, jakie społeczeństwo z tego jubileuszu odniosło.

Nie zatrzymujemy się dłużej nad temi korzyściami, których palcem dotknąć można. Zawiązek takich dwu instytucyj społecznych, jak bursa we Lwowie i dom młodzieży rękodzielniczej w Krakowie są nabytkiem tak doniosłym, że same jedne

starczyłyby za wielki plon jubileuszu. — Imponujący wiec skargowski, którego pewne praktyczne strony już zaczynają przynosić owoce, mówi sam za siebie. Dorzućmy tylko uwagę, przeoczoną przez naszą prasę i opinię publiczną, że był to pierwszy wiec w Polsce porozbiorowej, który z założenia swego miał skupić w sobie wszystkie trzy zabory. Fakt to znaczący, który w przyszłości przy dalszym rozwoju tej idei, może mieć doniosłą wagę. Pierwszy praktyczny wynik tego skupienia jest ten, że między Galicyą a Księstwem Poznańskiem nawiązały się na tym wiecu pierwsze nici wspólnych interesów, jak w sprawie wychodźtwa i prasy.

I dla literatury jubileusz Skargi nie pozostał bez znacznej korzyści. Pojawiło się kilka prac naukowych o Skardze, mających ważne znaczenie dla historyi literatury, popularnych zaś opracowań i broszur ogłoszono tyle, jak przy żadnym prawie z naszych jubileuszów. Szczególniejsze znaczenie mają broszury, pisane dla ludu, bo przez nie po raz pierwszy dostała się pod strzechy wiejskie dokładniejsza znajomość Skargi i spraw ze Skargą związanych.

Te i tym podobne wyniki jubileuszu dla każdego są widoczne. Wystarczy dlatego krótka o tem wzmianka.

Wskażmy teraz to, co nazwaćby można ideowym plonem jubileuszu.

Pierwszym takim ideowym plonem było to, że przez uroczyste obchody skargowskie zatwierdzona została dla dzisiejszej Polski zasada, o ścisłem zjednoczeniu polskości i katolicyzmu. Wbrew nielicznym głosom, pod tem hąsłem był jubileusz Skargi proklamowany i pod tem hasłem obchodzony. O tem, że nie mogło być inaczej, że znaczenie i istota Skargi tkwi przedewszystkiem w dziedzinie religijnej, że naczelną dewizą Skargi było zjednoczenie Polski i katolicyzmu w duszach i w życiu ziomków, pisaliśmy i my i pisało wielu innych. Dłuższy wywód w tej sprawie byłby więc obecnie zbyteczny. Nie jest jednak zbytecznem stwierdzić, że dla Polski dzisiejszej wywieszenie tego sztandaru przy jubileuszu Skargi było potrzebne. Prawda ta tak jasno stwierdzona historyą przeszłości i tak dla przyszłości

Polski nieodzowna, w niejednym umyśle zaczynała się już zacierać. Katolicyzm, jeżeli nie stracił jeszcze dla wielu znaczenia, to stracił w pojęciu niejednego bliższy kontakt z życiem jednostkowem i z ogólnem życiem narodowem. Niezależnie jednak od tego kult Skargi w duszy narodu, w sercu wszystkich, pozostał nietknięty, wzrósł nawet, a w kulcie tym, jak żar w spopielonem ognisku, kryła się niejednokrotnie mimowiednie cześć dla dostojności społecznej i narodowej katolicyzmu, którą typowo reprezentuje Skarga. Ten popiół rozwiać, ten żar rozdmuchać, oto zadanie godne jubileuszu Skargi, zadanie, które ten jubileusz w znacznej mierze spełnił.

Tembardziej zaś było to zadanie wskazane, że nie brakło prób, usiłujących czci dla Skargi podsunąć znaczenie odmienne, prób uznających w Skardze szlachetnego człowieka, wielkiego patryotę, pisarza i mówcę, ale odmawiających mu hołdu, jako przedstawicielowi katolicyzmu. Próby te miały odwagę pojawić się na widowni wbrew historyi, która chyba wykazuje, że z usunięciem katolicyzmu usuwa się Skargę i wbrew świadomości dzisiejszego ogółu polskiego, która nie może być od historyi odmienną. Cokolwiek o próbach tych sądzić trzeba, świadomość ogółu, która tak silnie wyraziła się w obchodzie jubileuszowym, jest w tej sprawie decydującym sędzią.

Drugi ideowy plon jubileuszu był natury obyczajowej i narodowo-społecznej. Skarga tępił w narodzie prywatę i wybujały indywidualizm, przywilejowi przeciwstawiał ofiarność i solidarność społeczną, na nieurodzajnym gruncie samolubstwa i wrodzonej duszom polskim anarchii szczepił miłość ojczyzny i kształtował zmysł zbiorowości i państwowości. Kiedy te wszystkie wysiłki jego szły na marne, przewidział i przepowiedział upadek Polski. Prawda głoszona przez Skargę, o konieczności reformy wad społecznych charakteru polskiego, dziś, wobec dosłownego spełnienia się następstw, przez niego przepowiedzianych, wzrasta do rzędu niewzruszonej prawdy i pewnika historycznego. I stąd to w dniach jubileuszu stała przed oczyma wszystkich cała historya Polski aż po dzień dzisiejszy, historya rozważana pod kątem najbardziej wewnętrz-

nego czynnika dziejowego, jakim jest charakter narodowy. Stał też zarazem przed oczyma wszystkich i program na przyszłość, program, który od czasów Skargi nic nie uronił ze swej świeżości i wartości, program przebudowy wewnętrznej charakteru polskiego — zadania najważniejszego, które było i jest w Polsce do zrobienia.

Te idee unosiły się nad społeczeństwem polskiem w dniach jubileuszu Skargi i jako takie nie mogły pozostać bez skutku. Jeżeli skutek ten nie był całkowity i pełny, to pochodzi stąd, że i program Skargi i Skarga sam, mimo swej ogromnej popularności, nie jest jeszcze społeczeństwu polskiemu tak bliski, jakby bliskim być winien. Płynie stąd wskazówka na przyszłość. Skarga był zawsze pierwszorzędną gwiazdą na widnokręgu naszym, był nią zwłaszcza w dniach jubileuszu, ale odgradzają go od nas trzy wieki, przesłaniają go niejednokrotnie inne gwiazdy, które później na nieboskłonie polskim się pojawiły. Dwie zwłaszcza gwiazdy: Kościuszki i Mickiewicza. A jednak nie może być dwu zdań, że przed orężnem hasłem Kościuszki, przed kulturalnem hasłem Mickiewicza, i dostojniejszem i nieskończenie ważniejszem jest hasło Skargi o reformie charakteru polskiego. I dopóty w Polsce nie będzie dobrze, dopóki na pierwszym planie nie stanie hasło Skargi, dopóki Skarga nie będzie tak bliskim sercu polskiemu, że dźwięk jego imienia będzie najsilniejszem zaklęciem do ofiarności i solidarności narodowej. Kult Skargi ma w Polsce przed sobą wielką jeszcze przyszłość i wielkie zadanie.

Ks. J. Pawelski.

ZJAZD SKARGOWSKI.

Trzydniowy obchód rocznicy Skargowskiej w Krakowie wypadł, zdaniem wszystkich, niezwykle. W sprawozdaniach spotykamy raz po razu oceny, pełne entuzyazmu, jak następująca „Przeglądu polskiego“: „Nie często odbywają się obchody rocznic dziejowych w tak podniosłym nastroju, jak ostatnie uroczystości krakowskie. Potężny duch wielkiego proroka narodowego przemówił po trzystu latach z tą siłą, jaką Bóg tylko swym posłannikom udziela“.

Żałujemy bardzo, że nie możemy dzisiaj wejść w szczegóły tego obchodu, w opis nabożeństw i kazań w trzech kościołach, w których pracował Skarga, a więc w katedrze na Wawelu, w kościele św. Barbary i w kościele św. Piotra, w opis akademii w Sokole, przedstawień scenicznych w teatrze starym i teatrze miejskim — zwłaszcza w opis tego, co działo się przy uroczystym pochodzie, przy odsłonięciu tablicy pamiątkowej i przy poświęceniu kamienia węgielnego pod dom imienia Skargi. Zakres i cel niniejszego tomu, a więc charakter pamiętnika Zjazdu Skargowskiego każe nam ograniczyć się tylko do kilku spostrzeżeń i myśli o tym Zjeździe.

Zjazd był tak liczny, że przeszedł oczekiwanie; sprawozdawcy pism oceniali liczbę uczestników na 2000. Dość powiedzieć, że wielkie krużganki Dominikańskie, dzięki uprzejmej ofiarności swoich właścicieli przemienione na salę obrad, były w dwu swoich ramionach wypełnione szczelnie; fala ludzka

przelewała się w dwa dalsze ramiona, z których jedno poświęcone było wystawie polskiego piśmiennictwa katolickiego. Mniej liczni przybysze byli z Królestwa, choć $^2/_3$ zaproszeń tam były skierowane; podobno zachodziły utrudnienia paszportowe. Natomiast Księstwo i Galicya stawiły się w pokaźnej liczbie.

O godzinie 8 wieczór dnia 24 września odbyło się liczne towarzyskie zebranie uczestników Zjazdu w sali Strzeleckiej, poświęcone przywitaniu i wzajemnemu poznaniu się przybyłych gości. Nazajutrz rano, o godzinie dziewiątej, zaczął się Zjazd uroczystem nabożeństwem na Wawelu, poczem rozpoczęły się w krużgankach obrady. Po przemowie powitalnej hr. St. Tarnowskiego, jako prezesa komitetu jubileuszowego, wybrano prezesem Zjazdu p. K. Chłapowskiego, wiceprezesami p. Kazimierza Morawskiego, X. Radcę Mayzykiewicza, p. Artura Cieleckiego i hr. St. H. Badeniego, sekretarzami zaś p. Byszewskiego i p. Bieleckiego. Prezydyum złożyło się więc z przedstawicieli Księstwa i Galicyi; wysiłki komitetu, by w prezydyum było reprezentowane i Królestwo, rozbiły się o to, że w decydującej chwili na zebraniu towarzyskiem, było tylko duchowieństwo z Królestwa, a to z łatwo zrozumiałych powodów nie chciało się prononsować. Pierwszą czynnością prezydyum było wysłanie do Ojca świętego telegramu, którego osnowę podajemy pod koniec tomu.

Dostojny Episkopat reprezentowany był czasie obrad przez księcia Biskupa krakowskiego Adama Sapiehę, Księdza Arcybiskupa J. Teodorowicza, Księdza Biskupa J. S. Pelczara i Księdza Biskupa A. Nowaka. Słabość nie dozwoliła przybyć Ks. Arcybiskupowi J. Bilczewskiemu, o czem nadeszło zawiadomienie telegraficzne.

Tok obrad i ich szczegóły podane są poniżej w porządku, w jakim się odbywały. Z innych szczegółów wypada dodatkowo zanotować jeszcze to, że nabożeństwo jubileuszowe w drugi dzień Zjazdu odbyło się w kościele św. Barbary, przyczem do Komunii generalnej, na intencyę Ojczyzny, przystąpiło około 1000 osób

Pisząc niniejsze słowa i wydając niniejszy Pamiętnik z polecenia ścisłego Komitetu Zjazdu Skargowskiego, winienem przedewszystkiem w myśl instrukcyj danych mi przez tenże Komitet, wyłuszczyć pewne idee, które organizatorami Zjazdu kierowały [1]).

Na konstrukcyę wiecu taką, jaka ostatecznie wypadła, złożyły się dwie przyczyny; warunki czasu i idea wiecu ogólnopolskiego dla wszystkich dzielnic.

Co do warunków czasu, to wybór tych a nie innych dni podyktowany był tem, że przypadała na nie rocznica śmierci Skargi. Jeżeli gdzie, to w Krakowie, u grobu Skargi, wypadało przestrzegać dnia rocznicy. Nie był to jednak czas dogodny z tego względu, że dziesięć dni przedtem odbywał się kilkudniowy kongres eucharystyczny we Wiedniu, w którym udział Polski był znaczny. Wskutek tego trudno było przedłużać obchód Skargowski ponad trzy dni; że zaś trzeci dzień obchodu wypełniony był obfitym programem uroczystości, trzeba było obrady wiecu zamknąć w dwu dniach. Wpłynęło to na szczupłość programu; niejeden projekt, kilka nawet bardzo cennych musiało odpaść. Wpłynęło to także częściowo na wypuszczenie obrad sekcyjnych; obrady te wypuszczono także dlatego, by jak największą ilość uczestników skupić na tematach programowych i w ten sposób szerzej spopularyzować pewne idee i projekty. Mimo to wszysko okazało się, że czasu było zamało i wskutek tego nie mogła się rozwinąć bardziej wyczerpująca dyskusya.

Co do idei wiecu ogólno-polskiego, to nie trzeba chyba wyłuszczać bliżej jej doniosłości. Każda z dzielnic ma wprawdzie swoje sprawy oddzielne, ale wiele spraw jest wspólnych; większe doświadczenie i większe zasoby jednej dzielnicy w jednym kierunku mogą przyjść z pomocą skuteczną drugiej dzielnicy i na odwrót. Poza tą praktyczną doniosłością, pobudką ide-

*) Myśl Zjazdu Skargowskiego wyłoniła się na posiedzeniach Komitetu jubileuszowego. Wykonanie tej myśli powierzył Komitet jubileuszowy krakowskiemu Kołu Towarzystwa Piotra Skargi. Koło to pod kierownictwem Dra Wł. Peca kooptowało pewną ilość osób i ukonstytuowało się w Komitet Zjazdu Skargowskiego, pod protektoratem Księcia Biskupa Sapiehy.

ową wiecu ogólno-polskiego był pietyzm dla Skargi. Chodziło o to, by u grobu jednego z największych przedstawicieli katolicyzmu polskiego skupiła się cała Polska katolicka i zastanowiła się nad swojem położeniem i swojemi sprawami.

Dobór tych spraw, o ile chodzi o tematy praktyczne programu, mógł być ten lub inny. To, co kierowało tym wyborem, to była chęć zestawienia spraw wspólnych, wszystkie dzielnice obchodzących równo, a zarazem doniosła aktualność tych spraw w chwili obecnej. Takim tematem była »wspólna akcya trzech dzielnic w sprawie wychodźtwa«, »akcya antypornograficzna«, »sprawa społecznego wykształcenia duchowieństwa«, »akcya o prasę katolicką«, sprawa zgromadzeń katolickich i domów ludowych — wszystkie zatem sprawy poruszono na tym wiecu. Pominiętych zostało wiele spraw, ale trudno wszystko na jednym wiecu omówić. O ile zaś chodzi o sprawy doniosłe, mające jednak tylko dzielnicowe znaczenie, to w przyszłości omawiaćby je można w dzielnicowych sekcyach. Na tym wiecu stanęły sekcyom na przeszkodzie pomienione wyżej przyczyny.

Główny akcent tego wiecu miał spocząć na tak zwanych kwestyach zasadniczych, wiążących się z postacią Skargi. W tym celu komitet wypracował plan szczegółowy. Niestety, złożyło się tak, że z planu tego pozostały na wiecu tylko fragmenty, nie dające pojęcia o całości. W ostatniej chwili dwaj referenci nie mogli wywiązać się z wziętego na siebie zadania i powstała szczerba, której nie dało się już zaradzić. O ile pamiętnik może przyjść tu z pomocą, spróbuję kilku rysami narzucić plan komitetu.

Wady charakteru polskiego, które zwalczał Skarga, a które po dziś dzień grasują, odbijać się także muszą na losach i fizyognomii katolicyzmu polskiego. Jest to punkt wyjścia do daleko idącej akcyi. Wogóle, program Skargi, co do reformy wad charakteru polskiego, przedewszystkiem wchodzi w zakres działania katolicyzmu polskiego, to zaś w pierwszym rzędzie pociąga za sobą obowiązki na najbliższym terenie.



WYSTAWA PIŚMIENNICTWA KATOLICKIEGO NA KRUŻGANKACH DOMINIKAŃSKICH.



ZJAZD SKARGOWSKI.

(JEDNO RAMIĘ KRUŻGANKÓW DOMINIKAŃSKICH).

Otóż faktem jest, że dziś nie mamy w Polsce typu katolickiego. Mamy jednostki wybitnie katolickie ale typu katolickiego, mieszczącego w sobie ogół, nie mamy. Sprawa nadto stoi tak, że opinia publiczna wydaje się być niechętną wytworzeniu się takiego typu. Ile razy zaczyna się akcya katolicka o określonym charakterze, ku temu celowi zdążająca, tyle razy powstają głosy jej przeciwne, nawet z łona tych grup, które mienią się być katolickiemi. Wystarczy wspomnieć losy akcyi o dziennik katolicki lub o stronnictwo katolickie. Słyszało się wtedy co chwilę rozumowanie takie: po co silić się o wytworzenie kierunku katolickiego, kiedy cała Polska jest katolicką. Oczywiście, w rozumowaniu tem przeoczano właściwy cel. Nie chodzi o izolowanie katolicyzmu od reszty życia, bo to byłoby nonsensem, ale chodzi o izolowanie chwiejności i niekonsekwencyi od katolicyzmu, o wydźwignięcie katolicyzmu polskiego z miernoty i słabości. Chodzi o to, by katolicyzm był katolicyzmem — by skończyły się te mgliste czasy, w których uczony na katedrze uniwersyteckiej zaznaczał swe katolickie stanowisko, a równocześnie w dobrej wierze głosił antykatolickie poglądy, w których robotnik, po zgromadzeniu socyalistycznem, na którem ogłaszał swą wspólność z partyą i z jej działalnością i zasadami, szedł na nieszpory do kościoła.

Wzór do wytworzenia takiego typu przedstawia właśnie Skarga. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdzie fale naturalizmu i subjektywizmu podmywają całe życie publiczne, katolicyzm Skargi czerstwy, ze spiżu lany, wskazuje, jak wyglądać winno właśnie oblicze katolicyzmu. A więc wbrew mglistemu subjektywizmowi wysuwa się niezłomność zasad objektywnych wiary i moralności, znajomość tych zasad dokładna i trzymanie się ich w życiu — naturalizmowi zaś przeciwstawia się życie nadprzyrodzone, jakie katolicka wiara daje, życie utrzymywane i pomnażane takimi środkami jak modlitwa i Sakramenty św. Oto dwa najistotniejsze, wewnętrzne rysy, które na typ katolicki składać się winny.

O ile o zewnętrzne rysy takiego typu chodzi, to życie Skargi

jest wszechstronnym wzorem. Nie potrzebujemy omawiać tego obszerniej, bo zastanawiano się nad tem dosyć na wiecu; wszystko streszcza się w tem, że królestwo Boże, które nosił Skarga w sercu, wszystkiemi siłami, wszystkimi godziwymi środkami, na wszystkich możliwych polach, usiłował szerzyć dokoła siebie. Jest to rys wszechstronnej żywotności katolicyzmu i aktywności katolickiego typu.

W tej aktywności Skargi dwa są rysy, które go szczególniej odróżniają i które dla katolicyzmu polskiego winny mieć decydujące znaczenie. Jednym jest siła i odwaga przekonań katolickich. Był w Skardze duch apostolskiej wiary, duch niekrępujący się żadnymi względami oportunizmu; wystarczy wspomnieć, że z całą siłą niezłomnej energii zwalczał wszystkie błędy szlachty, że nie zawahał się stanąć po stronie tak niepopularnych haseł, jak ograniczenie wolności lub obrona ludu. Jasnem jest, jak doniosłym i ważnym dla katolicyzmu polskiego dzisiaj byłby ten rys precyzyi, zwartości, siły i odwagi przekonań.

Drugim rysem katolicyzmu Skargi, to szczególny stosunek do idei narodowej.

Skarga jest przedewszystkiem najwspanialszą personifikacyą w całej historyi powszechnej ścisłego zjednoczenia idei katolickiej z ideą narodową. Jak całem sercem umiłował ideę katolicką, tak całem sercem umiłował naród, w który chciał tę ideę tchnąć. Była to miłość, która obejmowała nietylko jednostkę i rodzinę polską, ale całe społeczeństwo polskie, której żaden objaw życia narodowego, społeczny, umysłowy, polityczny czy orężny, nie był obcy. Głęboka i istotna miłość Polski w sercu Skargi rozumiała, że fundamentem życia ludzkiego i narodowego musi być etyka i religia Chrystusowa, że idea Chrystusowa musi być duszą narodowego życia, że musi być sercem, z którego krew rozpływa się arteryami po całym organizmie, że idea Chrystusowa winna się stać sumieniem, wierzeniem, przekonaniem, wyznawstwem i życiem narodu — że, w końcu, pełny rozwój idei Chrystusowej w narodzie jest równocześnie pełnym rozwojem narodowego życia. Takim był duch Skargi i stąd naczelną jego dewizą są te jego słowa: „upominałem,

aby obie matki swoje, Kościół Boży i Ojczyznę, w jednym końcu złączone, wiernie i uprzejmie miłowali." Stąd też w sercu Skargi dopełniła się ta spójnia katolicyzmu i narodowości, żadnemu narodowi w tym stopniu niewłaściwa, która po dziś dzień istnieje.

Ale spójnia ta staje się dzisiaj coraz bardziej martwą formalistyką, frazesem bez wpływu na życie. Katolicyzm w rzeczywistości, nie jest dziś duszą narodowego życia. By stał się nią napowrót, niema innej drogi, jak ta, by duch Skargi ożył, by wyznawcy katolicyzmu byli zarazem przedstawicielami obywatelskiego ducha narodowego — ażeby w sercu złączyli wielką miłość Chrystusa z wielką miłością Polski.

Idea Skargowska, jednocząca miłość Polski z miłością idei Chrystusowej nierozerwalną związką, dlatego także stała się dziś martwą, że pozostała tylko w duszach miłość Polski, a zabrakło niejednokrotnie idei Chrystusowej. Poszło stąd, że katolicyzm polski czepia się dziś nieraz lękliwie fałdów patryotyzmu i nimi zakrywa swą słabość — z drugiej zaś strony dla wielu Polaków, Kościół katolicki o tyle tylko ma znaczenie, o ile jest miejscem dla obchodów patryotycznych, i o ile, jako przeciwnik protestantyzmu i schyzmy, jest siłą społeczną skupiającą żywioł polski przeciw antypolskim zakusom Rosyi i Prus. Racya istnienia katolicyzmu dla wielu utożsamia się z tą polityczną racyą stanu, dla bardzo wielu dziś katolicyzm niema poza tem żadnego znaczenia. Nie trzeba uzasadniać, że katolicyzm tak traktowany, wkrótce i to znaczenie musiałby stracić, stałby się bowiem nicością. — Z pod tego politycznego traktowania sprawy musi się polski katolicyzm wyemancypować, choćby dlatego, ażeby mógł być i nadal polityczną i społeczną siłą narodowości. Katolicyzm czerstwy i prawdziwy reguluje i utrzymuje w wigorze wszystkie siły ludzkie, jednostkowe, rodzinne, społeczne i narodowe, ale katolicyzm ponad to wszystko i przedewszystkiem reguluje stosunek z Bogiem.

Jak wielkie tkwi w pomieszaniu tych pojęć niebezpieczeństwo, wskazano na tym wiecu tak wymownie, że warto te słowa w tem miejscu powtórzyć: „U nas grasuje herezya, ucząca, że kto jest

dobrym Polakiem w swojem rozumieniu, ten już *ipso facto* jest dobrym katolikiem, choćby do obowiązków względem religii się nie poczuwał, czyli, że wystarcza mieć ducha obywatelskiego względem narodu, a temsamem już pośrednio okazuje się ducha obywatelskiego względem Kościoła. Religię według spotykanych na każdym kroku dziś zapatrywań, ceni się i szanuje nie dlatego, że jest prawdziwą, ale przedewszystkiem dlatego, że jest potężnym łącznikiem między Polakami, a od tego stanowiska już tylko krok niewielki pozostaje do zrobienia, aż znajdziemy się na wyżynach wolnomyślnych i powiemy, że religię tylko dlatego i o tyle należy tolerować wśród nas, o ile jest tym łącznikiem narodowym. A że tego łącznika niejako dodatkowego najwięcej potrzebują klasy mniej oświecone, wychowywane dopiero do pojęcia czystego ducha obywatelskiego, więc też i dla tych religia jest potrzebną — w rozumieniu jednych „przedewszystkiem" potrzebną, w rozumieniu drugich, więcej już posuniętych, „wyłącznie" potrzebną, ponieważ sfery już więcej uświadomione potrafią bez sztucznej podniety religijnej narodowo czuć i myśleć. Religia schodzi po tej pochyłości do rzędu tych środków pomocniczych przy nauce poglądowej, dopuszczalnych na pierwszych szczeblach wychowawczych, które w miarę rozwoju dziecka muszą zostać wyeliminowane".

Taki gorący miłośnik ojczyzny, jak Skarga, umiał w stosownej chwili niezależne stanowisko religii w tej kwestyi rewindykować. I zasadniczo rzeczy biorąc, niema w rozgraniczeniu tych pojęć najmniejszej trudności: między ideą narodową a ideą katolicką niema sprzeczności żadnej, sprzeczność być jednak może między ideą katolicką a chwilową polityczną racyą stanu, która to racya zawsze usiłuje uzurpować sobie tytuł idei narodowej. Trzeba nadto zachować istotny tych idei porządek.

Oto szkic do cyklu kwestyj zasadniczych, na tym wiecu omawianych, a mających przedstawić wewnętrzne i zewnętrzne cechy typu katolickiego na tle Skargi. Oby cykl ten dopomógł do tego, co było jego celem — do wytworzenia typu katolickiego w Polsce, a temsamem i reformy wad społecznych charakteru polskiego.

Ks. J. Pawelski T. J.

ODEZWA NA ZJAZD SKARGOWSKI I PROGRAM ZJAZDU.

Łącznie z uroczystościami jubileuszowemi w Krakowie, w dniach 25, 26 i 27 września b. r., odbędzie się w dniach 25 i 26 września katolicki Zjazd, w którym wezmą udział rodacy z całej Polski. W czasie, w którym cały naród staje u grobu Skargi i czci pamięć jednego z największych swoich przedstawicieli, wielkiego obywatela, potężnego mówcy i pisarza — katolicka Polska pomna na spuściznę duchową wielkiego kapłana i apostoła, skupi się u trumny Skargi po to, by wielkie myśli jego i zasady odświeżyć w duszach i wnieść je ponownie w zbiorowe życie narodu. To jest indywidualne znamię tego Zjazdu, znamię, które wyciśnie się także na szczegółowych obradach, odnoszących się bezpośrednio do dzisiejszego życia katolickiego w Polsce.

Podając poniżej program katolickiego Zjazdu Skargowskiego, wyrażamy ufność, że Zjazd ten przyczyni się w znacznej mierze do wskrzeszenia ducha Skargi w łonie dzisiejszej Polski katolickiej i jej odrodzenia.

Adam Sapieha, Książę Biskup Krakowski
Stanisław Tarnowski, Stanisław Henryk Badeni, Dr. Wład. Pec
Ks. Wł. Chotkowski (Kraków)
Ks. M. Godlewski (Warszawa)
Ks. J. Kłos (Poznań)
Ks. St. Adamski (Poznań)
Ks. J. Londzin (Cieszyn)
A. Napieralski (Bytom).

PROGRAM
KATOLICKIEGO ZJAZDU SKARGOWSKIEGO W KRAKOWIE.

D. 24 września. 8 godzina wieczorem. Towarzyskie zebranie uczestników Zjazdu. Sala Towarzystwa strzeleckiego ul. Lubicz.

D. 25 września. 9 godzina rano. Msza św. w Katedrze na Wawelu.

10. godzina rano. „Pierwsza sesya kwestyj zasadniczych (Duch Skargi a obecne położenie katolicyzmu w Polsce).

1. Zagajenie Zjazdu. (Stanisław hr. Tarnowski).
2. Katolicyzm Skargi, a kierunek dzisiejszej idei religijnej. (J. E. Ks. Biskup J. S. Pelczar.)
3. Katolicyzm a duch polski obywatelski. (Referent Stanisław Henryk hr. Badeni).

3 godzina popołudniu. Pierwsza sesya kwestyj praktycznych.

1. Domy ludowe na wsi. (Referent Ks. A. Tyczyński z Albigowej).
2. Domy katolickie w mieście. (Referent Ks. Prałat Laubitz z W. Księstwa Poznańskiego).
3. Częste urządzanie zgromadzeń i wieców katolickich. (Referent Karol Holeksa).
4. Ważniejsze potrzeby prasy katolickiej. (Referent Książę Franciszek Radziwiłł).

D. 26 września. Godzina 8 rano. Msza św. i Komunia generalna w kościele św. Barbary.

Godzina 10 rano. Druga sesya kwestyj zasadniczych. (Duch Skargi a obecne położenie katolicyzmu w Polsce.)

1. Katolicyzm Skargi a katolicyzm polski dzisiejszy. (Referent Ks. Prałat Dr. Wł. Chotkowski).
2. Polski typ katolicki. (Referent Prof. Dr. Bronisław Dembiński.)

Godzina 3 popołudniu. Druga sesya kwestyj praktycznych.

1. Akcya antypornograficzna. (Referent Szambelan Adam Konopka).
2. Wspólna akcya w sprawie wychodźtwa. (Referent Dr Leopold Caro).
3. Wykształcenie społeczne duchowieństwa. (Referent Ks. Dr Kazimierz Zimmermann).
4. Zakończenie Zjazdu. Książę Biskup Adam Sapieha.

D. 27. września projektowaną jest poufna konferencya przedstawicieli prasy katolickiej. Szczegóły będą oznajmione w czasie Zjazdu.

A. Posiedzenia Zjazdu odbywać się będą w Krużgankach Dominikańskich.

B. We wszystkich sprawach, odnoszących się do Zjazdu — jak w sprawie nabycia karty wstępu, w sprawie zamówienia mieszkania, w sprawie zasięgnięcia informacyi o Zjeździe — udawać się należy pod adresem:

Kancelarya Katolickiego Zjazdu Skargowskiego, Kraków, ul. św. Tomasza 35. (Redakcya „Głosu Narodu").

Stosownie do rodzaju sprawy, Kancelarya odpowie sama, albo przez jedno ze swoich biur:

Biuro prasowe, Kraków ul. św. Tomasza 35.

Sekcya mieszkaniowa, Kraków ul. św. Tomasza 28.

Sekcya administracyjna, Kraków ul. Kilińskiego 18.

C. Karta wstępu, w cenie 4 korony, daje prawo wstępu na zebrania towarzyskie, na posiedzenie zjazdu i prawo do pamiętnika Zjazdu, który w dwa miesiące po Zjeździe uczestnikom Zjazdu będzie doręczony.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

PAŹDZIERNIK.

Strona

WIEDEŃSKI KONGRES EUCHARYSTYCZNY. Przez *Ks. A. Starkera T. J.* . . . . . 1*—8*

WIEC WIEDEŃSKI W SPRAWIE ZANIEDBANYCH NIEMOWLĄT. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 1

Z POWODU SETNEJ ROCZNICY URODZIN DICKENSA. Przez *A. T.* 16

W ODPOWIEDZI P. LORETOWI W KWESTYI JEZUITÓW BIAŁORUSKICH. Przez *ks. Józefa Sasa T. J.* 33

POGLĄDY I TEORYE NAJNOWSZEJ FIZYKI. Przez *ks. Feliksa Hortyńskiego T. J.* 52

CZY AUTOGRAF ŚWIĘTEGO KAZIMIERZA? Przez *Antoniego Prochaskę* 70

INDYWIDUALNOŚĆ TWÓRCZA SKARGI. (Dokończenie) Przez *Stanisława Miterę* 77

LISTOPAD.

Pamiętnik Zjazdu Skargowskiego w Krakowie

w dniach 25 i 26 września 1912:

PO JUBILEUSZU SKARGI. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . . . . 1*—4*

ZJAZD SKARGOWSKI. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 5*—12*

ODEZWA NA ZJAZD SKARGOWSKI I PROGRAM ZJAZDU. 13*—15*

Trzy ilustracye z posiedzeń Zjazdu.

OBRADY ZJAZDU:

Pierwsza sesya kwestyi zasadniczych.
Dn. 25-go września 10 godzina rano.

ZAGAJENIE ZJAZDU. Mowa J. E. *hr. Stanisława Tarnowskiego* 2

Strona

Mowa J. E. księdza biskupa Józefa Sebastyana Pelczara 4
Katolicyzm a polski duch obywatelski. Referat *hr. H. St. Badeniego* 13

Pierwsza sesya kwestyi praktycznych.
Dn. 25-go września godz. 3 po południu.

Znaczenie i potrzeby prasy katolickiej. Referat *księcia Franciszka Radziwiłła* 34
Dyskusya nad referatem księcia Franciszka Radziwiłła 49
Domy ludowe na wsi. Referat *ks. A. Tyczyńskiego* 52
Domy ludowe w miastach. Referat *ks. Prałata A. Laubitza* 59
Dyskusya nad referatem x. a. Tyczyńskiego i x. Laubitza 68
Potrzeba i znaczenie częstego urządzania zgromadzeń i wieców katolickich. Referat *p. Karola Holeksy* 73
Dyskusya nad referatem p. Karola Holeksy . . . 78

Druga sesya kwestyi zasadniczych.
Dn. 26-go września godz. 10 rano.

Katolicyzm skargi a katolicyzm polski dzisiejszy. Przez *ks. Prałata Władysława Chotkowskiego* . 80
Polski typ katolicki. Mowa *dra Bronisława Dembińskiego* 114

Druga sesya kwestyi praktycznych.
Dn. 26 września godz. 3 po południu.

Akcya antypornograficzna. Referat *Szambelana Adama Konopki* 124
Dyskusya nad referatem p. a. Konopki 139
Wspólna akcya w sprawie wychodźtwa. Referat *Dra Leopolda Caro* 143
Dyskusya nad referatem dra Leopolda Caro . . . 158
Wykształcenie społeczne duchowieństwa. Referat *ks. K. Zimmermanna* 165
Mowa, zamykająca wiec, *księcia Biskupa Adama Sapiehy* 187
Błogosławieństwo Ojca Świętego 190

Ogólny program uroczystości skargowskich w Krakowie 191
Program uroczystego pochodu 194

Trzy ilustracye z pochodu.

GRUDZIEŃ.

Strona

DWUDZIESTOLECIE TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . . . . 1*—8*
WYPADKI BAŁKAŃSKIE A IDEA RELIGIJNO-KOŚCIELNA. Przez *ks. Jana Urbana T. J.* 197
PRZYSZŁOŚĆ PALESTYNY. Przez *J. Kruszyńskiego* . . 213
W PRZEDEDNIU HOME RULE'U. Przez *ks. J. Dahmena T. J.* 236
JUBILEUSZOWY ROK WE WŁOSZECH. Przez *Fr. Kleina* 248
ORGANIZACYA ADORACYI WŚRÓD KOBIET POLSKICH. Przez *Maryę Straszewską* 266
FAKT POWSZECHNOŚCI RELIGII W ŚWIETLE PEWNOŚCI SAMORZUTNEJ. Przez *ks. Brunona Wolnika T. J.* . 291

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

FILOZOFIA PRZYRODY, PSYCHOLOGIA, METAFIZYKA OGÓLNA CZYLI NAUKA O BYCIE, LOGIKA OGÓLNA, NOETYKA. Ks. Dr. Fr. Gabryl, prof. Uniw. Jag. (*Stanisław Podoleński T. J.*) 98
STULECIE GAZETY LWOWSKIEJ. Ludwik Bernacki, Wilhelm Bruchnalski, Ludwik Finkel, Bronisław Gubrynowicz, Franciszek Jaworski, Kazimierz Ostaszewski-Barański, Michał Rolle, Stanisław Wasylewski, pod redakcyą Wilhema Bruchnalskiego. (*Dr. St. Zdziarski*) 313
SEN DNIA LETNIEGO. Zygmunt Stefański. (*M. S. Dobruchowski*) 317
NAUKA CERKWI ROSYJSKIEJ O SAKRAMENCIE POKUTY. Ks. W. Służałek M. T. (*Ks. J. Urban T. J*) 319
KARTKI Z PAMIĘTNIKA ALKARA. (*Józef Płaza*) 321

Z piśmiennictw obcych.

EPISTOLAE ET ACTA JESUITARUM TRANSYLVANIAE TEMPORIBUS PRINCIPUM BATHORY. Collegit et edidit Dr. Andreas Veress. (*Ks. Jan Sygański T. J.*) 105
HEXENWAHN UND HEXENPROCESS, VORNEHMLICH IM XVI. JAHRHUNDERT. Paulus Nicolai. (*Ks. K. Konopka T. J.*) 108
DIE THOMASLEGENDE UND DIE ÄLTESTEN BEZIEHUNGEN DES CHRISTENTUMS ZUM FERNEN OSTEN IM LICHTE DER INDISCHEN ALTERTUMSKUNDE. Von Joseph Dahlmann S. J. (*J. Hahn T. J.*) 111
RELIGION UND POESIE IN IHRER INNIGEN VERBINDUNG DARGESTELLT DURCH EINE BLÜTENLESE von Alois Pichler C. SS. R. (*L.*) 115
DAS BENEDIKTINERSTIFT ST. PAUL IN KÄRNTEN. 1809—1909. P. R. Strelli, P. E. Olbert. (*K.*) 116
DAS MISSALE ALS BETRACHTUNGSBUCH. Von Dr. Fr. Xav. Reck. (*X. J. C.*) 116
SYSTEMATISCHE PHILOSOPHIE von W. Dilthey, A. Riehl, W. Wundt, W. Ostwald, H. Ebbinghaus, R. Eucken, Fr. Paulsen, W. Münch, Th. Lipps (*Ks. Stanisław Podoleński*) *T. J.* 323
Z BELETRYSTYKI FRANCUSKIEJ. (*Helena Skolimowska*) 327
LE PROBLÈME DU MAL. P. J. De Bonniot. (*Ks. B. Wolnik T. J.*) . . . 330

Zapiski bibliograficzne.

JAK CZYTAĆ AUSTRYACKIE MAPY WOJSKOWE I ORYENTOWAĆ SIĘ Z ICH POMOCĄ W TERENIE? Ks. H. Libiński T. J. (*k.*) 118
WSKAZÓWKI JAK URZĄDZIĆ BIBLIOTEKI. (*Kaz.*) 118

Strona

HERDERS KONVERSATIONS LEKSIKON. *(Fr. K.)* 118
LEHRBUCH DER PHILOSOPHIE von Alfons Lehmen S. J. — ELEMENTA PHILOSOPHIAE ARISTOTELICO-THOMISTICAE. Auctore P. Jos. Gredt O. S. B. *(S. M.)* 119
ABRAHAM A S. CLARA von Dr. Karl Bertsche. *(R. B.)*. 119
THEOLOGIA MYSTICA ET EPISTOLA CHRISTI AD HOMINEM auctore Joanne a Jesu Maria. — PUGNA SPIRITUALIS auctore Laurentio Scupoli. *(R. B.)* . . 120
DIE ALTSYRISCHEN EWANGELIEN IN IHREM VERHÄLTNISS ZU TATIANS DIATESSARON von Dr. Heinrich J. Vogels. *(Z.)* 120
DAS HEILIGE MESSOPFER von Dr. N. Gihr. *(Z.)* 120
APOLOGIE DES CHRISTENTUMS. Von Dr. Paul Schanz. *(T.)* 120
PIUS V. UND DIE DEUTSCHEN KATHOLIKEN von Otto Braunsberger S. J. *(J.)*. 120
DAS LEBEN DER VOLLKOMMENHEIT von P. Dr. Chrys.Stelzer O. S. B. *(R.)*. 121
ORDENSLEBEN UND ORDENSGEIST von P. Ignaz Watterott M. I. *(R.)* . . . 121
VOLLSTÄNDIGE KATECHESEN von Gustaw Mey. *(B.)* 121
GOTT MIT UNS von P. Justinus Albrecht O. S. B. *(R.)*. 121
DIE SONNTAGSSCHULE DES HERRN von Dr. Benediktus Sauter O. S. Bl. *(Sz.)* 121
ALBAN STOLZ UND DIE SCHWESTERN RINGSEIS von Alois Stockmann S. J. *(J.)* 121
BIBLIOTHEK FÜR PREDIGER von P. Aug. Scherer O. S. B. *(Sz.)* 121
BIBLIOTERA KRAKOWSKA. Nr. 30. KRONIKA KRAKOWSKA 1796—1848. Część II. 1816—1831. Dr. Klemens Bąkowski. — Nr. 31. WSPOMNIENIA Z OSTATNICH LAT RZECZYPOSPOLITEJ. Wiktor Kopff. — Nr. 32. Z DZIEJÓW KRAKOWSKIEJ MUZYKI. Edward Kubalski. *(A. Z.)* 331
SZKICE HISTORYCZNE. Ludwik Glatman. *(A. Z.)* 332
Z KRAINY PRAWA, WOLNOŚCI I PRACY. K. Ostaszewski-Barański. *(A. Z.)* . . 332
VADEMECUM PRO NUNTIIS APOSTOLICIS IN POLONIA A GALEAZZO MARESCOTTI, NUNTIO APOSTOLICO CIRCA A. 1670 EXARATUM .. ed. Dr. Aleksander Kakowski, *(K.)* 332
POLITIK UND LIEBE. Tragödie von Milena Włodzimirska. *(W.)* 333
POLENLIEDER DEUTSCHER DICHTER. Gesammelt und herausgegeben von St. Leonhard. Verlag von I. Piasecki. *(W.)* 333

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Wiec niemieckich katolików w Akwisgramie. — Papieskie *Motu proprio* w sprawie wychodźtwa. — Pierwszy międzynarodowy kongres w sprawie chrześcijańskiego wychowania. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 123
ZE ŚWIATA SZTUKI RELIGIJNEJ. Przez *Maryana Strzembosza* 127
Z WYDAWNICTW KATOLICKICH. Przez *Teresę Wodzicką* 135
RUCH SPOŁECZNY W POZNAŃSKIEM. Przez *Maryę Ruszczyńską* 140
LISTY Z GDAŃSKA. Przez *Franciszka Kleina* 144

GRUDZIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Bazylea i Berlin. — Breve papieskie w sprawie chrześcijańskich stowarzyszeń zawodowych w Niemczech. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 334
LISTY Z WARSZAWY. List I.: Antysemityzm w Królestwie. — Wrzawa przedwyborcza. — Narodowa demokracya a koncentracya. — Dmowski a Kucharzewski. — Ignacego Grabowskiego broszura »Niewdzięczni Goście«.— Zwycięstwo Żydów. — Odnarodowianie twórczości polskiej. List. II.: Poseł żydowski. — Odezwa żydowska. — Bojkot ekonomiczny Żydów. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 342